



Copyright by Marcin Pałasz 2004
Wszystkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie lub rozpowszechnianie tekstu bez wyraźnej zgody
autora jest zabronione

Ziemia

Cichutkie, miarowe popiskiwanie sonaru i echosondy mile koło jego emocje. Łagodne, fluoryzujące zielonkawo zarysy dna widziane na czołowym holoeckranie panelu sterowania również w jakimś stopniu wpływały na niego uspokajająco. Zarysy te przesuwwały się powoli, przypominając, że *Golf* prowadzony przez MacBride'a powoli płynął ponad oceanicznym dnem.

Z bocznego fotela dobiegło urażone miauknięcie.

Toby MacBride zerknął w bok i uśmiechnął się na widok miny, jaką na tę okazję uznała za stosowne przybrać czarna kotka. Patrzyła nań swoimi niebieskimi, nader nietypowymi jak na kota oczami z widoczną pretensją. Wyraźnie dawała mu do zrozumienia, iż tego rodzaju manewry, jakie miały miejsce jeszcze kilkanaście minut temu, nie powinny się zdarzać, jeśli na pokładzie wiezie się prawdziwą damę.

– Wiedziałaś, że płynę na ćwiczenia – mruknął wesoło. – Teraz zaś możesz być dumna, że widziałaś, jak dołożyłem Borysowi. Co ty na to, Chester?

Wyraz jej pyszczka wskazywał, iż czarna arystokratka raczy się jeszcze nad tematem zastanowić i istnieje nadzieja, iż jego niewłaściwe postępowanie zostanie mu jednak wybaczone. Następnie usadowiła się wygodniej w fotelu pasażera i w skupieniu rozpoczęła skomplikowane zabiegi toaletowe.

MacBride westchnął, dmuchnięciem odsunął z czoła uparcie opadający kosmyk czarnych, prostych włosów i ponownie powrócił do urządzeń pokładowych. W rytmie popiskiwań sonaru dała się słyszeć nowa nuta; od lewej burty dochodziło go nowe echo. Niemal natych-

miast zostało ono zidentyfikowane przez komputer jako sygnał bliźniaczego *Golfa*. Istotnie: kilkanaście sekund później druga łódź desantowa zajęła pozycję na bakburcie.

Zatrzeszczał głośniczek podwodnego telefonu sonarowego, popularnie zwanego "gertruda". Z początkowego szumu zakłóceń wyłonił się wyraźny, męski głos.

– *Golf Dwa*, tu *Golf Jeden*. Toby, ty draniu, słyszysz mnie?

Pilot mimowolnie ponownie się uśmiechnął. Minimalnie poprawił przęcik mikrofonu tkwiący przy jego ustach.

– Głośno i wyraźnie, Borys. Jak samopoczucie?

– Ty nieprawdy synu kaszalota i ośmiornicy! – w głosie kolegi pobrzmiewały nutki tłumionego śmiechu. – Jak, u licha, udało ci się mnie podejść od tamtej strony?!

– Słyszałeś o teleportacji? – spytał Toby niewinnie. – Niedawno nawiązałem tajny kontakt z pewną cywilizacją nader ponętnych Galaktów i w zamian za parę... hmm, usług otrzymałem od nich takie małe urządzenie...

– Poczekaj, niech no tylko Beresford pozwoli nam jutro na małą powtórkę dzisiejszych rozgrywek, już ja ci dam popalić – obiecał Borys, chichocząc. – Żadne, nawet najbardziej zaawansowane urządzenia od nie wiem jak ponętnych Galaktów nie zdadzą się na wiele, gdy wpadnę w szal... A tak serio, stałeś się może nagle jasnowidzem? Jak ci się to udało?

– Obyło się bez jasnowidzenia. Po prostu miałem szczęście... a zresztą pogadamy w domu, przy piwku, co ty na to? – zaproponował MacBride. – W takim razie do zobaczenia na *Ramsesie*.

Sprawdził monitory; do macierzystego okrętu powinno być już nie więcej, jak pięć mil. I faktycznie, komputer nawigacyjny zameldował o wychwyceniu sygnału z sonaru kierunkowego *Ramsesa*, zarazem delikatnie korygując kurs niewielkiej łodzi desantowej.

Obaj piloci wracali właśnie z mini-manewrów, swego rodzaju ćwiczeń, jakie przeprowadzili dziś za zgodą dowódcy. Teren dla nich stanowiły dość ciekawe formacje, jakie dno oceaniczne tworzyło w odległości mniej więcej dziesięciu mil morskich od aktualnej pozycji *Ramsesa*. Z propozycją wystąpił dziś rano Borys, mający już – jak

cichaczem wyznał drugiemu pilotowi – dość przymusowej beczynności w czasie, gdy okręt całymi dniami tkwił nieruchomo nad morskim dnem. Fakt: w chwili obecnej zajęcie mieli w zasadzie jedynie członkowie ekip naukowo-badawczych i obsada laboratoriów pokładowych.

Admirał Beresford zgodził się na to nawet chętnie, nie mówiąc już o entuzjastycznej reakcji drugiego pilota MacBride'a. On też już był nieco znudzony. Ileż się w końcu można czytać, grać po sieci w *Heart of Madness*, czy bawić z kotem...?

Planowane zawody wciągnęły nawet część załogi, która podzieliła się na dwa obozy, kibicujące obu pilotom. Liczebnie mniej więcej równe, zgromadziły się obok siebie na mostku wielkiego okrętu w czasie, gdy na pokład napływały dane z czułek, wysłanych w bezpośrednią bliskość terenu zawodów. Dane, przesyłane za pomocą monomolekularnych przewodów, oprócz obserwowania tylko dla przyjemności miały zapewnić również wychwycenie wszelkich ewentualnych prób łamania reguł przez któregośkolwiek z zawodników. Walka była jednak czysta.

Wystartowali z dystansu dziesięciu mil od siebie, a zadaniem każdego z nich było wykrycie i namierzenie przeciwnika, a następnie ostrzelanie go aktywnym sonarem przez co najmniej pięć sekund. Wygrywał ten, kto jako pierwszy zaliczył "trafienie" po raz trzeci.

Zadanie utrudniało właśnie owe specyficzne ukształtowanie dna, przerytego licznymi kanionami i dolinami. Biorąc zaś pod uwagę zwrotność i manewrowość niewielkich łodzi desantowych, pojedynek przypominał raczej walkę współczesnych myśliwców przechwytyjących, aniżeli klasyczne wyobrażenie o polowaniu na siebie dwóch okrętów podwodnych.

MacBride uśmiechnął się do siebie jeszcze raz. To była dobra robota... Uniósł wzrok: na bocznym holomonitorze dostrzegł wylaniające się powoli z ciemności w świetle potężnych reflektorów obu *Golfów* monstrualne, spłaszczone cielsko macierzystego okrętu.

Patrząc na okręt, Toby przypominał sobie niespodziewanie inny niesamowity widok, jaki miał okazję podziwiać kilkadziesiąt godzin przed wypłynięciem w ten rejs. Stał wtedy wraz z Krisem – pięcioletnim synem jednej z dalszych kuzynek – na galerii widokowej miesz-

czącej się niemal na samym szczycie Wieży Świata. Malec kurczowo ścisnął go za rękę, chłonąc ten niewiarygodny krajobraz, jaki rozciągał się hen, daleko w dole i wokół nich.

– Ale wysoko... – wyszeptał wreszcie Kris, niemal przyciskając nos do szyby. Szybko zerknął na pilota, a ten wspomniawszy swoje odczucia, gdy pierwszy raz znalazł się w tym miejscu. Za każdym razem było to zresztą swego rodzaju szok. Niektórzy ludzie tego nawet nie wytrzymywali.

– Prawie dziesięć kilometrów – pokiwał głową Toby. – To najwyższy budynek na świecie. Cieszysz się, że tu przyszliśmy?

– A po co taki wysoki? – zmarszczył brwi chłopiec, nie odpowiadając na pytanie. – Kto go zbudował?

– Przyjaciele ludzi. Pamiętasz, mówiłem ci już przecież o tym... Ich świat nazywa się Rah.

– Oni są dobrzy?

– Oni tak. A Wieża Świata jest ich podarunkiem dla ludzi. Znakiem, że weszliśmy do Wspólnoty Galaktycznej.

– Wolałbym, żeby stała w Londynie – westchnął malec i ponownie zapatrzył się w ziemię widoczną wiele kilometrów w dole. – Mógłbym przychodzić tu wtedy codziennie.

Toby nie mógł powstrzymać uśmiechu. Kris miał dziś swoje piąte urodziny, a prezentem pilota dla niego była właśnie ta wycieczka do Heliopolis. I zdaje się, że to właśnie przypadło małemu do gustu najbardziej ze wszystkich prezentów...

– Mama mówiła, że tu wszędzie jest pustynia – oświadczył Kris poważnie, podnosząc na niego swe szare oczy. – A przecież wszędzie jest zielono, tam na dole.

– Twoja mama ma rację. Ta pustynia jest w dalszym ciągu, nazywa się Sahara. Na pewno o niej już słyszałeś... a tylko w tym miejscu jej nie ma. Wokół Heliopolis.

– Czemu?

– Ludzie nie chcieli, aby nowa stolica naszej całej planety stała na pustyni, dlatego ten kawałek został zmieniony. Teraz są tu ogrody, drzewa, sam widzisz.

– A po co była nowa stolica? – zdziwił się Kris. – Londyn to też stolica?

– Teraz Londyn jest stolicą jednej z prowincji – wyjaśniał cierpliwie Toby. – Kiedyś był najważniejszym miastem jednego z krajów, który nazywał się Wielka Brytania, a potem największym miastem Wspólnoty Europejskiej. A potem świat się zjednoczył i potrzebna była nowa stolica.

– Kapuję – oświadczył malec z taką powagą, że pilot omal nie wybuchnął śmiechem. – A czemu świat się zjednoczył?

Z doświadczenia wiedział, że takie pytania mogą potrwać w nieskończoność, a trudno było mu tłumaczyć cały ten proces, który był jednym z ostatnich kroków przed oficjalnym przyłączeniem Ziemi do Wspólnoty Galaktycznej. Westchnął więc tylko i spróbował skierować uwagę malca na coś innego.

– Kim chcesz zostać, jak dorośniesz?

Kris zacisnął na moment usta, a potem niespodziewanie się uśmiechnął, zerkając na niego spod opuszczonej głowy. Widać było, że ma wielką ochotę o tym opowiedzieć, ale czyżby była to jakaś tajemnica...?

– Nikomu nie powiesz? – upewnił się malec. – Nawet mamie?

– Będę milczał jak kamień – oświadczył uroczyście Toby, kładąc sobie rękę na piersi. Kris tylko na to czekał.

– Będę Kolonistą, jak ty – wyrzucił z siebie. – I też będę pilotem okrętu podwodnego, największego na świecie. Twój jest największy?

– Chyba tak – roześmiał się pilot, trochę zaskoczony planami małego. – A przynajmniej jednym z największych. A czemu chcesz zostać akurat Kolonistą? Nie lepiej być Anglikiem?

– Bo Kolonia to ważne miejsce. I też chcę mieszkać w kopułach na dnie morza, jak ty. Będę miał oswojonego delfina... mogę?

– Pewnie, że możesz... ale Kolonia już nie jest takim ważnym miejscem, jak jeszcze kilka lat temu – westchnął Toby.

To była prawda. Czasy świetności Kolonii, jedyne podwodnego państwa świata, powoli się kończyły. Wydobywany tam samar nie był już tak niezbędny w przemyśle energetycznym, jak jeszcze niedawno. Duży wpływ na to miały nowe technologie, jakie zawitały na Ziemię

kilka lat temu wraz z wizytą galaktycznych gości. Teraz najważniejszym zasobem Kolonii stawali się ludzie. To były jednak sprawy, których Kris jeszcze pewnie by nie zrozumiał.

Małego jednak akurat zafascynował widok wahadłowca, podchodzącego do lądowania w centrum lotów kosmicznych położonym na obrzeżach Heliopolis. W związku z tym fala dalszych pytań została chwilowo pohamowana. Toby wraz z malcem patrzył, jak srebrna iskierka zniża swój lot coraz bardziej i wreszcie dotyka płyty lądowiska, dokładnie pośrodku jednego ze stanowisk oznaczonych białymi okręgami. Z tej wysokości pojazd był mikroskopijny, a przecież naprawdę musiał mieć co najmniej kilkaset metrów długości – był to bowiem statek Rahańczyków.

– Kiedy wracasz do Kolonii? – zagadnął malec, ruszając z miejsca i ciągnąc go wzdłuż galerii. Idąc mijali rozsiane z rzadka grupki innych ludzi, najczęściej też z towarzyszącymi im dziećmi.

– Dziś wieczorem, jak tylko odstawię cię bezpiecznie do twojej mamy – rzekł Toby pogodnie. – Czeka mnie kolejny rejs.

– Na *Ramsesie*? – upewnił się Kris.

– Na *Ramsesie* – kiwnął głową pilot. – Postaram się przywieźć ci coś z tej podróży...

Krótkie piśnięcie sonaru wyrwało go z zadumy. Podniósł głowę i obrzucił wzrokiem tablicę przyrządów; *Ramses* był tuż, tuż. Wspomnienia jednak nie chciały odejść tak łatwo.

Ze szczytu Wieży Świata widać gwiazdy nawet w dzień, przypomniał sobie niespodziewanie Toby MacBride, dokując swojego *Golfa* zaraz po pierwszym pilocie i jego pojeździe.

Oparł się o wygodne oparcie fotela i zamknął na moment oczy.

Kosmos

Gwen jak zwykle była pierwsza. Trąciła lekko łokciem stojącego obok niej Briana i gestem głowy wskazała odpowiedni kierunek. Ten

wpatrzył się w czerń rozświetloną światłem nieskończonej zdawałoby się ilości gwiazd, ale pomimo iż dosłownie wypatrywał oczy, ponownie musiał przyznać się do porażki.

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, jak ty to robisz – mruknął z mimowolnym podziwem dla towarzyszki. – Jeszcze niczego nie widzę, ale jak znam życie, i tak masz rację.

Oboje stali przed wielkim iluminatorem na jednym z pokładów rahańskiego statku transportowego, powoli zbliżającego się ku stacji orbitalnej *Mars 2*. Niemal pod stopami widzieli część brunatnordzawej tarczy Czerwonej Planety, z wyraźnie widoczną linią terminatora, prawie niedostrzegalnie przesuwającą się po poznaczonej kraterami powierzchni.

Gwen przysunęła się do niego bliżej i wyciągnęła dłoń przed siebie tak, aby mógł spojrzeć wzdłuż niej. Brian znowu poczuł ten niepokojący zapach, jej zapach. O ile mógł się zorientować, nie używała żadnych specjalnych perfum, i bardzo mu się to podobało.

– Przypatrz się dobrze – powiedziała cicho. – Tam, parę stopni w prawo od Betelgeuse... widzisz?

Jeszcze chwilę mrugał z zakłopotaniem oczami, ale nagle dostrzegł. Trzy światełka: czerwone, zielone i niebieskie, błyskały naprzemiennie i regularnie daleko w przestrzeni. Gdy już się je raz zobaczyło, łatwo było je wypatrzeć na tle świecących jednostajnie gwiazd.

– Na Ziemi gwiazdy migoczą – powiedział Brian tęsknie. – Kiedy znowu to zobaczymy, jak myślisz?

– Poruczniku Ives, czyżby znudziła ci się już służba w Siłach Kosmicznych Zjednoczonych Narodów Ziemi? – zakpiła delikatnie Gwen, opierając się na jego ramieniu. – Przypominam ci, że twój kontrakt z UNSF opiewa na...

– Porucznik Finney, znam ustalenia swego kontraktu. I korzystając z okazji chciałbym zauważyć, że nie znam mniej romantycznej i bardziej służbistej...

Umilkł, stwierdzając nagle, że żart chyba zbyt nie pasuje do sytuacji. Przez chwilę patrzył więc tylko w przestrzeń, starając się odnaleźć wzrokiem charakterystyczną, podwójną gwiazdę, oznaczającą

ich wspólną planetarną ojczyznę wraz z krążącym wokół niej Księży-
cem.

– Ja po prostu też tęsknię za Ziemią – Gwen przymknęła na moment oczy. – I staram się o tym nie myśleć. Parę godzin temu, jeszcze w Ares City, gwiazdy też mrugały...

Brian milczał, po raz kolejny z pewnym wzruszeniem myśląc, jakie to szczęście, że trafił akurat na tę kobietę. Łączyła ich tak silna więź empatyczna, iż czasami było to wręcz niesamowite. Były wręcz momenty, kiedy znali swoje myśli bez wypowiedzenia choćby jednego słowa. Brian wiedział dobrze, że podczas rutynowych testów na potencjał ESP wykryto u niego nieco podwyższoną wrażliwość, niemniej w takim stopniu, jaki nie kwalifikował go jeszcze do zostania choćby empatą. Co jednak znacznie pomagało w utrzymaniu bardzo bliskiej więzi z Gwen. Dlatego tworzyli tak zgrany zespół.

Niemal od momentu poznania zbliżyli się do siebie. Było to nie lada zaskoczeniem dla samego Briana, który jeszcze niedługo wcześniej krzywił się na samą myśl, że będzie musiał służyć wspólnie z tyloma kobietami w jednym oddziale. Major Coburn, ich bezpośredni przełożony, już po kilku zaledwie tygodniach poczuł się zmuszony wezwać Briana do siebie na dywanik.

– Szefie, mam dla pana propozycję – zaproponował wtedy Brian, wysłuchawszy w skupieniu tego, co Coburn miał mu do powiedzenia. – Jeśli choć raz zauważy pan, że zaniedbuję swoje obowiązki z powodu Gwen... tego, chciałem powiedzieć porucznik Finney, to od razu może mnie pan odesłać na Ziemię. A wie pan, jak bardzo zależy mi na tej służbie. Zgoda?

Coburn zgodził się, aczkolwiek z niechęcią. Zaś w kolejnych miesiącach pomimo wielkich starań nie udało mu się przyłapać ani Gwen, ani Briana na jakichkolwiek zaniedbaniach dotyczących ich służby. Co się działo w ich czasie wolnym, już go nie obchodziło. No, może z paroma wyjątkami... W gruncie rzeczy, ich sposób pracy spodobał mu się. I to do tego stopnia, że gdy kilka miesięcy temu tworzono dwuosobowe zespoły operacyjne, bez najmniejszych oporów przystał na to, aby jeden z nich stworzyli właśnie oni dwoje.

Rahański statek powoli zbliżał się do płaskiego dysku o ponad kilometrowej średnicy, wirującego powoli wokół własnej osi. Liczne iluminatory mrugały wesoło białym światłem, świadcząc dobitnie iż tu, w przestrzeni kosmicznej, człowiek może żyć, pracować i na swój sposób być szczęśliwym. W centralnej części dysku sterczało kilka kształtów, jakby przyczepionych do jakiejś wielkiej zabawki nie-wprawną dłonią dziecka. Były to inne statki, zarówno transportowce, jak i jednostki bezzałogowe. Na jednym z nich Brian dostrzegł błyszczący w świetle dalekiego Słońca symbol przedstawiający trzy okręgi splecione ze sobą. Wiedział, że taki sam symbol widnieje na ich statku, będąc znakiem przynależności pojazdu do Klanu Rah. Znak zresztą zniknął po chwili w czarnym cieniu, wraz z postępującym ruchem obrotowym wielkiego dysku.

Zarówno Brian, jak i Gwen, zdążyli się już przyzwyczaić do niezwykle niekiedy wyglądających nieziemców, coraz tłumniej przewijających się przez stację. I nawet mieli wśród nich całkiem dobrych znajomych.

– Jak myślisz, komu złożę wizytę zaraz po powrocie? – spytał leniwie Brian tuż przed tym, zanim zaskoczyły magnetyczne zaczepy, blokujące rahański kosmolot w jednym z centralnych doków stacji.

Gwen zerknęła na niego, przewróciła oczami i skrzywiła usta w udawanym geście obrzydzenia.

– Alkoholicy – mruknęła z potępieniem. – Banda zwyrodnialców, rujnujących własną kondycję... co nie zmienia faktu, że jeśli tylko pozwolisz, bardzo chętnie się do was przyłączę.

Jak na komendę oboje wybuchnęli śmiechem.

Kolejna butelka piwa otworzyła się z syknięciem. Brian z zadumą obserwował, z jaką wprawą złotokóra ręka trzymająca butelkę nalewa napój do szklanki po jej ściance w ten sposób, aby kożuch piany pozostał jak najcieńszy.

– Naprawdę nie macie piwa tam, u siebie? – zdziwił się po raz nie wiadomo który. Vaa'ho uniósł na moment wzrok i odchylił głowę do

tyłu w geście, który – jak już zdążyli się zorientować – był odpowiednikiem ludzkiego śmiechu.

– Poważnie zastanawiamy się nad tym, czy nie zająć się uprawą chmielu na którymś z naszych światów – odparł Galakt, podając napełnioną szklankę Gwen. – Mam wrażenie, że pomysł przejdzie dużą większością głosów...

Naturalnie nie mówił po angielsku, jednak jego słowa w lot tłumaczone były przez miniaturowe translatory, które ludzie mieli umieszczone w małżowinach usznych. Szkoda, że tak mało ludzi dysponuje ESP – pomyślał zniechęca Brian. To tak ułatwiłoby nam porozumiewanie się z Galaktami...

Potwierdzenie istnienia ESP, czyli postrzegania pozazmysłowego, było dla pewnej grupy ludzi – zwłaszcza zaś trzeźwo myślących naukowców – swego rodzaju szokiem. Nie można jednak było negować faktu, iż to, co od dawien dawna nazywano telepatią, istniało i było wykorzystywane w zamieszkałym kosmosie. Oczywiście, o ile tylko dany gatunek został w taką zdolność wyposażony przez naturę. W dość zagmatwany sposób możliwość ta wynikała z pewnych odgałęzień fizyki rzeczywistości, w których specjalizowało się zaledwie kilka ras.

Brian patrzył na emblemat umieszczony na lewej piersi wysokiego Galakta. Był to niezwykle stary galaktyczny symbol, a przedstawiał on trzy koncentryczne okręgi, z trzema złotymi gwiazdkami pod nimi. Oznaczał on pełnego, czyli aktywnego telepatę; znakomita większość przedstawicieli tego gatunku była pod tym względem równie zaawansowana. Krążyły pogłoski o starych, wymarłych rasach, które posiadały cztery gwiazdki, oznaczające zdolność telekinezy. Jednakże wśród żadnego z żyjących obecnie gatunków Galaktów takie umiejętności nie zostały oficjalnie potwierdzone.

Często zastanawiał się, jakie to uczucie być z kimś w tak ścisłym kontakcie, jakim był niewątpliwie ESP. Po długim wahaniu zdobył się nawet na odwagę i poprosił Vaa'ho o to, na co miał tak wielką ochotę. Nieziemiec nie odmówił.

Na nieskończenie krótką chwilę Brian poczuł się wtedy, jakby patrzył na siebie oczami Galakta, po czym nastąpiło coś niezwykłego i

niesamowitego. Wcześniej podświadomie wyobrażał sobie, iż nawet podczas kontaktu umysłów będzie stawiał pytania wyrażane słowami i takie otrzymywał odpowiedzi. Nic bardziej błędnego. Ich wzajemne porozumienie opierało się na jakichś bardziej pierwotnych pokładach ich świadomości. Przebiegało przy tym nieporównanie bardziej sprawnie od posługiwania się jakąkolwiek znaną mową. Później dowiedział się, że takie porozumiewanie się bez słów jest cechą jedynie niewielu ras, które rozwijały swe zdolności ESP od niezliczonych eonów. Nieliczni ziemscy telepaci byli dużo bardziej konwencjonalni.

Trójka przyjaciół siedziała w prywatnej kwaterze Rahańczyka. Byli tu już nie po raz pierwszy, jednak jak zwykle wzrok był wręcz przyciągany przez kolekcję pamiątek z kilku światów, na których gościł już ich gospodarz. Jedną ze ścian zajmował w całości niezwykle sugestywny i realistyczny holowidok, przedstawiający – jak się zdążyli dowiedzieć – ojczysty świat Vaa’ho. Była to planeta typu ziemskiego, obiegająca niczym nie wyróżniającą się gwiazdę typu widmowego F7, którą ledwo co można było dostrzec przez ziemskie teleskopy w konstelacji Delfina. Gwiazda ta była zresztą tylko jedną z wielu, wokół których krążyły globy zamieszkane przez jego ziomeków; imperium Rah rozciągało się na przestrzeni niemal dziewięciu sektorów.

Hologram przedstawiał szeroką panoramę, w której na pierwszym planie widniał nieziemski w dosłownym tego słowa znaczeniu las o niezwykle, czerwonym zabarwieniu listowia. W dali, na tle turkusowego nieba z kilkoma kłębiastymi obłoczkami, widać było strzeliste, przeszklone wieże odległego miasta. Nie byłoby w tym jeszcze nic dziwnego gdyby nie fakt, iż wieże najwyraźniej trwały zawieszone w powietrzu, ponad pierzastymi jakby koronami drzew.

Jednak poczesne miejsce w pomieszczeniu zajmował wielki, dobrze zaopatrzony barek. Równie znana jak ich poczucie humoru była skłonność rodaków Vaa’ho do lekkich ziemskich napojów wyskokowych, przede wszystkim piwa i szampana. Z dość istotnym zastrzeżeniem: na skutek pewnych różnic w fizjologii obu gatunków zawarty w tych płynach alkohol nie działał na Rahańczyków odurzająco.

Wywierał na nich mniej więcej taki wpływ, jak na ludzi kawa czy mocna herbata: zwiększał koncentrację i podnosił refleks.

Vaa'ho spojrzał na nich przyjaźnie. Upił łyk piwa, mlasnął ze smakiem i zlizął pianę z cienkich warg.

– Doszły mnie pogłoski, że wasz przełożony dość niechętnie patrzy na waszą znajomość z co poniektórymi przedstawicielami cywilizacji galaktycznych?

Ufff. Brian, wyrwany ze swych rozmyślań, poczuł się tak, jakby właśnie dostał w łeb. Zerknął na Gwen, która westchnęła ciężko i pokiwiała smętnie głową.

– Major Coburn jest nastawiony pod tym względem dość konserwatywnie – odparła wreszcie z pewnym wahaniem. – Zarówno ty, jak i jeszcze parę innych osób, z którymi się widzimy, jesteście cywilami. A to, nie wiedzieć czemu, nie wpływa na niego zbyt dobrze.

Z dużych, niezwykle wydłużonych oczu Rahańczyka o nie-spotykanej, fiołkowej barwie, nie sposób było w tym momencie wyчитать czegokolwiek. Uniósł w górę swoją szklankę z piwem i w skupieniu obserwował refleksy światła w przelewającym się płynie.

– Mam jednak nadzieję, że nie wpłynie to w żadnym stopniu negatywnie na wasze z nim stosunki?

Brian zachnął się.

– Jeszcze tego by tylko brakowało, aby wybierał nam przyjaciół czy znajomych – burknął gniewnie. – Nawet myślałem na początku, czy aby nie jest on ksenofobem, ale w takim wypadku przecież nie trafiłby tutaj, no nie?

– On w ogóle nie przepada za cywilami – weszła mu w słowo Gwen. – Niezależnie od tego, czy są ludźmi, czy nie. I zapewniam cię, Vaa'ho, że w naszym regulaminie nie ma niczego o tym, że nie wolno od czasu do czasu wypić piwa ze słynnym biochemikiem. Niezależnie od tego, czy jest człowiekiem, czy nie.

Uśmiechnęła się, wypowiadając ostatnie słowa. Nie minęła się bynajmniej z prawdą, bowiem Vaa'ho był jednym z członków ekipy naukowej Galaktów. Z tego co wiedzieli, pracował wspólnie z ziemskimi uczonymi nad wieloma fascynującymi zagadnieniami w

znakomicie wyposażonych laboratoriach zarówno stacji orbitalnej, jak i samego Ares City.

Brian niespodziewanie przypomniał sobie o czymś. Sięgnął do kieszeni na piersi i wyciągnął z niej niewielką kasetkę. Podrzucił ją na dłoni i zgrabnie złapał, patrząc przy tym figlarnie na wysokiego Galakta.

– Mam coś dla ciebie. Możesz zgadywać dwa razy.

Fiołkowe oczy rozszerzyły się nieco. Galakt splótł razem wąskie, długie palce obu dłoni, co było nieomylną oznaką zaintrygowania.

– Film? – spytał z nutką radości w głosie, pochylając się do przodu. – Jedna z tych barbarzyńskich historii, które...

Zarówno Gwen, jak i Brian nie mogli powstrzymać się od śmiechu. No tak: oprócz piwa, potężni sprzymierzeńcy Ziemi wręcz uwielbiali stare, nawet dwuwymiarowe jeszcze ziemskie filmy. Z zapalem oglądali niemal wszystko, jak leci, od westernów po dramaty psychologiczne. Twierdzili, że dostarcza im to cennej dawki wiedzy o Ziemianach. Jednak co bardziej cyniczni ludzie skłaniali się ku pogładowi, że skostniałe i konserwatywne rasy galaktycznych hegemónów chwytają te naiwne niekiedy, pełne życia i akcji historie jako miłą i pożądaną odmianę od ich własnej, finezyjnej sztuki. Sztuki, która według wielu nosiła – tak jak jej twórcy – piętno dekadencji.

Brian potrząsnął głową.

– Masz jeszcze jedną szansę... – zrobił pauzę, widząc błagalne spojrzenie Vaa’ho. – No dobrze, niech ci będzie. Tu są sprawozdania i najnowsze opracowania dotyczące wykopalisk na płaskowyżu Cydonia, prosto od zespołu profesora Carradine. Wiedzieliśmy, że się tym interesujesz, więc podczas wizyty na Marsie odwiedziliśmy tamte okolice, a wdzięki Gwen sprawiły, że nie mieliśmy większych trudności...

– Yahoo...! – Tego akcentu nie powstydzilby się rodowity teksańczyk, pomyślał w osłupieniu Brian, słysząc radosny okrzyk Galakta. Skąd on to wziął, na litość boską?

No tak, przypomniał sobie po chwili.

Stare westerny.

Ziemia

Carol Finsen rozejrzała się po mostku i z pewną satysfakcją stwierdziła, iż ekipa dopingująca MacBride'a zebrała się w komplecie. Co prawda, musiała oddać sprawiedliwość zwolennikom Borysa Abramova, zgromadzonym równie licznie. Odruchowo poszukała wzrokiem dowódcy.

Admirał Malcolm Beresford stał niemal dokładnie pomiędzy obiema grupami, tuż obok stanowiska dowodzenia, cicho rozmawiając z Kathleen Hounsfield. Lekarka śmiała się właśnie, z wrodzonym wdziękiem odchylając głowę w tył swoim tak charakterystycznym gestem. Z tego też powodu jakiś czas temu zyskała wśród części załogi *Ramsesa* nowy przydomek – ET. Podobno przedstawiciele którejś z tych gwiazdnych ras śmiali się w nader podobny sposób...

No tak, Beresford zachowuje neutralność, zrozumiała. Nawet jeśli ma ochotę kibicować któremuś z pilotów, raczej nie może sobie na to pozwolić. Ten drugi czułby się pewnie urażony...

– Mamy połączenie z czułkami – zameldował w tym momencie Morris Duvall. – Sygnał silny, jesteśmy gotowi do odbioru przedstawienia.

Dowódca podziękował nawigatorowi skinieniem głowy i odwrócił się do pierwszego sonarzysty.

– Johnson?

Murzyn otworzył oczy.

– Tak, szefie?

– Pilnuj sonarów pasywnych. Możesz to potraktować jako ćwiczenia.

Gdy tylko admirał powrócił do zabawiania lekarki konwersacją, Johnson przewrócił oczami z wyrazem bólesci i niesmaku na twarzy. Carol ledwie stłumiła parsknięcie śmiechem. No tak, Beresford jak zwykle był sobą: nigdy nie pominął okazji, aby umożliwić członkom swojej załogi doskonalenie swoich umiejętności. A Johnson, swoją

drogą, powinien być wręcz wdzięczny za pewne urozmaicenie, bo podobnie jak inni członkowie załogi, w ostatnich dniach nie miał zbyt wiele do roboty. Taki jednak już był.

Mówiąc szczerze, Carol sama przed sobą skłonna była przyznać, że najprawdopodobniej załoga *Ramsesa* stanowiła jedną z najlepszych załóg okrętów podwodnych na świecie. Ktoś mógłby nazwać ich zbieraniną, i w pewnym sensie miałby nawet rację. Trafili przecież do służby we flocie Kolonii z najróżniejszych krajów i flot świata. Jedno ich jednak łączyło: w swoich specjalnościach byli jednymi z najlepszych fachowców.

Odnalazła wzrokiem Svena i posłała mu uśmiech. Drugi sonarzysta, tkwiący na swym stanowisku obok Johnsona, pochwycił jej wzrok i mrugnął do niej porozumiewawczo, pokazując w uśmiechu swoje równe, białe zęby.

No tak, Sven.

Byli sobie bliscy, to prawda. W tej chwili, gdy o tym myślała, miała wrażenie, że zakochała się w wysokim Szwedzie chyba od pierwszego wejrzenia, choć wcześniej nie sądziła, aby było to możliwe. Ich pech polegał na tym, iż zarówno Carol, jak i Kristensena cechowała wrodzona nieśmiałość i chęć nie rzucania się w oczy, toteż upłynęło trochę czasu, aż dla obojga stało się jasne, ile wzajemnie dla siebie znaczą.

Ona sama i Sven nie byli jedyną parą ludzi, których połączyła wspólna służba na pokładach *Ramsesa*. Sam dowódca i sztywny doktor Kathleen Hounsfield też najwyraźniej odnaleźli siebie w dość krótki czas po objęciu służby na pokładzie. I, co niesłychanie podobało się Carol, oboje w dalszym ciągu zachowywali się niczym świeżo zakochani. Te nieśmiałe uśmiechy i wymiana spojrzeń, ukradkowe trzymanie się za ręce... Wszystko to miało jakiś trącający staroświeczny urok.

Ktoś jeszcze...? No oczywiście, Toby MacBride i Yoshi!

A wszystko między nimi zaczęło się od tego, że drugi pilot uratował chłopakowi życie na środku oceanu. Teraz, prywatnie, Carol uważała, że obaj doskonale pasują do siebie i żałowała, że partnera drugiego pilota nie ma teraz z nimi. Yoshi miał jednak wejść w skład

kolejnej ekipy naukowej, która miała objąć w swoje władanie pokładowe laboratoria już za kilka tygodni. Czyli gdy tylko zespół profesora Fostera i doktor Ridgeley zakończy swoje prace nad pewną szczególną fauną głębokowodną.

Cichy gong oderwał ją od rozmyślań. To komputer dawał znak, iż przyjacielska rywalizacja obu pilotów właśnie się rozpoczęła. Wiedziała, iż w tym samym momencie potężny sonar dziobowy okrętu nadał sekwencję impulsów, która była sygnałem dla MacBride'a i Abramova.

Ziewnęła pomimo wielkiego zainteresowania tym, co działo się na mostku. Jakoś nie mogła ostatnio spać zbyt dobrze. Tej nocy po raz kolejny dręczyły ją koszmary. Miała w nich wrażenie, że zamknięta jest w ciemności, w jakimś ciasnym pomieszczeniu. Budziła się zlaną zimnym potem, dysząc ciężko i czując walące w jej piersi niczym młot kowalski serce. Co dziwne, dziś rano na siłowni Toby skarżył się na coś zadziwiająco podobnego. Może to dawała wreszcie znać o sobie psychosomatyczna reakcja organizmu na długotrwałe zamknięcie pod wodą? To też przecież swego rodzaju uwięzienie w odizolowanym od reszty świata pomieszczeniu...

Golf 2 Toby'ego MacBride'a z niewielką prędkością posuwał się nad dnem w kierunku południowo-zachodnim. Pilot jak na razie miał na celu jedynie oddalenie się od miejsca, w którym rozpoczął zawody. Nie miał jakiejś konkretnej strategii, określonego z góry pomysłu mającego mu pomóc w ponownym pokonaniu Borysa. Jak zwykle liczył na swą pomysłowość i umiejętność szybkiej oceny sytuacji, które to cechy tak często przydawały mu się podczas prawdziwych wacht za sterami *Ramsesa*. Miał jednak również i tę świadomość, iż starszy kolega był co najmniej równie dobry jak on, i tym razem kapryśne szczęście wcale nie musiało sprzyjać akurat właśnie jemu.

Co prawda, zaraz na samym początku wpadł na coś, co mogło mu umożliwić, a przynajmniej ułatwić namierzenie drugiego *Golfa*. Niemal pół mili za nim, na pozycji startu, pozostał pozorator nastawiony

na uaktywnienie po piętnastu minutach od chwili wystrzelenia. Nie uważał, że postępuje nie fair, bo przecież mieli dozwolone korzystanie ze wszystkich urządzeń pokładowych, jak podczas prawdziwej walki. Wyjątek stanowiły naturalnie prawdziwe, uzbrojone torpedy, które wykluczone były z oczywistych względów. Ale pozoratory...? Stanowiły zwykły element systemu obronnego łodzi.

Toby zerknął na zegarek. Mniej więcej za trzy minuty niewielki cylinder włączy swój cichutki, elektryczny napęd i zacznie emitować dźwięki imitujące pracę silników *Golfa* idącego z prędkością dziesięciu węzłów kilkadziesiąt metrów nad oceanicznym dnem. Przy odrobinie szczęścia odgłosy te zostaną wychwycone przez pasywne sonary łodzi Borysa. A jeśli owe szczęście znów uprze się pomagać drugiemu pilotowi, Abramov weźmie pozorator za łódź, na którą poluje. To mogło się udać... albo i nie. Tu nie było żadnych reguł.

No cóż, już niedługo się o tym przekonamy.

Wydał komputerowi odpowiednie polecenie i w chwilę później reflektory, których blask rozcinał ciemność przed niewielkim okrętem, zgasły. To wprawdzie nieco utrudni podwodną nawigację, jednak ten blask w prosty sposób mógł podsunąć rywalowi niczym na tacy jego własną pozycję. Teraz, po wyłączeniu reflektorów przydatnych w nawigacji przydennej, zdany był już tylko na sonary i laserowy mapping terenu. Ten ostatni jednak był skuteczny jedynie na niewielkie odległości, jako że pracował pod wodą, która skutecznie rozpraszała te długości fal elektromagnetycznych.

Zarysy dna ukazane były teraz nie jako wizualny obraz uzyskiwany z dziobowych kamer, ale poprzez modelowanie komputerowe z danych otrzymywanych właśnie z sonarów i mappingu. Wyglądało to trochę niczym krajobraz księżycowy skąpany w blasku jakiegoś upiornego, zielonkawego słońca.

Tym razem obszar, na którym obaj mogli się bez ograniczeń poruszać, rozszerzono w stosunku do dnia wczorajszego. Wtedy było to dwadzieścia pięć mil kwadratowych, jednak po powrocie na *Ramsesa* obaj piloci jednogłośnie stwierdzili, iż woleliby, aby następnym razem było to co najmniej trzydzieści sześć mil kwadratowych. Dowódca okazał się nadspodziewanie wspaniałomyślny i oddał im do

dyspozycji aż pięćdziesiąt mil kwadratowych. Miał przy tym minę godną starożytnego władcy, oddającego obszerne grunta we władanie jakiemuś wybitnie zasłużonemu poddanemu.

Dno w tym miejscu Pacyfiku istotnie było dość specyficznie ukształtowane. *Ramses* spoczywał na głębokości nieco ponad czterech tysięcy metrów, oddalony mniej więcej o tysiąc pięćset kilometrów na wschód od Wysp Marshalla. Od zachodu dno oceanu tworzyło jakby szeroką nieckę, której głębokość dochodziła do niemal sześciu i pół kilometra. Obszar przydzielony Abramowowi i MacBride'owi częściowo znajdował się na obszarze owej niecki. Dno wypiętrzało się tu w przedziwne formy, tworzące głębokie kaniony, liczne wzgórza i doliny, urwiska i szczyty skalne wznoszące się miejscami kilkaset metrów ponad poziom dna. Wszystko to sprawiało, że dla tak niewielkich jednostek, jakimi były łodzie desantowe okrętu Kolonii, było to wprost wymarzone miejsce dla tego rodzaju ćwiczeń. Pilotaż bez wspomagania kamerami stanowił jednakże w tych warunkach nie lada wyzwanie dla każdego pilota podwodnego w każdej flocie świata.

A raczej, dla każdego pilota we flocie UNE, poprawił sobie w myślach Toby. Trzeba będzie jeszcze trochę czasu, aby przestawić się na nowy sposób myślenia, z Ziemią jako konfederacją wielu państw.

Komputer pisnął cicho, dając znak, iż gdzieś z tyłu, na północnym wschodzie, holowana antena sonaru pasywnego wykryła źródło nowego sygnału. Bez pośpiechu sprawdził jego charakterystykę. Tak jak się spodziewał, sygnał wskazywał na *Golfę* poruszającego się z prędkością około dziesięciu węzłów na południe. Pozorator rozpoczął pracę zgodnie z programem.

Borys Abramov w zamyśleniu przygryzł wargi.

Nieobliczalność jest największym atutem tego gówniarza, pomyślał z sympatią o drugim pilocie. Ten chłopak nie stosował się do żadnych strategii i taktyk, jakie w danym momencie wydawałyby się najbardziej zasadne. Czasem, choćby podczas symulowanych komputerowo walk, wydawało się, że wyjście z sytuacji jest tylko jedno, naj-

bardziej logiczne i rzucające się w oczy. Toby MacBride jednak z reguły wymyślał coś całkiem nieoczekiwanego, co zdawałoby się nie miało większego sensu i powinno prowadzić do nieuniknionej katastrofy. I zazwyczaj jego dzikie pomysły jakimś szatańskim cudem zdawały egzamin.

Cholera, zdawałoby się, że osławiona angielska stateczność nie ma wiele wspólnego z tym nietypowym Brytyjczykiem.

Choćby teraz. Toby w momencie startu był oddalony od niego o kilka mil na północ, i powinien jak najprędzej opuścić miejsce startu. Tymczasem jednak wyglądało to tak, jakby pozostał tam przez kilkanaście minut, a teraz znienacka uruchomił silniki i płynął w jego stronę z prędkością zdradzającą jego pozycję niemal od razu. Mógł to być podstęp polegający na użyciu pozoratora, mający na celu wprowadzenie przeciwnika w dezorientację. Ale znając tego narwańca, on mógł płynąć tu rzeczywiście, mając nadzieję, że on pomyśli, że to właśnie pozorator...

Zaraz oszaleję.

Westchnął głęboko, wyłączył reflektory i powoli zaczął płynąć na spotkanie tajemniczego obiektu.

Toby kontynuował wielki łuk, który miał go doprowadzić w miejsce leżące mniej więcej w połowie pomiędzy ich startowymi pozycjami. Pogwizdywał cichutko pod nosem, mając pod ręką kubek z czarną, gorzką, gorącą kawą, którą nalał sobie przed chwilą z pokładowego ekspresu. Paczkę z kawą znalazł kilka minut temu na siedzeniu obok, i pewien był niemal, że maczała w tym palce Carol. To było do niej podobne. Teraz pewnie trzyma kciuki, siedząc na mostku u boku Svena. Taką miał przynajmniej nadzieję...

Tak upłynęło kilka minut. Pilot wprowadził *Golfa* w wąski kanion, który na ekranie mappingu wyglądał dość obiecująco; przynajmniej prowadził w dobrą stronę, czyli na wschód, a jednocześnie jego niemal pionowe ściany nie dopuszczały, by dźwięki

emitowane przez jego *Golfa* rozprzestrzeniały się na boki. Jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, może zająć łódź Abramova z boku.

Wtem, całkiem niespodziewanie, coś zaszurało gdzieś bardzo blisko z tyłu. Potem rozległ się wyraźny, metaliczny brzęk i coś z hurgotem potoczyło się po podłodze.

Omali nie doznał palpitacji serca. Ochłonął chwilę później, kiedy kątem oka dostrzegł czarny, ogoniasty kształt gramolący się z pojemnika na śmieci i zeskakujący na podłogę. Zaraz potem kształt popędził za pustą, niebieską puszką po pepsi, dalej toczącą się po płytkach okładziny.

– Chester, to nie fair – mruknął z wyrzutem. – Tak nie jest sprawiedliwie. Miałem obywać się bez żadnej pomocy, a tak jest nas dwoje na jednego. Co ty na to?

Zamiast odpowiedzi kotka zostawiła w spokoju puszkę i w dzikich susach dopadła fotela obok tego, na którym siedział pilot. Ostrożnie obwąchała paczkę z resztką kawy i nagłym pacnięciem łapy strąciła ją na podłogę. Po czym wreszcie ułożyła się wygodnie na siedzeniu i przymrużonymi oczami zaczęła wpatrywać się w holoekran mappingu terenu.

– Niech ci będzie – westchnął pilot, wracając do tablicy przyrządów. – Chociaż w dalszym ciągu nie mam najmniejszego pojęcia, jak tu w ogóle wlaźłaś. Wyjątkowo tym razem nie każę ci wysiadać natychmiast...

Podciągnął ster do siebie i *Golf* dosłownie o metry przeszedł nad urwiskiem, które pojawiło się niespodziewanie przed nimi. Równocześnie sonar zameldował o wykryciu nowego sygnału na północy. I znowu była to jednostka klasy *Golfa* poruszająca się z prędkością dziesięciu węzłów w jego kierunku. Czyli, najprawdopodobniej, znów namierzył swój własny pozorator. Ale jego nos mówił mu, że łódź pierwszego pilota jest gdzieś blisko. Bardzo blisko.

Zmniejszył moc silnika tak, aby jedynie zachować sterowność. Drobną korekta sterów głębokościowych spowodowała, że niewielki okręt począł unosić się w tempie kilku metrów na minutę. Teren pod nim, widoczny na ekranie, stopniowo rozmywał się w miarę, jak odległość od dna rosła.

Zamierzał na kilka przynajmniej minut oddalić się od szumów, jakie woda tworzyła w swych przydennych warstwach. W ten sposób uzyska czystszy sygnał, co może pomóc mu w wykryciu łodzi przeciwnika.

Wciąż nie wiedział, czy pierwszy pilot dał się nabrać na jego numer. A jeśli tak, to czy już minął jego pozycję, czy też płynął na tyle powoli, że wciąż był na południe od niego.

Borys zmarszczył brwi. Sygnał namierzany na północy był wciąż jednakowy, sugerował jednostkę poruszającą się z prędkością dziesięciu węzłów. Niemniej na jego ekranie sonaru pojawiło się coś jeszcze, co prawie zlewało się z pierwszym sygnałem.

Delikatne, niemal niesłyszalne trzaski wykrył komputer, a i to z największym trudem, po odfiltrowaniu odgłosów otoczenia. I ani komputer, ani sam pilot nie wiedział, co to może być. Być może jakieś zwierzę morskie, chociaż... mogły być to również efekty aktywności w skorupie ziemskiej. Nie dałby głowy, ale miał wrażenie, że nowy namiar znajduje się pomiędzy tym pierwszym a jego własną łodzią. Z drugiej strony, mógł to być też na przykład dźwięk wydawany przez rozszerzający się pod wpływem zmiany ciśnienia kadłub łodzi podwodnej...

Bingo!

Namiar powoli, ale wyraźnie wznosił się w górę i niemal niedostrzegalnie podążał na wschód.

– Mam cię – szepnął, a uśmiech szeroko rozlał mu się po twarzy.

Jego palec spoczął na czerwonym przycisku wyzwalającym skoncentrowaną, silną wiązkę z aktywnego sonaru dziobowego.

– Mam cię! – Toby odstawił kubek z kawą. Na ekranie jego sonaru pasywnego od kilku chwil widniała pionowa, zielona kreska. Niesłychanie słabo odróżniała się od szumów tła, oznaczała jednak

źródło mechanicznych szumów gdzieś na południe od niego. Bezruch linii świadczył o tym, iż źródło przybliżało lub oddalało się od niego w linii prostej. Moc sygnału jednak stale, choć niemal niedostrzegalnie rosła, zatem obca jednostka była coraz bliżej.

To też mógł być pozorator, wystrzelony przez Abramova, aby go zmylić i sprowokować do użycia aktywnego sonaru. Wtedy tamten miałby go jak na dłoni, podczas gdy on sam miałby wątpliwą satysfakcję, że "zestrzelił" urządzenie defensywne przeciwnika.

Nauczył się jednak ufać swojej intuicji, a tym razem z jakiegoś powodu był przekonany, że to jednak nie pozorator.

Oparł kciuk na dużym, czerwonym przycisku, odbezpieczył go i w chwilę później bez wahania nacisnął.

Dwie wiązki dźwięku przeszły przez siebie i po chwili odbicia każdej wróciły do okrętu, z którego zostały wysłane.

Chester wzdrygnęła się nerwowo i rozejrzała z zaniepokojeniem, gdy kadłub *Golfa* MacBride'a zadźwięczał głuchym echem od wiązki, która najwyraźniej trafiła go z bardzo bliskiej odległości.

Obaj piloci zastygli na moment w całkowitej konsternacji, po czym Toby wybuchnął serdecznym śmiechem. Abramov pokręcił głową i trzepnął się dłonią w kolano. Włączył "gertrudę".

– Jeden do jednego, draniu – rzucił w mikrofon. – Co ty na to?

– Jasne – dobiegł z głośnika wesoły głos drugiego pilota. – Wracam na nową pozycję startową.

Drugą rundę tym razem mieli zacząć rozstawieni na osi wschód-zachód.

Niestłuchanie czułe sonary wielkiego okrętu macierzystego nie miały specjalnych trudności z przechwyceniem rozmów na "gertrudzie", nawet z tak dużej odległości. A co dopiero mówić o wiązkach bojowych sonarów aktywnych.

Johnson zamarł na parę sekund ze swymi wielkimi słuchawkami na uszach, po czym odsłonił swe olśniewająco białe zęby, które w szerokim uśmiechu zabłyśły na jego czarnej twarzy. Odwrócił się w stronę zebranych na mostku.

– Mamy remis – ogłosił pierwszy werdykt. – Chyba się wcześniej umówili, bo to niemal niemożliwe, aby obaj strzelili w tym samym ułamku sekundy. A to skubańcy...!

– Mówili coś? – zainteresował się admirał.

– Niewiele. Teraz idą pełną mocą na nowe pozycje.

Carol odetchnęła z zadowoleniem. Ciekawe, dlaczego tak bardzo angażowała się emocjonalnie w ten sportowy pojedynek dwojga dobrych kolegów. Pewnie dlatego, że Toby MacBride faktycznie był jej bardzo bliski, na swój sposób oczywiście. Długie pogawędki podczas wspólnych ćwiczeń na siłowni sprawiły, że był chyba najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miała. Zwierzała mu się z najbardziej nawet osobistych uczuć, i nie miała z tego powodu żadnych wyrzutów sumienia. Sven bowiem w jakiś tajemniczy sposób zaakceptował to, wyczuwając widocznie tę nieuchwytną różnicę, jaka różni przyjaźń od miłości. Były po prostu pewne rzeczy, którymi za nic w świecie nie umiałyby się podzielić z Kristensenem, ten jednak rozumiał to, za co była mu głęboko wdzięczna.

Bezwiednie ściskając kciuki Carol miała nadzieję, że kawa smakowała pilotowi, a Chester, którą ukradkiem i z trudem przemyciła na pokład małej łodzi, choć trochę urozmaici mu te ćwiczenia.

Dwie i pół godziny później, przy stanie dwa do jednego dla pierwszego pilota, Toby MacBride czuł, że od jakiegoś czasu ich rywalizacja zaczyna przypominać zabawę w kotka i myszkę. Przy czym każdy z nich był zarówno kotkiem, jak i myszką.

Ukształtowanie dna sprawiało, że echa dźwiękowe, jakie udawało im się od czasu do czasu wychwycić, wyczyniały jakieś przedziwne harce. Niekiedy dawały podwójne odbicia, dobiegały nie z tej strony, z

której należałoby się ich spodziewać, i w ogóle wszystko toczyło się nie tak, jak powinno.

Od dłuższej chwili jego *Golf* tkwił przyczajony niemal na zachodnim skraju ich terenu działań. Toby miał nieodparte wrażenie, iż rywal próbuje podejść go właśnie tym skrajem, od południowej strony. Nie wiedział, czy tamten zdaje sobie sprawę z jego pozycji, ale znowu przeczuwał, że Abramov jest blisko.

Nie wiedzieć czemu, czuł się nieco dziwnie. Kilka razy zamrugał oczami, bowiem wzrok plątał mu dziwne figle: światelka na konsoli bojowej rozmyły się na moment w kolorową mgiełkę. W skroniach odczuwał jakby ucisk i delikatne, uporczywe pulsowanie, a na dodatek zaczynał mieć dziwnie klaustrofobiczne odczucia, jakby był zamknięty w ciasnej i zamkniętej przestrzeni. Na zdrowy rozum, tak przecież właśnie było, ale przecież na ciasnych pokładach łodzi typu *Golf* spędził już tyle czasu, że coś takiego nie miało wręcz prawa się dziać. Widocznie to вина przemęczenia i niedospania, pomyślał niemrawo. I wtedy uderzyła go dziwna zbieżność pomiędzy tym, co czuł w tej chwili, a jego męczącymi snami z tej i kilku przeszłych nocy. Coś w tym musi być, zwłaszcza że Carol uskarżała się na podobne doznania...

Męczące uczucie nagle się spotęgowało, w tej chwili było tak, jakby ktoś wlewał mu wręcz do głowy ciężkie, ciasne, purpurowe myśli o zamknięciu i beznadziejności. Odchylił głowę na zagłówek fotela i zamknął na moment oczy.

Gdy je otworzył, pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, była Chester stojąca na swoim fotelu w jakiejś przeraźliwie spiętej, czujnej pozycji, z ogonem nastroszonym do granic możliwości, parszająca i pofukująca gniewnie. Nagle zeskoczyła na podłogę i szybkim truchtem pobiegła do pustego pojemnika na śmieci; wlała tam i gniewnie mruczała w środku.

Coś wisiało w powietrzu.

MacBride z niejakiem trudem skupił wzrok na przyrządach, po czym ujął przepustnicę i pchnął ją do przodu, drugą ręką trzymając drążek sterowy.

Dłoń właściwie sama z siebie skierowała niewielki stateczek na zachód. *Golf* wyraźnie przyspieszył, wypryskując ze swego schronienia pomiędzy dwiema sterzącymi iglicami skalnymi na otwartą przestrzeń.

Co on wyprawia, u licha?!

Pierwszy pilot gorączkowo sprawdzał charakterystykę sygnału, który jego sonary odebrały przed kilkoma sekundami. Nie było sensu pytania o zdanie komputera; dźwięk silników *Golfa* był mu znany aż za dobrze. Pytanie tylko, czy to rzeczywiście łódź MacBride'a pędziła przed nim nad dnem, kierując się na zachód, czy też ponownie był to jedynie pozorator. Istniał jeden sposób, aby się o tym przekonać, jednak Borys Abramov nie miał jeszcze zamiaru użyć aktywnego sonaru, a przynajmniej aż do momentu, aż upewni się co do rzeczywistego źródła sygnału.

Niemal pewien był, że to pozorator, bowiem gdyby to sam Toby prowadził swą łódź w ten sposób, byłoby to absolutnie niecelowe. I to nawet biorąc pod uwagę jego niekonwencjonalne metody działania. Z drugiej strony, po licha miał w ten sposób programować pozorator?! No chyba że chodziło mu tylko o całkowicie bezinteresowne wprowadzenie pewnego zamieszania...

Tak upłynęło kilka dłużeńych się w nieskończoność minut. Tamten mknął przed siebie jak szalony, ciągle w tym samym kierunku, i w tej chwili wyciągał już dobre czterdzieści węzłów. Aha – jeśli tak, to z jego obu śrub powinny dobiegać wyraźne szумы kawitacyjne, oznaczające odrywanie się od nich milionów bąbelków gazu... Oczywiście jeśli jest to rzeczywiście okręt MacBride'a. Pozorator, ze swoją jedną śrubą, wyemituje znacznie różniący się od tamtego rodzaj dźwięków, nakładający się na to, co sam miał imitować.

Abramov polecił komputerowi odfiltrowanie pewnych grup dźwięków i skupienie się na innych. Wynik, jaki po kilku sekundach pojawił się na zielonkawym ekranie sonaru pasywnego, wprowadził go w osłupienie. Otrzymany sygnał wyraźnie wskazywał na kawitację z

dwóch śrub, bez nakładania się dźwięków z silnika pozoratora. Czyli, że obiekt pędzący w tej chwili już o dobre kilka mil poza granicami wyznaczonego im obszaru, to rzeczywiście *Golf* MacBride'a!

W dodatku oddalający się od tych granic.

Pierwszy pilot gorączkowo zaczął zastanawiać się nad przyczynami zachowania kolegi. Zaczynało to wyglądać coraz dziwniej; Toby'ego nie tłumaczyła nawet ewentualność jakiegoś wypadku na pokładzie, bo nie podążał w kierunku *Ramsesa*. Oddalał się gdzieś w przestrzeń, w bezmiar oceanu.

Zawahał się przez moment. Jeśli tamtemu rzeczywiście coś się stało, to najlepiej będzie popędzić zaraz za nim, próby nawiązania kontaktu pozostawiając komputerowi. Jeśli zaś to jakiś głupi wygłup, to już on porachuje się z nim osobiście na pokładzie macierzystego okrętu.

Toby ocknął się nagle, rozejrzał po kabinie i potrząsnął głową, starając się uświadomić, co się z nim dzieje. Nacisk, jaki coś do tej pory wywierało na jego umysł, znenacka ustąpił. Jednak to, co się działo przez ostatnie... odruchowo zerknął na zegarek. Rany boskie, niemal trzy kwadranse!

Dopiero teraz dotarło do niego, iż w dalszym ciągu silniki pracują pełną mocą, a prawa dłoń kurczowo ściska drążek sterowy. Pospieszenie zredukował moc niemal do minimum; *Golf* powoli zaczął zwalniać.

Jak do tego mogło dojść, do ciężkiej cholery?! Przecież to niemożliwe, aby zasnął za sterami pilotowanej jednostki i w dodatku przez sen wyczyniał takie dziwne rzeczy! Oddalił się poza wyznaczony obszar o niemal trzydzieści mil, a tego już tak łatwo nie da się wytłumaczyć ani Borysowi, a już na pewno nie Beresfordowi. Na *Ramsesie* bez wątpienia wiedzą już, co się stało...

Ciche, ciągle popiskiwanie uświadomiło mu, że ktoś usiłuje się z nim porozumieć przez "gertrudę". Sonary zlokalizowały też pędzącą za nim inną jednostkę. No tak, nikt inny, tylko Borys. Dłoń pilota za-

wisła nad konsolą łączności, jednak po chwili wahania cofnęła się i spoczęła na oparciu fotela. Zwlekał z nawiązaniem połączenia, gorączkowo myśląc, co też powinien powiedzieć.

Odruchowo włączył reflektory dziobowe, pomyślawszy smętnie, iż już nie musi się obawiać zlokalizowania. Kamery włączyły się automatycznie równocześnie z reflektorami. I tak szczęście, że w tym amoku nie wpakowałem się na cokolwiek, pędząc jak wariat – pomyślał samokrytycznie, patrząc w ekran.

Dno od dłuższego już czasu musiało schodzić w dół, ponieważ głębokościomierz pokazywał niemal pięć tysięcy metrów. Niech to, mało brakowało, a przekroczyłbym maksymalną głębokość przewidzianą dla *Golfa*, pomyślał z lekkim oszołomieniem.

Płynął wolno, czekając, aż dogoni go łódź Abramova. Coś jednak powstrzymywało go od tego, aby zastopować i zawrócić, choć to właśnie powinien był zrobić już ładnych parę chwil temu. Wreszcie, z ciężkim sercem, polecił komputerowi odebranie połączenia. Niemał natychmiast z głośnika dobiegł sygnał wywoławczy, co dowodziło, że próby nawiązania łączności były podejmowane nie przez człowieka, a przez SI drugiej jednostki. Chwilę później dał się słyszeć zaniepokojony głos pierwszego pilota.

– Toby, słyszysz mnie? Odezwij się, na miłość boską!

– Jestem, zgłaszam się – mruknął MacBride. – Słyszę cię dobrze, Borys.

– Co ci się stało, człowieku?! Dokąd tak pędziłeś?!

Toby już miał otworzyć usta, aby udzielić jakiejś – jakiegokolwiek, w gruncie rzeczy, odpowiedzi, gdy nagle stracił bez mała głos.

Wciąż patrzył w przedni ekran, na którym widniał obraz z kamer. I nagle, na jego oczach, pusta jak okiem sięgnąć przestrzeń przed jego *Golfem* jakby się zwinęła, załamała, poczuł chwilowy zawrót głowy... Zaś potem dosłownie z nicości wyłoniła się i ukazała jego oczom niebosiężnie wysoka, rozciągająca się jak okiem sięgnąć w obie strony, gładka kamienna powierzchnia, której fragment oświeślały reflektory jego jednostki.

Przestawienie silników na pełny ciąg wsteczny było odruchem, który zadziałał wyłącznie dzięki niezliczonym godzinom ćwiczeń.

Golf gwałtownie zwolnił, a gdy prędkość spadła do zera, silniki stanęły. Z głośników ponownie dobiegały nawoływania zaniepokojonego kolegi.

Z trudem zdobył się na otworzenie ust i wypowiedzenie kilku słów, nie odrywając wzroku od tego, co widział na ekranie.

– Borys, masz mnie na sonarze?

– No, nareszcie. Co, na sonarze...? Hmm, zniknąłeś z pasywnego. Wyłączyłeś silniki?

– Tak. A co na aktywnym?

– Powiedz wreszcie, Toby, o co ci właściwie chodzi?

– Proszę cię, sprawdź, czy masz echo mojego *Golfa* na sonarze aktywnym.

Kilkanaście sekund później kadłub okrętu MacBride'a zadzwieczał, gdy trafiła go wiązka energii dźwiękowej z bliźniaczej jednostki.

– Nie mam echa – usłyszał wreszcie stropiony głos pierwszego pilota. – Co ty u licha wyprawiasz? I włącz reflektory, bo według moich ostatnich namiarów, zatrzymałeś się w odległości półtorej mili ode mnie. Teraz jestem znacznie bliżej i powinienem już widzieć światła twoich lamp.

– Nie widzisz ich?

– Zobaczę, jak je zapalisz.

Przygryzł wargi niemal do krwi. Przecież miał zapalone światła, na litość boską!

– Borys, proszę, zrób, co teraz powiem. Po pierwsze zwolnij, do maksimum pięciu, sześciu węzłów. – Toby odetchnął głęboko i zamknął na moment oczy. Może oszalał? Ale w tym wypadku czy byłby w stanie myśleć tak logicznie...?

– A po drugie, zgaś teraz swoje światła i postaraj się dojrzeć moje. Są zapalone.

Pierwszy pilot milczał chwilę.

– Okay, zwolniłem – mruknął wreszcie. – I za cholerę nie widzę twoich światel. Jesteś całkiem pewien, że masz je włączone?

On też podejrzewa, że nie czuję się zbyt dobrze, zrozumiał drugi pilot. I co najgorsze może mieć rację. Najpierw te dziwne halucynacje

jeszcze tam, w strefie ćwiczeń, potem ta niekontrolowana ucieczka, a teraz TO...

Widok trwał na ekranie bez najmniejszych zmian. A drugi pilot MacBride nagle poczuł, jak ramiona pokrywają mu się gęsią skórą.

Ta pionowa ściana była jakaś dziwna. Jakaś... obca. Jakby nie należała do tego świata. Jakby dotrwała do naszych czasów od Bóg wie kiedy.

Milczał dalej, gdy z głośników dobiegł jakiś nieartykułowany odgłos. Potem słychać było tylko wyraźnie przyspieszony oddech Abramova. Drugi pilot czekał cierpliwie.

– Toby...? – dał się w końcu słyszeć niepewny głos Borysa.

– Jestem.

– Widzę twojego *Golfa* – powiedział tamten po chwili przerwy. – I widzę coś jeszcze...

Po kolejnych kilku sekundach Toby postanowił mu pomóc.

– Czy to coś jest wygląda jak wielka, kamienna wieża?

– Mniej więcej.

– Miło mi to słyszeć...

Z melancholijnym zadowoleniem pomyślał, że skoro obaj widzą to samo, to w takim razie najprawdopodobniej jest zdrowy.

Chyba, że w okolicy grasuje jakaś wyjątkowo zjadliwa epidemia.

Kosmos

Sheena jęknęła przez sen i przewróciła się na drugi bok. Jej ciało wykonywało drobne, nieskoordynowane ruchy, jednak nie było przy niej nikogo, kto pomógłby jej uwolnić się jej od nocnego koszmaru.

Otoczała ją ciemność. Wokół niej tkwiła niewidzialna bariera, której istnienia była w jakiś sposób świadoma. Której w zasadzie nie dało się dotknąć, ale która bardzo skutecznie uniemożliwiała jej wyrwanie się z miejsca, w którym ją... uwięziono.

Bo to było więzienie. Teraz już to wiedziała, tak jak i to, że tkwiła w tym zamknięciu od bardzo dawna.

Jakaś część jej umysłu pogrążona była w ciemnej, mrocznej fali rozpacz i poczucia beznadziejności. Jakaś inna część w jakiś sposób zdawała się jednak ożywiona czymś, co właśnie się stało... przypominało to w jakiś sposób uczucia więźnia, któremu właśnie udało się odwalić kamienną płytę z podłogi celi i zaczął drążyć podkop łyżeczką do herbaty. Mając jednak świadomość, że podkop może się w każdej chwili zawalić.

Jeszcze inna część zajęta była chłodnym analizowaniem i nie poddawała się ani rozpacz, ani nadziei; raczej zajęta była wynajdowaniem sposobów zapełnienia wolnego czasu.

Są sny, które absorbują podświadomość bez reszty, są też i takie, w których świadomi jesteśmy, że śnimy. Sheenę bez reszty wciągnęła pokrecona treść jej koszmaru.

Jęknęła ponownie, reagując na nową falę klaustrofobicznych, dusznych treści, które wdarły się do jej umysłu, a które jej podświadomość sprawnie przetworzyła w kolejne obrazy. Jednak wszystko musi mieć swoje granice, a każdy organizm dysponuje pewnymi mechanizmami obronnymi, przygotowanymi nawet na tak, zdawałoby się, prozaiczne okazje, jak zły sen.

Poderwała się nagle na koi, doszczętnie zaplątana w przepocone prześcieradła, dysząc ciężko. Dłoń przycisnęła do piersi, w której czuła walące głośno serce.

– Kabina, światło – wychrypiąła nieswoim głosem. W odpowiedzi niezbyt jaskrawa poświata rozjaśniła wnętrze niewielkiego pomieszczenia załogowego, typowego dla *Blue One*.

Wciąż siedząc na łóżku, sięgnęła po plastikową butelkę z wodą mineralną, która stała na szafce nocnej. Wypiła łączywie kilka łyków, usiłując w spokoju przypomnieć sobie ten dziwny sen. Był on w jakiś sposób... nienaturalny. Tak, to było chyba właściwe słowo.

Odstawiła butelkę na miejsce i spojrzała w lustro, zajmujące całe drzwi do ściennej szafy. Ujrzała bladą, pociągłą twarz o regularnych rysach, okoloną ciemnymi, nieco w tej chwili rozwichrzonymi, lekko kręconymi włosami sięgającymi do ramion. Twarz była wyraźnie spięta.

Potrząsnęła głową, usiłując dojść do siebie. Przelotnie zahaczyła wzrokiem o swój kombinezon UNSF, rozwieszony na drugim, uchylonym skrzydle lustrzanych drzwi. Emblemat na lewej piersi, z trzema koncentrycznymi okręgami i dwiema gwiazdkami, migotał lekko w świetle podsufitowej lampki. Nagle zamarła, wpatrując się w emblemat.

Czy to możliwe, aby ten sen spowodowało coś z zewnątrz...? Jakiś czynnik pochodzący albo od innego człowieka, albo też od kogoś z Galaktów obdarzonego zdolnościami ESP? Było ich przecież kilku na Ganimesesie...

Zastanowiła ją jednak treść koszmaru; wyraźnie przewijał się w niej motyw uwięzienia, bezsilności... Zaś o ile jej wiadomo, ani na Ganimesesie, ani nawet w całym Układzie Słonecznym nie było telepaty, który przebywałby w przymusowym odosobnieniu. Równocześnie jednak wyczuwała, iż umysł ten, choć dysponujący najwyraźniej potężną siłą ESP, był zarazem przejmująco bezradny, zagubiony i... dobry.

Nie zastanawiała się dłużej. Zgasiła światło i położyła się wygodnie, przyjmując pozycję, jakiej nauczyła się podczas treningów ESP, a która ułatwiała koncentrację. Na testach uzyskała przecież niemal maksymalne noty, jeśli chodziło o zdolność empatii czy odbierania przekazów ESP. A także nadawania, jednak z jakichś powodów zdolności aktywnej telepatii w jej przypadku nie udało się zaktywizować. Specjaliści co prawda zgodnie stwierdzili, że jest to możliwe, jednak z zastrzeżeniem, iż potrzebny jest jej odpowiednio silny psychiczny bodziec. Taki, który będzie motywacją dla jej podświadomości do uruchomienia tych zdolności.

Trening, jaki Sheena przeszła, był zaskakująco krótki, trwał bowiem zaledwie kilkanaście dni. Czas ten zleciał dosłownie jak z bicia trzasnął, choć musiała przyznać, że chwile spędzone na indywidualnych sesjach z legendarną Elszą Langerfeld na zawsze pozostaną w jej pamięci. Jej spójna, czysta, potężna aura była czymś wręcz niesamowitym; jej własna nawet w drobnej części nie była tak silna i uporządkowana.

Sheena, pomimo uzyskania pozytywnych, a prawdę mówiąc zaskakująco dobrych wyników testów, w dalszym ciągu zamierzała prowadzić jak najbardziej normalne życie... przynajmniej przez najbliższe dwa lata, które miała spędzić na Ganimedesie. Teraz jednakże, po raz pierwszy od czasu wstępnych testów i treningów, miała posłużyć się swoimi umiejętnościami.

Godzinę później pewna była, że źródło niezwykłego przekazu znajdowało się niesłychanie daleko od Jowisza. Gdzie jednak, nie mogła już w żaden sposób określić. Metoda nie była zbyt dokładna. Może gdyby była pełną telepatką...

Rezultat wprawił ją zarazem w zdumienie. Jakże wielka musiała być moc przekazu, skoro dotarł aż tutaj... najwyraźniej ludzkość musi się jeszcze sporo nauczyć, jeśli chodzi o te sprawy.

Oczy jej się kleiły, gdy porzuciła wreszcie dalsze, jałowe wysiłki i rozważania. Czuła się rozbita i wypompowana; nic dziwnego, gdyż wydatkowanie energii ESP było zajęciem szalenie wyczerpującym. Niezależnie jednak od tego, kto cierpi tam, daleko, ona tutaj nie mogła zrobić absolutnie nic.

Otoczyła swój umysł dość prymitywną, lecz skuteczną osłoną ESP, po czym zapadła w sen.

Ziemia

Elsa Langerfeld nie spała.

Leżała na swoim staroświeckim łóżku o twardym materacu, i choć oczy miała zamknięte, to jej umysł pracował na najwyższych obrotach. Świadomie odsunęła od siebie wszystkie dźwięki, dochodzące do jej pokoju spoza okien z zasuniętymi szczelnie storami. Teraz bez przeszkód mogła porozmyślać nad tym niezwykłym przekazem, jaki dotarł do niej dosłownie kilkanaście minut temu, i skończył się równie nagle, jak się zaczął.

Miała świadomość, iż najprawdopodobniej jest najpotężniejszym aktywnym telepatą na Ziemi. I wiedziała też, iż ludzi takich jak ona

było w całym Układzie Słonecznym naprawdę niewielu. Przeważająca większość Ziemian miała słabiutkie, ledwo iskrzące się aury. Empaci prezentowali się niewiele tylko lepiej. Potencjał ESP pasywnych telepatów był już dużo lepiej zauważalny, zaś dopiero ona sama i jej podobni...

Westchnęła ciężko. Jaka szkoda, iż zdolności parapsychiczne doczekały się oficjalnego uznania dopiero teraz, gdy potwierdzenie ich istnienia przyszło z gwiazd. Była to w pewnym sensie jej osobista strata, bo ile dobrego mogła zrobić dla ludzi przez całe swoje życie... choć i tak starała się, jak tylko mogła. Uważała swoją niezwykłą moc za dar otrzymany od Boga, i wierzyła, że powinna go wykorzystywać dla dobra innych ludzi. Teraz jednak dochodziła już powoli do kresu swej wędrówki, nie było się co oszukiwać. Miała niemal dziewięćdziesiąt lat i niewiele jej już zostało życia.

Trwała w skupieniu.

Miejsce, będące źródłem niezwykłych emanacji, z pewnością nie znajdowało się blisko, tego była pewna. Jednak równie pewna była, iż nie było ono odległe bardziej niż o kilka tysięcy kilometrów w linii prostej od niej. A więc najprawdopodobniej jeszcze na Ziemi...

Źródłem tym nie był także umysł żadnego człowieka. Znała wszak charakterystykę ludzkich fal ESP niemal jak własną kieszeń; i nie był to również umysł żadnego z przybyszów z Rah. To było coś nieporównanie bardziej głębokiego, złożonego i odwiecznego. Jednakże – pomimo swojego niewiarygodnego wręcz stopnia skomplikowania – umysł ten był zarazem w cudowny sposób uporządkowany. Już ten krótki błysk sprawił, iż dosłownie poczuła łzy w oczach.

I wiedziała też, iż nie ona była adresatem owego przekazu.

Odchyliła cienkie, delikatne prześcieradło i powoli, ostrożnie wstała z łóżka. W pokoju nie było całkiem ciemno, ciężkie story wiszące na oknach przepuszczały dość światła, aby mogła się poruszać swobodnie po sypialni. Wsunęła nogi w ciepłe kapcie i wolnym krokiem doszła do okna.

Stora odjechała z szumem w bok, a Elsa Langerfeld zapatrzyła się na nocną panoramę Paryża, widoczną z trzeciego piętra jej kamienicy przy ekskluzywnej rue Saint Antoine. Nieco z boku widniała wieża ra-

tusza, dobrze widoczna na tle łuny bijącej od światła miasta. Jeszcze dalej – wieża świętego Jakuba i pokryte pierwszym śniegiem dachy innych budynków. Na wprost, pomiędzy domami i ciemnymi plamami drzew, mogła dojrzeć światła odbijające się w rozwidlającej się w tym miejscu Sekwanie, której czarne fale błyszczały w tym świetle niczym zastygła smoła. Spojrzała wyżej i napotkała wzrokiem pojedynczą wieżę katedry Notre-Dame, a nieco dalej – kolejne wieże kilku następnych kościołów.

Było na tyle późno, iż ucichł nawet zwykły zgiełk i harmider przy mieszczącym się kawałek dalej przy tej ulicy starym Hotel de Sully. Ileż to razy zatrzymywała się tam, w czasach gdy Paryż był dla niej jedynie kolejnym przystankiem w kolejnej podróży po świecie! Zawsze jednak uwzględniała to miasto przy planowaniu swojej marszruty, a Hotel de Sully i rue Saint Antoine na stałe zajęły miejsce w jej pamięci. I, koniec końców, miała tu swoje, naprawdę swoje miejsce. Nieważne, na jak długo jeszcze.

Pokiwała do siebie siwą głową i powolutku poszła do kuchni. Filizanka gorącego mleka powinna dobrze jej zrobić w taką noc, jak ta. Może z odrobiną kakao. Potem weźmie książkę i poczyta. Nadszedł bowiem czas oczekiwania, aż – może dziś, może za kilka dni – odezwie się telefon.

Bo że się odezwie, tego była pewna.

Kosmos

– Boję się, że dłużej tu nie wytrzymam – mówiła cicho Sheena, siedząc przed monitorem z głową opartą na dłoniach. – Jak długo mogę sobie wmawiać, że wszystko układa się zupełnie normalnie?

– Naprawdę jest tak okropnie? – spytała ostrożnie dziewczyna o rudych włosach, patrząc na nią z ekranu. – Nie załamuj się tak od razu, to nie ma sensu...

– Jakże od razu? Wytrzymuję to tak długo, że na dobrą sprawę powinienam już pakować walizki i wsiadać na pierwszy wahadłowiec w

kierunku Ziemi czy Marsa! Cholera mnie weźmie, bo czy ja jestem trędowata?! Albo może tak brzydka, że nikt nie chce ze mną nawet dłużej porozmawiać w obawie przed koszmarami nocnymi...?!

– Nie jesteś brzydka, i sama o tym dobrze wiesz – w tonie Goyi zabrzmiała jakaś dziwna nuta. – Mówiąc szczerze, sama chciałabym wyglądać tak, jak ty. Już dawno miałam ci to powiedzieć...

– Nie pocieszaj mnie.

– Nie muszę. Masz lustro, możesz z niego skorzystać. Ale zaraz, czy oni utrudniają ci pracę?

– Nie – odparła Sheena z furią swojej najlepszej przyjaciółce. – Tego nie mogę powiedzieć. Ale moje kontakty z resztą załogi ograniczają się jedynie do pracy. I tematów z nią związanych. Potem – szlaban, koniec rozmów. Żadnego zaproszenia na jakąś imprezę. W jadalni siedzę sama, i to codziennie, nikt się do mnie nie przysiadzie...

– Może ty się przysiądziesz do kogoś?

– Próbowałam. Wówczas do końca posiłku wszyscy milczą i panuje atmosfera bardzo pogrzebowa. A ja nie lubię stypy.

– Mało kto lubi – zgodziła się Goya z roztargnieniem. – Mój Boże, to coś ty im zrobiła?

Sheena w tym momencie żałowała, że z najbliższą przyjaciółką może porozmawiać tylko od czasu do czasu. Nie wypadało bezustannie zajmować jednego z kanałów łączności z Ziemią...

– Szkoda, że cię tu nie ma – westchnęła trochę nie na temat. – Mam wrażenie, że nic im nie robiłam. Moja poprzedniczka na tym stanowisku, jeszcze na Ziemi, mówiła mi że załoga jest na poziomie. Ludzie towarzyscy, i z pewnością nie będę się nudziła. A tu proszę... No niby jest siłownia, kino, salony gier wirtualnych, a nawet pasaż handlowy, ale przez te trzy tygodnie poznałam to już na wylot! W dodatku całkiem sama! Z początku próbowałam nawiązać jakieś kontakty, wiesz zresztą najlepiej, że nigdy nie miałam żadnych trudności w tej dziedzinie. Ale nawet moja zmienniczka, Helen Peters, potraktowała mnie tak, że przeszła mi ochota na więcej.

– Spod jakiego znaku zodiaku jesteś?

– Co? – zdziwiła się Sheena. – Spod Bliźniąt, a o co ci chodzi?

– Bliźnięta lubią zmiany i podróże...

– Co to ma do rzeczy? No, w zasadzie to jeśli chodzi o podróżę, pobiłam chyba tym razem rekord. Tu masz rację. Do tej pory jeszcze nie mogę uwierzyć w to, gdzie jestem. Dopiero gdy znajdę się na platformie widokowej i patrzę na tę olbrzymią tarczę Jowisza, dociera do mnie, że jestem tutaj naprawdę. To znaczy, oczywiście o ile daje się coś dostrzec w tych krótkich chwilach, gdy akurat nie szaleje żadna z tych przeklętych burz...

Milczały przez chwilę.

– Wiesz, a jednak ci trochę zazdroszczę – mruknęła w końcu Goya, dmuchnięciem odsuwając z oka kosmyk rudych włosów. – Bez względu na to, czy mieliby mnie tam lubić czy nie, chciałabym odwiedzić Ganimedesa, choćby na parę dni.

– Zamień się ze mną – zaproponowała ponuro Sheena. – Bo ja nawet na facetów nie mogę tu liczyć...

– A właśnie! – ożywiła się Goya niespodziewanie. – Mów, jak tam z facetami?

– Gdyby spotkało mnie coś interesującego, nie narzekałabym w tej chwili, nie uważasz?

– Nie ma nikogo wartego uwagi? No, chyba przesadzasz...

– A czy ja mówię, że nie ma? Jeden, prawdę mówiąc, podoba mi się nawet bardzo. Ale po pierwsze też traktuje mnie jak coś z lekka obrzydliwego, co mogłoby sobie jak najprędzej pójść...

– A po drugie?

– A po drugie, on jest już zajęty.

– Kim on jest?

– Archeologiem. Jak większość członków tutejszej ekipy naukowej. Żeby było śmieszniej, jego partnerka puszcza się na prawo i lewo, ale on albo tego nie widzi, albo jest mu to obojętne.

– Nieciekawie – przyznała Goya z pewnymi oporami. – Możesz jednak próbować...

– Pewnie że będę. Ale mam wrażenie, że już większe szanse miałabym u tego starożytnego nieboszczyka...

Goya sięgnęła gdzieś poza pole widzenia kamery, i po chwili uniosła do ust puszkę z colą.

– Od tego nieboszczyka wszystko się zaczęło, zdaje się?

– Zgadza się. Ciebie to interesuje?

Goya Beckett była informatykiem w jednej z kalifornijskich firm zajmujących się doradztwem finansowym, i do tej pory jakoś nie wykazywała zaciekawienia tym tematem.

– Oglądałam lądowanie ekipy *Jupitera* na Ganimedesie, przed pięcioma laty – wyznała niespodziewanie. – Przyznam ci się, że nie opuściłam żadnej z transmisji. I wiesz, miałam gęsią skórę gdy dotarła od nich wiadomość o odnalezieniu tej zasypanej śniegiem bazy. A potem, gdy znaleźli zwłoki tego kosmity... Ile ta baza ma właściwie lat? Naprawdę tak wiele, jak mówią?

– Dwa miliony lat – mówiąc to, Sheena poczuła dumę, zupełnie jakby to ona osobiście odkryła pod lodami satelity zlodowaciałe artefakty. – Tyle samo, co te zamrożone zwłoki. Wszystko zachowane w niemal idealnym stanie. Ale wzięwszy pod uwagę tutejsze temperatury, nic w tym dziwnego.

– Mój Boże – Goya wydawała się nieco wytrącona z równowagi. Zawsze miała barwną wyobraźnię. – Pomyśleć, że ktoś był w Układzie Słonecznym, jeszcze zanim pojawili się ludzie na Ziemi... Bo jeszcze się nie pojawili?

– Mniej więcej w tamtym czasie praludzie buszowali po Afryce Centralnej – poinformowała ją Sheena. – Podśлуchałam to od archeologów. Nie zapominaj jednak, że ten zamrożony przyjemniaczek jest właśnie człowiekiem, jeśli wziąć pod uwagę anatomię.

– Widziałas go...?!

– No coś ty. *Jupiter* zabrał go na Ziemię pięć lat temu. Ale jak wyjaśnić to, że ludzi jeszcze nie było, a ten tutaj niczym – dosłownie niczym – nie różni się od przeciętnego współczesnego człowieka?

– Nie wiem, nie jestem archeologiem. Ani antropologiem. – Milczała chwilę. – Wiesz, przeraża mnie to wszystko. No, to że Galaktyka już była zamieszkała, gdy ludzi w ogóle jeszcze nie było... że niektóre z kultur galaktycznych liczą sobie setki tysięcy lat... myślałaś czasem o tym?

– Aż za często – westchnęła Sheena. – Wiesz, przyszło mi do głowy, że niechęć do nas niektórych sojuszy i klanów można by właśnie tym wyjaśnić...

Goya patrzyła na nią ze zmarszczonymi brwiami.

– Chodzi ci o tego denata?

Sheena kiwnęła głową.

– On liczy sobie dwa miliony lat, nie? A ponoć mniej więcej wtedy Przedwieczni tworzyli Wspólnotę Galaktyczną... Może on ma z nimi jakiś związek?

– Wierzysz w Przedwiecznych? Że w ogóle istnieli?

– Cała Galaktyka wierzy – mruknęła. – Pozostawili po sobie coś niecoś, w całej niemal Drodze Mlecznej. Istnieli naprawdę, to nie ulega wątpliwości.

– Aha, i sądzisz, że podobieństwo tego nieboszczyka do ludzi stało się kością w gardle co poniektórym?

– Czemu nie? Rozmawiałam trochę z tymi paroma Galaktami, którzy pracują w *Blue One*. Niektórzy też tak myślą.

– Nic nie mówiłaś, że są tam Galaktowie! – zainteresowała się Goya, pochylając się z wrażenia w stronę kamery. – Jacy?

– Różni. Najwięcej jest Dayoou... tacy sympatyczni, szalenie podobni do kotów. No, dużych kotów.

– Wiem, poznałam jednego. Był u nas w firmie jako konsultant. A oprócz Dayoou?

– Paru Pth'ling, i kilku Khree'ro. I tylko do tych ostatnich nie mogę się jakoś przyzwyczaić. Jakoś za bardzo kojarzą mi się z jaszczurkami. Patrzą tak nieruchomo tymi swoimi gadzimi oczami... poza tym mają łuski, i mogą zmieniać barwę ciała. Nie przypomina ci to kameleonów?

– Zawsze lubiłam jaszczurki – powiedziała Goya ostrożnie.

– Ja nie – rzekła Sheena zdecydowanie. – Kiedyś gonił mnie krokodyl. W Egipcie.

– Na serio?!

– Nie, żartował sobie. Pewnie że na serio. Wcześniej nawet nie miałam pojęcia, że krokodyl może biegać! I to tak szybko! Myślałam, że one żrą tylko w wodzie... a ten? Zeżarłby mnie, gdyby nie jakiś wieśniak.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś!

– Stara historia – Sheena nerwowo spojrzała na zegarek. – Wiesz co, będę musiała kończyć. Za kilkanaście minut zaczyna się moja zmiana. Boże, jaka jestem niewyspana...

Ziemia

Kawa była mocna i gorąca, czyli taka, jaką Kathleen Hounsfield lubiła najbardziej. Prawdopodobnie jednak smakowałaby jej każda kawa, niezależnie od jej jakości, byleby tylko była ona przyrządzona przez admirała Malcolma Beresforda.

Codzienna filiżanka kawy wypita wspólnie w apartamencie admirała stała się ich rytuałem już kilka lat temu, niedługo po tym, jak oboje rozpoczęli służbę na *Ramsesie*. I choć – w porównaniu do tamtych czasów – spędzali ze sobą więcej czasu każdego niemal dnia, rytuału tego przestrzegali skrupulatnie. Stał się czymś wręcz obowiązkowym, i w tym czasie, wolnym od dodatkowych zajęć, mogli spokojnie nacieszyć się swoją obecnością.

Był to również najlepszy czas na wspólne rozmowy. Najczęściej nie dotyczyły one spraw dużej wagi; wręcz przeciwnie, starali się, aby nie absorbowało ich nic istotnego. Niekiedy jednak sytuacja zmuszała ich do odbycia swego rodzaju narady wojennej – gdy tylko wydarzyło się coś na tyle istotnego, aby usprawiedliwić takie naruszenie ich zwyczaju.

Tak było i tym razem. Zaledwie wczoraj odbyła się druga runda przyjacielskiego pojedynku pomiędzy dwoma pilotami, zakończona w tak nagły i niespodziewany sposób. Gdy tylko obaj powrócili na macierzysty okręt, wahali się jakby przed opowiedzeniem szczegółów tego, co ich spotkało tam, w głębinach. Dopiero Beresford, rozmawiając z nimi na osobności, przypomniał im, iż obecni na mostku *Ramsesa* byli świadkami pogoni pierwszego pilota za Tobym MacBridem, oczekuje zatem na wyjaśnienia. Jeśli nawet były to wygłupy, nie wyciągnie konsekwencji; zawody nie były przecież elementem jakichś oficjalnych ćwiczeń o ustalonym programie.

To sprawiło, że obu pilotom rozwiązały się nieco języki, jednak wyjaśnienia, jakie potem nastąpiły, sprawiły, iż dowódca zmarszczył brwi i kazał powtórzyć wszystko jeszcze raz, powoli i bardzo dokładnie.

– Budowla z kamienia? – mruknął wreszcie, kręcąc z powątpiewaniem głową. – Jesteście pewni? Może to po prostu masyw skalny o tak regularnym kształcie?

Obaj piloci spojrzeli na siebie. MacBride uniósł do góry brwi w geście rezygnacji. Abramov jednak trwał przy swoim.

– Masyw skalny, który niespodziewanie wyłania się z nicości? – spytał krótko, ale uprzejmie. – Niech pan wybaczy, szefie, ale widziałem to na własne oczy, i nie mam najmniejszych wątpliwości. To nie zostało stworzone przez naturę.

– Nie mówię, że wam nie wierzę, ale sami musicie przyznać, że brzmi to cokolwiek niezwykle.

– Owszem, brzmi to niezwykle i zgadzam się z panem, niemniej jednak...

– Niech pan każe wysłać tam automatyczny próbnik – przerwał mu Toby zmęczonym głosem. – Z kamerą i reflektorami. To powinno rozwiązać wszelkie pańskie wątpliwości. Ze swojej strony jednak gotów jestem poddać się badaniom lekarskim u doktor Hounsfield. Na wypadek, gdyby to, co tam widziałem, miało być halucynacją. Przyznaję, że zanim ujrzelśmy to, co ujrzelśmy, miałem pewne niezwykle sensacje. Zresztą, gdyby nie one, nie dotarłbym nawet w tamtą okolicę.

Beresford był bardzo zadowolony, że sam drugi pilot wystąpił z propozycją badań, bo sam zamierzał mu to w jakiś sposób zasugerować. Niewątpliwie zaś czułby się w takiej sytuacji nieco niezręcznie. Słowa MacBride'a przyjął więc z pewną wdzięcznością.

Skinął powoli głową.

– Oba wnioski przyjęte – zdecydował. – Jutro wyślemy tam sondę, a jeszcze dziś zgłosicie się w gabinecie lekarskim, na wszelki wypadek obaj. Wpadnę tam później, chcę zobaczyć, co Kathleen będzie miała do powiedzenia.

Lekarka wykonała każdemu z pilotów standardowy zestaw badań, i z własnej inicjatywy rozszerzyła jeszcze ich zakres o tomografię

komputerową, elektroencefalogram i kilka innych specjalistycznych testów. Otrzymane wyniki były w całkowitej normie.

Badania krwi i moczu były w porządku. EKG, ENG, poziom hormonów i dziesiątki innych testów wypadły pomyślnie, tomografia nie wykazała absolutnie żadnych zmian organicznych. Testy psychologiczne, które na wszelki wypadek przeprowadziła jako uzupełnienie na podstawie własnej specjalizacji, nie wykazywały jakichkolwiek odchyleń od normy. Wreszcie zabrała się do interpretacji zapisów fal czynnościowych mózgów obu pilotów. Zapis Abramova w najmniejszym stopniu nie wykazywał cech patologicznych, i odłożyła go na bok z westchnieniem frustracji.

Przy zapisie MacBride'a, przewracając kolejną stronę wydruku z komputera, zastygła nagle w bezruchu. Długą chwilę wpatrywała się z pewnym niedowierzaniem w dziesiątki pofalowanych linii, dla laika nie różniących się niczym od innych. Wreszcie powoli wstała i podeszła do ściennej półki z dyskami literatury medycznej.

Dziesięć minut później porównywała fragment zapisu pilota z wzorcowym rysunkiem na ekranie komputera. I jeśli dotychczas miała jeszcze jakieś wątpliwości, to w tej chwili przerodziły się one w całkowitą pewność.

Do tej pory taki zapis widziała kilka razy w życiu, a i to wyłącznie na przykładach, podczas kilku konferencji i seminariów, które miały miejsce w ostatnim czasie. Wcześniej, nawet gdyby osobiście natknęła się na wynik tego rodzaju, nie wzbudziłby on nawet jej przelotnego zainteresowania. Nie wiedziałaaby bowiem, że świadczy on o czymś niezwykłym. Wszak dopiero w ostatnich kilku latach lekarze doszukiwali się w zapisach fal mózgowych niektórych ludzi pewnych ciekawych prawidłowości, świadczących o...

Oparła głowę na dłoniach i trwała tak w bezruchu przez kilka minut.

W jaki sposób lekarze floty Kolonii nie natrafili do tej pory na wcześniejsze zapisy EEG MacBride'a? Albo inaczej, w jaki sposób nie zwrócili uwagi na tak dalece charakterystyczne cechy...?

Omówienie wyników badań postanowiła przeprowadzić osobno z każdym z nich. Jedyną osobą obecną przy tym miał być jedynie do-

wódca. Oczekiwał tego z pewnym zaciekawieniem, które sama w nim wzbudziła, zdążywszy mu szepnąć w przelocie zaledwie kilka słów.

Na pierwszy ogień wzięła Abramova, jednak nie miała mu zbyt wiele do zakomunikowania. Zadała mu jednak na sam koniec pewne pytanie, które od kilkunastu minut bardzo ją dręczyło.

– Znasz wśród załogi kogoś, kogo określiłbyś mianem szczęściarza? – spytała obojętnym na pozór tonem. Pilot wytrzeszczył na nią oczy, tak bardzo pytanie to nie pasowało do tego, o czym właśnie skończyli rozmawiać.

– Jak pani to rozumie...?

– Dokładnie tak, jak zapytałam – rzekła cierpliwie, kątem oka widząc minę Beresforda, wyrażającą całkowite zaskoczenie. To nic, niebawem pojmie, o co mi chodzi – pomyślała. Ponownie zwróciła się do pierwszego pilota. – Czy zwróciłeś uwagę na kogoś, komu wyraźnie sprzyja szczęście, kto... czy ja wiem... kto ma wielką intuicję, z reguły mu się wszystko lub prawie wszystko udaje, kto wygrywa w pokera, kto...

– Już chyba rozumiem – uśmiechnął się lekko i zmarszczył brwi z zastanowieniem, jednak odpowiedź padła niemal natychmiast. – MacBride, oczywiście. Ten gówniarz jest w czepku urodzony, każdy to pani powie.

– Możesz to jakoś uzasadnić?

– Tysiącem przykładów. Nie mówię już o pokerze, choć faktycznie wygrywa znacznie częściej niż inni, ale na moim własnym podwórku dał mi sporo razy popalić – dostrzegł zdziwione spojrzenie lekarki. – No, chodzi mi o wspólne ćwiczenia w pilotażu. Nie tylko dzisiejsze i wczorajsze, ale i dawniej, nawet podczas symulacji komputerowych. Wczoraj zresztą też wygrał, a dziś z kolei chyba jakimś szóstym zmysłem wyczuł, gdzie jestem. Gdyby nie wyrwał tak nagle do przodu, zaliczyłby trafienie, bo domyślił się bezbłędnie. Rzeczywiście zbliżałem się ku niemu z południa, idąc samym skrajem obszaru ćwiczeń...

Kathleen Hounsfield poczuła się tak, jakby dopasowała kolejny kawałek do dość skomplikowanej układanki. Jednak już zaczynała dostrzegać obrazek, jaki układanka miała przedstawiać.

Nie odpowiedziała na żadne z pytań Beresforda, tylko od razu po wyjściu Abramova wezwała do gabinetu drugiego pilota. Usiadł na wskazanym mu miejscu i spokojnie popatrzył na nią tymi swoimi błękitnymi oczami. Cholera, mam słabość do tego dzieciaka – pomyślała dość bezradnie i nieoczekiwanie dla siebie. Na upartego mógłby być moim synem...

– Wnioskując z tego, że wchodzę jako drugi, coś chyba ze mną jest nie w porządku? – przerwał wreszcie przedłużające się milczenie, patrząc na nią pytająco. – Nawet sam zastanawiałem się parę razy, czy nie zwariowałem. I chociaż wyszło mi, że chyba jednak nie, to miło by było gdyby pani powiedziała to samo.

– Nie zwariowałeś – uśmiechnęła się dość blado. – I powiem więcej, właściwie wszystkie twoje testy wypadły wręcz wzorcowo. Jesteś okazem zdrowia, Toby.

– Ale...?

Westchnęła z głębi serca, czując na sobie poza wzrokiem pilota palące spojrzenie zaciekawionego do granic możliwości admirała. Znał ją na tyle dobrze, aby wiedzieć, że trzyma w zanadrzu coś naprawdę wielkiego.

Wzięła do ręki długą, poskładaną wstęgę papieru, będącą wydrukiem zapisu EEG drugiego pilota.

– To jest twój zapis czynnościowy fal mózgowych – podjęła wreszcie. MacBride uniósł brwi. – Od razu muszę cię uspokoić, że w zasadzie jest on całkowicie normalny i absolutnie nie świadczy o żadnej chorobie. Jednak zawiera pewne bardzo rzadko spotykane i interesujące cechy...

– Mam mózg...? – zdziwił się uprzejmie Toby, nie wytrzymując kolejnej chwili milczenia.

Beresford prychnął śmiechem, jednak Kathleen nadal była poważna.

– Toby, nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, czy też nie masz o tym zielonego pojęcia, ale... Powiedz mi jeszcze, czy miałeś przeprowadzane badania pod kątem potencjału ESP?

– ESP...? – drugi pilot zamarł z na wpół otwartymi ustami, a na jego twarzy pojawiło się zaskoczenie.

– *Extrasensorial perception*, czyli inaczej mówiąc, zdolności parapsychiczne – lekarka, mówiąc to, usłyszała zarazem, jak siedzący z boku admirał wciąga z sykiem powietrze przez zęby.

– Chce pani powiedzieć przez to, że ja... dysponuję zdolnościami ESP?! – głos pilota po raz pierwszy chyba stracił dotychczasową pewność. – Nie żartuje pani chyba...?

– Nie wiedziałeś o tym?

Ośłupienie malujące się w jego wzroku powiedziało jej więcej, niż jakakolwiek odpowiedź.

– Tak, w zasadzie jestem pewna – rzekła powoli, patrząc mu prosto w oczy. – Jeśli się zgodzisz, wykonamy jeszcze jedno badanie EEG po prowokacji bezsennością, ale nie oczekuję innego wyniku. Toby, twój potencjał jest duży... powiedziałabym, że niesamowicie duży. Widziałam kilka podobnych zapisów, poszperałam też w stosownej literaturze...

Uśmiechnęła się doń ciepło, a on bezwiednie odpowiedział jej znacznie bardziej niepewnym uśmiechem. Wiedzioną impulsem, ujęła go nagle za rękę. Jego dłoń lekko drżała.

– Będziesz musiał nauczyć się z tym żyć – powiedziała miękko. – To potężny dar, ale od ciebie tylko zależy, czy zechcesz go w ogóle uaktywnić i rozwinąć. A teraz... teraz chyba najlepiej będzie, jak pójdziesz do siebie i się porządnie wyśpisz.

Poczuła nagle, że gorąca filiżanka parzy ją w dłoń. Znienacka wyrwana z rozmyślań, odstawiła ją pośpiesznie na spodeczek i rozejrzała się nieco nieprzytomnym wzrokiem po admiralskim apartamencie.

– Daleko odpłynęłaś – stwierdził Malcolm, patrząc na nią z uśmiechem. Potarła dłonią skroń i przewróciła oczami.

– Tyle tego się nazbierało – powiedziała nieco bezradnie. – Ta sprawa z Tobym, to po prostu niewiarygodne. Nie mówiąc już o tym, co znaleźli tam, daleko...

Istnienie tajemniczego, wielkiego obiektu zostało potwierdzone kilka zaledwie godzin po zakończeniu badań lekarskich obu pilotów. Wysłany na miejsce próbnik powrócił po kolejnych kilku godzinach, a dyski wyjęte z urządzeń zapisujących jego kamer okazały się absolutną rewelacją.

Zebrani na mostku z zapartym tchem patrzyli na pustą przestrzeń, która niespodziewanie zwinęła się jakby przed stateczkiem, wydając na świat monumentalny kamienny blok. Jego część wylaniały z odwiecznych ciemności jaskrawe światła lamp sondy głębinowej. Pomimo, iż widać było jedynie ów niewielki fragment, wydawał się częścią o wiele większej całości. O ile większej, okazało się wkrótce. Zgodnie z programem, komputer nawigacyjny sondy tak pokierował niewielkim pojazdem, aby spróbować opłynąć monolit dookoła. Zajęło to nieco więcej czasu, niż się spodziewano, i okazało się, że konstrukcja ma kształt nie sześcianu, jak oczekiwano, ale wielkiej piramidy o podstawie kwadratu. W pobliżu obiektu zaobserwowano owe niewytłumaczalne jak na razie zjawisko optyczne, o którym wcześniej już zameldowali obaj piloci. Tak, jak mówili, oglądane z większej odległości ściany zdawały się piąć pionowo ku górze, niczym w wielkiej wieży. Dopiero z bliska widok normalniał i ściany nagle pochylały się ku sobie pod stosunkowo dużym kątem, zgodnym z rzeczywistością.

Co dziwne, kamienna powierzchnia w najmniejszym stopniu nie była zanieczyszczona lub też pokryta mułem czy osadem, co w tych warunkach wydawałoby się naturalne. Wyglądała tak, jakby potężną piramidę jej nieznanymi twórcy wybudowali dosłownie wczoraj. Patrzącym coś jednak nasuwało wrażenie, iż tajemnicza budowla w rzeczywistości jest nieporównanie starsza.

Po przeanalizowaniu danych z sondy wyszło, że rozmiary monumetu są naprawdę imponujące. Bok kwadratu tworzącego podstawę piramidy mierzył sobie dobrze ponad dwa kilometry, zaś wysokość – niemal dokładnie półtora kilometra. Mocno wstrząsnęło to obecnymi na mostku, i z nowym szacunkiem popatrzyli na jednolitą, piaskowego koloru powierzchnię, wolno przesuwającą się w świetle silnych reflektorów próbnika.

Urządzenie nie podchodziło do ścian budowli bliżej niż na kilkanaście metrów. W obecnym stanie rzeczy, nie znając charakteru owej konstrukcji, admirał wolał nie ryzykować żadnych nieprzewidzianych wydarzeń. Na ewentualne pobranie próbek zawsze będzie czas. Z tych samych powodów nie zezwolił na laserowy mapping,

który co prawda dostarczyłby dużo dokładniejszych danych, choćby na temat rozmiarów. Każdy laser jednak, choćby tylko nawigacyjny, był urządzeniem, którego użycie mogłoby zostać niewłaściwie odebrane. Oczywiście jeśli w środku był ktoś lub coś, co mogło w jakikolwiek sposób zareagować na ich działania.

Teraz jednak był najwyższy czas, aby zastanowić się, co powinni w zaistniałej sytuacji zrobić z tym fantem.

Beresford, najwyraźniej stropiony, zerknął na lekarkę.

– Będę musiał nakazać wynurzenie *Ramsesa* na mniejszą głębokość – mruknął. – Jak najszybciej trzeba powiadomić dowództwo o naszym znalezisku.

– Nie wiem, czy to rzeczywiście najlepszy pomysł – rzekła powoli. Admirał poderwał głowę.

– Dlaczego, na litość boską? – zdziwił się. – To mój obowiązek! Nie mam przecież uprawnień do podejmowania decyzji w tak nadzwyczajnej sytuacji. Musimy się skonsultować z Kolonią!

– Ufasz całkowicie bezpieczeństwu transmisji przez nasze satelity?

Beresford utkwiał w niej nieruchome spojrzenie.

– To standardowa droga przekazu – odparł z namysłem. – Przekaz laserowy jest przecież kierunkowy, nie sposób go przechwycić. Poza tym w takich szczególnych wypadkach stosujemy jednorazowe kody bezpieczeństwa.

– A jak sądzisz, czy użycie takiego szczególnego kodu nie może wydać się czymś niezwykle komuś, kto ewentualnie jest w stanie przechwycić nawet wiązkę lasera komunikacyjnego?

Chwilę zajęło Beresfordowi zrozumienie wszystkich implikacji tego pytania.

– Naprawdę myślisz, że Galaktowie są zainteresowani naszymi transmisjami?

– Po prostu jestem ostrożna i dopuszczam taką możliwość. A jeśli ktoś ma środki techniczne ku temu, to jedynie oni.

– Przecież oni są naszymi sprzymierzeńcami! Nie popadajmy w manię prześladowczą!

– Rób jak chcesz – wzruszyła ramionami Kathleen. – Przypomnę ci tylko, że w Galaktyce mamy nie tylko sprzymierzeńców. A kto ci zagwarantuje, iż ktoś inny nie ma na okołoziemskiej orbicie zakamuflowanych satelitów wywiadowczych? Nie tak trudno przyszłoby je ukryć wśród tego całego śmiecia, jaki tam fruwa. Więc może przynajmniej oddalmy się stąd przed nawiązaniem łączności. Nie podawajmy nikomu jak na talerzu współrzędnych miejsca, w którym znaleźliśmy coś na tyle niezwykłego, że nagle przerywamy naszą misję badawczą i stosujemy najbardziej tajne kody...

Tym razem milczał nieco dłużej.

– Może i masz rację – powiedział wreszcie. – Faktycznie, jeśli istnieje choćby cień możliwości, że zostaniemy namierzeni przez kogoś postronnego, to... cholera. Nie podoba mi się ta ewentualność.

– Mnie też się nie podoba, ale cóż... Sytuacja jest niezwykła. Nieczęsto ktokolwiek znajduje na środku oceanu i pięć kilometrów pod jego powierzchnią piramidę kilka razy większą od tych w Egipcie. Nie wiemy, co to naprawdę jest.

To była prawda. Beresford zastanawiał się nad tym już wcześniej i ciekaw był, do jakich wniosków doszła tu Kathleen.

– Nie wiem, naprawdę – pokręciła głową, wydymając wargi. – Chociaż, z drugiej strony, trzeba by się przyjrzeć historii geologicznej tego obszaru. Jeśli znajdował się on kiedyś ponad powierzchnią oceanu, to możliwe, że jest to artefakt będący dziełem rąk ludzkich. Jeśli zaś miejsce to było zalane oceanem, przynajmniej w czasach historycznych, to mamy do czynienia z kolejnym dziełem obcej inteligencji. Wziąwszy pod uwagę znaleziska z Marsa i Ganimedesa, nie byłabym zbyt zadowolona.

– Czemu sięgasz tak daleko w przeszłość? – zdziwił się. – Czy to nie mogło zostać zbudowane, niechby i przez Obcych, stosunkowo niedawno?

Zastanowiła się przez moment.

– Mam takie wrażenie... – zaczęła niepewnie. – Nie wiem, dlaczego tak mi się wydaje, ale to chyba jest bardzo stare. Wiem, że nie mamy jeszcze absolutnie żadnych danych na temat wieku tej piramidy.

Ale zarówno ja, jak i parę innych osób mamy zbliżone odczucia na ten temat.

Admirał pokiwał powoli głową. On sam odniósł podobne wrażenie, patrząc na zdjęcia z próbnika. A obaj piloci, podczas ich rozmowy po powrocie, też mówili coś podobnego. Coś w tym zatem może być.

– Wolalbym nie musieć być tym, który zakomunikuje Fosterowi i doktor Ridgeley, że ich badania dobiegły końca, przynajmniej chwilowo – westchnął ciężko, sięgając po swoją filiżankę. – Co, już wypilem...? Wynurzymy się zaraz na głębokość komunikacyjną, i wyślemy otwarty tekst o kłopotach technicznych. Po czym pełną mocą wracamy do siebie na Atlantyk. Wszystko prześlemy osobiście, komu trzeba.

– Nie zbadamy bliżej tej piramidy? – zdziwiła się lekarka. Beresford uniósł dłoń w uspokajającym geście.

– Tu potrzebni będą specjaliści, których nie mamy na pokładzie. Spece od materiałoznawstwa, archeolodzy, geolodzy, cholera zresztą wie, kto jeszcze. Pewnie i fizycy, sama widziałś, że przestrzeń wokół tego obiektu załamuje światło w dziwny sposób. I selektywnie nie pozwala na odbicia świetlne i sonarowe. Brakuje nam też całego niezbędnego sprzętu...

– No tak, tu masz rację. Ale pozostaje jeszcze sprawa Toby'ego – przypomniała lekarka. – Co z tym zamierzasz zrobić?

– Przecież zdolności ESP nie uniemożliwiają mu służby? – zdziwił się Beresford. – A nawet ułatwiają, mam wrażenie? Miło jest wiedzieć, co ma zamiar zrobić przeciwnik...

– Jasne, że to w niczym mu nie przeszkadza. Tylko że... chodzi mi o ten program naszej armii, program poszukiwania potencjalnych telepatów. Chyba mamy obowiązek o tym zgłosić.

– No i zgłosimy – zgodził się admirał. – Niech go nawet wezmą na dodatkowe badania, jeśli zechcą. I pewnie będą chcieli mieć go dla siebie... Jednak gdyby on nie chciał zrezygnować z naszego *Ramsesa*, to poruszę niebo i ziemię, aby było tak, jak on zechce. Zresztą, chyba nie ma przymusu wstąpienia do korpusu ESP?

– Zdaje się, że nie.

– No to w porządku. Pozostawię mu wolny wybór. Jeszcze jedno mnie intryguje...

Lekarka cierpliwie przeczekwała dłuższą chwilę milczenia.

– On coś odebrał? – spytał wreszcie Beresford. – To znaczy, chodzi mi o to, czy to jego ponadnormalna wrażliwość ESP pozwoliła mu wyczuć, że powinien popłynąć akurat tam, do tej piramidy?

– Coś takiego przyszło mi do głowy – odparła wolno. – No bo jak inaczej wytłumaczymy to, co się stało? Alternatywa jest taka, że Toby z góry wiedział, że ta budowla się tam znajduje. Ta możliwość, sam chyba przyznasz, jest raczej mało prawdopodobna. Musiałby być współnikiem lub przynajmniej powiernikiem jej budowniczych...

– No ale... czy to sama piramida go ściągnęła? W coś takiego dość trudno przyszloby mi uwierzyć.

– Mam wrażenie, że chodzi raczej o coś, co znajduje się w środku. Zapewne jakieś urządzenie operujące jako przekaźnik ESP, czy ja zresztą wiem... Zważywszy na wiek tego monolitu, chyba należy wykluczyć hipotezę, że w środku są jakieś żywe istoty.

– O wieku tego czegoś jeszcze na razie niczego nie wiemy – uniósł ostrzegawczo palec Beresford. – Pamiętaj, że to tylko nasze wrażenia, musimy poczekać na wyniki jakichś konkretniejszych badań. Ale w jakim celu to go tam ściągnęło?

– A skąd niby ja mam to wiedzieć? – spytała z pewną irytacją. – Wiem dokładnie tyle, co ty. Jedno, co mi przychodzi w tej chwili do głowy, to możliwość, że to coś, co jest w środku, chciało być odnalezione. Wiesz co, mam wrażenie, że do zespołu naukowców, którzy tu przybędą, trzeba będzie włączyć wyszkolonego telepatę.

Admirał długą chwilę kiwał w zadumie głową. Ponownie od-ruchowo zajął do swojej pustej filiżanki, co sprawiło, że Kathleen omal się nie roześmiała. Patrzyła na niego z pewnym rozczuleniem, podczas gdy on dolewał sobie kawy z czajniczka.

– Te jego zdolności... – mruknął, siadając. – Naprawdę są takie duże?

– Mówisz o Tobym? To są na razie potencjalne zdolności – zastrzegła się lekarka. – On jeszcze nie wie, jak się nimi posługiwać. To jest jak narzędzie, którego obsługi musisz się nauczyć. Ale... są po-tężne, masz rację. Normalnie te zmiany w EEG są niemal niezauważalne, a mnie wystarczył dosłownie rzut okiem. Charakterystyczne

piki w falach... a zresztą, to zbyt fachowe. Niemniej, byłby dla Korpusu cholernie cennym nabytkiem.

Beresford myślał przez chwilę.

– Mieć w załodze telepatę – mruknął wreszcie. – Cholernie interesujące, nie uważasz? Choć z drugiej strony, również kłopotliwe. Nie orientujesz się, czy oni mają jakiś kodeks etyczny, dotyczący nadużywania tych umiejętności?

Pytanie miało być żartem, ale Kathleen Hounsfield przypadkiem wiedziała coś na ten temat.

– Mają, owszem, i to bardzo surowy – powiedziała z satysfakcją. – Dokładnie taki sam, jaki w Galaktyce obowiązuje wszystkich telepatów od niemal dwóch milionów lat. Jeśli chcesz, ściągnę ci to z WorldNetu i podrzucę jutro. Sam zobaczysz, to pouczająca lektura.

Wyspa, nieoficjalnie, acz powszechnie nazywana Pancake, nieprzypadkowo nosiła tę nazwę. Faktycznie przypominała kształtem wielki naleśnik. Znajdowała się ona dokładnie na trzydziestym stopniu długości geograficznej zachodniej i trzydziestym piątym stopniu szerokości północnej. Do dna oceanu kotwiczyło ją kilka tysięcy lin, z których każda była spleciona z kilkuset tysięcy monomolekularnych nitek.

Mieszkańcy Pancake zdawali się jednak o tym nie pamiętać. Potężne wieżowce strzelały w niebo na wiele dziesiątków pięter, w tajemniczy sposób harmonizując z wszechobecną zielenią. Tu i ówdzie dawały się dostrzec niewielkie osiedla domków mieszkalnych, rozmieszczone z pozornym bezładem, który jednak został zaplanowany w doskonałej zgodności z siecią komunikacyjną metropolii. Dwa lotniska mieściły się na wschodnim i zachodnim krańcu wyspy. Kilka parków, ogrodów botanicznych i dziecięcych placów zabaw stanowiło miłe i pożądane urozmaicenie dla tego wszystkiego; dla tych zaś, którzy przedkładali inne sposoby spędzania wolnego czasu, w samym sercu Pancake stworzono wielkie centrum handlowo-rozrywkowe, nie ustępujące w niczym podobnym miejscom w Nowym Jorku, Los An-

geles czy Paryżu. Było tu wszystko: od hoteli i ekskluzywnych pasażów handlowych, poprzez domy towarowe popularnych światowych sieci, aż do kin, teatrów czy hal sportowych.

Uznano to miejsce za doskonałe dla umieszczenia tu kilku spośród lokalnych centr administracyjnych powstałych według potrzeb nowo budującego się porządku polityczno-gospodarczego świata. Przez pewien czas wahano się nawet nad uczynieniem Pancake jego oficjalną stolicą zamiast kosztownej budowy Heliopolis, ale ostatecznie porzucono ten pomysł, ze względu na niemożność wybudowania kosmodromu w bezpośrednim sąsiedztwie metropolii. Nieoficjalnie i nieco złośliwie tłumaczono to jednak niechęcią przyszłych władz do sprawowania urzędów w miejscu o takiej nazwie. Już widziano zjadliwe nagłówki w gazetach podczas ewentualnych przepychanek politycznych: "Politycy dzielą Naleśnik!", względnie też "W miarę jedzenia apetyt rośnie: czy tego Naleśnika starczy dla wszystkich...?"

Dowództwo Drugiej Floty Atlantyckiej postanowiło jednak zaryzykować i przystało na siedzibę w Pancake. Stanowił ją kompleks supernowoczesnych wieżowców, rozmieszczonych w pobliżu południowo-zachodniego brzegu wyspy, nie opodal ciągnącego się przez ładnych kilka kilometrów ciągu nabrzeży portowych, w których cumowały niektóre okręty wojenne Drugiej Floty.

W podziemiach jednego z wieżowców, w specjalnie ekranowanym pomieszczeniu zwanym popularnie Bunkrem, odbywała się zwołana w nadzwyczajnym trybie narada dowództwa floty. Oprócz wojskowych, brało w niej udział także kilku wysokich rangą urzędników, którzy w wielkim pośpiechu zdążyli przybyć do Pancake z Heliopolis. Raport kontradmirała Beresforda, który tak niespodziewanie powrócił swoim *Ramsesem* do macierzystej bazy, wywołał w pewnych kręgach istną burzę, która jednak dla osób postronnych pozostała jakby niezauważalna. Wymogi tajności były jedną z rzeczy najbardziej surowo przestrzeganych w sztabie.

Więści, jakie admirał przedstawił na spotkaniu w cztery oczy z głównodowodzącym floty, admirałem Ramirezem, wydawały się w pierwszym momencie wytworem umysłu kogoś o bujnej fantazji. Jednak Ramirez dobrze znał Beresforda i świadom był, iż admirał nie

zwykł rzucać słów na wiatr. Jeśli zatem dowódca *Ramsesa* przyszedł doń z tak niesamowitą historią, najprawdopodobniej posiada jakiś materiał dowodowy na potwierdzenie swojej opowieści. I rzeczywiście posiadał.

Film, jaki w chwilę później Ramirez obejrzał na wielkim ściennym ekranie, sprawił, że wytrawny wilk morski stracił głos na ładnych kilka sekund. Beresford obserwował go ze skupionym zrozumieniem. Dał mu te kilka sekund, po czym nie czekając na zaproszenie przedstawił przełożonemu wszystkie wnioski, do jakich doszli z Kathleen Hounsfield w trakcie kilkudziesięciogodzinnej podróży z Pacyfiku do Pancake. Ramirez słuchał uważnie, notując niektóre rzeczy i kiwając od czasu do czasu głową.

– Jest jeszcze jedna rzecz – oznajmił na koniec Beresford, podając głównodowodzącemu plik zdjęć, będących wydrukami z komputera. – Ten film z naszego próbnika wziął na warsztat nasz pokładowy geniusz od grafiki komputerowej. Sam pan widzi, że miejscami obraz nie jest zbyt wyraźny... niesprzyjające oświetlenie i tak dalej. Zresztą próbnik był przez nas dość pospieszenie modyfikowany przez wysłaniem go na miejsce, to też nieco odbiło się na wynikach. Ale co chciałem powiedzieć: faktycznie udało mu się wyostrzyć ten zapis, tyle że przy okazji dokonał pewnego nader interesującego odkrycia. Czy jest ono istotne, nie wiem. Być może specjaliści w pewnych dziedzinach odnajdą tu coś dla siebie. Na tych zdjęciach widać bowiem wyraźnie pewien wielki znak, jaki widnieje na trzech ścianach tej wieży. Ma on średnicę ponad trzystu metrów...

– I pańscy piloci nie zauważyli go od razu? – powiedział nieufnie Ramirez, przeniósłszy wzrok ze zdjęć na Beresforda. – Przecież to musi być wielkie jak boisko piłkarskie!

– I to zadecydowało o tym, iż symbol ten pozostał nie zauważony – Beresford zauważył zdziwione spojrzenie admirała i pospieszenie kontynuował. – Obaj piloci mieli przed sobą stosunkowo niewielki obszar oświetlonej powierzchni. To sprawiło, iż nie mieli pojęcia, że patrzą na coś takiego. Zaś Kristensen, to znaczy autor tych zdjęć, nawiasem mówiąc, jest poza tym naszym drugim sonarzystą... Otóż, spróbował zrobić komputerowy montaż z różnych ujęć z sondy, chcąc

uzyskać obraz całej piramidy oświetlonej jednolicie. Miał na to szansę, bowiem próbnik zaprogramowany został na sfotografowanie całej powierzchni obiektu, tyle że kawałkami. No i po uzyskaniu obrazu całości dostrzegliśmy to.

Ramirez w skupieniu przypatrywał się wydrukowi. Na zdjęciach leżących przed nim na biurku widniała wielka piramida w całej swojej krasie. Montaż został zrobiony wręcz perfekcyjnie, i czuło się tu rękę fachowca. Pewne, najbardziej interesujące fragmenty, zostały wykadrowane i powiększone. Miał je przed sobą również na dalszych arkuszach wydruku, z zaznaczoną skalą metryczną mającą ułatwić uświadomienie sobie rozmiarów każdego szczegółu. Na tych ujęciach już wyraźnie widać było jakby wyryty w kamiennej powierzchni znak. Admirał przyjrzał mu się w skupieniu. Przedstawiał on koło z wpisanymi dwiema liniami, jedną pionową, drugą zaś idącą półkolem, wygiętą w dół i przecinającą pierwszą mniej więcej w połowie. Najbardziej przypominało to koło z wpisanym weń trójkątem, skierowanym ostrzami w górę.

– A to – Beresford podał mu jeszcze jedno zdjęcie – to jest na czwartej ścianie. Niech pan na to spojrzysz...

Ten rysunek był inny. Zajmował niemal całą trójkątną ścianę piramidy. Ze środkowego punktu wybiegały promieniście proste linie o różnej długości, a kąty pomiędzy nimi już na pierwszy rzut oka także były różne. Obok każdej z tych linii widniał szereg niewielkich, w porównaniu z resztą rysunku, kwadracików, podzielonych na dwie grupy. W każdym kwadraciku zaś majaczyły dość niewyraźnie ciemne punkty.

– Co to jest, u licha?! – spytał odruchowo głównodowodzący, podnosząc wzrok na Beresforda. Ten odpowiedział wzruszeniem ramion. Pytanie było retoryczne; tu na razie nikt nie miał najmniejszego pojęcia, o co może chodzić.

– Faktycznie, potrzebni będą specjaliści – mruknął do siebie Ramirez, po czym jakby przypomniał sobie o czymś. – Pańscy ludzie wiedzą o tym wszystkim?

– Tylko stała załoga – odparł spokojnie Beresford. – Zespół naukowy profesora Fostera i doktor Ridgeley został poinformowany je-

dynie o kłopotach technicznych i konieczności powrotu do Kolonii. Nie uznałem za stosowne wtajemniczać we wszystko cywilów. Szczęściem zaś, w czasie drugiego dnia owych zawodów pomiędzy oboma pilotami, nikogo z naukowców nie było na mostku.

– Mądrze pan zrobił – mruknął admirał. – Dobra, to na razie tyle. Aha, co do pańskiego drugiego pilota... niech zgłosi się do Szpitala Marynarki, specjaliści będą musieli przeprowadzić dodatkowe badania. Nie to, żebym nie miał zaufania do pańskiej lekarki, ale przepisy mówią wyraźnie o takich wypadkach.

Widząc, że Beresford już otwiera usta, zamierzając coś powiedzieć, uniósł uspokajająco dłoń.

– Nie zamierzamy odsunąć go od czynnej służby, jeśli to tego się pan obawia. Po prostu, pewne czynniki oficjalnie urwałyby mi łeb, gdyby okazało się, że on faktycznie ma takie zdolności o jakie się go podejrzewa, a nie poproszono go o zgłoszenie się do Sił Specjalnych. Ale powtarzam, że wybór będzie należał do niego.

Bębnił chwilę palcami w dębowy blat starego biurka, które już na samym wstępie nad wyraz przypadło do gustu Beresfordowi.

– Na jutro zwołam nadzwyczajną radę sztabu i jeszcze paru osób – zakomunikował. – Najprawdopodobniej znajdą się wśród nich ważne osobistości z Heliopolis, więc... Niech pan postara się przygotować przez ten czas ładnie i zwięźle sformułowany raport. Przedstawi go pan osobiście, ale proszę zawrzeć w nim wnioski pańskiej lekarki. Kilka z nich było dość interesujących. Na razie panu dziękuję.

Owa zapowiedziana wtedy przez niego narada w Bunkrze dobiegała właśnie końca i Beresford z pewnym zadowoleniem przyjął jej końcowe postanowienia.

– Już po wszystkim – mówił kilkanaście minut później do Kathleen, przebywającej na pokładzie okrętu. Sam był w centrali łączności Dowództwa. – Stało na tym, że jak na razie o całej sprawie mogą wiedzieć jedynie obecni podczas narady. Plus dosłownie kilka osób najwyżej postawionych w strukturach UNE. To zresztą zrozumiałe.

– A Galaktowie? – spytała niespodziewanie lekarka.

– Zdecydowano, aby przynajmniej przez jakiś czas o niczym ich nie informować. Z różnych względów. Przede wszystkim dowództwo

chce poczekać na bardziej konkretne wyniki badań. Bo naturalnie wysłamy na miejsce ekipy badawcze, co do tego nie ma dwóch zdań. Możliwe, że nasze metody techniczne okażą się niewystarczające, wtedy dopiero trzeba będzie dopuścić do wszystkiego Galaktów.

– Rozumiem, że jeśli chodzi o nas, to znaczy o załogę okrętu, to obowiązuje nas całkowita blokada informacji? – mruknęła lekarka z pogodną rezygnacją. – Zdaje się, że w chwili obecnej nie możemy nawet zejść na nabrzeże.

– Jak to?

– Przy lukach stanęło czterech uzbrojonych żołnierzy, którzy nie wpuszczają ani nie wypuszczają nikogo. Odcięto też łączność, za wyjątkiem linii do kapitanatu i dowództwa. Tylko dlatego mogę teraz z tobą rozmawiać. Czy to znaczy, że pozostaniemy odcięci od świata aż do końca tych badań?

– Nic nie wiedziałem o tych żołnierzach – rzekł powoli admirał, trąc w zamyśleniu podbródek. – Ale to w końcu dość oczywiste środki ostrożności... Toby jest na pokładzie?

Zrozumiała natychmiast, o co mu chodzi.

– Jest. I nikt nie próbował go zabrać.

– To dobrze. A co do uwięzienia, to raczej nie mamy się czego obawiać. Zdecydowano, że to właśnie *Ramses* stanie się bazą wypadową dla ekip naukowych. Nie spodziewałem się zresztą niczego innego, bo i tak z pewnością na miejsce wysłano by okręt klasy *Sea Hunter*. Zaś my mamy tę przewagę, że dysponujemy doskonale wyposażonymi laboratoriami na pokładach.

– Kiedy wypływamy?

– Co najmniej za parę dni. Trzeba skompletować odpowiednich ludzi, zainstalować na pokładach niezbędny sprzęt badawczy... ponoć trzeba go będzie sprowadzać z Ameryki i Europy. To trochę potrwa.

Jak się okazało, zakaz opuszczania okrętu nie objął jedynie dowódcy oraz lekarki. Zaś nakaz zachowania absolutnego milczenia na temat ostatniej misji okrętu wzbudził falę zaciekawienia wszędobylskich dziennikarzy. Węszyli już oni dookoła po zwołanej w niezwykle pośpiechu naradzie sztabu, i to z udziałem najwyższych dostojników z Heliopolis. Specjalny zespół Marynarki do spraw *public rela-*

tions pracował już jednakże nad przygotowaniem odpowiednio spreparowanej bajeczki na użytek mediów. Nie wiadomo jednak było, jak długo okaże się ona skuteczna...

Zaraz po zakończeniu posiedzenia Beresford wymknął się tylnym wyjściem, aby uniknąć reporterów. Następnie wynajętym samochodem podążył do portu, skąd zabrał lekarkę. Potem taksówka uniosła ich w stronę centrum, gdzie w jednej ze swoich kilku ulubionych małych restauracji zamierzali spożyć romantyczną kolację przy świecach.

Kilkanaście minut po nich przeszklony wieżowiec dowództwa frontowym wyjściem opuścił niczym nie wyróżniający się mężczyzna w mundurze porucznika Marynarki. Pod pachą niósł kilka teczek z aktami. Zręcznie przecisnął się przez tłumek czyhających reporterów, którzy z miejsca zignorowali go jako płótkę niewartą zachodu i oczekiwali na znacznie grubsze ryby. To bardzo odpowiadało porucznikowi Newbernowi. Wsiadł do swojego samochodu stojącego na parking, po czym pojechał do siebie do domu.

Przywitał się z żoną i synem, rzucił kilka zdań na temat ciężkiego i nudnego jak zwykle dnia, po czym zaraz po kolacji zamknął się u siebie w gabinecie, gdzie miał do wykonania pewną nie cierpiącą zwłoki pracę. Pracę, która zapewne niezwykle zainteresowała by kontrwywiad Marynarki.

Pomieszczenie zwane Bunkrem przeczesywane było dwa razy dziennie pod kątem lokalizacji elektronicznych urządzeń podsłuchowych; urządzenia wyszukujące nie były jednak w stanie zlokalizować nielojalnego pracownika. Newbern, jako asystent jednego z admirałów biorących udział w naradzie, uczestniczył w niej siedząc skromnie z tyłu, pod ścianą. Wokół siebie miał podobnych młodszych oficerów, czyniących zapiski na użytek szefów. Swojego notebooka musiał co prawda zostawić w biurze, pamięć miał jednak na tyle doskonałą, że teraz, siedząc w domu, nie miał większych problemów ze sporządzeniem dokładnego raportu z przebiegu posiedzenia. W istocie, jego zdolność zapamiętywania była na tyle niezwykła, iż zapisane informacje stanowiły niemalże dokładny stenogram rozmów.

Kilka godzin później opuścił dom w cywilnym ubraniu, mając w kieszeni na piersi niewielką kostkę pamięci holograficznej. Nie skorzystał tym razem z samochodu. Metrem dojechał do centrum, gdzie skierował kroki do jednego z lokali rozrywkowych tłumnie odwiedzanych przez turystów.

Wnętrze dużego pomieszczenia było rozjaśniane przyćmionym światłem kandelabrow wiszących na ścianach. Na niektórych stolikach płonęły świece. Panował wszechobecny gwar, atmosfera zaś przesycona była dymem tytoniowym, pomimo klimatyzacji pracującej na najwyższych obrotach. Newbern zmarszczył z niesmakiem nos; nie znosił dymu. Po wizycie w miejscach takich jak to zazwyczaj robiło mu się niedobrze.

Dźwięki agresywnej muzyki wybijającej jakieś atawistyczne rytmy towarzyszyły striptiserce, wykonującej swój numer na podwyższeniu w głębi sali. Porucznik, sącząc zamówionego drinka, z zaciekawieniem oglądał występ z pewnej odległości, a po jego zakończeniu wraz z innymi nagroził dziewczynę gromkimi brawami i gwizdami aplauzu. W międzyczasie grzecznie odprawił dwie dziwki, proponujące mu swoje usługi za nawet niewygórowaną cenę. Gdy wstał wreszcie po godzinie z zajmowanego miejsca, kostka pamięci od dobrych kilku minut spoczywała już na nowym miejscu, przyklejona pod blatem stołu. Newbern spokojnie uregulował rachunek i wyszedł, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Dosłownie kilkadziesiąt sekund później stolik został zajęty przez innego mężczyznę, mocno już łysiejącego Murzyna w średnim wieku. Ten jednak nie zabawił tu zbyt długo. Ograniczył się do jednego piwa, i to wypitego dość szybko. Opuszczając lokal, miał już kostkę pamięciową schowaną bezpiecznie w wewnętrznej kieszeni marynarki.

Był on jednym z członków ludzkiego personelu pomocniczego ambasady Dayoou w Heliopolis, aktualnie przebywającym na urlopie w Pancake. Był również jednym z wielu elementów siatki szpiegowskiej, prowadzącej od jego mocodawcy do kilku źródeł w rozmaitych ważnych urzędach na Ziemi. Jednym z takich źródeł był właśnie porucznik Newbern.

Sam porucznik został zwerbowany przez jednego z kotopodobnych sprzymierzeńców ludzkości trochę ponad pół roku temu, podczas swego pierwszego pobytu w Heliopolis. Spotkali się przypadkiem na pewnym dyplomatycznym przyjęciu, w którym uczestniczył również szef Newberna. Porucznik szalenie się ucieszył, mogąc wziąć udział w imprezie, na której mieli się znajdować również przedstawiciele innych galaktycznych ras. Od wielu lat był bowiem zapalonym zwolennikiem istnienia inteligencji pozaziemskich, a od chwili nawiązania pierwszego kontaktu został niemalże ksenofilem. Interesowało go dosłownie wszystko, co miało związek z nieziemcami, był więc bliski płaczu ze szczęścia, gdy rozmową zaszczycił go jeden z nich, zachowując się w dodatku bardzo przyjaźnie.

Wymienili poglądy na wiele tematów. W którymś momencie wyszło na jaw rozgoryczenie galaktycznego dyplomaty na fakt – jak się wyraził – nieinformowania Dayoou o niektórych ważnych wydarzeniach na Ziemi, przy równoczesnym faworyzowaniu choćby Rahańczyków czy Pth'ling. Newbern nie bardzo wiedział, co ma na to odpowiedzieć. Temat jednak szybko został zmieniony, i przy końcu rozmowy z radością przystał na propozycję ponownego spotkania z nieziemcem, który najwyraźniej miał o nim nadzwyczaj dobrą opinię.

Na trzecim spotkaniu połknął haczyk razem z ciężarkiem i spławikiem. Nie miał pojęcia, iż w oczach galaktycznego, doświadczonego wyjadacza jest zaledwie zabawką, przedmiotem łatwej, podręcznikowej wręcz manipulacji. Po stosunkowo krótkim wahaniu uznał, iż informowanie niewątpliwego sojusznika o niektórych sprawach nie będzie stanowiło ujemy na jego honorze. Możliwość utrzymywania stałych kontaktów z przedstawicielami galaktycznego establishmentu była czymś, co w jego oczach było na pewno warte takiego niewielkiego poświęcenia. Przecież nie osłabia w ten sposób siły obronnej Ziemi...

Zapewne zmieniłby szybko zdanie, gdyby dowiedział się, iż dayoouański dyplomata od wielu lat jest doskonale zakonspirowanym agentem pracującym w rzeczywistości dla Imperium Czterech Słońc Voorth.

Całkowicie niehumanoidalni Voorthianie, pałający niechęcią do wszystkiego, co miało się z ich poglądami na świat, jak dotąd nie mieli swojej ambasady w Heliopolis. Co więcej, nie zanosilo się na to, by kiedykolwiek mieli nawiązać z Ziemią stosunki dyplomatyczne.

Imperium Voorth było jednym z najzacieklejszych przeciwników Ziemi na arenie galaktycznej.

Szpital Marynarki w Pancake był zaprojektowany z wyjątkowym smakiem. Zespół kilkunastu budynków z ciemnej cegły rozmieszczono malowniczo na terenie obszernego, starannie utrzymanego parku. Budynki, zaprojektowane w staroangielskim stylu, miały swój nieodparty urok, dodatkowo wzmożony przez oplatające ściany, sięgające wysoko pędy dzikiego wina. Pacjenci szpitala mieli zapewnione isticie komfortowe warunki, porównywalne chyba jedynie do tych, jakie proponowały swoim gościom hotele klasy Ritza.

To wszystko jednak nie zmienialo faktu, iż szpital ów był jednak szpitalem – pomyślał gorzko Toby MacBride drugiego dnia pobytu w luksusowo wyposażonej izolatce. Już poprzedniego dnia przeszedł nie mającą końca serię nużących badań i testów, przeprowadzanych przez wykwalifikowanych specjalistów Marynarki. I nie był już dla niego specjalnym zaskoczeniem fakt, iż jego wyniki uplasowały go wysoko, w zasadzie na samym szczycie tabeli rezultatów. Na coś takiego zdążyła go przygotować doktor Hounsfield jeszcze na *Ramsesie*.

Jedyną pociechą w czasie pobytu był fakt, iż niespodziewanie zaraz po nim przywieziono tu Carol Finsen. Powodem był fakt, który jakoś wszyscy przeoczyli, a mianowicie dziwne i niemal jednakowe sny, których oboje doświadczyli w ciągu kilku nocy poprzedzających odnalezienie tajemniczej piramidy na dnie oceanu. Wyszło to na jaw zupełnym przypadkiem, i bardzo zainteresowało specjalistów przeprowadzających badania. O ile jednak zdążył się zorientować ze skąpych wyjaśnień, jakich mu udzielano, Carol w testach wypadła całkowicie przeciętnie. Jeden z lekarzy wspomniał przy nim mimochodem, iż możliwe jest, że Carol po prostu odbierała jakby

swego rodzaju echo, rezonans tego, czego doświadczał drugi pilot. Gdy zaś dowiedział się, iż Carol i Toby są bardzo bliskimi przyjaciółmi, pokiwał z satysfakcją głową, jakby to, co usłyszał, potwierdzało tylko jego przypuszczenia.

– Tego rodzaju więź emocjonalna przynosi niekiedy zaskakujące rezultaty, nawet u ludzi nominalnie pozbawionych wrażliwości ESP – powiedział na odchodnym. – Zdarzało się wam, że jedno mówiło to, o czym akurat myślało drugie? No właśnie...

Mimo iż ich izolatki sąsiadowały ze sobą, nie pozwolono im się ze sobą porozumiewać, co według Toby'ego stanowiło całkowity bezsens i wzmagало tylko jego rozdrażnienie. Wyniki jego badań zostały już przecież opracowane! W dodatku dziś rano odbył oczekiwaną rozmowę z przedstawicielem legendarnego Korpusu ESP, o którym znakomita większość ludzi miała nader mgliste pojęcie.

– Jak pan widzi, wcale nie mamy aureoli nad głową ani świecących w ciemności oczu – powiedział zaraz na wstępie facet, który przyszedł z nim rozmawiać. Był niski, bardzo szczupły i dziwnie ogorzały. W jego pociągłej, ruchliwej i dość nerwowej twarzy przede wszystkim wyróżniały się oczy, w których błyskały wyraźne, wesołe iskierki. Toby nieoczekiwanie poczuł do faceta sympatię.

– Nie, nie jestem telepatą – odpowiedział ten na wycytane w oczach pilota pytanie. – Oni mają ważniejsze rzeczy do roboty, niż werbowanie nowych duszyczek mających służyć wielkiej sprawie. Ja jestem jedynie szeregowym pracownikiem... no, może nie tak znowu szeregowym.

Fakt, iż przedstawiciel Korpusu okazał się równym gościem, nie zmienił jednak początkowego nastawienia MacBride'a. Nie zamierzał porzucać pracy, którą lubił tak bardzo. Przemyślał problem gruntownie i był zdania, że wiążąca się z tym odpowiedzialność jest chyba zbyt duża jak na to, co był w stanie wziąć na swoje barki. Dopuszczał do siebie możliwość, że w przyszłości może zmienić zdanie, ale niczego nie mógł obiecać. Do tych powodów dołożył jeszcze kilka innych, może nieco mniejszej wagi dla osób postronnych, niemniej równie istotnych dla niego samego.

Facet po usłyszeniu tego wszystkiego sprawiał wrażenie, jakby rzeczywiście usiłował go zrozumieć.

– Widzę, że faktycznie starał się pan rzetelnie rozważyć wszystkie za i przeciw – powiedział w końcu, wyciągając zarazem ze swojej wielkiej torby dwie butelki Heinekena, czym wprowadził MacBride'a w śmiertelne zdumienie. – No, dlaczego nie mamy sobie chlapnąć po jednym? Nie jest pan przecież chory, chyba że po prostu nie lubi pan piwa?

– Lubię – zapewnił go Toby pospiesznie. – Liczę jednak na to, iż nie zamierza mnie pan podstępnie upić i w tym stanie skłonić do złożenia podpisu na jakimś cyrografie...?

– A nie, wykluczone – wesołe iskierki w oczach faceta zamigotały wyraźniej. – Zazwyczaj staramy się działać metodami nieco bardziej subtelnyymi. To jest pana świadomy wybór i oczywiście uszanujemy każdą pańską decyzję. Choć nie będę ukrywał, że wyniki testów są dla nas dość zaskakujące, w pozytywnym tego słowa znaczeniu...

Pogodził się jednak z decyzją MacBride'a, niemniej zachęcał go, aby jeszcze raz się nad tym wszystkim zastanowił. Zdążyli nawet zacząć mówić sobie po imieniu, na koniec zaś facet powiedział coś jeszcze.

– Zresztą, o ile się nie mylę, w najbliższym czasie poznasz pewną bardzo interesującą osobę – rzekł dość tajemniczo. – Spędzisz w jej towarzystwie sporo czasu i gwarantuję, że przeżyjesz niezapomniane chwile...

Więcej nie udało się z niego wydobyć. Wyszedł wkrótce, zostawiając Toby'ego samemu sobie. Ponownie zaczęły się godziny bezproduktywnego wyczekiwania na nie wiadomo co. Z jakichś niezrozumiałych dlań powodów wypuścić go stąd miano dopiero nazajutrz. Nie mógł pogadać z Carol, połączenia WorldNetu były zablokowane, osobisty komunikator nie działał, a z osób postronnych zaglądali doń jedynie członkowie personelu, a i to tylko od czasu do czasu. Frustrację pilota wzmaczał fakt, że ze względu na te idiotyczne wymogi bezpieczeństwa, jego spotkanie z Yoshim oddaliło się w bliżej niesprecyzowaną przyszłość. Cholera, nie widział go od kilku tygodni, i cieszył się już na to, iż młody Kolonijczyk miał być jednym z członków

nowej ekipy naukowej na *Ramsesie*. W ten sposób mieli spędzić razem kolejnych paręnaście dni, a tu masz ci los, nagle zmiana planów dotyczących *Ramsesa* odebrała im i to... I nawet nie mógł z nim porozmawiać przez Net!!!

Bóg jeden wie, jak przed światem zewnętrznym i rodzinami załogi dowództwo tłumaczy fakt ich izolowania fizycznego oraz nieemożliwości nawiązania łączności nawet za pośrednictwem videofonu. Tęsknił też za krótką choć rozmową z dziadkami mieszkającymi w Londynie. Dziadkowie byli dla niego, oprócz Yoshiego, najbliższymi osobami na świecie. Oni przecież wychowywali go przez całe życie, które pamiętał – od śmierci rodziców, gdy miał zaledwie kilka miesięcy. Pamiętał, jak dumni byli z niego, gdy otrzymał całkowicie zaskakującą, nobilitującą propozycję służby we flocie Kolonii ...

Jego rozmyślania przerwało wejście do pokoju kolejnego pielęgniarza czy innego lokaja, ubranego w biały kitel. Nie patrząc na niego, machnął ręką na znak, iż niczego mu nie potrzeba, pracownik szpitala jednak podszedł bliżej do tapczanu, na którym siedział.

– Mam wiadomość dla pana, poruczniku MacBride – zakomunikował sanitariusz, stając przed nim. – Ktoś chciałby się z panem widzieć.

Toby już unosząc głowę wiedział z całkowitą pewnością, że głos pielęgniarza jest mu bardzo, ale to bardzo znajomy, ale gdy już spojrzał mu w twarz, miał wrażenie, że śni.

– Yoshi...! – zdążył wrzasnąć z radosnym zdumieniem, zanim mocna dłoń zatkała mu usta.

– Cicho, wariacie – mruknął chłopak z szerokim uśmiechem na twarzy. W jego lekko skośnych, czarnych oczach błyskały figlarne ogniki, jakby właśnie udało mu się spletać niezły dowcip. – Nie hałasuj, bo zaraz ktoś przyleci i wyrzuci mnie stąd na zbity pysk. Jestem tu nielegalnie, nawet nie pytaj, skąd wiedziałem, że akurat tu jesteś i z jakiego powodu. Kitel ukradłem ze szpitalnej pralni, a na teren w ogóle wjechałem jako ofiara wypadku... ale pieprzyć to. Jestem tu i nawet nie masz pojęcia, jak mi ciebie brakowało...

Kosmos

Dorghtn-oth aż marszczył z podniecenia oba skórzaste grzebienie biegnące wzdłuż jego złożonego z segmentów ciała. Z napięciem przyglądał się, jak na położonej daleko w dole arenie mały, szary samiec długim szponem ogonowym rozrywa wreszcie brzuch swojego przeciwnika. Tym samym zakończył wreszcie trwającą już od dłuższego czasu walkę. Potem zwycięzca zbliżył szpon do swojego otworu gębowego i na znak triumfu przejechał po nim swoim podwójnym językiem, zlizując oklejającą go niebieskawą maź.

Ojciec Małego Gniazda był niezwykle zadowolony z obejrzanego właśnie widowiska. Przelotnie pomyślał, iż za podsunięcie mu tego pomysłu trzeba będzie wynagrodzić jego osobistego sekretarza. Choć stosunkowo młody, zdążył poznać już nieźle zwyczaje i charakter swojego przełożonego, i słusznie mu się zdawało, iż Dorghtn-oth rozładuje niepotrzebne przy jego pracy emocje podczas tego miłego spektaklu.

Chwilę jeszcze patrzył, jak daleko w dole niższe służby odprowadzają małego, nierozumnego samca do jego klatki, a inni uprzątają pospiesznie zwłoki jego przeciwnika. Wokół, w przeszklonych ścianach wielkiego stadionu widniało mnóstwo łóż, w których tysiące niebieskich, dużych samców Voorthian oczekiwało na dalszy ciąg przedstawienia. Jeden z kelnerów, krążących bezszelestnie po luksusowej łoży widokowej dla ważnych osobistości, zbliżył się do niego. Zatrzymał się w unижonej pozycji, uginając przednią parę odnóży, a przed sobą trzymał tacę z naczyniami wypełnionymi ciepłym soorem. Dorghtn-oth nie miał jednak w tej chwili ochoty na jakiegokolwiek przekąski. Odprowadził kelnera machnięciem języka.

Teraz należało wracać do Gniazda. Praca, która tam oczekiwała na wykonanie, wymagała jego obecności. Wieści, które nadeszły z sąsiedniego ramienia spiralnego Galaktyki, były w najwyższym stopniu zaskakujące i niepokojące. Ojciec Wielkiego Gniazda, który zaledwie wczoraj poinformował go o wszystkim, wydawał się niezwykle wręcz poruszony. Jednak gdy tylko Dorghtn-oth dowiedział się, o co

chodzi, wstrząsnęło nim to w równym stopniu. Niemal tak, jak fakt, iż to właśnie jemu powierzono pieczę nad dalszym postępowaniem w tej sprawie. Wiedział, o jakim zaufaniu świadczyło to zlecenie, i świadom był, jaką to odpowiedzialność przyjął na siebie. Rozpierała go jednak duma, i widział, że po wizycie u Ojca Wielkiego Gniazda jego i tak wysoki prestiż wśród mieszkańców jego Gniazda wzrósł jeszcze bardziej. Nie czuł też specjalnego niepokoju przed mogącymi nadejść wydarzeniami. Nie oczekiwał specjalnych trudności przy wykonywaniu powierzonego mu zadania. Umiał wszak radzić sobie z prymitywnymi istotami...

Odwrócił się w kierunku wyjścia, a miękkie pole komunikacyjne natychmiast łagodnie poniosło go w stronę jego asystenta, oczekującego cierpliwie pod ścianą. Nie miał już ochoty na dalszy ciąg przedstawienia, choć musiał przyznać, iż zapowiadało się obiecująco. Trzeba będzie tu niebawem wstąpić ponownie... Wkrótce wspólnie dotarli do grawitacyjnej barki, która przywiozła ich tutaj, i polecili jej powrót do Gniazda.

Dorughtn-oth niewidzącym wzrokiem błędził po niskich, przysadzistych budynkach przemykających za oknami pojazdu, bezszelestnie niosącego ich przez stolicę głównego świata Voorth. Przez przeszkłony dach barki zaglądało wielkie, czerwone słońce, będące w połowie swojej dzisiejszej wędrówki po łososiowym niebie. W tle po-brzękiwały dźwięki starego instrumentu wykonanego z kości tyona. To grał jakiś podrzędny sługa Gniazda, umilając podróż swemu władcy.

Ojciec Małego Gniazda z sykiem wypuścił powietrze przez otwory oddechowe znajdujące się po spodniej stronie krótkiej, niezwykle grubej szyi. Jeśli wszystko pójdzie po jego myśli, może się stać i tak, że to miasto, ten glob będzie miejscem sprawowania władzy nie tylko nad Imperium Czterech Słońc Voorth, ale nad całą zamieszkałą Galaktyką...

O tym myślał, gdy barka gładko prześlizgiwała się ponad kępami niskich, kłębiastych zarośli droh i niewielkimi bajorami, w których odbijało się niebo. Przez moment, w oddali, zabłysła nagle tafla jedyne-go oceanu tego świata. Nad tym oceanem, oprócz stolicy, skupione

były niemal wszystkie miasta Voorth. Oczywiście za wyjątkiem niezliczonych zakładów przemysłowych i wydobywczych, znajdujących się w głębi jedyne go megakontynentu planety.

Wreszcie dojechali do tunelu, który, opadając ostro w dół, powiódł ich w głąb Gniazda. Gdy zwalniali w jednej z wielkich hal, Dorghtn-oth w przelocie dostrzegł grupę wielkich, ocieężałych samic jego gatunku, które kilku zwinnych dozorców prowadziło do przeznaczonych im pomieszczeń. Ach, pomyślał leniwie, to pewnie ta dostawa, o której wspomniał mu kilka dni temu Sarnghtuy. Na słowie tego voorty, jak się oto kolejny raz przekonał, zawsze można polegać...

W wielkiej sali obrad, wyżłobionej w skale, oczekiwali już na niego ci voortowie, którzy mieli mu towarzyszyć w wykonywaniu misji powierzonej im przez Ojca Wielkiego Gniazda. Na jego widok wszyscy ugięli przednie odnóża tak, że ich podłużne, obłe ciała niemal oparły się przednimi końcami o kosztowny kobierzec, jakim okryta była skalista podłoga. Sam Dorghtn-oth, przyodziany w ceremonialną, obszerną szatę, zgodnie z rytuałem spóźnił się nieco, co miało podkreślić jego niekwestionowane przywództwo w grupie.

Szybkim spojrzeniem obrzucił całą grupę wielkich, niebieskich samców: byli wszyscy, których wezwał, uznawszy ich obecność za pożądaną. To dobrze, pomyślał z zadowoleniem. Był wśród nich nawet Ojciec Walki i Honoru, dowodzący flotą przestrzenną Imperium Voorth. A więc i on nie ośmielił się zignorować tego wezwania... to o czymś świadczyło.

Spoczął na swoim siedzisku, dając znak innym, iż mogą uczynić to samo. Po kolei zajęli miejsca, pilnie przestrzegając kolejności wynikającej ze starszeństwa i stopnia w hierarchii.

– Wiecie, dlaczego się tu zgromadziliśmy – zaczął bez zbędnych wstępów. – I wiecie również, dlaczego nasze działania zostaną jak na razie utrzymane w całkowitej tajemnicy. Chodzi bowiem o wiadomość otrzymaną od szpiega, i nie mamy do końca pewności, czy jest ona wiarygodna. Musimy jednak założyć, że tak. Gdyby bowiem okazało się, że zlekceważyliśmy coś tak znaczącego, wywołałoby to wręcz nieobliczalne skutki... być może dla całego Imperium.

Wszystkie oczy, umieszczone na ruchliwych szypułkach, wpatrywały się w niego uważnie.

– Musimy zatem podjąć wszelkie niezbędne kroki, jakich wymaga od nas ta sytuacja – podjął. – Do nas należy ustalenie, co należy zrobić i w jakiej kolejności. Spoczywa na nas odpowiedzialność i świadomość, że pracujemy dla samego Ojca Wielkiego Gniazda i podlegamy wyłącznie jemu.

Chwila milczenia dla podkreślenia ważności jego słów nie została zakłócona najmniejszym nawet szmerem.

– Wiadomość od szpiega dotyczy odkrycia, jakiego dokonała jedna z tych najmłodszych ras, na swojej macierzystej planecie – powiedział wreszcie. – Jedynej w gruncie rzeczy, jaką posiadają. Jest to zresztą ta sama rasa, która w ostatnim czasie dokonała na obszarze własnego układu planetarnego kilku innych znalezisk, o jakich wszyscy niewątpliwie słyszeli. Te stworzenia, ledwie godne miana istot rozumnych, to ciepłokrwiste dwupłciowce, nędzne kreatury, które trafiły pod protektorat takich heretyków jak Dayoou, Pth'ling, czyli członków zniechęconego klanu Rah! I oto najwyraźniej mają na koncie kolejne odkrycie, którym – uwaga! – nie podzielili się nawet ze swoimi sojusznikami...

Ojciec Małego Gniazda dokładnie opisał znalezisko Ziemian na dnie jednego z oceanów. Gdy doszedł do symbolu, jaki zidentyfikowano na ścianach wielkiej budowli, wśród zebranych zapanowało wyraźne poruszenie. Dorghtn-oth postanowił jednak zignorować ten fakt, gdyż sam był o krok od podobnej reakcji, gdy usłyszał o tym od samego Ojca Wielkiego Gniazda.

– Musimy zastanowić się, co mamy uczynić w tej sytuacji – rzekł po chwili, gdy gwar nieco przycichł. – I musimy uczynić to szybko, bowiem gdy tylko inni dowiedzą się, co odnaleźli ci... Ziemianie, zadziałają błyskawicznie. Nie mamy zbyt wiele czasu. Wiemy też, że nie tylko my mamy sprawnych agentów na Ziemi. Zastanówmy się zatem, czym jest to, co oni odnaleźli, kto jest twórcą tego obiektu, co on zawiera... a nade wszystko, w jaki sposób możemy wykorzystać to coś na chwałę naszego Imperium.

Ziemia

Mesa *Ramsesa* była dość szczelnie wypełniona. Kilka osób oglądało telewizję na wielkim holoeckranie w rogu, parę innych siedziało w niewielkich grupkach przy stolikach, rozmawiając lub jedząc. Toby MacBride siedział przy stoliku pod ścianą i przyglądał się leniwie, jak Borys Abramov i Morris Duvall grają w *go*. No no, pomyślał mgliście, gdy po wejściu do mesy ujrzał ich zagłęzionych w kolejnej partii, wielkie nieba...! Widok nawigatora oddającego się rozrywce do tego stopnia intelektualnej jest czymś nader niezwykłym. Choćby już to świadczy, jak bardzo jesteśmy znudzeni tym beczynnym oczekiwaniem w porcie w Pancake...

Będąc szczerym wobec siebie, MacBride musiał jednak przyznać, iż nawigator przy bliższym poznaniu znacznie zyskiwał w oczach ludzi. Pomimo iż na co dzień był nieodłącznym kumplem pierwszego sonarzysty, owego wyszczezanego Johnsona. Choć należało powiedzieć zarazem, że niewiele robił w celu zyskania czyjejś sympatii. Potężnej budowy – acz były to wyłącznie mięśnie, z wygoloną na zero czaszką i kolczykami w uszach, z tatuażami na przedramionach, sprawiał wrażenie raczej produktu slumsów jakiegoś wielkiego miasta. Pozory jednak myliły: Duvall był jednym z najlepiej wyszkolonych nawigatorów, jakich Toby do tej pory spotkał podczas swej przygody z morzem. Do tego niezbyt sympatycznego image przystawał w zupełności jego sposób wysławiania się. Co do tego Toby w gruncie rzeczy miał poważne podejrzenia, iż jest on wyłącznie pozą. Niemniej, w gruncie rzeczy, był to człowiek z dwoma tytułami naukowymi, zaś owa poza do tej pory stanowiła zagadkę dla wielu z nich.

Dziś jednak Duvall był wręcz nie do poznania. Abramov musiał być nieźle zdesperowany, skoro zaproponował partię właśnie jemu. I nie wiadomo, czy aby tego nie żałuje, pomyślał Toby widząc, zbliżający się nieuchronnie finał tej partii. Nawigator z dość tępowym uśmiechem czekał na kolejny ruch pierwszego pilota.

Toby poczuł znienacka, że ktoś stanął nad nim, odwrócił się i napotkał spojrzenie bladoniebieskich oczu wysokiego, jakby spłowiałego blondyna stojącego tuż za nim. Kristensen z zainteresowaniem przyglądał się sytuacji na planszy.

– Nie rób mi tego więcej – mruknął na jego widok Abramov dość ponuro. – Wolę grać z tobą. Gdzie się podziewałeś? Właśnie dostaję wciry od Morrisa. On jest za dobry, jak dla mnie...

Kristensen zignorował pierwszego pilota i spojrzał na MacBride'a. Minę miał nieco niepewną.

– Masz chwilę czasu?

– Nie ma sprawy – odparł drugi pilot z niejakim zdziwieniem. – O co ci chodzi?

Sonarzysta rozejrzał się dookoła i potrząsnął z niesmakiem głową.

– Jeśli możesz, chodź do mnie na moment – zaproponował. – Tutaj jest stanowczo za głośno, jak na moje potrzeby. A poza tym chciałbym ci coś pokazać. Możesz?

Odprawdzani kilkoma spojrzeniami, powoli poszli w kierunku kabiny zajmowanej przez Szweda.

– Woląłem zacząć od ciebie – powiedział wreszcie ten z głębokim westchnieniem, siadając na tapczanie w swojej kajucie, i wskazując pilotowi miejsce obok siebie. – Jeśli to, co zaraz usłyszysz, nie będzie warte funta kłaków, powiedz mi to od razu, bo nie chciałbym się wygłupić przed Beresfordem.

MacBride czekał cierpliwie, błędząc oczami po ścianach niewielkiej kajuty. Wielki, kolorowy plakat muzycznej supergrupy *Ministry of Lust* zajmował centralne miejsce przeciwległej ściany. Dookoła kilka mniejszych plakatów, tym razem filmowych, i parę zdjęć znanych aktorów. Rozpoznał Danę Robinson, Marshalla Sorino, a dalej z pewnym zaskoczeniem ujrzał piękną, uroczco uśmiechniętą Andie MacDowell, na zdjęciu sprzed co najmniej pół wieku.

Kristensen tymczasem podniósł się i z biurka stojącego nieco z boku wziął do ręki kilka arkuszy papieru i podał je pilotowi. Widniał na nich duży trójkąt, będący najwyraźniej poprzecznym przekrojem wielkiej piramidy. O tym świadczyła metryczna skala, umieszczona z boku i u dołu.

– Wiesz, co to jest? – spytał sonarzysta.

– Mam wrażenie, że to coś, co znaleźliśmy z Borysem?

– Zgadza się – Kristensen kiwnął energicznie głową. – Tu obok masz dokładne długości boków, wysokość i inne wymiary. Tutaj zaś jest usytuowanie kwadratu tworzącego podstawę względem stron świata – wskazywał palcem. – A to są liczby wyrażające wzajemne stosunki długości boków podstawy, wysokości i krawędzi bocznej. Rozumiesz?

– Raczej tak. I co z tego wynika?

Zamiast odpowiedzi Kristensen podsunął mu kolejną kartkę. Pilot ujął ją i ujrzał identyczny na pierwszy rzut oka rysunek, z podobnymi wyliczeniami jak na poprzednim. Porównał odruchowo oba, i nie dostrzegł żadnych różnic. Jednak sonarzyście najwyraźniej o coś chodziło, bowiem w napięciu czekał na jego reakcję. Przyjrzał się obu rysunkom uważniej; usytuowanie względem stron świata było identyczne, stosunki boków również... Już chciał odłożyć obie kartki na bok, gdy wtem coś niespodziewanego zwróciło jego uwagę.

Na pierwszym rysunku bok podstawy wynosił niemal dokładnie dwa tysiące trzysta trzy metry. Na drugim zaś...

– Tu też są odległości w metrach? – zdziwił się podejrzliwie, uniósłszy wzrok.

– A więc dostrzegłeś – powiedział spokojnie Sven. – Tak, to też są metry.

Toby ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się ponownie w obie trzymane kartki.

– Wobec tego, to drugie to nie jest to z dna oceanu – mruknął jakby do siebie. – Zatem co to może... zaraz... No nie! Nie powiesz chyba, że to jest...

– Wielka Piramida Cheopsa w Gizie – rzekł cicho sonarzysta, patrząc gdzieś przed siebie. – Co na to powiesz?

– Czekał, niech pomyślę... – pilot w osłupieniu potarł palcami skronie i wrócił wzrokiem do rysunków. – Ale przecież to niemożliwe, to bez sensu! Jesteś pewien tych danych?

– Całkowicie – Sven delikatnie wyjął mu oba arkusze z rąk. – Dane tego wielkiego monumentu z oceanu wziąłem bezpośrednio z

komputera naszej sondy. Wiesz, że na zlecenie Beresforda bawiłem się trochę przetwarzaniem poszczególnych klatek filmu? Udało mi się uzyskać jednolity trójwymiarowy obraz całego obiektu. Dzięki temu wyszedł na jaw ten znak umieszczony na ścianach tego czegoś. Dane są więc pewne, bez najmniejszych wątpliwości. A co do grobowca faraona Cheopsa, to ściągnąłem je z WorldNetu. Informacje na ten temat były też w pokładowym archiwum, ale dla pewności porównałem je jeszcze z tym, co znalazłem w Encyklopedii Kongresu USA, więc nie sądzę, aby były niepewne...

– Oczywiście, masz rację. Przepraszam cię, Sven – uniósł dłoń MacBride. – Jasne, że musisz być pewien danych, skoro mi to pokazałeś. Ale jak w ogóle wpadłeś na to, aby porównać ze sobą obie piramidy?

Kristensen wpatrywał się w wielki plakat na ścianie.

– W zasadzie dzięki Carol – uśmiechnął się niespodziewanie. – To ona wczoraj zauważyła, że dosyć ciekawie się zbiegło: faraon odnalazł piramidę na dnie morza... chodziło jej naturalnie o naszego *Ramsesa*. Sam przyznasz, że coś w tym jest. I wtedy uderzyła mnie następna zbieżność: piramidy w Gizie też mają w podstawie kwadrat... Coś mnie tknęło i z ciekawości zrobiłem takie właśnie obliczenia dla piramidy Cheopsa i dla tego, co znaleźliśmy. No i sam teraz widzisz, co mi z tego wyszło. I co ty na to?

– To nie jest przypadek – powiedział powoli MacBride, wpatrując się w napięciu w obie kartki. – To niemożliwe, aby tyle wielkości... Zaraz, czyli ta nasza jest dokładnie dziesięć razy większa od tej z Egiptu?!

– Zgadza się. Jak w mordę strzelił.

– Szanse na to, że przypadkowo stoją tak samo usytuowane względem stron świata, a przy tym długości boków jednej są wielokrotnością drugiej... Nie, to niedorzeczne – pokręcił z niedowierzaniem głową. – Ale jak to inaczej wytłumaczyć? Czyżby starożytni Egipcjanie równocześnie z budową grobowca dla swego faraona wybudowali to, co teraz znaleźliśmy?! Bzdura...

– Musieliby dysponować całkiem niezłym sprzętem do prac na takich głębokościach – zauważył przytomnie Kristensen. – Bo

pamiętasz, że dno oceanu w tamtym miejscu ostatni raz było ponad powierzchnią wody ładnych kilkaset milionów lat temu.

– Pamiętam. Żartowałem przecież z tymi Egipcjanami. Poza sprzętem do prac na głębokościach musieliby mieć przy tym niezłych speców od fizyki rzeczywistości, wzięwszy pod uwagę te sztuczki z perspektywą w pobliżu obiektu. Ale ty pewnie już zdążyłeś to przemysśleć lepiej niż ja. Powiedz, co o tym myślisz. Na pewno coś zdążyło ci przyjść do głowy...

Sonarzysta wziął głęboki oddech.

– Tylko jedno – rzekł z błyskiem w oku. – Choć zapewne nie ma to zbyt wielkiego sensu. Jakby tu zacząć... Ach, po prostu: weź sobie jednego z naszych gwiazdnych sojuszników i postaw pod ścianą pełną egipskich fresków. Który by ci tu najbardziej pasował?

Toby patrzył na niego ze zmarszczonymi brwiami. Otworzył usta, zamknął je i ponownie otworzył.

– Chodzi ci o Rahańczyków...?

– Dokładnie.

Długą chwilę patrzyli na siebie milcząc. Sonarzysta wiedział, iż jednym z koników pilota była archeologia śródziemnomorska ze szczególnym uwzględnieniem kultury starożytnego Egiptu. Między innymi z tego właśnie powodu wybrał Toby'ego na pierwszą osobę, z którą podzielił się swoimi niezwykłymi spostrzeżeniami. A teraz, tak jak tego oczekiwał, pilot powiedział dokładnie to, co od dłuższego czasu chodziło mu po głowie.

– W zasadzie oni są cholernie podobni do ludzi – zaczął niepewnie drugi pilot. – Przynajmniej zewnątrz. Z kolei te ich wydłużone oczy, kolor skóry, ogólna sylwetka, to znaczy chodzi mi o te szerokie ramiona... to by pasowało do starożytnych malowideł, jeśli o to ci chodziło.

– Między innymi o to.

– No dobrze, ale jak powiązać Rah z pirami... zaraz... Rah...?

Szczeka mu opadła. Spojrzał na sonarzystę z jakimś rozpaczliwym zdziwieniem.

– Do diabła, przecież sama nazwa ich planety i rasy... trzeba sprawdzić, czy to "Rah" wzięło się tylko z nazwania ich tak przez

ludzi, czy też jest to właściwa nazwa, brzmiąca tak samo w ich własnym języku...

– Możesz się nie kłopotać, już to sprawdziłem – odparł cicho Sven. – To się wzięło z ich języka, Toby. Też mi to przyszło do głowy i zdażyłem poszukać informacji na ten temat w serwerach Instytutu Egzolingwistyki na Harvardzie. Rah to ich własna nazwa. I masz rację: mamy tu do czynienia z dość dziwnym zbiegiem okoliczności. Jedno z najpotężniejszych bóstw egipskich też nosiło imię Ra...

– Więc jak wytłumaczyć te zbieżności? – spytał Toby bardziej sceptycznie, jakby nagle otrzeźwiał. – Czekaj, Sven, nie szukajmy na siłę najbardziej nieprawdopodobnych rozwiązań. Mam wrażenie, że znajdujemy się o krok się od tego, aby uznać, że Rahańczycy od kilku tysięcy lat ingerują w dzieje naszej cywilizacji.

– Oczywiście, możemy uznać że to wszystko jest jedynie przypadkiem – powiedział spokojnie sonarzysta. – I zamknąć sprawę; pozostanie wtedy tylko zagadkowa zbieżność w położeniu i wymiarach obu piramid. Dość dziwna zbieżność, sam to przyznałeś. Możemy też uznać jednak, że istnieje powiązanie pomiędzy Rah i wierzeniami starożytnych Egipcjan. Wtedy z kolei nasuwa się automatycznie związek pomiędzy nimi a tym, co znaleźliśmy.

– Może być jeszcze inaczej: to tutaj stoi sobie spokojnie od Bóg wie, jak dawna, a ingerencja Rahańczyków w naszą przeszłość to całkiem odrębna sprawa.

– Jak w takim razie wytłumaczysz zbieżności w wymiarach obu piramid?

– Nie wiem na pewno – powiedział Toby z namysłem. – Całkiem możliwe jednak, że któryś z najwyższych egipskich kapłanów tamtego okresu miał rozwinięte zdolności ESP. Tą drogą mógł porozumieć się z tym czymś, co ukryte jest w piramidzie. Tak jak to było w moim przypadku.

– Nieco naciągane założenie...

– Możliwe, ale ja jednak uważam, że gdyby Rahańczycy od kilku tysięcy lat wiedzieli o tym monumencie, to już dawno spróbowaliby coś z tym zrobić.

– Może spróbowali i im się nie udało?

– Myślisz...?

– A może sami są budowniczymi tej piramidy. Och, sam już nie wiem – Sven nerwowo kręcił młynka palcami. – No, a poza tym jest jeszcze sprawa piramid z Marsa, z płaskowyżu Cydonia...

Toby jakby oklapł.

– No nie, tu już chyba przegiąłeś – jęknął słabym głosem. – Przecież tamte są cholernie stare, mają co najmniej dwadzieścia milionów lat! Druga wyprawa marsjańska stwierdziła to niezbicie... A poza tym, w podstawie mają zdaje się trójkąt, nie kwadrat. Sven, twój umysł podąża nader krętymi drogami.

Patrzył nieco bezradnie na kolegę, który osunął się w dół i z zamkniętymi oczami wpółleżał na tapczanie. Na twarzy igrał mu nieśmiały, acz zawadiacki uśmiech, jak u dziecka, które wpadło właśnie na pomysł wyjątkowo szatańskiego dowcipu.

– No dobrze, daruję sobie Marsa. A z tym tutaj, trzeba będzie poczekać na bardziej konkretne wyniki wszystkich badań, jakie wykonamy tam, na miejscu – rzekł wreszcie sonarzysta gdzieś w przestrzeń, nie otwierając oczu. – Ale mam wrażenie, że to, na co trafiliśmy, w jakiś dziwny sposób łączy się z naszymi tajemniczymi sojusznikami. Może nie mam racji... w końcu rasa Rahańczyków podróżuje w kosmosie, o ile się nie mylę, zaledwie od dwustu paru tysięcy lat...

– Zaledwie...! – mruknął ze zgrozą Toby.

– ... a te dwieście parę tysięcy lat to zbyt mało, aby mieli coś wspólnego z Marsem, przynajmniej bezpośrednio. Tu trzeba być ostrożnym. No i trzeba będzie poczekać na analizy wieku tej budowli z dna oceanu...

Przerwał im melodyjny sygnał z konsoli łączności ogólnej.

– Cześć, chłopaki – usłyszeli melodyjny głos Carol, widać pełniącej aktualnie dyżur przy konsoli łączności *Ramsesa*. – Nie wiem, czy was to zainteresuje, ale dowódca właśnie wprowadza na pokład parę osób, które popłyną z nami na Pacyfik. Chciałby przedstawić wszystkich sobie, i jeśli chcecie brać w tym udział, wpadnijcie do mesy. Ciao.

Spojrzeli na siebie, po czym jak na komendę podnieśli się z tapczanu.

– Musimy dokończyć tę rozmowę – mruknął Toby, już na korytarzu. – Na razie nie spieszmy się z wtajemniczaniem Beresforda w nasze przemyślenia, ale musimy do tego wrócić. Parę rzeczy mnie jeszcze interesuje...

Zebrani w mesie nie czekali długo. Po paru minutach drzwi wagonika kolejki magnetycznej otworzyły się, i z niebiesko oświetlonego wnętrza wyszło, nie spiesząc się, kilka osób.

MacBride poczuł się nagle tak, jakby pomieszczenie wypełniła jakaś niezwykła jasność. Odruchowo zacisnął powieki, i dopiero po paru chwilach uświadomił sobie ze zdziwieniem, że to nie jego oczy dostrzegły światło. To było coś... coś innego, niezwykłego, i w jakiś mglisty sposób znajomego. Widział, i jednocześnie nie widział, iż mesa wypełnia się jednostajnym, jasnym blaskiem, którego jednak w rzeczywistości nie było. Dostrzegał to w jakiś niepojęty dla siebie samego sposób, który nie miał nic wspólnego z tym, co widziały jego oczy. Źródłem tego blasku była zaś najwyraźniej jedna tylko osoba, stojąca u boku admirała Beresforda.

Ponownie zacisnął powieki, ale pomimo tego widział, a raczej wyczuwał tę osobę. Tę dziwną aurę wokół niej, tak niezwykłą, a jakimś sposobem tak bliską i znajomą, prostą i zarazem niezmierzoną w swej głębi, a przy tym... dobrą. Gdy to do niego dotarło, poczuł niespodziewanie dla siebie samego łzy pod zaciśniętymi powiekami. Miał ochotę zagłębić się w to światło, poznać je bliżej... Była to jakby kwintesencja wszystkich dobrych cech, jakie nosi w sobie każdy człowiek, nieważne jak głęboko. Tu miał to przed sobą w krystalicznie czystej, wręcz wyzywającej, a jednocześnie dziwnie skromnej postaci...

Trwał jakby w transie aż do momentu, gdy siedzący obok niego Kristensen trącił go łokciem w bok, patrząc na niego z niepokojem. Toby zwrócił na niego niewidzący wzrok.

– Obudź się – mruknął sonarzysta, zerkając w bok. – Chyba chcą z tobą pogadać.

Pilot rozejrzał się dość nieprzytomnie. Podniósł się niepewnie na nogi akurat w momencie, gdy admirał Beresford wraz z towarzyszącą mu osobą zatrzymał się dokładnie przed nim. Przyjrzał się uważnie podwładnemu i uniósł leciutko brwi.

– To jest zaś przyczyna całego zamieszania – wskazał go dłonią, zwracając się do stojącej obok kobiety. – Mój drugi pilot, Toby MacBride. Toby, mam zaszczyt przedstawić ci panią Else Langerfeld.

Naturalnie, słyszał o niej. I wiedział, kim jest stojąca przed nim drobna staruszka, jeszcze zanim dowódca wypowiedział jej nazwisko. Nie wiedzieć czemu, ściśnięte gardło nie pozwalało mu wypowiedzieć ani jednego słowa. Patrzył prosto w jej uśmiechnięte, bladoniebieskie oczy, otulone siateczką zmarszczek. Patrzył w jej dobrą twarz, na jej siwe włosy skromnie upięte w niewielki kok z tyłu głowy, na jej równie skromną, staroświecką, granatową sukienkę z niewielkim żabotem i białym kołnierzykiem. Patrzył na całą jej drobną, kruchą postać, i wiedział już, że oto rzeczywiście ma przed sobą legendarną Else Langerfeld. Nie przypuszczał tylko, że odbierze to spotkanie w taki właśnie, niezwykle intensywny sposób.

Wtem w tej jasnej, spokojnej aurze wyczuł jakąś zmianę i nagle poczuł się tak, jakby ktoś pogłaskał go po policzku. Nie fizycznie, dłonią, było to tylko uczucie, coś w jego myślach, niemniej wrażenie było dziwnie podobne.

– Tak więc – odezwała się pani Langerfeld cichym głosem – przyjdzie nam wszystkim spędzić na tym okręcie sporo czasu razem. I co, pilocie, czy sądzi pan, że się zaprzyjaźnimy?

W jej oczach migotały żartobliwe iskierki, jakby odpowiedź na zadane właśnie pytanie była dla niej oczywista.

– Tym razem chyba nie możemy narzekać na nudę – jęknął żałośnie Borys Abramov, osuwając się bezwładnie na jedno z siedzeń w mesie. Na siedzeniu obok spoczywał MacBride, ściskając w rękę plastikowy kubek z ciepłym, intensywnie pachnącym napojem wzmacniającym.

– Nie narzekam – wymamrotał drugi pilot. Łyknął solidnie z kubka i skrzywił się mimowolnie. – Cholera, nie wiem, w jaki sposób to świństwo może smakować komukolwiek... ale bez tego pewnie padłbym już na nos. Kogo miałeś dzisiaj?

– Archeologów, a ty?

– Fizyków – odparł z pewnym wstrętem MacBride. – Sam już nie wiem, którzy gorsi. Momentami sprawiało to wrażenie, jakby chcieli się pobić ze sobą, ale chyba po prostu mają taki sposób dyskusowania. A co najdziwniejsze, wychodziło im to całkiem nieźle. Choć nie mogę powiedzieć, abym zrozumiał cokolwiek z tego, o czym oni mówili... W każdym razie, dali mi osiem godzin wytchnienia.

– Być może zrozumieli, że zmęczony pilot to niedobry pilot?

– Raczej sami zaczęli ziewać. Ja byłem jedynie niezbędną częścią wyposażenia. A wyposażenie nie powinno się męczyć.

Ja jestem jednak wyposażeniem obciążonym podwójnie, pomyślał z pewną melancholią. Borys przynajmniej może się wypaść.

Miał rację, chociaż dodatkowe zajęcia, które go obciążały, wziął na siebie dobrowolnie. Po prostu pociągały go, między innymi – a może przede wszystkim – ze względu na ich niezwykle charakter. No, ale czego innego można było oczekiwać po obcowaniu z kimś takim, jak Elsa Langerfeld...? Wbrew samemu sobie zgodził się bowiem na jej propozycję, wyrażoną jeszcze pierwszego dnia jej obecności na pokładzie *Ramsesa*. Staruszka najwyraźniej wiedziała o rozmowie, jaką odbył z MacBridem przedstawiciel Korpusu ESP, i jej negatywnym – z punktu widzenia Korpusu – wyniku. Pomimo tego jednak zdecydowała się na to dość niezwykle, jak sama to przyznała, posunięcie.

– Wiesz, czym dysponujesz – powiedziała spokojnie, gdy siedzieli nad wyśmienitym plackiem drożdżowym i herbatą w tej niewielkiej, wydzielonej części mesy, która służyła zarazem jako dość wykwintny salon.

– Wiem też – kontynuowała – że nie masz ochoty łączyć swojego życia ze służbą dla Korpusu, przynajmniej na razie. Jest to twój wybór... i w pewien sposób cię rozumiem. Ale co chciałam właściwie powiedzieć: słyszałeś pewnie, że zdolności ESP nie uaktywniają się

same z siebie? Następuje to dopiero po dość specyficznym treningu, do którego niezbędny jest telepata – przewodnik...

Z jakąś jaskrawą pewnością wiedział, do czego ona zmierza. Część jego duszy aż się rwała do tego, aby poznać i rozwinąć ten dar, jakim obdarzyła go ślepa genetyczna loteria, ale jakiś inny głos przestrzegał go zarazem, aby nie brał na siebie zobowiązań, do których wypełnienia nie czuje się zdolny.

– Przez kilka dni nie będę miała niczego specjalnego do roboty – mruknęła, jakby do siebie, po czym podniosła wzrok na niego. – Jeśli zechcesz, możemy wypełnić ten czas produktywnie. Taki trening, wbrew temu, co się potocznie myśli, to dosłownie parę dni. Liczy się przede wszystkim osoba kandydata, no i umiejętności instruktora. Pod tym względem, mam wrażenie, mógłbyś trafić gorzej – zaśmiała się cicho, jednak zaraz spoważniała. – A jeśli obawiasz się, że nabyte umiejętności zmuszą cię automatycznie do oddania ich w służbę Korpusu, to zapewniam cię, że nic podobnego. Dalej będziesz miał wolny wybór.

Toby wpatrywał się w niewielką, doskonałą reprodukcję obrazu Watteau wiszącą na bocznej ścianie. Obraz w jakiś sposób pomagał mu skupić myśli i skoncentrować się na tym, co właśnie usłyszał.

– Dlaczego takiego... darmowego treningu bez zobowiązań nie zaproponował mi ten facet z Korpusu? – spytał z powątpiewaniem. – Niczego takiego od niego nie usłyszałem...

– Bo nie miał prawa niczego podobnego ci zaproponować – odparła żywo. – To nie jest procedura, jaką stosujemy na co dzień, zapewniam cię.

– Wobec tego...

– Dlaczego ja ci to proponuję? – zaśmiała się cicho, nie tylko twarzą, ale również oczami. – Tak prawie szczerze powiem ci, że nie chcę marnować wolnego czasu, gdy tuż obok czeka takie wyzwanie. A tak całkiem szczerze... no cóż, starość ma swoje przywileje. A moim aktualnym kaprysem było, aby coś takiego zaproponować właśnie tobie. Dziwny powód, powiesz, ale zrozumiesz, jak to jest, gdy sam będziesz miał tyle lat, co ja teraz. Może wspomnisz mnie wtedy z nutką sympatii i pobłażliwości...

Toby przyjrzał się jej uważniej. Zaciekawilo go nagle, czy ona domysla się, jak bardzo intensywnie przeżywa on przebywanie w jej towarzystwie. Odczuwał to na dwóch jakby płaszczyznach, choć nie całkiem oddzielonych od siebie. Jedną z nich była ta jej oślepiająca, czysta i spójna aura, którą widział, choć nie fizycznie. Wrażenie było jedyne w swoim rodzaju, i nie bardzo umiałby je opisać słowami. Z drugiej strony zaś, żywił do starej telepatki niezwykle wręcz ciepłe uczucia. Poczul to niemal w tej samej chwili, gdy ujrzał ją po raz pierwszy, i sam był tym zdziwiony. Z reguły bowiem – pomimo żywego, wesołego usposobienia – dość ciężko nawiązywał z ludźmi prawdziwą i szczerą nić porozumienia. Carol mu to sama kiedyś powiedziała, na pozór żartobliwie, ale jednak z pewnym rozżaleniem. Po zastanowieniu przyznał jej w myślach rację. Faktycznie, niewielu było ludzi, których mógł z ręką na sercu nazwać swoimi prawdziwymi przyjaciółmi. Ale był to jego własny wybór. "Bardziej cenię jakość, niż ilość", oświadczył Carol kilka dni po tamtej rozmowie. I nie mogła się z nim nie zgodzić, nawet mile polechtało to jej poczucie wartości. Była przecież jego przyjaciółką...

I to właśnie Carol najwierniej sekundowała jego obecnym poczynaniom. Widać było, że jest tym wręcz zafascynowana, a w jej stosunku do pilota pojawiło się coś nowego, czego ten nie umiał jednak nazwać ani sprecyzować. Codziennie znajdowali dla siebie trochę czasu, kiedy mogli swobodnie o wszystkim porozmawiać.

– Faktycznie wyglądasz na przemęczonego – powiedziała ostrzegawczo, gdy ostatnio siedzieli razem w siłowni. – Musisz się tak forsować? Wiem dobrze, że przez ostatnie trzy dni spałeś najwyżej po cztery, góra pięć godzin na dobę. Po powrocie z każdej kolejnej misji *Golfa* idziesz do mesy, jesz cokolwiek i popijasz czymkolwiek...

– ...po czym melduję się przez komunikator pani Langerfeld – uśmiechnął się MacBride, zmieniając obciążniki. – Nie jest tak źle, nie martw się.

– Jak to właściwie jest, z tą telepatią? – to pytanie najwyraźniej cisnęło się jej na usta. Jej pokryte potem ramiona zamarły, a ona wpatrzyła się w niego, czekając na odpowiedź.

Usiadł wygodnie na siedzeniu maszyny treningowej, i zastanowił się przez chwilę.

– Może zabrzmi to głupio – zaczął wreszcie – ale czułem się mniej więcej tak, jakby jakaś dłoń z zewnątrz stopniowo odchyłała jakąś grubą zasłonę. Jakby zniknęła nagle kurtyna okrywająca ten nowy zmysł... ojej, nie patrz tak na mnie. Nie umiem tego inaczej powiedzieć, naprawdę tak to czuję!

– Przecież nic nie mówię...

Kilka razy podciągnął ciężar, powoli i równo ruszając ramionami. Wysiłek mięśni sprawił mu nieoczekiwaną przyjemność.

– Muszę się teraz nauczyć, jak korzystać z tego nowego zmysłu. Ona mi tylko pomaga, jakby wskazuje mi niekiedy kierunek, w jakim należy podążać. Ale idzie to cholernie szybko, możesz mi wierzyć... Sam jestem zdziwiony postępami, jakie zrobiłem w ciągu tych kilkunastu w sumie godzin spędzonych jak dotąd w jej towarzystwie.

Carol wstała ostrożnie i podeszła do dystrybutora z pepsi. Wzięła jedną puszkę, a potem usiadła na krzeselku pod ścianą.

– Kontaktujecie się telepatycznie?

– Między innymi. Ale nie tylko o to w tym wszystkim chodzi. Fakt, umiem sięgać do umysłu drugiego człowieka tak, aby nawiązać dwustronny kontakt. Potrafię też otaczać swój umysł osłoną nieprzenikliwą dla ingerencji innego telepaty – zastanowił się przez moment. – Umiem zidentyfikować same emocje, jeśli akurat to jest konieczne. Ale przede wszystkim – i to, jak mi ciągle powtarza Elsa Langerfeld, jest najważniejsze – umiem trzymać nowy zmysł jakby w stanie uśpienia. Korzystam z niego jedynie w razie potrzeby.

Jedną z najciekawszych rzeczy, jakie stwierdził ostatnio w związku z nowo nabywanymi umiejętnościami, było odkrycie jakiegoś głębszego poziomu wrażliwości ESP. Istniał on ukryty pod poziomami, na których następowała komunikacja telepatyczna, a umożliwiał mu rzecz dziwną. Zagłębiwszy się weń, wyraźnie wyczuwał coś, co świadczyło o obecności w pobliżu jego nauczycielki. Być może świadczyło to o tej specyficznej bliskości, jaka się pomiędzy nimi wytworzyła. Jednak co najciekawsze, wyczuwał ją nawet wtedy, gdy zarów-

no on, jak i ona odizolowali swoje umysły osłonami ESP. Do tej pory jednak nie miał okazji spytać jej, na czym polega ów fenomen.

– Ciekawe, czy na *Ramsesie* zdają sobie sprawę z tego, czego się uczę – powiedział w zadumie, siadając obok Carol i również popijając colę. – Wiesz co, mam nadzieję, że to wszystko w żaden sposób nie zmieni stosunku kolegów do mnie. Jak sądzisz?

– To są normalni ludzie – mruknęła po prostu. – A ty dalej jesteś przede wszystkim normalnym członkiem załogi. Czemu mieliby jakoś reagować?

– Mogą się bać, że będę czytał w ich myślach... czy ja zresztą wiem, o co może chodzić? Ale nie muszą się przecież obawiać niczego w tym rodzaju. Istnieje przecież kodeks telepatów. Ten o zasadzie nieingerencji w umysły innych bez stanu absolutnej konieczności. No cóż – aż uniósł brwi na nagłą myśl – właśnie coś takiego może niebawem nastąpić.

Zdziwiła się.

– Co masz na myśli? – spytała nieufnie. Musiał roześmiać się na widok jej miny.

– Chodzi mi o tę piramidę. Po co Elsa została poproszona o udział w naszej wyprawie, jak myślisz? Będzie usiłowała nawiązać kontakt z tym czymś, co może znajdować się w środku. To może być ostatnia deska ratunku dla naukowców...

– Nie rozumiem – powiedziała z pretensją. – Chyba nie sądzicie, że tam może być ktoś żywy?

– Tego nie wie nikt – wzruszył ramionami. – Ale faktem jest, że w ciągu tych trzech dni nie udało się uzyskać jakichś naprawdę posuwających badania do przodu wyników. Popatrzmy: po pierwsze, chcieliśmy uzyskać próbki materiału, z którego wykonano ten monument. W celu ustalenia jego wieku, naturalnie. I co? Nic, nasze urządzenie nie zdołało nawet zarysować tej cholernej ściany. Próbowало dwa razy. Potem na miejsce pofatygował się osobiście jeden z geologów, ale to też jakoś nie zrobiło na tym głazie oczekiwanego wrażenia. Zdołał jedynie ustalić, i to było ciekawe, że wiertło nie dochodzi do powierzchni kamienia.

– Nic o tym nie wiedziałam... Co to oznacza?

– Fizycy twierdzą, że chociaż kamień przypomina zwyczajny piaskowiec, to jednak otacza go jakiś rodzaj pola. Wygląda to jak niewidzialna, sprężysta bariera grubości dosłownie dwóch milimetrów.

– Sprawdzali całą powierzchnię piramidy?

– Sprawdzali. Wczoraj wieczorem skończyli.

– Ale inna grupa miała zabrać się za przeszukiwanie okolicy – za-uważyla Carol po chwili. – Zdaje się, mieli nadzieję na znalezienie pozostałości robót inżynierskich...

– Oraz miejsc, skąd wzięto te wielkie bloki piaskowca – uzupełnił Toby. – Nic nie znaleźli. Jeden z archeologów, zdaje się profesor Bielenko, powiedział w końcu, że wygląda to tak, jakby całość opuszczono z góry na przygotowane miejsce. W promieniu wielu kilometrów nie ma śladu po złożach piaskowca. Poza tym, nawet nie mogą być przecież pewni, czy to w ogóle piaskowiec.

– Niech walną w to laserem, to może zdobędą próbkę – mruknęła ponuro Carol. – Skoro delikatne metody nie skutkują...

– Już o tym myśleli. Boją się jednak, jak pole zareaguje na promień lasera. Trzeba poczekać na ustalenia fizyków, oni jednak na razie zajęci są tymi fenomenami optycznymi. No wiesz; chodzi o to, co sprawia że z daleka piramida wydaje się wieżą, a z bliska faktycznie wygląda jak piramida. No i pozostaje jeszcze najdziwniejsze: to, iż z pewnej odległości piramidy pozornie nie ma w miejscu, w którym stoi. Widziałas jak to wygląda w rzeczywistości?

– Widziałam. Fantastyczny widok, gdy ta konstrukcja po prostu wyłania się z nicości – pokręciła głową Carol, biorąc od niego nową puszkę z pepsi. – Ale to podobno udało się wyjaśnić?

– Prosta sztuczka – zaśmiał się pilot. – Sami potrafilibyśmy zrobić coś takiego. Zwykle pole kamuflażowe, załamujące światło w ten sposób, że obiega osłaniany obiekt. Zapewnia pozorną niewidzialność. Nasza armia ma coś podobnego od kilku lat.

– Nic o tym nie wiem...

– Jesteś pewna? – uśmiechnął się. – A skafandry bojowe których użyliśmy w akcji na Tajwanie? No widzisz. W przypadku naszej piramidy trick ten wzbogacono jednak o kilka nowych efektów. Z niektórymi zetknąłem się osobiście już wtedy, gdy z Borysem pierwszy

raz dotarłem w to miejsce. Chodzi o to, że fale dźwiękowe, w tym sygnały sonaru, przechodzą przez granicę pola swobodnie, ale tylko w jedną stronę. Czyli niemożliwe jest uzyskanie odbicia dźwiękowego. Tak samo jest ze światłem. Cwana sztuczka – powiedział z uznaniem. – Przez to właśnie mogliśmy rozmawiać przez "gertrudę" z Borysem, bo to przecież nie wymaga odbić. Ale już nie mógł namierzyć mnie sonarem.

– Piramidy też nie można namierzyć – mruknęła Carol. – I o to pewnie chodziło jej twórcom. Niewykrywalna piramida... coraz bardziej ciekawi mnie, co też takiego może być w środku, skoro tak bardzo starali się to ukryć?

Tajemniczy znak wyryty na trzech ścianach budowli nie powiedział archeologom dosłownie niczego na jej temat. Symbol, czyli coś, co przypominało trójkąt wpisany w okrąg, nie występował w literaturze fachowej. A raczej nie występował jako symbol oznaczający kogoś lub coś, co potrafiłoby postawić obiekt takich rozmiarów. W dodatku pośrodku oceanu i ponad cztery kilometry pod jego powierzchnią. Również rysunek z czwartej ściany, owe promieniście rozchodzące się linie, nie przywołał na myśl niczego odkrywczego. Coraz otwarciej sugerowano, iż w tym przypadku mogłoby pomóc dopiero uzyskanie dostępu do naukowych archiwów na którymś z zaprzyjaźnionych światów Galaktyki. Jasne się bowiem stawało, iż wielka budowla nie jest dziełem człowieka. Jednak równie jasne było to, iż przynajmniej na razie obowiązuje nakaz utrzymania badań w całkowitej tajemnicy, co oznaczało, że jeszcze przez jakiś czas trzeba będzie sobie radzić bez pomocy pozaziemskich konsultantów.

Toteż próbowano sobie radzić. Inżynierowie, do spółki z fizykami, którzy okazali się tu najbardziej zajęci, debatowali godzinami nad możliwymi rodzajami źródła zasilania, w jakie wyposażona została wielka budowla. Wstępne, ostrożne obliczenia poboru mocy przez generatory pola wokół piramidy wskazywały wyraźnie, iż źródła te muszą dysponować niemałą wydajnością. Zapewnić ją mogły między innymi konwencjonalne elektrownie oparte na reakcjach termojądrowych, jednak to nie wydawało się prawdopodobne. Już prędzej chodziło o siłownię kolaptyczną, w rodzaju tych, jakie w

chwili obecnej powstawały w całym Układzie Słonecznym. Brakowało przy tym przesłanek, aby wykluczyć jakąkolwiek możliwość, i na dobrą sprawę energii mogło dostarczać coś całkowicie innego.

Zespół wyznaczony do badań nad tajemnicą fizycznej nietykalności kamiennego obiektu też zmagał się z nie lada trudnościami. Wyszły one na jaw, gdy wszystkie zespoły naukowców – jak co wieczór – spotkały się na naradzie roboczej w mesie. Narada jednak, wbrew oficjalnej nazwie, miała bardzo nieformalny charakter i była raczej miłym, towarzyskim spotkaniem, na którym przy okazji wymieniano rozmaite poglądy i najświeższe wieści dotyczące postępów prowadzonych prac. Zazwyczaj uczestniczyło w tych rozmowach paru członków załogi, acz raczej biernie, przysłuchując się jedynie prowadzonym przez naukowców dyskusjom.

Jeden z owych fizyków, stosunkowo młody, ale cieszący się zawodowym uznaniem i poważaniem doktor Ron Tandy z Caltech, odstawił na biurko kubek z gorącą, mocną kawą.

– Nie wiemy, jak to wytłumaczyć – mówił właśnie, zwracając się do grupki słuchaczy skupionych przy dwóch złączonych stolikach. – Na początku nie chciało nam się wierzyć w to, co wskazywały instrumenty, ale sprawdziliśmy je dokładnie i były w porządku.

– I co...?

– No cóż – wyduł wargi – wygląda na to, iż w bezpośredniej bliskości tej kamiennej ściany prawa fizyki, które znamy, przestają obowiązywać. Choć może źle się wyraziłem – uniósł dłoń, widząc zdziwienie na otaczających go twarzach. – Nie tyle przestają obowiązywać, ile zmieniają się dość drastycznie. Jednak według tego, co wiemy, ilość energii konieczna do wywołania takich zmian jest wprost niewiarygodna...

– Chodzi o zmiany w makro- czy mikroskali? – zainteresował się wysoki blondyn siedzący naprzeciw Tandy'ego.

– Zasadniczo w mikroskali, ale jedno automatycznie pociąga za sobą drugie. Dlatego nasze wiertła zdały się psu na budę. Chodzi tu o

zjawiska na poziomie subatomowym, zmiany dość niewielkie, niemniej zasadnicze. Chociażby pewne zadziwiające zaburzenia przyczynowości. Mówiąc zaś najogólniej i w dużym uproszczeniu, wygląda to tak, jakby w cieniutkiej warstewce otaczającej ścianę czas płynął inaczej...

Chwilę trwało, zanim jego słowa wywarły oczekiwany skutek.

– Jesteście pewni wyników? – spytał sceptycznie ktoś inny. Tandy rozłożył dłonie w geście bezradności.

– To mówią nasze instrumenty. Wygląda na to, że ci, którzy zbudowali ten obiekt, mieli znacznie większe od nas doświadczenie w wykorzystywaniu fizyki rzeczywistości. A zwłaszcza pewnych jej aspektów – chodzi mi tu głównie o teorie granulacji falowej Couliera...

Przerwał i ponownie sięgnął po swoją kawę. Po chwili wahania poczęstował się ciastkiem leżącym na talerzyku przed nim.

Sven Kristensen i Toby MacBride siedzieli dyskretnie pod ścianą, starając się jak najmniej rzucać w oczy. Chłonęli dyskusję z wielkim zainteresowaniem, mimo iż większa część poruszanych w trakcie zagadnień teoretycznych była im obca.

– U nas, na MIT, mieliśmy ostatnio kilku fizyków z Rah – podjął w międzyczasie kolejny z mężczyzn siedzących przy stolikach. MacBride rozpoznał niskiego, tłustego profesora Huttona. – Szczerze wam wszystkim wyznam, że trochę nieswojo czułem się przy nich na samym początku...

Zawiesił głos, jakby dając czas na zadanie pytań.

– No wiecie, chodziło nam głównie o ich zdolności telepatyczne – kontynuował, nie doczekawszy się reakcji.

– Ciszej – mruknął ktoś, wskazując ruchem głowy drugi koniec mesy. Przy pustym stoliku widać było samotną, drobną siwowłosą postać w granatowej sukience.

– Ona tu jest...? – zmytygował się mówca. – Faktycznie. Ale powiem wam, że koniec końców, przestaliśmy zwracać na tę ich cechę jakąkolwiek uwagę. Wiecie, telepaci mają podobno swoje zasady, nieingerencji bez prośby drugiej strony albo wyraźnej potrzeby. Coś w tym rodzaju. Ale nie o tym w zasadzie chciałem mówić. Rozmawiali-

śmy z nimi trochę o tym, czym oni zajmują się u siebie, i to było wręcz niewiarygodne... Skala zagadnień jest taka, że się wprost w głowie nie mieści.

– A tak konkretniej, stary nudziarzu? – nie wytrzymał wreszcie ktoś.

– A tak konkretniej – odparował Hutton – co byś powiedział na cywilizacje, których narzędziami są nie maszyny, ale same prawa fizyki?!

– Co takiego? – burknął ktoś inny.

– Rahańczycy są aż tak zaawansowani? – zdziwił się Tandy.

– Nie chodzi o nich – mruknął profesor. – Powiem wam to po kolei. Otóż Rahańczycy, parę tysięcy lat temu, porównali wielkości pewnych stałych fizycznych i matematycznych z tymi, jakie wyliczono ponad milion lat temu. Te stare dane udostępnili im uczeni z Tanoor...

– Tanoor to ci słynni seniorzy?

– Dokładnie – przytaknął Hutton. Chciał mówić dalej, ale ubiegł go inny z naukowców.

– Jaki Rahańczycy mieli w tym cel? – zdziwił się. – Przecież to wszystko, to są z samej definicji wielkości stałe...

– Oni też tak z początku myśleli. Ale, jako że są wyjątkowo dociekliwi, spróbowali. I – możecie mi wierzyć lub nie – okazało się niespodziewanie, że są różnice. Inaczej mówiąc, w ciągu miliona lat uległy zmianie choćby stała Boltzmanna, czy – słuchajcie uważnie – liczba pi...

– Żartujesz...?

– Nie żartuję – ciągnął Hutton, wyraźnie zadowolony z wywołanego wrażenia. – Zmiany były bardzo niewielkie, bowiem ujawniały się dopiero na bodajże tysięcznych miejscach po przecinku. Ale ujawniały się, i to było niewytłumaczalne. Zupełnie jakby metryka przestrzeni ulegała subtelnym modyfikacjom podczas eonów... A teraz powiedzcie mi, ile lat ma Wszechświat.

– Mów dalej, nie wygłupiaj się – mruknął ktoś.

– To było pytanie retoryczne – skarcił go Hutton. – Teraz będzie właściwe pytanie: powiedzcie mi, co się według was stało ze starymi

cywilizacjami, tymi, które rozwinęły się miliardy lat temu, w dużo wcześniejszych stadiach rozwoju naszej Metagalaktyki.

– Wyginęły, zdegenerowały się, możliwości jest wiele – zauważył Tandy. – No, bo skoro ich już nie ma...

Hutton spojrzał na niego bystro.

– Wyginęły wszystkie, co do jednej? – spytał sceptycznie. – Nie, to nie takie proste. Najprawdopodobniej jednak część z nich ewoluowała dalej, do tego doszli naukowcy rahańscy. I są zdania, że przynajmniej jedna z tych cywilizacji działa w dalszym ciągu. W chwili obecnej. Właśnie w naszej Galaktyce...

Zapadła cisza. Zebrani niepewnie spoglądali po sobie; Toby czuł, jak na ramionach pojawia mu się gęsia skórka.

– To dlaczego nie dostrzegamy ich działań? – spytał wreszcie dość zaczepnie jeden z młodszych fizyków.

– Dlatego, iż owe ich działania wydają się nam czymś najzupełniej naturalnym – odparł spokojnie stary profesor. – Jakaś część ich działalności skupiona jest właśnie na drobnych operacjach na podstawowych prawach rządzących naszym światem. Rahańscy uczeni nawet nie próbują dociekać, czemu mają służyć te działania, ale bez wątplenia są one celowe. Dotyczy to między innymi krzywej entropii, która – jak doświadczalnie wykazali – zmieniła się dość znacznie w ciągu minionego miliona lat...

– A nie mógł to być wynik naturalnych procesów w toku ewolucji Wszechświata?

– Sto pięćdziesiąt tysięcy lat temu krzywa ta ustabilizowała się nagle. Zbyt nagle. Moi drodzy, to właśnie miałem na myśli mówiąc o cywilizacjach, które jako narzędzia wykorzystują podstawowe prawa fizyki. Och, oczywiście ich działania możemy obserwować także w makroskali – wzruszył ramionami Hutton. – Weźmy choćby jądra niektórych galaktyk. To są przedsięwzięcia astroinżynieryjne zakrojone na skalę wręcz niewyobrażalną. A co do dowodów... nie nasuwa się wam skojarzenie z jednolitą teorią pola Hawkinga-Cilento? Przecież funkcjonowała ona, dając niemal dokładny obraz otaczającego nas świata. Powtarzam, niemal dokładny. No...?

Zapanowała cisza.

– Sugeruje pan, że obraz nie był dokładny, ponieważ prawa fizyki już nie są takie, jakie powinny być...? – spytał niepewnie Toby, zapyminając na moment, gdzie jest. Hutton odwrócił się, zaskoczony, i spojrział na niego.

– Masz rację, młody człowieku – pokiwał głową, a jego wzrok wyrażał uznanie. – Już nie są, albo też... jeszcze nie są takie, jakie powinny być.

Westchnął głęboko i pokiwał głową.

– Najbardziej niekonwencjonalnie myślący uczeni rahańscy mówią coś jeszcze – dorzucił jakby od niechcenia. – Co powiecie na to, że zasada nieoznaczoności Heisenberga została wprowadzona umyślnie po to, aby uniemożliwić takim szczenięcym cywilizacjom, jakie obecnie zamieszkują Drogę Mleczną, namieszanie w planach dorosłych, zajmujących się poważną pracą...?

– Rany boskie – wyszeptał Tandy, opierając głowę na dłoniach.

– Rahańczycy wysyłali bezzałogowe sondy do radioźródła w Łabędziu A – mówił dalej Hutton. – Dla tych, którzy nie wiedzą, o co chodzi, przypomnę, iż Łabędź A to jedno z najsilniejszych radioźródeł na naszym niebie. Odległe od nas o około sześćset milionów lat świetlnych. Zaś jego zadziwiającej mocy nie tłumaczą żadne naturalne procesy znane nauce tak naszej, jak i rahańskiej. Żadna z tych sond nie powróciła. Tak samo jak kilka innych, wysłanych do paru innych, równie egzotycznych miejsc. A przypominam, iż te urządzenia badawcze były skonstruowane w oparciu o najbardziej zaawansowaną technologię Galaktyki. Żadne znane przyczyny nie tłumaczą nagłego milknięcia ich nadajników...

Tym razem milczenie zapadło na dużo dłużej, jakby wszyscy uczeni nie bardzo wiedzieli, co powiedzieć. Siedzieli jeszcze jakiś czas, jednak rozmowy poczęły się rwać. Niedługo potem zaczęli się powoli rozchodzić do swoich kabin, zagarniając po drodze innych, siedzących przy dalszych stolikach.

Toby uświadomił sobie nagle, jaki jest zmęczony; ziewnął dość rozpaczliwie, przeciągnął się... i nagle poczuł niematerialne, nierzeczywiste nie-dotknięcie; odczucie w jakiś sposób podobne do tego, jakby mały, wesoły szczeniak trącał go nieśmiało nosem. Podniósł

głowę, zaskoczony, i napotkał znajome, pogodne spojrzenie bladoniebieskich oczu. Uśmiechnął się.

– Dzień dobry, pani Langerfeld...

– Witaj, Toby – powiedziała telepatka swoim cichym głosem. – Czy masz może chwilę wolnego czasu? Chciałabym ci coś zaproponować.

Czuła się zmęczona. Pomimo, iż w ostatnich dniach nie miała zbyt wiele do roboty, to jednak nawet te kilkugodzinne seanse z drugim pilotem nadspodziewanie ją wyczerpywały. Najwyraźniej przeceeniła siły swojego starego ciała, choć mogła się w gruncie rzeczy tego spodziewać. Posługiwanie się energią ESP pożerało rezerwy energetyczne organizmu w zastraszającym tempie. Ale sama przed sobą musiała przyznać, iż dawno nie czuła się tak silna i młoda, jak właśnie jeszcze kilka dni temu. Może sprawiła to właśnie sama perspektywa tych seansów, do rozpoczęcia których dążyła wszelkimi sposobami, starając się jednocześnie, aby młody Kolonista nie domyślił się, jak bardzo jej na tym zależy.

Gdy zetknęli się po raz pierwszy, niemal zachłysnęła się tym, co wyczuła w tym niemalże jeszcze chłopcu. Jego wewnętrzny blask, jego aura, była tak silna, że niemal ją to przeraziło. Oczywiście, brak było jej tego uporządkowania, tej charakterystycznej zwartości i spójności, które nabywało się jedynie wstępnie drogą ćwiczeń z instruktorem, a następnie poprzez żmudne, długotrwałe doskonalenie własnych umiejętności. Widziała jednak wyraźnie, czym mógłby stać się Toby MacBride. Był najmocniejszym aktywnym telepatą, jakiego знаła. Miał wszelkie szanse, aby kiedyś, w przyszłości, dorównać jej samej. Albo nawet ją przewyższyć.

Wiedziała, iż Korpus sprawdził pilota dokładnie również pod kątem jego profilu psychologicznego, jeszcze przed próbą oficjalnego zwerbowania go do służby dla nich. Takie badanie było rutynowe, acz konieczne. Korpus musiał być pewny, iż nie rozwinie tak potężnych

zdolności u kogoś naznaczonego jakąś poważną skazą charakterologiczną. Czy też wręcz chorobą psychiczną.

Toby MacBride był jednak pod tym względem w porządku, i to wręcz do tego stopnia, iż uznała go za niezwykle wyjątek, także wśród jej współpracowników. Miał dobry charakter, nawet przez pryzmat jej staroświeckich i dużo bardziej konserwatywnych poglądów i wymagań. Sama sprawdziła na jego temat kilka rzeczy, także w bankach danych Kolonii, do których uzyskała natychmiastowy dostęp. Zawierały one dosłownie całe życie młodego pilota, nawet najbardziej blade szczegóły, zebrane mozolnie przez agentów od bardzo wielu świadków. Była to rzecz normalna przy niezwykle rygorystycznych wymagach bezpieczeństwa obowiązujących w Kolonii podczas procedury przyznania obywatelstwa komuś z zewnątrz. Telepatka w swym zaciekawieniu sięgnęła nawet do dzieciństwa pilota, które zresztą z wielu powodów interesowało ją szczególnie. Wszak to wtedy kształtowany jest przyszły dorosły człowiek... Jak się okazało, Toby już jako dziecko był niezwykle wrażliwy na odczucia i emocje innych. Urodzony empata, nie sposób było nazwać go inaczej. Wiele o tym świadczyło, jednak z jakichś przyczyn najbardziej utkwiała jej w pamięci jedna historia.

Mały Toby, mieszkający wówczas jeszcze w Wielkiej Brytanii, w wieku dwóch lat dostał od dziadków psa. Średniej wielkości kundla, z którym zżył się niemal do przesady. Pies, imieniem Snuff, był jego nieodłącznym towarzyszem zabaw, powiernikiem małych i wielkich sekretów i chyba najlepszym przyjacielem jego dzieciństwa. Zwierzak też przepadał za Tobym, nie odstępował go ani na krok, aż babcia Toby'ego śmiała się czasami, że czuje się tak, jakby miała nie jednego, a dwóch wnuków. Czas jednak płynął, Snuff się starzał, aż wreszcie, już jako psi staruszek, po jakiejś chorobie, przestał chodzić. Dziadkowie delikatnie zaproponowali dwunastoletniemu już Toby'emu, aby bezboleśnie i łagodnie wybawić psiaka od cierpień. Dzieciak jednak nie pozwolił na to: własnoręcznie pielęgnował Snuffa, troszczył się o niego, poił i karmił. Z dużego kawałka materiału uszył coś, w czym wynosił psiaka – przytulonego niczym największy skarb – na dwór. Woził go nawet daleko za miasto, na wrzosowiska. Inne dzieci

podśmiewały się niekiedy z niego, jednak on się tym nie przejmował. Wielu dorosłych długo jeszcze pamiętało niedużego, czarnowłosego chłopca wracającego wieczorami do domu, z wysiłkiem dźwigającego i tulącego do piersi duże zawiniątko, z którego spoglądały mu w twarz brązowe, wierne, smutne psie oczy. Aż pewnego deszczowego, jesiennego dnia psiak już więcej się nie pojawił.

Stara pani Langerfeld czuła, jak coś ściska ją w gardle, gdy czytała o tym wszystkim. I to ją ostatecznie utwierdziło w przekonaniu, iż postępuje właściwie, nawet jeśli pozostawało to w sprzeczności z niektórymi punktami regulaminu Korpusu. Miała nadzieję, że nawet jeśli nie od razu, to kiedyś, w przyszłości, Toby MacBride zmieni zdanie i jeszcze raz przemyśli kwestię swej służby w Siłach Specjalnych. Chciała mu pokazać, jak wiele dobrego można dokonać, pracując tak jak ona i jej współpracownicy.

Dlatego właśnie zaproponowała mu udział – jako biernego obserwatora – w jutrzejszym eksperymencie, który nareszcie miał wykazać, że jej obecność tutaj rzeczywiście była uzasadniona. Niektórzy z naukowców otwarcie wyrażali sceptycyzm dla tego, co mógł przynieść eksperyment z jej udziałem. Częściowo było to zapewne spowodowane ich podświadomą, nie wyrażaną otwarcie zazdrością: jak to, nam, wyposażonych w ogromną wiedzę teoretyczną i najnowsze urządzenia, nie udało się dokonać niemal niczego, a ta niepozorna, stara kobieta ma zrobić za nas całą pracę...? Nie miała im jednak tego za złe, gdyż wiedziała, jakie podłoże mają takie myśli i poglądy.

Przebywając w okolicy piramidy od kilku dni, osłaniała siebie i swoje najbliższe otoczenie stałą osłoną ESP, co dodatkowo ją wyczerpywało. Ale nie chciała, jak na razie, dopuszczać do siebie jakichkolwiek emanacji od tego czegoś, co znajdowało się w środku, a co tak dobitnie zdążyło już raz zamanifestować jej swoje istnienie podczas tamtej nocy w Paryżu. Jutro wyjdzie temu czemuś na spotkanie. Świadomość tego faktu sprawiała, że drżała od dawno nie doświadczanego dreszczu niecierpliwości. Wciąż pamiętała, jakie wrażenie wywarł na niej tamten pierwszy, ulotny kontakt.

Teraz musiała jak najprędzej zebrać siły przed jutrzejszym eksperymentem. Nie czuła się zbyt dobrze, toteż postanowiła, iż po solidnej

kolacji zafunduje sobie naprawdę luksusowy, długi sen. To było najlepsze, co mogła zrobić w tej chwili.

Carol powoli budziła się, dżgana niczym ostrogą dźwiękiem z komunikatora. Cholera, kto miał jej coś do powiedzenia o tak idiotycznej porze?! Przelotnie zerknęła na zegarek – była druga nad ranem. Zgrzytnęła zębami.

Na ekranie ukazała się wymizerowana twarz Toby'ego. Jakoś zdołała powstrzymać cisnące się jej na usta słowa, bowiem pilot wyglądał jakby wygrał los na loterii. Oczy mu błyszczały.

– Obudziłem cię? – chyba lekko się speszył. – No, przepraszam... ale mamy coś cholernie ciekawego, i pomyślałem sobie, że chciałabyś usłyszeć jako pierwsza.

– Bardzo mi miło – ziewnęła, nie mogąc się powstrzymać. – Co, może w piramidzie otworzyły się drzwiczki i wyszedł stamtąd Kaczor Donald?

– Dlaczego Kaczor Donald...? – stropił się Toby.

– Nie zwracaj na mnie uwagi, ja jeszcze śpię. No, co takiego znaleźliście?

– Otóż parę godzin temu, dosłownie podczas ostatniego rejsu w okolicach piramidy, wiozłem ekipę geologów i archeologów. I praktycznie cudem natrafiliśmy wreszcie na coś dziwnego. Zresztą, gdyby nie ultradźwiękowy mapping terenu, guzik byśmy zauważyli.

Zaczęła być zaciekawiona, i poczuła, że sen powoli ustępuje w swoich otumaniających atakach.

– Mów, co to jest?!

– Kawałek skalistego dna, gładki niczym blat stołu – powiedział triumfalnie pilot. – Dokładnie kolista przestrzeń o średnicy około stu czterdziestu metrów. Przykryta była dość grubą warstwą osadu i szlamu... Dlatego tak trudno było to zauważyć wcześniej. Mieliśmy szczęście. Naukowcy rzucili się na to dosłownie jak wygłodzone sępy na jakąś smaczkową padlinę.

Porównanie sprawiło, że lekko się wzdrygnęła.

– No i co? Mów sam z siebie! Czemu muszę wydobywać to z ciebie po kawałku?!

– Chyba też jestem zmęczony – wyznał ze skrucą. – Już mówię dalej. Najpierw zbadano same osady przykrywające ten płaski obszar. Potem przytaszczyliśmy wodne dmuchawy i delikatnie oczyściliśmy ten kawałek. Nie wierzyłem własnym oczom: skała w tym miejscu była gładka niczym szkło. I nawet wyglądała jak szkło, a dokładniejsze badania wykazały, iż bazalt został po prostu stopiony w jakiś sposób, po czym zastygł. Archeologowie mieli nadzieje na jakieś nowe napisy, inskrypcje, rysunki, ale niczego takiego tam nie było. Wtedy do roboty zabrali się geolodzy. To spadło im jak z nieba...!

Poczuła się lekko zawiedziona.

– Ee, i po to tylko mnie budziłeś? – burknęła. – Już myślałam, że był tam co najmniej autoportret budowniczego, a tymczasem...

– Przecież w ten sposób uzyskaliśmy możliwość ustalenia wieku tej piramidy! – wykrzyknął Toby. – Goła, stopiona sztucznie skała, nie osłonięta żadnym polem ochronnym!

– Ach...! – wyrwało jej się. – I co...?!

– A widzisz! Wszyscy założyli, że czas powstania tego czegoś powinien być równy czasowi powstania wielkiej piramidy. Co prawda nie ma żadnych bezpośrednich dowodów na to, że obie te rzeczy mają ze sobą coś wspólnego. Naszym zdaniem jednak, logiczne rozumowanie narzuca taki wniosek. Dwa obiekty nie będące dziełem natury, oddalone od siebie o niecałe dwie mile, w dodatku na dnie największego oceanu świata, nie mogą tylko przypadkiem sąsiadować ze sobą, nie? Coś musi je łączyć.

– Musi, musi – zgodziła się niecierpliwie. – I co z tymi geologami?

– Usiądź lepiej... a, siedzisz? To dobrze. Wynik dostaliśmy przed chwilą. Teraz sprawdzają go jeszcze raz, innymi metodami, bo wydaje się niewiarygodny.

– Toby, ja cię uduszę – ostrzegła ponuro Carol. – Mów natychmiast, albo zaraz idę do ciebie.

– Milion dziewięćset tysięcy lat – rzekł pospiesznie pilot, a dziewczyna poczuła się, jakby znienacka ktoś dał jej mocno po głowie.

wie. – I wiesz co, jakoś nie byłem specjalnie zdziwiony. Paru naukowców zresztą też, zupełnie jakby podświadomie oczekiwali czegoś podobnego. Stary Bielenko był wręcz usatysfakcjonowany.

– Mogą się jednak mylić – Carol dochodziła powoli do siebie i starała się zacząć myśleć racjonalnie. – Skoro powtarzają analizy...

– Bielenko osobiście nad tym siedział – pokręcił głową Toby. – A znasz już go trochę. To perfekcjonista. W dodatku w tej zeszkłonej masie były jakieś tam charakterystyczne izotopy, i dzięki nim margines błędu jest wyjątkowo niewielki. I co ty na to?

Przyjrzała mu się uważnie; on naprawdę był przemęczony. Twarz mu schudła, policzki się zapadły, miał sińce pod oczami, i tylko oczy mu płonęły.

– Gdyby cię Yoshi teraz zobaczył, dałby ci popalić – mruknęła niespodziewanie, trzeźwiejąc nagle po usłyszanych rewelacjach. – Skończyłeś swoją wachtę?

– No tak, ale...

– Masz iść spać. Natychmiast. Ale wcześniej spójrz do lustra. Nigdy dotąd nie miałam wśród znajomych żadnych zombie ani kościotrupów, ale jeśli dalej będziesz niedosypiał, to możesz być pierwszym.

Na pograżonym w półmroku pokładzie *Golfa*, rozświetlonym w zasadzie jedynie poświatą bijącą od wskaźników i holoe ekranów, panowało milczenie. Każdy zdawał się pograżony w swoich własnych, prywatnych myślach, jednak jasne było, iż wszystkich absorbuje wyłącznie jedno.

Doktor Hounsfield przypatrywała się przez moment Borysowi Abramowowi, który – zagłębiany w fotel pierwszego pilota – z wprawą prowadził niewielką jednostkę kursem na starą piramidę. W ciągu ostatnich dni odbył tych kursów niezliczoną niemal ilość, niemniej ten akurat był inny od wszystkich poprzednich, i wyraźnie było widać, iż pierwszy pilot nie jest tak rozluźniony, jak zazwyczaj. Tak samo jak drugi pilot, siedzący w tej chwili obok Abramowa. Siedział na pozór

spokojny, z zamkniętymi oczami i głową opartą o zagłówek, a jednak w jakiś sposób lekarka wyczuwała w nim pewne napięcie. Wiedziała, iż Toby MacBride ma odegrać jakąś rolę w tym, co się wydarzy za kilkadziesiąt minut, ale dokładnie nie była pewna, o co chodzi. Wszak główną osobą tego eksperymentu będzie stara telepatka, siedząca obok niej, w załogowo-towarowej części jednostki.

Kathleen Hounsfield wiele by dała, aby dowiedzieć się, co też łączyło ją z drugim pilotem. Jeśli dobrze się domyślała, MacBride w ciągu ostatnich kilku dni odbywał intensywny trening pod nadzorem Elsy Langerfeld. A przecież podczas rozmowy z przedstawicielem Korpusu ESP nie wyraził chęci współpracy z nimi, przynajmniej w najbliższej przyszłości...? Wyraźnie jednak wyczuwała jakąś nić porozumienia, łączącą tych dwoje. Ale nie miała odwagi – z powodów, których nie umiała sobie samej wytłumaczyć – spytać po prostu Toby'ego o to wszystko. A już tym bardziej sędziwej telepatki, choć zdążyła ją tymczasem serdecznie polubić. Spędziły razem wiele godzin na rozmowach o bardzo wielu rzeczach, żartując, iż jako dwie z trzech kobiet na pokładzie muszą trzymać się razem. Czasem dołączała do nich Carol Finsen, jednak najwyraźniej czuła się skępowana w obecności Elsy Langerfeld, toteż zdarzało się to dość rzadko. Częściej towarzyszył im sam dowódca.

Kilku marynarzy, którzy byli tu wraz z nimi w roli załogi, nie czuło się chyba zbyt pewnie. Byli dość niespokojni, choć widziała wyraźnie, iż starali się trzymać fason. No, ale niecodziennie zdarza się przecież podejmować próbę kontaktu z czymś, co pozostawił po sobie nie wiadomo kto i nie wiadomo kiedy... chociaż zaraz, co do wieku monumentu, od wczoraj mieli już przecież pewne przesłanki pozwalające na nader interesujące wnioski.

Zatem jedną możliwość mamy najwyraźniej z głowy, pomyślała lekarka. Dwa miliony lat... Czyli hipoteza, iż w środku może być ktoś żywy, w tym momencie przepada z kretelem. Najprawdopodobniej były tam jakieś niebywale zaawansowane urządzenia, może nawet obdarzone jakimś rodzajem świadomości i inteligencji. Jednak – tylko urządzenia, pozostawione tu na posterunku przez swych twórców.

Podzieliła się tymi uwagami z Tobym i Elsą Langerfeld tuż przed wejściem na pokład *Golfa*. Telepatka uniosła tylko brwi, a Toby uśmiechnął się jakoś dziwnie, półgębkiem. Nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Czyżby oni wiedzieli coś więcej? W końcu Toby obcował już psychicznie z tym czymś, co ściągnęło go wtedy w pobliże piramidy... Jeśli nawet faktycznie coś wiedzieli, to nie widać w nich było ochoty na dzielenie się swą wiedzą lub podejrzeniami z kimkolwiek. No cóż – pomyślała – już niebawem i tak wszystko będzie jasne. Miejmy przynajmniej taką nadzieję...

– Stopuję – rozległ się podniesiony głos pierwszego pilota. – Do obiektu około pięćdziesięciu metrów. Wystarczy, czy podprowadzić nas jeszcze trochę bliżej?

– Wystarczy w zupełności – odpowiedziała telepatka swym drżącym, słabym głosem. – Serdecznie dziękujemy.

Ręce splotła na kolanach, i w swej staroświeckiej sukience z wykładanym koronkowym kołnierzykiem wyglądała tak krucho i bezbronne, iż niewiarygodnym wydawało się, że ta staruszka dysponuje tak niebywałą potęgą umysłu. Że to właśnie ona może doprowadzić do porozumienia z... no właśnie. Z czym? Z kim...?

Lekarce podświadomie wydawało się, iż to, co miało niebawem nastąpić, ze względu na swą niezwykłość winno być poprzedzone jakimś rytuałem, ceremoniałem. Zdziwiło ją więc, gdy Elsa Langerfeld spytała po prostu:

– Toby, jesteś gotowy? – a po krótkiej pauzie, gdy MacBride uniósł w górę pięść z kciukiem uniesionym do góry: – Zaczynam.

Drugi pilot wpoływał niemal na swoim fotelu, wciąż z zamkniętymi oczami i głową wspartą o miękki zagłówek. Czuł, że ręce ma spocone, i odruchowo wytarł je o nogawki kombinezonu. Nie na wiele się to zdało, gdyż po chwili zwilgotniały ponownie.

Zaczął się koncentrować, w czym, paradoksalnie, dziwnie przeszkadzała mu panująca na pokładzie *Golfa*, niemal namacalna cisza. Jednak już po chwili wszystko odpłynęło od niego gdzieś daleko, i poczuł się jak zawieszony w bezmiernej pustce, z dala od rzeczy materialnych i innych ludzi. Powoli wchodził w ów rodzaj specyficznego transu, który telepaci wykorzystywali przy wykonywaniu nader trud-

nych, skomplikowanych lub też wymagających niezwyklej precyzji zadań. Ten trans wciąż był dlań czymś nowym, niemniej zdążył go już w jakiś sposób poznać i wiedział, iż faktycznie może okazać się pomocny. W tej zaś chwili... wyczuwał nie tyle myśli, ile zdenerwowanie i napięcie, jakie wytwarzali ludzie obecni oprócz niego na pokładzie. Gdyby chciał, mógłby bez najmniejszego problemu sięgnąć bezpośrednio do ich umysłów i odczytać to, o czym myśleli w tej chwili. Wiedział jednak, iż tego mu robić nie wolno. Poza tym czekało nań inne, niepomierzenie ważniejsze zadanie, i na tym jął koncentrować swoją uwagę.

Sięgnął dalej, gdzie pełnym, jasnym blaskiem błyszczała aura wielkiej telepatki, i włączył się w ten strumień świadomości, czekający najwyraźniej już tylko na niego. Poczuł się nagle tak, jak musiałby się niewątpliwie czuć niewielki strumyk, gdy znenacka wpada do wielkiej, spokojnej rzeki, która zaczyna go nieść ze sobą. Rzeki spokojnej jednak tylko z pozoru, która niekiedy może przeobrazić się w groźny, potężny nurt, huczący i zmiatający wszystko na swojej drodze...

Elsa Langerfeld sięgnęła na próbę swą aurą w stronę, gdzie znajdowała się wielka piramida. W dalszym ciągu ochraniała siebie samą i znajdujące się w pobliżu osoby swą osłoną ESP. Stopniowo czyniła ją coraz słabszą, próbując po raz pierwszy zorientować się, jak silna może być emanacja dobywająca się z wnętrza kolosalnej budowli. Co zaskakujące, nie natrafiła na razie dosłownie na nic.

Wreszcie osłony zniknęły zupełnie. Po krótkiej chwili wahania dotarła do skraju budowli... i tutaj niespodziewanie natrafiła na wyraźną barierę, jakby coś starało się powstrzymać każdego, kto chciałby się zapuścić dalej. Jednak, po próbnym starciu z niewidzialną granicą, stwierdziła, iż nie będzie stanowiła ona tak wielkiego problemu, jak się tego początkowo obawiała. Wydatek niezbędnej energii będzie pomimo to większy, niż się spodziewała.

Uderzyła. Mocno, twardo, nieustępliwie, całą mocą swego umysłu. Bariera zrazu nie poddawała się, była silniejsza, niż wydawało się z początku. Niespodziewanie telepatka poczuła napływ nowej, wielkiej energii, która przyszła jej z pomocą w tej trudnej chwili, i

momentalnie zrozumiała, że do akcji przyłączył się Toby. To znacznie wzmocniło jej siłę zmagającą się tym, co chroniło wnętrze piramidy, ale z niezrozumiałych powodów bariera, choć chwiejąca się i zaczynająca się rwać, istniała nadal.

I tu nastąpiło coś niespodziewanego. Coś, jakieś potężne uderzenie energii ESP, wręcz rozerwało nieustępliwą barierę na strzępy i zalało przeraźliwym nie-światłem ich połączone w tej chwili aury. Elsa Langerfeld drgnęła w tym momencie, tak wielkie było jej zaskoczenie. W pierwszej chwili myślała nawet, że to Toby włączył do akcji swoje wszystkie siły, ale to nie mogło być to. W nagłym błysku zrozumiała że uderzenie to nastąpiło z wewnątrz, a nie z zewnątrz monumentu.

Dotarli do tego, czego szukali.

Toby wstrzymał na moment oddech, tak intensywnie przeżywał to, czego właśnie zaczynał być świadkiem. Stał oto naprzeciw czegoś na tyle potężnego, że nie miał na to żadnego porównania. Poznał to jednak niemal od razu, bo to właśnie z tym miał już do czynienia wtedy, gdy wraz z Borysem odkryli kolosalną budowlę. Wiedział zarazem, iż to coś jest starsze od niego, starsze od wszystkich żyjących ludzi, ba, jest znacznie starsze od całej ludzkiej cywilizacji. Nie dotarło to do niego słowami, ale po prostu to wiedział. Z osłupieniem chłonał tę przepotężną, oślepiającą aurę, przy której zarówno jego własna, jak i należąca do starej telepatki wydawały się jedynie nikłymi płomyczkami. To coś, poza tym, że było tak stare, było zarazem samotne, emanowało poczuciem poruszającej bezradności i smutku... A nad tym wszystkim dominowało przeważające odczucie... nie umiał określić tego inaczej: to coś po prostu było kwintesencją dobra.

I w tym momencie, w błysku krótkim niczym błysk pioruna, zrozumiał, iż nie jest to żadne urządzenie pozostawione samemu sobie w niewiadomym celu. I choć wcześniej doszli już wraz z Elsą Langerfeld do wniosku, że wewnątrz może znajdować się jakaś istota inteligentna, było to dla niego swego rodzaju wstrząsem. Uświadomił sobie nagle, że ten przepotężny ktoś istniał już wtedy, gdy rodzaj ludzki wyłaniał się dopiero z mroku niebytu gdzieś w ostępach afrykańskiego kontynentu.

Szybko jednak ochłonął, pozostawiając wolne pole do działania swojej nauczycielce. Na niej też najwyraźniej skupiła się uwaga owej niezwyklej istoty. W tej chwili on sam mógł jedynie bezradnie przyglądać się, jak – z początku ostrożnie – umysł telepatki stapia się w jakiś sposób z tym, co napotkali. Najwyraźniej oboje znaleźli jakiś nowy zarówno dla tego czegoś, jak i dla niej sposób wymiany informacji. Trwało to niezwykle krótko, ale Toby w jakiś sposób wiedział że powiedziane zostało wszystko, co było konieczne zarówno z jednej, jak i z drugiej strony.

Niespodziewanie poczuł coś w rodzaju przyjaznego dotknięcia, zupełnie tak, jakby wielka, ale delikatna dłoń poklepała go z sympatią po ramieniu. Potem ta życzliwa, przepotęźna obecność poczęła się stopniowo wycofywać, i nagle bariera – do tej pory stłamszona i złamana – wróciła na miejsce. Pchnięty jakąś niepojętą wściekłością na tę niepotrzebną przeszkodę, Toby w ułamku sekundy uderzył całą mocą swoich emocji i z taką energią, jaką był w stanie przywołać. Balansował chwilę na krawędzi równowagi, aż bariera pękła nagle, przełamana tym wściekłym atakiem. W przypiływie trzeźwości zdziwił się, że mu się to udało, i w tej samej sekundzie opłynęło go ponownie to łagodne wrażenie bliskiej, życzliwej świadomości. Gdyby miał to do czegoś porównać, uznalby to bez wahania za uśmiech sympatii.

Tak go to zdziwiło, że stracił na moment kontrolę nad mocą, którą wyzwolił i kierował. Wtedy bariera ponownie wróciła na miejsce, przerywając ostatecznie kontakt, który – mógłby przysiąc – został pomiędzy nimi na krótką chwilę nawiązany. Bezwładnie przechylił się w bok i byłby zwisł poprzez oparcie, gdyby nie czujne ręce Borysa, który błyskawicznie podtrzymał go w fotelu i zaalarmował lekarkę, czuwającą w pogotowiu.

Gdy się ocknął, pierwszym, co dostrzegł, był żebrowany i nitowany sufit kabiny pilotów. Ze zdziwieniem stwierdził, iż najwyraźniej leży na wznak na podłodze. Odwrócił głowę w bok, czując zarazem, iż przychodzi mu to z dziwnie wielkim trudem. Zupełnie jakby właśnie przed chwilą skończył bieg na trzydzieści kilometrów bez żadnych przerw. Nawet myślało mu się ciężko.

– Nie ruszaj się przez jakiś czas – powiedziała lekarka, nachylająca się właśnie nad jego odsłoniętym ramieniem. W dłoni trzymała ciśnieniową strzykawkę. Usłyszał jedynie cichy, krótki syk, gdy płynna zawartość ampułki wniknęła pod jego skórę. Nikłe pieczenie ramienia uświadomiło mu jednak, iż nie był to pierwszy zastrzyk, jaki dostał.

– Przede wszystkim glukoza – odparła lekarka na nie zadane pytanie. – No i kilka innych rzeczy, głównie na wzmocnienie. Nie miałam pojęcia, że to tak bardzo wyczerpie was oboje. Ale, co mnie trochę dziwi, z tobą jest gorzej.

Jego też to przelotnie zdziwiło. Wydawało mu się, że powinno być odwrotnie, biorąc pod uwagę różnicę wieku pomiędzy nim a jego nauczycielką. Zaraz jednak przypomniał sobie tę swoją ostatnią, rozpaczliwą szarżę, i aż uśmiechnął się do siebie na tę myśl.

Nawet nie wiedział, kiedy zasnął.

Oczy dowódcy przebiegły kolejno po ich twarzach, jakby starając się odczytać, co też mają do powiedzenia. Wiedział już z ich meldunku nadanego jeszcze z pokładu *Golfa* przez "gertrudę", iż misja zakończyła się sukcesem, co stwierdziła sama Elsa Langerfeld. Woleli jednak nie ryzykować przesyłania żadnych konkretnych informacji poprzez niepewne kanały łączności.

Beresford czekał w zasadzie wyłącznie na Elbę Langerfeld i MacBride'a. Inne osoby obecne na pokładzie okrętu desantowego tak naprawdę nie mogły mu powiedzieć niczego interesującego. Wszystkie wydarzenia, jakie miały tam miejsce, rozegrały się w sferze niedostępnej dla ich zmysłów. Również urządzenia kontrolne monitorujące na bieżąco stan fizyczny wielkiej budowli nie odnotowały żadnych anomalii.

W mesie pozostali jedynie ta dwójka, plus lekarka i sam dowódca. Beresford w duchu musiał przyznać, iż zarówno stara telepatka, jak i jego drugi pilot po zabiegach lekarki wyglądają o niebo lepiej niż wówczas, gdy ujrzał ich opuszczających dok *Ramsesa*. Choć Toby nadal

miał wyraźne sińce pod oczami, a telepatka poruszała się nieco mniej pewnie, niż zazwyczaj.

To ona jednak zaczęła mówić jako pierwsza.

– Zakładam, że chciałby się pan przede wszystkim dowiedzieć, z czym tak naprawdę mamy do czynienia – powiedziała po prostu. – A więc, ta piramida jest po prostu... schronieniem obserwatora, tak to chyba trzeba nazwać...

Urwała, jakby uznała, iż to, co powiedziała, jest już w zupełności wystarczające. Pozostała trójka wpatrywała się z nią ze zdumieniem, zaś lekarka przelotnie poczuła się zaskoczona tym, iż Toby najwyraźniej był równie zdziwiony oświadczeniem telepatki, jak ona sama. Czyżby jednak nie w pełni uczestniczył w tym, co się działo na pokładzie *Golfa*...?

– Mogłaby to pani nieco... uściślić? – spytał dowódca nieco niepewnie, w jego głosie pobrzmiwały jednak wyraźne nutki sceptycyzmu. Faktycznie, wiadomość była więcej niż zaskakująca.

– Oczywiście – telepatka skinęła głową. – Muszę jednak jeszcze coś powiedzieć: kontakt, jaki nawiązałam, był najdziwniejszą rzeczą, jaka zdarzyła mi się w ciągu całej mojej dotychczasowej działalności. Wliczając w to także kontakty z licznymi przedstawicielami ras pozaziemskich, bo i takie się zdarzały.

Zaczerpnęła powietrza i mówiła dalej, siedząc w przepastnym fotelu, którego wielkość kontrastowała z jej drobnym ciałem.

– Obiekt ten powstał, według naszej skali czasu, niemal dwa miliony lat temu, a więc obliczenia naszych naukowców nie minęły się z prawdą... Został zaś wybudowany jako miejsce chroniące obserwatora, członka pewnej rasy, działającej w tej okolicy naszej Galaktyki mniej więcej w tamtym okresie.

– Ale z czym, z kim pani nawiązała ten kontakt? – w głosie admirała dawało się wyczuć napięcie. – Bo przecież nie chce chyba pani powiedzieć, że ta istota, ten starożytny Galakt przebywa nadal wewnątrz... żywy?

– Owszem, to właśnie chcę powiedzieć – odparła spokojnie, a lekarka, słysząc to, nieświadomie pochyliła się do przodu.

– Po dwóch milionach lat? – nie dawał za wygraną Beresford. – Wybacz pani, ale to wydaje się niewiarygodne.

– Gdyby to mi opowiedział coś takiego ktoś postronny, gdybym nie przeżyła tego kontaktu sama, moja reakcja byłaby zapewne zbliżona do pańskiej – przyznała telepatka. – Jednak, gdy opowiem wszystko, czego się dowiedziałam, może zmieni pan zdanie.

– Słucham zatem.

– Ta... istota – zaczęła Elsa Langerfeld – najwyraźniej nie posiada materialnego ciała w naszym rozumieniu. Według naszych standardów, najprawdopodobniej jest nawet nieśmiertelna, a w każdym razie daleko mniej śmiertelna, niż my. Z tego jednak, co wiem, w dawniejszych czasach rasa ta nie odbiegała swoją budową fizyczną od innych gatunków zamieszkujących obecnie Galaktykę. To znaczy, posiadali ciała i to, co uznajemy za zmysły. Przekształcenie nastąpiło z ich woli, i było kolejnym etapem ich ewolucji. Tyle tylko, że zapoczątkowanym przez nich samych.

– Niewiarygodne – szepnęła lekarka. Telepatka spojrzała na nią i kiwnęła głową.

– Też tak sędzę. To daje nam pojęcie, na jakim etapie rozwoju znajdowała się ta cywilizacja. Należałoby te wiadomości skonsultować ze specjalistami od biologii, genetyki, czy ja zresztą wiem... może również z fizykami? Oni po prostu w jakiś niewytłumaczalny dla nas sposób porzucili swoje ciała, a umysły stały się czymś w rodzaju matryc odcisniętych w samej strukturze przestrzeni. Z tym zastrzeżeniem, iż matryca jest niezmienna, oni zaś mogli indywidualnie ewoluować i doskonalić się w dalszym ciągu. Stali się czystą energią psychiczną, tak można to określić. Energią niezależną od planet, atmosfery, pożywienia w naszym rozumieniu. A jednak mogącą działać także w świecie fizycznym, materialnym.

– Teraz wreszcie rozumiem – mruknął Toby, zapatrzony w telepatkę i dosłownie chłonący każde jej słowo. – To by się zgadzało z czymś, o czym niedawno mówili między sobą niektórzy z fizyków, obecnych na pokładzie. Przewidzieli coś takiego, a tego samego zdania są podobno Rahańczycy. Z naszymi uczonymi można zresztą pogadać dokładniej, szefie, jeśli uzna to pan za konieczne. Bo to

wszystko naprawdę zastanawiająco się zazębia. No i jeszcze jedno, wreszcie rozumiem tę niezwykłą siłę ESP...

– Zgadza się – przytaknęła Elsa Langerfeld. – Taka moc oddziaływania chyba niemożliwa jest do osiągnięcia przez istoty obciążone materialnym ciałem. Przynajmniej moim zdaniem.

– No dobrze – przerwał jej dowódca, podnosząc zarazem dłoń i wyraźnie myśląc o czymś intensywnie. – Ale jak to możliwe, że taka istota, choćby nie wiem jak doskonała, dotrwała do naszych czasów, że tak powiem, z niezwichrowaną psychiką? Przecież to zakrawa wręcz na cud! Zdarza się, że ludzie wariują w miejscach przymusowego odosobnienia, i to już po kilkudziesięciu latach, w dodatku mając jakieś kontakty z innymi ludźmi! A pani mi tu mówi o co najmniej dwóch milionach lat w całkowitej izolacji...?!

– To zależy od rodzaju konstrukcji psychicznej – odparła z niezmaconym spokojem, choć może było to jednak po prostu zmęczenie. – Są przecież tacy ludzie, którym zdarza się nie zwariować, nieprawdaż? Poza tym, dla niego nie były to wcale dwa miliony lat, a dużo mniej. W ciągu swego pobytu tam, nauczył się w jakiś sposób kontrolować swoje subiektywne poczucie czasu. To mniej więcej tak, jakby nagle zaczął żyć pan w zwolnionym tempie – usiłowała to wyjaśnić. – Wszystko wokół pana uwijałoby się niczym mrówki w ukropie, stanowiłoby dla pana rozmazaną plamę. W czasie, gdy inny przeżyliby dwadzieścia lat, dla pana mógłby to być przykładowo, miesiąc...

– Albo inna analogia – zauważył Toby. – Chodzi mi o podróże z prędkościami przyświelnymi. Dla astronautów może upłynąć zaledwie kilka lat, a poza statkiem – nawet miliony. Współczynnik zależy tylko od prędkości samego statku.

Beresford wciąż zdawał się mieć wątpliwości. Machnął jednak ręką.

– Niech będzie, że ten problem da się w ten sposób wyjaśnić – powiedział wreszcie. – Może i jest tak, jak pani mówi, nie wydaje się to mniej wiarygodne od całej reszty. Niepokoi mnie jednak jeszcze jedno...

Elsa Langerfeld w dalszym ciągu patrzyła nań uważnie, czekając na pytanie. Dowódca niespokojnie uderzał dłońmi o kolana, patrząc gdzieś na ścianę, wreszcie się zdecydował.

– Powiedziała pani na samym początku, że to tutaj – to schronienie obserwatora, tak...? O co tu dokładnie chodzi? Ile ten ktoś ma tu jeszcze przebywać? I przede wszystkim, co może obserwować przebywając zamknięty na dnie oceanu małej planety od dwóch milionów lat?!

Telepatka tym razem wstrzymywała się z odpowiedzią, jakby wając starannie słowa, których miała użyć.

– Wie pan, admirale – zaczęła z wahaniem – to nie jest dokładnie tak, jak pan powiedział. Gdyby wszystko poszło tak, jak powinno, on już od dawna byłby na wolności. Nastąpiła nieprzewidziana awaria urządzeń sterujących i zawiadujących piramidą. On ma wrażenie, że doszło do tego podczas stosunkowo dużego wstrząsu tektonicznego, jaki miał miejsce niedługo po tym, jak schronił się w piramidzie. Dlatego nie miał możliwości wyłączenia chroniących go urządzeń, gdy nadszedł właściwy czas. To, co miało go chronić, stało się praktycznie więzieniem.

– Nie wiadomo, czy to rzeczywiście miało miejsce – zauważył rozsądnie. – Mógł tak pani powiedzieć, a my nie mamy żadnych możliwości sprawdzenia tego, co powie. Należałoby spytać geologów, czy znaleźli ślady takiego wstrząsu z przeszłości. Poza tym, dość podejrzana wydaje mi się sama konstrukcja tego obiektu. Praktycznie forteca... nie odniosła pani wrażenia, że to jakby zbyt wiele jak na jakiś posterunek strażniczy? No i... po co mu to schronienie? Sama pani powiedziała, że to istoty niemal nieśmiertelne, a skoro to forma czystej energii...

– O ile dobrze zrozumiałam, jedynie pewnego rodzaju silne pole grawitacyjne jest w stanie skutecznie chronić ustroje postbiologiczne tego rodzaju, przed wszelkiego rodzaju wpływami zewnętrznymi. Sam pan wie przecież, że grawitacja posiada władzę także nad innymi formami energii. Dodano do tego także osłony ESP, w celu zminimalizowania możliwości jego wykrycia. – Zamilkła na moment i zaczerpnęła oddech. – Najważniejsze będzie to, co powiem teraz. Głównym powo-

dem jego odizolowania i zadbania o niewykrywalność posterunku była wojna.

– Wojna...?

– Wojna pomiędzy jego współziomkami a potęgą z zewnątrz. Z najeźdźcami. Nie wiem niemal nic na ich temat, i jego rasa, jak się zdaje, wiedziała o nich równie niewiele... Pojawili się znienacka, wyłonili się z pozagalaktycznych głębin, i zdawało się że jedynym ich celem jest fizyczne wyeliminowanie tych, których zastali. Nie oszczędzali dosłownie żadnej z ras zamieszkujących wówczas Galaktykę. Włącznie z rodakami tego, którego mamy tutaj... Jasne, że próbowali oni walczyć. Według naszych standardów dysponowali wręcz niewyobrażalną potęgą. W pewnym momencie wydawało się nawet, że szala zwycięstwa przechyla się na ich stronę. Ale walki były potworne... Zniszczeniu ulegały całe układy planetarne, gwiazdy... – Elsa Langerfeld pokręciła głową w zamyśleniu. – Wtedy nastąpiło gwałtowne załamanie. Przywódcy galaktyczni zaczęli dostrzegać, że istnieją tylko dwie możliwości: albo ucieczka i oddanie placu boju, porzucenie wszystkich mniej zaawansowanych technologicznie ras, które starali się w miarę możliwości ochraniać – albo powolna śmierć, gdy najeźdźcy będą bezlitośnie tropić i niszczyć niedobitków. To nie była pociągająca alternatywa... ale była to jedyna alternatywa.

– Uciekli – powiedział półgłosem Toby; zabrzmiało to jak stwierdzenie, a nie jak pytanie. Telepatka powoli pokiwała głową.

– Przed ucieczką pozostawili kilka placówek, takich jak ta. Nie wiem, gdzie znajdowały się inne, i nasz Galakt również tego nie wie...

Admirał przerwał jej uniesieniem dłoni. Zmarszczył brwi.

– Jak udało im się uciec? I dokąd, na miłość boską?! Skoro najeźdźcom zależało na całkowitej eliminacji...

– Nie chciał mi tego powiedzieć – powiedziała Niemka po prostu. – Odniosłam jednak wrażenie, że została tu użyta jakaś niebywale zaawansowana technologia... jest w tym coś niezwykłego. Wie pan, podczas kontaktu mentalnego można dowiedzieć się rzeczy, których druga strona wcale nie chciałaby nam powiedzieć... mam wrażenie, że oni nie uciekli w takim znaczeniu, w jakim my to pojmujemy; to

znaczy, nie oddalili się po prostu poza granice naszej Galaktyki... tu chodzi o coś innego, o coś głębszego... zupełnie, jakby wyskoczyli z naszej rzeczywistości...? Sama nie wiem, jak mam to powiedzieć...

– I udało im się?

– Najprawdopodobniej tak. Nasz strażnik miał za zadanie opuścić schronienie po określonym czasie, przeprowadzić błyskawiczną kontrolę najbliższej przestrzeni i układów gwiazdnych, po czym wyruszyć w ślad za swoimi ziomkami. Krótko mówiąc, chodziło pewnie o sprawdzenie czy najeźdźcy obrócili w perzynę wszystko, co zastali, i czy dalej panoszą się w Galaktyce po poddaniu się tych, którzy bronili się najzacieklej... No ale urządzenia zawiodły, i mamy go tutaj... i teraz...

– Tyle lat... – szepnęła lekarka. Jej słowa zawisły w ciszy.

– W ciągu tego czasu on nie stał w miejscu – telepatka patrzyła gdzieś w dal. – Rozwijał się stale i doskonalił swój umysł. Zbierał siły i w końcu uderzył, z całą siłą tej rozpacz, w którą popadł po tylu latach. Traf chciał, że znalazł tak blisko kogoś podatnego na jego oddziaływanie – rzuciła ciepłe spojrzenie drugiemu pilotowi, który z uwagą słuchał tego, co mówiła. – Ale i ja to wtedy odebrałam, i wielu z moich kolegów także. I mam wrażenie, że dotarło to również do niektórych z Galaktów obecnych w Układzie Słonecznym.

Zapadła cisza. Lekarka próbowała wyobrazić sobie swoje uczucia, gdyby okazało się nagle, że pozostała – być może – jedynym żyjącym przedstawicielem własnego gatunku. Poczowała jednak, że to ją przeraża. Toby siedział na swoim miejscu, głowę oparł na splecionych dłoniach i wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w dal. Elsa Langerfeld w tej chwili zdawała się jeszcze starsza i bardziej krucha, niż do tej pory. Coraz wyraźniej widać było po niej zmęczenie i wyczerpanie, jedynie jej oczy płonęły, świadcząc o jasnym i trzeźwym umyśle tkwiącym w słabym, ludzkim ciele. Sam dowódca z kolei siedział z głową odchyloną i opartą o wysokie oparcie wielkiego, wygodnego fotela. Dłonie splótł na karku i sprawiał wrażenie głęboko zamyślonego nad tymi wszystkimi niezwykłymi rzeczami, o których w ciągu ostatnich kilkunastu minut się dowiedział.

– A czego on w takim razie oczekuje od nas? – padło wreszcie nieuniknione pytanie, które mieli na końcu języka również drugi pilot oraz lekarka. – Nie chciał nam przecież jedynie zakomunikować, że żyje i dobrze się miewa?

Elsa Langerfeld uniosła nań swoje bladoniebieskie oczy i potrząsnęła siwą głową.

– Oczywiście, że nie. I, jak nietrudno się chyba domyślić, pragnie, abyśmy pomogli mu uwolnić się z tego straszego miejsca. Sami lub z pomocą galaktycznych sprzymierzeńców, jeśli okaże się konieczne.

Nie było to dla nikogo zaskoczeniem, bowiem każdy zdążył wziąć pod uwagę tę ewentualność. Beresford pokiwał do siebie głową, nie zmieniając wyrazu twarzy. Pochylił się jedynie nieco do przodu i splótł palce obu dłoni, aż trzasnęły stawy.

– W porządku zatem – powiedział wreszcie, nie zmieniając pozycji. – Na razie przyjmuję to, co od pani usłyszałem, choć nie wyczerpuje to wszystkich moich wątpliwości. Mam jednak propozycję: gdy tylko pani wypocznie i poczuje się na siłach, proszę sporządzić oficjalny raport i przedstawić mi go. Najlepiej na piśmie. Jeśli pani zdąży, to wolałbym go otrzymać przed naszym powrotem do Kolonii. Chciałbym mieć go ze sobą, gdy przedstawię wyniki naszej misji w dowództwie. Bowiem oczywiście nie ma nawet mowy o jakichkolwiek dalszych działaniach w tej sytuacji. Musimy przedstawić admirałowi Ramirezowi i jego sztabowi wszystko, co zdołaliśmy ustalić, a dalsze kroki nie zależą już niestety od nas. Mam nadzieję, że mnie rozumiecie.

– Tak będzie najlepiej – zgodziła się telepatka. – Ale nie będzie pan musiał czekać na mój raport tak długo. Myślę, że jutro, najdalej pojutrze rano, będzie go pan miał na biurku.

– Nie ma się co tak spieszyć – dowódca uniósł dłoń uspokajająco. – I tak musimy tu jeszcze poczekać co najmniej kilkanaście godzin, aż przybędą na miejsce dwa okręty, które od tej pory będą pełniły stałą straż w tym rejonie. Potem dopiero wrócimy do Kolonii...

Toby odprowadzał telepatkę do jej kabiny gościnnej, widząc zarazem, jak dowódca wraz z lekarką wchodzi do wagonika kolejki

magnetycznej, a drzwi się za nimi zamykają. Mieli coś do załatwienia na mostku.

Pomyślał sobie, że musi pogadać z Carol, i to koniecznie. W natłoku zajęć i wydarzeń, jakie kłębiły się wokół nich w ciągu ostatnich dni, mieli zaledwie tyle czasu, aby rzucić sobie w przelocie krótkie "cześć" i niewiele więcej. Nawet przy śniadaniu w mesie nie mieli okazji porozmawiać choć przez chwilę. Grafik bowiem ułożony był akurat tak, że ich wachty nie pokrywały się ze sobą, i wstawali o różnych porach. Postanowił, że postara się złapać ją przez komunikator zaraz po powrocie do kabiny.

– Toby, chciałam ci powiedzieć, że jestem z ciebie dumna – powiedziała nagle cichym głosem Elsa Langerfeld, idąca do tej pory obok niego. Spojrzał na nią zdziwiony, a ona uśmiechnęła się do niego samymi oczami. – Chodzi mi o to, czego dokonałeś na samym końcu. Sam, bez pomocy z zewnątrz, przełamałeś tę barierę... to było wielkie.

– Sam nie wiem, jak mi się to udało – odparł, wyraźnie speszony, i lekko się zaczerwienił. – Tak szczerze mówiąc, chyba największa w tym zasługa wściekłości, jaka mnie wtedy ogarnęła. Nie kontrolowałem swoich emocji.

– To doświadczenie wiele cię nauczyło – stwierdziła raczej, niż zapytała. – Sama to widzę. I chciałam ci jeszcze podziękować, za twój udział w tym wszystkim.

– To była dla mnie prawdziwa przyjemność, wielka frajda i zaszczyt, że pani mi na to w ogóle pozwoliła – powiedział z głębi serca. – To ja pani dziękuję...

Skinieniem głowy przyjęła to, co powiedział. Zatrzymali się już przed drzwiami jej kabiny, ale ona nie wchodziła jeszcze do środka. Stała tak i patrzyła na niego, unosząc przy tym głowę w górę, o tyle był wyższy od niej. Wreszcie sięgnęła do małej, obszytej koronką kieszonki, wydobyla z niej coś i podała mu to na swej drżącej, pomarszczonej dłoni.

MacBride spojrzał, zrozumiał, co widzi i poczuł nagle, że ogromne wzruszenie ścisnęło mu gardło i nie pozwala wypowiedzieć ani jednego słowa.

– Weź to – powiedziała po prostu. – Przeszedłeś już swój chrzest bojowy i uważam, że masz pełne prawo, aby nosić coś takiego. Może nie jest zrobiony najpiękniej, ale nie miałam gotowego, i robiłam to sama...

Niewielki emblemat zrobiony był z małego kawałka ciemnego aksamitu, na którym dość niezdarnym ściegiem wyszyte były trzy złote, koncentryczne okręgi; pod nimi lśniły trzy gwiazdki.

– Noś to z dumą – rzekła, a usta jej drżały. – I nie zapomnij, kim się stałeś.

Stał w miejscu jeszcze kilka długich chwil po tym, jak drzwi się za nią zamknęły. Potem, niczym we śnie, powoli poszedł długim na niemal trzysta metrów korytarzem w stronę kabin oficerskich.

Morris Duvall odchylił się do tyłu na swoim krześle i patrzył na ekran monitora. Jego palce trwały nieruchomo, zawieszone nad holograficzną klawiaturą, w oczekiwaniu na uzyskanie połączenia, które polecił nawiązać komputerowi.

Spojrzał jeszcze raz na rysunek trwający w powietrzu nad blatem bocznego monitora. Promieniste linie i serie kwadracików z kropkami w środku intrygowały go już od pierwszej chwili, gdy zetknął się z montażem sprytnie zrobionym przez Kristensena. Przez parę dni nie mógł sobie uświadomić, co mu to wszystko przypomina, aż nagle – było to jak nagły błysk w jego czaszce – skojarzył. Z głębin niepamięci wyłoniło się coś, co dawno temu, gdy jeszcze studiował astrofizykę w Paryżu, zobaczył w albumie opisującym podbój Układu Słonecznego przed Kontaktem. Była to tabliczka umieszczona w obiekcie kosmicznym, który jako pierwszy opuścił okolice ziemskiego Słońca i pomknął w pustkę międzygwiazdnych przestrzeni. Na niej było coś podobnego, i wiedział też, w jakim celu ludzie to tam umieścili...

Teraz jednak, aby potwierdzić lub obalić swoje przypuszczenia, potrzebował czegoś, czego nie zawierały nawet potężne banki danych

systemów informatycznych wielkiego okrętu. Potrzebował szczegółowej przestrzennej mapy całej Galaktyki.

Na ekranie pojawiło się znajome logo ze złocistą, stylizowaną literą C. Zaraz potem ukazała się twarz młodej dziewczyny w standardowym uniformie Obserwatorium Orbitalnego *Copernicus*. Nie kryła zdziwienia dość niezwykłą prośbą, ale po kolejnym, krótszym już okresie oczekiwania, poszukiwany plik danych dotarł wreszcie do *Ramsesa* za pośrednictwem kilku satelitów i boi transmisyjnych.

Teraz się zawahał. Jeśli jego przypuszczenia nie były tylko warty funta kłaków wymysłem, owe promieniście rozchodzące się linie oznaczały pozycję jakiegoś galaktycznego obiektu – gwiazdy, planety bądź jeszcze czegoś innego – względem pewnych charakterystycznych obiektów w przestrzeni kosmicznej. Linie oznaczały odległości do nich, zaś faktyczne odległości – zdaniem Duvalla – były ukryte w owych kwadracikach, których po dwie grupy były przyporządkowane każdej z linii. W każdym kwadraciku było po kilka punktów, i to mogły być kolejne cyfry pewnej większej liczby. Zaś druga grupa kwadracików mogła oznaczać liczby po przecinku.

Duvall polecił komputerowi okrętu rozwinąć w swej przepastnej pamięci mapę Galaktyki. Jak się dowiedział od dziewczyny z personelu stacji orbitalnej, mapa ta była już uzupełniona danymi uzyskanymi z galaktycznych banków informacji. Tym lepiej, pomyślał, rzucając od czasu do czasu w mikrofon kilka słów poleceń dla komputera. Postanowił dla wygody zamienić kropki w kwadracikach na normalnie, w systemie arabskim zapisane liczby. Szło dość żmudnie, w dodatku nie wiedział przecież, w jakich jednostkach twórcy osobliwej mapki wyrażali odległość – aż do momentu, gdy przy jednej z linii trafił na tylko dwa kwadraciki oddzielone większą przerwą, z których pierwszy zawierał tylko jedną kropkę, drugi zaś był pusty. Zamarł na chwilę, po czym niespodziewanie szeroki uśmiech wypłynął mu na twarz.

– Skubańczy – mruknął do siebie. No tak, to zaczynało mieć ręce i nogi. Jeden koma zero. To jest odległość wzorcowa, stanowiąca podstawę do opisanie wszystkich innych, które są jej wielokrotnościami. W ten sposób można będzie już stworzyć przestrzenny model położenia względem siebie owych tajemniczych obiektów będących punkta-

mi odniesienia. Następnie zaś da się – odpowiednio manipulując skalą obrazu – dopasować ów model do faktycznej sytuacji ukazanej na gwiazdnej mapie Galaktyki.

Gdy skończył z liczbami, musiał domyślić się z kolei, jaki typ obiektów kosmicznych twórcy piramidy wybrali, aby posłużyć się nim w tym wypadku. Musiało być to coś charakterystycznego. W grę mogły wchodzić chociażby gwiazdy zmienne. Albo też pulsary, stanowiące swego rodzaju kosmiczne radiolatarnie. Wybór był dość duży...

Z westchnieniem zabrał się do dalszej pracy, zapowiadającej się coraz żmudniej, niemniej wciągającej go coraz bardziej. Ale i tak nie miał w chwili obecnej niczego lepszego do roboty, gdy *Ramses* spoczywał nieruchomo. Na wstępie zatem wyeliminował gwiazdy zmienne zaćmieniowe, gdyż zmiany w ich blasku zależały od położenia obserwatora względem takiego układu. Przykładowa zmienna zaćmieniowa, choćby typu Algola, obserwowana w Układzie Słonecznym, mogła wcale nie być zmienną gdy patrzono na nią z innego punktu Drogi Mlecznej. Wyłączył również z rozważań gwiazdy wybuchające lub zmieniające blask w sposób nieregularny, a więc wszystkie typy Nowych, nowopodobnych i rozbłyskowych. Poprzestał na typowych zmiennych, których zmiany blasku spowodowane były procesami fizycznymi zachodzącymi wewnątrz samej gwiazdy. W połowie pracy jednak zorientował się, iż nawet po wyeliminowaniu tamtych pozostanie mu tak potwornie wielka ilość gwiazd, że nie zdoła sobie z tym poradzić sam. Nakazał więc komputerowi zaznaczyć na mapie Galaktyki najbardziej charakterystyczne zmienne, przede wszystkim cefeidy i – po krótkim wahaniu – zmienne długookresowe. Zajaśniały one, mrugając miarowo, a Droga Mleczna okazała się dosłownie upstrzona błyskającymi plamkami. Było ich wręcz niewiarygodnie wiele...

Następnie trójwymiarowy model sporządzony na podstawie rysunku Duvall polecił nałożyć na otrzymany przestrzenny układ gwiazd zmiennych. Potem wreszcie – odpowiednio zmieniając skalę, przemieszczając i obracając względem siebie oba modele – komputer począł szukać zbieżności.

Dwie minuty później nawigatorowi zrzęła mina. Okazało się, iż istnieje dość spora ilość kombinacji pasujących do modelu z piramidy. No tak, pomyślał, zły na samego siebie. Parę milionów gwiazd zmiennych na pewno da się ułożyć tak, aby pasowały do niemal każdego modelu złożonego z zaledwie kilkunastu obiektów... Tych zmiennych jest zbyt dużo!

Czyli trzeba sięgnąć po obiekty kosmiczne równie charakterystyczne, jednak dużo mniej liczne. Pulsary narzucały się wręcz nachalnie.

Miał już wprawę, więc komputer szybko wyróżnił wszystkie znane pulsary na obrazie Galaktyki, obracającym się powoli nad wielkim blatem holomonitora. Rzeczywiście, było ich znacznie mniej. I odpowiednio krócej trwało sprawdzanie zgodności ich położenia z modelem. Wynik jednak przyprawił Duvalla o niemałą frustrację. Zdaniem komputera, nie było takiej przestrzennej kombinacji znanych pulsarów, która odpowiadałaby jego modelowi.

Westchnął, odchylił głowę do tyłu i zamknął na moment oczy. Starał się wczuć w myśli tajemniczych budowniczych tajemniczego monumentu, gdy przed tysiącami lat pozostawili na jednej z jego ścian tę zagadkę. Ona musiała mieć rozwiązanie, a Duvall z jakiegoś powodu był coraz bardziej przekonany o tym, iż jego tok rozumowania w ogólnym przynajmniej zarysie jest prawidłowy.

Zaraz... Przed tysiącami lat...?

Wydał dziki okrzyk i polecił komputerowi sprawdzać zgodność rzeczywistości z modelem, "cofając" w czasie Galaktykę w odstępach tysiącletnich. Było to możliwe, gdyż w danych otrzymanych z *Copernicusa* uwzględniono prędkość własną niemal każdej z ponad dwustu miliardów gwiazd Drogi Mlecznej. Znając zaś te prędkości i wzajemne oddziaływanie grawitacyjne obiektów w czasie, można było obliczyć, jakie pozycje zajmowały względem siebie ciała niebieskie nawet w odległej przeszłości. Czekając na wyniki pracy systemu, Morris w duchu dziękował za to, że ma do swojej dyspozycji zaawansowane komputery kwantowe – bo w tak potężne urządzenia informatyczne Kolonia zdecydowała się wyposażyć *Ramsesa*. Niewiele systemów komputerowych na Ziemi potrafiłoby poradzić sobie z takim zadaniem

w możliwym do zaakceptowania czasie. To było wszak zagadnienie ruchu olbrzymiej liczby ciał, oddziałujących wzajemnie na siebie...

Mina mu jednak zrzedła, gdy komputer doszedł do trzynastu milionów lat w przeszłość i w dalszym ciągu sygnalizował, że nie znalazł niczego godnego uwagi. Nawigator dla świętego spokoju odczekał kilkadziesiąt sekund, aż cyferki pokazały piętnaście milionów lat, po czym krótkim warknięciem w mikrofon kazał przerwać pracę. Miał wielką ochotę trzasnąć w cokolwiek pięścią.

Zamiast tego zapisał wyniki dotychczasowej pracy do pliku, po czym wstał, wyłączył terminal, przeciągnął się i poszedł na siłownię.

Obszerna, przeszklona, acz niespodziewanie przytulna sala obrad, mieszcząca się niemal na samym szczycie Wieży Świata, mogła pomieścić nawet sto osób, gdy było to konieczne. W tej jednak chwili nie była wypełniona nawet w jednej czwartej. Zebrani, wśród których obecni byli nie tylko ludzie, skupieni byli przy jednej części wielkiego stołu konferencyjnego, u którego szczytu miejsce zajmował wysoki, siwowłosy mężczyzna. Jego zmęczoną twarz, przedwcześnie pobrudzoną głębokimi zmarszczkami, znali wszyscy: był to prezydent UNE, Maurice Rees. Po jego bokach, niczym osobliwa straż przyboczna, tkwili ministrowie najważniejszych resortów. Zostali oni wezwani na to spotkanie już po kilku minutach rozmowy w cztery oczy z rahańskim ambasadorem.

Niespodziewana konferencja trwała już od ponad godziny. Ze strony Galaktów, oprócz samego ambasadora Klanu Rah, przybył jeszcze ambasador Dayoou oraz kilku asystentów i doradców. Również oni wydawali się zaniepokojeni; nie należało się jednak dziwić, biorąc pod uwagę to, co omawiali. Cóż za bagno, pomyślał smętnie minister obrony, nieświadomie splatając palce, aż trzasnęły stawy. Cóż za cholerne bagno!

Zerknął na twarz prezydenta, która okazała się jednak nadspodziewanie spokojna.

– W chwili obecnej kilka klanów oraz sojuszy w dużym pośpiechu gromadzi siły ekspedycyjno-inwazyjne – mówił akurat rahański ambasador, od czasu do czasu zerkając w swoje notatki. – Takie działania w chwili obecnej wydają się czymś co najmniej dziwnym, jako że żaden z tych klanów nie jest zaangażowany w żaden poważniejszy konflikt militarny. Prawdę mówiąc, sytuacja na arenie galaktycznej jest niespotykane stabilna, poza oczywiście kilkoma lokalnymi konfliktami o niewielkim znaczeniu. To, co nas niepokoi, to fakt, że wszystkie te klany zaliczane są do najbardziej fanatycznych i ortodoksyjnych...

– Być może spowodowane jest to czymś, o czym jeszcze nie wiemy – wtrącił niepewnie ambasador Dayoou. – Może zaistniała jakaś przyczyna, dla której oni zamierzają włączyć się do któregoś z tych lokalnych konfliktów?

Rahańczyk zacisnął swe wąskie wargi.

– Z tego, co otrzymujemy od naszych źródeł dyplomatycznych, wynika niestety coś innego. – Nikt na sali nie wątpił, że pod pojęciem "źródeł dyplomatycznych" kryje się po prostu wywiad rahański, znany ze swej finezji i skuteczności działania.

– Prezydent UNE – kontynuował ambasador – poinformował mnie niedawno o niebywałym znalezisku, jakiego dokonała załoga jednego z ziemskich okrętów podwodnych w głębinach jednego z oceanów...

Nie dodał jedynie, że oficjalnie ziemski rząd powiadomił o wszystkim Rahańczyków zaledwie dzisiejszego ranka. Wcześniej dał jednak odczuć Reesowi, jak niewłaściwe było zatajanie takich wiadomości przed sojusznikami.

Potem minister obrony krótko opisał znalezisko, ilustrując to zarazem filmami i zdjęciami. W pewnym momencie, gdy na wielkim ekranie ukazał się wielki symbol wyryty na ścianie piramidy, dojrzał wyraźne poruszenie pośród nieziemców. Nie miał jednak czasu zastanowić się nad tym, bo do głosu ponownie doszedł rahański ambasador. Najwyraźniej to jego właśnie wszyscy – nie wyłączając obecnych na sali Galaktów – uznali za najważniejszą w tej chwili osobę na sali.

– Nie ulega wątpliwości, że jakimś sposobem wieść o tym niewiarygodnym artefakcie wydostała się poza Ziemię – zawiesił na chwilę głos pozwalając, aby wszyscy uświadomili sobie konsekwencje tego faktu. – Niestety, ziemski system bezpieczeństwa został najwyraźniej zinfiltrowany, albo też po prostu nie zachowano elementarnych środków ostrożności.

Minister obrony poczuł, jak zimne ciarki wędrują mu wzdłuż grzbietu. Te słowa mogły poważnie zachwiać jego pozycją. Poza tym, pomyślał pośpiesznie, to właśnie do mnie będzie należało wykrycie kanału, jakim ta informacja w ogóle wydostała się poza zainteresowane kręgi rządowe. Przecieki musiał nastąpić u nas, i to zaraz po pierwszych raportach o znalezisku. Nieciekawa sprawa, i na dodatek stawiająca mnie w wątpliwym świetle...

Na szczęście smukły Galakt poprzestał na tych kilku słowach krytyki pod adresem jego departamentu.

– Biorąc pod uwagę to wszystko, musimy niestety założyć, iż owe działania podejmowane przez fanatyków mają na celu rozpoczęcie zakrojonej na dużą skalę operacji wojskowej na terenie Układu Słonecznego. – Te słowa trzasnęły w zebranych jak biczem. – Traktujemy to w chwili obecnej jako pewnik. Celem tych działań będzie niewątpliwie przejęcie kontroli nad odnalezionym artefaktem...

– Co w nim jest takiego szczególnego, na miłość boską? – nie wytrzymał któryś z członków ziemskiego rządu. – Co może uzasadniać taką zmasowaną napaść?!

Rahańczyk przyjrzał mu się spokojnie i jakby ze smutkiem swoimi wydłużonymi, fiołkowymi oczami.

– Ten obiekt bez najmniejszych wątpliwości został stworzony przez Przedwiecznych – powiedział po prostu. – Symbol wryty na jednej z jego ścian mówi o tym wyraźnie; jest to znak ich kultury...

W tym momencie obecni w sali Ziemianie wykazali jeszcze większe zainteresowanie. Admirał Ramirez, również wezwany na tajne posiedzenie, aż wychylił się do przodu w swym fotelu; spośród obecnych tu ludzi, on chyba był najlepiej zorientowany w tej sprawie. Osobiście odbierał przecież pierwszy raport admirała Beresforda. I wszyscy, od

samego początku, bardzo chcieli wiedzieć, co oznacza, czy też symbolizuje, ów znak, jakby wyryty na kamiennej ścianie obiektu.

Odpowiedź była mniej zaskakująca, niż gdyby usłyszał ją jeszcze wczoraj. Jednak tej nocy otrzymali najnowsze wieści z *Ramsesa*, informujące ich po pierwsze o przybliżonym wieku tajemniczego obiektu, po drugie zaś – i to było najbardziej niewiarygodne – donoszące iż wewnątrz znajduje się żywy przedstawiciel inteligentnej rasy. W dodatku zaś takiej rasy, która najprawdopodobniej wyginęła grubo ponad półtora miliona lat temu. Tak więc informacja Rahańczyków, iż okrąg z wpisanym trójkątem przypisuje się kulturze mitycznych Przedwiecznych, nie wywarł już na nim większego wrażenia. W gruncie rzeczy nawet parę razy dość mgliście pomyślał o czymś podobnym...

– Możliwe jednak, że fanatycy nie zdecydowaliby się jednak na tak radykalne działania – mówił dalej ambasador – gdyby nie jeszcze jeden fakt. Mianowicie, ostatnie doniesienia z terenu znaleziska mówią o nawiązaniu kontaktu z żywą istotą przebywającą we wnętrzu obiektu od momentu jego powstania.

Ramirez, sam nie zaskoczony, czekał na reakcję reszty zgromadzenia. Zdumienie najwyraźniej wręcz otumaniało słuchaczy.

– Chęć przejęcia kontroli nad tą istotą stała się silniejsza od chęci przestrzegania praw Wspólnoty. Natychmiast oczywiście powiadomiliśmy Instytuty Galaktyczne, jednak najprawdopodobniej na ich pomoc Ziemia nie będzie mogła liczyć przed upływem kilku ziemskich miesięcy. A wtedy może być już za późno.

Ramirez zerknął odruchowo na prezydenta, a następnie ministra obrony. Obaj jednak nie wyglądali na załamanych czy choćby zrezygnowanych, co trochę poprawiło jego nastrój. Musiało być coś, o czym oni już wiedzieli, a on jeszcze nie.

Pokłady *Ramsesa* świeciły pustkami. Wielki okręt już czwarty dzień tkwił u jednego z nabrzeży w porcie wojennym Drugiej Floty u południowo-zachodnich wybrzeży Pancake. Większość członków załogi skorzystała z nieoczekiwanego, acz owacyjnie przyjętego za-

rządzenia dowództwa, na mocy którego mieli prawo do pięciodniowego urlopu, który mogli wykorzystać, jak im się tylko żywnie podobało. Jedynym ograniczeniem było tylko zachowanie bezwzględ- nego milczenia co do wydarzeń z dwóch ostatnich rejsów okrętu. Ton dowódcy, gdy im to oznajmiał, nie pozostawiał wątpliwości co do losu, jaki miał spotkać każdego, kto spróbowałby złamać ów zakaz.

– W takim wypadku utracę dowództwo, oczywiście – oznajmił spokojnie podczas ostatniej odprawy w mesie. – Ale najpierw osobiście wypatroszę tego, kto się do tego przyczynił. Zrobię to tępym nożem. – Zamyślił się na chwilę. – I bez znieczulenia.

Morris Duvall leżał na podłodze swojej kabiny przy zgaszonym świetle, wsłuchany w dźwięki płynące z rozmieszczonych wokół głośników. Oczy miał zamknięte, i wydawał się całkowicie pogrążony w otaczającej go muzyce. Była to jego ulubiona pozycja przy odpoczynku, i również leżąc na podłodze najlepiej mu się rozmyślało, czytało książki i słuchało muzyki. Zaś trzeci akt *Toski* Giacomo Pucciniego zawsze porywał go swą wielkością. To zaś było wykonanie jedyne w swoim rodzaju, jeszcze z ubiegłego wieku. Nazwiska, które pamiętano do dziś...

Duvall pozostał na okręcie. Nie miał dokąd pójść, a raczej nie bardzo chciało mu się wziąć udział w kolejnej rozpasanej imprezie, jaką zaplanował sobie Johnson na czas pobytu poza okrętem. Sonarzy- sta nawet nie nalegał nań zbyt natarczywie, wystarczająco długo znał już bowiem nawigatora, aby wiedzieć, w jakim nastroju jest obecnie przyjaciel. Wziął zatem ze sobą doborową kompanię zabijaków, i teraz zapewne hulali po kolejnych lokalach centrum Pancake, im gor- szych, tym lepiej. Alkohol lał się pewnie strumieniami, przeplatany lżejszymi dragami i niewyszukanym seksem. W tej chwili to jednak Duvalla nie pociągało. Wolał pozostać tutaj, mieć czas na spokojne rozmyślenia i – być może – dojście wreszcie do jakichś wniosków w kilku sprawach.

Zastanawiał się nad swoim stosunkiem do świata. Nad swoim stosunkiem do ludzi, w tym do przyjaciół... Nie miał ich wielu. John- son był świetnym kumplem do wypitki, do zabawy. Jednak gdy chciał sobie szczerze z kimś porozmawiać – co nie zdarzało się zresztą

często – wołał towarzystwo choćby Carol i Svena. W gruncie rzeczy – doszedł z pewnym zaskoczeniem do tego wniosku – chyba w ogóle nie lubił zbyt dużo rozmawiać z ludźmi. I czyżby dlatego, niemal wbrew sobie, przybierał pozę twardziela? Półinteligenta z ogoloną czaszką, kolczykami, tatuażami na przedramionach i bezustannie żującą gumę... Twardziela pozbawionego głębszych uczuć, którego równie trudno było urazić, jak i wzruszyć.

Sam już nie wiedział, czy była to jakaś pozycja obronna względem świata i innych ludzi, czy też chodziło o coś innego. Coś w jego duszy kazało mu dostosowywać się do tego osobliwego wizerunku. Parę razy chciał nawet pójść do doktor Hounsfield, która – jak wiedział – była naprawdę dobrym psychologiem, ale za każdym razem coś go jednak powstrzymywało. Może, gdyby ona nie była kobietą... miał wrażenie, że rozmowa z psychologiem-mężczyzną bardziej by mu odpowiadała.

Był pogrążony w myślach i jednocześnie zasluchany w muzykę tak bardzo, że nie usłyszał, jak dźwięczy sygnał przy drzwiach wejściowych do jego kabiny. Dopiero smuga światła, która padła na jego twarz z korytarza, spowodowała, że gwałtownie otworzył oczy i poderwał się do pozycji siedzącej. W pierwszej chwili mrużył oczy, nie mogąc rozpoznać dwóch ciemnych postaci, niewyraźnie majaczących na tle jasnego prostokąta otwartych drzwi.

– Kabina, światło – mruknął, ale jego głos utonął w powodzi dźwięków. Sięgnął dłonią do konsoli i muzyka umilkła. Zaraz potem zapłonęły lampy.

– Cześć, Morris – powiedziała Carol ciepło, patrząc na niego z sympatią. Stojący obok niej Sven uniósł w górę butelkę szampana. Morris stał tylko i patrzył na nich.

– Przeszkadzamy ci? – zaniepokoił się Szwed wreszcie, rozglądając się po kabinie. – Jeśli tak, to...

– Nie, w porządku – zmusił się do jak najnormalniejszego tonu. Cóż mógł zrobić innego. – Wejdźcie. Co to, szampan? Jakaś specjalna okazja...?

Umre, jeśli powiedzą, że zamierzają się pobrać, pomyślał melancholijnie.

– Tak jakby – uśmiechnęła się Carol, a jemu niemal stanęło serce.
– Jutro i tak kończy się urlop, więc pomyśleliśmy po prostu, że miło by było spędzić ten czas z tobą, zwłaszcza że w przyszłym tygodniu mija kolejna rocznica naszego zaokrętowania się na *Ramsesa*. Pamiętałeś o tym? Ale w przyszłym tygodniu może nie być czasu na szampana...

Usiedli wygodnie.

– Nigdzie nie wyszłiscie? – zdziwił się. – Przecież na pokładzie zostało tylko kilka osób. Mam wrażenie, że chcieliście bawić się gdzieś w centrum?

– Wróciliśmy. Spotkaliśmy po drodze Toby'ego i Yosha. Początkowo mieli zamiar polecieć do Londynu, odwiedzić dziadków Toby'ego, ale okazało się, iż wszelkie wycieczki poza wyspę są zakazane. Cholera wie czemu...

– Pewnie chodzi o to, by w razie potrzeby załoga mogła się stawić na okręcie w ciągu kilkunastu minut – wzruszyła Carol ramionami. – Przecież każdy ma przy sobie komunikator.

– A co z dowódcą i doktor Hounsfield? – zaciekał się Duvall mimo woli.

– Zmyli się po cichu z pokładu – uśmiechnął się Sven. – Pewnie bawią się teraz w najlepsze w jednym z tych luksusowych pensjonatów w północnych dzielnicach.

– Podobno Elsa Langerfeld weźmie udział w kolejnej wyprawie do wielkiej piramidy, jeśli tylko taka dojdzie do skutku, słyszeliście o tym...?

Siedzieli tak więc, gawędząc przyjaźnie o wszystkim i o niczym. Po wypiciu szampana dosłownie znikąd pojawiła się butelka wymienitego Chateaufort Du Pape, wyczarowana przez Svena, a także krewetki, żółty ser i słone paluszki. Zaśmiewali się z doboru zakąsek, co sprawiało, że smakowały jeszcze bardziej. Morris ze zdziwieniem stwierdził nagle, że naprawdę jest rozluźniony i wesoły, i w gruncie rzeczy cholernie cieszy się z tego, że przyszli do niego akurat tego wieczoru.

W pewnym momencie Carol, wracając z toalety, wzięła swój kieliszek z biurka, na którym go zostawiła. Jednakże wypity alkohol

sprawił, że odrobinę się zatoczyła, chcąc zaś utrzymać równowagę wykonała dość gwałtowny gest i zrzuciła z biurka niewielki stosik kartek. Morris rzucił się, samemu już nie wiedząc, czy chce łapać kartki, czy podtrzymać Carol, i z głuchym łupnięciem zderzyli się głowami. Chwilę później siedzieli obok siebie na podłodze i zaśmiewali się do utraty tchu, obmacując swe obolałe czaszki. Wreszcie Carol sięgnęła po rozsypane kartki, ułożyła je w równy stosik i już zamierzała położyć je na miejsce, gdy coś przyciągnęło jej uwagę.

– Hej, a co to? – spytała wesoło, trzymając je w jednej ręce, drugą zaś masując sobie głowę. – Po co ci to? Czy to nie jest rysunek z tej cholernej piramidy...?

Duvall skrzywił się. Prawie zdążył zapomnieć o swoich nieudanych próbach rozwikłania zagadki. Choć bowiem wydawała się z początku w miarę prosta, koniec końców musiał się wszak poddać. Carol jednak nalegała, wzruszył więc ramionami i opowiedział im o swoich zmaganiach z gwiazdami zmiennymi, pulsarami i odległościami w Galaktyce.

W miarę słuchania Sven zdawał się coraz bardziej zapalać do koncepcji nawigatora.

– I co? – spytał wreszcie podniecony. – Zostawiłeś to tak po prostu? Według mnie to ma sens!

– Niestety, według naszych komputerów jednak nie – mruknął cierpko Duvall. – Cofnąłem Galaktykę w czasie o dobrych paręnaście milionów lat, i guzik. Tu musi chodzić o coś innego...

– Pokaż to – zażądał kategorycznie Sven. Wziął do ręki kartki i począł je z uwagą przeglądać. Morris chwilę patrzył na niego, wreszcie podniósł się i pomógł wstać Carol. Dolał wina do kieliszków, potem wspólnie doszli do wniosku, że napiliby się kawy. Kawy jednak w kajucie już nie miał, musiał zatem skoczyć do mesy.

Gdy wrócił, Carol właśnie cichutko włączyła przerwana *Toskę*, sonarzysta zaś w dalszym ciągu siedział wpatrzony w notatki nawigatora. Duvall włączył ekspres, woda cicho zaczęła szumieć, wyjął z szafki trzy filiżanki, i wtedy Kristensen odezwał się po raz pierwszy od długiego czasu.

– Przyjajeś, że te punkty w kwadracikach to liczby?

– Uhm.

– W dwóch grupach, czyli że druga grupa oznacza cyfry po przecinku?

– Zgadza się. Potem zamieniłem to na normalne liczby, dziesiętne. Tak było łatwiej, to znaczy mnie tak bardziej pasowało.

Sven kiwnął głową i zmarszczył brwi.

– Zamieniłeś na dziesiętne... – zaczął z wahaniem. – No tak, w ten sposób faktycznie jest łatwiej. To istotnie mogą być liczby. Kwadraciki, w każdym kropki, dostrzegalne dla każdej istoty obdarzonej zmysłem wzroku...

Carol podniosła się i zajrzała mu przez ramię. Długo patrzyła na kartkę.

– Małe te liczby – zauważyła. – Chociaż nie, są i większe. Te kwadraciki kojarzą mi się z kostkami do gry – zachichotała. – Od jeden do sześciu... chociaż nie, tu jest tylko do pięciu...

– Co od jeden do sześciu? – spytał nieufnie Kristensen, odwracając się do niej.

– Nie widziałeś nigdy kości do gry? – zdziwiła się. – W każdym kasynie...

– Poczekaj – przerwał jej, a Duvall z nagłym błyskiem w oku podszedł do niego. Spojrzeli po sobie, a Sven uniósł znacząco brwi.

– Ona ma rację – mruknął. – Popatrz, w żadnym z tych kwadracików nie ma więcej, niż pięć kropek. Jesteś pewien, że...

– Baran ze mnie – zaklął pod nosem Duvall. – Jak idiota zasugerowałem się systemem dziesiętnym... no oczywiście. To równie dobrze może być zapis w szóstkowym. Niech to szlag!

Włączył terminal i wywołał swój program, zachowany w pamięci przed kilkoma dniami. Jego palce błędziły po holograficznej klawiaturze.

– Potrzebna jest tylko procedura konwersji tych liczb na system szóstkowy, a dopiero potem na nasz, dziesiętny – mruczał pod nosem. – Później wystarczy jedynie podstawić nowe dane jako odległości, i zacząć wyszukiwanie zgodności modelu z rzeczywistym położeniem gwiazd...

Kilkanaście minut później, czując dreszczyk emocji, czekali na wynik. Morris zastygł z dłońmi uniesionymi nad klawiaturą, niczym wytrawny pianista przed mającym się rozpocząć koncertem. I wszyscy drgnęli równocześnie, gdy znienacka rozległ się krótki dźwięk, a widniejący na monitorze obraz roziskrzonej Galaktyki zamarł nagle w bezruchu.

W nabożnym niemal skupieniu, niczym zaczarowani zapatrzyl się w to, co mieli przed oczami.

– Milion dziewięćset czterdzieści tysięcy lat temu – powiedział Sven Kristensen zachrypniętym głosem. – Jasna cholera, to się zgadza z tamtym wynikiem uzyskanym przez geologów...

– A gdzie to jest? – zainteresowała się przejęta Carol. – Jak daleko od Ziemi?

– Momencik – mruknął Duvall, odczytując dane z monitora. – W tej chwili mamy tu sytuację sprzed prawie dwóch milionów lat. Zaraz sprawdzę, gdzie to jest teraz... o, jest. Niemal osiem tysięcy lat świetlnych. W konstelacji Strzelca, czyli dużo bliżej centrum Galaktyki, niż się znajdujemy. Zwykła gwiazda klasy widmowej K1, czyli tak zwany pomarańczowy karzeł ciągu głównego. Mniejszy i chłodniejszy od naszego Słońca. Według danych z *Copernicusa*, ma nawet układ planetarny...

Długo milczeli, sącząc powoli wyśmienite wino i patrząc na świetlisty dysk Galaktyki wirujący powoli nad blatem monitora. Wreszcie padło pytanie, które każde z nich sobie zadawało w duchu.

– Dlaczego akurat system szóstkowy? – spytała Carol.

– Mieli po trzy palce u każdej ręki – mruknął Duvall, na wpół żartem, na wpół serio. Sven popatrzył na niego, po czym bez przekonania pokiwał głową.

– Może i tak... człowiek w końcu posługuje się systemem dziesiętnym właśnie dlatego, że u obu rąk ma dziesięć palców. Ale...

Urwał i pokręcił do siebie głową.

– Naprawdę tak myślicie? – spojrzała na nich Carol, a gdy nie doczekała się odpowiedzi, oparła brodę na dłoniach. – No i co z tym teraz zrobimy?

– Powiemy Beresfordowi – zdecydował Sven. – Ja także mam coś, co chyba powinienem mu powiedzieć, już niech on zdecyduje, co z tym zrobić. Co ty na to, Morris?

– Wiem jedno – odparł ten ożywionym nagle głosem. – Jeszcze mamy urlop, nie? Więc ja dzisiejszej nocy na pewno nie spędzę na okręcie.

Kosmos

Wielki amfiteatr pod gołym niebem w obecnych czasach wykorzystywano dość rzadko. Jego historia sięgała czasów tak odległych, iż jedynie znawcy starożytności mogli o nich cokolwiek opowiedzieć. Tego dnia jednak wypełniał się niczym za swoich najlepszych dni. Był on jakby dziurą wyciosaną w rozległym, płaskim, skalistym wzgórzu; dziurą niemałą, bowiem jej średnica liczyła sobie dobrych kilkaset metrów. Miejsca siedzące były po prostu siedziskami wyłobionymi w skale, jednak już pobieżne przyjrzenie się im dawało pewność, iż wykończenie niezwyklej konstrukcji musiało zabrać całe lata. Każdy szczegół był pieczołowicie wyczyszczony, oparcia – choć cokolwiek wytarte podczas wielu tysięcy lat użytkowania – w dalszym ciągu pokrywała siateczka misternych ornamentów. Wielka arena, leżąca w dole, wyłożona była kamiennymi płytami, na których widniały niewyraźne płaskorzeźby, przedstawiające podobno sceny z dawnych mitów.

Na co dzień amfiteatr istotnie mógł wydawać się zapomniany. W istocie, wykorzystywano go nader rzadko, ale równie rzadko zachodziła konieczność zwołania Zgromadzenia Mędrców Tanoor. To miejsce zaś, wedle tradycji sięgającej daleko w mroki przeszłości, zarezerwowano właśnie w tym celu.

Dzień był ciepły i pogodny, zgodnie z życzeniem członków Zgromadzenia. Po turkusowym niebie przeplýwały z rzadka niewielkie, kłębiaste obłoczki, zaś duże, czerwone słońce przyjemnie ogrzewało ciała siedzących. Inni powoli przesuwali się obok, szukając

wolnych miejsc lub też znajomych twarzy wśród wcześniej przybyłych. Witano się rozmaicie: niekiedy głosem, niekiedy przyjaznym machnięciem dłoni czy uprzejmym uniesieniem głowy. Niekiedy zaś, gdy znało się kogoś naprawdę dobrze, wystarczał prosty sygnał myślowy, lekkie trącenie aury.

Wreszcie na miejsce przybyli wszyscy oczekiwani.

Senior zgromadzenia prędko przedstawił problem. Była to w zasadzie czysta retoryka, gdyż każdy z mędrców doskonale wiedział, co nakazało mu przyjść tu akurat tego dnia. Sytuacja w Galaktyce, choć z pozoru stabilna, nosiła wyraźne piętno wewnętrznej chwiejności, wywołane niespodziewanie przez najmłodszą, tak niedawno odkrytą na skraju Galaktyki rasę. Wagę odkryć dokonanych na terenie ich systemu słonecznego umiało docenić naprawdę wielu członków Wspólnoty Galaktycznej, jednak zdecydowana większość z nich wołała, aby sprawą zajęły się instytucje specjalnie powołane specjalnie do zajmowania się takimi sprawami.

– *Wiemy, iż Instytuty Galaktyczne wcześniej czy później wyślą na miejsce swych przedstawicieli – mówił któryś z mędrców – ale mamy podstawy do obaw, czy już niedługo będzie w ogóle po co przybywać. Najnowsze doniesienia naszych wywiadowców mówią wyraźnie, iż wielkie armady inwazyjne niemal gotowe są już do podjęcia działań zaczepnych w obrębie Układu Słonecznego. I nawet pomimo wsparcia, jakiego niewątpliwie udzielą Terranom zaprzyjaźnione rasy, nie jest przesądzone, czy Ziemia zdoła przetrwać to natarcie.*

Senior Zgromadzenia otworzył na moment swoje myśli, dając odczuć tym samym, że zgadza się z przedmówcą.

– *Gdyby chodziło o inną rasę, inny gatunek, inną planetę, być może zainteresowanie Tanoor nie byłoby tak wielkie – zaczął. – W istocie, być może ograniczylibyśmy się jedynie do roli całkowicie biernych obserwatorów zagłady kolejnego gatunku. Bywało już i tak. Jednakże... Tanoor ma pewne szczególne powody, dla których ta akurat sprawa spowodowała tak bezprecedensową reakcję, jak choćby zwołanie Zgromadzenia Mędrców. Trwamy w Galaktyce od tak dawna, jak żadna inna z żyjących ras, widzieliśmy nieporównanie więcej od innych, dysponujemy nawet zbiorową pamięcią gatunkową. I właśnie*

ta zbiorowa pamięć, ta nasza kolektywna nadświadomość, zadecydowała, że w tym przypadku należy zareagować inaczej...

Nagle zebrani ujrzeni przed oczami wydarzenia sprzed kilku tysięcy lat, które tak bezpośrednio wiązały ich z Ziemią, choć najprawdopodobniej nikt – może za wyjątkiem Rahańczyków – nie miał o nich pojęcia. Nie uczestniczyli w nich, jednak znając ich docieklivość w sprawach historii galaktycznej i fantastyczną wręcz intuicję, można było podejrzewać że wiedzą o pewnych sprawach znacznie więcej, niż mogłoby się na pozór wydawać.

Myśli, opinie, sugestie, potwierdzenia i zaprzeczenia krążyły nad wielkim amfiteatrem przez długi czas, jednak od samego początku jasne było, że tym razem potrzebne będzie coś więcej niż publiczne i oficjalne wyrażenie protestu przeciwko działaniom fanatyków. Umysły obecnych jednak wzdrygały się na samą myśl o czynnym włączeniu się do działań wojennych, do jakich mogło dojść już wkrótce na obszarze Układu Słonecznego. Niebawem jednak stało się jasne, iż nie ma żadnej rozsądnej alternatywy.

Ytey, nominalnie piastujący stanowisko dowódcy sił kosmicznych Tanoor, pomyślał chmurnie za swoim ekranem ESP, że oto najwyraźniej jego czysto tytułarna dotąd funkcja może zobowiązać go do czegoś, czego w żadnym wypadku nie planował. Tanoor wprowadzie utrzymywała siły obronne, potrzebne do zagwarantowania bezpieczeństwa macierzystych globów, jednak wszyscy zgadzali się z tym, że możliwość ataku jakiegokolwiek klanu jest wprost astronomicznie mała. Byli żywą legendą, rasą cieszącą się takim autorytetem, jak żadna inna w Galaktyce. I choć od wielu tysięcy lat niemal nie brali udziału w czynnym życiu Wspólnoty, to panowało powszechne przekonanie o ich miazdzącej przewadze technologicznej. Co zresztą nie miało się tak znowu z prawdą.

Stopniowo uwaga obecnych w istocie skoncentrowała się na Yteyu, i nawet ze względów grzecznościowych spytano go o zdanie w tej sprawie.

– Moim zdaniem, obecna sytuacja usprawiedliwia nawet coś tak niesłychanego, jak włączenie się Tanoor do działań mających na celu ochronę Terran przed najeźdźcami – odparł po prostu. – Równno-

cześnie sugeruję jednak, by interwencja taka nastąpiła dopiero w momencie, gdy sytuacja wokół Słońca będzie dawała obrońcom naprawdę minimalne szanse na zwycięstwo...

Ktoś inny wskazał w tym momencie, że w takim wypadku należy mieć jednak własne siły na miejscu, bowiem odpowiednio szybka reakcja floty Tanoor zdeterminowana jest odległością dzielącą go od epicentrum wydarzeń.

Ytey próbował zaprotestować, twierdząc, iż pomimo niezwykle zaawansowanych technik kamuflażu, jakimi dysponują jego statki, niemożliwe jest na dłuższą metę pozostanie niedostrzegalnym dla setek szpiegowskich satelitów i wrogich boi detekcyjnych, od jakich niewątpliwie już niebawem zaroi się wokół Słońca. Tu jednak niespodziewanie wtrącił się senior zgromadzenia, który kiedyś – dawno temu – sam sprawował dowództwo Floty Tanoor.

– Problemem jest ukrycie twoich jednostek?

– Tak jest – odparł Ytey z szacunkiem. *– Choć nie sądzę, abym potrzebował na miejscu więcej, niż trzy okręty.*

– A jak sądzisz, gdzie w układzie planetarnym najłatwiej można ukryć gwiazdolot? – spytał senior, a w jego aurze dawały się wyczuć nutki subtelного rozbawienia.

Ytey wszedł na krótką chwilę w jego umysł i momentalnie zrozumiał, co senior miał na myśli. I nagle poczuł do niego jeszcze większy szacunek.

Sheena Vint bez większego zapалу dziabła widelcem w stojącym przed nią talerzu. Kotleciki wyglądały nawet apetycznie, oczywiście jak na coś, co uprzednio przebyło miliardy kilometrów w postaci zamrożonych na kość bryłek. Pachniało też ładnie, ale jakoś nie miała ochoty na jedzenie. Musiała przemyśleć parę rzeczy.

Dreczyła ją mianowicie rozmowa, podsłuchana całkowitym przypadkiem we – wstyd przyznać – damskiej toalecie. Miała wrażenie, że rozpoznała głosy, ale do końca nie mogła być tego pewna. Siedziała sobie spokojnie za niewielkim przepierzeniem, oddzielającym umy-

walnie i lustra od reszty, i malowała paznokcie u nóg. Nie bardzo wiedziała zresztą, po co w ogóle to robi. Jak dotąd nie miała zbyt wielu okazji, aby występować przed kimkolwiek z bosymi stopami, ale kto wie...? Poza tym, jeśli już musiała je malować, to w zasadzie mogła zrobić to u siebie w kabinie, ale ten akurat lakier miał jakiś dziwny zapach, który jeszcze długo potem utrzymywał się w małym pomieszczeniu. Była więc tutaj.

W toalecie nie było nikogo, aż do chwili, gdy tamte dwie kobiety weszły do środka i zatrzymały się przy umywalniach i lustrach, najwyraźniej poprawiając włosy i wypróbowując jakieś nowe kosmetyki. Sheena czuła się trochę zażenowana tym, że niechący słucha ich rozmowy, pomimo iż jej treść zasadniczo stanowiły drobne i niewinne ploteczki. Już zamierzała dać znać o swojej obecności jakimś kaszlnięciem czy odchrząknięciem, ale niespodziewanie padły słowa, które ją zelektryzowały. Tematem były właśnie związki damsko-męskie na pokładach stacji, i obie rozmówczynie zgodziły się, że bezsprzecznie najbardziej interesującym facetem w *Blue One* jest Danny Glover, przystojny paleoarcheolog z zespołu naukowców. Sheena w posępnym milczeniu pogratulowała sobie wyboru obiektu zainteresowania. Najwidoczniej nie była odosobniona w swoich odczuciach. Potem rozmowa zeszała na nieziemców, i przez kilka chwil obie, wśród głupich chichotów, zastanawiały się, jak też oni robią "te rzeczy".

– A wyobraź sobie oświadczyzny, gdy jesteś telepatą – mruknęła jedna i parsknęła krótkim śmiechem. – Nawet nie musisz niczego mówić, drugi stworek od razu wie, że mu się podobasz.

– A potem oba stworki splatają macki i podążają w lepsze jutro...

– Tak serio mówiąc, to mam pietra, gdy gdzieś blisko mnie jest któryś z tych Rahańczyków – powiedziała pierwsza niespodziewanie poważnie. – Jak to właściwie z nimi jest?

– Podobno nie mogą czytać myśli, jeśli się im na to nie pozwoli – odparła druga dość niepewnie. – Przynajmniej tak słyszałam.

– Trzeba by spytać tej całej Vint... no nie patrz tak na mnie, żartuję oczywiście!

– Mogła sobie znaleźć inne miejsce pracy – burknęła gniewnie druga. – Nie przeczę, ładna z niej dziewczyna, i gdyby nie to, kim jest,

mogłaby nieźle namieszać wśród naszych facetów. Wiesz, przy niej czuję się tak samo, jak przy tych nieziemcach.

– Nie tylko ty, mogę cię pocieszyć...

W tym momencie rozmowa zesłała na inne tory, a wkrótce potem obie kobiety opuściły wreszcie pomieszczenie, pozostawiając Sheenę zesztywniałą i niemal sparaliżowaną tym, co właśnie usłyszała. Trwała tak w jakimś szoku aż do chwili, gdy dostrzegła, iż lakier kapiący z pędzelka bardzo dokładnie oblepił jej palce u lewej nogi na czerwono.

Tak, to wyjaśnienie, jakie niespodziewanie usłyszała w toalecie, miało sens. Wcześniej jednak nie przyszłoby jej do głowy, że to po prostu jej niezwykle zdolności już na samym starcie uczyniły ją wyrzutkiem wśród załogi *Blue One*. Teraz widziała, iż dowody na to miała przed nosem niemal na każdym kroku, ona jednak nie umiała ich prawidłowo zinterpretować. Choćby teraz: grzebie widelcem w pulpetach, siedząc sama przy czteroosobowym stoliku, podczas gdy wszystkie inne stoliki są wręcz przepełnione. Dwie osoby jedzą nawet na stojąco, przy barze. Zamiast usiąść z nią.

Wlepiła wzrok w nieszczęsne szczątki pulpetów na jej talerzu, a obraz niespodziewanie rozmazał się jej przed oczami. Czuła ogromny żal i poczucie krzywdy, była przecież takim samym człowiekiem jak oni wszyscy, oczekiwała akceptacji i zrozumienia, a tymczasem traktowano ją jak trędowatą. Z powodu plakietki którą nosiła...

Nie chciała tego, niemniej łzy, jedna za drugą, poczęły kapać do jej talerza, tworząc małe dołki w brunatnej powierzchni sosu. Usiłowała się powstrzymać, wyobrażając sobie swój rozmazany makijaż, ale tym razem to nie pomogło. Pochyliła głowę, nie chcąc, aby inni dostrzegli chwilę jej słabości i mając nadzieję, że minie ona jak najszybciej, ale łzy płynęły coraz obficie. Czując, jak dławi ją w gardle, poszukała po kieszeniach chusteczki, ale jak na złość nie miała przy sobie ani jednej. Sięgnęła po serwetki ze stolika, możliwie dyskretnie otarła twarz, miała jednak wrażenie, że lada chwila rozszocho się na cały głos. Pospiesznie wstała od stolika, pozostawiając niemal nie-
tknięty obiad, i wolnym krokiem poszła w stronę drzwi. Nie chciała zwracać na siebie uwagi, ale rozmowy nagle przycichły i kątem oka widziała, że coraz więcej głów zwraca się w jej stronę. W drzwiach

nagle zatrzymała się, czując jak płoną jej policzki. Niespodziewanie dla samej siebie odwróciła się do nich, mając ochotę wykrzyczeć, co sądzi o nich i ich poglądach. Stała tak przez chwilę, ale zniecierpliwi ją opuścili.

– Och... – powiedziała tylko szeptem, na moment oparła się o ścianę, i wreszcie powoli wyszła na korytarz, nie oglądając się za siebie.

Poszła na szczyt głównej kopuły bazy, na platformę widokową. To było jedno z jej ulubionych miejsc, dzięki któremu uświadamiała sobie, gdzie tak naprawdę jest. I jak zwykle, była tu całkowicie sama. Ludzie jakoś nie odczuwali potrzeby oglądania świata poza kopułami.

No tak, zdaje się, że przed chwilą zdołała zrobić z siebie bezkonkurencyjną idiotkę. Wołała się nie zastanawiać, co pomyśleli sobie o niej ludzie obecni w jadalni. Usiadła wygodnie w jednym z foteli.

Zajmująca znaczną część nieba tarcza Jowisza, przytłaczająca swoim ogromem i niepokojąca dziwnym doбором barw swej naznaczonej smugami i plamami powierzchni, fascynowała ją od samego początku. Czasem, przy sprzyjających warunkach, mogła dostrzec inne księżyce gazowego giganta, dziś jednak nie udało się jej to. Pogoda na powierzchni satelity była za to dziś niemal doskonała, jak na warunki, które tu zwykle panowały. Widoczność była naprawdę dobra, nie ograniczana tumanami amoniakalnych śnieżnych płatków, zwykle wznoszonych porywami wiatru wiejącego w rozrzedzonej, trującej atmosferze. Lodowe, dalekie wzgórza odbijały rozproszone światło dalekich gwiazd i rdzawopomarańczową poświatę Jowisza. Słońca akurat nie było widać, choć z tej odległości było ono zaledwie tylko jedną z wielu gwiazd, choć bezsprzecznie najjaśniejszą ze wszystkich.

Na Sheenę widok ten jak zwykle wpływał uspokajająco, teraz też czuła się coraz lepiej. Po raz ostatni otarła twarz i zapatrzyła się przed siebie, siedząc w jednym z wygodnych, miękkich foteli. Miała nieograniczony widok we wszystkie strony, aż do horyzontu, który na tym stosunkowo niewielkim globie był dużo bliżej, niż na Ziemi. W jednym miejscu jego łagodną linię przecinały jaskrawo oświetlone, ażurowe konstrukcje. Był to wylot szybu, prowadzącego głęboko pod powierzchnię lodu, aż do starożytnych konstrukcji tajemniczych

Galaktów oraz ich uszkodzonego pojazdu. Nieco dalej i trochę z boku migotały jakieś światelka, kręcąc się najwyraźniej wokół jednego miejsca na lodowej płaszczyźnie. Wyteżyła wzrok, zaintrygowana; tylko dzięki doskonałej pogodzie dostrzegła przysadziste sylwetki jakichś pojazdów, których kształt jednak ją zdziwił i chwilowo zaniepokoił. Z pewnością nie należały one do flotylli naziemnych i poduszkowych wehikułów *Blue One*. Skąd więc się wzięły...?

Niemal natychmiast przypomniła sobie jednak o kosmologie, który przybył do stacji tej nocy, a na pokładach przywiózł pozaziemskich techników oraz ich sprzęt. Miało to bezpośredni związek z niepokojącymi wieściami z dowództwa, według których stacja może w bliskiej przyszłości być obiektem najazdu z przestrzeni... Widziała więc pewnie techników, ustawiających w tej chwili w perymetrze stacji generatory pól ochronnych. W perspektywie mieli poza tym ewakuację bazy, w której już niebawem pozostać mieli jedynie zawodowi żołnierze z UNSF. Zastanawiała się, czy jako członek Korpusu ESP będzie miała prawo pozostać na Ganimesesie?

Sama nie była jednak pewna, czy ma na to ochotę.

– ...Najwyraźniej jednak reakcja niektórych przynajmniej klanów nie będzie tak umiarkowana – mówił prezydent. Brian i Gwen siedzieli w kajucie i ze wstrzymanym oddechem oglądali najnowsze, specjalne wydanie wiadomości. Przed chwilą zapowiedziano nadzwyczajne przemówienie prezydenta Reesa.

– Dla nas, Ziemian, coś takiego jest dość niezrozumiałe, jednak rahańscy doradcy wyjaśnili nam i to. Po pierwsze, przyczyną jest urażony honor, co – choć paradoksalne dla większości umiarkowanych klanów – jest jednak faktem w przypadku fanatyków. Oto bowiem ludzie, najmłodsza rasa Wspólnoty, dokonuje najbardziej chyba spektakularnego odkrycia w całej historii cywilizowanej Galaktyki. W dodatku po raz kolejny w ciągu krótkiego czasu, jeśli wziąć pod uwagę znaleziska z Ganimesesa czy też Marsa. Po drugie, większość z fanatyków uważa siebie za spadkobierców idei Przedwiecznych w naj-

czystszej ich formie, choć zapewne sami Przedwieczni mogliby uważać inaczej. Co charakterystyczne, zapaleńców cechuje niemal całkowity brak tolerancji, co powoduje, iż są najczęstszym źródłem konfliktów w Galaktyce. Równie często jednak walczą sami ze sobą – i zdarza się, co prawda stosunkowo rzadko, iż arenę galaktyczną opuszczają całe gatunki.

Gwen czuła że to, co miała właśnie okazję usłyszeć, wprawia ich w śmiertelne zdumienie, prawdopodobnie jak i miliardy innych widzów w całym Układzie Słonecznym.

– Odnalezienie na Ziemi artefaktu będącego wytworem Przedwiecznych, nie jest pierwszym tego rodzaju znaleziskiem w Galaktyce. Jednak pamiętać musimy, że to właśnie Przedwieczni ustanowili prawa i zasady obowiązujące w ogromnej większości do dzisiejszego dnia. Z tego co wiemy, w chwili obecnej niemal każda z fanatycznych ras, jeśli tylko dysponuje wystarczającym potencjałem, szykuje się do przejęcia kontroli nad tym znaleziskiem. Zaś ze względu na fakt, iż dosłownie żaden z owych klanów nie nawiązał z Ziemią oficjalnych stosunków dyplomatycznych, przypuszczalnego uderzenia nie poprzedzi najprawdopodobniej nawet żadna nota.

Słowa prezydenta wprowadzały zamęt w umysłach, siejąc niepokój i przerażenie. Jego spokojna twarz sugerowała jednak, że złu można zaradzić, a przynajmniej skutecznie z nim walczyć.

– Zaplanowano już konsultacje z naszymi sprzymierzeńcami. Dotyczyć one będą zarówno działań obronnych i planowanej strategii podczas obrony Układu Słonecznego, jak i dalszego postępowania względem odnalezionego obiektu. Aby jednak mogło dojść w przyszłości do jakichkolwiek swobodnych decyzji w tej i jakiegokolwiek innej sprawie, najpierw Ziemia musi się obronić. Wszyscy musimy być świadomi, że Ziemia nie była i nie będzie w stanie zrobić tego sama. Pamiętajmy jednak, że jesteśmy członkami Klanu Rah. Otrzymaliśmy już zapewnienie Rahańczyków, iż w razie potrzeby wspomogą Ziemię w krytycznej sytuacji. Tego samego spodziewamy się po Dayoou i kilku innych klanach, choć ich pomoc być może będzie miała nieco skromniejszy wymiar.

Gwen i Brian wiedzieli doskonale, że kosmiczna flota Ziemi dysponowała zaledwie dwudziestoma lekkimi krążownikami zakupionymi od Dayoou częściowo na kredyt, oraz okrętem flagowym, którym był potężny UNSS *Helios*. Załogi tych wszystkich statków składały się w przeważającej części z ludzi, jednak na każdym z nich przebywali galaktyczni instruktorzy. I, pomimo wszystko, była to żałośnie niewielka siła, zdolna do stawienia jedynie symbolicznego oporu ewentualnym najeźdźcom. Wysłano już alarmujące wieści do Instytutów Galaktycznych, dokładnie informujące o wszystkim, co zaszło do tej pory, i co mogło jeszcze zajść. Nikt nie wątpił jednak, iż wszelkie możliwe działania zbrojne Instytutów będą skutecznie wstrzymywane i opóźniane przez przedstawicieli, jakich miały w tamtejszych radach decyzyjnych takie klany, jak choćby Voorth, Kh-kh-boyn czy Birre. Było już dość precedensów w galaktycznej historii, a fanatycy dysponowali całym wachlarzem odpowiednich, sprawdzonych metod proceduralnych...

– Planujemy także działania prewencyjne – kontynuował swe wystąpienie prezydent Rees. – Już niebawem rozpocznie się zapewnianie niezbędnej ochrony placówkom pozaziemskim, przynajmniej tym najważniejszym. Na pierwszy ogień najeźdźcy z pewnością wezmą takie obiekty, jak *Blue One* na Ganimedesie, czy instalacje marsjańskie. Tam bowiem znajdują się poprzednio odkryte artefakty, niewątpliwie również interesujące z punktu widzenia wroga...

Do końca przemowy prezydenta nie spojrzeli na siebie choćby przelotnie, każde zatopione w swoich myślach. Bezpośrednio po transmisji na żywo z Wieży Świata na ekranie pojawiali się kolejni komentatorzy i analitycy, pospiesznie pościągani z najrozmaitszych agencji rządowych, instytutów i wyższych uczelni. Wszyscy wyrażali swoje zaskoczenie tak nieoczekiwanym obrotem spraw, i snuli z reguły dość niejasne spekulacje na temat możliwego rozwoju sytuacji

– I coś takiego miałoby spowodować międzygwiazdą wojnę?! – głos Gwen wyrażał skrajne niedowierzanie, gdy oderwała wzrok od ekranu i spojrzała na niego. – Jakaś budowla, niechby nawet sprzed dwóch milionów lat?!

On mógł jedynie wzruszyć ramionami.

– Znaleźzisko musiało naprawdę być niebywałe – mruknął tylko. – Głowę daję, że Rees nie powiedział wszystkiego. Skoro bowiem Galaktyka i wszyscy fanatycy znieśli cierpliwie tego trupa z Ganimedesa i piramidy z Cydonii, to sam już nie wiem, co udało się odnaleźć tym razem. Chyba kompletny i sprawny pojazd kosmiczny Przedwiecznych. Najlepiej z zahibernowaną załogą...

Ton był ironiczny, ale oboje byli zdania, że taka reakcja kilku potężnych galaktycznych klanów nie mogła zostać sprowokowana byle czym.

Długo jeszcze milczeli, wsłuchując się w coraz bardziej ogólnikowy bełkot kolejnych specjalistów; na kolejnych kanałach można było znaleźć mniej więcej to samo, i gdy wreszcie uznali, że tą drogą nie dowiedzą się niczego więcej, wyłączyli odbiornik.

– Na pierwszy ogień pójda instalacje pozaziemskie – zauważyła Gwen na pozór obojętnie.

– Coś montują od dwóch dni na pancerzu zewnętrznym. Plotka głosi, że to generatory pól ochronnych. Ciekawe, kiedy skończą...

– Wczoraj przez stację przeszły trzy transportowce do rejonu Cydonii – Gwen wydeła usta. – Pewnie z czymś podobnym. I założę się, że kilka ze statków, jakie przeszły przez nas w ciągu ostatnich paru dni, poszło do *Ceres Candy* i na Ganimedesa. Spieszą się, nie uważasz...?

– To właśnie mnie niepokoi – mruknął Brian. – Coś za bardzo się spieszą, zupełnie jakby to się miało zacząć lada chwila. Trzeba by pogadać z Vaa'ho...

– Nasza flota... – zaczęła Gwen, lecz Brian nie dał jej skończyć.

– Nasza flota, a raczej to coś, co nazywamy naszą flotą, w chwili obecnej może pełnić funkcje co najwyżej dekoracyjne – powiedział gorzko. – Sama dobrze o tym wiesz. Cała nasza nadzieja w sojusznikach.

Milczała. Miał rację, i oboje o tym wiedzieli.

– Boję się tego, co będzie – szepnęła w końcu cicho, opierając głowę na jego ramieniu. Objął ją mocno i przycisnął do siebie, czując nagle wzruszenie.

– Ja też się boję – wyznał niespodziewanie dla samego siebie. – Ale wiesz co, USNF dopieprzy każdemu, kto będzie próbował wejść do nas bez pukania. Nie sądzisz?

– Poruczniku Ives, pan próbuje mnie pocieszać – powiedziała sarkastycznie, ale w jej głosie wyczuł uśmiech. – Jednak to jest całkiem miłe, a przynajmniej w jakimś stopniu uspokaja mnie to. Proszę mówić dalej.

– Znam jeszcze parę metod uspokajania – zasugerował niewinnym tonem. – Całkiem skutecznych, szczerze mówiąc...

– Czy trzeba przy nich dużo mówić? – zacięła się Gwen leniwie. – Bo jeśli tak, to...

Zamknął jej usta pocałunkiem.

Ziemia

Pancake, niemal od momentu swego powstania, było miejscem, gdzie pewnym osobom wręcz wypadało się pokazać, przynajmniej raz na jakiś czas. Było miejscem, gdzie pewne sfery spędzały urlopy lub przynajmniej krótkie weekendy. Było miejscem, którego odwiedzanie było oznaką przynależności do ścisłej elity towarzyskiej. Tu spotykali się najbardziej możni spośród możnych i najbardziej sławni spośród sławnych. Było wśród nich także wielu takich, których nazwiska wcale lub prawie wcale nie pojawiały się na pierwszych stronach gazet, a którzy jednak posiadali prawdziwe wpływy i nader realną władzę. Tacy ludzie niekiedy woleli się zbytnio nie wychylać, choć wielu z tych bardziej znanych liczyło się z ich zdaniem i respektowało ich sugestie czy decyzje.

Była późna noc, gdy na ekskluzywnym Saint Michel Boulevard, pasażu handlowym w centrum metropolii, pojawił się wielki, ciemnoszary rolls-royce. Pora dnia czy nocy nie miała jednak najmniejszego znaczenia dla tego miejsca, gdyż funkcjonowało ono niezależnie od takich drobiazgów. Na chodnikach było zawsze jednakowo dużo ludzi, którzy już z przyzwyczajenia przyglądali się innym, jednakże

tym razem, pomimo iż kilka osób spojrzało z zainteresowaniem na limuzynę, mało kto potrafił rozpoznać w niej model z 1961 roku. A już z pewnością niemal nikt nie wiedział, że ten konkretny egzemplarz został zbudowany zaledwie kilka lat temu na specjalne zamówienie. Wymagało ono odszukania starych planów i nader kosztownego uruchomienia specjalnej linii tylko dla tego konkretnego egzemplarza. Firma na ogół nie praktykowała respektowania takich zamówień, jednak dla tego akurat klienta postanowiono uczynić wyjątek.

Wielki wóz z cichym szumem zatrzymał się przy krawężniku, a przechodzący obok ludzie ze zdziwieniem poczuli nader niezwykley zapach, będący w istocie zapachem spalin benzyny. Benzyny! W świecie, w którym pochodne ropy naftowej nie były używane do napędzania jakichkolwiek pojazdów mechanicznych od ładnych kilkudziesięciu lat...! Na takie kaprysy mogli sobie pozwolić naprawdę nieliczni.

Kilka osób przystało jednak na moment, gdy sztywny jak posąg szofer w nieskazitelnym liberii otworzył tylne drzwi rollsa. Noga, która wyłoniła się stamtąd, mogła przyprawić o palpitację z zachwyty każdego rzeźbiarza lub malarza, a cała reszta, która wyłoniła się z wnętrza wozu, w niczym nie odstawała od owej doskonałości. Kobieta, a w zasadzie jeszcze dziewczyna, była wysoką blondynką z dość krótko przyciętymi włosami i oszłamiającą figurą, którą można było podziwiać dzięki idealnie skrojonemu, klasycznemu czarnemu kostiumowi od Chanel. Kapelusz z szerokim rondem wieńczył całość, za której dokładniejsze obejrzenie bez wątpienia niemal każdy przedstawiciel płci męskiej w promieniu kilku kilometrów oddałby rok życia.

Nie czekając, aż szofer zamknie za nią drzwi, dziewczyna pełnym naturalnej pewności siebie krokiem weszła na chodnik, oświetlony niczym w środku dnia. Szła przed siebie, najwyraźniej dobrze wiedząc dokąd zmierza. Jej twarz była doskonale obojętna, pomimo spojrzeń, jakimi obrzucano ją ze wszystkich stron. Sprawiała wrażenie przyzwyczajonej do objawów zainteresowania. Tym razem jednak ludzie nie mogli rozpoznać tej oszłamiająco pięknej dziewczyny, choć gdyby raz w życiu, choćby i na zdjęciu z magazynu, ujrzeli te szare oczy w

oprawie czarnych rzęs, bez wątpienia nie zapomnieliby ich już nigdy. Ale ich zmysł wyraźnie podpowiadał im, że ona należy do tych z samej góry; sort z górnej półki, jak wyraził się o nich kiedyś pewien nader cyniczny przedstawiciel kolonijnego establishmentu.

Po odwiedzeniu kilku salonów z konfekcją i kosmetykami – gdzie jednak niczego nie kupiła – skierowała się wprost do stosunkowo niepozornego wejścia w kolejnym budynku. Próba przejścia przez te potężne, dębowe drzwi dla przeciętnego śmiertelnika niechybnie zakończyłaby się fiaskiem. Dyskretny neon *Theo* nad wejściem mówił wszystko. Wejście owe należało do luksusowego nocnego klubu, do którego wstęp mieli jedynie nieliczni. Dziewczyna jednakże weszła bez najmniejszego problemu, za to z oznakami wyraźnego szacunku okazywanymi jej przez personel.

Morris Duvall zatrzymał się niepewnie przed budzącymi respekt drzwiami, nie bardzo wiedząc, co czynić dalej. Od kilku godzin błakał się bez celu po centrum, gdy przypadkiem wpadł nieomal na tę dziewczynę, gdy wychodziła z firmowego salonu Dione. Ona jednak obrzuciła go chłodnym spojrzeniem swych niewiarygodnych oczu, kiwnęła uprzejmie głową w odpowiedzi na jego wybakane przeprosiny, i poszła w swoją stronę. Z jakiegoś powodu stał przez dłuższą chwilę niczym porażony, niemal nie mogąc złapać tchu, a przed oczami miał wciąż ten klasyczny, delikatny profil, idealnie zarysowane usta, no i te oczy. Szedł za nią potem niczym w transie przez kilkanaście minut, a teraz oto zniknęła. Wiedział zaś dobrze, do jakiej kategorii należy *Theo*, i równie dobrze wiedział, jak rysują się jego szanse na wejście tam, przynajmniej tym razem. Z powątpiewaniem obrzucił wzrokiem powycieraną, skórzaną kurtkę, džinsy... jednak nie zaszkodzi spróbować.

Minutę później stał znowu na zewnątrz, i patrzył, jak para z jego ust rozwiewa się po każdym oddechu. Noc była stosunkowo chłodna, on jednakże zamierzał czekać tak długo, jak będzie trzeba. Poczeka, aż ona wyjdzie, a potem pójdzie za nią, i przynajmniej zobaczy, gdzie ona mieszka... Cholera, co się ze mną dzieje? – przemknęło mu przez myśl, gdy stał tak jak głupek na środku chodnika. Mijający go ludzie rzucali mu jedynie krótkie spojrzenia i szli dalej, każdy w swoją

stronę. Jutro wypływamy przecież na Bóg wie jak długo, a ja tymczasem zachowuję się jak piętnastoletni gówniarz...!

Krótką refleksja umknęła jednak równie prędko, jak przyszła. Duvall chodził bez celu dookoła, liczył latarnie i przejeżdżające samochody, oglądał wystawy, a przy tym cały czas miał na oku wejście pod bladoniebieskim neonem. Ludzie wchodzili i wychodzili, jednak tej jakże charakterystycznej sylwetki nadal nie było. Dopiero prawie pięć godzin później, gdy na niebie pojawiły się już pierwsze oznaki nadchodzącego nowego dnia, oszałamiająca blondynka ukazała się w wejściu. Tym razem była bez kapelusza. Stała tak przez chwilę, jakby rozkoszując się świeżym, chłodnym powietrzem świtu, a w Duvallu nagle wezbrała ochota, aby podejść do niej i powiedzieć jej, że... Nie zdążył jednak nawet pomyśleć, co by jej powiedział, gdy nagle obok niej wyrosła barczysta postać w płaszczu. Dziewczyna wdzięcznie wsparła się na ramieniu mężczyzny i oboje podeszli do ciemnoszarego rollsa, od dłuższej chwili stojącego obok krawężnika. Duvall w jakimś odrętwieniu patrzył, jak z samochodu wysiada szofer wyglądający niczym postać żywcem wyjęta z ubiegłowiecznego filmu o życiu wyższych sfer. Potem szofer otworzył im drzwi, oni wsiedli, i kilkanaście sekund później wielka limuzyna niemal bezszelestnie ruszyła z miejsca.

Wtedy coś w nim pękło.

Ruszył za nią biegiem, niemal się przewracając, i nawet dopędził jadącego jeszcze dość powoli rollsa. Kilku przechodniów zatrzymało się i spoglądało za nim z wyraźnym zdziwieniem, jednak on biegł co sił w nogach, patrząc tylko przed siebie. Wyraźnie widział głowy tych dwojga siedzących z tyłu, zdołał nawet płaśnąć otwartą dłonią w tylną szybę. Wtedy limuzyna przyspieszyła, dziewczyna jednak obejrzała się za siebie, i przez chwilę patrzył prosto w te szare, rozświetlone pierwszymi promieniami słońca, zdziwione w tej chwili oczy. Potem szofer mocniej nacisnął na gaz, i kilkadziesiąt sekund później tylne światła rollsa zniknęły w oddali.

Rozglądał się rozpaczliwie za jakąś taksówką, ale jak na złość nie było żadnej w zasięgu wzroku. Uskoczył przed kilkoma samochodami, trąbiącymi wściekle i piszczącymi hamulcami. Wreszcie zatrzymał

się, ciężko dysząc, i nagle poczuł jak siły go opuszczają. Właściwie nie myśląc co robi, usiadł nagle tam gdzie stał. Po raz kolejny miał ochotę krzyczeć. Do jasnej cholery, co go opętało?! Po co szwendał się parę godzin pod tym zakazanym klubem?! Co takiego było w tej dziewczynie, że zachował się, jak jeszcze nigdy w życiu?!!

Coś jednak było, i Duvall znienacka uświadomił sobie z potężnym zdziwieniem, że w tej chwili gotów był oddać pół tegoż życia, aby móc spotkać ją jeszcze raz.

Siedział tak, z głową opartą na kolanach podciągniętych pod brodę, gdy usłyszał wreszcie czyjeś zbliżające się kroki. Nie podnosił głowy, gdy ten ktoś zatrzymał się obok niego. Było mu w tej chwili najzupełniej obojętne, kto to jest.

– Czy dobrze się pan czuje? – usłyszał wreszcie niepewny męski głos.

– Nie – odparł i dopiero wtedy uniósł wzrok. Nad nim stał młody policjant i przyglądał mu się dość podejrzliwie. – A czemu pan pyta?

– Siedzi pan na jezdni – zauważył tamten rozsądnie. Duvall rozejrzał się i stwierdził, iż policjant ma rację. Podniósł się, przyjmując wyciągniętą pomocnie dłoń tamtego. Policjant zbliżył swoją twarz do jego twarzy i pociągnął nosem.

– Jestem trzeźwy jak świnia – mruknął posępnie nawigator, widząc to. – Chociaż mam wrażenie, że już niebawem to się zmieni.

Carol rozglądała się po mesie, patrząc na tych wszystkich, najczęściej obcych sobie ludzi i nieziemców, siedzących przy stolikach. Wszyscy spędzali pierwsze godziny podróży, poznając się wzajemnie. Dowódca, pomimo iż najwyraźniej nieco podziębiony, niestrudzenie krążył pomiędzy nimi niby jakiś dobry duszek, przedstawiając sobie tych, którzy jeszcze się nie znali. Czynił to z istic nienagannymi manierami, nie zaniedbując żadnych form. W swoim idealnie wyprasowanym mundurze prezentował się znakomicie, i tryskał wręcz świeżością na tyle, ile mógł. Czego nie można było jednak powiedzieć o szanownej doktor Hounsfield. Lekarka wyglądała jak przepuszczona

przez wyżymaczkę, choć samopoczucie najwyraźniej miała dobre. Carol przypomniała sobie, że Kathleen kilka ostatnich dni spędziła przecież w towarzystwie Beresforda, i znienacka zachciało jej się śmiać. Cóż oni musieli wyprawiać...?! I gdzie, skoro dowódca teraz kichał i smarkał... Choć, w gruncie rzeczy, mało kto z załogi wyglądał na wypoczętego. Wielu z nich jeszcze odsypiało szaleństwa ostatnich dni, chociażby Gide, Toby czy Johnson. Zdaje się, że jedynie ona sama i Sven mieli za sobą parę godzin snu; dobrze, że wrócili na okręt jeszcze wczoraj. Zaś Morris... no tak. Z nim chyba jeszcze do tej pory nie było najlepiej.

A było to tak: Carol pełniła akurat samotną poranną wachtę na mostku, gdy tuż przed jej końcem dotarło do niej wezwanie od marynarza pełniącego służbę przy głównym luku załogowym.

– Mam tu naszego nawigatora – powiedział dziwnie stropiony. – Wrócił właśnie na pokład, ale myślę, że dobrze byłoby, gdyby pani tu przyszła...

– Daj go na linię – zażądała. Marynarz, jakby spłoszony, zerknął gdzieś w dół i w bok.

– To nie takie łatwe – sapnął. – On chyba trochę zbyt wiele wypił, i koniecznie chce się z panią zobaczyć.

– Zaraz, który nawigator? – coś ją nagle tknęło. – Berger?

– Nie, pierwszy. Duvall.

Cholera, przecież on zapowiedział, że zamierza wyjść na noc – przypomniała sobie. On, z jego mocną głową, upił się...?! Chwilę trwała w rozterce.

– Zaraz tam będę, pilnuj go – poleciła wreszcie marynarzowi. Następnie wywołała Michelsona, który miał pełnić wachtę po niej, i poprosiła go, żeby jak najszybciej zjawił się na mostku. Drugi łącznościowiec, choć jeszcze zaspany, nie zadawał głupich pytań. Dwie minuty później wypadł z kolejki magnetycznej, jeszcze na wpół przytomny i w spodniach od pidżamy.

Duvall był w takim stanie, w jakim go jeszcze dotąd nie widziała. Momentami tracił przytomność, odzież miał w opłakanym stanie, oczy przekrwione, a twarz podrapaną. Na jej widok się rozplakał.

Pierwszym jej odruchem było wezwanie Svena do luku.

– Jak on tu dotarł? – spytała następnie marynarza, oszołomiona.

– Taksówka go przywiozła. Kierowca strasznie się awanturował, bo nie chcieli go wpuścić na teren portu. To zresztą zrozumiałe... Musiał więc szukać legitymacji Duvalla po jego kieszeniach, i dopiero wtedy mu się udało. Musiałem zapłacić za kurs... – marynarz najwyraźniej był zakłopotany.

– Dostaniesz z powrotem, nie martw się – mruknęła Carol, myśląc zarazem, jak to dobrze, że dowódca nie ma jeszcze na pokładzie. Wtedy właśnie Duvall podniósł głowę i z wyraźnym trudem skoncentrował na niej mętny wzrok.

– Dzie... dziewczyna, w roll... roll...

Język mu się plątał, głowa opadała na piersi, a po twarzy wciąż ciekły łzy. Carol przykucnęła przy nim i objęła go ramieniem. Śmierdział straszliwie alkoholowymi oparami, jednak wytrwała na miejscu.

– Dobrze już – powiedziała uspokajająco. – Już nie ma żadnej dziewczyny, nie martw się.

Utkwił w niej spojrzenie swych przekrwionych oczu.

– Nie ma...? Nie ma...

Kilka razy uderzył się pięścią w głowę. Carol nie zdążyła zareagować, bowiem zaraz potem zwałił się na bok, zwymiotował i zaczął chrapać.

Sven zjawił się chwilę później, i we trójkę, klnąc w żywy kamień, z wielkim trudem zataszczyli nawigatora do jego kajuty i ułożyli na koi. Na szafce nocnej, w zasięgu ręki, Carol ustawiła mu jeszcze dwulitrową butelkę z sokiem grapefruitowym i opakowanie tabletek antialconu, wzięte z gabinetu doktor Hounsfield.

Teraz, niemal osiem godzin później, rozglądała się po mesie szukając go wzrokiem, jednak najwyraźniej nawigator jeszcze odsypiał swoje nocne wybryki. Zastanawiała się, co sprawiło, że doprowadził się do takiego stanu. I jak w ogóle było to możliwe. Na ogół miał niezwykle mocną głowę, co dawało niejaki pojęcie o ilości trunków, jakie tym razem musiał w siebie wlać. Ciekawe, jaka była tego przyczyna? Coś bredził chyba o jakiejś dziewczynie... Czy Duvall w ogóle ma dziewczynę? – przeszło jej nagle przez myśl. Może pokłócił się z nią tej nocy...? Ech, nie ma się nad tym co zastanawiać.

Raz jeszcze objęła wzrokiem siedzących przy stolikach. Z ludzi, których miała do tej pory okazję poznać, dostrzegła jedynie Else Langerfeld. Innych nie знаła. Wiedziała jedynie, iż byli to z reguły ludzie stanowiący dosłownie elitę swoich specjalności, ściągnięci na osobistą prośbę prezydenta w niezwyklej pośpiechu z najrozmaitszych zakątków świata. Najczęściej z wszelkiego rodzaju instytutów badawczych i wyższych uczelni. Głównie byli to fizycy, specjalizujący się w rozwijanych dopiero gałęziach nowej fizyki rzeczywistości. Spadkobiercy wielkich: Hawkinga i Cilento, który najwyraźniej był już na tyle posunięty w latach, że nie mógł sobie pozwolić na uczestnictwo w kolejnej misji *Ramsesa*.

Znakomitą większość stanowili mężczyźni, kobiet zauważyła zaledwie kilka. Wśród nich zdecydowanie wybijała się wysoka blondynka o klasycznej urodzie. Sprawiała wrażenie nie naukowca, a prędzej już studentki któregoś z uczonych siedzących przy stołach. Być może w rzeczy samej była jedynie asystentką którejś z obecnych znakomitości. Z prezentacji, jakiej dokonał jakiś czas temu Beresford, Carol zapamiętała jednak jej nazwisko: Paula de Vailland. Bardzo arystokratycznie, stwierdziła w duchu Carol. W jakiś dziwny sposób nazwisko owe pasowało do olśniewającej dziewczyny.

Duvall, koniec końców, dał się dostrzec dopiero podczas swojej wachty, która wypadła dobre kilka godzin później. Tak się złożyło, że Carol mijala go jedynie, schodząc z mostka akurat, gdy on wychodził z wagonika kolejki wraz z kilkoma innymi osobami. Gdy ją ujrzał, potknął się i przystanął. Podeszła do niego. Z zadowoleniem stwierdziła, iż wyglądał o niebo lepiej, niż gdy widziała go po raz ostatni. Chociaż niewątpliwie nie prezentował sobą ideału członka załogi, który preferował Beresford jako dowódcę.

– Jak się czujesz? – zagadnęła przyjaźnie, opierając się o ścianę.

– Jak gówno przepuszczone przez wentylator – odparł z ciężkim westchnieniem. – Wiesz, nie bardzo pamiętam...

Urwał i zawahał się, zerkając na nią niepewnie. Postanowiła mu dopomóc.

– Nie masz się co martwić – powiedziała ciepło. – Tylko ja i Sven cię widzieliśmy, gdy wróciłeś. No i jeden z marynarzy, ale Sven musiał na nim uroczystą przysięgę, że nie piśnie ani słowa.

– Aż tak źle było...?

– Nie najlepiej – przyznała, i przez moment szukała właściwych słów. – Wiesz co, Morris, jakbyś chciał o czymś pogadać... to wiesz, gdzie mnie szukać. Albo Svena, jak wolisz.

Patrzył na nią długą chwilę. Wreszcie opuścił głowę i zapatrzył się w czubki swoich butów.

– Dobrze mieć was za przyjaciół – powiedział w końcu tak cicho, że ledwo go usłyszała. Była zdumiona: gdzie się podział niezbyt rozgarnięty z pozoru osilek, którego znała?! Stał przez długi moment, gdy ona patrzyła na niego w milczeniu.

– Powiedz Svenowi, że trzeba będzie pogadać z Beresfordem – dorzucił jeszcze. – O tym, do czego wczoraj doszliśmy.

Carol pstryknęła nagle palcami.

– A właśnie, zapomniałam ci powiedzieć – ożywiła się. – To znaczy, nie bardzo było kiedy... Chodzi o to, że Sven rozmawiał z Beresfordem dziś w nocy, a właściwie jeszcze wczoraj wieczorem, zaraz po tym, jak zszedłeś na brzeg. Złapał go przez Net, na jego osobisty komunikator. Doszliśmy bowiem do wniosku, że dobrze by było gdyby nasz stary dowiedział się o tym jeszcze przed wypłynięciem. I okazało się, że mieliśmy rację. Tylko z tego powodu ściągnęli na pokład jakiegoś astrofizyka, dosłownie na kilka minut przed odbiciem od kei. Przypadkiem jakaś znakomitość bawiła w Pancake i zgodziła się wziąć udział w rejsie. Podobno to jakiś Francuz. Mam nadzieję, że nie gniewasz się, że zrobiliśmy to bez ciebie? – zaniepokoiła się nagle, odrywając się od ściany. – Sven od razu powiedział admirałowi, że to wszystko to wyłącznie twój pomysł...

– No coś ty – machnął dłonią Duvall. – Może i lepiej, że nie muszę rozmawiać z admirałem dzisiaj. Coś nie bardzo jestem w formie. Pokaż mi jedynie przy okazji tego astrofizyka, chętnie sobie z nim pogadam...

Kosmos

Przestrzeń nagle zapadła się, a następnie rozwarła, wypływając z siebie obły, ciemny, podłużny kształt, najeżony sterczącymi antenami sensorów. Sonda przez kilkanaście sekund wyhamowywała swój pęd, aż zeszła mniej więcej do jednej trzeciej prędkości światła. Równocześnie zadziałały jej układy orientacji przestrzennej, ustawiając ją w zaplanowanej pozycji względem otaczających ją gwiazd. Ich układ w niczym jednak nie przypominał tego z rejonów Galaktyki, skąd pochodzili twórcy urządzenia. Niemal na wprost sondy, nieco tylko z boku, widniała wielka, czerwono-ruda, pasiasta tarcza gazowego olbrzyma z charakterystyczną, dużą owalną czerwoną plamą.

Zaawansowane układy sterujące sondą upewniły się, że urządzenia maskujące działają poprawnie, a następnie skierowały pojazd w kierunku trzeciego satelity wielkiej planety. Obiekt cały czas, choć dużo mniej gwałtownie hamował, aż do czasu gdy wszedł na stabilną, wysoką orbitę dużego księżyca. Wówczas podjęły pracę jego czułe sensory.

Po krótkiej analizie wykryto i zidentyfikowano na orbitach księżyca dwadzieścia sześć typowych, stacjonarnych boi detekcyjnych niewątpliwie rahańskiej produkcji. Znajdowały się one jednak w takiej odległości od sondy, iż najprawdopodobniej nie zdołały namierzyć obcego obiektu przy jego technikach maskujących. Ich trajektorie jednakże z całą pewnością zmieniały się co pewien losowo ustalany czas, i to mogło stanowić pewne zagrożenie. Choć bowiem same boje miały charakter defensywny, to pomimo tego były w stanie sterować lotem superszybkich pocisków lub podawać precyzyjne namiary działom energetycznym: orbitalnym bądź znajdującym się na powierzchni satelity.

Decyzja została podjęta. Ogniwa energetyczne przez ułamek sekundy osiągnęły pełną moc. Następnie dwadzieścia sześć strumieni akcelеровanej antymaterii pomknęło na spotkanie swoich celów.

Boje detekcyjne nie zdążyły przesłać żadnego ostrzeżenia do ośrodków dyspozycyjnych. Zniknęły w krótkich, trwających mgnienie oka błyskach anihilacji, pozostawiając po sobie jedynie szybko rozrzedzające się chmurki plazmy i strumienie twardego promieniowania. Jednak już to wystarczyło ośrodkowi kontrolnemu na powierzchni Ganimedesa, aby zrozumieć, iż zaczęło się dziać coś złego.

Mroczny, złowrogi wysłannik z głębi Wszechświata pozostał na swojej wysokiej orbicie.

Czuwał. I czekał na przybycie swych twórców.

W pierwszym momencie miała wrażenie, że to tylko złudzenie, jednak kolejne dwa jaskrawe błyski przekonały ją, iż zaobserwowane zjawisko było realne. Gorączkowo kręciła głową na wszystkie strony, wypatrując oczy. Udało jej się pochwycić jeszcze jeden bezgłośny rozbrysł pomiędzy gwiazdami.

Sheena zamrugła. Cóż to mogło być, u licha?! To nie było podobne do niczego, co do tej pory widziała. Raczej nie wyglądało to na błyski dysz napędowych żadnego pojazdu kosmicznego, przynajmniej takiego, z jakim się do tej pory zetknęła. Poza tym, te błyski które dostrzegła, układały się w jednej linii na niebie, i w dodatku odległości katowe pomiędzy nimi były zbliżone. A może...

Zastygła z otwartymi ustami, tak potworne załęgło się w niej przecucie. Nie zdążyła go jednak przyoblec w konkretne słowa nawet w myślach, gdyż w tym samym momencie rozległ się niski, melodyjny gong komunikacji wewnętrznej, a przy ścianach zapaliły się pulsujące czerwono światła.

– Uwaga, ogłaszam czerwony alarm we wszystkich kopułach bazy *Blue One* – oznajmił chłodny, beznamiętny głos generowany przez komputer. – Przed kilkoma sekundami zniszczona została sieć stacjonarnych boi detekcyjnych. Generatory pól ochronnych rozpoczęły pracę zgodnie z planem i chwilowo nie ma powodów do niepokoju. Wszyscy obecni na stacji zobowiązani są do stawienia się w planowych miejscach zbiorczych. Jednocześnie wstrzymane zostają wszel-

kie prace na zewnątrz bazy i w placówkach pod lodem. Wszyscy pozostający poza kopułami powinni natychmiast rozpocząć powrót do bazy. Aż do odwołania wstrzymane zostają wszelkie starty z *Blue One*, dotyczy to również planowej ewakuacji. Statki zmierzające w stronę Ganimedesa...

Nie słuchała dalej, szybkim krokiem idąc w stronę windy, która zaniósła ją z platformy obserwacyjnej w dół, do głównej kopuły. Jej przełożonym, przynajmniej nominalnie, był tutaj major Donner z UNSF, przybyły do *Blue One* na czele kilkusobowego oddziału wraz z ostatnim transportem zaopatrzeniowym. W ten sposób przestała być jedynym przedstawicielem ziemskich zbrojnych na pokładach stacji. I właśnie z majorem musiała się teraz spotkać, choć nie wyobrażała sobie, w jaki sposób mogłaby być przydatna w obecnej sytuacji.

A więc wojna się rozpoczęła. Ktoś – lub coś – zniszczył satelity detekcyjne, wystrzelone na orbitę zaledwie kilka dni temu. Wydawało się niewiarygodne, że wojna mogła rozpocząć się w taki subtelny, wręcz piękny sposób. Kilka błysków wśród gwiazd...

Przyszło jej nagle do głowy, że obserwując to, dostąpiła zapewne wątpliwego zaszczytu ujżenia na własne oczy początku pierwszej wojny międzygwiazdnej z udziałem ludzkości.

Ziemia

Koniec wachty zastał ją w takim momencie, że najchętniej zamordowałyby swojego zmiennika możliwie szybko, po czym na powrót skoncentrowała się na łączności. Na ogół nie była nadgorliwa, i jak każdy normalny członek załogi *Ramsesa* cieszyła się na czas wolny przypadający po każdej sześciogodzinnej wachcie. Tym razem jednak było inaczej: wieści, jakie właśnie odebrała z dowództwa Drugiej Floty, wstrząsnęły nią do głębi. Dowódcą najwyraźniej również – niemal wybiegł z mostka, gdy wręczyła mu najnowsze wiadomości. Tak, w tej chwili stanowczo wołałaby zostać przy pulpicie. Ale nie miała niestety wyboru. Carol z westchnieniem wstała ze swojego wielkiego,

wygodnego fotela, wyjęła z lewego ucha słuchaweczkę i wraz z cieniutkim, wygiętym pręcikiem mikrofonu odwiesiła na uchwyt. Michelson, od kilku chwil siedzący w swoim fotelu obok, kiwnął jej głową z uśmiechem i podjął swoje obowiązki.

Zaszła do masy, wzięła z automatu kawę, hamburgera i frytki i usiadła przy wolnym stoliku pod ścianą. Ledwie zdążyła ugryźć hamburgera, przy stoliku pojawił się niczym diabeł wyskakujący z pudełka Toby, trzymający w dłoni tacę z czymś parującym. Kiwnięciem głowy wskazała mu miejsce obok siebie i przełknęła.

– Nowe wieści z dowództwa? – zagadnął, patrząc na nią dość niewinnie. W duchu pokiwała ze zdziwieniem głową. On naprawdę albo znał ją tak dobrze, albo... Zamarła na moment i wpatrzyła się w niego. Jego wzrok wyrażał uprzejme zainteresowanie.

– Skąd wiesz...? – wykrztusiła wreszcie niepewnie. Chwilę patrzył na nią ze zdziwieniem, aż wreszcie jego spojrzenie nagle spochmurniało.

– Carol, chyba nie sądzisz, że ja używam wobec kogokolwiek moich nowych umiejętności – powiedział cicho, wpatrując się w stół. – Do ciężkiej cholery, tego właśnie się obawiałem: że przy każdej okazji będę podejrzewany przez kolegów z załogi o grzebanie w ich umysłach. To nie tak! Nie jestem odmieńcem! Jak by ci to wytłumaczyć... – przez chwilę szukał odpowiednich słów. – To jest tak, jakbyś zamknęła oczy, gdy masz na to ochotę, rozumiesz? Przecież mówiliśmy już o tym! Ja po prostu wyciszam ten mój zmysł, i w ogóle z niego nie korzystam, tylko w razie potrzeby... – potrząsnął głową. – A nawiązując do mojego pytania, to zauważyłem Beresforda, jak wylatuje z mostka niczym oparzony, na dodatek z blankietem od ciebie w dłoni. Co byś sobie pomyślała na moim miejscu?

Długo patrzyła na niego bez słowa, podczas gdy on ze spuszczo-
nym wzrokiem grzebał w swojej sałatce. Wreszcie wyciągnęła dłoń i położyła mu na ramieniu.

– Bardzo cię przepraszam, Toby – rzekła cicho. – To było głupie z mojej strony, a znasz mnie na tyle, aby wiedzieć, że w tej chwili mówię szczerze. Przepraszam cię.

– Okay, nie ma sprawy – podniósł wreszcie wzrok i nie spodziewanie się uśmiechnął. – To w takim razie powiesz mi, co takiego odebrałaś?

Carol zawahała się przez moment. Wiadomość należała do ściśle tajnych, niemniej dowódca pewnie lada chwila i tak poda ją do wiadomości załogi i obecnych na pokładzie naukowców. Poza tym, była Toby'emu coś winna...

– Zaczęło się – mruknęła, unosząc brwi. – Na Ganimedesie, wszystkie tamtejsze satelity zostały zniszczone dosłownie w jednej chwili. Nie wiadomo, co je zniszczyło, ani też kto dokładnie podjął wrogie działania przeciwko ludziom.

– Tylko na Ganimedesie?

– Jak na razie, jedynie tam.

– Cholera... I tylko tyle?

– Mało ci jeszcze? – zdziwiła się ponuro. – Nasza misja pozostaje bez zmian, przynajmniej dopóki sytuacja się nie zmieni w jakiś drastyczny sposób. Nawet nas nieco ponaglono.

– Faktycznie, okręt idzie od paru minut całą naprzód...

Carol nawet nie pytała, skąd pilot to wie, skoro silniki są tak doskonale wyciszone, ale pewnie wiedział to na pewno, skoro tak mówił. W końcu znał tę jednostkę nieporównanie lepiej od niej.

Chwilę później przysiadł się do nich Morris Duvall, który w widoczny sposób dochodził do siebie po swojej wczorajszej eskapadzie do Pancake. Parę minut rozmawiali o rozmaitych rzeczach, gdy nagle odezwały się głośniki w mesie. Nad ekranem wielkiego holowizora ukazał się obraz dowódcy.

Wiadomości, jakie im przekazał, pokrywały się dokładnie z tym, co Carol powiedziała drugiemu pilotowi. Wymienili ze sobą znaczące spojrzenia, podczas gdy nawigator słuchał, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Akurat, gdy głośniki umilkły, a na ekran powrócił film, w drzwiach wejściowych pojawiła się wysoka, wdzięczna sylwetka. Carol rozpoznała blondwłosą Paulę de Vailland. Ucieszyła się; całkiem niedawno zdążyła zamienić z nią kilka słów i wyglądało na to, iż jest ona całkiem do rzeczy nie tylko pod względem swojego wy-

glądu. Przywołała ją machaniem, jako że przy ich stoliku było akurat jeszcze jedno wolne miejsce. Paula podeszła i niepewnie stanęła za Duvallem. Toby przyjrzał się jej z nieskrywanym zainteresowaniem.

– Przedstawiam wam Paulę de Vailland – powiedziała Carol do kolegów. – To są, od lewej, nasz drugi pilot Toby MacBride, oraz nawigator, Morris Duvall. Morris, Paula powinna cię szczególnie zainteresować, bowiem to właśnie ona okazała się tym astrofizykiem, o którym ci mówiłam...

Morris niemal skrzył sobie kark, usiłując dostrzec stojącą za jego plecami dziewczynę, i nagle zastygł w tej potwornie niewygodnej pozycji.

– Yy... – powiedział tylko i zamilkł definitywnie. Paula tymczasem z jakimś niesamowitym wdziękiem usiadła na wolnym krześle i uśmiechnęła się. Toby'emu niespodziewanie przyszedł na myśl uśmiech aktorki i modelki sprzed wielu lat, Elisabeth Hurley, widzianej na plakacie u Svena w kabinie. Oba te przeurocze uśmiechy były w jakiś sposób szalenie do siebie podobne...

Carol z pewnym niepokojem patrzyła na Morrisa. Na jego twarzy malowało się jakieś potworne osłupienie, gdy wpatrywał się w siedzącą obok niego dziewczynę. Wlepił w nią wzrok wprost nieprzyzwoicie, nie mówiąc ani słowa. Przy stoliku zapanowało krępujące milczenie. Carol zdecydowała się je przerwać.

– Morris, dolać ci kawy?

Nie było to zbyt oryginalne, niemniej on i tak nie zareagował. Wyglądał, jakby wpatrywał się w upiора. Rzuciła rozpaczliwe spojrzenie pilotowi, ale ten siedział z nieodgadnionym wyrazem twarzy i sprawiał wrażenie, jakby zaczynał dobrze się bawić. Zdeterminowana wstała.

– Zaraz wrócimy, przepraszam was najmocniej – mruknęła, i chwyciła Duvalla za ramię. – Morris, chodź ze mną na moment.

Wreszcie odwrócił twarz do niej. Jego wzrok wyrażał jakieś niezmiernie niezrozumienie i oszołomienie. Pociągnęła go w górę. Machinalnie wstał, po czym jeszcze raz obejrzał się na Paulę.

– On tak często? – zaciekała się Francuzka, oglądając się za nawigatorem i ciągnącą go do wyjścia Carol. Toby uniósł brwi.

– Na ogół jest nieco inny – odchrząknął. – Nie wiem, co mu się stało... chyba nim wstrząsnęłaś. Ale na co dzień to równy facet, i nie daj się zwieść pozorom.

Zmarszczyła brwi, patrząc na niego uważnie.

– Co masz na myśli, mówiąc o pozorach?

– To, że ten chłopak ma parę fakultetów i jest cholernie inteligentny, choć czasem zachowuje się niecodziennie. Zresztą, o tym przekonasz się pewnie sama, skoro macie współpracować...

Na korytarzu Carol przyparła Duvalla do ściany.

– Dobrze się czujesz? – spytała po raz drugi, z rosnącym zaniepokojeniem. Wreszcie chyba zrozumiał, o co pytała.

– Nie wiem – wymamrotał. – Czekaj, daj mi chwilę pomyśleć... czy do nas naprawdę przysiadła się taka blondynka...?

– Przysiadła się – powoli zaczynała tracić cierpliwość. Słoń by nie wytrzymał! Czy on jeszcze ma delirium, na litość boską?! – Do cholery, czemu tak na nią patrzyłeś?! Znacie się?

– Tak. To znaczy, nie. Nie wiem. Widziałem ją.

Znowu zamilkł, a Carol poczuła przemożną ochotę, aby przeciągle, ponuro zawyć. Wzięła głęboki oddech.

– Gdzie ją widziałeś? Coś ci zrobiła?

– Nie, odjechała. Samochodem. Nie mogłem jej dogonić, szofer uciekł...

– Co ty wygadujesz...!!!

Nagle jakby otrzeźwiał. Spojrzał na nią z namysłem.

– Wiesz co, albo miałem halucynacje, albo właśnie zdarzył się niemal niemożliwy zbieg okoliczności – powiedział, a Carol zauważyła, że niespodziewanie po raz kolejny stracił swoją pozę i akcent niezbyt rozgarniętego osiłka. Chwilę wyraźnie walczył ze sobą. – Dobra, powiem ci wszystko. Tej nocy, gdy byłem w Pancake, parę godzin łąziłem po ulicach za tą dziewczyną. Nie wiem, co się ze mną stało, nawet jej nie znałem... – potarł dłonią brodę, wyraźnie zażenowany.

– Dlatego się tak schlałeś? – spytała Carol ostrożnie, bowiem zanosilo się na to, że nawigator poprzestanie na tym, co powiedział.

– Dlatego – mruknął. – Nie wiem, czy coś takiego jest możliwe, i nie śmiej się ze mnie, ale mam wrażenie, że... że zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. Głupie to, no nie...?

Wszystkiego by się spodziewała, ale nie usłyszeć coś takiego z jego ust! Z pewnym trudem doszła do siebie, i wtedy górę zaczęło brać zaniepokojenie.

– A co ci powiedziała?

– Nic. Nie rozmawiałem z nią, nie było kiedy. Weszła do jakiegoś klubu, mnie nie chcieli tam wpuścić. No i... w końcu odjechała. Rolls-roycem, naprawdę. Tutaj, przed chwilą, miałem wrażenie, że zobaczyłem ducha.

– O rany boskie – Carol oparła się o ścianę obok niego i przetrawiała zasłyszane informacje. – Dobra, wracamy tam, i postaraj się wyglądać i zachowywać normalnie. To ci z pewnością nie zaszkodzi w jej oczach...

Godzinę później, już u siebie w kabinie, siedziała przed ekranem, na którym przewijały się teksty oraz fotografie. Od kilku minut przedzierała się przez zasoby WorldNetu, szukając informacji o francuskiej arystokracji. Paula de Vailland niewątpliwie była bowiem arystokratką w każdym calu, i było niemal pewne, że jej nazwisko znajduje się gdzieś w światowych bankach danych. Carol zaś była zaintrygowana do granic możliwości jej osobą, najwyraźniej nader nietuzinkową. Skoro bowiem stać ją na luksusową limuzynę, szofera i ciuchy od Chanel, Mainbochera i Dione, to dlaczego jest naukowcem? Nie musi przecież pracować... Takie ma hobby...?

Nie musiała szukać długo. Nazwisko de Vailland powtarzało się nader często, począwszy od najrozmaitszych kronik towarzyskich, aż do wiadomości gospodarczych. Jak się okazało, jej rodzina – istotnie arystokratyczna do szpiku kości – była jedną z najbardziej wpływowych we Francji. Byli właścicielami lub udziałowcami wielu znanych i znaczących korporacji i spółek, wspierali najrozmaitsze akcje charytatywne, udzielali się towarzysko w najbardziej elitarnych kręgach. O samej Pauli dowiedziała się paru rzeczy, głównie z kronik towarzyskich: miała dwadzieścia sześć lat i była jednym z najbardziej znanych młodych astrofizyków we Francji. Studia ukończyła pięć lat temu,

czyli dość wcześnie... Kroniki jednak po macoszemu potraktowały jej osiągnięcia na tym polu, chociaż jasne było, że były one niemałe. Jej życie prywatne za to komentowano i opisywano szeroko: nie była związana z nikim na stałe, często brała udział w imprezach charytatywnych, i równie często zmieniała partnerów. Lubiała zwiedzać świat, i w jakiś sposób udawało jej się najwyraźniej godzić te zachcianki z pracą naukową.

Nazwisko de Vailland było jednak przeważnie wiązane z marką doskonałego szampana, który wytwarzali od ponad stu lat. Zdjęcia pokazywały winnice zalane złotym blaskiem słońca południowej Francji, oraz butelki z charakterystyczną, złoto-zieloną nalepką. No tak, szampan Vailland... Miał swoje zasłużone i uznane miejsce obok Kruga, Dom Perignona, Duvalla, Moet & Chandon i jeszcze paru innych...

Zaraz, Duvalla? Carol wróciła wzrokiem do tej części tekstu. Zabawne, jedna z rodzin produkujących markowe szampany nosiła to samo nazwisko, co Morris... Niemal wbrew sobie przywołała odpowiednią stronę, choć właściwie potraktowała to jako ciekawostkę. Świat wielkich francuskich rodzin miał jednak w sobie coś fascynującego. Zaraz... o, już jest: rodzina ta korzeniami swymi sięgała w przeszłość co najmniej równie daleko, co de Vaillandowie. W chwili obecnej była jednak dużo mniej liczna. Senior rodu, stary markiz Duvall, mieszkał w Paryżu, skąd żelazną dłońią zarządzał interesami. Jego jedyny syn nie żył od kilkunastu lat, byli jednak wnukowie. Jeden z nich studiował jeszcze prawo na Harvardzie, drugi – najstarszy – pomagał dziadkowi w interesach. Zaraz, była mowa o jeszcze jednym wnuku...

W 2049 roku, czyli niemal dokładnie dziesięć lat temu, dziewiętnastoletni wówczas średni wnuk, zniknął nagle i niespodziewanie ze sceny towarzyskiej. Nieprzeciętnie zdolny, studia zaczął w wieku lat szesnastu, ukończył je mając lat dziewiętnaście i wtedy też zniknął. Studiował zaś... astrofizykę. Carol z rosnącym zdumieniem czytała dalej. Krążyły plotki o jego śmierci, ucieczce z jakąś aktorką, alkoholizmie czy nieuleczalnej chorobie, każda z nich jednak prędzej czy później okazywała się zwykłą bujdą, wymyśloną przez niestrudzonych dziennikarzy. Po kilku miesiącach sprawa zatem

przycichła, zwłaszcza że cała rodzina wyjątkowo zgodnie milczała na ten temat. Znamienna była wypowiedź starego markiza, który wobec prasy lakonicznie stwierdził, że "jego wnuk może robić w życiu, co tylko mu się podoba, i nie zamierza mu w tym przeszkadzać, a wręcz przeciwnie". Wiedziona jakimś niepojętym nakazem, Carol gorączkowo przeskakiwała ze strony na stronę, szukając konkretnych informacji. Wreszcie znalazła to, na czym najbardziej jej zależało. Wnuk miał na imię Morris. Zaś na następnej stronie znalazła jego zdjęcie.

Przyglądała się mu w milczeniu, chłonąc każdy szczegół tej twarzy. Była to przystojna twarz młodego mężczyzny, właściwie jeszcze chłopca, o krótko przyciętych włosach, wyraźnie zarysowanej szczęce i oczach patrzących prosto w obiektyw. Gdyby jednak ostrzyc go na zero, dołożyć kolczyki i gdyby był nieco starszy...

Nie, nie mogła się mylić.

Ze zdjęcia patrzył na nią, uśmiechając się w swój nader charakterystyczny sposób, pierwszy nawigator *Ramsesa*.

Kosmos

Niespełna trzy godziny po zniszczeniu boi detekcyjnych, w odległości niecałych pięciu milionów kilometrów od Jowisza, dosłownie z nicości wyłoniła się grupa wielkich statków kosmicznych. Gwiazdoloty, które po wyhamowaniu z podświetlonej skierowały się w stronę Jowisza, nie zareagowały na żadne wezwania ani żądanie identyfikacji. Upadła więc początkowa nadzieja, iż oto nadchodzi spodziewana pomoc w postaci rahańskiej floty wojennej. Co prawda wszyscy mieli świadomość, iż flota taka w pierwszej kolejności skierowałaby się w stronę Ziemi, strategicznie najważniejszego obiektu w całym Układzie Słonecznym. W głębi ducha jednak niemal każdy liczył na to, że choć kilka sprzymierzonych statków przybędzie tu, aby bronić samotnej placówki na Ganimesie. Tych kilka transportowców, które znajdowały się na kursie do Jowisza, niezwłocznie po

pierwszym ataku pospiesznie zawrócono z drogi. W tej chwili leciały one bądź na Marsa, bądź do *Ceres Candy*, skąd miały ewakuować tamtejszą załogę. O ile zdążą, oczywiście.

Tylko jeden z nich był w chwili ataku na boje detekcyjne tak blisko Ganimedesa, że wręcz ryzykowne wydawało się zawracanie go z drogi i odsyłanie go w przestrzeń układową, być może tuż pod nosem urządzeń, które dopiero co przeprowadziły tak skuteczny atak na ganimedańskie instalacje orbitalne. Był to w zasadzie lądownik, uwolniony kilka godzin wcześniej z olbrzymiego transportowca *Atlantic*, który pomknął następnie ku Neptunowi.

Wahanie kontrolerów lotu i dowództwa bazy trwało krótko, bowiem nie było po prostu czasu na takie rozmyślania. Kres gorączkowym rozważaniom położył sam dowódca lądownika.

– Nie chcę skończyć jak wasze satelity detekcyjne – uciał krótko wszelkie dyskusje. – Według mnie i mojej załogi, mniejszym ryzykiem będzie próba lądowania w *Blue One*, niż powrót na Marsa... a zresztą bez naszego macierzystego *Atlantica* trudno byłoby nam tam wrócić.

Po takich słowach dowództwo bazy wyraziło natychmiastową zgodę na lądowania wahadłowca.

Sheena nawet nie próbowała sobie wyobrazić, co musieli czuć pozostali pasażerowie transportowca – nie była pewna, czy dowódca statku pytał ich w ogóle o zdanie. Traf chciał, iż było to dwudziestu jeden naukowców i techników, którzy przybywali właśnie jako zmiennicy lwiej części dotychczasowej obsady stacji. Akurat ten statek był z tego powodu chyba najbardziej wyczekiwaną na Ganimedese jednostką od dobrych kilku miesięcy. Nie mówiąc już o całym wiezionym ładunku...

Statek był mocno zmodyfikowaną wersją amerykańskiego wahadłowca piątej generacji, pionowego startu i lądowania. Według obowiązujących standardów, pojazd był przeżytkiem technicznym; biorąc jednak pod uwagę zapotrzebowanie odległych placówek układowych na możliwości transportowania towarów i ludzi, korzystano dalej ze wszystkiego, co było pod ręką. Tyle tylko, że starsze statki służyły obecnie jedynie jako jednostki przenoszone przez gigantyczne trans-

portowce, takie jak choćby *Atlantic*. Jednak w odróżnieniu od nich, w wahadłowcach tego typu start i lądowanie wciąż odbywały się jedynie za pomocą starego napędu konwencjonalnego, czyli silników o napędzie chemicznym...

Ten ich dowódca to musi być faktycznie facet z jajami, pomyślała wtedy Sheena, która ponownie siedziała na pokładzie obserwacyjnym. Stąd chciała obserwować zarówno moment zejścia transportowca z orbity, jak i samo lądowanie. Miała przed sobą naprawdę wspaniały widok na całe, szeroko rozciągające się pole startowe, i niewątpliwie żaden szczegół ciekawego widowiska nie zdoła jej umknąć. Podobnie jak ona myślało pewnie również te kilkanaście innych osób, które w ślad za nią – lub tuż przed nią – przybyły na pokład widokowy. Teraz zajmowali miejsca w wygodnych fotelach, najwidoczniej także nie mając niczego lepszego do roboty.

Przez głośniki mogli bez problemu słuchać wymiany komunikatów pomiędzy kontrolerami a załogą statku. Wahadłowiec na domiar złego schodził z orbity w nader utrudnionych warunkach, bowiem bez najmniejszej pomocy naziemnych komputerów nawigacyjnych. Spowodowane to było obawami dowódcy transportowca, możliwe nawet, iż uzasadnionymi. Brał on bowiem pod uwagę możliwość przechwytywania sygnałów nawigacyjnych przez obce urządzenia i ich rozmyślnego fałszowania. W istocie, taka ewentualność istniała, a nawet jeśli nie była zbyt prawdopodobna, to jednak możliwa. A wtedy lądowanie przeprowadzone całkowicie bez udziału człowieka, praktykowane przecież nagminnie w normalnych warunkach, tutaj mogło zakończyć się sprowadzeniem wielkiego statku wprost na jakieś skalne urwiska i natychmiastową katastrofą.

Decyzja o lądowaniu wyłącznie na wskazaniach przyrządów statku oraz przy pomocy dostępnych pilotom map świadczyła dodatkowo o ich kwalifikacjach, jak i zaufaniu, jakim obdarzał ich dowódca. Sheena całkowitym przypadkiem wiedziała zaś co nieco o załodze tego statku. Tuż przed wyjściem ze sterowni podchwyciła mimowolnie wymianę zdań pomiędzy jednym z kontrolerów – o ile pamiętała, miał na imię Mark – a dowódcą wachty.

– Znam pierwszego pilota, Rawlingsa – mówił akurat kontroler – jeszcze sprzed paru lat. Mam na koncie lądowanie w pilotowanym przez niego statku w kraterze Toricellego, na Księżycu. Ziemskim Księżycu, naturalnie. To było jeszcze przed Kontaktem, i lecieliśmy akurat do tej pechowej bazy. Pamięta pan ten wypadek? Głośno o nim było swego czasu... Obwał skalistego zbocza prosto na kopuły stacji, utrata hermetyczności, geologom nieźle się wtedy przy okazji oberwało... Koniec końców, wieźliśmy im z Luny Głównej zaopatrzenie, lekarzy, niezbędny sprzęt, powietrze, nie wiem nawet, czy nie byliśmy pierwszą jednostką w tamtym rejonie po katastrofie. I schodziliśmy tak z balistycznej na ten niewielki kosmodrom, jakim dysponował wtedy Toricelli, gdy siadła cała jedna sekcja silników. Momentalnie dostaliśmy obrotów wzdlużnych, a do tego doszedł jeszcze obrót precesyjny. Wahania i wychylenia kadłuba narastały i nakładały się na siebie... a do powierzchni Księżyca było nie dalej, jak paręnaście kilometrów. Nikt na pokładzie nie odezwał się dosłownie ani słowem, ja zaś, mówiąc szczerze, żegnałem się już z życiem. Sytuacja wydawała się nie do opanowania. W otwartej przestrzeni, owszem, czemu nie, ale w końcowej sekwencji lądowania księżycowego... A jednak temu skubańcowi udało się dokonać rzeczy niemożliwej: pomocniczymi silnikami począł korygować wychylenia boczne, a schodziliśmy przecież na ogień, w osi! Prędkość jednak była już o wiele za duża, jak na tę wysokość. I wtedy on zerwał plomby bezpieczników, i na jakiś kilometr nad powierzchnią dał pełny ciąg, sprawnymi sekcjami. Rozumie pan to? Przez kilka sekund mieliśmy dobre piętnaście g, nie wiem, czy pan wie co to oznacza... Ja nie widziałem niczego, niemal nie mogłem oddychać, a w końcu straciłem na moment przytomność. A on w tym czasie nie dość, że odzyskał kontrolę nad statkiem, to na dodatek musiał w głowie, w pamięci, przeprowadzać tak skomplikowane obliczenia potrzebne do manewrów, bo chyba nie improwizował... a zresztą nie zdziwiłbym się. Ten krótki zryw ciągu nie dość, że wyhamował nas nad płytą lądowiska, to na dodatek niemal całkowicie zniwelował te przekłete boczne wychylenia. Grzmotnęliśmy co prawda o beton solidnie, statek momentalnie utracił hermetyczność... Wszyscy na szczęście byliśmy w kompletnym

rynsztunku próżniowym – takie wtedy jeszcze były przepisy – więc nie nam się nie stało, nie licząc jakichś tam drobnych zadrapań... A wie pan, co się potem okazało? Że ten skubaniec trafił niemal dokładnie w wytyczony flarami i markerami kawałek płyty, na którym miał nas posadzić...!

Nagle pojawienie się wysoko, w górze, nowego ognika pozostałoby przez nią nie dostrzeżone, gdyby nie przyciszony głos kogoś, kto siedział obok niej. Pospieszenie poderwała głowę i już jej nie opuściła. Nowa gwiazdka była niemal z każdą chwilą jaśniejsza, i nieco przesuwiała się na tle innych gwiazd. To, co w tej chwili widzieli, było więc ziejącą ogniem rufą wielkiego transportowca, schodzącego w klasyczny sposób, na słupie ognia z dysz wylotowych. Płomień był coraz bliżej, i trwała tak wpatrzona weń niczym zaczarowana. Jednym uchem łowiła spokojną wymianę komunikatów pomiędzy kontrolerami z *Blue One* a pierwszym pilotem z *Orchid 7*, bo takie oznaczenie nosił ten akurat wahadłowiec.

– Siedem kilometrów – oznajmił z głośnika męski, opanowany głos jednego z kontrolerów. Miała wrażenie, że to mówił ten, który opowiadał uprzednio dowódcy wachty ową historię o pilocie. – Schodzisz dokładnie w osi, *Orchid 7*, bez dryfu bocznego. Włączamy markery pola startowego, powinieneś je już zobaczyć.

W tym samym momencie daleko, za panoramicznym oknem, rozbłyły jaskrawe, kłujące wzrok światełka, których blask bez trudu przebijał się przez śnieżną zadymkę. Wytyczały one duży, okrągły obszar, który miał stać się celem dla zbliżającego się statku.

– To ty, Mark? – zatrzęszczał w głośnikach inny głos, dużo niższy od głosu kontrolera. – Witaj, mówi Frank Rawlings... widzimy już wasze światła. Jaki mam margines od krańca oznaczonego obszaru do brzegu pola?

– Ponad pięćset metrów.

– Fantastycznie. Na altimetrze mam cztery i pół kilometra do płyty, odbieram też wasz namiar pozycyjny. Wolę się nim jednak nie sugerować, choć wszystko wygląda jak najbardziej OK. Proszę o potwierdzenie wskazań moich przyrządów.

– Potwierdzam, *Orchid 7* – odparł niezwłocznie kontroler. – Masz w tej chwili nieco ponad cztery kilometry do płyty.

– Przygotowuję się do zmiany ciągu na wodorowo-tlenowy...

To faktycznie była ostatnia faza lądowania. Za chwilę zniknie niczym zdmuchnięty płomień napędu jonowego, zastąpiony ciągiem z silników o konwencjonalnym napędzie chemicznym. W ten sposób statek zostanie sprowadzony na powierzchnię.

Sheena głęboko odetchnęła, dopiero teraz dostrzegając, że przez cały czas trwała zesztywniała i nieświadomie wychylona do przodu, zaciskając palce na oparciach fotela niemal do bólu. Rozluźniła się. Skoro jak dotąd wszystko poszło dobrze, to chyba już nie stanie się nic nieprzewidzianego...

– Przygotowujemy się do otwarcia pola ochronnego na czas twojego przejścia – to znowu był kontroler. – Idzie ci bardzo ładnie, *Orchid 7*. Czekamy na was.

Gdy bliski już ogień, powoli przybierający konkretniejsze kształty, błysnął nagle i przygasł, przestraszyła się nie na żarty. Dopiero po chwili z wymiany zdań zorientowała się, iż właśnie włączone zostały silniki chemiczne, używane w końcowej fazie lądowania. Ponownie głęboko odetchnęła i rozparła się wygodniej w miękkim fotelu.

I nagle kolejny błysk, tym razem tak silny, że bezsilnie mrugała oczami, zanim po kilku sekundach zaczęła coś widzieć. Jednak głosy dobiegające z głośnika mówiły coś, od czego cała dosłownie zmartwiała.

– Silny uder termiczny lewej burty – meldował gorączkowo pilot. – Wygląda na trafienie z jakiejś broni energetycznej... Lewa sekcja silników uszkodzona, przewody paliwowe... wyłączam lewą sekcję. Spróbuję to skompensować napędem jonowym...

Wielki, oślepiająco biały cylinder był już wyraźnie widoczny na tle ciemnego nieba. Choć widziany w perspektywicznym skrócie z powodu wysokości na jakiej się znajdował, nie trwał już idealnie prosto, jak do tej pory. Jego dziób wyraźnie odchylił się od pionu, i wtedy blask bijący z jego rufy zmienił natężenie. Widać pilot wprowadzał swoje słowa w czyn, próbując ratować stateczność wielkiego statku.

To dokładnie tak, jak wtedy! – zrozumiała nagle osłupiała Sheena, przypominając sobie opowieść kontrolera. – Mój Boże, to przecież niemożliwe...!

Koszmar trwał jednak nadal. Na pokładzie obserwacyjnym panowała absolutna cisza, raz tylko przerywana zduszonym jękiem jakiejś kobiety. I nagle, patrząc na coraz większe wahania olbrzymiego kadłuba, Sheena zrozumiała, że to wcale nie tak, jak wtedy. Teraz pilot musiał zapanować nad nieporównanie większą masą, niż podczas tamtego lądowania na Księżycu. Na dodatek tym razem lądował w atmosferze, która – choć rzadka – wprowadzała jednak do pilotażu dodatkowy czynnik nieprzewidywalności.

– *Blue One*, tracimy stateczność.

– *Orchid 7*, masz półtora kilometra do płyty! – kontroler niemal krzyczał. – Rawlings, pełnym ciągiem w górę! W górę!!!

Chwilę trwało, nim Sheena zrozumiała, co on chciał przez to powiedzieć. Ale faktycznie, to mogło okazać się jedyną szansą ratunku statku: rozpaczliwa próba wyjścia pełnym ciągiem z powrotem na orbitę, w przestrzeń. Co prawda z tego, co wiedziała, taki manewr był czymś nie praktykowanym i łamał wszelkie reguły pilotażu, ale mógł uratować dwadzieścia cztery osoby obecne na pokładzie wahadłowca.

– Nie mogę – głos pilota z trudem przedarł się przez trzaski. Co też je powodowało...? – Mam przebicia w instalacjach, reaktor daje tylko połowę mocy... Zaraz... Komputery dają błędne rozkazy do zapłonu silników... Przejmuję sterowanie.

Biały cylinder wychylony był w tej chwili tak, że mogła widzieć jego jeden bok bardzo wyraźnie. Zbyt wyraźnie. Już zdawało się, że ten przechył będzie tragiczny w skutkach, że statek nie zdoła się wyprostować i runie w dół. Jakimś niepojętym cudem począł jednak z wolna powracać do pionu, niczym śmiertelnie ranny człowiek, usiłujący wstać na równe nogi. Niekończące się sekundy trwało, zanim dziób począł celować na powrót w rozgwieżdżone niebo, a cały ten czas natężenie ognia bijącego z rufy zmieniało się dosłownie co chwila. To pilot ręcznie włączał i wyłączał odpowiednie sekcje silników, naprzemiennie jonowych i wodorowo-tlenowych, co już samo w sobie również łamało wszelkie przepisy i reguły. I tak dygocząc, zataczając

się niczym pijany, statek schodził jednak ciągle w dół, prowadzony przez pilota, który najwyraźniej po raz drugi w życiu dokonał rzeczy niemożliwej.

Sheena nieświadomie wstała i z uniesionymi rękami podeszła do wielkiego okna, czując łzy w oczach. Oparła dłonie o chłodną płaszczyznę i patrzyła w górę – tam, gdzie człowiek toczył w tej chwili walkę, której nie można było przyrównać do niczego innego. I tę walkę wygrywał.

– Doskonale, Rawlings! – głos kontrolera chyba lekko zadrżał. – Tylko tak dalej, pola otwarte, masz wolną drogę!

Kolejne kilkanaście sekund.

– Reaktor traci moc – te słowa padły niespodziewanie tak wyraźnie, wolne od wszelkich zakłóceń, jakby wypowiedział je ktoś stojący tuż obok. Głos pilota był dziwnie spokojny. – Nie utrzymam statku.

– Masz siedemset metrów do płyty...

Słowa kontrolera zawisły w próżni, gdy krzaczasty ogień bijący z rufy wielkiej jednostki zgasł nagle, niczym zdmuchnięty. Wielki, biały cylinder począł się z wolna przechylać w bok, waląc się zarazem w dół. Teraz wszystko już działo się w absolutnej ciszy, w której wyraźnie zabrzmiały z głośników cichym głosem wypowiedziane słowa:

– Mark, pozdrów ode mnie Sylvie i dzieci...

Nie mogła się zmusić, aby zamknąć oczy. Stała tak, oparta o ścianę, ze wstrzymanym oddechem i suchymi teraz aż do bólu oczami. I z otwartymi ustami patrzyła, jak wielki statek, koziółkując bezwładnie, uderza w jeden z wielkich lodowych garbów zaraz za lądowiskiem i przełamuje się na pół. W górę wzbila się olbrzymia chmura gazów – to lód wrzał i zamieniał się w parę pod wpływem olbrzymiej temperatury, gdy wybuchły zbiorniki z ciekłym paliwem.

Dopiero po chwili doszła do nich fala uderzeniowa wielkiej eksplozji. Pokłady wyczuwalnie zadrżały, w ślad za niskim, grzącym pomrukiem, który przetoczył się nad powierzchnią satelity. Z chmury wyprysnął znenacka obły, wciąż połyskujący bielą cylindryczny fragment kadłuba, częściowo poszarpany i zmiażdżony. Koziółkując prze-

leciał kilkaset metrów i wbił się w kolejne lodowe wzniesienie, wzbijając nowy, kłębiasty obłok.

I to był koniec.

Sheena usiadła tam, gdzie stała, skrywając twarz w dłoniach, nie mogąc zrozumieć tego, co właśnie się stało. Ktoś pomógł jej wstać, nie wiedziała, kto. Widziała, jak jakąś kobietę, szlochającą rozpaczliwie i szarpiącą się, dwaj mężczyźni wyprowadzają z pokładu wido-kowego na zewnątrz.

– Miała tam siostrę – szepnął stojący obok Sheeny technik, którego ściągnięta i poszarzała twarz majaczyła w mroku. Patrzył w ślad za kobietą aż do momentu, gdy zamknęły się drzwi windy. Potem na moment zahaczył spojrzeniem o oczy Sheeny, by wreszcie utkwić wzrok w dalekiej chmurze, która wypiętrzała się wciąż w górę niczym jakiś złowieszczy, monstrualny, górujący nad okolicą grzyb.

Długo tak stała jeszcze przy szybie, patrząc przed siebie, pomimo iż wszyscy inni opuścili już to miejsce. Widziała gorączkową krzątanię pojazdów naziemnych, zdążających na miejsce katastrofy, równie pospieszną, co zbędną. Tam po prostu nie mógł pozostać nikt żywy. I widziała wreszcie to, co ukazało się po rozplynięciu się wielkiej chmury. Miała świadomość, że tego widoku nie zapomni do końca swego życia.

Następne godziny nie przyniosły niczego nowego, poza zgodnym stwierdzeniem, że wahadłowiec padł ofiarą niespodziewanego i całkowicie nieuzasadnionego ataku z przestrzeni. W kierunku zbliżającej się, milczącej floty wysłano komunikat zredagowany w bardzo ostrym tonie, protestujący przeciwko takiemu łamaniu wszystkich zasad galaktycznej sztuki wojennej. Pomimo jednak, iż komunikat wysłano posługując się standardowym kodem, zrozumiałym z pewnością dla każdej rozumnej rasy w Galaktyce, nie nadeszła żadna odpowiedź.

Dla upewnienia się o tak jawnie wrogich zamiarach tego, co zniszczyło statek, po krótkich uzgodnieniach z Ziemią postanowiono wysłać w przestrzeń jeden z trzech obecnych akurat w bazie wielkich transportowców, jednak bez załogi na pokładzie. W razie, gdyby mógł kontynuować lot bez przeszkód, miał jedynie okrążyć Callisto, czwar-ty księżyc Jowisza, po czym powrócić do bazy.

Transportowiec wystartował bez przeszkód, i przez pewien czas zdawało się już, iż wykona misję według planu. Wykonanie kilku okrążeń wokół Ganimedesa na niskiej orbicie udało się bez żadnych przeszkód. Jednak gdy tylko statek wszedł na nowy kurs prowadzący na wyższą orbitę biegunową, transmisja niespodziewanie urwała się. Zaś na niebie rozjarzyła się nagle na kilka krótkich chwil nowa, jasna gwiazda.

Zebrani w centrali starannie unikalili swego wzroku. A więc wszystko było już jasne: rozpoczęła się całkowita izolacja ich placówki od reszty świata.

Siedząc za swoim pulpitem, Sheena ponuro rozmyślała o wydarzeniach dzisiejszego dnia, gdy nagle okazało się, że to jeszcze nie koniec tego, co na dziś zgotował im los.

Teraz bowiem mieli jeszcze jeden problem.

Na kilka godzin przed pierwszym atakiem, jeden z naukowców Khree'ro, geolog, udał się niewielkim, kilkusobowym pojazdem, na drugą półkulę satelity. Znajdowało się tam kilka obszarów, na których dokładniejsze zbadanie niektórzy członkowie ekipy naukowej mieli od dawna chrapkę. Galakt poleciał sam, gdyż resztę pojazdu załadował zabranymi ze sobą automatami do prac odkrywkowych, i całą resztą niezbędnego sprzętu. Miała to być jedynie misja rozpoznawcza, stanowiąca zaledwie wstęp do planowanych już dalszych, zakrojonych na o wiele większą skalę prac.

Ledwie naukowiec zdążył dotrzeć na miejsce i o tym zameldować, ledwie rozstawił pierwsze instrumenty, nadeszło uderzenie z kosmosu. Powiadomiono go natychmiast, i zaraz potem, bez chwili zwłoki, geolog zaczął się zbierać do odwrotu. Pozostawił na otwartej przestrzeni to, co zdążył wyładować, wszedł do swojego pojazdu i wystartował do drogi powrotnej. Oddalił się od jednak miejsca lądowania zaledwie na kilkanaście kilometrów, gdy warunki pogodowe zaczęły się bardzo gwałtownie pogarszać. Nie minęło wiele czasu, a dalsza droga zaczęła być wręcz ryzykowna. On jednak podjął to ryzyko, po-

mimo iż meldował o szalejącej wichurze i niemal zerowej widoczności. Kilka minut później nagle stracono z nim łączność.

I do tej pory jej nie odzyskano.

Większość personelu pogodziła się z tym, iż stracili właśnie jednego członka załogi. Kilku jednak – w tym i Sheena – czekali wciąż na jakikolwiek sygnał świadczący o tym, iż khree'roański naukowiec w jakiś sposób wydostał się z burzy i podąża w stronę *Blue One*. Z początku liczone się z tym, iż na skutek wichury jego pojazd mógł stracić anteny i to jest powodem braku łączności. Minął jednak już dawno czas, w którym powinien dotrzeć do bazy, nawet przy uwzględnieniu postępu i przeczekiwania przez niego niekorzystnych warunków atmosferycznych.

Istniała pomimo to pewna nadzieja. Wiedzano, iż zapasy tlenu wystarczą mu na co najmniej kilka tygodni. Wiązało się to zarówno z dużymi zapasami, jakie zabrał ze sobą, jak i specyficznym metabolizmem Galakta. Z podobnych powodów mógł się nie martwić brakiem żywności, przynajmniej przez najbliższy miesiąc. Teoretycznie więc mógł wciąż siedzieć gdzieś tam, daleko, w uszkodzonym pojeździe, i z nadzieją czekać na pomoc, która nigdy nie miała nadejść. Mógł też już nie żyć, i tak myślała większość. Jak by jednak nie było, brakowało sposobów, aby się o tym przekonać. Wokół Ganimedesa nie krążyły już czujne oczy w postaci ich satelitów...

Sytuacja nie zmieniła się ani na jotę, gdy Sheena schodziła wreszcie ze swojego stanowiska. Obca flota znajdowała się o milion kilometrów od Ganimedesa, khree'roański geolog nie dawał znaku życia, a ona sama była cholernie zmęczona. Dotarła do kabiny, i po symbolicznych zabiegach toaletowych zvaliła się na łóżko. Zasnęła niemal natychmiast.

Obudziła się nagle, ze wstrzymanym oddechem. Gdy zerknęła na zegarek, ze zdziwieniem stwierdziła, że spała zaledwie dwadzieścia minut. Co więc ją obudziło...?

Nagle przypomniała jej się tamta noc, gdy odebrała przekaz ESP pochodzący z tak daleka. Tym razem nie miała pojęcia, co było źródłem jej niepokoju. Na pewno nie była to niczyja świadoma ingerencja w jej umysł, postanowiła jednak spróbować. Pomimo

zmęczenia przyjęła znaną z treningów pozycję, przymknęła oczy i zaczęła szukać.

W najbliższym otoczeniu nie znalazła niczego. Sięgnęła nieco dalej, potem jeszcze trochę dalej... i nagle zaczerpnęła głęboko powietrza. Sprawdziła jeszcze raz. I trafiła na to ponownie. Nie mogło być żadnych wątpliwości.

Poderwała się na łóżku i wyplątała z prześcieradła. Kilka minut później w zatłoczonej, gwarnej centrali dopadła majora Donnera, który jakimś cudownym sposobem wyglądał tak, jakby właśnie wstał po wielogodzinnym, spokojnym śnie. Sprawiał wrażenie zrelaksowanego i wypoczętego, a na dodatek był w mundurze wyglądającym na świeżo odprasowany. Skądinąd Sheena wiedziała, że jej przełożony był na nogach ładnych parę godzin dłużej, niż ona sama.

Wysłuchał jej ze zdziwieniem i początkowym sceptycyzmem.

– Trudno mi w to uwierzyć – rzekł, patrząc jej w oczy. – Na pewno się pani nie myli?

Z trudem powstrzymała złość.

– Jestem członkiem Korpusu ESP – odparła, wytrzymując jego natarczywe spojrzenie. – I skoro z tego powodu stałam się tu outsiderem, to może być pan pewien, że zasłużyłam sobie na to swoimi faktycznymi umiejętnościami. Jestem telepatą i wiem, co mówię.

Długą chwilę patrzył na nią bez słowa, bębniąc palcami w oparcie fotela, obok którego stali, i Sheena była już bliska wybuchu, gdy on wreszcie się odezwał.

– A więc prawdą jest to, co do mnie dotarło – mruknął jakby do siebie. – Była pani wyłączona z życia towarzyskiego bazy...?

– Nie: byłam – sprostowała, już spokojnie. – W dalszym ciągu jestem. Co prawda w tym zamieszaniu, jakie tu ostatnio panuje, paru osobom zdarzyło się, prawdopodobnie przez pomyłkę, odezwać do mnie serdeczniej. W chwili obecnej zapewne pluą sobie w brodę. Guzik mnie to jednak obchodzi, może mi pan wierzyć lub nie. Zajmijmy się lepiej tym, z czym do pana przyszedłam.

Kiwnął głową, przyjmując do wiadomości to, co powiedziała.

– Dobra, a więc twierdzi pani, że ten naukowiec żyje? Że w ten wasz magiczny sposób odebrała pani jego myśli, i on naprawdę gdzieś tam jest?

– W dodatku ranny – uzupełniła skrupulatnie. – Może nawet ciężko ranny, tego już nie jestem w stanie stwierdzić. Wiem jedynie, że on tam faktycznie jest, i że czuje ból. I chwilami traci przytomność. Może ma rozerwany skafander, nie wiem. Panie majorze...

– O co pani chodzi? Proszę mówić, nie mamy czasu.

Zaczerpnęła powietrza i ponownie spojrzała mu prosto w oczy.

– Proszę o pozwolenie zabrania jednego z pojazdów bazy i wyruszenia tam, na miejsce – powiedziała. – Mam duże szanse, aby go odnaleźć i przywieźć bezpiecznie do bazy.

– Nie ma mowy – rzucił energicznie, potrząsając głową w wyraźnym zdumieniu. – W perymetrze Jowisza mamy obcą flotę, która...

– Która znajduje się jeszcze dostatecznie daleko, abym trzy razy zdążyła odbyć całą tę trasę, tam i z powrotem – wpadła mu w słowo. – Wiem, że miałabym do przebycia ponad trzy tysiące kilometrów w jedną stronę, ale jeśli wezmę jednego ze *Sparków*, to spokojnie zdążę. Majorze, tam być może umiera inteligentna, czująca istota...

– Niech mnie pani nie bierze na takie chwytły – warknął, spoglądając na nią gniewnie. – A czemu nie spytała pani o jego ziomków w bazie?

– Hmm... pewnie, że wołałabym, aby jeden z nich poleciał ze mną – wyznała. – Ja nie mam zielonego pojęcia o ich fizjologii, a tym bardziej o jakiegokolwiek pierwszej pomocy w takim wypadku. Z którymś z nich u boku byłoby łatwiej. Ale nie wiem, czy zmieścilibyśmy się we trójkę podczas powrotu...

– W *Sparku*? Nawet nie ma co marzyć. Trzech ludzi by weszło, ale Khree'ro są trochę więksi od nas, nie pamięta pani? Poza tym, jak pani go odnajdzie? Urządzenia namiarowe jego statku nie działają!

– Ja go znajdę – rzekła z pewnością, którą faktycznie czuła. – To znaczy, o ile będzie jeszcze żył.

– Niech pani pamięta, co stało się z tamtym wahadłowcem.

Wytrzymała jego spojrzenie.

– Tamten wahadłowiec nadszedł z przestrzeni, i był naprawdę wielki. Wykrycie go dla nikogo nie było rzeczą trudną. Zaś *Spark* jest mały, zwrotny, i przy odrobinie szczęścia pozostanie nie do wychwycenia na niskiej wysokości. Jestem gotowa ponieść to ryzyko. Mogę lecieć?

Zamknął na moment oczy i trwał tak niczym posąg.

– Niech pani weźmie jednego ze *Sparków*, poruczniku – powiedział wreszcie, a Sheena nagle zobaczyła całe zmęczenie ostatnich godzin, które w jednym momencie wypełzło na jego twarz. – I proszę załadować solidny zapas tlenu i żywności. To tak na wszelki wypadek... trzeba być przygotowanym na wszystko.

Daleko, niemal miliard kilometrów ponad płaszczyznę ekliptyki, obraz gwiazd nagle zafalował, zrazu niezauważalnie, jednak z każdą sekundą silniej. Wreszcie przestrzeń jakby zapadła się w siebie, a rozwijając się na powrót, wypłuła z nicości wielki, ciemny, rozpędzony kształt. Statek począł wyhamowywać swą wielką prędkość, zmieniając jednocześnie kurs. Chwilę później znikąd wyłonił się kolejny, bliźniaczy kształt, potem jednocześnie dwa kolejne, potem jeszcze jeden, a za nimi następne. Trwało to jeszcze przez długi czas, w ciągu którego pojazdy przybyłe wcześniej hamowały i skupiały się kilka milionów kilometrów dalej w uporządkowaną eskadrę. Wymieniając zakodowane wiadomości i informacje, statki używały łączy laserowych, jedynych niemożliwych do namierzenia w czasie działań wojennych. Przez cały czas dołączały do nich kolejne gwiazdoloty; widowisko budziło wręcz grozę, a powolny taniec manewrujących w przestrzeni jednostek sprawiał dziwnie hipnotyczne wrażenie.

Wreszcie ten zdawałoby się niekończący pochód nowoprzybyłych skończył się. Flota trwała nieruchomo jeszcze przez jakiś czas, aż wreszcie statki wykonały majestatyczny zwrot. I nagle ruszyły przed siebie, w jednym momencie przyspieszając od zaledwie kilkunastu aż do kilku tysięcy kilometrów na sekundę. Ekrany ochronne poszczególnych jednostek migotały delikatnie, gdy przesłaniały zimne światło

dalekich gwiazd, lekko zniekształcając ich obraz. Gdyby poprowadzić prostą linię stanowiącą przedłużenie ich kursu, okazałoby się, że wiedzie ona w kierunku jasnej, podwójnej gwiazdy, która w silniejszych teleskopach okazywała się niebiesko-zieloną planetą wraz z towarzyszącym jej satelitą. Gdyby zaś postronny obserwator mógł obejrzeć któryś ze statków z mniejszej odległości, bez trudu dostrzegłby na jego burcie wielki, błyszczący znak, przedstawiający trzy splecione ze sobą okręgi.

Rahańska flota przybyła do Układu Słonecznego.

Salę dosłownie zalewał potok silnego, równomiernego, czerwonego światła o niezwykle pięknej barwie, jaką tylko niekiedy uzyskuje naturalny płomień. Wlewało się ono do środka przez szereg szerokich, panoramicznych okien, biegnących pod sufitem dużego, okrągłego pomieszczenia. Wzdłuż ścian sali umieszczone były liczne urządzenia i tablice rozdzielcze, stanowiska operacyjne i monitory holograficzne. Centralną jej część zajmował wielki, metalicznie błyszczący w świetle cylinder, który biegł pionowo od samej podłogi i nikał w suficie, stanowiąc jakby niewielki wycinek o wiele większej całości.

Jeden z operatorów, mrużąc z wysiłkiem oczy, oderwał się wreszcie od swojego monitora i z pewną irytacją rozejrzał się po sali.

– Może byśmy tak już skończyli z tą iluminacją? – spytał nieco zgryźliwie. – Niewiele tu widzę na moim stanowisku, dostanę w końcu oczopląsu...

– Kupimy ci ładne okulary – zachichotał jego sąsiad, po czym spowaźniał. – Ale on ma rację. Rado, napatrzyłeś się już na swoje ukochane Słońce?

Mężczyzna stojący pod ścianą i wpatrzony w górę w jedno z okien, oderwał się od kontemplacji.

– Na *nasze* ukochane Słońce – sprostował z naciskiem. – Nie tylko na moje. A co, może nieprawda...? Gdyby tak nie było, nie dałbyś

się zaciągnąć sto pięćdziesiąt milionów kilometrów od Ziemi... no dobrze, spolaryzujcie filtry jak wam wygodnie, ja się już napatrzyłem.

Chwilę później światło bijące z okien zdecydowanie przygasło, i włączyło się sztuczne oświetlenie pod sufitem.

Stacja badawcza *Polaris* wirowała wzdłuż osi podłużnej, co miało zapewnić równomierne nagrzewanie jej powierzchni. Było to ważne, bowiem poszycie obiektu wystawione było na działanie palących promieni Słońca, którego powierzchnia odległa była o niespełna milion kilometrów. Można było umieścić ją jeszcze bliżej, jednak tu pod znakiem zapytania stawała wydajność urządzeń chłodzących obiekt. Poza tym, od czasu do czasu zdarzały się wyjątkowo wielkie protuberancje...

Tutejszy rok, czyli okres obiegu stacji wokół Słońca, trwał zaledwie dziesięć godzin i trzydzieści osiem minut. Imponująca była natomiast prędkość stacji w jej ruchu po owej orbicie: ze względu na bliskość Słońca wynosiła ona niemal dwieście osiemdziesiąt kilometrów na sekundę.

W kopule obserwacyjnej przez kolejne kilka minut panowała cisza, przerywana tylko co jakiś czas podawanymi półgłosem odczytami poszczególnych instrumentów, aż do momentu, gdy wysoka kobieta pochylona nad jednym z monitorów wyprostowała się gwałtownie.

– Hej, chłopcy, przełączcie się na moment na moje dane – powiedziała jakimś dziwnym głosem. Pozostali unieśli głowy.

– Masz wreszcie pozdrowienia od Słoneczników? – zaciekał się jeden z nich, wywołując wybuch śmiechu. Żarty o Słonecznikach, czyli domniemanych istotach zamieszkujących ziemskie Słońce, należały do kanonu dowcipów krążących po stacji. Kobiecie w tym momencie najwyraźniej jednak nie było do śmiechu.

– No i co? – spytała niecierpliwie parę sekund później.

– Chodzi ci o odczyty detektora masy? – rzekł niepewnie jakiś głos.

– Dokładnie. Macie to samo, co ja?

– No, coś jest, faktycznie... – rzekł z zakłopotaniem profesor Rado Savonich, unosząc na moment głowę znad swojego monitora. –

Wskaźniki szalały przez moment, już przechodzi... może to lokalne zgęszczenie masy w tym regionie fotosfery słonecznej...?

– Namiar był kierunkowy – zwróciła uwagę doktor Sanchez. – I to nie z kierunku przysłonecznego, a z boku, przynajmniej na początku. Dopiero później namiar przesunął się w stronę Słońca i gubi się w jego tle.

– Sygnał był silny – mruknął ktoś spod ściany. – A biorąc pod uwagę, że znajdujemy się w pobliżu takiej masy, jak Słońce, to masa tego czegoś musiała być naprawdę cholernie wielka. Co najmniej planetoida, i to spora.

– Na skanerach optycznych nie ma niczego.

– Toteż dlatego zwróciłam wam na to uwagę...

– Sygnał zniknął, rozplynał się na tle Słońca – meldował ktoś dalej. – Brak kontaktu.

– Co to było?

Przez długą chwilę panowała cisza. Niemal wszyscy mieli na myśli to samo, jednak nikt nie kwapił się, aby wyrazić to głośno.

– Musimy wziąć pod uwagę, że działania wojenne dotrą również do nas – rzekł wreszcie cicho Savonich, przerywając milczenie. – Choć trudno mi sobie wyobrazić, aby nasza stacja mogła stanowić strategiczny cel dla kogokolwiek. To, co zaobserwowały nasze instrumenty, może – choć nie musi – być wstępem do działań wymierzonych przeciwko nam. Moim zdaniem powinniśmy powiadomić Ziemię.

Pozostali zgodzili się z nim chętnie. Wprawdzie zapowiedziano im, iż w najbliższym czasie zawita do nich dayoouański transportowiec z technikami, którzy mieli zamontować generatory pól ochronnych i dodatkowe ogniwa energetyczne, niemniej teraz poczuli się jakoś niepewnie. Woleli, aby nastąpiło to jak najszybciej, a delikatne ponaglenie Ziemi w tej sytuacji nie wydało im się niczym niestosownym.

Spark był niewielkim pojazdem, nawet jak na ganimedańskie warunki. Sheena doszła do tego budującego wniosku już w kilkanaście minut po starcie z płyty lądowiska i opuszczeniu terenu bazy. Może tej dość krytycznej ocenie sprzyjał fakt, iż pozostałe miejsca w pojeździe wyładowane były zapasowymi butlami z mieszaną oddechową oraz hermetycznymi opakowaniami z żywnością, nadającą się zarówno dla ludzi jak i Khree'ro. Tym ostatnim pojemnikom przyjrzała się podczas gdy pomagała je ładować na pokład ludziom z obsługi hangaru. Najwyraźniej dostosowane były do podłączenia ich do skafandra nieziemca. I odniosła wrażenie, że ich zawartość miała raczej płynną konsystencję.

Zaraz po starcie, nie mogąc się powstrzymać, zatoczyła pełne koło wokół bazy. I dopiero teraz tak naprawdę na własne oczy przekonała się o zasadności używanej potocznie wobec niej nazwy. Jaskrawe światła lamp, oświetlających cały teren otaczający wielkie kopuły mieszkalne, odbijały się w ścianach tego wielkiego lodowego leja w którym zbudowano bazę, dając błękitnobiałe refleksy. Z większej odległości wyglądało to tak, jakby kopuły były nie srebrzyste, a właśnie niebieskawe, wyraźnie odcinając się tą barwą od białego lodu. Podobną genezę, przypomniała sobie Sheena, miała nazwa jedynej placówki ludzkości w pasie planetoid. *Ceres Candy* z pewnej odległości wyglądała bowiem niczym wielobarwny cukierek, zapewne ze względu na liczne kolorowe światła pozycyjne oraz oświetlenie szybów kopalni.

Podczas okrążania bazy miała okazję z bliskiej odległości przyrzeć się miejscu katastrofy ziemskiego wahadłowca. Jednak już krótkie spojrzenie na kilka gigantycznych lejów wytopionych w lodzie, miejscami sięgających aż do skały macierzystej, wystarczyło jej aż nadto. Zawróciła, mając przed oczami monstrualne, rozplątane i zmiażdżone cielsko, powoli przysypywane śniegiem niczym białym, żałobnym całunem. Całość otaczała poruszająca się wolno gromada szarych i srebrnych zuczków – to były transportery z bazy, ratujące z wraku, co tylko się dało.

Hieny – przemknęło jej wtedy przez myśl, jednak sama się za to skarciła. Teraz zaś znajdowała się dobre trzy tysiące kilometrów od je-

dynego w promieniu kilkuset milionów kilometrów miejsca, które mogła nazwać domem, i w najmniejszym stopniu nie wpływało to pozytywnie na jej samopoczucie. Chwilami miała wielką ochotę na zawrócenie w kierunku stacji, a już siłą niemal powstrzymywała się od nawiązywania łączności z *Blue One* co kilka minut. Po prostu, najzwyczajniej w świecie, chciała usłyszeć ludzki, przyjazny głos. Zważywszy jednak – jak to sobie szybko uprzytomniła – że na naprawdę życzliwy głos z centrali raczej nie może liczyć, z westchnieniem skoncentrowała się na kontrolowaniu urządzeń nawigacyjnych. Z pomocą przyszedł jej zniecierpliwiony major Donner, który wywołał ją jakby przywołany jej myślami.

– Porucznik Vint, słyszy mnie pani?

– Doskonale – odparła, starając się, aby w jej głosie nie dała się wyczuć nadmierna radość, którą nagle poczuła. – Coś nowego na orbicie?

– Na razie bez zmian. A jak u pani?

– Powoli docieram do interesującego nas obszaru. Na pokładzie wszystko gra.

– Tak trzymać. Aha, za kilkanaście minut wysyłamy na niską orbitę satelitę komunikacyjnego, aby umożliwić nam łączność na większe odległości. Może go przeoczą albo uznają za niewartego uwagi... zobaczymy. Od tej chwili wiadomości wysyłamy w postaci zakodowanych zbitek. Rozumie pani?

– Jasne. Coś jeszcze, majorze?

– Na razie nie. Bez odbioru.

Był jeszcze jeden powód, dla którego każdy seans łączności z bazą należało ograniczyć do maksymalnie skróconej wymiany zdań. Nie było bowiem ich zamiarem zwrócić niepotrzebnie uwagę zbliżających się statków wojennych na niewielki pojazd Sheeny, który miał przemknąć się niepostrzeżenie nad powierzchnią satelity.

A jeśli pojazd geologa został strącony przez Obcych? – przyszło jej nagle do głowy i ta myśl na moment ją naprawdę zaniepokoiła. Takiej ewentualności nie rozważyła przed startem ani ona sama, ani major. Cóż, w takim razie trzeba będzie szczególnie na siebie uważać, choć możliwości zarówno ofensywne, jak i defensywne miała nie

większe niż przeciętny automat z coca-colą. Teraz jednak przecież nie zawróci...

Nie miała pojęcia, czy reszta załogi stacji wiedziała o tym, gdzie ona się teraz znajduje i po co leci. Pewnie jednak tak, odpowiedziała sama sobie. Helen Peters wciąż przecież tkwiła przy konsolach łączności, a każda rozmowa, w tym także jej pogawędki z majorem, musiały przechodzić przez centralę. Mogła być więc spokojna, że już niebawem wszyscy się o tym dowiedzą.

Ponownie skoncentrowała się na przyrządach. Komputer prowadził jednak *Sparka* zadanym kursem bez najmniejszych zakłóceń, zajęła się więc beczynnym wyglądaniem przez panoramiczną przednią szybę. Oświetlenie kabiny było wyłączone, toteż bez przeszkód mogła obserwować przemykające za oknami pojazdu szczegóły krajobrazu, oświetlone blaskiem dalekiego Słońca oraz rudoczerwoną poświatą bijącą od wielkiego Jowisza.

Ganimedes w zasadzie podobny był do ziemskiego Księżyca. Poza rozmiarami różniło go odeń jedynie to, iż kilka stosunkowo dużych fragmentów jego powierzchni pokryte było lodem, którego grubość miejscami sięgała nawet dwustu metrów. Rzecz dziwna, ale ich istnienie odkryto dopiero na zdjęciach pochodzących z próbników wysyłanych ku Jowiszowi w tym stuleciu. Wcześniejsze, jeszcze ubiegłowieczne misje amerykańskich sond nie sugerowały istnienia podobnych formacji. Ich pochodzenie wciąż budziło kontrowersje wśród naukowców, nawet po tym, jak kilka lat temu zyskali wreszcie możliwość osobistego zbadania tajemnic wielkiego satelity. Jeden z takich lodowych płaszczy wybrała na miejsce lądowania pierwsza wyprawa jowiszowa. I jak się wkrótce okazało, skrywał on jedną z największych zagadek Układu Słonecznego: opuszczoną, starożytną bazę tajemniczych gości z gwiazd, opodal której stanęła niedawno *Blue One*.

W tej chwili zwinny pojazd Sheeny przemykał się nad gołą skałą na wysokości zaledwie kilkudziesięciu metrów. Radarowe mapy powierzchni, sporządzone jeszcze przez ziemskie satelity, były na tyle dokładne, że mogła zaufać komputerowemu pilotowi. Niebawem jednak będzie musiała znaleźć kawałek wolnego miejsca i wylądować.

Nie miała pojęcia bowiem, gdzie konkretnie szukać zaginionego naukowca i jego stateczku, a pomoc w tym mogły jedynie jej zdolności. Wołała zaś nie wprowadzać się w trans w czasie lotu, jakoś nie bardzo jej się to podobało.

Poleciała komputerowi zmniejszenie prędkości. Pojazd natychmiast zareagował, jednak lecąc wolniej zaczął być bardziej podatny na gwałtowne uderzenia wiatru, który nawet w rzadkiej atmosferze satelity potrafił być dokuczliwy. W tej chwili na dodatek wiał z boku, co powodowało niemiłe żółdkowi Sheeny kołysanie się niewielkiego *Sparka*.

Z uwagą wyglądała przez szybę, szukając w miarę równej powierzchni, nadającej się na prowizoryczne lądowisko. Pojazd mijał jednak istne kamienne rumowisko, ciągnące się jak okiem sięgnąć. Kształty niektórych formacji, jakie mijał stateczek, pobudzały w jakiś sposób wyobraźnię, powodując zarazem że Sheena momentalnie zapominała o konieczności szukania lądowiska. Fantastyczne wręcz sylwetki przykuły bez reszty jej wzrok, pobłyskując miejscami w świetle dalekiego Słońca i gwiazd. Sprawiały wrażenie wykutych przez szalonego rzeźbiarza-abstrakcjonistę, który w dodatku większość swoich dzieł porzucił w połowie niedokończoną. Niektóre mgliście nawiązywały do żywych stworzeń, które znieruchomiały na wieczność pod wpływem wszechobecnego mrozu. Stworzenia owe nie przypominały jednak żadnych istniejących na Ziemi ani teraz, ani w przeszłości. Delikatne szkielety, kamienne skorupy – to był nowy, całkowicie odmienny świat, w który teraz wkraczał człowiek, po raz pierwszy mogący podziwiać kolejne zamysły Stwórcy. Statek w ciszy mijał stworzenia skamieniałe od dawna, jak i takie, które gra cieni wprawiała jeszcze w drgające pozory ruchu, ostatki konwulsji targających zmasakrowanymi ciałkami monumentalnych gigantów. Za oknem przemykały stworzenia pełnoprawnie powołane do życia, jak i takie, które zostały porzucone przez swojego stwórcę w połowie aktu tworzenia – jakby uznane zostały za niedostatecznie doskonałe, aby zaistnieć w realnym świecie. Niektóre wyglądały jak poprzebijane potężnymi włóczyniami, niczym w walce stoczonej z jakimiś olbrzymami, którzy władać mogli taką bronią. Niektóre zaś umierały

dopiero – poszczepiane ze sobą w agonalnych mękach kolosalnych cielsk...

Sheena trwała niczym zaczarowana, wpatrując się w to nowe oblicze, jakie stary glob zdecydował się jej ukazać. I była pewna, że odebrała to tak, jak należało. Dla kogo innego mogły to być po prostu zwyczajne, poszarpane skalne rumowiska, ona jednak wiedziała dobrze, co ujrzała naprawdę...

Ze stanu tego wyrwało ją dopiero coś nowego: zrazu nikły po-blask na samym horyzoncie, przybierający na mocy z każdą chwilą. Poderwała głowę, i dobrą chwilę dochodziła do siebie. Blask ów jednak zwiastował iż *Spark*, prowadzony przez niewrażliwy na otaczające go cudowności komputer, zgodnie z programem lotu zbliża się do kolejnej lodowej łaty na cielsku satelity. Ta zaś była ważna o tyle, że to mniej więcej tuż za nią – jeśli ostatnie zamiary ze statku niezemskiego geologa były dokładne – znajdowało się miejsce jego katastrofy. Należało pospieszyć się ze znalezieniem miejsca do lądowania, przez ostatnie minuty zagapiła się niewybaczalnie. A może by tak sięść na lodzie...?

Po chwili wahanie uznała, że jest to wykonalne. Grawitacyjny napęd pojazdu pozwoli jej na łagodne dotknięcie powierzchni. Było to bardzo istotne, bowiem pod lodem mogły się wszak kryć znane już ganimedańskim astronautom wielkie, gazowe bąble. Sprawiały one, że z pozoru solidna i dająca mocna oparcie lodowa powierzchnia znie-nacka zapadała się pod łada ciężarem. Były już takie wypadki w pobli-żu *Blue One*, i w chwili obecnej dostępne dla pojazdów i ludzi trasy wiodły jedynie poprzez starannie zbadane i oznakowane obszary.

Jeśli jednak uda się jej sprawić, że pojazd ledwie dotknie po-wierzchni lodu, nic takiego nie powinno jej grozić. Mankamentem tego rozwiązania był z kolei fakt, że w ten sposób – nie zapewniając *Sparkowi* solidnego oparcia o grunt – narazi go na uderzenia wiatru, który najwyraźniej przybierał na sile z każdą chwilą.

Grawilot wleciał nad lód, zaś Sheena wciąż trwała w rozterce, gdy znienacka sama Natura podsunęła jej rozwiązanie problemu. Daleko z przodu wyrosła nagle wielka, mroczna płaszczyzna, która po chwili okazała się niemal pionową ścianą skalną, przebijającą w tym miejscu

na wylot lodową pokrywę. Skała wznosiła się na co najmniej kilkanaście metrów w górę, zaś pod samą ścianą teren był na tyle równy, aby bez większych obaw mogła tam posadzić swojego *Sparka*. Skalna ściana z kolei zapewni jej w tym miejscu doskonałą osłonę przed wiatrem.

Pojazd zastopował, Sheena wyłączyła autopilota i nieco drżącą dłońią ujęła drążek sterujący. Następnie wysunęła i zablokowała podpory podwozia. Czuła treść, choć nie był to bynajmniej jej pierwszy raz za sterami tego modelu grawilotu. W ciągu minionych tygodni, z braku innych zajęć, w wolnym czasie kilka razy zawitała również do hangarów pojazdów. Tamtejsza obsługa nie miała zaś nic przeciwko temu, aby zaznajomić ją z obsługą wehikułów kilku typów. Z naziemnymi poszło jej bez większych trudności, zaś gdy pełna emocji po raz pierwszy zasiadła za sterami *Sparka*, dała sobie radę nadszpiewanie łatwo i sprawnie. Nie była pewna, czy przypadkiem nawet nie był to ten sam egzemplarz, którym leciała teraz. Wreszcie, po którymś kolejnym razie, jej instruktor – na co dzień będący pierwszym mechanikiem – pozwolił jej na samodzielne opuszczenie terenu stacji za sterami grawilotu. Tamten pierwszy lot pozostał dla niej czymś niezapomnianym.

Tego argumentu – czyli nieznajomości zasad pilotażu – usiłował użyć jeszcze major Donner, usiłując odwieść ją od samobójczego jego zdaniem pomysłu lotu po zaginionego geologa. Sheena jednak niemal siłą zaciągnęła go do jednego z hangarów, gdzie na jego oczach sprawnie poderwała *Sparka* w górę. Zatoczyła w miejscu zgrabne kółeczko, następnie zaś obleciała cały, niemały przecież hangar dookoła, płynnie lawirując pomiędzy zaparkowanymi na stanowiskach różnymi pojazdami. Obsługa hangaru niemal pękła z dumy, gdy dziewczyna zeskoczyła wreszcie obok majora, zaś pierwszy mechanik puścił do niej oko za plecami przełożonego. Z trudem powstrzymała uśmiech patrząc, jaką minę ma po tym wszystkim major.

– Dobrze wiem, że nie mam karty pilotażu i żadnych oficjalnych uprawnień – rzekła pospiesznie, chcąc uprzedzić słowa, które najwyraźniej cisnęły się mu na usta po pierwszej chwili zaskoczenia. – Ale przyzna pan, do licha, że jakoś sobie radzę...!

To wystarczyło... wtedy. Teraz jednak nie była już tak pewna siebie jak wtedy, w hangarze. Z jednej strony miała przecież niebezpiecznie bliską ścianę skalną, z drugiej zaś – stateczkiem targały porywy wiatru, co prawda słabsze niż na otwartej przestrzeni, ale jednak wyraźnie wyczuwalne. Na dodatek musiała tak ustawić składową pionową ciążę napędu grawitacyjnego, aby statek działał na lód jedynie niewielką częścią swojego rzeczywistego ciężaru.

Powoli sprowadzała statek w dół.

Ziemia

Świat jest jednak dziwnym miejscem.

A przynajmniej nader nieprzewidywalnym – doszedł wreszcie do wniosku Duvall. Pomyślał tak, gdy uświadomił sobie, że właśnie siedzi w mesie naprzeciw osoby, którą poznał w dość dziwny sposób, by zaraz potem stracić ją – wydawało się, że bezpowrotnie – z oczu. Tymczasem zaś ta niewiarygodnie piękna dziewczyna nie dość, że siedziała teraz z nim przy jednym stoliku, to na dodatek była do niego najwyraźniej dość przyjaźnie nastawiona. Nie mówiąc już o tym, iż zawodowo zajmowała się tym, co o mały włos robiłby on sam, gdyby swego czasu zarówno on, jak i okoliczności nie zdecydowały inaczej.

Jak jednak widać, wbrew pesymistycznym opiniom co poniektórych, los obdarzał ludzi nie tylko samymi nieszczęściami i kataklizmami. Opatrzności najwyraźniej zdarzały się przebłyски lepszego humoru. Wtedy uznawała za stosowne dodanie do całej tej mieszanki zdarzeń czegoś w rodzaju choćby tego niewiarygodnego zbiegu okoliczności. Morris, po pierwszym szoku, momentalnie uznał, że skoro los zdecydował się na coś takiego, to widocznie miał w tym jakiś cel. I zamierzał zrobić wszystko, aby wykorzystać tę szansę.

Jednakże zaczął natykać się na pierwsze trudności. Nie oczekiwał oczywiście, że Paula rzuci mu się bezprzytomnie w ramiona, niemniej nie wyczuwał z jej strony żadnego, nawet najdrobniejszego sygnału, że jest dla niej atrakcyjny jako mężczyzna. A sam, mógłby przysiąc,

wyemitował w jej stronę tyle sygnałów wszelkiego rodzaju, że zużyta prężen na ten cel energia z pewnością wystarczyłaby na kilkugodzinne zasilanie wszystkich systemów okrętu. Pocieszający był jedynie fakt, że piękna pani astrofizyk nie wyróżniała z tłumu otaczających ją ludzi absolutnie nikogo. Wszystkich traktowała z czymś, co Carol dzień rano, po wspólnym śniadaniu w mesie, określiła jako życzliwą obojętność. Nawet nie wyższość, bo jak na potoczne wyobrażenie kogoś należącego do tak zwanych wyższych sfer, zachowywała się nad podziw zwyczajnie. Życzliwa obojętność faktycznie była określeniem, które Morris zaakceptował po głębszym namyśle.

W tej chwili z przechyloną lekko w bok głową słuchała Duvalla. Bardzo interesowały ją wyniki badań poprzedniej ekipy naukowej i wnioski, do jakich doszli. Okazało się, że kilku spośród tamtych naukowców znała osobiście, głównie fizyków, z którymi zetknęła się podczas rozmaitych seminariów i konferencji. Wreszcie Morris doszedł do tego, co udało się ustalić Elsie Langerfeld i drugiemu pilotowi podczas ich ostatniej misji. Informacja, iż wewnątrz liczącej sobie ponad dwa miliony lat budowli egzystuje żywa, inteligentna istota, wyraźnie nią wstrząsnęła.

– Teraz nareszcie rozumiem przyczyny tajemnicy, w jakiej utrzymywana jest ta cała sprawa – mruknęła jakby do siebie. – Gdyby coś takiego wyszło na jaw zbyt wcześnie, mogłby zainteresować się tym ktoś niepowołany.

Spojrzał na nią niepewnie.

– I najwyraźniej się zainteresował – przypomniał jej. – Całe to zamieszanie, które zaczęło się wokół Jowisza, jest pewnie wstępem do czegoś większego. I z całą pewnością zostało wywołane tym, co w tej chwili badają nasze ekipy.

– Zaraz, o co ci chodzi? – zdziwiła się, patrząc na niego z uniesionymi brwiami. – Jakie znowu zamieszanie?

– Jak to jakie? – teraz on się zdziwił. – Przecież zniszczona została cała sieć ich satelitów stacjonarnych, a nawet załogowy transportowiec! Poza tym z podprzestrzeni wyszła flota obcych statków, które teraz najwyraźniej lecą właśnie w kierunku Ganimedesa. Prezy-

dent w swoim przemówieniu uprzedzał o możliwości ataku ze strony niektórych klanów... Nie mów, że o tym nie słyszałaś?

– O mój Boże! – Paula pobiadła. Nareszcie coś nią wstrząsnęło, przemknęło przez myśl Morrisowi. – Nic nie wiedziałam...

Nawigator osłupiał. Nie, to już było dlań nie do pojęcia. Ta dziewczyna była naprawdę niesamowita. Cały świat w ciągu ostatnich kilku dni nie mówił o niczym innym, a ona najwyraźniej trwała w jakimś dziwnym zawieszeniu. Jak jej się to udało, u licha ciękiego...?!

– Byłam trochę zajęta – wyjaśniła ze skrucą. – Szczerze mówiąc, właśnie wzięłam kilkudniowy urlop. A w takich wypadkach z reguły nie słucham żadnych wiadomości, nie czytam prasy... zwyczajnie, staram się wyłącznie o odpoczynek i dobrą zabawę. Pewnie dlatego nic do mnie nie dotarło.

– No tak, byłaś przecież w *Theo*... – wyrwało mu się, zanim ugryzł się w język. Paula znieruchomiała i ze zmarszczonymi brwiami wpatrzyła się w niego.

– Skąd wiesz? – spytała powoli, pochylając się lekko do przodu. Momentalnie skłął się w myślach od idiotów. Jego umysł pracował w tej chwili jak komputer.

– Przypadkiem widziałem, jak stamtąd wychodziłaś – odparł z namysłem. To przecież niemal było prawdą. – Wydałaś mi się podobna do jednej z moich znajomych, i nawet chwilę biegłem za twoim wozem...

Już mówiąc to zorientował się, że ostatnie zdanie stanowczo powinien był sobie podarować. Raczej niewiele było kobiet, które spod nocnych klubów odjeżdżają rolls-royce'ami z szoferem, więc pomylenie jej z jakąkolwiek znajomą z miejsca wydawało się mało prawdopodobne. Ale z drugiej strony, ona mogła przypomnieć sobie jego twarz, widziała go przecież, gdy biegł za odjeżdżającym rollsem... Tak źle, i tak niedobrze.

– Ach, to byłeś ty! – jej zaskoczenie nie miało granic. Jeśli dostrzegła w jego tłumaczeniu jakiś brak logiki, to nie dała po sobie niczego poznać. – Od początku miałam wrażenie, że skądś cię znam, teraz nareszcie wiem, skąd...

Długą chwilę śmiali się z tego zbiegu okoliczności. Potem wrócili do tego, o czym mówili wcześniej.

– Ale poczekaj, w takim razie... co będzie z Ziemią? – Paula zacisnęła usta z niepokojem. – Przecież, kimkolwiek nie byliby ci, którzy atakują bazę na Ganimedesie, później wezmą się za Ziemię?

Uniósł dłoń w uspokajającym geście.

– Rahańska flota też jest już w Układzie Słonecznym. A Dayoou, Pth'ling i inni zapowiedzieli, że ich kontyngenty dołączą nie później, jak w ciągu kilku dni. To powinno wystarczyć... chociaż faktycznie przez jakiś czas może być gorąco.

– Wiadomo już, kim są najeźdźcy?

– Jak dotąd, są zbyt daleko. I niszczą wszystkie urządzenia wysyłane w ich stronę. Ale pewnie tu na *Ramsesie* dowiemy się zaraz, jak tylko dowództwo dowie się wreszcie, skąd przybywają. Mamy priorytet w otrzymywaniu z Pancake wiadomości z frontu. Pewnie ze względu na to, czym się zajmujemy. Jak by nie było, to właśnie od nas wszystko się zaczęło. Wątpliwy zaszczyt, nie uważasz?

Potem wrócili do głównego wątku ich rozmowy, który jakoś do tej pory ciągle im umykał. Przedstawił mianowicie Pauli całą drogę swojego rozumowania, które od rysunku na jednej ze ścian wielkiej piramidy zaprowadziła go do niewielkiej gwiazdy w konstelacji Strzelca. Słuchała uważnie, kiwając od czasu do czasu głową i czyniąc pobieżne notatki na swój użytek.

– Możesz mieć rację – rzekła wreszcie poważnie, podnosząc się z miejsca. – To ma sens, a twoje rozumowanie jest logiczne. Niemniej... nie obrazisz się chyba, jeśli jeszcze raz sprawdzę to wszystko na terminalu w swojej kabinie?

– No coś ty – uśmiechnął się Duvall. – To ty jesteś specem od astrofizyki na tej łajbie. Ja robię tu tylko za nawigatora.

Gdy odeszła, długo zastanawiał się, co miało oznaczać spojrzenie, którym obrzuciła go po usłyszeniu jego ostatnich słów.

Wczesnym rankiem *Ramses* dotarł wreszcie na miejsce przeznaczenia. Chwile napięcia przeżyli, gdy znienacka okręt został ostrzelany wiązką sonaru bojowego. Nawet ultraczułe urządzenia *Ramsesa* nie były w stanie wykryć przyczajonego w głębinach UNS *Sea Hunter*, który był jednym z dwóch okrętów oczekujących ich tu i chroniących zarazem piramidę przed wszelką interwencją z zewnątrz. Trudnościom z jego namierzeniem nie było się zresztą co dziwić: *Sea Hunter* był jednostką tej samej klasy, co *Ramses*, tyle tylko, że zwodowany został jako pierwszy z serii okrętów klasy ESV. *Ramses* zaś opuścił stocznię zakładów Sea Systems w Groton jako ostatni. Nad zabezpieczeniem spokoju prowadzonych tu prac oprócz *Sea Huntera* miała czuwać także UNS *Lena*, rosyjski okręt podwodny klasy Lima. Sam *Ramses*, stanowiący główną bazę wypadową dla ekip badawczych, w razie potrzeby również mógł dołączyć do pozostałych okrętów ze swoją potężną siłą ognia. Każdy jednak miał nadzieję, że nie dojdzie do takiej konieczności.

Po wymianie zakodowanych sygnałów sonarowych i dalszych wiadomości, *Ramses* zastopował w bezpośredniej bliskości monumetu, aby członkowie ekipy naukowej nie musieli, tak jak ich poprzednicy, odbywać długich wycieczek łodziami desantowymi. Teraz było już wiadomo, iż wszelka strata czasu może okazać się brzemienna w skutki. Parę osób zdążyło już wpaść na pomysł, iż uwolnienie starożytnego Galakta może sprawić, iż obce floty zaniechają swych zamiarów wobec Ziemi, jakiegokolwiek by one nie były. Skoro tylko istota ta zostanie uwolniona, z pewnością następnym krokiem sojuszników będzie przewiezienie jej w dobrze eskortowanym konwoju gdzieś w spokojniejsze okolice Galaktyki, prawdopodobnie do najbliższej filii Instytutów Galaktycznych. Tam będzie dobrze chroniona przed wszelkimi możliwymi zakusami, a Ziemia – skoro zniknie z niej przedmiot pożądania fanatyków – być może znowu zacznie być bezpiecznym miejscem.

Kosmos

Krażyła nad tym obszarem już ładnych parę godzin i powoli dochodziła do wniosku, że lada chwila senność zwycięży i pojazd, pilotowany przez nią ręcznie, zwali się bezwładnie na skały przesuwające się w dole. O ile pamięć ją nie zawodziła, była na nogach już dobrze ponad trzydzieści godzin, i wyraźnie czuła, jak jej organizm coraz natręcywiej domaga się swoich praw.

Chwilowo jednak postanowiła po raz ostatni wspomóc go lekami, jednak wiedziała, że sztuczne pobudzenie nie potrwa długo, a potem i tak przyplaci to osłabieniem i bólami głowy. Znowu więc trzeba będzie wziąć coś na pobudzenie... i tak bez końca. Rozwiązaniem będzie zapewne naprawdę długi sen, jednakże trudno było przewidzieć, kiedy będzie mogła pozwolić sobie na taki luksus.

Godzinę temu wysłała zakodowany, ustalony wcześniej sygnał, który powiadamiał Donnera, iż jeszcze nie zdołała odnaleźć ani pojazdu zaginionego naukowca, ani też jego samego. Nie oczekiwała odpowiedzi, tak się zresztą umówili. Inny, króciutki sygnał, jaki dotarł do niej z bazy, potwierdził jej najgorsze obawy: obca flota właśnie zajmowała pozycje na orbitach wokół Ganimedesa. Podprzestrzenna łączność z Ziemią działała wprawdzie bez najmniejszych zakłóceń, jednak mogło to służyć jedynie informowaniu na bieżąco dowództwa o sytuacji tutaj. Wszyscy na Ganimedesie dobrze wiedzieli, że na jakąkolwiek pomoc nie ma co liczyć: okręty sprzymierzonych flot, przybywające do Układu Słonecznego, były od razu kierowane w stronę Ziemi, która – jak przypuszczano – miała stanowić główny strategiczny cel ataku. Swego rodzaju zagadką było chwilowe skoncentrowanie się Obcych na Ganimedesie. Przypuszczano jedynie, iż ma to bezpośredni związek ze znaleziskami, jakich dokonała tu pierwsza ludzka wyprawa. Dopuszczano też możliwość, iż działania wojenne w tym rejonie mają za zadanie jedynie odwrócić uwagę dowództwa od samej Ziemi. Jeśli nawet takie były zamiary najeźdźców, w tym punkcie się one nie powiodły: od początku postanowiono przede wszystkim chronić Ziemię, nawet za cenę utraty

dalszych placówek. Zrobiono wszystko, aby zapewnić im jak największe możliwości defensywne, jednak było to wszystko, co Ziemia mogła dla nich uczynić. Wszyscy to doskonale rozumieli i akceptowali, a jeśli nawet ktokolwiek miał w tym względzie inne zdanie, to raczej wołał się z tym nie wychylać.

Sheena po raz kolejny przetarła zmęczone, zaczynające łzawić oczy, gdy znieenacka ponownie zabłysła kontrolka na konsoli łączności. Pospieszenie przekazała sterowanie autopilotowi, i wywołała zakodowaną informację na monitor. Długą chwilę wpatrywała się w widniejące przed nią słowa. A więc kolejna zła wiadomość. Zidentyfikowano statki kosmiczne wchodzące w perymetr satelity.

Należały one do Federacji Światów Gornn.

No cóż, zapewne mogło być gorzej, ale mogło być i lepiej. Gornneńczycy nie ziali taką otwartą nienawiścią do rasy ludzkiej, jak niektóre inne rasy w rodzaju Voorth czy Roqaan, nie mówiąc już o przerażających Kh-kh-boyn. Niemniej i tak byli cholernie niebezpieczni. Cechowało ich absurdalnie wręcz rozwinięte poczucie honoru i dumy – w czym zresztą przypominali Voorthian. W dziedzinie dyplomacji woleli z kolei działać podstępem, jeśli tylko dało się uniknąć otwartego włączenia się do jakiejś sprawy. Równie rzadko uciekali się do stosowania przemocy fizycznej wobec kogokolwiek. Dawało to zatem pewne pojęcie o wadze motywów kierujących podejmowaniem decyzji na najwyższym szczeblu, skoro zdecydowali się na wysłanie swojej floty do Układu Słonecznego. Musiało im rzeczywiście cholernie na coś zależeć...

No cóż, wdzięczna była majorowi Donnerowi, że pamiętał o niej i przesłał jej tę wiadomość, niemniej w niczym nie zmieniał to jej położenia. A już na pewno nie pomagało jej w zlokalizowaniu wraku, który powinien znajdować się w tej okolicy!

W czasie tamtego lądowania pod skalną ścianą ponownie udało jej się złapać kontakt psychiczny z khree'roańskim naukowcem. Kontakt niestety jednostronny, ponieważ nie była aktywną telepatką. Zresztą wcale nie była pewna, czy tutaj nawet coś takiego by pomogło. Miała nieodparte wrażenie, iż geolog jest co najwyżej półprzypadkowy. Co najważniejsze – wciąż żył, zatem istniała realna szansa na jego

uratowanie. Szansa ta malała jednak w miarę upływu czasu, a choć wówczas dość precyzyjnie udało jej się określić kierunek i obszar, na którym powinna rozpocząć szczegółowe poszukiwania, to jednak w dalszym ciągu błąkała się nad skrajem lodowej pustyni. Jeśli tak dalej pójdzie, cała ta jej misja może okazać się daremna. A po prostu chciała pomóc temu nieziemcowi. Pomimo, iż z początku nie pałała zbyt wielką sympatią do przypominających nieco wielkie jaszczury Khree'ro, to jednak w chwili obecnej ten tutaj był dla niej po prostu ranną istotą potrzebującą pomocy.

Powróciła do obserwacji. Po kolejnym kwadransie zdecydowała się powrócić ponad skały, poza skraj lodowej płaszczyzny. Mogła co prawda, chcąc go zlokalizować dokładniej, wylądować ponownie, jednak tutaj było to dużo trudniejsze niż poprzednim razem. Brakowało skalnej ściany chroniącej przed gwałtownymi porywami wiatru, a i lód wyglądał tu jakoś mniej solidnie, niż w tamtym miejscu. Skały w dole też nie prezentowały się zbyt zachęcająco...

Tam!!!

Wstrzymała oddech i wyhamowała grawilot, po czym cofnęła go do miejsca, z którego przed momentem dostrzegła coś, co wyglądało na metaliczny refleks. Mogło być to zwyczajne odbicie światła słonecznego w jakimś kryształ, ale mogło być i co innego. Przez chwilę bała się, że zgubiła to miejsce, ale w tym samym momencie dostrzegła rozbłysk ponownie. Powolutku ruszyła w jego stronę, obniżając zarazem lot.

Przed sobą miała grupę kilku skałek, rzucających lekki cień w światło, jakie dawało dalekie słońce. Jedna z nich zwieszała się nad kawałkiem kamienistego gruntu, a błyszczało coś tuż przed nią. Jeszcze bliżej... tym razem naprawdę niemal przestała oddychać.

Na kamieniach leżało, bezładnie poprzewalane, kilka srebrzyście połyskujących zasobników. Niektóre wyglądały na powgniatane i uszkodzone, jakby od uderzenia. To od nich odbijało się światło, które przyciągnęło wzrok Sheeny. Zagryzając wargi niemal do krwi, z największą ostrożnością podprowadziła *Sparka* jeszcze nieco bliżej i opuściła pojazd tak nisko, że usłyszała, jak kamienne rumowisko zazgrzytało ostrzegawczo o dno. Wpatrzyła się dalej i od razu dostrzegła

wielki, zanurzony w cieniu kształt, w którym momentalnie rozpoznała jeden z większych pojazdów transportowych bazy. Leżał najwyraźniej na boku, wciśnięty pod ową przewieszającą się nad nim skałę. Poważne uszkodzenia widać było już na pierwszy rzut oka: przód transportera był w połowie zmiażdżony, tak samo zresztą jak cały bok, na którym spoczywał statek. Druga połowa wyglądała na nienaruszoną, za wyjątkiem długiej szramy w poszyciu w okolicach rufy, gdzie – jak wiedziała – mieściły się luki załadunkowe. To zapewne stamtąd wypadły te pojemniki podczas uderzenia. Był to szczęśliwy traf, bowiem bez tego mogła tak krążyć nad tym obszarem jeszcze bardzo długo. Pochylona skała oraz cień tak skutecznie maskowały miejsce katastrofy, jak nie zrobiłby tego żaden umyślny kamuflaż.

Teraz pozostawał jeden problem. Należało wylądować w najbliższej okolicy, nie zabijając się przy tym i zachowując *Sparka* w stanie umożliwiającym podróż powrotną. No cóż, zobaczymy, czy istotnie przysłowiowa baba za kierownicą może narobić tak wiele szkód, jak głosi plotka...

W miejscu, w którym się znajdowała, nie dałoby się wylądować pomimo najszczerzych chęci. Podniosła więc grawilot w górę i weszła naprawdę wysoko, aby z góry dostrzec jakiegokolwiek najbliższe miejsce nadające się na zaimprovizowane lądowisko. Nie miała najmniejszego zamiaru pozwolić na to, aby jej *Spark* dołączył do pojazdu khree'rońskiego geologa.

Ponownie szczęście jej dopisało. Zaraz za skałkami, może o sto metrów dalej, ujrzała coś w rodzaju niewielkiego, nieforemnego placzyku o powierzchni może kilkudziesięciu metrów kwadratowych. Wyglądało jej to na niewielki krater meteorytowy, ale nie była do końca pewna. Co prawda gładkość tego miejsca daleka była od ideału, niemniej na tle otaczającego go rumowiska prezentował się nadzwyczaj wytwornie. Choć będzie musiała ostro uważać, aby w ogóle trafić stateczkiem w to mikroskopijne jak na jej potrzeby poletko...

Nawet gdy ujrzała, jak zapalają się kontrolki wszystkich czterech podpór oznaczające, iż mają kontakt z gruntem, napięcie z niej nie opadło. Dopiero gdy całkowicie wyłączyła napęd i *Spark* całym swym ciężarem oparł się na skałę, całe emocje uszły z niej niczym powietrze

z nagle przekłutego balonu. Pojazd stał stabilnie, a podmuchy wiatru nie wprawiały już go w najmniejsze nawet drżenie, choć słyszała, jak świszczą w antenach i załamaniach powierzchni kadłuba. Najchętniej teraz rozłożyłaby fotel i beztrudnie zapadła w sen, choćby na parę godzin.

Z trudem odgoniła od siebie tę kuszącą wizję. Z równie wielkim trudem wstała wreszcie z fotela, czując, jak przeciwko temu protestują zeszywniałe mięśnie i stawy. Wykonała kilka przysiadów i wymachów ramionami, by przywrócić krążenie, po czym poczłapała w kierunku śluzy, przeciskając się pomiędzy skrzynkami umieszczonymi tu przez nią i ludzi z obsługi hangaru. Ponieważ Donner nalegał stanowczo, aby całą podróż spędziła ubrana w skafander próżniowy, w tej chwili wystarczyło, aby przed wyjściem ze *Sparka* założyła jedynie hełm oraz rękawice. Dopinając ostatnie zatrzaski, dość melancholijnie stwierdziła, że biorąc pod uwagę żądania Donnera względem skafandra, najwyraźniej jednak nie ufał on w stu procentach jej umiejętnościom jako pilota. W razie nagłego rozhermetyzowania się statku coś takiego mogło jej wszak uratować życie...

Przed wejściem do śluzy rozejrzała się jeszcze, sprawdzając, czy nie rzuci się jej w oczy coś, co wychodząc powinna wziąć ze sobą. Jednak tym razem miała ze sobą jedynie niewielki, płaski pojemnik z niezbędnymi lekami, dostosowanymi do fizjologii nieziemca. Otrzymała go przed odlotem od głównego lekarza bazy. Co prawda był on w zasadzie jedynym lekarzem na Ganimedesie, tytuł jednak brzmiał nieźle, i stary McGinty delectował się nim z wyraźnym upodobaniem. Opisał jej pobieżnie rodzaje objawów, jakie mogłyby wykazywać poszkodowany geolog w przypadku różnych obrażeń. Sheena wówczas z pewnym zakłopotaniem stwierdziła, że zwykle miewa trudności nawet z zabandażowaniem własnego skaleczonego palca. Toteż leczenie istoty, która ewoluowała ładnych kilka tysięcy lat świetlnych od Ziemi, może być dla niej czymś nieco niezwykłym. W dodatku istota owa będzie najprawdopodobniej zamknięta w próżniowym skafandrze...

Pompy wyrównały ciśnienie w śluzie do panującego na zewnątrz, i z cichym sapnięciem zewnętrzny luk odskoczył i opadł w dół, roz-

kładając się w pochyłą płaszczyznę, prowadzącą aż do poziomemu gruntu. Zeszła powoli na dół i stanęła na skale obok statku, rozglądając się dookoła z zaciekawieniem. Już pierwszy rzut oka pozwolił jej ocenić, jak wiele szczęścia miała przy tym lądowaniu. Gdyby *Spark* opadł w dół tylko kilkadziesiąt centymetrów w lewo, jego obły brzuch nadziałby się na cienką, ostrą niczym sopel kamienną iglicę, sterczącą prosto w górę. Wątpiła, czy poszycie wytrzymałoby coś takiego. Otrząsnęła się z lekką zgrozą, zmagając w duchu dziękczynne modły do wszystkich bóstw, o jakich tylko w życiu słyszała.

Omijając większe i mniejsze kamienie, poszła w kierunku grupy skałek, oddalonych o około stu metrów. Zmniejszona grawitacja przydawała się znakomicie przy przeskakiwaniu przez co mniej okazałe głazy o zwykle nierównej powierzchni, niemniej niektóre wołała po prostu omijać. Idąc stwierdziła faktyczne podobieństwo okolicy do niektórych terenów na Księżycu. Istniała wszakże jedna zasadnicza różnica: ziemski Księżyc, na którym praktycznie brak było atmosfery filtrującej słoneczne światło, był światem niemal pozbawionym barw. W tamtejszym krajobrazie dominowały różne odcienie szarości, czerni i bieli. Księżyc był królestwem światła i cienia. Tutaj zaś, aczkolwiek barwy nie zaskakiwały swoją różnorodnością czy intensywnością, to jednak były, bez cienia wątpliwości. Dominował subtelny odcień fioletu zabarwionego niewielką domieszką koloru niebieskiego; taki właśnie kolor miały tutejsze skały. Ale zdarzały się kamienie przeplatane błyszczącymi iskierkami, albo zgoła innego koloru. To nie był tak męczący dla wzroku, monotonny świat jak Księżyc, musiała to przyznać, przedzierając się stopniowo przez kolejne skalne rumowisko.

Przez moment, szykując się do kolejnego skoku, tym razem przez szeroką na może półtora metra rozpadlinę, z trudem utrzymywała równowagę, uderzona niespodziewanie silnym podmuchem wiatru. I właśnie wtedy zdradził ją jej mniejszy o ponad połowę niż na Ziemi ciężar. Pchnięta przez wiatr, pomimo wysiłku mięśni nóg i rozpaczliwego wymachiwania rękami, powoli przechyliła się w przód i poleciała w dół.

Uderzenie nie było tak silne, i gdyby spadła zwyczajnie, na nogi, pewnie nie uznałaby tego za nic strasznego. Jednak upadła brzuchem

na grunt, grzmotnęła twarzą o wewnętrzną stronę hełmu i przez moment przed oczami miała tylko ciemność i wirujące interesująco gwiazdki. Odetchnęła głęboko, i najpierw przewróciła się na plecy. Ujrzała kolejne gwiazdki, i dopiero po chwili dotarło do niej, że ma przyjemność podziwiać niebo Ganimedesa, a gwiazdy – tym razem – są jak najbardziej autentyczne. Wstała z pewnym trudem, sprawdziła z zaniepokojeniem kontrolki systemów skafandra, jednak na szczęście wszystko działało jak należy. Podniosła pojemnik z lekami i po krótkim namyśle delikatnie wrzuciła go za breg rozpadliny. Potem wspięła się na palce, złapała dłońmi ów breg, i nadspodziewanie łatwo podciągnęła się na rękach w górę. Chwilę później rażno kontynuowała swój marsz. Skały, które z tej odległości były dużo wyższe, niż się to wcześniej wydawało, były tuż, tuż.

Wąskim żłebem ześlizgnęła się pomiędzy nie, tym razem dużo bardziej uważając, gdzie stawia stopy. Poszło jej jednak bardzo sprawnie, i już po chwili przystanęła, szukając wzrokiem tej, która – jak pamiętała – była przewieszona nad wrakiem statku geologa. Poszła wreszcie w kierunku, który uznała za właściwy, w stronę czegoś w rodzaju przewalonej na bok, grubej kolumny pogrążonej w głębokim, fioletowym półcieniu. Dopiero gdy dochodziła do niej, rozpoznała w niej to, czego tak długo szukała.

Z bliska nie wyglądało to najlepiej. Gdyby tylko statek geologa miał nieco większą prędkość przy upadku, bez wątpienia jego przednia część zostałaby całkowicie zmiażdżona o skalną płaszczyznę leżącą dokładnie na jego drodze. Zresztą i tak część przedniego przedziału była poważnie uszkodzona, podobnie jak niemal cały lewy bok, na którym spoczywał osiemnastometrowej długości statek. Sheena ze ściśniętym gardłem włączyła nahełmowy reflektor. Smuga światła poczęła błądzić po płataninie porozrywanych blach poszycia, dźwigarów, poszarpanych rur i kolorowych przewodów, które niczym jakieś osobliwe spaghetti wylewały się na zewnątrz poprzez wielką szramę w boku martwego statku. Światło wywoływało metaliczne refleksy na miejscach rozdarcia metalicznych płaszczyzn i migotliwe błyski w jakichś kryształach, stanowiących najwyraźniej elementy osprzętu technicznego pojazdu.

Była niemal pewna, iż pojazd utracił hermetyczność już w momencie katastrofy. Niemniej z tej odległości wyczuwała obecność żywej, cierpiącej istoty gdzieś wewnątrz tego całego beznadziejnie uszkodzonego interesu. To by oznaczało, że geolog musiał mieć na sobie kompletny skafander próżniowy, gdy pojazd roztrzaskał się o skały...

Tymczasem jednak nie bardzo wiedziała, jak dostać się do środka. Główny włącz na lewej burcie był oczywiście niedostępny, wyglądało więc na to, iż w jakiś sposób będzie musiała się dostać na prawą burzę grawilotu, która wyglądała na nieuszkodzoną. Tam znajdowały się dwa mniejsze luki, w zasadzie nadające się jedynie dla ludzi lub też istot niewiele tylko od nich większych. Spróbowała podskoczyć, ale pomimo zmniejszonej grawitacji nie doskoczyła nawet do dwóch trzecich potrzebnej wysokości. Po dwóch kolejnych próbach zrezygnowała, czując zarazem, jak od wysiłku fizycznego krew zaczyna krążyć żywiej w jej żyłach. Powoli obeszła grawilot, przyglądając mu się uważnie. Jako że leżał na lewym boku, jego spodnia strona była oparta o nierówne zbocze skalne. Zaglądając z pewnym trudem w szczelinę pomiędzy skałą i brzuchem statku, spostrzegła, iż luki zamykające wysuwane przy lądowaniu łapy są szczelnie zamknięte. To był pewny znak, iż geolog nie rozbił swojego grawilotu podczas nieudanej próby lądowania. Przez moment pożałowała, że nie zdążył wysunąć łap, bowiem po nich mogłaby wdrapać się na górę. Skała, choć nierówna, nie dawała oparcia rąkom, i po niej również nie sposób było się wspiąć. Wzruszyła ramionami i poszła dalej.

Przednia część pojazdu z bliska wyglądała jeszcze gorzej. Teraz widziała już dokładnie, że dekompresja musiała nastąpić dosłownie natychmiast. Obie grube, przednie szyby były wgniecione i częściowo wybite, a jedna z nich została dosłownie wyrwana ze swoich ram. Oba otwory były jednak zbyt małe, aby mogła dostać się tędy do środka. W dodatku zaś najeżone były odłamkami mineralnego, twardego szkła, które bez wątpienia rozciąłoby jej skafander jak masło. Woląла zaś nie ryzykować wątpliwej przyjemności pooddychania rozrzedzoną i bez wątpienia bardzo trującą atmosferą satelity. Dostrzec przez owe otwo-

ry również niczego się nie dało, przynajmniej z daleka. Jednak wiedziała już, co robi.

Wybiła się w górę, usiłując złapać wygiętą groteskowo ramę górnego okna, i już za drugim razem jej się to udało. Chwilę wisiała tak niemal trzy metry nad ziemią, potem zahaczyła stopą o ramę kawałek dalej, nateżyła mięśnie... i po kilku sekundach siedziała już na niej okrzakiem, uważając jedynie, aby żaden ze sterczących z niej kawałków szkła nie znajdował się w pobliżu jej nogawki. Teraz wstała powoli, balansując na ramie szerokiej może na trzy centymetry, jednak musiało jej to wystarczyć. Dłońmi wsparła się o metal poszycia, i – odmawiając w duchu kolejne błagania do bóstw – skoczyła ponownie. Gdy zakrzywionymi jak szpony palcami uchwyciła pręt jednej z anten, zamknęła na moment oczy, taką ulgę poczuła. Teraz zadanie było już trywialne, choć mięśnie jej prawej ręki nieco protestowały przeciw takiemu ich traktowaniu. Powoli dochodząc do wniosku, iż cała ta zmniejszona grawitacja jest sporo przereklamowana, podciągnęła się na tę rękę w górę, w drugiej kurczowo ściskając pojemnik z lekami. Z trudem, bo z trudem, wlaźła wreszcie na zaokrąglony prawy bok grawilotu i poczuła się dumna z siebie wręcz do pęknięcia. Powolotku doszła do miejsca, w którym pochylony bok opierał się o skałę, i usiadła ciężko na błyszczącym, nitowanym metalu poszycia. Czuła, że musi chwilę odpocząć.

W tym momencie przypomniała sobie, że przed opuszczeniem *Sparka* nie nadała umówionego sygnału, oznaczającego, iż odnalazła miejsce katastrofy i wyrusza doń osobiście. Jakoś wyleciało jej to z głowy, tak była przejęta faktem odnalezienia transportowca. Ze zmarszczonym czołem usiłowała sobie wyobrazić, co sobie pomyśli major Donner, gdy przez ładnych parę godzin z jej strony będzie panowało głuche milczenie. W końcu przyszło jej do głowy, że po prostu potraktuje je tak, jak powinien: będzie oznaczało ono, że Sheena dalej krąży nad kamienisto-lodową pustynią, szukając wraku. Nie powinien się zatem niepokoić. Uspokojona w tej kwestii, przymknęła na moment oczy. Po chwili drgnęła gwałtownie i otworzyła je na powrót, gdy uświadomiła sobie, że właśnie omal nie zasnęła. Na dodatek psychiczna emanacja nieziemca była teraz szczególnie wyraźna. Z

westchnieniem podniosła się na nogi i powlokła się w stronę bliższego z dwóch włazów na tej burcie.

Oczywiście, z powodu braku zasilającej grawilot energii elektrycznej, mechanizmy otwierające luki nie działały. Jak zresztą najprawdopodobniej wszystko tutaj. Uklękła i nachyliła się nad małą klapką, skrywającą coś, co od samego początku przypawało ją o bezrozumne salwy śmiechu: była to potwornie przedpotopowa korbka, służąca do ręcznego otwierania włazu w sytuacjach awaryjnych.

Metalowa, lekko wypukła płaszczyzna ciężko, jakby z niechęcią, cał po calu chowała się w burcie, gdy pracownice kręciła oporną korbą. Wreszcie jednak utworzył się prześwit szeroki na tyle, że bez problemów mogła się weń zmieścić. Pomyślała chwilę, po czym poczęła kręcić dalej: ten Khree'ro niewątpliwie ma w pasie trochę więcej od niej, i będzie potrzebował nieco więcej miejsca, aby się tędy przecisnąć. Gdy właz był już otwarty na oścież, z głuchym łomotem palnęła się dłonią w hełm, gdy odruchowo spróbowała otrzeć sobie czoło. Potem poświeciła w dół, w głąb ziejącego przed nią otworu, i zgrabnie zeskoczyła w dół, lądując na przeciwnych drzwiach niewielkiej śluzy. No tak, druga korbka... Tylko w ten sposób, przy wyłączonym zasilaniu, możliwe było jednoczesne otwarcie obu drzwi śluzy. Coś takiego w normalnych warunkach spowodowałoby huraganową ucieczkę powietrza z wnętrza statku. Teraz jednak nie musiała się tym przejmować.

W końcu nachyliła się nad ziejącą pod nią całkowicie czarną przestrzeń, i poczęła oświetlać ją swoim nabełmowym reflektorem. Dostrzegła stosy porzucanych bezładnie przedmiotów, w tym kilka foteli, które – przymocowane na stałe do podłogi – teraz znajdowały się na tym, co obecnie stanowiło boczną ścianę. Bezpośrednio pod nią znajdowała się oszklona szafka na narzędzia. Wybrała zatem miejsce nieco z boku i tam zeskoczyła, z pewnym trudem utrzymując równowagę. Rozglądając się uważnie, ruszyła przed siebie przez kabinę, jednak w dalszym ciągu nie dostrzegała rannego nieziemca. Na razie postanowiła zignorować pomieszczenia rufowe, w przekonaniu że Galakt do ostatniej chwili siedział za sterami grawilotu, usiłując od-

wrócić groźbę katastrofy. Mógł się więc w dalszym ciągu znajdować w kabinie pilotów...

Idąc, nie dostrzegła w porę kilku cylindrycznych pojemników z Bóg wie czym, które potracone przez nią potoczyły się z głuchym hurgotem po pochyłej nieco ścianie, tworzącej teraz podłogę. I niemal w tym samym momencie w słuchawkach coś trzasnęło, i nagle usłyszała głos:

– Kto... kto tu jest... czy ktoś tu jest...?

Zamarła, usiłując odzyskać nagle utraconą równowagę, a wtedy głos powtórzył ponownie:

– Czy ktoś tu jest...?

Zrozumiała, że ranny nieziemiec musiał usłyszeć nagły hałas, i odezwał się za pośrednictwem nadajnika. Jego słowa natychmiast zostały przetłumaczone na angielski przez translator wbudowany w systemy skafandra.

– Gdzie pan jest? – spytała we wzburzeniu, rozglądając się na prawo i lewo. Snop światła z jej reflektora skakał dziko na wszystkie strony w rytm ruchów jej głowy.

– Kabina... kabina pilota. Tutaj... Kim jesteś?

– Sheena Vint, technik łączności z *Blue One* – mówiąc to, przeciskała się w kierunku dziobowej części pojazdu. – Cieszę się, że pana znalazłam, profesorze.

– I ja się cieszę... bardzo się cieszę. Byłem przekonany... że koniec już blisko...

Drzwi do kabiny pilota stały otworem. Schyliła się i przecisnęła się przez poziomy w tej chwili otwór. Wreszcie stanęła nieruchomo.

Pierwszą rzeczą, jaką oświeciło światło jej reflektora, był wielki, nieruchomy kształt, rozciągnięty na tym, co w tej chwili było podłogą. Jego cztery kończyny były nieruchome, a na dodatek jedna z nich zdawała się być wygięta pod dziwnie nienaturalnym kątem. Diabli zresztą wiedzą, co u nich może oznaczać normalny kąt, zgromiła sama siebie. Może akurat to jest u nich najzupełniej normalna pozycja, sprzyjająca relaksującej drzemce. Poświeciła wyżej; zza wypukłej szyby hełmu patrzyły na nią, nie mrugając, wielkie, gadzie oczy o żółtych tęczówkach z wąskimi, poziomymi źrenicami. Zwykle, gdy wcześniej na-

tykała się na geologa lub jego rodaków na pokładzie stacji, wydawało jej się, że te oczy niczego nie wyrażają. Teraz jednak mogłaby przysiąc, że widzi w nich ból.

Podeszła bliżej i przyklękła przy nim. Pojemnik z lekami położyła tuż obok.

– Jak pan się czuje? – spytała z niepokojem. Oczy mrugnęły, przesłonięte na moment nie normalną powieką, ale czymś w rodzaju półprzezroczystej błony.

– Nie mogę się poruszać. Ból... Niekiedy tracę przytomność. Jestem bardzo słaby...

Czyli jest niemal dokładnie tak, jak się obawiała. Geolog doznał obrażeń na tyle poważnych, że nie jest w stanie samodzielnie się poruszać, a na dodatek okresowo traci świadomość. Nie było najlepiej. Zdaje się, że w tej chwili akurat najmniejszym problemem był za-blo-kowany główny właz, a tym martwiła się do tej pory. Tak czy siak, skoro on nie może sam chodzić, będzie musiała wymyślić jakiś inny sposób na wydostanie go z rozbitego grawilotu.

– Mam leki wzmacniające i przeciwbólowe – powiedziała cicho, otwierając pojemnik. – Dał mi je doktor McGinty, na pewno są dobre. Czy mam je podać?

– Tak, proszę...

Nieruchome oczy ponownie zostały przysłonięte ciężkimi, błoniastymi powiekami. Tymczasem Sheena usiłowała odczytać napisy, jakimi zapobiegliwie oznaczyła sobie odpowiednie fiolki. Na samym początku zamierzała zaaplikować mu środek przeciwbólowy, mocniejszy z dwóch, w jakie wyposażył ją lekarz. Wzięła w palce srebrzystą fiolkę i odszukała przy kołnierzu podłużnego hełmu nieziemca to, o czym wspominał jej McGinty: niewielkie zgrubienie, wyposażone w gniazdo. Pewnym ruchem wetknęła fiolkę w gniazdo i odczekała kilka sekund, tak jak nakazał jej lekarz. W tym czasie zawartość fiolki została wprowadzona do krwioobiegu Galakta.

Sprytne urządzenia – pomyślała z uznaniem Sheena, starając się tym razem zidentyfikować fiolki z mieszanekami wzmacniającymi. Idealne na wypadek taki jak teraz, gdy niemożliwe jest podanie leków

w jakimkolwiek inny sposób ze względu na trującą atmosferę, jaka ich otacza.

Odrzuciła kolejne dwie puste już fiołki, a potem usiadła obok ranego naukowca i patrzyła nań niespokojnie, nie będąc pewną skutków, jakie wywarły na nim jej zabiegi. Od dłuższego czasu nie odzywał się.

– Jak się pan teraz czuje? – spytała wreszcie cicho.

Powieka drgnęła, a żółte oko spojrzało w jej stronę.

– Duża ulga. Dziękuję. Ból minął, więcej sił...

Chwila milczenia.

– Jest pani sama?

– Tak, sama – odparła. Nie bardzo wiedziała, co jeszcze powiedzieć. – Przyleciałam małym pojazdem – dodała nie wiedząc po co. Na kilka długich chwil zapadła krępująca cisza.

– Co teraz? – spytał on wreszcie.

Tak, to dobre pytanie, pomyślała nieco zgryźliwie. Odpowiedź na nie starała się znaleźć od dobrych paru minut. Westchnęła głęboko i usadowiła się nieco wygodniej, czując zarazem, jak kleją się jej oczy.

– Cóż... myślę, że naszym najbliższym zadaniem będzie wydostać stąd pana jak najprędzej... no a potem wspólnie wrócimy do bazy.

Ach, jak łatwo było to powiedzieć! – zadrwiła sama z siebie. Tyle że w obecnej sytuacji może napotkać na niewielkie trudności w realizacji tego jakże prozaicznego planu. Bo jakoś nie wyobrażała sobie siebie samej, jak bierze ważącego co najmniej trzy razy tyle co ona geologa na plecy i wspina się wraz z nim do otwartego luku. Zresztą wątpiła, czy jakimkolwiek inny człowiek na jej miejscu zdołałby to zrobić.

Trzeba będzie więc wymyślić co innego. Przede wszystkim zaś warto by się trochę przespać, aby nie wyglądać i nie czuć się jak cokolwiek przemęczony zombie. Potem może robić wszystko, choćby wysadzić połowę tego wraku w powietrze...

Zesztywniała na moment z otwartymi ustami, po czym nagle poderwała się na równe nogi. Wysadzać może niczego nie będzie, ale wiedziała już, co powinna zrobić. Żółte oczy spojrzały w jej stronę, lekko fosforyzując w słabym świetle.

– Czas wziąć się do roboty – powiedziała starając się, by jej głos zabrzmiał choć odrobinę entuzjastycznie.

Wymontowanie jednego z ogniw zasilających ze *Sparka* okazało się zadaniem nieco trudniejszym, niż jej się początkowo wydawało. Początkowo miała nadzieję, że na pokładzie wraku transportowca uda jej się znaleźć jakieś nie uszkodzone ogniwo, ale jej nadzieje spęzły na niczym. Najwidoczniej podczas katastrofy nastąpiło jakieś poważne zwarcie, które spowodowało spalenie nie tylko instalacji elektrycznej i większości podzespołów urządzeń pokładowych, ale dokonało zniszczeń nawet w dobrze zabezpieczonych sekcjach energetycznych.

Koniec końców jednak udało się jej przytaszczyć ogniwo w pobliże wraku na naprędcie zaimprovizowanych saniach, które wykonała z wielkiej plastikowej skrzyni po butlach z tlenem. Przypląciła to długotrwałą zadyszka i kluciem w piersiach, zaś butle leżały teraz zrzuczone na bezładny stos tuż obok jednej z łap jej grawilotu. Podczas drugiego kursu z saniami, który był zdecydowanie bardziej relaksujący w porównaniu z pierwszym, przyciągnęła w ślad za ogniwem ręczną laserową spawarkę. Wiedziała od początku, że ma coś takiego wśród narzędzi pokładowych, niemniej wcześniej nie była sobie w stanie nawet wyobrazić, do czego może jej być ona potrzebna. Jak się okazało, miała się jednak przydać.

Podłączając zasilanie do spawarki ponuro zastanawiała się, do jakich to jeszcze dziwnych metod będzie zmuszona się uciec podczas tej wyprawy. Już skakała, wspinała się, leczyła kosmitę, teraz zaś zamierza przystąpić do własnoręcznego wypawiania możliwie wielkiej dziury w grawitacyjnym transportowcu. Co prawda transportowiec ów nie bardzo nadawał się już do jakiegokolwiek użytku, niemniej coś się w niej buntowało przeciw takiemu postępowaniu. Jednak jedyną alternatywą było dla niej własnoręczne wyniesienie geologa na plecach. Pominąwszy oczywiście to, co przyszło jej do głowy wcześniej, jednakże pomyśl z wysadzeniem części transportowca w celu uzyskania

doń swobodnego dostępu z zewnątrz wydał jej się jednak zbyt ryzykowny. Chwilowo poprzestała więc na spawarce. Oburącz ujęła ciężki przyrząd i wcisnęła czerwony przycisk. Promień światła był niemal niewidoczny w rzadkiej atmosferze Ganimedesa. No cóż, dobre i tyle; w próżni byłby przecież całkowicie niedostrzegalny. Ale i tak będzie musiała uważać jak cholera.

Wybrane miejsce zniszczenia stanowił kwadrat o boku dwóch metrów, znajdujący się – oczywiście o ile nie pomyliła się w swoich pomiarach – mniej więcej pośrodku pomieszczenia załogowego. Do tego miejsca na pewno uda jej się dotaszczyć naukowca, potem przeciągnie go przez świeżo wykonany właz, a potem... Co potem, będzie się martwić później. W ostateczności wezwie pomoc ze stacji.

Metal zaczął się najpierw żarzyć, a potem jął spływać w dół długimi kroplami, zrazu powoli, potem coraz szybciej. Postanowiła nie ciąć zbyt głęboko, ale kilka lub kilkanaście razy objechać palącym promieniem zarys wykonany wcześniej. W końcu przebiję się, mniej więcej w tym samym czasie na całym konturze.

Już kilka minut później klęła sobie i swój pomysł najwymyślniejszymi przekleństwami, jakie tylko zdołała sobie przypomnieć, i sama siebie zdumiała inwencją, jaką wykazała w tym zakresie. Do wysokości mniej więcej jednego metra jakoś bowiem jeszcze jej szło, ale gdy przyszło do unoszenia ciężkiej spawarki ponad głowę, miała wrażenie że ręce już niebawem jej odpadną. Wreszcie przerwała na moment, odłożyła spawarkę i łyknęła tabletkę actinolu z podajnika wewnątrz hełmu. Poczula przyływ sił i z niepokojem poczęła się zastanawiać, jakiego zadośćuczynienia zażąda jej organizm za tak drastyczne eksploataowanie jego rezerw.

Trwała w jakimś dziwnym otępieniu, wykonując wciąż te same ruchy. Przebiła się już na parę centymetrów w głąb, gdy znienacka z dymiącej szczeliny buchnął zrazu niewielki, jednak z każdą chwilą powiększający się zielonkawy płomień. Zamarła w bezruchu, nie myśląc nic, a płomień strzelił znienacka niemal prosto w jej twarz, przy akompaniamencie zjadliwego syku, który przebił się nawet przez hełm.

Wrzasnęła i – odskakując w panice – upuściła spawarkę prosto sobie pod stopy. Gdyby nie samoczynnie wyłączający się przycisk, laserowy promień zapewne odciąłby jej nogę, a możliwe, że i obie. Zielony płomień jednak zniknął równie szybko, jak się pojawił. Sheena podejrzliwie nachyliła twarz nad szczeliną, i odczekała chwilę. W końcu wzruszyła ramionami i zważywszy na to, iż pokazy pirotechniczne najwyraźniej na razie się skończyły, wzięła spawarkę ponownie.

No tak, właściwie mogła się tego spodziewać. To przecież oczywiste, że pod poszyciem znajdują się elementy najrozmaitszych instalacji, nie tylko elektrycznych. Tu musiała trafić na instalację tlenową, skoro się paliło... Niestety, nie przyszło jej wcześniej na myśl dokładniejsze przestudiowanie planów konstrukcyjnych pojazdu tej klasy. Nie miała zatem najmniejszego pojęcia czy lada chwila nie natknie się na przykład na coś, co nie poprzestanie na paleniu, syczeniu i dymieniu, ale na przykład wybuchnie bez najmniejszego ostrzeżenia. Postanowiła jednak zaryzykować. Toteż gdy zielonkawy płomień po raz drugi pokazał co potrafi, zniosła to nieco lepiej niż za pierwszym razem, i nawet nie wrzasnęła. Gdy jednak niedługo później wyrwany siłą niewielkiej eksplozji fragment poszycia śmignął jej tuż obok hełmu niczym pocisk, powoli i ostrożnie odłożyła spawarkę na bok. Usiadła i w posepnym zamyśleniu zapatrzyła się w smużki dymu, snujące się z kwadratowej szczeliny.

To faktycznie nie ma sensu. Lada chwila grzmotnie tak, że nie zostanie ze mnie nawet mokra plama, a nie o to mi przecież chodzi – pomyślała ponuro. Albo, nie daj Boże, zostanę do końca życia kaleką i będę mnie wozić na wózku inwalidzkim. Jakie mam więc wyjście...? No jak to, to przecież oczywiste. Wynieść go na barana przez górny właz. Bagatelka.

Albo wysadzić część burty wraku.

Och, jakie to proste.

Następna w kolejności powinna być bomba termojądrowa – pomyślała zgryźliwie, po raz kolejny sprawdzając rozmieszczone już ładunki. W nieprzebranych zapasach jej *Sparka* zabrakło co prawda materiałów wybuchowych, ale po krótkich konsultacjach z czującym się najwyraźniej o wiele lepiej naukowcem wyszło na jaw, że na pokładzie jego transportowca znajdował się szeroki asortyment tego rodzaju towarów. Zapewne miały one służyć do jakichś tajemniczych eksperymentów, w końcu Galakt był geologiem. Teraz jednakże ów dynamit, czy co on tam miał, zostanie wykorzystany na jej potrzeby.

Siedziała obok Khree'ro kilkanaście minut, rozmawiając z nim o rozmaitych rzeczach. Nawet po sposobie rozmowy można było poznać, że jest w dużo lepszej formie: zaczął mówić pełnymi zdaniami, co bardzo odpowiadało Sheenie. Podczas pogawędki głównie zainteresowało go to, że przybyła sama, oraz to, w jaki sposób go odnalazła. Ze spokojem przyjął fakt, że jest ona telepatką; najwyraźniej tego rodzaju zdolności uważał za coś jak najbardziej naturalnego, chociaż sami Khree'ro nimi nie dysponowali. Ciekawił go również rozwój sytuacji w Układzie Słonecznym, i podała mu tyle informacji, ile tylko mogła wydobyć z pamięci. Na koniec ze ściśniętym gardłem zdała mu relację z próby lądowania ziemskiego wahadłowca – i to chyba wstrząsnęło nim najbardziej. Zamilkł na długo, głęboko poruszony, i ta demonstracja uczuć w jakiś sposób spowodowała, że Sheena właściwie wbrew sobie znieenacka poczuła do niego coś w rodzaju sympatii.

Po krótkim wahaniu zaaprobował jej plan uwolnienia go z rozbitego transportowca, choć wyraźnie było widać, że niezbyt przypadł mu on do gustu. Po namyśle jednak nawet on nie mógł zaproponować alternatywnego rozwiązania. Do ponownego podjęcia pracy ze spawarką nawet nie próbował jej nakłaniać – od razu zauważył osmaloną tkaninę jej skafandra.

Faktycznie czuł się lepiej. Doszedł do siebie na tyle, że spróbował nawet wstać, ale dwie z jego dolnych kończyn zostały solidnie pokiereszowane w momencie, gdy kabina uderzyła w skałę. Dostały się pomiędzy siedzenie dziwnego, szerokiego i głębokiego fotela, który zajmował, a dolną część głównego pulpitu sterowniczego. Geolog

zdołał się jedynie odczołgać pod ścianę i tam, niezdolny do niczego więcej, pozostał aż do chwili, gdy odnalazła go Sheena.

Miała już wstać, by uruchomić detonatory, gdy nagle coś przyszło jej do głowy.

– Przepraszam... – zająknęła się. – Mam nadzieję, że nie uzna tego pan za nietakt... ale jak pan się nazywa? To się przydaje, choćby w czasie rozmowy...

Zapadła cisza, przedłużająca się niebezpiecznie.

– Wiem, że nie powiedziała tego pani, aby mnie obrazić – rzekł wreszcie. – Tłumaczy panią nieznajomość naszych obyczajów i kultury. Ale proszę nie zadawać więcej tego pytania.

Po tych słowach zamknął oczy i wydawał się drzemać.

Czuając się nieopisanie głupio, wycofała się do przedziału załogowego. W myślach dała sobie porządnie w łeb, ganiąc się za to, że przed odlotem z bazy nie dokonała gruntownych studiów nad kulturami i obyczajami istot pozaziemskich, a Khree'ro w szczególności. A zresztą, ktoś w bazie mógł jej przecież coś na ten temat powiedzieć, ale nie, widać woleli, aby radziła sobie sama. A może po prostu nie wierzyli, że odnajdzie go żywego... Odsunęła od siebie te myśli i skoncentrowała się na zadaniu, jakie stało przed nią.

Ładunki, wykonane w formie długich sztabek o trójkątnym przekroju, umieściła na ścianie tak, że tworzyły kwadrat o boku dwóch metrów. O ile się nie myliła, to niemal cała energia wybuchu powinna zostać skierowana na zewnątrz. No cóż, jeśli tak się nie stanie, przekonają się o tym już niebawem. Uruchomiła detonator czasowy i wróciła do kabiny pilota. Mieli jeszcze niecałe pięć minut, w czasie których starannie okryła geologa arkuszami blachy, która miała zapobiec uszkodzeniu jego skafandra przypadkowym odłamkiem.

Ledwie skuliła się za swoją zaimprovizowaną tarczą, rozległ się zaskakująco cichy, stłumiony huk, a cały statek wyraźnie zadrżał. Jakieś nie umocowane przedmioty jeszcze przez kilka chwil przewalały się i przetaczały za przepierzeniem, aż po kilkunastu sekundach zapadła całkowita cisza.

Sheena z duszą na ramieniu wkroczyła do przedziału załogowego. Snop reflektora chwilę błędził w zadymionym teraz pomieszczeniu, aż

wreszcie wyłonił z mroku ścianę, z której ładnie wycięty został kwadratowy fragment poszycia. Jednak, wbrew jej oczekiwaniom, pchnięty siłą wybuchu nie wyleciał na zewnątrz, a najwyraźniej odbił się od czegoś i wpadł do środka. To ją nieco zaniepokoiło, bo przecież za ścianą, o ile dobrze sobie przypominała, nie było niczego.

Roztrącając snujące się wciąż w świetle smugi dymu, podeszła do dziury. Chwilę trwała, nieruchoma niczym słup soli, i nie wierząc własnym oczom. Co za jakiś cholerny pech ją prześladowe?!

Za dziurą widać było skałę.

Pomyliła ściany.

Tym razem upewniła się na wszelki wypadek dwukrotnie, na której ścianie rozmieściła ładunki, mimo iż nie miało to większego sensu. Pozostała przecież tylko jedna ściana, czyli ta, która niegdyś była sufitem. Po pierwszym wybuchu geolog zainteresował się rezultatami, wybąkała jednak, że nie wszystko poszło jak trzeba i konieczne jest powtórzenie całego zabiegu. Jakoś nie mogła przemóc się i opowiedzieć mu, co udało jej się zrobić poprzednim razem. Miała jedynie cichą nadzieję, że – gdy już będą wychodzić – on nie zobaczy niczego. Już ona się o to postara, zamaskuje jakoś tę dziurę... Co za idiotyczna pomyłka! A nie mogła przecież pozwolić, aby przez głupie niedopatrzenie skompromitowała w jego oczach nie tylko siebie, ale najprawdopodobniej i innych ludzi.

Osłona z arkuszy blachy uprzednio doskonale spełniła swoje zadanie, toteż postanowiła zastosować ją i tym razem. Wybuch, podobnie jak pierwszy, nie był głośny, choć wstrząsnął wyraźnie całą konstrukcją. Wylazła zza blachy, usunęła metalowe arkusze okrywające nieziemca, i ponownie, schylając się, przelazła do przedziału załogowego. Rozejrzała się z pewnym zaniepokojeniem. Powoli przestała sobie ufać...

Dziura jednakże była dokładnie tam, gdzie powinna być, tak samo kształtna jak ta wywalona poprzednim wybuchem. Podeszła ostrożnie, usiłując dojrzeć więcej szczegółów w wirujących smugach dymu.

Okazało się, że wystarczy wygładzić tylko nieco krawędzie, a wyjście będzie niemal idealne. Kolejne kwadransy minęły jej na szlifowaniu krawędzi otworu, a następnie na poszukiwaniu czegoś, na czym mogłaby w miarę wygodnie ułożyć khree'roańskiego naukowca i przeciągnąć go przez dziurę w ścianie. Wybór jej padł na dużą płachtę z bardzo grubego, ale elastycznego plastyku. Dowiązała do jej rogów kilka mocnych linek, w ten sposób naukowiec mógł leżeć na płachcie, gdy ona będzie go ciągnęła do wyjścia. A zapewne także i później, choć nie wyobrażała sobie na razie, w jaki sposób uda jej się w ten sam sposób dociągnąć go do czekającego nie opodal *Sparka*.

Geolog pomagał jej, jak tylko mógł w tym stanie. Jednak gdy już oboje znaleźli się na zewnątrz wraku, Sheena czuła się tak, że bliska była zażycia jednej z mieszanek wzmacniających przeznaczonych dla Khree'ro. Dosłownie bez sił opadła na kamienisty grunt, plecami opierając się o chropowatą burtę zniszczonego grawilotu. Oczy jej się zamykały, i czuła wyraźnie, że dłużej nie wytrzyma. I w końcu się poddała.

– Przepraszam najmocniej, ale potrzebuję chociaż chwili odpoczynku – wargi ledwo chciały się poruszać. – Zbyt długo już nie spałam... proszę obudzić mnie za kilkanaście minut...

Więcej nie zdołała powiedzieć. Zasnęła momentalnie.

Gdy się obudziła, chwilę leżała nieruchomo, wsłuchując się w swoje ciało. Ku jej zdziwieniu, najwyraźniej było ono w dużo lepszym stanie, niż... no właśnie, ile czasu spała? Zerknęła na zegarek wbudowany w rękaw skafandra, i zdziwiła się: gdy zasypiała, była trzecia trzydzieści czasu stacji, teraz zaś dochodziła czwarta. Pokiwała w zadumie głową; nie przypuszczała, że jej organizm jest zdolny do regeneracji sił w takim tempie. Uniosła się do pozycji siedzącej.

– Widzę, że już pani nie śpi – usłyszała w słuchawkach metaliczny głos. – Trwało to dłużej, niż się spodziewałem, ale doszedłem do wniosku, że pani stan uzasadnia taką potrzebę snu. Obliczyłem mniej więcej, ile godzin była pani w stanie czuwania. To bardzo dużo.

Co on u licha plecie? – pomyślała z rosnącą niechęcią. Niecałe pół godziny, a ten musi już wtrącić swoje pretensje...

Nagle coś ją tknęło; uniosła lewy rękaw ku oczom z takim impetem, że omal nie wybiła szyby helmu. Wpatrzyła się w jarzące się zielono cyferki. Tuż obok tych, które wskazywały godzinę, widniały dwie małe literki: PM. Zaraz, to więc oznaczało, że spała nie pół godziny, ale dwanaście i pół...! A niech to szlag.

– Najmocniej przepraszam – powiedziała starając się, aby w jej tonie zabrzmiała odpowiednia nutka pokory. – Nie miałam pojęcia, że upłynęło tyle czasu.

– Oczywiście, że pani nie miała, skoro pani spała – odpowiedź była nieodparcie logiczna. – Jednak czuję się obecnie na tyle dobrze, że uznałem, iż powinna pani wypocząć jak najlepiej przed kolejnym wysiłkiem.

Pierwsze, co jej przyszło do głowy, to to, iż Donner i reszta załogi *Blue One* zapewne zdążyli pogodzić się już z tym, iż nie ujrzą jej już więcej. Tyle czasu bez żadnego komunikatu z jej strony... Rany boskie...! Major zabije ją natychmiast po powrocie, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. A przed tym i tak czeka ją przecież jeszcze niewątpliwie dużo atrakcji, nie należało o tym zapominać. Zarówno ona, jak i geolog musieli się przecież dostać do jej pojazdu. Droga pozostająca im do przebycia co prawda nie była zbyt daleka, mogło to być ze dwieście pięćdziesiąt metrów... Niemniej szczeliny i kamienie zapewne bardzo skutecznie utrudniały im dostanie się do statku.

Wreszcie ruszyli.

Jakoś to jeszcze szło, przynajmniej na samym początku. Stękając i sapiąc, wciągnęła płachtę z burzącą coś niewyraźnie zawartością w górę żlebu, którym się tu dostała. Potem jednak musieli się zatrzymać. Teraz droga polegała na tym, że najpierw Sheena wspinała się na jakiś w miarę wysoki kamień i z góry uważnie oglądała najbliższą okolicę. Następnie starała się zapamiętać drogę wiodącą przez możliwie płaskie miejsca i omijającą wszelkie szczeliny i rumowiska. Galakt na szczęście nic nie mówił, choć miała wrażenie, że co najmniej kilka razy wyczuła emanacje najeżone bólem i poczuciem rezygnacji. To paradoksalnie dopingowało ją do jeszcze większego wysiłku, i z zaciśniętymi zębami ciągnęła swoje brzemie dalej, i jeszcze dalej, w kierunku jasnej plamy majaczącego w mroku *Sparka*. Straciła właści-

wie rachubę czasu. Wiedziała tylko że słońce dawno już zaszło i zapanowała ganimedańska noc, nie różniąca się zresztą specjalnie od dnia ze względu na oddalenie od Słońca. Szła niczym automat, nagle jednak stanęła jak wryta i zapatrzyła się w dół. No tak, jak mogła o tym zapomnieć...?

Owa pechowa rozpadlina, w którą wpadła idąc tędy poprzednim razem, jakoś się nie zdematerializowała w ciągu ostatnich godzin. I choć nie była zbyt głęboka i szeroka, to jednak przejście na drugą stronę z balastem w postaci geologa stanowczo przekraczało jej możliwości. Jej samej wystarczyłby jeden skok, ale naukowiec nie wydawał się w tej chwili zdolny do jakichkolwiek akrobacji.

Usiadła, zwiesiła nogi przez brzeg rozpadliny i zamyśliła się ze zmarszczonymi brwiami, zapatrzona przed siebie. Sponad sterczącej na drugim brzegu skały wystawał górny fragment kadłuba *Sparka*, tak już bliskiego i zarazem tak odległego. Naprawdę, tym razem nie wiedziała, jak sobie poradzić.

Objaśniła sytuację nieco zaniepokojonemu geologowi. Nie doczekawszy się od niego żadnej dobrej rady, dość niemrawo wstała i wdrapała się na najbliższy większy kamień. Tak jak się obawiała, szczelina ciągnęła się w obie strony jak okiem sięgnąć, przerzynając całe kamienne pustkowia niczym ślad wielkiego noża jakiegoś mitycznego olbrzyma. W dalszej swej, południowej części była nawet dużo szersza i głębsza niż w miejscu, w którym się znajdowali. Ponownie spojrzała na oddalonego nie dalej, niż o czterdzieści metrów *Sparka*, żałując, że nie ma on czegoś w rodzaju wyciągarki stosowanej na przykład na helikopterach ratunkowych w górach. Wtedy przywiązałaby linki do takiej wyciągarki i naukowiec szybko i sprawnie znalazłby się we wnętrzu pojazdu.

Z westchnieniem zeskoczyła obok geologa i po krótkich konsultacjach zaaplikowała mu kolejną dawkę przeciwbólowo-wzmacniającego koktajlu. Rzuciła pustą fiolkę w kierunku rozpadliny i obserwowała, jak zataczając wielki, nierówny z powodu podmuchów wiatru łuk, znika za jej brzegiem.

I nagle przyszło jej coś do głowy. Z początku uznała to za zbyt ryzykowne, ale po głębszym namyśle uznała jednak, iż jest to jedyna

możliwość, aby wydostali się stąd oboje. Wy tłumaczyła geologowi, o co jej chodzi tym razem, i wreszcie doczekała się słowa komentarza.

– Wydaje się, że nie lubi pani konwencjonalnych rozwiązań? – mogłaby przysiąc, że w jego głosie pobrzmiewają iskierki autentycznego poczucia humoru! Zaś nigdy nie podejrzewała o coś takiego przedstawicieli akurat tej rasy.

– Ale najprawdopodobniej pani rozumowanie doprowadziło do logicznych i dających się zaakceptować wniosków. Zgadzam się.

Czasami zaś jego bardzo oficjalny i odrobinę nawet napuszony język sprawiał, że miała ochotę uciec bardzo daleko. Jednak uniosła tylko brwi w geście rezygnacji i schyliła się, ujmując dłońmi linki przymocowane do płachty. Pociągnęła; jakoś poszło. Dalej, koniku, a jak się postarasz... Godzinę później zatrzymali się w miejscu, gdzie szczelina osiągnęła dobre dwadzieścia metrów średnicy, zarazem zagłębiając się w skałę na więcej niż dziesięć metrów. Ta część planu była zatem wykonana. Bez słowa odwróciła się i popędziła z powrotem na północ, gdzie mogła przeskoczyć na drugą stronę bez przeszkód.

Spark przywitał ją radosnym niemal migotaniem lampek na pulpach. Jedna z kontrol, mrugająca jednostajnie, informowała ją iż oczekuje na nią wiadomość ze stacji. Widać major Donner faktycznie zdążył się już zaniepokoić jej przedłużającym się milczeniem. Nie przejmowała się tym jednak: skoro wytrzymał tyle, równie dobrze wytrzyma jeszcze następne kilkadziesiąt minut. Zapięła pasy i poderwała pojazd w górę, obróciła go w miejscu i powolutku, ostrożnie ruszyła na południe. Leciwała wzdłuż szczeliny, wypatrując charakterystycznej, żółtej, rzucającej się w oczy płachty. Już zdążyła się przestraszyć że zgubiła ją na dobre, gdy znienacka dostrzegła upragnioną żółtą plamę na samym brzegu szerokiej i głębokiej rozpadliny.

Z dłońmi zaciśniętymi aż do bólu na drążku sterowniczym, z zagryzionymi niemal do krwi wargami, sprowadzała grawilot w dół, sterując ku środkowi szczeliny. Gdy za szybą dostrzegła jej skraj, zastopowała i teraz sterowała tak, aby prawa burta zbliżała się delikatnie ku brzegowi, na którym pozostawiła Galakta. Pot ściekał jej po czole, jednak nie ośmieliła się go zetrzeć w tej chwili.

Wreszcie ostrzegawczy chrobot i stuknięcie oznajmiło jej, że burta oparła się o brzeg szczeliny. Wyrzwała w bok i uniosła pojazd o kilkanaście centymetrów w górę. Następnie zaś poleciła komputerowi utrzymywanie osiągniętej pozycji. Weszła do śluzy – jak się okazało tylko po to, aby przekonać się, że jej zewnętrzne drzwi nie chcą się otworzyć. No tak, pojazd znajduje się w powietrzu, i działa automatyczna blokada... Zakłęła i odszukała korbę ręcznego otwierania. Powietrze z sykiem rzuciło się ku powstającej szczelinie, wyrównując różnicę ciśnień. Wreszcie kłapa odchyliła się tak, że oparła się o brzeg szczeliny. Szybko wyszła po niej i stanęła na skale, szukając wzrokiem nieziemca. Był zaledwie o kilka metrów dalej.

Wciągając go na chyboczący się trap, miała duszę na ramieniu. Jeśli w tej chwili nieoczekiwanie silny podmuch wiatru odsunie *Sparka* od brzegu szczeliny, najpewniej oboje zwałą się dziesięć metrów w dół. Istotnie, pojazd kołysał się niebezpiecznie, pomimo kompensowania siły podmuchów przez błyskawiczne reakcje komputera. Wreszcie jednak Sheenie udało się wepchnąć poszarpaną już cokolwiek płachtę do śluzy i wejść do niej samemu. Miejsca jednak było na tyle niewiele, że musiała stanąć w rozkroku nad wielkim, nieruchomym ciałem. Kręciła co sił korbką, słysząc zarazem, jak burta *Sparka* coraz mocniej ociera się o skaliste urwisko. Dźwięk umilkł dopiero w momencie, gdy Sheena biegiem dopadła swojego fotela przed konsolami i na ręcznym sterowaniu wyprysnęła wysoko ponad skały.

Wtedy wróciła do geologa. Nareszcie teoretycznie mogli ściągnąć skafandry, jednak nie zrobili tego. Nie mogli nawet ściągnąć hełmów ze względu na to, że wtedy straciliby możliwość porozumiewania się. Translatory zainstalowane w skafandrach działały bowiem za pośrednictwem mikrofonów hełmowych. Sheena czuła, że oddałaby królestwo za luksus gorącej, wonnej kąpieli albo chociaż prysznic. Geolog zaś usadowił się w miarę wygodnie na miękkim siedzisku, przygotowanym specjalnie dla niego jeszcze w stacji. Przedtem obmacał chwytnymi górnymi kończynami wszystkie dolne, i na długą chwilę zamilkł.

– Czas wracać – mruknął tylko. – Pozwoli pani, że teraz ja zasnę.

Błoniaste powieki powoli opadły na żółte oczy z pionowymi, czarnymi źrenicami. Sheena i tak zdziwiona była, że Galakt wytrzymał tyle czasu bez snu.

Teraz jednak nareszcie mogła znaleźć chwilę dla majora Donnera. Pewnie zdziwi się, że ona w ogóle jeszcze żyje... a na dodatek udało się jej wypełnić swoją misję. No, jeszcze nie do końca, przecież muszą dotrzeć do *Blue One*. Ciekawe, co też takiego major ma dla niej, i jak zareaguje na to, co ona miała mu do przekazania.

Kabinę, pogrążoną w niemal całkowitym mroku, rozjaśniało tylko światło bijące od kilku aktywnych monitorów i wskaźników na konsolach. Słaba poświata wlewająca się przez okna pojazdu właściwie nie oświetlała niczego. W jakiś tajemniczy sposób wzmacniała jedynie niepokojący nastrój, jaki od paru godzin opanował Sheenę. Zerknęła na zegarek i stwierdziła, że Słońce powinno już dawno wznieść się ponad horyzont. Rozejrzała się dokładniej i dostrzegła, że cienie istotnie były dużo wyraźniejsze i głębsze niż przedtem. Pogrążona w rozmyślaniach, wcześniej tego jakoś nie zauważyła.

– Mamy dzień – odezwał się niespodziewanie geolog, jakby w odpowiedzi na jej myśli. – Cieszę się, że mogę go oglądać.

– Dzień dobry, profesorze – odwróciła się pospiesznie. Khree'ro leżał w zaimprovizowanym wyrku, jakie mu sporządziła, i przyglądał się jej przez szybę hełmu swoimi gadzimi oczami. Co dziwne, tym razem jego spojrzenie nie wydało jej się równie niepokojące, jak jeszcze nie tak dawno temu.

– Jak tam wiadomości z frontu? – spytał krótko. – Ma pani jakieś nowe informacje?

Zawahała się przez chwilę.

– Niezbyt dobre – powiedziała wreszcie.

Faktycznie. Takie przynajmniej przesłanie niosły wieści przesłane jej przez troskliwego majora Donnera, w czasie gdy ona w pocie czoła pracowała nad coraz większą dewastacją wraku transportowca. Nie ma co, humoru jej to nie poprawiło w najmniejszym stopniu, i w tej chwili

li bardzo chciała pogadać na ten temat z khree'roańskim naukowcem. Dobrze, że się obudził...

– Według tego, co przekazał mi major Donner, co najmniej trzy obce floty rozpoczęły już działania wojenne w Układzie Słonecznym – rzekła przynębiona. – Jedna z nich, zidentyfikowana jako gornieńska, zajęła już pozycje wokół Ganimesesa. Praktycznie żaden statek nie ma najmniejszych szans na przemknięcie się pomiędzy tym kordonem.

– Chodzi im przede wszystkim o tutejsze znaleziska – mruknął geolog, patrząc gdzieś w przestrzeń. – Nawiazali już łączność z *Blue One*?

– Jeszcze nie. Ale wszyscy domyślają się, jakie będą ich warunki. Zaś znając dowództwo bazy, i tak nie skapitulujemy. Dalej; druga flota, dużo potężniejsza od tej tutaj, wyszła z podprzestrzeni około trzydziestu godzin temu. Ci nie spieszą się zbytnio. Przegrupowali się tylko i w tej chwili lecą dokładnie w kierunku Ziemi. Jak dotąd, nie udało się nam zidentyfikować, jaki klan reprezentują. Tamci nie odpowiadają na żadne sygnały...

– Rahańczycy powinni wysłać rytualne wezwania – przerwał jej nieziemiec. – Zgodnie z kodeksem wojny Instytutów Galaktycznych.

– Wysłali. To znaczy, ich flagowy okręt wojenny. Tamci pozostawili to bez odpowiedzi. A jakby tego było mało, dosłownie kilka godzin temu z nadprzestrzeni wyszła kolejna eskadra. Podobno tak blisko Marsa, że nieźle ryzykowali. Niemal od razu została zidentyfikowana przez obserwatorów ze stacji *Mars 2*...

– Kh-kh-boyn?

Uniosła brwi ze zdumieniem.

– Skąd pan to wie?

– To typowe dla nich. Ale proszę mówić dalej.

Przypomniała sobie zdjęcia tych statków. Rozczłonkowane, wręcz surrealistycznie wyglądające pojazdy emanowały śmiertelną grozą, dokładnie taką samą, jaką odczuwała większość istot w Galaktyce myśląc o ich twórcach.

Kh-kh-boyn byli istotami o sposobie myślenia całkowicie niezrozumiałym dla większości gatunków zamieszkujących Galaktykę. Ich psychika była czymś absolutnie obcym nie tylko dla ludzi. Nie

cieszyli się zbytnią sympatią wśród gwiazdnych klanów, niemniej darzono ich czymś w rodzaju niechętnego szacunku, głównie ze względu na ich znaną bezkompromisowość i absurdalną niekiedy odwagę. Słynie z swojej przebiegłości i podstępności. Stosunkowo rzadko wdawali się w otwarte, zbrojne konflikty, ale jak już do nich przyszło, z reguły wygrywali. Ich technologie wojenne, doskonalone od eonów, były bardzo niebezpieczne i równie skuteczne.

– To nie będą łatwi przeciwnicy – wyrwało się Sheenie.

– Żadni z nich nie są łatwymi przeciwnikami – mruknął ponuro geolog. – Mają na koncie likwidację co najmniej kilku gatunków, w większości o wiele lepszych niż oni sami. To fanatycy... ale mniejsza na razie o to. Nie było może jakichś bardziej optymistycznych wiadomości?

– Może to, że w do Układu Słonecznego przybyły wreszcie zapowiedziane wcześniej oddziały Dayoou, Pth'ling i Khree'ro...

– My zawsze dotrzemy słowa – rzekł nieco wyniośle, jak jej się zdawało, a ona skwitowała te słowa lekkim pochyleniem głowy.

– I mała niespodzianka – spojrzała na niego uważnie. – Do Układu dotarły także statki wojenne z Shoddoi oraz Oaat.

Milczał przez chwilę, kiwając do siebie wielką głową. Sheena nie była pewna, co oznacza ten gest. Może geolog był po prostu zdziwiony? Nie byłoby to niczym niezwykłym, bo żadna z tych dwóch ras nigdy nie była posądzana o zbytne sprzyjanie Ziemi. Znaczyło to tyle, że zaliczali się raczej do grona biernych obserwatorów. Sheena widziała ich na filmach instruktażowych, i jeśli przypominający nieco porośnięte sierścią modliszki Shoddoi mogli jeszcze przywodzić na myśl któreś ze stworzeń żyjących na Ziemi, to o niesamowitych Oaat nie dało się tego samego powiedzieć. Jeśli już, to mogłaby ich porównać do ameb, co prawda dość wyrośniętych. Oaat byli istotami amorficznymi, przybierającymi w miarę potrzeb rozmaite kształty, oczywiście z pewnymi ograniczeniami. O ile dobrze pamiętała, wyewoluowali z jakichś stworzeń wodnych, jednakże w tej chwili byli istotami ziemnowodnymi. Ich rasa, bardzo przyjaźnie nastawiona do wszystkiego, co żyje, najbardziej znana była ze zdolności do naprawiania szkód ekologicznych oraz skutków rozmaitych katastrof,

i to na globalną skalę. Podobno potrafili doprowadzić do porządku nawet światy spustoszone wojną nuklearną. Oczywiście, jako eksperci nie mało sobie liczyli za swoje usługi, niemniej w powszechnej opinii warte były one swojej ceny.

– Oaat... – odezwał się wreszcie Khree'ro – To dziwne. Ich zaangażowanie się w walkę to coś z zasady obcego ich mentalności.

– Podobno kilku z ich ekspertów znajduje się w chwili obecnej na Ziemi – zauważyła Sheena ostrożnie. – Może to tłumaczy ich zaangażowanie?

– Raczej powinni po prostu ewakuować tych ekspertów. W chwili obecnej nie powinno być z tym jeszcze żadnych kłopotów.

Uwaga była słuszna. Sheena w rozterce uznała wreszcie, iż nie umie rozstrzygnąć tych wątpliwości. Zresztą w sprawach dotyczących tego konfliktu zaczynało się pojawiać coraz więcej osobliwości, i miała dziwne przeczucie, że w miarę upływu czasu pojawi się ich jeszcze więcej.

Dystans dzielący ich od bezpiecznych kopuł *Blue One* zmniejszał się z każdą minutą, i w tej chwili wynosił już jedynie około dwustu pięćdziesięciu kilometrów. Przy tej prędkości, to będzie ledwie pół godziny lotu. Witaj, domu – pomyślała z przypływem nieoczekiwanej czułości. Wreszcie się wykąpie... Zerknęła do tyłu na geologa, bowiem od kilku minut nie odzywał się. Jak się wydawało, zasnął ponownie, być może wyczerpany rozmową. Albo po prostu odpoczywał z zamkniętymi oczami.

Nieoczekiwanie silny podmuch targnął grawilotem, aż Sheena musiała złapać się oparcia. Wyrzała na zewnątrz i niemal się przeraziła. Niebo, usiane jeszcze parę chwil temu jasno świecącymi gwiazdami, teraz było zasnuwane tysiącem śnieżnych płatków, wirujących w świetle reflektorów jak szalone. Widoczność błyskawicznie spadła do kilkudziesięciu, a następnie kilkunastu metrów, a wiatr jeszcze przybrał na sile. Takie niezwykle nagłe zmiany pogody nie były czymś niezwykłym na tym satelicie, niemniej musieli naprawdę mieć pecha, aby trafić akurat na coś takiego.

– Oto kolejne oblicze Ganimedesa – mruknęła zgryźliwie pod nosem. Chciała dodać sobie nieco odwagi, usłyszeć chociaż swój głos,

jednak z jakiegoś powodu jeszcze zmniejszyło to jej pewność siebie. Nagle bowiem uświadomiła sobie, że wobec nowych trudności stoi praktycznie sama – na pomoc geologa raczej nie może przecież liczyć.

Pojazd był w tej chwili prowadzony przez komputer według mapy satelitarnej, jednak wobec braku wizualnych namiarów, pozycja grawilotu będzie najprawdopodobniej coraz bardziej niepewna. Ganimedes nie posiadał wszak pola magnetycznego na tyle silnego, aby umożliwiałoby zaufanie wskazaniom tradycyjnych kompasów. Mogła spróbować wyjść statkiem na większą wysokość, gdzie atmosfera będzie choć trochę bardziej spokojna, a przy okazji widoczne będą gwiazdy umożliwiające jaką taką orientację.

– Co się dzieje? – usłyszała w słuchawkach hełmu. Ponownie zerknęła do tyłu: geolog jednak nie spał, utkwivszy w niej swoje nieruchome, żółte spojrzenie.

– Burza śnieżna – odpowiedziała lakonicznie. – Jesteśmy już nad lodowcem, do bazy niedaleko, ale na tej wysokości nie jest najbezpieczniej. Wejdziemy wyżej.

Ciche buczenie silników pojazdu, zagłuszane niemal w całości przez wycie wiatru dochodzące z zewnątrz, nasiliło się nieco gdy *Spark* uniósł nieco nos i powoli począł piąć się w górę. Już po niedługiej chwili dało się wyczuć zmianę: gwałtowne kołysanie w pewnym stopniu osłabło, i komfort podróży nieco wzrósł. Na tysiącu metrów wyrównała i pojazd trochę spokojniej pomknął przed siebie. Jednak towarzyszący im pech ponownie dał znać o sobie. Jej oczy, wpatrzone w niewyraźną przestrzeń rozciągającą się za przednią szybą, otworzyły się odrobinę szerzej, gdy chmury rozstały się nagle na boki, jakby targnięte jakąś olbrzymią dłońią. Niespodziewanie, tuż przed statkiem ujrzała coś jakby szerokie, wirujące z nieopisanie wielką prędkością kłębowisko.

Niech to szlag, pomyślała rozpaczliwie, targnąwszy sterami i dodawszy gwałtownie mocy. Niech to wszystko trafi pieprzony szlag....!!!

Zareagowała zbyt późno, jednak nawet gdyby pojazd był prowadzony przez komputer, niewiele by to zmieniło. *Spark*, pomimo silników pracujących całą mocą, powoli spadał w głąb wielkiego wiru,

potężnego cyklonu, jaki zdarzał się na Ganimesdesie może raz na pół roku. Oczywiście to właśnie ja musiałam na niego trafić – przemknęło jej jeszcze przez myśl, i wtedy grawilot nagle zapikował niemal pionowo w dół. Starczyło jej jeszcze przytomności umysłu, by krzyknąć geologowi, aby trzymał się mocno czego popadnie. Niemal odruchowo sterowała tak, aby nie wpaść w sam środek cyklonu, ale podążać po opadającej spirali wzdłuż ścian wielkiego wiru.

Kręciło jej się w głowie. Cyferki na wskaźniku wysokości wyświetlanym przez laserowe projektory przed jej oczami zmieniały się w gwałtownym tempie, malejąc wciąż i wciąż... Za oknami widziała tylko jedną białą ścianę, gdy masy amoniakalnego śniegu przewalały się w świetle reflektorów jej pojazdu. Wstrząsy powodowane przez turbulencje były tak silne, że gdyby nie zapięte pasy, pewnie wyleciałaby z fotela i zatrzymała dopiero na szybie. Wolała sobie nie wyobrażać, co przeżywa w tej chwili geolog gdzieś tam, z tyłu. Z opornym drążkiem sterowym walczyła niemal jak z żywym zwierzęciem, tak gwałtownie usiłował się jej wyrwać z dłoni. Ledwo nad nim panowała.

A jednak w jakiś cudowny, niewytłumaczalny sposób udało jej się wyprowadzić *Sparka* z tego śmiertelnego, powolnego korkociągu. Wysokościomierz wskazywał zaledwie sto metrów nad poziomem gruntu, gdy grawilot wyrównał lot i wydostał się z obszaru najgwałtowniejszych ruchów atmosfery. Widać jakieś dobre duszki czuwają jeszcze nade mną – pomyślała nieco nieprzytomnie, czując jak wielka ulga powoduje jakąś dziwną miękkość w nogach. Jednak dosłownie chwilę później musiała zmienić zdanie, gdy znienacka biała przestrzeń przed oknami pojazdu nagle pociemniała. Zareagowała instynktownie, ciągnąc drążek sterowy na siebie i zadzierając nos pojazdu w górę. Skalna ściana była jednak zbyt blisko.

Spark uderzył brzuchem o twardą przeszkodę, po czym z gruchotem i przenikliwym, świdrującym uszy zgrzytem dartego metalu sunął przez kilka nie kończących się chwil w górę zbocza. Wszystkie światła na tablicach i konsolach pogasły, z tyłu przewalały się jakieś przedmioty, a zęby Sheeny dzwoniły o siebie w takt podrygów pojazdu. Gdzieś w dole słyszała narastający ostry świst, i dopiero po paru

sekundach uświadomiła sobie, że to ucieka powietrze przez zdehermetyzowany kadłub.

W końcu *Spark* zamarł, z dziobem uniesionym w górę. Chwilę trwał nieruchomo, i Sheena zaczynała już nabierać nadziei, że na tym się skończy, ale w tym samym momencie pojazd drgnął lekko i powoli począł zsuwać się w dół zbocza. Na swojej drodze nie napotkał niczego, co zdolne byłoby go powstrzymać, jednak drobne nierówności sprawiały, że nie przewrócił się na bok i nie zaczął się turlać, czego najbardziej się obawiała. Przy akompaniamencie huku, trzasku, zgrzytów i hurgotu metalu o skałę, ta osobliwa podróż trwała – zdawało się – bez końca. Najbardziej deprymujące było to, iż wszystko działo się w całkowitej ciemności, potęgując wrażenie klaustrofobicznej bezradności. Wreszcie jednak, gdy Sheena była bliska krzyku, nachylenie zbocza wyraźnie zmalało i pokiereszowany *Spark* począł wyraźnie zwalniać.

Zatrzymał się z jakimś dziwnym, niemal ludzkim stęknieniem, jakby zmaltretowany statek oznajmiał, iż nie znieśie już więcej. Sheena była podobnego zdania, jeśli chodziło o nią samą.

Upewniła się jeszcze, iż pojazd, choć przechylony pod kątem kilkunastu stopni, stoi nieruchomo. Z trudem odpięła pasy zdrętwiałymi od trzymania drążka sterowego dłońmi, i wstała. Z pewnym trudem utrzymując równowagę na przechylonym pokładzie, pokuśtykała niepewnie na tył. Musiała się upewnić, czy geologowi nic się nie stało. Szła tam z pewną obawą, bowiem pamiętając co działo się ze statkiem w ciągu ostatnich kilku minut, nie była pewna co tam zastanie. Nerwowo zwilżyła językiem zaschnięte wargi, i wtedy na języku poczuła nagle jakiś niecodzienny smak. Dopiero po chwili zdała sobie sprawę, że w ustach ma pełno krwi z przygryzionych warg.

Snop światła z jej reflektora wyłaniał z ciemności istne pobojożyłko. Porozrzucone, poobijane przedmioty, szczątki i jakieś skorupy wały się wszędzie pod nogami, jednak nigdzie nie mogła dostrzec niebieskawego skafandra Khree'ro. Miotła się tak cokolwiek bezładnie, aż nagle przyszło jej na myśl że zachowuje się jak idiotka, zamiast po prostu wywołać go zwyczajnie, przez radio. Nie zdażyła jednak wypowiedzieć ani słowa, gdy niespodziewanie całe pomieszczenie

rozjaśniła dość słaba, czerwonawa poświata. Widać z pewnym opóźnieniem zadziałały jednak rezerwowe systemy energetyczne statku i automatycznie włączone zostało oświetlenie awaryjne.

I niemal natychmiast dostrzegła to, czego szukała. Geolog w tej właśnie chwili wyczołgiwał się tyłem z niewielkiego pomieszczenia w rogu, w którym mieściły się toaleta i mikroskopijna umywalnia. Patrzyła na to wstrząśnięta, bo nawet w tej chwili odbierała fale wielkiego cierpienia, wręcz bijącego w nią tak boleśnie niczym krople wrzącego metalu. Podbiegła do niego i pomogła mu, jak umiała, co skwitował jedynie cichym mruknięciem. Wreszcie, najwidoczniej bardzo wyczerpany, geolog leżł na swoim miękkim siedzeniu. Opadła na podłogę obok niego.

– To nie było miękkie lądowanie.

Jego słowa ponownie ją zaskoczyły. Ponownie poczucie humoru, i to w takiej sytuacji, gdy musiał znosić niewątpliwie wielki ból...! Zachowanie tej istoty coraz bardziej odbiegała od wizerunku, jaki nosiła w sobie od chwili, kiedy po raz pierwszy natknęła się na Khree'ro po przybyciu na Ganimedesa.

– Nie było – zgodziła się dość ponuro. – Chociaż naprawdę robiłam, co mogłam...

– Zgadza się. Ze swojego miejsca widziałem wszystko aż do momentu, gdy przed nami pojawił się cyklon. Później bowiem uznałem za właściwe znalezienie jakiegoś miejsca, gdzie w mniejszym stopniu byłbym narażony na działanie wstrząsów, do jakich bez wątpienia musiało dojść.

Boże, jakbym słyszała jakiegoś egzaltowanego, arystokratycznego bubka – pomyślała, lekko oszołomiona. Dopiero potem przyszło jej na myśl, że tym skupieniem się na potoku formalnej wymowy nieziemiec stara się odsunąć od siebie targające nim fale bólu. Wręcz rzuciła się na podłogę, starając się odnaleźć w tym całym bałaganie któryś z pojemników z lekami, jakie były w *Sparku*.

– Szczerze mówiąc, nie przypuszczałem, że wyjdziemy cało z tego, co nas spotkało. To była dobra robota – głos przekazany przez komputer jak zwykle brzmiał beznamiętnie, lecz dałaby wiele za usły-

szenie jego prawdziwego emocjonalnego zabarwienia. Kiwnęła głową, przyjmując jego słowa.

– Dziękuję. Już jest dużo lepiej – mruknął, a ona z trudem usiadła wśród szczątków i spojrzała na niego, wyrzucając kolejne dwie puste fiołki. Faktycznie, cierpienie, jakie jeszcze przed chwilą wyczuwała z jego kierunku, znacznie się zmniejszyło; leki działały szybko. Usiadła nieco wygodniej, patrząc przed siebie na skąpane w czerwonej poświacie pomieszczenie.

– Gdy wpadliśmy w cyklon, pozostało nam do bazy około dwustu kilometrów, a może i mniej – zaczęła myśleć na głos. – Potem, gdy wyszliśmy z tego wirowania, spojrzałam na mapę i wyszło z niej, że zniosło nas trochę w bok, ale niewiele. Tak więc mamy w tej chwili do przebycia około stu dziewięćdziesięciu kilometrów.

Słowa zawisły w przestrzeni między nimi i każde z nich ważyło je na swój sposób.

– Nie możemy liczyć na pomoc z bazy?

– Raczej nie – westchnęła. – Zachowywaliśmy całkowitą ciszę radiową, bo na orbicie mamy pełno orbitujących niszczycieli. Lecieliśmy nawet bez stałego namiaru pozycyjnego, wołałam nie zwracać na nas niepotrzebnie niczyjej uwagi. W *Blue One* wiedzą zatem jedynie, kiedy rozpoczęliśmy podróż powrotną, i teraz pewnie nas wyglądają. Nie znają naszej pozycji...

– Cóż więc pozostaje?

– Skoro góra nie przyjdzie do Mahometa... – mruknęła i w tej chwili pomyślała, że nieziemiec najpewniej nie wie, co ona przez to chce powiedzieć. – To znaczy, że musimy wziąć jedynie trochę najpotrzebniejszych rzeczy i wyruszamy w drogę tak szybko, jak się da.

Zaraz, pomyślała z pewnym oszołomieniem. Czy ja aby na pewno jestem przy zdrowych zmysłach, mówiąc coś takiego ...?!

Ziemia

Toby ledwo doszedł do siebie po tym, co dziś było jego udziałem. A już na pewno nie zapomni tego do końca życia. Próbował opowiedzieć to Carol, gdy odnalazł ją wreszcie na siłowni, ale po prostu nie mógł znaleźć odpowiednich słów. Siedział więc tak po prostu obok niej ze zwieszoną głową, próbując uporządkować w głowie ten cały bałagan. Potem wrócił do swojej kabiny i rzucił się na koję.

Z głośników płynęła spokojna muzyka. *What'll I do...* – nucił wraz ze śpiewającym mężczyzną, leżąc z zamkniętymi oczami. Z jakiegoś powodu było mu smutno. Niespodziewanie przed oczami stała mu twarz Yoshiego, na której widniał lekko rozmarzony uśmiech. No tak, to tego słuchali przecież razem ładnych parę lat temu, zaraz po pamiętnych wydarzeniach na wyspie Guam. Po tym nieprzyjemnym incydencie z Haroldem Hillem, pokładowym informatykiem... Później siedzieli wraz z Yoshim w hotelowym barze, sącząc jakieś drinki, a za wielką, panoramiczną szybą rozgwieżdżona noc przykrywała powoli swoim całunem niewyraźne zarysy tropikalnej roślinności... Zapalone świece rzucały migotliwe refleksy na drewniane, wypolerowane blaty stołów, a barman puszczał akurat te stare standardy Nat King Cole'a... I siedzieli tak, nie mając odwagi spojrzeć sobie w oczy, a jednak ciesząc się swoją obecnością, i niepewni tego, co przyniesie im przyszłość...

Tylko sam przed sobą umiał przyznać się do tego, jak bardzo tęskni za Yoshim.

Lost April... Kolejna wolna, nastrojowa piosenka, której słowa w tak prosty sposób opowiadały o zwykłych, a jednocześnie jedynych w swoim rodzaju rzeczach, jakie zachodziły pomiędzy dwojgiem ludzi. Dziś już nikt nie śpiewał takich piosenek... Tego też wówczas słuchali, i raptem MacBride poczuł się tak, jakby wystarczyło wyciągnąć dłoń, aby tamta niepowtarzalna chwila powróciła do niego... *I lost love and you, and April too...*

Cichy sygnał przy drzwiach przywołał go do rzeczywistości.

Carol nieco niepewnie spojrzała na Toby'ego, którego oczy miały w tej chwili barwę chmurnego jakby błękitu. Pilot bez słowa wskazał jej jeden z foteli, a sam opadł na koję i podłożył sobie ręce pod głowę. Wpatrywał się w sufit i cały wydawał się dziwnie przygaszony.

Usiadła więc i chwilę przysłuchiwała się muzyce. Zdziwiła ją: najwyraźniej było to coś bardzo starego. Skąd on to, u licha, wytrzymał...? A jednak ta chyba ponad stuletnia piosenka, śpiewana miękkim męskim głosem, w jakiś sposób pasowała w tej chwili do Toby'ego, zwykle przecież tak żywego i pełnego energii. I nagle, w jakiś sobie tylko wiadomy sposób, odgadła, co go dręczy.

– Bardzo tęsknisz? – jej głos był cichy i serdeczny. Obrócił głowę i patrzył na nią tymi smutnymi oczami.

– Jak cholera – to był niemal szept. – Wiesz, czasem są takie chwile...

Nie dokończył. Pokiwała głową ze zrozumieniem.

W milczeniu doczekali do końca piosenki. Potem pilot usiadł na koi, przetarł oczy, wreszcie oparł dłonie na kolanach i spojrzał na nią nieco żywiej.

– Chyba mam chandrę – wyznał. – Pewnie nietrudno zauważyć. Chcesz może herbaty?

– Ty niepoprawny herbaciany Angolu – mruknęła, śmiejąc się. – Dla mnie kawa, jeśli można.

Podczas gdy on krzątał się przy filiżankach, Carol powróciła do tematu dzisiejszej wyprawy telepatów do piramidy.

– Dobra, nie musisz mi opowiadać wszystkiego po kolei – rzekła w końcu, biorąc od niego filiżankę z aromatycznym, parującym naparem. – Nawet nie próbuję wyobrazić sobie tego, co tam robiliście, ale powiedz chociaż, jakie są rezultaty...

Zastanowił się, siadając na drugim fotelu i machinalnie obracając w dłoniach kubek z gorącą herbatą.

– Na pewno nawiązaliśmy kontakt – odparł wreszcie powoli. – Ale niewiele więcej mogę powiedzieć. Może pani Langerfeld orientuje się lepiej, ale teraz siedzi u lekarki w gabinecie. To było... – przerwał na moment, szukając właściwych słów. – Mniej więcej tak samo czu-

łby się ktoś, kto ma zaledwie ogólne pojęcie o matematyce, a przysłuchuje się dyskusji kilku profesorów uniwersyteckich. Coś tam by pewnie rozumiał, ale raczej niewiele. Tak właśnie się czułem. Może i trochę dlatego, że nasi Galaktowie usiłowali się dowiedzieć czegoś o urządzeniach technicznych w tej budowlu. To byli przecież niemal sami inżynierowie. Ale jeśli o ich techniki ESP... Cholera, ci Rahańcy są niesamowici w tej dziedzinie. Moja nauczycielka też była pod wrażeniem, tak mi się przynajmniej zdaje.

– Ale czy w ogóle czegoś się dowiedzieli?

– Mam wrażenie, że jedynie potwierdziły się ich przypuszczenia – mruknął Toby. – Siedzimy tu przecież trzeci dzień, a prace cały czas szły pełną parą. Z tego, co zdążyłem się zorientować, Galaktowie na podstawie wyników swoich badań wiedzą już dość dużo. Chociaż widać od razu, że jasno i zrozumiale nie chcą najwyraźniej mówić niczego... Podejrzewam jednak, że orientują się w tym wszystkim może nawet na tyle dobrze, aby być w stanie zneutralizować działanie środków, jakie chronią piramidę...

– Ciekawe, czy ktoś się w końcu na to zdecyduje – powiedziała Carol po długiej chwili. – To znaczy na uwolnienie tej istoty. Wiesz, szkoda mi tego, kto jest tam zamknięty. Tyle czasu... o mój Boże. To jest wręcz niewyobrażalne.

– Ciekawe, jaki związek ma z tym wszystkim ta gwiazda, której położenie określił Morris – zamyślił się Toby. – Cholernie daleko stąd, ale czemuś chyba musiało służyć podanie jej pozycji. Swoją drogą, on chyba miał jakiś przeblysł geniuszu, gdy na to wpadł. Parę kresek i kwadracików z kropkami, a ten znienacka wyczarowuje całą gwiazdę...!

– Do spółki z piękną panią astrofizyk.

– Gówno prawda. Wpadł na to sam, Paula tylko sprawdziła jego obliczenia. Co zaś do spółki – powiedział trzeźwo – to mam wrażenie, że Morris nawet chętnie by wszedł z nią w spółkę, tyle że nieco innego rodzaju...

Carol w tym momencie zawahała się, czy nie opowiedzieć pilotowi tego, co było udziałem Duvalla podczas brzemiennej w skutki

zejścia na ląd w nocy przed wypłynięciem, jednak niemal wbrew sobie postanowiła milczeć.

– Też mam takie wrażenie – powiedziała ostrożnie. – Tyle że ona chyba trochę nie bardzo chce.

– Tu już dużo od niego zależy. Jeśli tylko wykaże się inwencją...

Morris właśnie starał wykazać się inwencją. Wczoraj wieczorem całkiem przypadkowo dowiedział się, że jego kolega po fachu na *Sea Hunterze* przechowuje w chłodni zamrożony bukiet czerwonych róż. Róż nasączonych oczywiście tym czymś, czego używają w kwiaciarniach przy przechowywaniu roślin w chłodniach. Tamten facet przeznaczył te kwiaty na urodziny swej dziewczyny, zresztą jego zmienniczki na pokładzie. Duvall musiał użyć całej swej zdolności przekonywania, a gdy to nie wystarczyło, opowiedział tamtemu szczerze całą historię, począwszy od tego, jak zobaczył Paulę po raz pierwszy przed wejściem do salonu Dione w Pancake. Dopiero wtedy tamten się złamał.

Teraz ukradkiem skradał się w stronę drzwi do kabiny pięknej pani astrofizyk, z bukietem w jednej ręce i wazonikiem z wodą w drugiej. Rozejrzał się dookoła, i już miał nachylić się, aby postawić to wszystko na ziemi, gdy znienacka drzwi się otworzyły.

Morris stał niczym słup soli, podczas gdy zdziwione w tej chwili, szare oczy Pauli de Vailland oglądały go od stóp do głów. Na moment zatrzymały się na wazoniku, z którego ciekła na podłogę woda, potem na różach, które nawigator dość nieporadnie usiłował schować za plecami. Milczeli oboje aż do chwili, gdy ona zdecydowała się odezwać pierwsza.

– Ładne kwiaty – zagadnęła. Spłonął rumieńcem, co pasowało do niego jak pięść do nosa. Poczula lekkie rozbawienie. Od początku widziała, że nawigator próbuje zwrócić na siebie jej uwagę, jednak w chwili obecnej nie miała ochoty na rozwijaniu jakiegokolwiek znajomości poza fazę czystego koleżeństwa. Miała po temu kilka powodów... Ale widok Duvalla, trzymającego w objęciach wielki bukiet

przepysznych, purpurowych róż, sprawił że spojrzała na niego nieco inaczej niż do tej pory. Skąd on, u licha, wytrzasnął te kwiaty pośrodku oceanu, na dodatek cztery kilometry pod powierzchnią...?!

– Właśnie tędy przechodziłem – wybąkał, spoglądając niepewnie to na nią, to na kwiaty. – I pomyślałem, że dam ci róże...

– Z jakiej okazji?

– Bez okazji – odparł, a jego głos zabrzmiał nagle stanowczo. – Po prostu, miło się z tobą współpracuje.

– Dzięki – uśmiechnęła się ciepło. – Nie będę już pytać, czy macie hodowlę takich róż na pokładzie, ale są naprawdę przepiękne. Bardzo lubię róże...

Przyjęła je z jego rąk, obdarzyła go swoim olśniewającym uśmiechem, po czym na powrót zamknęła drzwi. Oparła się o nie, wiedząc, że z drugiej strony wciąż patrzy na nie stropiony nawigator. Wreszcie spostrzegła, że w rękę trzyma również wazon napełniony wodą, oderwała się zatem od drzwi, i ustawiła wszystko ładnie na biurku. Potem zapadła w fotel, mimo iż przed chwilą chciała wyjść do mesy, posłuchać co mają do powiedzenia obecni tam akurat naukowcy. Zgodnie z niepisanym zwyczajem, mesa stała się ich ulubionym miejscem, w którym spotykali się kilka razy dziennie i wymieniali najważniejsze informacje.

Teraz jednak chciała przemyśleć parę rzeczy.

Cholera, ledwie parę dni temu zakończyła ten rozpaczliwie nieudany romans, który w założeniu miał być przelotnym flirtem. W pewnym momencie zaczęło się jednak robić obiecująco, i przez krótki, szalony czas czuła nadzieję, że może tym razem uda jej się pozostać z kimś na dobre. Nie sprzeciwiała się więc temu, a nawet starała się jak mogła, aby trwało to jak najdłużej. Być może jednak zbyt się starała, bo w pewnym momencie, całkowicie nieoczekiwanie, poczuła nudę. Jean był wspaniałym facetem, temu nie mogła zaprzeczyć. Pociągał ją fizycznie i lubiła przebywać w jego towarzystwie, ale nie mogła przecież powiedzieć, że go kocha! Nalegał na to; gdyby to jednak uczyniła, byłoby to nieuczciwe zarówno wobec niego, jak i wobec niej samej. Zwykle więc uciniała rozmowę na ten temat jakimś

zgrabnym żartem, jednak on powracał do tej sprawy z uporem maniaka. No cóż, widać jemu zależało bardziej, niż jej.

Zakończyła to tamtej pamiętnej nocy w Pancake, gdy siedzieli razem w *Theo*. Z początku nie chciał przyjąć tego do wiadomości, pomimo iż starała się spokojnie i rzeczowo przedstawić wszystkie powody, jakie przyczyniły się do jej decyzji. W końcu niemal nic nie mówił, tylko pił coraz więcej. Trwało to aż do momentu, gdy niespodziewanie odezwał się jej komunikator, na którym ujrzała nieznanego faceta w mundurze z mnóstwem baretek. Facet przedstawił się jako admirał Ramirez ze sztabu Floty UNE i prosto z mostu zaproponował jej rozmowę w cztery oczy. Nie miała na to zbytnej ochoty; propozycja była dziwna i nieoczekiwana, w dodatku o tak nieestosownej porze. Jednak jeden rzut oka na Jeana sprawił, że pomimo wszystko się zgodziła. Podrzuciła go rollsem do jego hotelu, a sama udała się do dowództwa Floty Atlantyckiej. Tak, przecież to wtedy po raz pierwszy w życiu ujrzała Morrisa Duvalla, co sił w nogach biegnącego za jej samochodem... teraz ponownie zobaczyła ten obraz oczyma wyobraźni, jego twarz za szybą, i ten dziwny wyraz jego oczu...

No właśnie, Morris. Odruchowo ponownie spojrzała na kwiaty, których delikatny, subtelny zapach zdążył się już rozejść po całej kajucie. Nadal nie mogła zrozumieć, skąd on je wziął. Gest jednak był piękny, i jakoś nie kojarzył się z osobą dość ograniczonego osiłka, jaką zwykle odgrywał nawigator. Jak już jej jednak powiedział drugi pilot przy ich pierwszym spotkaniu, w istocie Duvall był człowiekiem niezwykle inteligentnym. Zresztą podczas ich spotkań we dwoje porzucał tę swoją pozę, i coraz częściej zdarzało mu się to także na co dzień. Tak przynajmniej powiedziała jej Carol. A jedynym nowym czynnikiem na pokładzie, który mógł to sprawić, była najprawdopodobniej ona sama... Tym razem jednak miała skrupuły przed nawiązaniem kolejnego przelotnego romansu. Nie chciała, aby jak wszystkie inne zakończył z jej winy, pozostawiając drugą stronę w pustce i osamotnieniu.

Morrisa zaś bardzo polubiła. I dlatego właśnie nie chciała mu robić krzywdy, wciągając go tylko w kolejny flirt. Wiedziała, że on

potraktowałby taki związek o wiele poważniej, niż ona; nie chciała go ranić. Dostrzegła jednak jedną, jak na razie, różnicę pomiędzy nim a większością facetów, jakich do tej pory poznała. Przebywanie w jego towarzystwie było dla niej swego rodzaju intelektualnym wyzwaniem, a jednocześnie odprężeniem. W jego towarzystwie się nie nudziła, nieustannie ją czymś zaskakiwał. Ich pogawędki były czymś nader niekonwencjonalnym, choćby ze względu na zakres poruszanych tematów, no i z żadnym mężczyzną przed nim nie mogła przecież porozmawiać o astrofizyce...! Pomijając oczywiście kolegów z pracy.

Niemniej, Morrisa tylko lubiła, i była tego całkowicie pewna.

Kosmos

Wiatr smagał ich bezlitośnie, gdy skuleni siedzieli za jedną z wielu nierówności w powierzchni lodowca. Podmuchy stawały się coraz bardziej natarczywe, zupełnie jakby były wściekle o to, że nie mogą osiągnąć żywego ciała i poprzestać muszą na szarpaniu materiału skafandrów.

Sheena nie mogła nawet odezwać się do tkwiącego tuż obok niej Khree'ro, gdyż wymagało to uruchomienia nadajnika. W tej chwili zaś niechybnie sprowadziłoby to na nich kłopoty. Siedzieli więc, ona bezpośrednio na lodzie, on na kolejnej plastikowej płachcie z przywiązanymi do niej linkami. Obok niego znajdowało się na niej tych kilka rzeczy, które uznali za niezbędne w tej najcięższej chyba fazie ich wędrówki. Były to więc zapasowe butle z tlenem, trochę żywności, napojów i leków. Siedzieli więc obok tego wszystkiego i nie mieli pojęcia, kiedy – i czy w ogóle – będą mogli ruszyć dalej.

Obcy pojazd pierwsza wypatrzyła Sheena, gdy zdolali się oddalić zaledwie na kilkaset metrów od roztrzaskanego *Sparka*. W pierwszej chwili ucieszyła się niesamowicie w przekonaniu, że jednak jakimś cudem zostali odnalezieni przez patroler wysłany z *Blue One*, jednak już następne sekundy sprawiły, że zawahała się. Obcy pojazd miał, jeśli patrzyło się nań od dołu, kształt długiego walca z kilkoma wysta-

jącymi końcówkami; nie przypominała sobie zaś, aby widziała coś takiego w którymkolwiek z hangarów bazy.

Nie wiedziała, czy zostali zauważeni przez istoty pilotujące pojazd, jednak na wszelki wypadek jak mogła najszybciej, zaciągnęła swój balast za najbliższą wyższą muldę. Tu przycupnęli modląc się, aby ich nie zauważono. Geolog również zachowywał całkowite milczenie, zdając sobie sprawę, czym grozi naruszenie ciszy radiowej. Niemal pewni byli, że niewielki statek nie należy do nikogo, kto miał zamiar udzielić im jakiegokolwiek pomocy. Najprawdopodobniej był pojazdem patrolowym wysłanym przez któryś z wielkich statków-nosicieli potężnej gormeńskiej floty.

Sheena nie miała pojęcia, w jaki sposób i za pomocą jakich urządzeń namierzono ich z orbity. Szalejąca burza śnieżna powinna skutecznie zakłócać działanie radarów i detektorów podczerwieni. Jednak, tuż przed schronieniem się w tym miejscu, odruchowo spróbowała sięgnąć swym umysłem w stronę obcego statku, i tu ją olśniło. Jedynym ze znanych jej środków działającym niezależnie od kaprysów pogody była detekcja ESP... Pospieszenie otoczyła ich oboje najszczelniejszym ekranem ESP, jaki tylko mogła stworzyć. Poprzestała na swym wzroku, a widoczność mieli już dosyć niezłą, pomijawszy momenty gdy wiatr unosił wielkie tumany śnieżnych płatków.

Pojazd zaś wylądował w końcu kilkadziesiąt metrów od wraku ich grawilotu. Faktycznie przypominał wydłużony cylinder, oparty w tej chwili na ośmiu łapach. Najeżony był antenami i ażurowymi kratownicami, stanowiącymi zapewne elementy różnego rodzaju czujników czy innych urządzeń. Po kilkadziesiąt sekund zaledwie sekundach w ciemnej powłoce błysnęła szybko rozszerzająca się szczelina światła: statek otwierał właz. Poczuła nagły dreszcz, gdy na tle blasku rozpoznała trzy charakterystyczne sylwetki przypominające gaśnice z przednią częścią tułowia uniesioną nieco w górę. Każda z nich opierała się na sześciu kończynach, dwie pozostałe były umieszczone wyżej i wiedziała, iż pełniły one funkcję niezwykle chwytnych i sprawnych rąk. Głowa Gormeńczyków była wyodrębniona tak słabo, że z tej odległości nie sposób było jej rozpoznać. W zasadzie to z daleka

kojarzyli jej się z wielkimi robakami, choć fizjologicznie nie mieli z czymś takim absolutnie nic wspólnego. Nie mieli nawet najbardziej odległych odpowiedników wśród istot ziemskich – ewolucja na Gorn poszła całkowicie odmienną drogą od ziemskiej. Oni nawet nie potrzebowali tlenu do życia...

Trzej najeźdźcy ruszyli przed siebie w stronę wraku. Dwóch z nich szło przodem, podczas gdy trzeci trzymał się parę metrów za nimi, zapewne w roli tylnej straży. Wszyscy trzej trzymali jakieś przedmioty, których nie udało się Sheenie zidentyfikować. Mogła być jednak niemal pewna, że jest to jakiś rodzaj broni, lub też ewentualnie czujniki mające pomóc w wykryciu żywych istot.

Z tej pozycji oboje nie mogli już dostrzec miejsca katastrofy *Sparka*, bowiem zasłaniało je już przed ich wzrokiem zbocze góry, na którym spoczywał wrak. Gorneńczycy zniknęli im z oczu na kilkanaście długich minut, podczas których zachodzili w głowę, co też tamtych mogło zainteresować. Jednak jedyną naturalnie nasuwającą się konkluzją było to, że Galaktom mogło chodzić jedynie o nich samych. Toteż Sheena niezwykle uważała, wystawiając zza śnieżnej zasy jedynie czubek hełmu. Wiedziała zarazem, że z powodu śnieżnobiałego koloru skafandra dostrzeżenie jej z odległości większej niż kilkanaście metrów jest praktycznie niemożliwe.

Wreszcie trzej nieziemcy na powrót pojawili się w polu widzenia. Dwóch z nich dźwigało jakiś pojemnik wypełniony nie dającą się rozpoznać zawartością. Najwidoczniej zabrali z wraku coś, co ich zainteresowało. Jednak nie miała pojęcia, cóż też takiego mogło to być. Trzeci, tak jak poprzednio, trzymał się za nimi. Weszli do statku i Sheena już miała nadzieję, że na tym poprzestaną i odlecą, ale przez kolejne kilkanaście minut statek stał w miejscu nieruchomo. Wreszcie nieziemcy ukazali się we włazie na powrót, tym razem jednak było ich tylko dwóch. Ci właśnie trzymali przed sobą owe tajemnicze, niewielkie przedmioty, i poczęły okręzać swój statek po rozszerzającej się spirali. Dopiero po kilku minutach Sheena zdała sobie z rosnącym zaniepokojeniem sprawę, że oni szukają właśnie ich. Dręczyło ją, że nie wiedziała, czym są trzymane przez nich urządzenia, mogła jedynie mieć nadzieję, że są to czujniki podczerwieni. W takim wypadku

prawie na pewno byli bezpieczni, bowiem ich skafandry zapewniały niemal stuprocentową izolację termiczną. To znaczy, Sheena pewna była jedynie swojego skafandra, stanowiącego nieco tylko zmodyfikowaną wersję sprzętu używanego przez humanoidalnych Rahańczyków. Była jednak przekonana, że ubiór próżniowy Khree'ro zapewniał bardzo zbliżone parametry. Zatem dla urządzeń wykrywających ciepło byli nie do odróżnienia od lodowca...

Na coraz bardziej nerwowym oczekiwaniu upłynęło im kolejne kilkanaście minut. W pewnym momencie jeden z Gornieńczyków minął ich o zaledwie sześć, może siedem metrów, jednak nie zatrzymał się. Spokojnie poszedł dalej. Sheena spoczywała na wznak, jakby starając się wcisnąć pod lód, i miała nadzieję, że nieziemiec w śnieżnej zadymce nie dostrzeże nieco ciemniejszej płachty i kilku pojemników, solidnie wszak przysypanych już białymi płatkami.

Pół godziny później tamci najwyraźniej dali za wygraną i powrócili do swojego pojazdu, który niemal natychmiast wzniósł się w górę i zawisł na wysokości może stu metrów, aby po chwili gwałtownie nabrać przyspieszenia i wzbić się w niebo. Przeczekując grzmiący grom spowodowany bliskim przekroczeniem przez obcy statek bariery dźwięku, Sheena przewróciła się na wznak, zamknęła oczy i oddychała głęboko, starając się uspokoić w ten sposób walące jej w piersiach serce. Tak upłynęło jeszcze trochę czasu, bowiem postanowiła, że nie ruszą się tak od razu z miejsca. A już na pewno nie nawiążą ponownie łączności radiowej, zanim nie upewnią się że najeźdźcy odlecieli na dobre, a nie czają się po prostu gdzieś wyżej, poza zasięgiem ich wzroku.

Na wszelki wypadek odsłoniła niewielką klapkę na ramieniu i zmniejszyła moc nadajnika do minimum, tak że jego zasięg nie wynosił w tej chwili więcej jak kilkadziesiąt metrów. Teraz w miarę bezpiecznie mogła się już odezwać.

– Proszę zmniejszyć do minimum zasięg swojego nadajnika – powiedziała nerwowo. – Ma pan taką możliwość?

Nie odpowiedział, tylko zaczął gmerać przy miniaturowej konsolecie swojego skafandra. Dopiero wtedy odważyła się podnieść, ujęła ostrożnie swe lejce i z pewnym trudem ruszyła całość z miejsca.

Potem jednak poszło już gładko. Szeroka płachta znakomicie wywiązywała się z roli sań, sunąc po śniegu niczym posmarowana od spodu woskiem. Ponownie dużym ułatwieniem okazała się zmniejszona grawitacja, i Sheena nie czuła się zbyt zmęczona nawet po pierwszej godzinie podróży.

Kierowali się wskazaniem kompasu, ledwo funkcjonującego w tutejszym, stosunkowo słabym polu magnetycznym. Jednak jak na ich potrzeby, wystarczał on aż nadto. Po prostu mieli iść namiętnie dwieście osiemdziesiąt stopni, co oznaczało niemal dokładnie zachód, z lekką tylko odchyłką w kierunku północnym.

Jak obliczyli, w ten sposób, jeśli pokrywa lodowa w dalszym ciągu będzie tak gładka jak dotychczas, mogą posuwać się w tempie trzech, może i czterech kilometrów na godzinę. Nawet biorąc pod uwagę konieczność omijania co wyższych lodowych wzniesień. W ten sposób, o ile nie zajdzie nic nieoczekiwanego, powinni znaleźć się w okolicach bazy w ciągu mniej więcej osiemdziesięciu godzin, wliczając w ten czas niezbędne okresy odpoczynku. Zapasy tlenu, jakie zabrali, mogły im swobodnie wystarczyć na sto dziesięć godzin, mieli więc wystarczającą rezerwę nawet na wypadek nieprzewidzianych okoliczności. Wśród tego, co mogło się im przytrafić, oprócz oczywiście ponownej wizyty statku Gornieńczyków, Sheena pod uwagę brała jedynie gazowe bąble, czyhające pod powierzchnią lodu na nieostrożnych wędrowców. Jednak z doświadczenia wyniesionego z okolic bazy wiedziała, że miejsce takie można stosunkowo łatwo rozpoznać po zmienionym nieco zabarwieniu lodu, nie stanowiącego w tym miejscu jednolitej warstwy. Poza tym, nie wszystkie takie pułapki znajdowały się na głębokości zagrażającej akurat im, obiektom stosunkowo lekkim. Co innego, gdyby jechali jakimś ciężkim pojazdem naziemnym – wtedy niebezpieczeństwo byłoby znacznie większe. Z natężoną uwagą przypatrywała się jednak drodze, po której miała stąpać. Wolała nie ryzykować zapadnięcia się pod lód jedynie z powodu swojej beztroski.

Zaciskając zęby i nie dając się zepchnąć z drogi słabnącym podmuchom bocznego wiatru, szła i szła przed siebie.

– ...brak ciągłości sygnału z bazą Clavius...

– ...tu stacja Polaris, tu stacja Polaris... Zostaliśmy zaatakowani, prosimy o pomoc... powtarzam: tu stacja Polaris...

Łącznościowiec stacji Mars 2 po raz kolejny zmienił zakres fal, szukając kolejnych informacji. Te wiadomości już znał: od kilku godzin coś powoli, ale systematycznie odcinało łączność radiową z największym z osiedli księżycowych w kraterze Clavius. Osiedle, jako tak bliskie Ziemi, nie zostało wyposażone w nadajniki podprzestrzenne, toteż utrata łączności radiowej uniemożliwiała jakikolwiek kontakt. W tej chwili powinna doń wyruszać ekspedycja z krateru Kopernika. Brali w niej udział sami ochotnicy, bowiem szanse na jej powodzenie oceniano jako dość nikłe. Z kolei kilkadziesiąt minut temu coś nie wykrytego przez radary i skanery optyczne zaatakowało przysłoneczną stację Polaris. Jak na razie, trzymali się jednak dzielnie, bowiem mieli wręcz fantastyczne rezerwy energetyczne, jakie zapewniała im bliskość samego Słońca. Niemniej potrafił zrozumieć przerażenie naukowców, którzy się tam znajdowali. Gdyby był z nimi choć niewielki oddział Sił Kosmicznych, niewątpliwie wpłynęłoby to budująco na ich morale. Tymczasem jednak byli zdani sami na siebie, i nie zanosilo się na to, aby w najbliższym czasie sytuacja miała się zmienić. Ziemia i inne placówki kosmiczne miały bowiem wystarczająco wiele własnych kłopotów, a tamta stacja była stosunkowo bezpieczna.

Oho, kolejny meldunek, tym razem z obszarów zewnętrznych. Technik sprawdził identyfikację – sygnał nadchodził z pojazdu patrolowego wysłanego do pasa planetoid.

– ...wciąż brak kontaktu z Ceres Candy. Podchodzę powoli... Czekam na obrót asteroidu, stacja jest w tej chwili po drugiej stronie. W tej chwili widzę jedynie wieże wiertnicze szybów kopalni, wyglądają na nienaruszone. Zaraz... mam stację. O mój Boże...! – pilot pojazdu zwiadowczego umilkł na długą chwilę. – Widzę tylko szczątki konstrukcji, wszystko wygląda na zniszczone jakąś wielką eksplozją! To straszne, nie da się opisać... na polu startowym przewrócony trans-

portowiec typu Cheetah, być może próbowali się ratować w ostatniej chwili... Kopuły samej stacji są całkowicie zniszczone, tam na pewno nie ma nikogo żywego, ale może na transportowcu... Podejdę bliżej i sprawdzę.

Chwilę panowała cisza. Nagle ponownie rozległ się jego głos:

– Jestem już blisko, stopuję... – krótki szum. – Zaraz, a to co znowu...?! Niech to szlag, wycofuję się! To wygląda zupełnie jak...

Z głośników rozległ się potężny trzask i transmisja urwała się. Słysząc było jedynie cichy szum zakłóceń, normalny dla nie używanego kanału. Technik nerwowo rozpoczął poszukiwania utraconego sygnału, ale odpowiedziała mu cisza. Wreszcie dotarło do niego, że pilot patrolowca najpewniej nie odezwie się już nigdy. Najwyraźniej to, co zniszczyło stację na Ceres, wciąż czaiło się w jej pobliżu.

Chwilę trwał nieruchomo, wbrew samemu sobie wstrząśnięty tym, co właśnie się stało – choć nawet nie znał pilota tamtego statku. Zmusił się jednak do podjęcia swoich obowiązków; napływały wciąż kolejne meldunki. Jednym uchem słuchał serwisu NBC, który nieprzerwanie odbierali na jednym z bocznych monitorów.

– Sytuacja w Układzie Słonecznym nie wygląda najlepiej dla sił sprzymierzonych – mówił właśnie poważnym tonem Chris Keeler, ubrany w swoją charakterystyczną, tradycyjną brązową marynarkę. – Rahańskie statki w chwili obecnej bronią Ziemi i Księżyca przed voorthiańską flotą, która na dodatek ma niewielką przewagę liczebną. Według źródeł zbliżonych do ministerstwa obrony, nasze siły sprzymierzone utrzymują swoje pozycje jedynie dzięki temu, że część sił należących do wrogiej floty najwyraźniej została wysłana w kierunku Marsa. Nie jest całkiem jasny cel tego posunięcia. Być może statki te wysłano w okolice Marsa w celu kontrolowania działań Kh-kh-boyn. Przypominam, że w chwili obecnej Kh-kh-boyn tworzą dość nieoczekiwany sojusz z Gorn i Voorth. Jego zawarcie potwierdziły w ostatnich dniach rahańskie źródła dyplomatyczne. Taka kontrola może jednak świadczyć, iż sojusznicy nie ufają sobie zbyt wiele...

A niech ich wszystkich szlag trafi – pomyślał z nagłą wściekłością technik. Będąc tu, w samym centrum wydarzeń, miał szczerą nadzieję, że w końcu najeźdźcy zwrócą się jedni przeciw drugim. Przy

odrobinie szczęście wykończą się może bez pomocy Ziemi i jej sojuszników...?

– Poza tym jednak – ciągnął Keeler – w dalszym ciągu zagadką pozostaje, czyje oddziały zaatakowały stację na Ceres. Przypominam, że łączność z nią utraciliśmy wczoraj późnym popołudniem. Już niebawem jednak powinniśmy otrzymać aktualne informacje ze statku patrolowego wysłanego w tamte okolice. Nie ma również pewności, czyje jednostki atakują w chwili obecnej niemal wszystkie nasze przy-czołki na powierzchni Marsa. Jedynym obiektem w perymetrze Czerwonej Planety, który najwyraźniej pozostawiono chwilowo w spokoju, jest stacja orbitalna *Mars 2*. Być może najeźdźcy w jakiś sposób zorientowali się, jak silne są zabezpieczenia stacji, pomimo iż zostały przygotowane i uruchomione dosłownie w ostatnim momencie...

To była prawda. Jak dotąd, w bezpośredniej bliskości załoga stacji miała okazję zaobserwować jedynie kilka niewielkich, ale niesamowicie wyglądających statków Kh-kh-boyn. Myśliwce oddały zaledwie parę symbolicznych w zasadzie strzałów, natychmiast rozproszonych przez pola ochronne. Potem nastał spokój.

– *Mars 2, tu Cheetah CM-32, jak mnie odbieracie?*

Łącznościowiec został wyrwany ze swojego zamyślenia. To zgłaszał się ostatni transportowiec, jakiemu udało się ująć cało z okolic *Ceres Candy*. Miał on na swoim pokładzie dwadzieścia spośród trzydziestu kilku osób załogi stacji; reszta miała zabrać się kolejnym statkiem tej klasy, któremu jednak – jak się przed chwilą okazało – nie udało się nawet wystartować. Ten tutaj wiozł przy okazji czterech Ra-hańczyków, którzy zajmowali się uprzednio instalacjami obronnymi dla CC. Niestety, albo wskutek defektu, albo innego nieprzewidzianego splotu okoliczności, systemy te nie spełniły swojego zadania. Dlaczego tak się stało, zapewne ludzie nie mieli dowiedzieć się już nigdy.

Transportowiec, przeznaczony do lotów na trasie Ceres-Mars bądź Ceres-Ziemia w zależności od aktualnej konfiguracji planet, miał zbyt mało paliwa, by spróbować bezpośredniego lotu na Ziemię. Załoga zdecydowała się więc skorzystać z w miarę bezpiecznego – przynajmniej chwilowo – portu w orbitalnej stacji marsjańskiej. Statki klasy *Cheetah* były ponadto pozbawione choćby najprostszych sys-

temów defensywnych, niemniej – jak dotąd – obce jednostki albo nie zwróciły na ten akurat transportowiec uwagi, albo też uznały go za cel niewarty wysiłku.

– Słyszę cię dobrze, *Cheetah-32* – odparł spokojnie technik. – Czas na synchronizację zegarów pokładowych. Gotów?

– Gotów.

Synchronizacja zegarów statku i samej stacji co do ułamka sekundy miała w tej chwili kluczowe znaczenie, z uwagi na pracujące cały czas generatory pól ochronnych. W dokładnie oznaczonym momencie bowiem transportowiec miał wejść w zasięg działania pola, i w tej właśnie chwili generatory na ułamek sekundy miały się wyłączyć, przepuszczając go bezpiecznie. Istniało co prawda ryzyko, że wróg wykorzysta ten moment, niemniej podjęcie go było konieczne ze względu na znajdujących się na statku ludzi i Galaktów. Poza tym detektory masy nie wykrywały w pobliżu samej stacji żadnych obiektów. Na monitorach widniało jedynie echo samego transportowca, dość mocne, bowiem w ładowniach wioził on ponadto ostatni transport kopalin załadowanych z magazynów *Ceres Candy*.

Komputery odliczały ostatnie sekundy. Wreszcie obraz gwiazd na ekranach rozmył się na chwilę, gdy pola zanikły, i niemal natychmiast drgnął ponownie, gdy generatory ponownie zaczęły działać. Wielki transportowiec bezpiecznie wszedł w bezpośrednie sąsiedztwo stacji, i w tej chwili był naprowadzany prosto w kierunku centralnych doków. Technik odetchnął głęboko, czując ulgę po napięciu, jakie czuł przed tym manewrem.

To, co się stało zaraz potem, było całkowicie nieoczekiwane zarówno dla załogi transportowca, jak i obsady centrali stacji *Mars 2*. Tuż pod brzuchem płynącego powoli przez próżnię statku przestrzeń jakby zafalowała, po czym dosłownie z nicości wyłoniły się dwa ciemne kształty. Błyskawicznie odeszły od wciąż hamującego transportowca, po czym zawisły nad wielkim dyskiem stacji, każdy po innej jego stronie. Personel centrum operacyjnego nie zdążył zrobić dosłownie niczego, nawet uruchomić alarmu, tak szybko to wszystko się stało. Łącznościowiec w pierwszej chwili miał wrażenie, że oba stateczki wyszły z nadprzestrzeni, i nawet przelotnie zdziwił się, dlaczego w

takim wypadku w ogóle jeszcze żyje. Już sekundę później zrozumiał jednak, że oba myśliwce Kh-kh-boyn po prostu skorzystały z urządzeń maskujących je w zakresie fal elektromagnetycznych, w tym oczywiście i widzialnych dla ludzkiego oka. Skanery masy nie wykryły zaś ich ze względu na dużą masę własną transportowca, do którego myśliwce były niemal przyklejone. Plan był iście szatański; prosty, ale skuteczny. To właśnie dlatego dali spokój temu statkowi! – zrozumiało nagle wielu z członków personelu, gorączkowo podejmując niezbędne działania.

Niewiele jednak można było już zrobić. Niewidoczne strumienie energii wysłane przez oba myśliwce pomknęły przez przestrzeń, i w tym samym momencie eksplodowało wszystkie osiem generatorów pola, zamontowanych tam niedawno przez rahańskich techników. Stacja w jednej chwili została pozbawiona jedyne go elementu, który zabezpieczał ją przed atakami obcych statków.

Transportowiec wciąż podchodził do jednego z doków, nieświadom jeszcze tego, iż bezpieczny port, do którego jeszcze przed chwilą zmierzał, w jednej chwili obrócił się w kolejne nader nieprzytulne miejsce.

Łącznościowiec zamknął na moment oczy, po czym spokojnie ujął w dłoń mikrofon, nie zwracając najmniejszej uwagi na panujące wokół zamieszanie, okrzyki i wydawane głośno polecenia. Tym razem użył nadajnika podprzestrzennego, mając świadomość, iż za moment usłyszy go każda jednostka w Układzie Słonecznym, wyposażona w odpowiedni sprzęt.

– Tu stacja *Mars 2* – powiedział głośno i wyraźnie. – Przed chwilą straciliśmy wszystkie generatory pól ochronnych. Stacja nie ma w tej chwili żadnych, powtarzam: żadnych zdolności obronnych. Jeśli to możliwe, prosimy o natychmiastową pomoc. Powtarzam: do wszystkich, którzy nas odbierają; tu stacja *Mars 2*...

Musiał to robić, chociaż szczerze mówiąc nie wierzył, by choć kilku z nich wszystkich przebywających na pokładzie stacji przeżyło choćby dwa kolejne dni. Reputacja śmiertelnie groźnych Kh-kh-boyn zdążyła już dotrzeć i tu.

Siedząc wygodnie w obszernych fotelach na pokładzie obserwacyjnym, z zaciekawieniem obserwowali wielki transportowiec szykujący się najwyraźniej do dokowania w którymś z centralnych węzłów cumowniczych. W tej chwili dokonywał drobnych korekt trajektorii, niezbędnych do precyzyjnego osiągnięcia celu. Przy manewrze tego rodzaju liczył się bowiem dosłownie każdy centymetr.

Brian miał właśnie otworzyć usta i rzucić jakąś uwagę na temat tego, że w ostatnich latach loty kosmiczne tracą powoli swój dawny romantyzm. Chodziło mu głównie o to, że ludzie systematycznie są odsuwani od tego, co najbardziej emocjonujące: pilotowania samych statków. Nie zdążył się jednak nawet odwrócić w stronę Gwen i siedzącego dalej Raya Sancheza, i nie powiedział ani słowa. Z otwartymi wciąż ustami wpatrywał się w transportowiec, od którego odewały się znienacka dwa niewielkie, rozczłonkowane kształty. Jeden niemal natychmiast gdzieś zniknął, drugi zaś zawisł niemal dokładnie nad ich głowami. Zaraz potem kilka wyraźnie odczuwalnych drgań wstrząsnęło pokładami stacji. W ślad za tym rozdzwięczały się jęklivé dzwonki alarmowe.

– Jasna cholera! – Ray jakimś cudem był już na nogach i poganiał ich niecierpliwie. – Skubane zielone ludziki, a jednak nas dopadły...!

Pędzili w stronę windy, która jak najprędzej mogła ich zwieźć na dół, w stronę doków. Tam bowiem mieli się zbierać w razie sytuacji awaryjnych, do których niewątpliwie zaliczała się i ta. Milczeli, gdy ludzie ustępowali im z drogi, zaglądając im w twarze wystraszonymi oczami; oni sami jednak miny mieli harde, jak przystało na żołnierzy Sił Kosmicznych.

Dokładnie sześćdziesiąt siedem sekund po ogłoszeniu alarmu znaleźli się na dole, i zdyszani wpadli do sali odpraw. Byli tam już niemal wszyscy, do pełnego stanu czternastu osób brakowało jedynie dwóch szeregowców. Zjawili się oni dosłownie kilka chwil po Brianie, Gwen i Rayu. Major Coburn przyjrzał im się uważnie, każdemu z osobna, a Brian mógł przysiąc, że w kącikach jego ust igrał jakiś niepokojący uśmieszek.

– Stacja została zaatakowana – to były jego pierwsze słowa. – Utraciliśmy generatory pól ochronnych: zostały one zniszczone przez dwa obce myśliwce, które wtargnęły w strefę ochronną korzystając z podejścia jednego z naszych transportowców. W chwili obecnej na stacji znajduje się zaledwie sto trzydzieści osiem osób, bowiem część załogi – głównie naukowcy – została niedawno ewakuowana na Ziemię. Jednak dojdą do tego dwadzieścia dwie osoby z cumującego właśnie transportowca. Naszym zadaniem będzie obrona stacji aż do momentu, gdy nadejdzie pomoc z zewnątrz.

Coburn przerwał i spojrzał na ich twarze. Znalazł w nich dokładnie to, czego oczekiwał: skupienie, gniew, zaciętość i determinację. Tu nie było miejsca na wahanie czy strach, i dlatego w tej sali byli obecni właśnie oni. Miał pod swoją komendą czterestu ludzi, i zamierzał doprowadzić do tego, aby dobrze spełnili swój obowiązek.

Jak zwykle krótko i zwięźle – pomyślał w tym samym momencie Brian, patrząc na swojego dowódcę. Ale to mu się akurat w nim podobało: zawsze wykladał kawę na ławę, bez bawienia się w niepotrzebne subtelności. Dyplomacja jest dla mięczaków, zwykł mawiać. Wojsko zaś to miejsce dla ludzi twardych i konkretnych.

– Możecie w tej chwili pomyśleć – podjął Coburn, a na jego twarzy niespodziewanie zagościł krótki uśmiech – że porywamy się z motyką na słońce. Jest nas tu bowiem w sumie piętnastu wyszkolonych żołnierzy – zaledwie piętnastu na obiekt orbitalny o kilkudziesięciu dużych poziomach. Sam obwód skrajnego poziomu to ponad trzy kilometry. Jednak, gdy dobrze pomyśleć, nasze właściwe zadanie polega w zasadzie na obronie jednego strategicznego punktu – zawiesił na moment głos – a punktem tym są centralne węzły cumownicze. Tylko tamtędy nieprzyjaciół może dostać się do wnętrza stacji, gdyż tylko tam znajdują się słuzi ciśnieniowe. A z takim zadaniem możemy sobie chyba poradzić.

– A co, jeśli im nie chodzi o zdobycie stacji? – padło pytanie skądś z tyłu. Brian obejrzał się, ale już wcześniej po głosie poznał jasnowłosego Roalda Nordensena. – Jeśli będą chcieli po prostu ją zniszczyć? Wiemy już, co stało się na *Ceres Candy*, ja sam słuchałem dosłownie parę minut temu transmisji ze statku patrolowego...

Pytanie zawisło w próżni. Czternaście par oczu beznamiętnie wpatrywało się w dowódcę.

– Istotnie, należy dopuścić i taką możliwość – przyznał wreszcie. – Ale widzę jeden fakt, który zdaje się temu zaprzeczać. Te dwa myśliwce, które zniszczyły nasze generatory, równie dobrze mogły wytopić nam kilka ładnych dziur w pancerzu zewnętrznym. Dekompresja szybko załatwiłaby sprawę do końca, nawet biorąc pod uwagę podział na hermetyczne sektory. Mogliby po kolei dehermetyzować każdy z nich. Na razie więc proponuję przygotować się na próbę abordażu – urwał na moment, a na jego twarzy pojawił się niesmak. – Mój Boże, cóż za archaiczne słowo. W drugiej połowie dwudziestego pierwszego wieku mamy oto abordaż stacji kosmicznej... istne piractwo. No, zresztą nieważne. Mamy niewiele czasu, toteż jeszcze kilka informacji dodatkowych. Naszymi wrogami będą najprawdopodobniej Kh-kh-boyn. Rasa podobno niezbyt lubiana w Galaktyce, a z pewnością nie darzona sympatią w Układzie Słonecznym, przynajmniej od niedawna – po kątach dały się słyszeć stłumione chichoty. – Ich budowa fizyczna... no cóż, w największym uproszczeniu przypominają ziemskie pająki. Oczywiście z wieloma istotnymi różnicami; raczej nie można ich zaliczyć do owadów. Nie jestem jednak egzobiologiem, i więcej na ten temat nie wiem. Wydłużony korpus, cztery pary odnóży, długa szyja z niewielką głową; jeśli przypadkiem spotkacie po wyjściu z tej sali kogoś takiego, to raczej nie wdawajcie się z nim w przyjacielską pogawędkę. Oddychają atmosferą o bardzo zbliżonym składzie do ziemskiej, zatem nie możemy być pewni, czy – jeśli spróbują tu wejść – zamierzają używać skafandrów. Toteż wszyscy obecni na stacji zostaną natychmiast zaszczepieni przeciw całej florze bakteryjnej i wirusowej, jaką te stwory mogą nas zainfekować. Są jakieś pytania? – rozejrzał się po sali. – Nie? To dobrze. Jak już wspomniałem, czasu mamy niedużo, a zatem natychmiast zabierzmy się do planowania...

Kolejna ganimedańska noc niezauważalnie zastąpiła dzień. Pogoda poprawiła się jednak na tyle, że blask, jaki dawał wielki Jowisz

oraz pozostałe gwiazdy, w zupełności wystarczał do wędrówki poprzez lodowe pustkowia. Pomimo to Sheena – podpierająca się dla utrzymania równowagi metalową laską zaimprovizowaną z elementów konstrukcyjnych *Sparka* – poczęła się jednak posuwać w nieco wolniejszym tempie. Wolą nie przeoczyć żadnych dających do myślenia zmian w zabarwieniu lodu. Oczy piekły ją i szczypały od bezustannego wysiłku, jakiemu były poddawane, i wyraźnie czuła, że choć na kilkanaście minut musi je zamknąć.

Fizycznie nawet nie miała się najgorzej, pomimo iż na nogach znajdowała się już dobre kilkanaście godzin. W ciągu ostatnich dwóch dni uważnie pilnowała, aby nie przeforsować swojego organizmu, i dawała mu przyzwyczajenie wypocząć. Jednak od czasu ostatniego długiego snu poprzestała tylko na dwóch półgodzinnych przerwach w mozolnym marszu. W takich momentach posilała się napędce, aplikowała geologowi leki wzmacniające i zapadała w krótką, płytką drzemkę. Sam geolog natomiast był najwyraźniej w całkiem niezłej formie, choć wyglądało na to, iż ma jakieś wyrzuty sumienia dotyczące poświęcenia, jakie wykazywała Sheena. Dziewczyna zdążyła zauważyć, iż niemal w całym życiu i postępowaniu rasy Khree'ro wielką rolę odgrywa swego rodzaju kodeks honorowy, niezwykle rozbudowany i skomplikowany. Żałowała po raz kolejny, że dotąd nie miała okazji bliżej zapoznać się z historią i kulturą choć kilku przyjaznych Ziemianom ras. Teraz jednakże było na to za późno, i momentami wręcz obawiała się pytać czy wyrażać własne poglądy, aby ponownie niechcący nie urazić nieziemskiego naukowca. Raz już to zrobiła, i nie zamierzała popełniać tego błędu po raz drugi.

Z kolei w ciągu ostatnich kilku godzin, po trwającej dość długo drzemce, Galakt wyraźnie dążył do nawiązania z nią dłuższej rozmowy. O wszystko, co go interesowało, pytał szalenie taktownie i sam namawiał Sheenę do zadawania własnych pytań. Głównie interesowała go ziemską sztuką, przeszłość gospodarcza i kulturowa, i dziewczyna była z siebie bardzo dumna że w miarę wyczerpująco może odpowiedzieć na większość z pytań Khree'ro. Tak dumna była aż do momentu, gdy pomyślała sobie znienacka, iż najprawdopodobniej ten nieziemiec gawędzi z nią uprzejmie tylko z tego powodu, że zgodnie z

tym swoim kodeksem uważa, że powinien się jej w jakiś sposób zrewanżować za wysiłek, jaki ona z siebie daje. To na dość krótki czas zwarzyło jej humor, zaraz potem jednak wyzwała siebie w duchu od paranoiczek. Prawda pewnie była taka, że tak jak i ona sama, geolog czuł się samotny na tym pustkowiu. Wiedząc zaś, że w pobliżu siebie ma tylko jedną przyjazną mu istotę, starał się nawiązać z nią bliższy kontakt.

W chwili obecnej mowa była o religiach. Geologa dziwił fakt, iż gatunek dysponujący tak zaawansowanymi technologiami i który zdążył już sięgnąć w głąb otaczającego go wszechświata, wciąż oddaje cześć bliżej niesprecyzowanym bóstwom. Których w dodatku nie można dostrzec ani w żaden namacalny sposób stwierdzić ich istnienia. Sheena w ostatniej chwili powstrzymała się od przypomnienia mu, że również nieporównanie dalej niż ludzkość posunięte w swoim rozwoju rasy, jak chociażby Rahańczycy czy Dayoou, również mają swoje wierzenia. I to co najmniej równie urozmaicone jak ziemskie. Nie mówiąc już o tych wszystkich fanatykach, których kilku mieli właśnie okazję gościć w Układzie Słonecznym.

– Trochę się jednak zmieniło po nawiązaniu pierwszego kontaktu, kilka lat temu – przyznała po namyśle. – Niektóre tradycyjne doktryny dość solidnie zachwiały się w swoich podstawach. Zwłaszcza te, które wcześniej głosiły że również inne gatunki w Galaktyce musiały zostać zbawione. Gdy okazało się, że zdecydowana większość galaktycznych ras o niczym takim nie słyszała, rozpoczęło się zamieszanie. Tworzyły się odłamy, sekty, ludzie masowo zmieniali wyznania albo w ogóle je porzucali... Nie brak było i takich, którzy twierdzili że Bóg zbawił także inne rasy zamieszkujące Wszechświat. Ci zaś, z którymi nawiązaliśmy kontakt, są jedynie wysłannikami Szatana mającymi za zadanie zasianie ziarna niepewności w co bardziej podatnych umysłach.

– I jaka była reakcja ludzi?

– Poszli na to. W każdym razie wielu z tych, którzy ze swoimi wątpliwościami jakoś nie mogli się odnaleźć w nowym świecie. Tacy z miejsca odnaleźli w tych nowych odłamach swoje miejsce. Nie ma co mówić, swoim przybyciem społeczność galaktyczna sporo u nas

namieszała. Również i w tych najbardziej osobistych sprawach wielu z ludzi...

– Dziwna konstrukcja psychiczna – zauważył geolog. – Czy nie bardziej naturalne jest odbieranie świata takim, jakim jest on naprawdę? Miał on swój początek i będzie miał swój koniec, ale wszystko to da się wytłumaczyć metodami naukowymi! Ludzkość jednak najwyraźniej wolała wybierać trudniejsze drogi. Lubujecie się w tajemnicach, mistycyzmie, zgłębianiu tego, co niezbadane... Ale być może często daje to wam spore szanse na dostrzeżenie problemów, na jakie nikt przed wami nie zwrócił uwagi. Zastanawia mnie jedno...

Urwał i na długą chwilę zamilkł, jakby szukając właściwych słów.

– Tak? – spytała życzliwie Sheena nieco zdyszonym głosem, bowiem prowadzenie ożywionej rozmowy podczas ciągnięcia stosunkowo ciężkiego ładunku po zmarzniętym lodzie jakoś nie zdarzało jej się dotąd zbyt często.

– Nie chciałbym urazić tą uwagą pani uczuć religijnych – zastrzegł pospiesznie. – Toteż proszę nie mieć mi za złe, jeśli zapytam o coś, o czym nie zwykło się u was mówić otwarcie.

– Proszę bardzo, niewiele mamy tematów tabu.

– Chodzi mi o to, czy nie zastanawiało was czasem, czy przynajmniej część waszych najdawniejszych wierzeń nie powstała na skutek kontaktu z przedstawicielami wyżej rozwiniętych cywilizacji? – spytał wreszcie Galakt. – Kontaktów, które miały miejsce w zamierzchłej przeszłości? Gdy wasi przodkowie byli na tak wczesnym etapie rozwoju, że wzięli przybyszów z kosmosu za bóstwa którym należna jest cześć...?

Sheena zaśmiała się.

– Oczywiście, że zastanawiało – odparła z pewnym wysiłkiem, bowiem na jej drodze pojawiło się niewysokie i stosunkowo łagodnie nachylone wzniesienie, pod które zdecydowała się podejść, a nie je ominąć. – Od wielu lat krążą takie przypuszczenia, i znajdują nawet stosunkowo wielu zwolenników. Do dziś sztandarowym przykładem są niektóre egipskie piramidy, których – z tego, co wiemy – w żadnym wypadku nie dałoby się zbudować w ciągu dwudziestu lat przy pomocy technik, jakimi dysponowała ówczesna cywilizacja. Do tej pory

archeologom nie udało się w przekonywający sposób wyjaśnić tej zagadki. Albo chociażby te wielkie posągi na Wyspie Wielkanocnej... W promieniu tysięcy kilometrów nie ma miejsca, skąd ich twórcy mogliby wziąć te olbrzymie kamienne bloki, z których je wyrzeźbiono. Kiedyś sporo o tym czytałam, i można by podać jeszcze co najmniej kilka przykładów. A zresztą, czy w ciągu ostatnich lat nie udało się odkryć niezbitych dowodów świadczących o tym, że dawno temu jakaś rasa naprawdę odwiedziła nasz Układ Słoneczny? Praktycznie z tego przecież powodu się tu znajdujemy.

– O to właśnie mi chodziło – powiedział żywo geolog. – Mając takie dowody, można dojść do logicznego wniosku, że...

Nie zdążył jednak wyjaśnić, co mianowicie ma na myśli. W tym momencie Sheena wydała ostrzegawczy okrzyk, zatrzymała się gwałtownie i spróbowała się cofnąć, jednak sanie, jadące siłą rozpędu, podcięły jej nogi. Zachwiała się, zaplątała w linki i upadła na pakunki leżące obok geologa. Tu zamarła.

– Co się stało? – zdziwił się Khree'ro, odwracając głowę w jej stronę. – Czy zobaczyła pani coś, co...

– Proszę się nie ruszać – wyszeptała, gorączkowo myśląc, co teraz powinna zrobić. – Zbyt późno to zauważyłam... Mam wrażenie, że weszliśmy na obszar, gdzie pod cienkim lodem znajduje się pusta przestrzeń. Wie pan, co to oznacza, więc proszę się na razie nie ruszać.

– Co teraz zrobimy?

Raczej, co ja teraz zrobię – pomyślała Sheena nieco zgryźliwie, ale już po chwili tego pożałowała. Galakt nie był przecież niczemu winien. Zastanowiła się chwilę.

– Spróbuję ostrożnie się podnieść, i odciągnąć sanie w kierunku, z którego przyszlismy – powiedziała wreszcie. – Przy odrobinie szczęścia lód wytrzyma. Gdybym tylko wiedziała, jaką ma rzeczywistą grubość. A zresztą, może mi się tylko wydawało...?

Pomimo to, uniosła się z największą ostrożnością i niemal na czworakach odszukała porzucone linki. Wstała powoli i poczęła obracać sanie we właściwą stronę. Pierwszy metr poszedł gładko, po nim drugi, i jeszcze jeden. Miała już odwrócić głowę do geologa i wygło-

sić jakąś pocieszającą uwagę, gdy nagle grunt zadrżał leciutko pod jej stopami. Zamarła, po czym nie bacząc już na ostrożność rzuciła się przed siebie, chcąc wydostać ich na bezpieczną przestrzeń, zanim nastąpi najgorsze. I prawie się jej to udało.

Lód pękł z trzaskiem dziwnie przypominającym powolne, ogłuszające darcie wielkiej kartki papieru. Promieniste pęknięcia rozeszły się błyskawicznie na boki od miejsca, w którym właśnie znajdowały się sanie. Sheena błyskawicznie odrzuciła gdzieś w tył swą metalową laskę i zdobyła się na jeszcze jeden heroiczny wysiłek, ciągnąc z całych sił, czując, jak mięśnie napinają się jej niczym postronki. Ona sama najwyraźniej znajdowała się już poza niebezpieczną strefą, jednak obciążone sanie powoli, nieubłagane zsuwały się w coraz szerszą rozpadlinę. Wbijała obcasy w wieczną zmarzlinę, chcąc uzyskać lepsze oparcie, jednak wolniutko zsuwała się w ślad za saniami.

Przez króciutką chwilę napotkała spojrzenie geologa, w którym – mogłaby przysiąc – ujrzała niemą prośbę o ratunek. To chwilowo wzmogło jej siły, szarpnęła mocniej, i przez chwilę zdawało się już, że pokona ciężar sań wypełnionych ładunkiem. Kilka butli i pojemników ześlizgnęło się z płachty i zniknęło gdzieś w dole, i w tej samej chwili buty Sheeny straciły przyczepność. Poleciała w stronę rozpadliny, odruchowo wypuszczając z dłoni linki i szukając oparcia w śliskim, zmrożonym śniegu.

Szorując brzuchem po lodzie, zatrzymała się dosłownie na kilka centymetrów przed krawędzią wyrwy, która w tej chwili znaczyła gładką jeszcze niedawno powierzchnię lodowca. Oparła hełm o lód i łkała cicho, tak wielkie było w niej poczucie żalu. W tym momencie nawet nie myślała o straconych zapasach tlenu i żywności, który to fakt sam w sobie nieodwracalnie przekreślał jej szanse na powrót do bazy. Żal jej było tej bezbronnej istoty, która – z pozoru tak obca i szorstka – okazała się przecież nadspodziewanie ludzka. A na pewno dużo bardziej sympatyczna niż wielu ludzi, których знаła.

Wreszcie powoli uniosła się i stanęła na czworakach, po to tylko, by ujrzeć, jak fragment cienkiej lodowej płaszczyzny wiszącej nad ciemną otchłanią odrywa się od reszty i spada gdzieś w dół. Mimo woli z jej ust wydobył się zdławiony okrzyk.

Po kilku minutach, w czasie których bezskutecznie próbowała dojść do siebie, przysunęła się ostrożnie do brzegu rozpadliny i włączyła nahełmowy reflektor. Poświeciła w dół. Jej oczom ukazała się gładka, błyszcząca płaszczyzna, która nadspodziewanie łagodnym łukiem schodziła gdzieś w głąb lodowca. Prawie jak zjeżdżalnia – przemknęło jej przez myśl. Nie wiadomo jednak, czy dalej nie przechodzi ona w głęboką, pionową studnię wiodącą Bóg wie gdzie. Siedziała tak, nie będąc pewną, co ma robić, gdy nagle olśniło ją.

Skoncentrowała się, otworzyła swój umysł na zewnątrz, i niemal od razu poczuła czyjaś obecność w pobliżu. Obecność nader znajomą, a co najważniejsze – żywą. Omal nie rozpląkała się ponownie, tym razem pod wpływem uczucie wielkiej ulgi, jakiego niespodziewanie doznała. Wzięła się jednak w garść. Naukowiec jak widać przeżył upadek w głąb lodowej jamy, a co więcej – najwyraźniej nie doznał żadnych kolejnych obrażeń. Te niewielkie fale bólu, jakie dochodziły od niego, pochodziły ze starych ran, jakie doznał w katastrofie własnego transportowca. I chyba był on przytomny.

– Słyszysz mnie pan? – spytała drżącym głosem. Odpowiedziało jej głuche milczenie i już zaczęła się obawiać, że może podczas upadku tamten uszkodził nadajnik swojego skafandra, gdy nagle w słuchawkach leciutko zachrobotało.

– Tak, słyszę – gdyby nie to, że komputerowe tłumaczenie pozbawiało głos wszelkiej intonacji emocjonalnej, mogłaby przysiąc, że w głosie nieziemca pobrzmiewają nutki ulgi. – Chociaż niewiele widzę...

Teraz ona milczała; ponowna fala wzruszenia odebrała jej chwilowo głos.

– Nic się panu nie stało? – wykrztusiła wreszcie.

– Mój stan fizyczny nie uległ pogorszeniu, jeśli o to pani chodzi. Mam jednak wrażenie, że nasz ekwipunek uległ pewnemu rozproszeniu podczas zsuwania się w dół.

– Głęboko tam jest...? – to było pytanie, które przede wszystkim nurtowało ją w tej chwili.

– Zsuwałem się niezbyt długo. Mam wrażenie, że w linii prostej jestem od pani nie więcej, niż dwieście toong... w waszych jed-

nostkach miary będzie to mniej więcej sto osiemdziesiąt metrów. I jakieś piętnaście, góra dwadzieścia metrów w dole. Dno tej rozpadliny jest raczej płaskie, ale nie widzę jej brzegów w tych ciemnościach...

Teraz siedziała i dość ponuro zastanawiała się nad tym, co w chwili obecnej jest w stanie zrobić. Mieli trzy ewentualności: jedną z nich była samotna wędrówka Sheeny do bazy i sprowadzenie pomocy. Niestety, nawet według najbardziej optymistycznych obliczeń, zabraknie jej tlenu niecałe czterdzieści kilometrów od kopuły stacji. Zaś wszystkie zapasowe butle poleciały w dół razem z geologiem. Druga możliwość to zejść, a raczej zsunąć się tam w dół i szukać drogi wyjścia z otchłani razem z saniami, geologiem i całym ekwipunkiem. Było to jednak cholernie ryzykowne, bowiem co będzie, jeśli okaże się, że drogi wyjścia brak...? Jakoś nie uśmiechała jej się perspektywa długiego czekania na nieuchronny koniec. Wreszcie, trzecia ewentualność dawała pewne szanse, ale była dość męcząca dla niej, a także mogła wiązać się również z pewnym ryzykiem.

Mogła mianowicie ostrożnie badać zasięg cienkiego lodu skrywającego otchłan pod nim, i systematycznie powodować jego zawalenie się. Gdy już obejdzie cały obszar, będzie on całkiem odkryty, a wtedy – być może – znajdzie jakieś łagodne podejście prowadzące z jego dna do góry. Jeśli zaś popełni jakiś błąd, to po prostu ewentualność trzecia nagle przekształci się w drugą. Ale, czy miała w ogóle jakiś wybór? Stosunkowo słabe nadajniki skafandrów nie pozwalały na nawiązanie kontaktu z bazą, od której wciąż dzieliło ich około osiemdziesięciu kilometrów. Co innego, gdyby wciąż działała sieć satelitarna – w takim wypadku zostaliby namierzeni w krótkim czasie. Ich wrogowie postarali się jednak, by – choć nieświadomie – odebrać im tę szansę ocalenia. Mogła wprowadzić nadawać stały, silny sygnał w oczekiwaniu, aż przejmie go i wzmocni ów satelita komunikacyjny wystrzelony na niską orbitę przez załogę bazy. Po pierwsze jednak nie miała pojęcia o parametrach jego orbity i czasie, w jakim znajdzie się akurat nad ich głowami – o ile oczywiście w ogóle coś takiego nastąpi. Po drugie zaś, taki sygnał wysyłany przez jej nadajnik podałby ich pozycję jak na talerzu nie tylko Ziemianom, ale i obcym statkom krążącym na orbicie. Tego zaś przecież nie miała w planach. A po

trzecie i ostatnie, nie mogła mieć w końcu żadnej pewności, że satelita ten w dalszym ciągu krąży wokół Ganimedesa: obce orbity już dawno mogły go unieszkodliwić.

Z ciężkim westchnieniem podniosła się, czując, jak nogi jej zeszywniały. Powiadomiła geologa o wynikach swoich przemyśleń. Umilkł na długą chwilę, najwyraźniej przetrawiając to, co właśnie usłyszał.

– Ryzykuje pani – powiedział wreszcie. – Ale ma pani rację. Bez tego nie mamy większych szans.

– Też tak sądzę...

– Proszę uważać na siebie – dorzucił jeszcze. – I nie mówię tego powodowany wyłącznie chęcią przeżycia. Jest pani naprawdę przemiałą ludzką istotą...

Zamurowało ją na długo. Galakt wprost przechodził samego siebie. Sama zdążyła go co prawda polubić, ale wszystkiego mogła się spodziewać, tylko nie tego, że ten na co dzień nie ujawniający swoich emocji nieziemiec powie jej coś takiego...! Kręcąc głową powstała jeszcze chwilę, po czym postąpiła kilka kroków naprzód. Jeśli miała wziąć się do roboty, to czemu nie zacząć od razu? Przespać się jeszcze zdąży.

Ruszyła powoli przed siebie, jednak jedna myśl nie dawała jej spokoju. Co będzie, jeśli obejdzie lodową otchłań dookoła, i okaże się, że nie istnieje żadna droga, którą dałoby się wykorzystać do wydobywania na górę geologa i całego ekwipunku...?

Centralna część wielkiego dysku, jakim była stacja orbitalna *Mars 2*, była skonstruowana w dość nietypowy, i zarazem sprytny sposób. Aby zapewnić przybywającym do niej statkom możliwość bezpiecznego i bezproblemowego dokowania, należało uwzględnić fakt, iż stacja wiruje wokół własnej osi z dość sporą prędkością kątową. Ten ruch wirowy zapewniał stacji namiastkę grawitacji, tym większą, im dalej od osi konstrukcji znajdował się dany poziom. Aby więc piloci statków cumujących przy *Mars 2* nie musieli borykać się z czymś

takim, stację wyposażono w dok wirujący przeciwnie do jej ruchu wirowego.

Pasażerowie i ładunek bez przeszkód opuszczali pokłady orbiterów, zaś do wnętrza stacji dostawali się dzięki wirującemu ze zmienną prędkością cylindrowi pośredniemu. System ów tylko z pozoru był skomplikowany: w rzeczywistości sprawdzał się znakomicie. Jednak już w niedalekiej przyszłości miał okazać się zbędny. Nawet w chwili obecnej trwały bowiem wyłożone prace nad zamontowaniem na wszystkich pokładach generatorów sztucznej grawitacji. Miały one zapewnić na wszystkich pokładach ciężenie równe ziemskiemu, niezależnie od oddalenia danego poziomu od osi obiektu. Wtedy też możliwe będzie wstrzymanie ruchu obrotowego, jako już niepotrzebnego.

Jak się okazało, specjalistyczne wykształcenia Briana Ivesa miało okazać się bardzo pomocne przy planowaniu obrony stacji orbitalnej *Mars 2*. Brian od razu wpadł na pomysł, aby do obrony wykorzystać rotujące cylindry. Niedługo potem doki uzyskały taką samą prędkość kątową, jak reszta wielkiego dysku. W tej chwili zatem każdy, kto zechciałby się dostać na pokład *Mars-2* bez zgody ludzi na niej przebywających, miałby nie lada problemy.

Brian znajdował się w pomieszczeniu centralnym wraz z pozostałymi żołnierzami, oczekując na kolejne posunięcie przeciwnika. Straż trzymało siedmiu z nich, wśród nich także Brian i Gwen. Tuż obok siebie miał śpiącego Raya Sancheza, który korzystając ze stanu nieważkości unosił się w powietrzu zapięty w czymś w rodzaju sieci, nie pozwalającej mu oddalać się od miejsca snu. Ray należał do drugiej zmiany, która miała objąć posterunki za... Brian spojrzał odruchowo na zegarek: za półtorej godziny. A zatem minęło już niemal pięć godzin od momentu, gdy dwa myśliwce zniszczyły ich jedyną obronę przed atakiem z zewnątrz. Następnie, zgodnie z danymi z pokładowego obserwatorium, oba pojazdy zniknęły z pola widzenia niby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, jednak wskazania detektora masy mówiły, iż wciąż znajdują się w pobliżu. Zdaniem Briana, niezbyt dobrze świadczyło to o samych Kh-kh-boyn. Gdyby umieli dobrze wykorzystać przewagę czynnika zaskoczenia, powinni spróbować wejścia na pokład zaraz po unieszkodliwieniu generatorów

poła. Opóźniając to, dawali obrońcom czas niezbędny na skuteczne przygotowania do odparcia ewentualnego ataku. Chyba, że najeźdźcy mają zgola inne plany dotyczące ich stacji; w takim wypadku ludzie muszą być przygotowani naprawdę na wszystko.

Brian ziewnął ukradkiem, i zaraz potem poczuł przyjacielskie szturchnięcie w bok. Była to Gwen, wisząca w powietrzu przy ścianie tuż obok niego. W dłoni trzymała groźnie wyglądający, czarny karabin szturmowy typu MP-27p, produkt firmy Heckler & Koch. Co prawda mieli przykazane, aby używać broni tylko w ostateczności, ale jasne było, że jeśli już do czegoś dojdzie, to jakieś broni muszą przecież użyć. Najodpowiedniejsze wydawały się zaś właśnie plazmowe MP-27, w których moc strzału można było regulować w dość szerokim zakresie. Klasyczna broń na amunicję ostrą mogła w tutejszych warunkach narobić dużo większej szkody; chodziło głównie o groźbę dekompresji. Właśnie dlatego mieli na sobie kombinezony próżniowe, jedynie bez hełmów i rękawic, i nawet nie krępowały one ruchów tak bardzo, jak się tego obawiał Brian.

– Nie śpij – mruknęła, jednak oczy jej się śmiały. – Kto obroni mnie przed wstrętnymi paskudztwami z głębi kosmosu?

– No, znajdzie się chyba paru chętnych oprócz mnie – droczył się z nią. – Czymże zasłużyłem sobie na tak duże względy, jakimi mnie obdarzasz, o pani?

– Twoja sława jako pogromcy kosmicznych smoków dotarła nawet do mnie, dzielny rycerzu...

Zachichotali oboje. Brian miał zamiar wygłosić kolejną dowcipną uwagę, jednak przerwał mu narastający jęk syren, który spowodował nerwowe wzdrygnięcie u czuwających żołnierzy i momentalne przebudzenie tych, którzy spali. Podekscytowany Brian zerknął na Coburna, który w tej chwili trzymał przy uchu swój komunikator i słuchał kogoś uważnie. Wreszcie przypiął go do paska, zwracając się w ich stronę.

– Mamy nieproszonych gości – powiedział krótko. – Jeden statek, ale za to duży. W tej chwili podchodzi do północnych doków. Szykujcie się, niebawem będzie tu gorąco.

Mniej więcej stumetrowy, nieforemny, dziwnie rozczłonkowany kształt raczej nie przywołał na myśl statku kosmicznego. Z czymkolwiek by jednak się kojarzył, patrzeniu nań towarzyszyło nieodmiennie uczucie głębokiego niepokoju i pewnej nierealności. Dowolny obserwator, patrząc na statek Kh-kh-boyn, natychmiast wiedział, że to urządzenie służy do zabijania.

Pojazd płynnie zbliżył się do wirującej w tej chwili wraz ze stacją platformy dokowania, bez najmniejszego jak się wydawało trudu dostosowując do jej ruchu swoją prędkość obrotową. Wybrał węzeł cumowniczy oddalony o dwa miejsca od tego, przy którym tkwił nieruchomo transportowiec, który dostarczył uchodźców z *Ceres Candy*. Oparł się bokiem o węzeł, a po kilku sekundach z boku tego wysunęła się cylindryczny, elastyczny element, który szczelnie otulił węzeł i przywarł do powierzchni platformy. Następnie cylinder wypełnił się powietrzem.

Wszystkie te posunięcia śledzone były przez ludzi poprzez kamery, umieszczone na powierzchni platformy. Zazwyczaj służyły one do rutynowej kontroli poprawności dokowania i uchwytu zaczepów magnetycznych. Teraz jednak po raz pierwszy rejestrowały dokowanie pojazdu, którego na stacji wcale nie oczekiwano z niecierpliwością.

Kontroler siedzący przy konsoli, widząc, jak obcy statek radzi sobie z cumowaniem, zaklął cicho pod nosem. To, co ujrzał, sprawiało takie wrażenie, jakby najeźdźcy uprzednio dokładnie przestudiowali plany konstrukcyjne stacji. Czujniki powiadomiły go, że otwarta została awaryjnie zewnętrzna pokrywa wjazdu, a śluza wypełnia się powietrzem. Wyglądało na to, że lada chwila obcy żołnierze zjedzą w dół centralnego cylindra, korzystając z szybu zapasowego, przewidzianego na wypadek, gdyby zawiodły windy.

Fakt, że radzą sobie nadzwyczaj sprawnie – przyznał w duchu kontroler. – Ciekawe tylko, jak sprawnie poradzą sobie z tym, co czeka na nich w szybie.

W szybie awaryjnym również była kamera, umieszczona na kilka metrów nad jego dnem i osłonięta warstwą pancernego szkła. W odróżnieniu od kamer z platformy dokowania, ta została umieszczona w tym miejscu zaledwie kilka godzin temu. Obraz z niej – jak i kilku jeszcze innych – był przekazywany bezpośrednio do centrum dowodzenia majora Coburna, pośpiesznie zaimprovizowanego w niewielkim magazynie przyległym do centralnego pomieszczenia przy dokach stacji.

Major czekał w napięciu. Przez chwilę widać było tylko pustą perspektywę długiego szybu, oświetlonego słabym, niebieskawym światłem kilkunastu niewielkich lampek. Nagle wysoko, u jego wylotu, poruszył się niewyraźny, czarny kształt. W tym samym momencie niewielkie działo plazmowe, umieszczone przez dwóch żołnierzy na ścianie w pobliżu dna szybu, wykonało błyskawiczny, płynny ruch i kamera na moment oślepla. Filtry jednak równie błyskawicznie zrobiły swoje i obraz powrócił w sam raz, aby major dostrzegł niewyraźną, walącą się z góry ciemną masę, która przeleciała obok kamery i spadła w dół.

W napięciu trzymał komunikator przy uchu. W pobliżu dolnego wylotu szybu miał dwóch żołnierzy, którzy mieli za zadanie obserwować, co też takiego zestrzeli działo. Czekał przez chwilę na ich meldunek, aż wreszcie nie wytrzymał.

– Newell, co tam macie?

– Momencik, szefie – dał się słyszeć zachrypnięty głos. – Musimy podejść bliżej, a to się jeszcze rusza...

Przez kilka chwil słychać było tylko ich przyspieszony oddech, aż wreszcie coś trzasnęło.

– To robot, szefie. Pieprzony robot, cały bok ma spalony uderzeniem z naszego dział. Dobiliśmy go przed chwilą. Cholerne pająki, nie odważyli się zejść sami, wysłali robota... Dobra, wracamy z Gloverem na posterunek.

A więc stało się tak, jak przewidywał. Było dlań od początku rzeczą oczywistą, że tak doświadczeni w bojach Kh-kh-boyn nie będą

narażać swoich cennych pajęczych odwłoków, mając do dyspozycji zaawansowaną technologię. Choć krążyły pogłoski, że czasami lubią walczyć twarzą w twarz z żywym wrogiem. Teraz jednak postąpili zgodnie z zasadami logiki ...

Ciekawe, co podeślą następnym razem.

– Majorze, tu centrala łączności – zatrzeszczało nagle w komunikatorze. Głos operatora zdradzał wielkie wzburzenie. – Mam na linii dowódcę obcego statku. Chce z panem mówić. Łączyć?

Tego Coburn nie przewidział. Odchrząknął nerwowo, starając się podjąć właściwą decyzję.

– Masz wizję? – spytał technika.

– Nie, tylko fonię. Nadaje otwartym kodem, i to już po angielsku, za pośrednictwem swoich translatorów.

– Dawaj go – zdecydował.

Głos, jaki usłyszał, nie odróżniał się niczym od setek innych głosów najrozmaitszych Galaktów, z jakimi miał do tej pory okazję rozmawiać. Komputerowe tłumaczenie było jak zwykle sprawne, skuteczne i bezosobowe.

– Jesteś dowódcą stacji?

Oho, bez zbędnych ceregieli – zauważył major, i postanowił odpowiadać w tym samym tonie.

– Jestem tu dowódcą w czasie wojny.

– Poddajcie się.

Naiwny – przeleciało przez myśl majorowi. Albo też jednak ma coś naprawdę wielkiego, czym poprze swoje żądania...

– Poddajcie się, a darujemy wam życie – kontynuował beczny głos. – W przeciwnym razie zginiecie wszyscy.

– Z całym szacunkiem, nie poddamy stacji – odparł Coburn grzecznie, jednocześnie zaciskając lewą pięść i prostując środkowy palec. Ktoś z tyłu aż się zachłysnął ze śmiechu.

– Mamy dla was propozycję...

Ledwie powstrzymał się, aby nie powiedzieć tej tarantuli, gdzie może wsadzić swoje propozycje.

– ...polegając na tym, że wy opuścicie stację, a my zapewnimy wam bezpieczną podróż na Marsa.

– Wypuście cywilów – zaproponował natychmiast major. – Na to przystanę, jednak ja i moi żołnierze zostaniemy. Naszym zadaniem jest bronić tej stacji, i zamierzamy je wypełnić. Do samego końca.

– Wobec tego zginiecie wszyscy.

Krótki trzask oznajmił niespodziewane zakończenie połączenia. Major w zadumie spojrzał na komunikator. Cholera, ci goście są najwyraźniej bardzo pewni swego. Czy mogli wymyślić coś, czego on nie przewidział...?

W momencie, gdy się nad tym zastanawiał, operator stanowiska kontroli przestrzeni zewnętrznej z niepokojem spoglądał na odczyty detektora masy. Wyglądało na to, że poza statkiem który zacumował niedawno, w sąsiedztwie stacji pojawiło się kilka nowych obiektów. Były one jednak niewidoczne w zakresie fal widzialnych dla człowieka i jego instrumentów. Odczyty zmieniały się w sposób sugerujący, że obiekty owe zbliżały się z chwili na chwilę do stacji, i to z różnych stron.

Nie czekał dłużej. Ujął mikrofon, uznawszy, że jak najprędzej należy o tym powiadomić majora Coburna.

Tuż nad powierzchnią wielkiego dysku niewidoczne dotąd statki wyłączyły pola uginające promieniowanie elektromagnetyczne, które aż do tej chwili zapewniały im niemal stuprocentową niewidzialność. Pojazdy okazały się stosunkowo niewielkimi ściętymi stożkami, o niepełna piętnastometrowej średnicy u podstawy. Ich doskonałą niemal symetrię zakłócało kilka wypustek i wysięgników. Powoli zbliżyły się do matowej powierzchni wielkiego dysku, aż wreszcie płaskimi podstawami przylgły do zewnętrznego poszycia stacji w kilku miejscach po obu stronach dysku.

Jako pierwszy rozpoczął akcję ten, który znajdował się bezpośrednio nad główną centralą uzdatniania powietrza, mieszczącą się kilkadziesiąt metrów od osi stacji. Błyskawicznie przetopił wszystkie warstwy pancerza zewnętrznego, nieomylnie omijając wszelkie żywotne fragmenty instalacji. Powietrze nie poczęło uciekać na zewnątrz,

gdyż – jak się okazało – podstawa stożka doskonale szczelnie przylegała do poszycia.

W powstały otwór spuścił się niewielki, metalicznie błyszczący obiekt. Kilkadziesiąt sekund później, po przedarciu się przez kilka ścian, zbliżył się on do wielkiego zbiornika w centrum wysokiego pomieszczenia, przypominającego nieco fabryczną halę. Ściany zbiornika rozciągały się daleko w obie strony – było to miejsce, z którego uzdatnione już powietrze rozchodziło się po całej stacji za pośrednictwem kanałów wentylacyjnych, tłoczone przez potężne pompy.

Obiekt przysunął się do wypukłej ściany zbiornika. Z jego wnętrza wysunęła się długa, giętka wypustka, której końcówka przywarła do metalowej powierzchni. Wtedy dał się słyszeć dźwięk przypominający wystrzał, a następnie – poprzez powstały otwór – obiekt począł tłoczyć do wnętrza zbiornika gazową zawartość kilkunastolitrowego zasobnika, ukrytego wewnątrz kadłuba. Nie trwało to długo. Po zakończeniu operacji obiekt pozostał na swoim miejscu. Nie był już potrzebny na zewnątrz, gdyby zaś się odsunął, poprzez powstały otwór poczęłoby uciekać cenne powietrze.

Kilka minut później podobną operację wykonały inne stożkowate obiekty przytwierdzone do pancerza stacji. Z tą jednak różnicą, że poprzestały na wykonaniu w pancerzu otworów i wysłaniu przez nie robotów bojowych. Wyprzedzały one o kilka metrów półorametrowej wysokości ośmionogie postacie, które – odziane w czarne skafandry ochronne – zeszły z pokładu każdego stożkowatego pojazdu w głąb powstałych otworów.

Brian trzymał w ręku swój hełm, i uważnie mu się przyglądał. Albo miał tylko takie wrażenie, albo naprawdę jeden z zaczepów mocujących go do kołnierza skafandra był skrzywiony. Jak każdy z nich, wołał mieć jednak swój sprzęt w nienagannym stanie, toteż po chwili wahania podpłynął w powietrzu w stronę Gwen.

– Posłuchaj – zaczął, i w tym momencie poczuł się jakoś dziwnie. Obraz rozmazał mu się przed oczami, przedmioty jawiły mu się jakby

podwójnie, poczuł gwałtowne uderzenie gorąca. Zaciśnął na moment powieki, a gdy je ponownie otworzył i ujrzał, jak Gwen łapie się za gardło i poczyną gwałtownie łapać oddech, raptem zrozumiał. Błyskawicznie założył hełm, mimochodem z satysfakcją stwierdzając, że wszystkie zaczepy zadziałały jednak jak należy. Przesunął regulator, aż strumień mieszanki tlenowej buchnął mu w twarz, a następnie rzucił się w stronę stojaka, do którego były przymocowane hełmy innych żołnierzy. Chwycił dwa i wrócił do skulonej Gwen, która wykonywała jakieś nieskoordynowane ruchy rękoma. Zaczynał już widzieć normalnie, zamrugał jednak jeszcze kilka razy oczyma, chcąc usunąć z gałek ocznych wszelkie ślady substancji, która spowodowała te sensacje.

Założył hełm Gwen i otworzył regulator jej układu oddechowego do maksimum. Potem poszukał wzrokiem Raya Sancheza i wykonał na nim te same zabiegi. Ray jednak, w momencie gdy do niego dotarł, był już zupełnie nieruchomy. Nie mógł w żaden sposób wiedzieć, czy to, co dla niego zrobił, nie okaże się spóźnione.

Chwycił Raya za bezwładną rękę i doholował do Gwen. Zajrzał jej w szybę hełmu: dziewczyna miała szeroko otwarte oczy i oddychała łapczywie. Dopiero teraz poczuł wielką ulgę. Pozostawił tych dwoje samym sobie, chwycił ze stojaka więcej hełmów i zaczął krążyć między kolegami, z których najwyraźniej żaden nie miał tyle szczęścia, co on sam. Wkrótce wszyscy mieli kompletne skafandry, jedynie bez rękawic. Brian założył, że przyczyną ich dolegliwości jest jakaś substancja wchłaniana przez układ oddechowy. Dowodem był fakt, iż objawy u niego ustąpiły po założeniu hełmu i przejściu na oddychanie nieskażoną mieszanką. Gdyby tajemniczy czynnik wchłaniał się przez skórę, podziałałby na niego i tak, ze względu na odsłonięte dłonie.

Omali nie zapomnieli o majorze, którego to coś dopadło w jego centrum dowodzenia. Założywszy hełm dowódcy, Brian chwycił jego nadgarstek i spróbował wyczuć puls. Już po chwili jego najgorsze przypuszczenia rozwiały się: major, aczkolwiek nieprzytomny, żył jednak z całą pewnością. A zatem ten atak miał na celu jedynie unieszkodliwienie załogi stacji. Ale jak, u ciężkiej cholery, tym pajęczakom udało się wprowadzić cokolwiek do układu klimatyzacyjnego...?!

Jedynym wnioskiem, do jakiego doszedł w tej chwili, było to, że na pokładzie mają zdrajcę, który działał w zмовie z Kh-kh-boyn i na ich polecenie dokonał sabotażu niezbędnych urządzeń. To nie było pocieszające.

Pozostawił majora samemu sobie i już miał odejść, gdy nagły impuls skłonił go, aby poprzez monitory obejrzeć sobie niektóre poziomy stacji. Zainstalowany tu na życzenie majora podgląd miał taką możliwość. Brian pospieszenie włączył dostęp do kamer rozmieszczonych na głównych korytarzach i kilkanaście razy przełączył obraz. Już miał zrezygnować, gdy naraz ujrzał coś, od czego włosy zjeżyły mu się na głowie, a na ramionach i plecach poczuł zimny dreszcz.

Jednym z korytarzy czwartego poziomu posuwała się szybkimi, płynnymi ruchami procesja kilkunastu czarnych postaci. Postaci, które nie tak dawno widział na nagraniach pokazywanych im przez majora.

Nie wiedział, jak to było możliwe, skoro mógł przysiąc, że przez śluzę w dokach nie przeszła ani jedna żywa istota, ani jedno urządzenie. Musiał jednak uwierzyć własnym oczom: Kh-kh-boyn byli na pokładach *Mars 2* we własnych, wielonogich osobach. Zaś po kilkudziesięciu zaledwie sekundach obserwacji nabrał nagle całkowitej pewności, że najeźdźcy nadspodziewanie dobrze rozeznani są w topografii pokładów. W tej chwili zbliżali się do jednej z wind. To go otrzeźwiło.

Chwycił majora, myśląc mętnie, że chyba jednak lepiej będzie, gdy umieści go razem z innymi. Jak mógł najszybciej, powrócił do głównego pomieszczenia. W ciągu kilku minut obcy żołnierze zjawia się tu niewątpliwie, toteż miał nader niewiele czasu, aby wymyślić, gdzie by się ukryć. Nie zamierzał bowiem w pojedynkę prowadzić chwilowej wojny w dokach. Zbyt dobrze zdawał sobie sprawę z własnych szans, a po błyskawicznym przemyśleniu niektórych rzeczy uznał, iż znacznie bardziej może im zaszkodzić w przyszłości. Być może dużo bardziej, niż zabijając kilku z nich w tej chwili.

W pierwszym momencie błysnęła mu myśl o dotarciu do transportowca przycumowanego w jednym z węzłów, pomyśl jednak szybko wydał mu się mało atrakcyjny. Obcy niebawem na pewno dotrą i tam, co do tego nie mogło być żadnych wątpliwości. Pozostawała

ucieczka na jego pokładzie, choćby na Marsa, ale to go też nie pociągało: był wszak żołnierzem, który miał bronić tej stacji. Cóż mu zatem pozostaje...?

Rozglądał się niepewnie w coraz większej rozterce, przeklinając swoją nieudolność, gdy niespodziewanie jego wzrok padł na dużą kratę w połowie wysokości pomieszczenia. U jej wylotu leniwie powiewało kilka białych pasków. To był wylot jednego z kanałów wentylacyjnych, na co właśnie wskazywały owe cienkie wstążeczki.

To była jego jedyna szansa.

– Brian...?

Natychmiast rozpoznał głos Gwen. Ruszył w jej kierunku.

– Jestem, kochanie – powiedział pospiesznie. – Kh-kh-boyn są na pokładach. Nie pytaj mnie, w jaki sposób się tu dostali, bo nie wiem. Teraz musimy się spieszyć jak cholera, bo zaraz będzie tu sporo zamieszania. Widzisz tę kratę?

Wskazał jej to, o co mu chodziło i wytłumaczył, co zamierza zrobić. Kiwnęła głową, nie wnikając w powody tak niezwyklego pośpiechu. Chwycili nadal nieruchomego Raya Sancheza oraz swoją broń, i czepiając się uchwyty na ścianie podążyli ku przesłoniętemu kratą otworowi. Wbrew obawom Briana, nie był on przykręcony śrubami, co bardzo utrudniłoby im zadanie. Kratę mocowały jedynie magnetyczne zatrzaski.

Brian ostrożnie zdjął kratę i przytrzymał ją, podczas gdy Gwen weszła tyłem do niezbyt szerokiego otworu i wciągnęła za sobą Raya. Pociągnęła go dalej, robiąc miejsce dla Briana. Ten spojrzał jeszcze w dół, obejmując wzrokiem wielką, okrągłą halę z wielkim cylindrem pośrodku. W dole widział nieruchome ciała kolegów. Zastanawiał się, czy zdąży na dół po jeszcze kogoś, i w tym momencie dostrzegł, jak nad drzwiami windy zapala się zielone światelko.

Niemal wypuścił z rąk kratę, tak gwałtownie starał się ją umieścić na swoim miejscu. Nie było to takie łatwe w warunkach nieważkości, jednak wreszcie zaczepy zaskoczyły z cichym trzaskiem. Wtedy poczuł, jak siły pod wpływem nagłego napięcia zniecka z niego uchodzą, i skulony zawisł pod ścianą. Nagle coś mu przyszło do głowy. Obrócił się do Gwen i wykonał gest, mający naśladować przyciśnięcie

palca do ust: ani mru, mru... Jedno odezwanie się za pośrednictwem nadajnika mogło przecież zdradzić ich obecność przed najeźdźcami. Zrozumiała. Kiwnęła głową. Dopiero wówczas pokazał jej gestem głowy, aby zbliżyła się do niego.

Przecisnęła się obok Sancheza w wąskim kanale o przekroju kwadratu, którego bok miał może półtora metra. Zatrzymała się ostrożnie obok niego, najwyraźniej zaciekawiona, dlaczego robią to, co robią. Brian tymczasem ostrożnie przysunął głowę do kraty, mającej szczęśliwie dość małe oczka. Na zewnątrz ujrzał dokładnie to, czego się spodziewał: kilka czarnych, pająkowatych postaci krzątało się wokół nieruchomych ludzi, wykonując przy nich jakieś niezrozumiałe dla nich czynności.

Poczuł nagle, jak dłoń Gwen, oparta na jego ramieniu, zaciska się nagle mocno, coraz mocniej, aż poczuł ból. Za szybą jej hełmu widział jej rozszerzone oczy i przygryzione usta. Ona też to widziała.

Delikatnie poklepał ją po udzie; spojrzała na niego nieprzytomnym wzrokiem. Gestem głowy wskazał, że muszą oddalić się w głąb kanału: tutaj było zbyt niepewnie. Powinni poszukać jakiegoś bezpieczniejszego miejsca.

Chociaż, czy na tej stacji w chwili obecnej było w ogóle jakiegokolwiek bezpieczne miejsce?

Ziemia

Malcolm Beresford kichnął po raz trzeci i wyrzucił kolejną chusteczkę do kosza stojącego obok łóżka. Przetarł zażawione oczy i ostrożnie obmacał zaczerwieniony i obolały od kataru nos. Poza tym drapało go w gardle i od czasu do czasu pokasływał, ale tym, co najbardziej wpływało ujemnie na jego samopoczucie, był właśnie katar. Nie cierpiał kataru, jak żadnej innej choroby na świecie. U licha; ludzkość kolonizuje Marsa i osiągnęła Jowisza, ba! wstępuje do Wspólnoty Galaktycznej, a nie może sobie poradzić z głupim katarem! Zapewne te zarazki są bardzo odporne. Ciekawe, czy przetrwałyby wybuch

jądrowy... pewnie tak, zdecydował ponuro. Skoro są odporne na wszelkie znane nauce lekarstwa...

Kichnął ponownie, i w tym momencie rozległ się sygnał przy drzwiach.

– Wejść – wychrypiał, nie będąc pewnym, czy komputer w ogóle zrozumiał jego głos. Rozkaszał się przeciągle. Cholera, co za pech, dostać banalnej anginy cztery kilometry pod powierzchnią oceanu...!

Do kabiny weszła Kathleen Hounsfield. Z przyjemnością zauważył, że miała dziś na sobie ten elegancki kostium od Chloe, który dostała od niego podczas ich ostatniego pobytu w Pancake z okazji ich piątej rocznicy. Wyglądała w nim prześlicznie, i nie omieszkła jej tego powiedzieć. Roześmiała się, przysiadając na łóżku obok niego.

– Nie byłam pewna, czy powinnam w ogóle go ubierać – wyznała, dłonią machinalnie wygładzając prześcieradło. – To jest zbyt eleganckie jak na zwykły dzień. Ale biorąc pod uwagę, że dzisiejszy dzień akurat taki zwykły nie jest, postanowiłam jednak zaryzykować...

– Co się takiego stało? – zaciekał się momentalnie.

– Momencik. Lekarstwa zjadłeś?

– Zjadłem – odparł posłusznie. – Dokładnie o czasie. Wypiłem też ten obrzydliwy syrop. Tylko mi nie wmawiaj, że on jest bardzo smaczny, bo zacznę krzyczeć. A teraz powiedz mi, co się stało. Wiesz dobrze, że w ostatnich dniach nie mam bezpośredniego rozeznania w sytuacji. A właśnie, jak sprawuje się Borys w roli tymczasowego dowódcy?

– Znakomicie. Wyraźnie przypadła mu ta rola do gustu, i nie jestem pewna, czy przypadkiem nie podsuwa ci układkiem jakichś bakterii, aby przedłużyć chwilę chwały – zażartowała. – A skoro już mowa o bakteriach, to jak się czujesz?

– Coraz lepiej – powiedział szczerze. – Najlepiej zaraz mnie zbadać i proszę, powiedz że jutro mogę wstać i pójść na mostek...!

– Zobaczmy – odparła wymijająco. – Na razie powiem ci coś innego: zdaje się, że ekipa naukowa zgodnie uznała, iż zebrali wystarczająco dużo informacji o piramidzie, aby mieć duże szanse przełamania jej zabezpieczeń. Główne zasługi położyli tutaj Rahańczycy, ale to było do przewidzenia. Dużo pomogły też konsultacje z tą istotą z jej

wnętrza. Nawiązali z nią kontakt dwukrotnie, bez większych trudności.

– Czyli gotowi jesteście do powrotu na Atlantyk? – Beresford przez chwilę żałował, że przez swą czasową niemoc nie miał okazji uczestniczyć w tym, co działo się na jego okręcie w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin. Choćby jako obserwator.

– W tej chwili trwają ostatnie przygotowania. Ludzie zbierają instrumenty, dyskutują o wynikach... Borys przewiduje, że najdalej za cztery godziny będziemy gotowi do odpłynięcia. Ale pamięta, że rozkaz możesz wydać tylko ty.

– Miło z jego strony – mruknął melancholijnie. – Możesz mu powiedzieć, że pozostawiam to jego uznaniu. Ale powiedz mi jeszcze, jeśli możesz, co takiego konkretnie uzgodnili nasi eksperci? Co tam właściwie siedzi w środku?

Kathleen w zamyśleniu wyduła wargi.

– Cos tam słyszałam, ale nie oczekuj ode mnie szczegółów. Nie jestem specjalistą – zastrzegła od razu. – Mogę coś pominąć.

– W takim razie, może poprosisz do mnie... choćby naszą przystojną panią astrofizyk? – rzekł poważnym tonem. – Na prywatną konferencję w cztery oczy. Ona zapewne zna wszystkie szczegóły...

– Zaraz postawię ci taką diagnozę, że nie wyjdiesz z tego łóżka przez miesiąc – zagroziła, ledwie powstrzymując się od śmiechu. – Ale postaram się podesłać ci tu potem kogoś, jeśli naprawdę chcesz. Nawet Paulę, bo czemu by nie? Wracając zaś do sprawy: piramida jest najwyraźniej chroniona przez jakieś bardzo wymyślne technologie, wytwarzające coś, co eksperci określili jako warstwowe pole grawitacyjne. Cokolwiek by to miało oznaczać. Jest ono bardzo, ale to bardzo silne. Tak bardzo, że podobno – według słów jednego z ekspertów – w bezpośredniej jego bliskości przestrzeń dosłownie zachowuje się tak, jak w pobliżu gwiazdy neutronowej. Nie patrz tak na mnie, wiem, co to są gwiazdy neutronowe. Uczylałam się o tym w szkole, i trochę jeszcze pamiętam.

– Też się uczyłam – mruknął w zdziwieniu. – I wiem, że do wytworzenia grawitacji o takiej mocy potrzebna jest albo olbrzymia masa, albo kolosalna wręcz ilość energii...

– O tym także mówili, jednak nie mieli nawet wstępnych przypuszczeń co do rodzaju urządzeń zasilających całość. Dalej: w grę wchodzi jeszcze ekrany ESP, ale nimi można się nie przejmować. Prawdziwą przeszkodę dla tej istoty stanowi właśnie ta pułapka grawitacyjna. To wszystko instalowano prawdopodobnie po to, aby zminimalizować wykrycie tej istoty przez tych tajemniczych najeźdźców... Rahańczycy zgodzili się co do tego, że najprawdopodobniej nie da się zniszczyć tych urządzeń, ale zdaniem większości można chwilowo zakłócić ich działanie. Potrzebny będzie do tego jakiś nietypowy ładunek, nie pytaj jaki, bo tego już nie zapamiętałam. Nie mamy czegoś takiego, i nie jestem pewna, czy w ogóle ziemskie siły zbrojne dysponują czymś zbliżonym.

– Rahańczycy pewnie to mają...

– Mają. I jeśli tylko nasz rząd zdecyduje się na uwolnienie tego, kto jest w środku piramidy, zadeklarowali swoją najdalej idącą pomoc.

Beresford opadł na poduszkę i patrzył w sufit.

– Właśnie, ciekawe, co też postanowi nasz rząd – powiedział wreszcie. – Gdy wypływaliśmy ostatnim razem z Pancake, traktowali tę sprawę priorytetowo, nie wiem, jak jest teraz...

– Możesz być pewien, że priorytet został utrzymany – zapewniła go żywo. – Zapomniałam ci powiedzieć, dosłownie przed chwilą dostaliśmy wiadomość z dowództwa. Dość nagłaco pytali, czy czynimy postępy.

– Złamali ciszę radiową?! – aż podniósł się na koi.

– To daje pojęcie o ich zaniepokojeniu sytuacją – milczała chwilę. – Nie sądzisz, że gdybyśmy uwolnili tego Galakta, to najeźdźcy straciliby powód, dla którego przybyli do Układu Słonecznego?

– Przynajmniej główny powód – sprostował dowódca. – Nie zapominaj, że część z nich tkwi wokół Marsa i Jowisza, gdzie też są starożytne artefakty. Ale masz rację; być może chociaż dali by spokój samej Ziemi...

Na moment nastała pełna mrocznej zadumy cisza.

– Tak jak mówiłem, przekaz Borysowi... – zaczął po chwili, ale najwyraźniej zmienił zdanie. – Albo ja sam mu przekazać przez

komunikator. Może zrozumie mój nosowy bełkot... Powinniśmy zbierać się stąd jak najszybciej i wracać do Pancake pełną mocą silników. Nie ma czasu do stracenia.

Kosmos

Na to, czego tak rozpaczliwie szukała, natrafiła wreszcie niemal po pięciu godzinach wyteżonej i ryzykownej pracy. Przez cały ten czas obchodziła wielką jamę w lodzie, pracowicie dziabiąc i obtłukując lodową warstwę, która ją przykrywała. Nie było to zadanie zbyt trudne, jeśli tylko wystarczająco uważała. Kilka razy jednak była dosłownie od krok od ześlizgnięcia się w mroczną głębię, i jeśli nawet by się przy tym porządnie nie potłukła, szanse na wyjście do góry miałyby raczej mierne. Do krańca szczeliny za każdym razem zbliżała się z największą ostrożnością, najczęściej leżąc na brzuchu. Potem tłukła w ten wiszący lód swoją metalową łaską, którą na szczęście udało jej się odnaleźć po kilkuminutowych poszukiwaniach. Ucieszyła się z tego bardzo, bowiem w przeciwnym wypadku zapewne musiałyby rozbijać lód własną ręką. Łaska oddawała jej teraz nieocenione usługi, choć i tak mięśnie rąk odmawiały jej już niemal posłuszeństwa.

W pewnym momencie jednak, gdy kolejny wielki fragment lodowej powierzchni z trzaskiem zwałił się w dół, światło gwiazd i dalekiego Słońca oświetliło kolejną część jamy. Spojrzała i niemal wstrzymała oddech: jej dno wyraźnie się unosiło w stronę jeszcze przykrytą lodem. I to pod stosunkowo niewielkim kątem, co odpowiadało jej całkowicie. Nie mogła mieć oczywiście pewności, czy dalej ta swoista rampa dochodzi do samej góry, ale sam widok i nadzieja dodały jej sił. Rzuciła się wzdłuż urwiska, omal nie zwalając się w ślad za kawałami lodu. Łaska ponownie poszła w ruch, i już niebawem na kolejny fragment dna lodowej niecki po raz pierwszy od wieków padł jasny blask gwiazd. Widok, jaki odsłonił się przed jej oczami, uznała w tym momencie za jeden z najcudowniejszych, jakie w ogóle w życiu widziała.

Dno niecki poczynąło unosić się jakieś sto metrów od brzegu, i łagodnym łukiem wznosiło się w górę. Łuk ten kończył się u stóp Sheeny i gdyby chciała, mogłaby w tej chwili zjechać w dół łagodnie i bezpiecznie. Uśmiechnęła się sama do siebie i niespodziewanie kichnęła.

Miała nadzieję, że geolog akurat nie śpi.

– Panie profesorze – powiedziała do mikrofonu. – Zdaje się, że szczęście nam sprzyja. Dotarłam do czegoś obiecującego.

– Gdyby szczęście nam sprzyjało, nie byłbym tu w dole – odparł, czyżby nieco zgryźliwie...? – Gdyby szczęście nam sprzyjało, dotarłbym szczęśliwie do bazy moim statkiem i nie musiałyby pani w ogóle lecieć po mnie. Jeśli to ma być szczęście, to jest ono dość męczące, nie sądzi pani?

Zatkało ją, bowiem jeszcze nigdy nie narzekał na swój los. Zdawał się przyjmować wszystko z jakąś niezmierną cierpliwością, jako coś, co przeznaczył mu Wszechświat.

– Żartowałem, oczywiście – dodał niespodziewanie. – To znaczy, próbowałem być, jak wy to określacie...? Sarkastyczny. Udało mi się?

– Znakomicie – wykrztusiła, mrugając z zaskoczenia oczami. – Naprawdę, doskonale. Eee... Nie spodziewałam się...

– Naturalnie. No dobrze, a co takiego pani znalazła?

– Dość łagodne zejście w dół. Nie wiem tylko dokładnie, jak daleko od pana pozycji. Przed chwilą obflukłam ostatni kawałek lodu od tej strony...

– W takim razie musi to być co najmniej kilkadziesiąt metrów ode mnie, bowiem w ciągu ostatniej godziny żaden lodowy gruz nie spadł mi na głowę.

– Och – stropiła się niespodziewanie. – Zapomniałam kompletnie, że to, co strącam, leci w dół, do pana... Mam nadzieję, że nie wyrządziłam panu żadnej krzywdy? Ale trzeba było powiedzieć, uważałabym bardziej...

– To nie miało znaczenia – przerwał jej. – Przecież w żaden sposób nie mogła pani bardziej uważać, więc musiałem to znieść. Poza tym, mój skafander jest dość odporny. I nie spadło tego na mnie aż tak

dużo. Nie mówmy już o tym. Czy da się tym stokiem podejść do samej góry?

– Mam wrażenie, że tak – rzekła ostrożnie, przypatrując się temu, co miała przed oczami. – Jego nachylenie wynosi nie więcej, jak piętnaście, dwadzieścia stopni. Powinnam sobie jakoś poradzić, nawet z obciążeniem. Nie będę chyba czekać, schodzę do pana.

Ostrożnie usiadła na brzegu niecki, spuszczać nogi w dół. Jeszcze raz uważnie spojrzała w dół, aż wreszcie odepchnęła się rękami i na siedzeniu pojechała w dół.

Wbrew obawom, wcale się nie rozpędziła. Przeszkadzały jej w tym szczątki rozbitej lodowej skorupy. Niekiedy wręcz musiała się odpychać, aby w ogóle się poruszać. Wreszcie jednak znalazła się na samym dole. Obejrzała się: no cóż, stąd nie wyglądało to już tak bardzo optymistycznie, niemniej w dalszym ciągu uważała, że jest w stanie dać sobie radę z tym podejściem.

Odnalazła miejsce, w którym leżał na lodzie geolog. Jego niebieskawy skafander niemal nie odróżniał się od lodu, również dlatego, że częściowo został przysypany błyszczącymi w słabym świetle odłamkami. Ponownie poczuła wyrzuty sumienia z tego powodu, jednak postanowiła nic już nie mówić na ten temat. Zamienili jedynie kilka słów, w czasie gdy ona szybkimi ruchami dłoni oczyszczała go z lodu. Następnie rozejrzała się uważnie dookoła, szukając reszty ekwipunku.

Niecałe pół godziny później odnalazła niemal wszystko. Brakowało jedynie jednego opakowania hermetycznie zapakowanej żywności przeznaczonej dla niej, oraz części fiolek z lekami. Te zapadziały się gdzieś, gdy podczas wstrząsów towarzyszących upadkowi puścił zamek pojemnika. Odnalazła ich jednak tyle, że powinno wystarczyć dla geologa na resztę podróży. Dla niej najbardziej dotkliwe było to, iż przepadła fiołka z actinolem. Cóż – od tej pory będzie musiała się obywać bez sztucznego wspomagania.

Ponownie stanęła nad plastikową płachtą, na którą przeciągnęła naukowca. Cały ekwipunek był już na powrót starannie przymocowany obok niego.

– Nie wiem – zawahała się – czy spróbować już teraz wyjść na górę, czy może najpierw odpocząć ... Chociaż nie jestem aż tak zmęczona. Chyba wolałabym już mieć to za sobą. Jest pan gotów?

– Na tyle, na ile tylko może być gotowa do wędrowki istota z połamanymi nogami. Jeśli jest pani przekonana, że da sobie radę, to zaczynamy.

Najwyraźniej zaczynał eksperymentować z poczuciem humoru na większą skalę. I miała wrażenie, że mu się to spodobało. Mimo woli milcząco uśmiechnęła się sama do siebie. Poczynił wielkie postępy, skoro umiał już żartować z samego siebie, i to w tak niewesołej sytuacji. Niewielu ludzi to przecież potrafiło... Pokiwała głową nie wiedzieć nad czym, mocniej ujęła swą laskę, opasała się linkami przy-mocowanymi do płachty, i ruszyła oporny ładunek.

A jednak nie okazało się to tak proste, jak przypuszczała. Nie udało jej się podejść z całym ładunkiem wyżej, jak na kilka metrów. Był on po prostu zbyt ciężki, i ściągał ją w dół. Przyszło jej więc do ponownego rozpakowania ekwipunku, i żmudnego wnoszenia na górę poszczególnych jego części. Butle tlenowe, żywność... Gdy szła w górę sama, jakoś dawała sobie radę; laska tym razem służyła jej jako czekan, który wbijała w lód. Wreszcie na górze znalazło się już wszystko, oprócz płachty, na której spoczywał geolog. Schodząc po raz ostatni w dół, starannie oczyściła dwumetrowej szerokości pas lodu, aby szczątki lodowego gruzu nie stawiały zbędnego oporu dość dużej płachcie plastyku.

Niemal przeceniła swoje siły. Musiała się zatrzymywać dosłownie co chwilę, czując walące w piersi serce i opływający jej ciało pot. Zakwaszone mięśnie boleśnie dawały znać o sobie wraz z każdym jej ruchem, a parę razy przed oczami pokazały się drobne, jasne, wirujące plamki – nieomylna oznaka wyczerpania. Postanowiła jednak, że się nie da – choć jeden raz omal nie zrezygnowała, gdy linki wyslizgnęły jej się z dłoni i płachta zjechała dobre piętnaście metrów w dół.

Gdy wreszcie, niemal nie wierząc własnym oczom, ujrzała skraj niecki o kilka metrów od siebie, poczuła niespodziewanie, że w żaden ludzki sposób nie zdoła przejść tych kilku metrów. Pochyliła się bezwładnie do przodu, niemal klękając na lodzie, i znienacka coś w niej

pękło. Z dzikim wrzaskiem rzuciła się przed siebie, wlokąc za sobą płachtę podskakującą na nierównościach. Z impetem przekroczyła lodowy próg, jednak płachta zahaczyła o niego, a wtedy Sheena z jakimś chrapliwym, nieartykułowanym odgłosem szarpnęła wściekle linki. Coś trzasnęło, a płachta wraz z trzymającym się jej kurczowo geologiem niemal przefrunęła nad urwiskiem.

Stała tak, patrząc z gniewnym niezrozumieniem na otaczającą ją szeroką panoramę Ganimesesa, na łagodne wzgórza ciągnące się aż do horyzontu, i wciąż nie docierało do niej, że ma to już za sobą.

– Czy mógłbym się dowiedzieć, dlaczego pani krzyczała? – zainteresował się dość nieśmiało geolog, i to dopiero przywróciło ją rzeczywistości.

– Proszę?

– Krzyczała pani, i poruszała się ze znacznie większą prędkością, niż przedtem... Czy to jakiś rytuał?

Zmieszała się nieco, przypomniawszy sobie swoją niemal atawistyczną reakcję na niemoc, jaka ją przed chwilą ogarnęła. Nagle poczuła, jak adrenalina na powrót ustępuje miejsca potwornemu zmęczeniu, sączącemu się w jej żyły.

– Rytuał...? Może i tak – powiedziała niewyraźnie, szukając wzrokiem skrawka wolnego miejsca na płachcie. Runęła na wznak obok geologa i zamknęła oczy.

– Muszę się przespać – zdołała jeszcze powiedzieć. I natychmiast po tym zasnęła.

Siedzieli w niemal całkowitych ciemnościach, a niespokojne myśli przepływały przez ich głowy, nie dając im ani chwili wytchnienia. Każde z nich zadawało sobie to samo pytanie: jak do tego mogło dojść? W jaki cholerny sposób Kh-kh-boyn dostali się do wnętrza stacji, omijając służę? Jak długo pozostawała w powietrzu toksyna, której użyli dla wyeliminowania z akcji ludzi? W jaki sposób w ogóle wprowadzili ją do systemów wymiany powietrza? I co się działo w

chwili obecnej z owymi ludźmi? Z ich kolegami z jednostki, resztą załogi... z dwoma Rahańczykami...?

Zwłaszcza odpowiedź na jedno z tych pytań dręczyła ich przede wszystkim, jako mogąca mieć bezpośredni wpływ na to, co spotka ich w najbliższym czasie. Jednak nie mając dostępu do dobrze wyposażonego laboratorium, w żaden sposób nie mogli poddać analizie próbki otaczającego ich powietrza. A co za tym idzie, nie mogli wiedzieć, jaki jest czas trwania owej niezidentyfikowanej substancji. Wiedzieli o niej zaledwie tyle, że wywoływała tak nieprzyjemne efekty, jakich doświadczyli wszyscy troje na początku, potem zaś prowadziła do utraty świadomości. Żadne z nich nie miało zaś najmniejszego pojęcia, co później działo się z poddanym jej działaniu człowiekiem. Chociaż sądząc po Rayu Sanchezie, który według wszelkiego prawdopodobieństwa łykał tego świństwa najwięcej, utrata przytomności była krótkotrwała. Należało jednak wziąć pod uwagę, że natychmiast po tym jak substancja ta dostała się do jego organizmu, dostarczono mu potężnej dawki świeżego powietrza z zapasów skafandra. W chwili obecnej jednakże czuł się dobrze, podobnie zresztą jak Gwen i Brian.

Wszyscy oni siedzieli w jednym z kanałów wentylacyjnych na ósmym poziomie. Dotarli tu skomplikowaną siecią tuneli, niektórych dość szerokich, niektórych zaś na tyle wąskich, że z najwyższym trudem się przez nie przeciskali. Do ostatniej chwili nie mieli w zasadzie większego pojęcia, gdzie się znajdują. Idąc w górę, naturalnie nie mogli korzystać z żadnych wind; pozostawały im jedynie szyby wentylacyjne i serwisowe. Obie te sieci kanałów opłatały w zasadzie całą stację w sposób niewidoczny dla kogoś, kto do tej pory poruszał się jedynie w korytarzach. I te nieprzytulne labirynty od tej chwili przez nie wiadomo jak długo miały stać się dla nich miejscem schronienia. Więc szli jak dotąd wciąż w górę, aby po prostu oddalić się od niewątpliwie strategicznego punktu, jakim były doki. Zaś tu, na ósmym poziomie, panowała już na tyle przyzwoita grawitacja, że przynajmniej mogli spokojnie usiąść pod ścianą.

– I tylko tyle nam pozostało – powiedział Brian z nagłą wściekłością. – Możemy tylko siedzieć, w dodatku w ukryciu, bo wszędzie

dookoła najprawdopodobniej roi się od tych obrzydliwych pajakowatych stworów. W dodatku wyposażonych w śmiertcionośną broń i zdecydowanych za wszelką cenę podbić tę stację, Marsa, Ziemię... Tylko dlaczego, do cholery? Mój Boże, gdybyśmy chociaż wiedzieli, z jakiego pieprzonego powodu zaczęło się to wszystko!

– Prezydent przecież mówił... – zaczął niepewnie Sanchez, ale Brian nie dał mu skończyć.

– Prezydent, jak na mój gust, cholernie dużo nie domówił. Nie uwierzę, aby jakieś potwornie stare ruiny czy coś w tym rodzaju były w stanie wywołać coś takiego. Nie, tu musi chodzić o coś więcej...

Zamilkł, kręcąc głową.

Rozmawiali z pominięciem radia, a korzystając ze starego, sprawdzonego sposobu: przytykając swoje hełmy do siebie. Siedzieli, myśleli i wpatrywali się we wskaźniki poziomu powietrza w butlach, których zielone kreseczki właśnie przekraczały czerwone pole rezerwy.

Brian poruszył się i gestem głowy dał do zrozumienia, że znowu chce z nimi pogadać. Trzy głowy niezwłocznie stuknęły o siebie.

– Tlen się kończy – powiedział bez wstępów, nieco chrypliwym głosem. – Nie mamy rezerw. Nie wiemy, czy można już oddychać powietrzem z zewnątrz.

– Nic nie możemy zrobić – mruknęła Gwen. – Tlenu nie zdobędziemy, bo nie możemy dotrzeć do magazynów z wyposażeniem dla ubiorów próżniowych. One są tuż przy dokach. A tam teraz aż roi się od pajaków...

– Wiem. Jest inny sposób – przerwał na moment i zaczerpnął głębiej powietrza. – Od momentu skażenia powietrza minęły już ponad trzy godziny. Istnieje szansa, że systemy filtrujące stacji uporały się już z tym świństwem. Albo też było ono na tyle nietrwałe, że zdążyło się już rozłożyć.

– Liczysz na to?

– Na coś muszę liczyć. Za chwilę zdejmę hełm... poczekaj, pozwól mi skończyć. Jeśli nic mi się nie stanie, to w porządku, wy też zdejmiecie swoje.

– A jeśli padniesz jak mucha? – Ray patrzył mu prosto w oczy.

– To nic nie róbcie – mruknął Brian widząc, jak oczy Gwen nagle się rozszerzają. – Załóżcie mi tylko hełm ponownie, nie zamierzam popełniać samobójstwa. Albo i nie, powietrze i tak się kończy... zostawcie mnie po prostu. Może człowiek po zatruciu tym czymś nie potrzebuje żadnego antidotum, być może budzi się sam?

– A jeśli nie?

– Alternatywą jest uduszenie się. Macie większą ochotę na pewną śmierć, czy tylko na prawdopodobną?

Zapadła cisza. Brian nie oczekiwał żadnych sprzeciwów, w końcu to on nominalnie był szefem dwuosobowego zespołu, jaki stanowił wraz z Gwen. W swoim zespole Sanchez był również podwładnym. Czyli, w zasadzie Brian był wśród nich najstarszy stopniem. I jako dowódca ich oddziału niedobitków, wiedział, że to on zrobi to, co należało.

Wreszcie, nie patrząc na nich, sięgnął do szyi i powoli, jeden po drugim, odpiął wszystkie cztery zatrzaski. Ujął hełm w obie dłonie, wykonał ćwierć obrotu, zawahał się jakby i w końcu wolno uniósł go do góry. Gwen z przygryzionymi wargami, trzymając dłoń na jego kolanie, patrzyła na jego spoconą twarz.

Odetchnął wreszcie głęboko, czując, że dłużej nie wytrzyma ze wstrzymanym oddechem. Do płuc dostało mu się powietrze, być może nie woniejące fiołkami, ale powietrze. Nic podejrzanie nie pachniało, nie odczuwał też na razie podejrzanych sensacji ani wzrokowych, ani żadnych innych. Odetchnął głęboko jeszcze kilka razy, parsknął i uśmiechnął się szeroko.

– Żyjemy, kochani.

Gwen i Sanchez ujrzeli tylko, jak bezgłośnie porusza ustami, jednak wyraz jego twarzy mówił sam za siebie. W dalszym ciągu obserwując go uważnie, zdjęli swoje hełmy. Sanchez odetchnął równie głęboko jak Brian przed chwilą, i roześmiał się nagle cicho, kręcąc głową. Wtedy wszyscy spojrzeli po sobie.

– Co teraz? – zadała wreszcie pytanie Gwen. – Wiemy już, że nie zdechniemy przynajmniej z braku tlenu ani zatruci. Co więc będziemy robić?

– Na początku warto byłoby zaopatrzyć się jednak w zapasowe butle z tlenem – powiedział cicho Sanchez. – I proponuję, abyśmy nasze hełmy nosili stale przy sobie. Na wypadek, gdyby te typy ponownie wpuściły do klimatyzacji jakieś paskudztwo.

– Dobry pomysł – Brian kiwnął głową. – Będziemy musieli przeprowadzić w rejonie magazynów małe rozeznanie. Być może jakaś odnoga systemu klimatyzacyjnego prowadzi i do tamtych pomieszczeń... zobaczymy. Broń na szczęście mamy, zarówno karabiny plazmowe, jak i pistolety... macie pistolety?

Potwierdzili skinieniami głowy.

– To dobrze. No i na koniec, a może raczej przede wszystkim, należy też pomyśleć o jedzeniu. Ja przynajmniej jestem już głodny.

– A co potem...?

Brian spojrzał na Gwen i znenacka twarz rozpromienił mu szeroki uśmiech.

– Potem będziemy walczyć, moja droga. Czyż nie jesteśmy żołnierzami?

Po siedmiu godzinach snu, podarowanych jej przez geologa, obudziła się sama, rześka i wypoczęta. Potem szła przed siebie, ciągnąc swoje brzemię, niemal dwadzieścia godzin. Pozwoliła sobie zaledwie na dwie przerwy, podczas których zapadała w krótką, dość nerwową drzemkę. Po owych dwudziestu godzinach, podczas których omal ponownie nie wpadli do podlodowego bąbla, przespała kolejne pięć godzin. Potem szli znowu, aż nogi niemal odmówiły jej posłuszeństwa. Wtedy łyknęła tabletkę actinolu, którą jakimś cudem znalazła luzem w kieszonce skafandra. Przez kolejne dziesięć godzin szła przez siebie, to rozmawiając z geologiem o wszystkim co tylko im przyszło do głowy, to znów pozwalając na długie okresy milczenia, podczas których tamten najwyraźniej zasypiał. Ona jednak szła dalej, od czasu do czasu sprawdzając na kompasie kierunek, w jakim się poruszali, choć wiedziała przecie, że wskazania tego przyrządu są na Ganimesie dość niepewne.

W pewnym momencie poczuła się jednak zaniepokojona. Nie miała oczywiście dostępu do zniszczonego wraz ze *Sparkiem* systemu pozycjonowania satelitarnego, który wyznaczyłby jej pozycję na powierzchni satelity z dokładnością do dwóch milimetrów. Jednak ze wskazań krokomierza wynikało niezbicie, że baza powinna znajdować się niemal tuż przed nimi.

Nie widziała zaś niczego oprócz ciągnących się w nieskończoność, lodowych wzniesień. Pomimo to szła jednak dalej, aż do momentu, gdy osiągnęła punkt, w którym stacja musiała się po prostu znajdować. Nie było tu jednak niczego.

Stanęli.

– Nie ma bazy – powiedziała po prostu zmęczonym głosem. W tej chwili miała po prostu ochotę usiąść na lodzie i się rozplakać. Cudem dosłownie zdołała się powstrzymać.

– Błąd w nawigacji – rzekł krótko geolog, jednak w jego głosie nie znalazła nawet śladu wyrzutu. – Ganimedes to całkiem duży glob, musimy o tym pamiętać. Być może rozminęliśmy się z bazą o kilkanaście kilometrów?

– Być może – westchnęła ciężko Sheena. – Moim zdaniem jednak, błąd nie może być zbyt duży, choć kompas nie na wiele się tu przydaje. Nie mogłam jednak wiedzieć, że stracimy statek z jego urządzeniami...

– Nie mogła pani – zgodził się nieziemiec. – Coś jednak trzeba zrobić...

Nawet wiedziała już, co. Bez namysłu zatem chwyciła linki, skrzyła w bok i zaczęła okrążyć to miejsce po wielkiej spirali. Zataczała półkolistą linię, idąc niczym automat. Czasem mówiła sama do siebie, czasem zaś rozmawiała z geologiem, który zaczynał być tak samo niespokojny jak ona. Najczęściej jednak szła niczym w półśnie, machinalnie wspinając się na niższe wzniesienia, omijając wyższe, wypatrując zmian w zabarwieniu lodu. Powoli zaczynało jej się wydawać, że idzie już tak przez tę łagodnie pofałdowaną przestrzeń od bardzo, bardzo dawna... Nie potrafiła jakoś wyobrazić sobie momentu, w którym coś zmieni się w krajobrazie. W którym ujrzy dalekie światła stacji...

W pewnym momencie stanęła przed wzniesieniem, nie będąc pewną, czy ominąć je, czy też raczej wspiąć się na nie. I raptem doznała olśnienia. Rozejrzała się dookoła, po raz pierwszy od długiego czasu uważniejszym wzrokiem, i niezbyt daleko ujrzała jedno z tych miejsc, gdzie skalna powierzchnia satelity przebijała lodowiec i wznosiła się w górę znacznie wyżej niż lodowe pagórki. Zerknęła na geologa, jednak ten zdawał się spać, zatem pozostawiła go chwilowo samemu sobie. Sama zaś, uzbrojona w swą laskę, poszła w kierunku samotnej, wysokiej skały. Podejście nie było zbyt trudne, poza tym znów dały znać o sobie dobrodziejstwa mniejszej grawitacji satelity. Pomagając sobie laską-czekanem, wkrótce znalazła się niemal na samym szczycie. Rozejrzała się dookoła.

I niemal natychmiast dostrzegła na południowym zachodzie dość słabą, ale wyraźną lunę. Nie widziała samych kopuł, co znaczyło, że są schowane poza horyzontem, czyli... szybko policzyła w myślach. Ganimedes ma promień równy około dwóm tysiącom sześćset kilometrów, ona zaś znajduje się w tej chwili mniej więcej dwadzieścia pięć metrów ponad powierzchnią lodu. Zatem odległość od horyzontu wynosi... cholerne pierwiastki... no, mniej więcej dziesięć kilometrów. Czyli do bazy musi być tylko trochę dalej. Niech więc będzie to dwanaście kilometrów... O, niech to szlag. Chociaż, z drugiej strony, to nie jest znowu aż tak bardzo daleko, w porównaniu do odległości, jaką już zdążyli przejść...

Zapamiętała azymut, po czym – wypełniona nagłą radością i energią – niemal sfrunęła ze skał. Ślizgając się po lodzie, powróciła do geologa. Wio, koniku...

Mniej więcej po drugim kilometrze przyszło jej nagle coś na myśl: w tej chwili była oddalona od bazy nie więcej, jak o dziesięć kilometrów. A to była już odległość, z jaką powinien dać sobie radę jej nadajnik. Zawahała się jednak: nawet jeśli w bazie ją usłyszą i obiecują przysłać pojazd ratunkowy, skąd mogła mieć pewność, że wrogі myśliwiec z orbity nie dotrze tu szybciej, niż pomoc...? Postanowiła odczekać jeszcze trochę.

W międzyczasie geolog obudził się i w milczeniu wysłuchał, co miała mu do powiedzenia. Ani słowem nie okazał radości z tego, że

nareszcie z całą pewnością wiedzą, dokąd mają iść. Dostrzegła jednak dość charakterystyczne przymrużenie żółtych oczu, co do tej pory przeważnie zdarzało mu się w momentach, gdy słyszał coś zabawnego lub gdy oznajmiała mu jakieś dobre wieści. Jeszcze trochę – pomyślała z humorem – a stanę się ekspertem od mowy ciała przedstawicieli innych gatunków...

Godzinę później, po następnych trzech kilometrach, gdy minęli kolejny lodowy pagórek, ich oczom ukazał się precudowny widok: zza powierzchni lodu nieśmiało wylaniał się wierzchołek centralnej kopuły *Blue One*. Sheena nie mogła się powstrzymać i wydała przeciągły okrzyk radości. Obejrzała się w stronę Khree'ro, jednak ponowny okrzyk zamarł jej na ustach, gdy znienacka dostrzegła, jak z nieba zniża się mała iskra. Iskierka owa błyskawicznie powiększyła się do rozmiarów niewielkiego statku kosmicznego przystosowanego również do lotów w atmosferze, o czym świadczyły jego opływowe kształty. Statek z hukiem przemknął nad ich głowami, po czym pognął w kierunku kopuły. Sekundę później oślepiająco biała struga energii na ułamek sekundy połączyła statek z kopułą, po czym myśliwiec podeirwał się i pognął z powrotem w niebo.

W pierwszym momencie nie była pewna, kto do kogo strzelał. Dopiero gdy dostrzegła, że gwiazdy tuż nad kopułą są nieco jakby rozmazane i drżące, zrozumiała, że oto pole ochronne właśnie rozprasza potężną energię, której nie zdołało w całości odbić.

Zatem stacja znajdowała się pod ostrzałem. I to już nie była dobra wiadomość. Odwróciła się do geologa i z westchnieniem usiadła przy nim na wolnym skrawku płachty. Pociągnęła nosem i niespodziewanie skrzywiła się na myśl o zapachu, jaki z pewnością musiało już wydzielać jej ciało po tym straszliwie długim zamknięciu w skafandrze. Na razie jednak należało razem coś wymyślić, jakiś sposób na dostanie się w zasięg pola ochronnego...

Piętnaście minut później wstała i poczęła ciągnąć swój bagaż w stronę stacji. Sama nie wiedziała już, ile minęło czasu, zanim zatrzymała się wreszcie nie dalej, niż o dwieście metrów od granicy pola, oznaczonej od wewnątrz markerami. Z tej odległości widziała już wyraźnie szczegóły konstrukcji w perymetrze stacji, wieże szybów

prowadzących do stanowisk wykopalisk, wszystkie metalicznie i niebieskawo pobłyskujące kopuły *Blue One*. Odruchowo poszukała wzrokiem wielkich lejów powstałych w lodzie po katastrofie wahadłowca, i samego wraku, ale miejsce to znajdowało się z drugiej strony kompleksu zabudowań bazy. Może to i lepiej. Wręcz łapczywie patrzyła na kopuły: tak blisko do bezpiecznego azylu, a nic im to nie dawało. Ze względu na pole równie dobrze mogli się znajdować z powrotem na drugiej półkuli... No nic, jeśli uda się zrealizować to, co wymyśliła, to może za parę godzin będą siedzieli wspólnie ze znajomymi i jedli obiad. A może kolację? – jakoś nie chciało jej się spojrzeć na zegarek, chodzący wciąż według czasu obowiązującego w *Blue One*.

Przedtem już nastawiła nadajnik na nieco większą moc, która powinna wystarczyć do nawiązania kontaktu z centralną dyspozytornią. Niemal pewna była, że właśnie to miejsce major Donner wybrał na swoje pomieszczenie operacyjne. A jeśli nawet nie, to i tak go tam ściągną.

– *Blue One*, zgłasza się Sheena Vint – powiedziała po prostu. – Słyszycie mnie?

W słuchawkach zachrobotło, przez dobrą chwilę jednak panowało milczenie.

– Proszę powtórzyć – zażądał wreszcie nieufny i jakby zdumiony kobiecy głos. Czyżby Helen?

– Mówi Sheena Vint – powtórzyła posłusznie. – To naprawdę ja, i nie chcę nadawać zbyt długo, aby nie namierzono mnie z orbity. Jestem wraz z rannym geologiem kilkaset metrów od granicy pola. Niemal dokładnie na północnym wschodzie od was. Wymyślcie coś, żeby mnie stąd zabrać. Czekam na wiadomość, koniec nadawania.

– Czekaj spokojnie, zaraz przekażę to majorowi Donnerowi. I trzymaj się, Sheena.

Coś podobnego, Helen zdobyła się na uprzejmość. Czyżby podczas jej nieobecności doszli do wniosku, że nie mogą jednak bez niej żyć? Bardzo interesujące...

Czekali więc, siedząc na płachcie. Wyposażenie i samą płachtę Sheena przysypała miłkim śniegiem, aby zbyt nie rzucały się w

oczy komuś lecącemu nad nimi. Miało to sens, bowiem w ciągu kolejnych kilkunastu minut przeleciało w ich pobliżu co najmniej pięć kolejnych myśliwców. Może zresztą był to ciągle ten sam, ponawiający ataki, tego nie sposób było stwierdzić.

Drgnęła, gdy niespodziewanie usłyszała głos w słuchawkach.

– Słyszysz mnie, Sheena? – to już był major.

– Głośno i wyraźnie – odparła zmęczonym głosem.

– Wiemy już, jak was stamtąd wyciągniemy – oznajmił rzeško. –

Trochę już zaczynaliśmy się niepokoić, szczerze mówiąc. Gdzie jest wasz pojazd?

– Rozbity, około dwustu kilometrów stąd.

Na moment zapadła cisza.

– Powtórz, proszę.

– Około dwustu kilometrów stąd. Przyszliśmy piechotą.

Ponowna chwila milczenia.

– Rozumiem. Profesor jest z tobą, jak rozumiem?

– Tak. Ranny, nie może się poruszać samodzielnie.

Kolejna chwila ciszy.

– Rozwiń ten temat, proszę.

– Ciągnęłam go, tak jak resztę ekwipunku. Majorze, jeśli pociągniemy tę rozmowę dłużej, tamci namierzą mnie z orbity. Opowiem panu wszystko ze szczegółami, gdy mnie... gdy nas już stąd wyciągniecie. Co ma pan dla mnie?

– Masz rację. Po prostu pozostaniecie w miejscu, w którym jesteście. Przekopimy do was tunel pod lodem, powinniśmy wyjść na powierzchnię w promieniu stu metrów od was. Po wyjściu uruchomimy znacznik błyskowy na wypadek, gdybyście nie dostrzegli nas od razu w tym śniegu. Nasi ludzie już zaczęli prace. Czekaście spokojnie i nie ruszajcie się z miejsca. Bez odbioru.

– Dzięki – mruknęła, nagle wyzuta ze wszystkich emocji. Nawet nie umiała się już jakoś cieszyć, że oto już niebawem będzie w znajomej, bezpiecznej bazie.

Raptem poweselała. Przypomniała sobie o kąpieli i wygodnym łóżku. W tej dokładnie kolejności.

Dość zgodnie za jedną z najważniejszych w tej chwili rzeczy uznali zatroszczyć się o jedzenie. Mogli pójść do jednej z kuchni, choćby należącej do którejś z restauracji pokładowych, mogli też spróbować szczęścia w jednym z magazynów położonych blisko osi stacji. To jednak oznaczało powrót do strefy niskiej grawitacji, czyli do miejsc, gdzie z całą pewnością przebywało przynajmniej kilku z najeźdźców. Szkopuł polegał na tym, że nie mieli zielonego pojęcia, ilu nieziemców tak naprawdę wdarło się do stacji. Nie wiedzieli, czy było ich tyłu, że należało poważnie brać pod uwagę spotkanie któregoś z nich na pokładach stacji. Być może bowiem po unieszkodliwieniu ludzi poprzestali jedynie na obsadzeniu strategicznie ważnych punktów, do których jednak z pewnością należały doki.

– Że też nie mamy dostępu do kamer – powiedziała Gwen tęsknym tonem. – W kilka minut moglibyśmy się zorientować w całym tym galimatiasie. Ale pewnie tamci zajęli już dyspozytornie...

W tym momencie Briana olśniło.

– Nie wiadomo, czy wszystkie – rzekł z nagłym podnieceniem. – Major Coburn urządził przecież niewielką centralkę w tej pakamerze obok doków, pamiętacie? Może uda się z niej skorzystać.

– Myślisz, że jej nie zajęli?

– Niczego nie mogę być pewien. Mogę jedynie mieć nadzieję. Takich zakamarków na całej stacji jest cholernie dużo, a przecież nie mogą chyba, u licha, w każdym z nich bezustannie mieć kogoś jako stróża?

– Możemy jedynie mieć nadzieję – mruknął jak echo Sanchez. – Nie przekonamy się, dopóki nie spróbujemy. Jeśli nam się uda, możliwe nawet, że zdołamy ustalić, gdzie zgromadzili wszystkich ludzi...

Nie dodał: jeśli jeszcze żyją, ale wszyscy właściwie odczytali to niedopowiedzenie. Brian kiwnął głową.

– Musimy jak najlepiej poznać cały ten system przewodów i kanałów. Nie wiecie przypadkiem, czy na każdym poziomie został on zbudowany według tego samego planu?

– Poziomy są coraz mniejsze, patrząc w górę – przypomniała Gwen. – Na pewno więc istnieją różnice w systemie wentylacji.

– Racja. No cóż, musimy sobie jakoś dać radę...

Poszli po jedzenie. Na pierwszy ogień wybrali magazyny żywności w pobliżu osi stacji. Stamtąd bowiem było dość blisko do centralki majora Coburna, do której również zamierzali się dostać.

Mijali kolejne włazy, prowadzące do szerokich kanałów pośrednich, biegnących w przestrzeniach oddzielających kolejne poziomy. Te szerokie przewody okręzały jednym ciągiem każdy poziom, a masywne włazy, które w razie dehermetyzacji któregoś z poziomów mogły się automatycznie zatrzasnąć, były rozmieszczone dość często. W chwili obecnej były naturalnie otwarte.

Okazało się, że nie wiedzieć czemu kanały wentylacyjne na wyższych poziomach były zbudowane nieco inaczej niż te na położonych bliżej osi stacji; miały mianowicie przekrój koła, a nie kwadratu. Po staremu budowane były jedynie krzyżujące się z nimi od czasu do czasu kanały serwisowe, prowadzące do żywotnych urządzeń, do których nie można się było dostać w inny sposób.

Zrobili sobie chwilę odpoczynku, podczas której zastanawiali się nad przyczynami takiego stanu rzeczy.

– Przecież stacja początkowo nie była dyskiem – zauważył nagle Sanchez. – Zbudowano ją jako torus, dopiero potem wypełniano go kolejno dobudowywanymi poziomami. Wtedy już mogli budować inaczej.

Brian ponuro pomyślał, że to on powinien był znać odpowiedź na to pytanie, biorąc pod uwagę swoje wykształcenie.

– Brakowało im miejsca? – spytała leniwie Gwen, oparta o ścianę.

– W pewnym sensie – mruknął Brian. – Za dużo turystów pojawiło się w tych okolicach.

– No, nie tylko turystów – zaprotestował Sanchez. – A te hordy naukowców? Jedni i drudzy pchali się na Cydonię!

– Nadal się pchają...

– No proszę – burknął Ray. – Wtedy, gdy druga ekspedycja załogowa lądowała w 2023 roku w okolicach Cydonii i odkryła te pira-

midy i kamienną twarz, jakoś nikt nie rzucił się na nas, aby zdobyć to dla siebie. A teraz?

– Wtedy jeszcze nie mieliśmy pojęcia o istnieniu Wspólnoty. A poza tym, to te piramidy odkryto już na zdjęciach z próbników w XX wieku. Wtedy jednak nie było pewności, że są one sztuczne...

– Wciąż mieliśmy nadzieję na znalezienie pozostałości po rdzenie marsjańskiej cywilizacji – rozmarzyła się nagle Gwen. – To były bardzo romantyczne czasy. Szkoda, że Marsjan nigdy nie było.

– Znalezione jednak ślady życia – pocieszył ją Brian. – Co prawda twoi Marsjanie nigdy nie wyszli poza stadium bakterii, porostów i robaków, ale jednak byli...

– Robaki jednak nie zbudowały tych piramid, i to dwadzieścia milionów lat temu – zauważył Ray nieco zgryźliwie. – To dużo za wcześniej nawet jak na Przedwiecznych. Kto to zrobił, jak myślicie?

Brian wzruszył tylko ramionami.

– Nie tylko ludzi to ciekawi. Większość ekip naukowych w tamtym rejonie to Galaktowie. Oni też nie mają pojęcia, kto to zbudował, i po co. No, ale nie siedzimy tu w celu odbywania dyskusji o archeologii, nie? Ruszać tyłki, idziemy dalej...

Stopniowa utrata wagi w miarę zbliżania się do osi zaczęła sprawiać kłopoty. Musieli zacząć korzystać z klamer, dość gęsto wbudowanych w ścianę dosłownie każdego tunelu na stacji. Były dokładnie takie same jak te na normalnych korytarzach. Po raz kolejny też stracili orientację w ciasnym labiryncie, i musieli się posiłkować ukradkowym wyglądem przez kraty zamykające wyloty tuneli. Wyloty takie prowadziły niemal do każdego pomieszczenia – ich zadaniem było wszakże doprowadzanie świeżego powietrza.

Ani razu jednak nie dostrzegli żadnego z pająkoksztalnych Khkh-boyn, ani też żadnego z ludzi. Wreszcie, po kilkunastominutowym błędzeniu, odnaleźli poszukiwany magazyn. Tu się zawahali.

– Zdejmę kratę i zejść na dół – zdecydował wreszcie Brian. – Wy trzymajcie na muszce drzwi do magazynu, zanim do nich dojdę i nie zablokuję od wewnątrz. Wtedy dopiero pomożecie mi przeładować część z tych dóbr do nas, na górę.

– Czemu akurat ty? – chciała dowiedzieć się Gwen, udał jednak, że nie dosłyszał jej pytania, zajęty zdejmowaniem kraty z zatrząsków. Wreszcie krata zawisła w powietrzu obok otworu, a Brian zgrabnie prześlizgnął się przez powstały otwór i poleciał w dół. Czekali w napięciu, aż nie przestawił sterowania drzwiami z automatycznego na ręczne i nie zablokował drzwi przed dostępem z zewnątrz. Takie mechanizmy były dostępne nie wiedzieć czemu jedynie w magazynach, i Brian – mający wszak niemałe pojęcie o tajnikach budowy obiektów kosmicznych – solennie postanowił sobie porozmawiać z projektantami tej stacji zaraz po powrocie na Ziemię. Bardzo chciał im zadać kilka pytań. Oczywiście, jeśli będzie mu w ogóle dane jeszcze kiedykolwiek zobaczyć ojczystą planetę...

Kolejne pół godziny spędzili niezwykle pracownicy, przeładowując do kanału dosłownie setki pojemników z pakowaną żywnością i napojami. Gwen pracownicy układała je tak, aby nie zablokowały im przejścia. Wreszcie krata znalazła się na swoim miejscu, a obaj mężczyźni przy niej.

– Sporo tego – zauważył z zadowoleniem Sanchez, mierząc wzrokiem kolorowe opakowania, unoszące się swobodnie i objijające o siebie i ściany.

– I bardzo dobrze, starczy dla nas trojga przynajmniej na kilkanaście dni – mruknął Brian. – Potem przyjdzie się tu znowu. A teraz trzeba będzie to wszystko przenieść do kanału pośredniego. To tak na wszelki wypadek, wolę aby nie zostało to tutaj.

Gdy skończyli i to zadanie, postanowili zgodnie z planem odwiedzić była centralę majora Coburna. Jeśli bowiem zainstalowane tam monitory były sprawne i gotowe do dalszego działania, to mieli sporą szansę dowiedzieć się choć w przybliżeniu, ilu wrogów znajduje się w chwili obecnej na pokładzie. A może nawet uda im się stwierdzić, gdzie znajdują się uwięzieni członkowie załogi... o ile oczywiście byli uwięzieni, a nie zamordowani. Być może też nie było ich już na stacji, jeśli nieziemcy zdecydowali się na przykład odtransportować ich na jeden z wielkich statków swojej floty.

Orientowali się już coraz lepiej w systemie wykorzystanym przez budowniczych przy planowaniu sieci kanałów. W zasadzie na każdym

poziomie były one budowane według tego samego planu, a jedynie z modyfikacjami wynikającymi z konieczności uwzględnienia coraz większej ilości pomieszczeń na kolejnych, coraz niższych poziomach. W pewnym momencie minęli miejsce, gdzie po raz pierwszy schronili się w kanale. Brian zboczył w tę odnogę i zerknął w głąb wielkiego pomieszczenia; pierwszą rzeczą, jaką zobaczył, było czterech nieziemców stojących obok siebie i wydających jakieś przeraźliwe, kłokocząco-szczękające dźwięki. Minęła długa chwila zanim uświadomił sobie, że oni po prostu rozmawiają.

Jednak pomieszczenie, o które im chodziło, znajdowało się niemal dokładnie po drugiej stronie wielkiej hali. Wrócił więc spieszenie do przyjaciół i poszli dalej. Po którejś kolejnej próbie odnaleźli właściwą odnogę. Tu krata prowadząca do pomieszczenia była nieco mniejsza, a na domiar złego wewnątrz nie świeciło się światło, włączające się samoczynnie przy wejściu kogokolwiek. Chwilę trwali w rozterce, nie wiedząc, co zastaną w środku, aż nagle Gwen popukała się w czoło.

– Skoro światło się nie świeci, to tam nie ma nikogo – mruknęła zgryźliwie. – Nie było mowy o tym, że oni widzą po ciemku. Zdejmować kratę?

– Ja to zrobię – zaofiarował się Sanchez. Odsunęła się, robiąc mu miejsce.

– Zastanawia mnie jedno – powiedział nagle Brian, nie zwracając się do nikogo z nich w szczególności. – Czy ci Kh-kh-boyn mieli dostęp do jakiegoś spisu osób, które powinni znaleźć w stacji?

– A po co ci to? – zdziwiła się Gwen, jednak niemal natychmiast zrozumiała, do czego on zmierza. – A, chodzi ci o to, czy oni w ogóle wiedzą o naszym istnieniu? Że udało nam się w jakiś sposób nie wpaść w ich łapy? Bo skoro nie ma nas wśród tych, którzy padli ich ofiarą...

– Dokładnie. Jeśli o nas nie wiedzą, to mamy szansę na grasowanie w spokoju przez co najmniej parę dni...

– Zrobione – dał się słyszeć głos Sancheza. – Schodzę na dół, tu nie ma nikogo.

– Stań przy drzwiach i blokuj wejście – polecił mu Brian. – Nie chcę, aby ktokolwiek lub cokolwiek weszło tu, zanim my stąd nie wyjdziemy. I pamiętajcie o zachowaniu całkowitej ciszy. Nie możemy mieć pewności, że któryś z nich nie stoi akurat za tymi drzwiami i nie pali papierosa.

– Myślisz, że oni palą?

– Mam nadzieję – powiedział z gryźliwie. – Palenie jest przecież podobno bardzo niezdrowe...

Zeszli za Sanchezem. Brian rozejrzał się; wyglądało na to, że od czasu gdy wyciągał stąd majora, nikt nawet nie zajrzał do niewielkiego, leżącego na uboczu pokoiku. Część monitorów była nadal włączona, przekazując obraz z tych pomieszczeń, jakie obserwował przed utratą przytomności major Coburn.

Nie tracili czasu. Gwen zawisała w powietrzu przed jednym stanowiskiem, Brian zaś, wiedziony kaprysem, wprasował się w jedyne krzesło, jakie znajdowało się w pomieszczeniu nie wiedząc po co, zważywszy na brak grawitacji. Podzielili się terenem poszukiwań: Gwen wzięła kilka poziomów wyższych, Brian zaś więcej mniejszych, niższych. Błyskawicznie przełączali się pomiędzy kolejnymi kamerami, notując w pamięci ilość zaobserwowanych nieprzyjaciół.

– Skończyłam – zameldowała wreszcie, odwracając się w stronę Briana. Ten w dalszym ciągu wpatrywał się w swój monitor. Zerknęła mu przez ramię i poderwała się z miejsca.

– A niech to szlag – syknęła na widok obrazu na ekranie. – Gdzie to jest?!

– Całkiem niedaleko. To jeden z tych wielkich magazynów na czwartym poziomie, w pobliżu niebieskiej windy.

– Są wszyscy?

– Nie liczyłem ich, ale wygląda na to, że chyba wszyscy. Przez moment mignął mi Coburn.

– Szkoda, że nie możemy im przesłać żadnej wiadomości, podniosło by ich to choć trochę na duchu...

– A nam mogłoby tylko zaszkodzić – stwierdził sucho. – Nie zominaj, że wciąż nie mamy pojęcia, w jaki sposób udało im się wejść do stacji, i kto wprowadził toksyny do systemu klimatyzacji. Nie

możemy wykluczyć, że wśród załogi byli kolaboranci. Przynajmniej dopóki nie będziemy mieli okazji przejrzeć dokładnie wszystkich zapisów i taśm z okresu tuż przed ich wejściem.

– Masz rację – rzekła z westchnieniem. – Ale miło wiedzieć, że nic im nie jest.

– Nie ma żadnego z Rahańczyków – powiedział nagle Brian. – Na sto procent, musieli ich odizolować od ludzi. Ciekawe dlaczego...

– Mogę się założyć, że ze względu na ich zdolności ESP – odezwał się półgłosem milczący dotąd Sanchez, wciąż tkwiąc u drzwi. – Pewnie wsadzili ich do jakiegoś pomieszczenia, które następnie ekranowali. Albo w ogóle wywieźli ich stąd, skoro żadne z was ich nie namierzyło. Pewnie byłoby niedobrze dla pajaków, gdyby dzięki Rahańczykom sprzymierzeni na bieżąco dowiadywali się o wszystkim, co się tu dzieje...

– Też racja – kiwnął głową Brian. – No, zaraz skończę.

Wreszcie definitywnie oderwał się od swojego krzesła i spojrzał na Gwen.

– Ilu naliczyłaś?

– Tylko czternastu.

– Ja trzydziestu trzech. Widać skoncentrowali się na wyższych poziomach. Większość pomieszczeń jest pustych...

– Tak jak u mnie. Zatem mamy czterdzieści siedem celów. Powiedzmy, pięćdziesiąt – stwierdziła to spokojnie, z chłodnym profesjonalizmem. W tym momencie Kh-kh-boyn nie byli już dla nich istotami inteligentnymi: stanowili jedynie cele, których jak najszybsze i sprawne wyeliminowanie stanowiło główne zadanie najbliższych dni.

Miło jest wiedzieć dokładnie, co należy zrobić – pomyślała z satysfakcją. I mam nadzieję, że odstrzelę wystarczająco wiele tych cienkich odnóży, zanim skończy mi się amunicja.

Choć dodawała sobie animuszu tego rodzaju myślami, podświadomie wiedziała, że będzie musiała się w jakiś sposób poradzić sobie ze świadomością, że oto zacznie zabijać żywe, a co najważniejsze – inteligentne istoty.

– Zatem: wojna partyzancka? – spytał z uśmiechem Sanchez, odwracając się ku nim.

– Wojna partyzancka – kiwnął poważnie głową Brian. – Ataki z ukrycia, im szybsze i bardziej niespodziewane, tym lepiej. Trzeba będzie w miarę możliwości dopadać te czarne paskudztwa pojedynczo.

Tak, pomyślał. Patrząc na te pajęczaki, można nabawić się prawdziwej ksenofobii. Pomimo, iż na ogół jestem nastawiony do nieziemców raczej przyjaźnie.

Pomyślał o Vaa'ho, który kilka dni temu został stąd ewakuowany na Ziemię. Ciekawe, co teraz porabia. Pewnie nawet nie wie, w jakim bagnie tkwie teraz...

Cóż, miło by było mieć w tej chwili do pomocy jakiegoś telepatę.

Leżąc wciąż w łóżku, przeciągnęła się zmysłowo, rozkoszując się miękkością pościeli. Czystej pościeli, pachnącej pościeli, wręcz doskonałej pościeli. W jaki sposób dotąd mogła nie zwracać uwagi na coś tak wspaniałego, jak świeża, miękka pościel...? Nie mogła tego zrozumieć. W tej chwili wiedziała zaś, że się bezwstydnie wyleguje, ale po koszmarze ostatnich dni uważała, że ma jednak do tego jakieś prawo. Wcześniej zaś, zaraz po tym, jak wreszcie ściągnęła skafander, wzięła prysznic, który sprawił jej wtedy co najmniej taką przyjemność, jak dobry seks. Myśl o seksie przywołała jednak na jej twarz chmurkę, bowiem przed oczami automatycznie stanął jej przystojny paleoarcheolog w objęciach tej wstrętnej harpii. Czym prędzej zmieniła temat rozmyślań, przypominając sobie, jak po kilku dobrych godzinach oczekiwania na lodowej pustyni dostrzegła wreszcie upragnione, migające światelko. Wcześniej musieli przeczekać co najmniej kilkanaście kolejnych nalotów na pozycję *Blue One*. Właściwie zaś to pierwszy dostrzegł światelko geolog.

Brnąc w tumanach śniegu wznieczanych coraz silniejszymi podmuchami wiatru, dotarli jakoś do miejsca, gdzie oczekiwała ich ekipa, która przebiła długi tunel pod lodem, częściowo krusząc go,

częściowo zaś topiąc. Ludzie ci mieli doświadczenie w pracach podłowych, byli bowiem weteranami programu badań archeologicznych na Ganimedesie. To ich dziełem była przecież cała sieć hal i tuneli otaczających starożytne znaleziska. Teraz jednakże, jak to sami zresztą przyznali, dokonali rzeczy prawie niemożliwej, uporawszy się z tą pracą w niespełna cztery godziny.

W bazie geologiem zajęła się natychmiast oczekująca już w pełnym pogotowiu ekipa sanitarna ze starym McGintym na czele. Wtedy to właśnie stało się coś wręcz niewiarygodnego: stała akurat przy noszach, na których leżał geolog. W jednej ręce trzymała swój hełm, drugą zaś niespodziewanie dla samej siebie uściśliła chropawą i niekształtną – według ludzkich standardów – dłoń naukowca. Chwilę patrzyli sobie prosto w oczy, i w tym momencie nie mogła sobie podarować, że wcześniej, przed tym wszystkim, nie mogła się jakoś przekonać do jaszczurowatych Khree'ro. Uśmiechnęła się, nagle skrepowana, nie mogąc jakoś znaleźć właściwych słów.

– Dziękuję ci za to, co dla mnie zrobiłaś, Sheena – powiedział wreszcie on, po raz pierwszy zwracając się do niej po imieniu. Rozejrzał się wokół, ale nikt nie stał wystarczająco blisko, aby ich usłyszeć. – Mam na imię Laott'og.

Czując pustkę w głowie stała i patrzyła, jak sanitariusz zabiera nosze z nieruchomym ciałem, wciąż tkwiącym w niebieskawym, próżniowym stroju pozbawionym już hełmu. Nie była pewna, czy dobrze usłyszała. W takim właśnie stanie znajdowała się, gdy wreszcie wpadła wprost w ręce majora Donnera. Patrzył na nią wzrokiem, który wyrażał pomieszanie niedowierzania, podziwu i jakby lekkiej zgrozy. Mniej więcej tak samo patrzyli na nią inni, z którymi do tej pory się zetknęła.

– Na litość boską...! – zaczął major dość płomiennie, jednak nagle jakby się pohamował. – To jest, chciałem powiedzieć, dobra robota, porucznik Vint. Cholernie dobra. Wiem, że jest pani zmęczona, głodna i śpiąca, dlatego z raportem i tymi wszystkimi bzdurami zaczekamy... powiedzmy, dziesięć godzin. Przez ten czas niech pani doprowadzi się do porządku i wypocznie. Potem proszę zameldować się u mnie.

Nigdy tak bardzo nie pragnęła znaleźć łazienki i sypialni, jednak chwilowo się powstrzymała. Coś nie dawało jej spokoju.

– Tylko jedna sprawa, majorze – powiedziała niepewnie. – Chciałabym się dowiedzieć, jaka jest sytuacja bazy. Widziałam naloty tych myśliwców, wyglądało to dość groźnie...

– Tylko wyglądało, niech się pani nie martwi – uspokoił ją. – Nasze pola ochronne sprawują się nad wyraz porządnie, zgodnie z zapewnieniami Rahańczyków. Niemala też w tym zasługa naszych nowych stacji energetycznych. Prędko się nie przebiją, nie ma obawy. Ładunek, który zdolny byłby nam zagrozić, równocześnie z całą pewnością zniszczyłby teren wykopalisk. A przecież oni właśnie to chcą dostać w swoje ręce – czy co tam mają zamiast nich...

– A nie mogą się przebić pod lodem, tak jak wy to zrobiliście?

Niespodziewanie zachichotał.

– Aby to zrobić, musieliby zacząć ponad trzydzieści kilometrów stąd. Tyle bowiem wynosi zasięg naszych dział energetycznych umieszczonych na szczycie głównej kopuły. Wyrzutnie są sprzężone z generatorami pola – wyjaśnił, widząc zdziwienie na jej twarzy. – Strzelają dokładnie w momencie, gdy pole na ułamek sekundy gaśnie. Zgranie w czasie jest znakomite. Próbowali już budowy jakichś instalacji na wschód od stacji, nawet kilka razy, ale musieli przestać. Zanim zdążą uruchomić swoje osłony, nasza broń robi z nich gulasz.

– Nieźle pomyślane – pochwaliła i znienacka potężnie ziewnęła. – Oj, wybacz pan, majorze.

– Oczywiście, proszę iść...

Teraz leżała zaś spokojnie w łóżku i słuchała najnowszego biuletynu w HV, nadawanego co godzinę przez wewnętrzną sieć stacji, i zawierającego najświeższe wiadomości, jakie dochodziły do *Blue One* ze wszystkich niemal zakątków Układu Słonecznego. Najbardziej wstrząsnęły nią wieści o zagładzie *Ceres Candy* i tajemniczym milczeniu orbitującej wokół Czerwonej Planety stacji *Mars 2*.

– ... stało się to przedwczoraj, czasu ganimedańskiego – mówiła właśnie prezenterka. – Kilka godzin wcześniej stacja zdążyła jedynie zameldować, że wrogowi udało się w jakiś sposób zniszczyć ich generatory pól ochronnych. Niedługo potem meldunki ustały, i to dosłow-

nie w pół słowa. Do tej pory nie udało się odzyskać utraconego kontaktu, i dowództwo UNSF na Ziemi liczy się poważnie z tym, że stacja została opanowana przez najeźdźców. Największe obawy budzi jednak fakt, że według ostatnich danych, na jej pokładach znajdowało się sto sześćdziesiąt osób. Wśród nich było dwóch Rahańczyków przybyłych tam w ostatniej chwili z *Ceres Candy*. Nie wiemy, co się w tej chwili z nimi wszystkimi dzieje, bowiem nie powiodły się żadne próby nawiązania kontaktu z dowództwem floty Kh-kh-boyn. Za pomocą obserwacji prowadzonych wielkimi teleskopami okołoziemskimi udało się ustalić jedynie tyle, że stacja jest cała...

Sheena dziękowała w tej chwili opatrznosci, że nie miała nikogo bliskiego ani na samej stacji, ani na powierzchni Marsa. Potrafiła sobie jednak wyobrazić, co musiały czuć rodziny i przyjaciele uwięzionych tam ludzi.

– Placówki na powierzchni Marsa bronią się jak dotąd skutecznie – tłem dla presterki stał się teraz piękny obraz wirującego globu o rdzawym kolorze. – Jest to jednak możliwe wyłącznie dzięki technologicznemu wsparciu zaoferowanemu nam przez naszych galaktycznych sojuszników, niedługo przed rozpoczęciem działań wojennych. To samo dotyczy stacji *Polaris*, jednakże obecni tam naukowcy niemal bezustannie ślą wezwania o pomoc. Zdaniem ekspertów, nękanie tego oddalonego i nie mającego w zasadzie żadnego strategicznego znaczenia obiektu wydaje się czymś niecelowym. Być może jednak nasi wrogowie mają w tym jakiś ukryty cel. Przenieśmy się teraz na powierzchnię Księżyca i w okolice Ziemi: zgodnie z ostatnimi potwierdzonymi doniesieniami, baza w kraterze Clavius została zmuszona do poddania się. Jak do tej pory jednak, nasza największa, niemal półmilionowa kolonia w kraterze Kopernika trzyma się dzielnie, podobnie jak inne, mniejsze placówki. Najnowsze meldunki donoszą o zaginięciu konwoju ciężarówek, zdążającego z Claviusa w kierunku najbliższej placówki. Do tej pory nie wiadomo, co może być przyczyną zamilknięcia konwoju. – Obraz zrytej kraterami powierzchni Księżyca odpłynął nagle w dal, i w pole widzenia majestatycznie wpłynęła Ziemia. Presterka przybrała jeszcze bardziej poważną minę. – Cała sieć okołoziemskich satelitów różnych rodzajów została znisz-

czona przez bezzałogowe patrolery bojowe wroga, których detekcja ze względu na ich niewielkie rozmiary jest niezwykle utrudniona. Sparaliżowało to na krótki czas energetykę i telekomunikację. Zaraz potem jednakże na orbitach umieszczono rezerwowe satelity wojskowe, które zapewniły realizację przynajmniej części zadań urządzeń które uległy zniszczeniu. Pozostałe funkcje zostały przejęte przez statki bojowe sojuszników, stacjonujące na niskich orbitach okołoziemskich. Do tej pory nie udało się jedynie wprowadzić na orbitę zapasowych zwierciadeł na miejsce tych, które zostały strącone. Stanowi to potężny cios dla zaopatrzenia Ziemi w energię. Przypomnę, że zwierciadła te koncentrowały energię słoneczną i przekazywały ją na powierzchnię Ziemi za pośrednictwem laserów. Ich zniszczenie zaowocowało drastycznymi cięciami energetycznymi, które w większości dotkliwie dotknęły przede wszystkim nas, czyli zwyczajnych ludzi. Pierwszeństwo w otrzymywaniu energii mają oczywiście przemysł i armia. Z doniesień, jakie otrzymujemy ze źródeł zbliżonych do Wieży Świata w Heliopolis, już niebawem jednak sytuacja ma się zmienić na lepsze. To za sprawą bliskiego ponoć momentu uruchomienia kolejnych naziemnych siłowni kolaptycznych, które w tej chwili pospiesznie przygotowywane są do rozruchu.

Wokół dziennikarki na powrót pojawił się generowany komputerowo obraz studia. Obok niej stał niski, łysawy mężczyzna w średnim wieku, z okularami opuszczonymi na sam czubek nosa. Jego ubranie było dziwnie wymięte, jakby nie ściągał go od co najmniej kilku dni.

– Jest tu w tej chwili z nami znany konsultant wojskowy, Gregory Baginsky – przedstawiła go dziennikarka, po czym zwróciła się w jego stronę. – Gregory, sądzę, że nasi widzowie chcieliby się dowiedzieć nieco więcej o sytuacji panującej obecnie w najbliższych okolicach Ziemi. Czy mógłbyś nam powiedzieć coś na ten temat?

Ekspert odchrząknął.

– No cóż, obraz malujący się na podstawie otrzymywanych informacji nie jest zbyt różowy – zaczął. – Pomimo tych kilku optymistycznych wiadomości, największa bitwa trwa właśnie w układzie Ziemia-Księżyc. I, co muszą przyznać dowódcy sił sprzymierzonych, sprawy przybierają coraz poważniejszy obrót...

– Faktem jest jednak, iż Voorthianie oddelegowali najwyraźniej część swoich sił w kierunku Marsa i Jowisza – weszła mu w słowo dziennikarka. – Jak można to wytłumaczyć w sytuacji, gdy bitwa trwa w najlepsze? Czy takie działania są celowe?

– W przypadku tego nieprzyjaciela mało możemy wnioskować o celach, jakie nim powodują. Są to istoty całkowicie nam obce i o równie obcej mentalności. Przypuszczamy jednak, że te akurat statki wysłano, aby trzymały rękę na pulsie poczynañ ich chwilowych sojuszników. Chodzi mi o te floty, które operują w okolicach Marsa i Jowisza. Jednak nawet ta część eskadry Voorth, która pozostała w pobliżu Ziemi, i tak wystarczyła, aby porządnie przetrzebić siły sprzymierzone.

– A jak oceniasz udział floty kosmicznej Ziemi w obronie naszej planety? Czy w którymś z dotychczasowych etapów tej obrony udział naszych statków był znaczący?

– Flota kosmiczna Ziemi od początku była na tyle mizerna, że nie można jej było brać pod uwagę jako znaczącej siły w konflikcie. W tej chwili zresztą statek flagowy naszych Sił Kosmicznych, UNSS *Helios*, poważnie uszkodzony przebywa w jednym z doków w kraterze Kopernika. Główne zasługi dla obrony Ziemi położyli Rahańczycy, co było według mnie do przewidzenia. Ich siły wspomagają eskadry przysłane przez Dayoou, Khree'ro i Pth'ling, oraz tak nieoczekiwanie przybyłe do Układu oddziały z Oaat i Shoddoi. W tej chwili jednak siły te są stopniowo spychane w kierunku Ziemi, i wygląda na to, iż stan względnej równowagi ustępuje miejsca rosnącej przewadze najeźdźców...

Sheena nie mogła słuchać dalej. Jeśli prezenterka wybrała tego eksperta z nadzieją, że potrafi on w jakiś sposób podnieść morale widzów, to jej wybór nie był zbyt trafny. Może jednak ów konsultant nie panikował? Być może sprawy faktycznie miały się tak, a nie inaczej... Nie, jak by na to wszystko nie patrzeć, wiadomości dochodzące do *Blue One* były z dnia na dzień coraz mniej optymistyczne.

Sheena zerknęła na zegarek. Jeśli ma się zmieścić w dziesięciogodzinnym terminie, jaki dał jej major Donner, powinna powoli zacząć się zbierać. Niemrawo wypłatała się z prześcieradła i

przelotnie spojrzała w lustro. No cóż, chyba cokolwiek schudła przez te kilka ciężkich dni. Ale z drugiej strony, te nieco bardziej w tej chwili odznaczające się kości policzkowe wyglądają chyba całkiem nieźle...

Ziewnęła, przeciągnęła się, wstała i pomaszerowała do łazienki, pogwizdując beztrosko pod nosem.

Podobnie jak jeszcze niedawno temu pewna nie znana mu osoba wiele milionów kilometrów stąd, porucznik Brian Ives marzył, aby móc się solidnie wykapać, albo wziąć chociaż porządny prysznic. Kilka długich dni, jakie spędzili we trójkę kryjąc się w kanałach i najczęściej poruszając się w na pół schylonej pozycji ze względu na ciasnotę, nie wpłynęło dodatnio na ich samopoczucie. Gwen rozważała nawet projekt dostania się do którejkolwiek z kabin załogowych na najwyższym, trzydziestym poziomie, aby tam w spokoju dokonać wymarzonych ablucji. Brian po namyśle jednak się temu sprzeciwił. Skorzystanie z czyjejkolwiek łazienki wymagało opuszczenia kanału i przejścia korytarzem. Nie mogli zaś mieć pewności, czy Kh-kh-boyn nie prowadzi stałej obserwacji pokładów stacji za pośrednictwem kamer. To było zbyt ryzykowne.

Jednak nie to w tej chwili było ich największym problemem: mianowicie od wczoraj nie mieli kontaktu z Sanchezem. A było to tak: na pomysł, aby się rozdzielili, wpadł zaraz drugiego dnia sam Ray. Dość słusznie zresztą zauważył, że skoro chcą eliminować najeźdźców przebywających w pojedynkę, to znacznie większe szanse na odnalezienie takich "samotników" będą mieli wtedy, gdy równocześnie znajdą się w trzech różnych miejscach. Do wyeliminowania pojedynczego pająka powinna wystarczyć wszak jedna osoba, dodatkowo dysponująca przewagą zaskoczenia.

Rozdzielili się więc, choć Brian od samego początku miał co do tego pewne wątpliwości. Szczerze mówiąc, bał się nieco o Gwen, woląc ją mieć u swojego boku. Nie powiedział tego oczywiście na głos, bowiem myśląc logicznie, ona była co najmniej równie do-

skonale wyszkolonym komandosem jak on sam. A jednak wiedział, że ona wyczuła jego obawy. Koniec końców oboje przystali na jego propozycję, aby codziennie o tej samej porze spotykać się na piątym poziomie pod wymiennikami ciepła.

Przez kilka dni spotykali się więc regularnie, jednak prawdziwym sukcesem w postaci upolowanych najeźdźców mogli pochwalić się jedynie Sanchez i Gwen. Ray trafił aż trzech w ciągu dwóch dni, ona tylko jednego. Brian miał niewiele szczęścia: bezustannie natykał się na grupy liczące co najmniej kilku żołnierzy. Zdecydowany był już na użycie broni nawet wówczas, gdy napotka dwóch naraz, ale i to nie zostało mu dane.

Wszyscy troje krążyli wokół niższych poziomów wiedząc, że to tutaj właśnie koncentrują się główne siły obecnych na pokładzie stacji kosmitów. Wpadli też na pomysł, aby skorzystać z kamer w centralce majora Coburna, aby wypatrywać sprzyjających okazji, jednak pomysł upadł z dwóch powodów. Po pierwsze, w centralce urzędowało teraz stale po trzech najeźdźców, a poza tym doszli do wniosku, że zanim by zdołali dotrzeć na wypatrzone miejsce, okazja zapewne i tak byłaby przeszłością. Musieli więc szukać po omacku.

Upragnionym celem każdego z nich było znalezienie miejsca, gdzie najeźdźcy spędzali czas odpoczynku. Niewiele jednak wiedzieli o ich fizjologii i nie mieli żadnej pewności, że Kh-kh-boyn w ogóle odczuwają potrzebę snu czy czegokolwiek w tym rodzaju. Mogli regenerować siły w inny sposób, chociaż – gdyby jednak czasem sypiali – można by ich wtedy wytłuc jak muchy. Perspektywa była nader kusząca. Ciekawe, jaka byłaby wtedy reakcja pozostałych – zastanowił się przelotnie Brian. Śmierć czterech spośród nich nie wywołała jakoś żadnych odczuwalnych dla nich skutków. Jednak zdawali sobie sprawę, że prędzej czy później nieziemcy zdadzą sobie sprawę, którądy nadchodzi niebezpieczeństwo. Wtedy zaś sytuacja może się zrobić nader nieciekawa dla trójki żołnierzy.

Właśnie, trójki... Sancheza nie było od wczoraj, gdy rozstali się po czwartej, po zjedzeniu wspólnego zaimprovizowanego posiłku. Wtedy właśnie pochwalił się swoimi sukcesami, chociaż Brian w gruncie rzeczy nie był pewien, czy Ray nie zaryzykował i nie zaata-

kował grupy składającej się z trzech osobników. Jeśli tak, i jeśli uznał to w dodatku za bezpieczny sposób, to mógł spróbować ponownie... i tym razem mogło mu się nie powieść. Jednak zbyt wcześnie było na tak daleko idące wnioski. Być może zapuścił się po prostu zbyt daleko w labirynt korytarzy, i nie zdążył wrócić na czas. Niezależnie jednak od tego, jak to tam było naprawdę, na wszelki wypadek od tej pory Gwen ponownie będzie mu towarzyszyć. Przynajmniej do bezpiecznego powrotu Sancheza.

Brian zerknął odruchowo na zegarek. Wpół do szóstej. No cóż, czas do pracy – pomyślał i w tym momencie zdał sobie sprawę, że powiedział to na głos. Gwen uśmiechnęła się do niego, jednak uśmiech jej nie był tak promienny, jak zwykle.

– Nietypowa praca, nie uważasz? I słabo płatna. Nie wiesz przypadkiem, jaką stawkę ma UNSF za jednego utluczonego pająka?

Mrugnął do niej okiem

– Okaże się, jak już stąd wyjdziemy. Założę się, że docenią nasze wysiłki.

Oby mieli okazję nas docenić, pomyślał z nagłym niepokojem.

Ponownie miała wolny czas. Poza godzinami pracy, oczywiście. I zdawało się, że wszystko wróciło do normy takiej, jaką pamiętała. No, może nie do końca. Miała nieuchwytnie wrażenie iż większość ludzi, jakich spotykała czy to na korytarzach, czy w stołówce, czy też podczas pracy, odnosiła się do niej z nieco większą życzliwością, a może i nawet pewną dozą szacunku.

Wczoraj przeszła istny magiel u majora Donnera, który zażądał wyczerpującego raportu na temat całej jej misji. W miarę jak mówiła, z drukarki wysuwały się kolejne arkusze papieru ze stenogramem rozmowy, który miał zostać włączony do akt. Major słuchał uważnie i niemal jej nie przerywał. Czasami tylko wtrącał jakieś bardziej szczegółowe pytanie, gdy coś go szczególnie zainteresowało. Sheena kątem oka dostrzegła wyraz niedowierzania i pewnego osłupienia na twarzy młodego szeregowca, także obecnego w gabinecie majora.

Gdy wreszcie umilkła, major długą chwilę patrzył na nią, również nic nie mówiąc. Bębnił tylko palcami w blat biurka. Potem zebrał kartki leżące na podajniku, ułożył je w równy stosik i włożył do zwykłej, kartonowej teczki, którą opatrzył podpisem.

– Wie pani, co pani zrobiła? – spytał wreszcie. Patrzyła na niego niepewnie, nie wiedząc do końca, jak ma potraktować jego pytanie.

– Porucznik Vint, już samo to, że pani go odnalazła, zaskoczyło mnie niepomniernie. Może jestem zbyt szczerzy, ale proszę nie mieć mi tego za złe. Nie dość tego, zdołała go pani wyciągnąć z roztrzaskanego transportowca...

Praktycznie wysadzając go w powietrze, dodała w myślach. Zachowywała to jednak dla siebie.

– ...następnie po utracie własnego pojazdu dokonała pani rzeczy cholernie trudnej, a dla wielu pewnie niemożliwej. Niemal dwustukilometrowa wędrówka przez lodową pustynię, i to w dodatku z niemałym obciążeniem... Zamierzam przedstawić panią do odznaczenia Krzyżem Słonecznym, jak tylko skończy się ta cała zawierucha.

Gdy dotarło do niej jego ostatnie zdanie, którego nie poprzedził ani pauzą, ani nie wyróżnił w żaden specjalny sposób, poczuła się nieco ogłuszona.

– Krzyżem Słonecznym...? – powtórzyła dość tępo. Możliwe, że w tej akurat chwili nie miała zbyt inteligentnego wyrazu twarzy, niemniej wyglądało na to, że major rozumiał przyczyny takiego stanu.

– To jednak musi poczekać – uśmiechnął się lekko, a może tylko jej się zdawało? – W tym momencie nie mogę uczynić niczego innego, jak oznajmić, że od teraz może pani wymagać tytułowania siebie kapitanem.

Jej ogłuszenie jakby wzrosło.

– Mogę to uczynić, gdyż jestem tu oficerem sprawującym dowództwo nad obroną jedynej placówki w rejonie. Awansowanie podległych mi żołnierzy to zatem przysługujące mi prawo. Mam jednak wrażenie, że musi pani popracować nad pewnymi przeróbkami w swoim mundurze. Epolety, rozumie pani. Inaczej jak inni się dowiedzą...?

Teraz już żartował, chcąc, aby dotarło to do niej w pełni. Uśmiechnął się szeroko i nadspodziewanie ciepło, po czym wstał. Podniosła się również.

– Może pani wracać do swoich zajęć, kapitan Vint.

Zasalutowała, wykonała w tył zwrot i odeszła cokolwiek sztywnym krokiem. Potem zaś postąpiła zgodnie z zaleceniem majora.

Zajęła się poprawkami w wyglądzie munduru.

Po pierwszej wachcie poszła do pokładowego szpitala, chcąc odwiedzić geologa. Siwowłosy doktor McGinty oznajmił jej jednak, że naukowiec w tej chwili śpi.

– Ale jak on się czuje?

– Całkiem nieźle, muszę przyznać – pogłodził brodę i spojrzał na nią bystro. – To musiało być dla pani niezbyt miłe, spędzić tyle czasu w jego towarzystwie, nieprawdaż...?

Początkowo niezbyt dobrze go zrozumiała i wpatrywała się tylko w niego, on jednak opacznie odebrał jej reakcję:

– Niech się pani nie przejmuję – powiedział pocieszająco. – Oni wszyscy – ci Khree'ro – są niezbyt towarzyscy i szorstcy. Ale nie są tacy źli, jeśli wie się, jak z nimi postępować.

Zrozumiała, że lekarz nie mówił jej tego wszystkiego w złej wierze, i cofnęła gniewne słowa, które cisnęły się jej na końcu języka.

– I faktycznie, nie było tak źle – powiedziała zamiast tego. – To całkiem przyjemny gość. Pożartowaliśmy sobie trochę. No cóż, wpadnę więc innym razem.

– Przekażę mu, że pani była. Do widzenia...

Patrzyła za nim, jak odchodził w kierunku izolatki, korytarzem którego białe ściany wydawały się wręcz niebieskawe w jaskrawym świetle lamp. Jak on to powiedział: niezbyt towarzyscy i szorstcy? Może i miał rację, bowiem z samego początku to nawet tak wyglądało. Potem dopiero geolog zaczął nabierać ludzkich cech. Z jakim przestajesz, takim się stajesz – przemknęło jej przez myśl, i niespodziewanie zachichotała. Jeśli on nabrał ludzkich cech, to jakich musiała nabrać ona...?

Myśląc o Khree'ro, przypomniła sobie o swoim zamiarze zajęcia się pobieżnym chociaż przestudiowaniem obyczajów kilku przynajm-

niej galaktycznych gatunków. Miała teraz dużo wolnego czasu i nie bardzo wiedziała, jak go ma wypełnić. Trzy godziny później zatem siedziała wciąż przed monitorem i przeglądała zasoby, jakie udostępniły jej pokładowe banki danych na interesujące ją tematy. Nie było tego zbyt dużo, ale i to, co znalazła, sprawiało że trudno jej było się oderwać.

Na pierwszy ogień wzięła oczywiście Khree'ro. Szybko wyszło na jaw, iż faktycznie jest to rasa raczej zamknięta w sobie, a jej przedstawiciele nie są zbyt skłonni do nawiązywania bliższych znajomości z członkami innych ras. Sami, jako gatunek, byli dwupłciowi i w dodatku jajorodni. Tworzyli kilkusobowe grupy rodzinne, wśród których obracali się niemal do końca życia. I tu znalazła coś szczególnie ciekawego: jedynie członkowie grupy rodzinnej mieli prawo poznać imię innych jej członków. Wiązało się to ze starożytnymi wierzeniami, według których poznanie imienia przez kogokolwiek postronnego mogło przynieść jego właścicielowi wymierne straty duchowe.

I to on mi mówił o nieracjonalności naszych wierzeń...! – pomyślała w niejakim osłupieniu. Ale jednak nie; kawałek dalej znalazła fragment mówiący, iż Khree'ro faktycznie nie wyznają żadnej oficjalnej religii. Skąd więc wzięły się takie przesady? Dość mgliście przypomniawszy sobie, że dość podobne poglądy na temat udostępniania innym prawdziwego imienia człowieka miały jakieś dawne prymitywne plemiona gdzieś na Ziemi. Zaraz, co dalej... aha: od reguły nie podawania imienia przez Khree'ro są jednak wyjątki. Ale tylko wtedy, gdy dany osobnik uzna, że zawdzięcza komuś życie. Wtedy oczywiście jest, że w akcie wdzięczności może powierzyć swemu dobroczyńcy jedynie to, co sam ma najcenniejszego: swoje imię – swoją duszę...

Dopiero teraz Sheena w pełni zrozumiała, jak geolog odebrał jej poświęcenie, i jakim darem ją obdarzył. Wstyd jej się nieco zrobiło, że nie okazała w należyty sposób zrozumienia dla tego, co otrzymała. Miała jednak nadzieję, że będzie jeszcze okazja, aby to naprawić. A może lepiej nie wspominać więcej o tym? Mógłby odebrać to jako przypominanie mu o zasługach, jakie dla niego oddała... tak, tak chyba będzie najlepiej.

Potem usiłowała jeszcze poczytać co nieco o Voorthianach. Odrzuciło ją jednak, gdy doszła do ich rozrywek i obyczajów, gdzie z reguły królowały rozmaite rodzaje tortur i zadawania śmierci. Kto by mógł przypuszczać, że Wszechświat kryje w sobie takie obrzydlistwa – pomyślała jeszcze, ścieląc sobie łóżko. A są jeszcze ci, którzy zaatakowali Marsa i zdobyli tamtą stację orbitalną. Podobno też niezbyt przyjemni...

Mimo, iż przed monitorem oczy jej się dosłownie kleiły ze zmęczenia, teraz jakoś nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok, przez głowę przewijało jej się tysiące myśli na najróżniejsze tematy. Wreszcie – z nudów – rozwinęła swój umysł na otaczający ją świat, prześlizgując się jedynie po samym wierzchu i nie naruszając oczywiście niczyjej prywatności. Poczęła sięgać coraz dalej.

Jeszcze raz spojrzął w dół, na oba krępe ciała z tyczkowatymi odnóżami leżące nieruchomo w pomieszczeniu kontrolnym centralnej dyspozytorni. Jedno z nich zostało odrzucone aż na przeciwną ścianę. Drugi nieziemiec zgiął się siedząc – czy też raczej przykucając, bowiem zdawało się, że oni nie siadali – przed swoim stanowiskiem.

Delikatnie wyjął lufę karabinu spomiędzy oczek kraty i rzucił okiem na kratę znajdującą się dokładnie naprzeciw niego, na przeciwną ścianie dużego pomieszczenia. Dostrzegł tam niewyraźne poruszenie; to była Gwen, wycofująca się równocześnie z nim. Uśmiechnął się do siebie, spojrzął ostatni raz w dół i powoli począł się wycofywać, starając się poruszać odpowiednio do niskiej grawitacji panującej na drugim poziomie.

Właśnie wypróbowali swoją nową metodę walki. Mogła ona jednak znaleźć zastosowanie jedynie w tych pomieszczeniach, do których z różnych względów prowadziły dwa – lub więcej – kanały wentylacyjne. Liczba nieziemców w środku także nie mogła przekraczać dwóch osobników. Tego będą trzymali się ściśle, postanowił Brian. On sam stawał przy jednej kracie i czekał, aż Gwen zajmie pozycję przy drugiej. Zgodnie z umową, każde z nich wybierało jako cel nie-

przyjaciela bardziej oddalonego od swojej pozycji. Reszta była igraszką.

Ciekawe, kiedy Kh-kh-boyn wściekną się na tyle, że przystąpią do jakiejś zdecydowanej akcji przeciwko nam – zastanawiał się Brian. I co wtedy zrobią? Bowiem jak do tej pory, po śmierci około dwunastu z nich, zorientowali się najwyraźniej, że nieznani zabójcy atakują jedynie pojedynczych żołnierzy. Od tej pory, czyli mniej więcej od dwóch dni, nie sposób było spotkać samotnych Kh-kh-boyn. Poruszali się albo parami, albo też w większych grupach. Co nie przeszkadzało, że poczęli ginąć ponownie – pomyślał Brian z nieoczekiwaną satysfakcją.

Unikali jedynie akcji w korytarzach stacji, w których z reguły znajdowały się kamery. Nie mogli wykluczyć, że dany obszar nie jest akurat w danej chwili obserwowany przez wroga, i woleli nie ryzykować odkrycia przez najeźdźców sposobu, w jaki przemieszczali się z miejsca na miejsce. Możliwe bowiem, że tamci jeszcze się w tym nie zorientowali. Tę myśl podsunęła dość nagle sama Gwen, przypomniawszy sobie wczoraj ćwiczenia z zaawansowaną bronią, jakie przechodziła na ziemi.

– Pamiętasz ćwiczenia w skafandrach maskujących? – spytała wtedy, a on spojrzał na nią, nie rozumiejąc o co jej chodzi. – W programie mieliśmy przecież walkę przy użyciu skafandrów zapewniających niewidzialność, pamiętasz?

Faktycznie, teraz nagle zrozumiał. Skafandry owe faktycznie zapewniały niewidzialność, acz jedynie w nieco tylko rozszerzonym zakresie fal widzialnych dla człowieka. Nowinka ta opierała się w całości na skomplikowanych technologiach uzyskanych od gwiazdnych sojuszników.

– Myślisz, że Kh-kh-boyn przypuszczają, że poruszamy się po stacji niepostrzeżenie właśnie za pomocą tego rodzaju urządzeń? – spytał niepewnie. – Może i masz rację... Ale jeśli faktycznie tak myślał, to wołałbym nie wyprowadzać ich zbyt wcześnie błędu. Niech szukają nas wszędzie, byle nie tutaj.

– Ja zaś żałuję tylko, że faktycznie nie mamy tu tych skafandrów – mruknęła Gwen. – Coś takiego mogłyby naprawdę ułatwić nam życie.

– Poczekaj – uniósł nagle dłoń Brian. – Pamiętasz tych kilku, których parę razy widzieliśmy wczoraj? No, tych z tymi dziwnymi urządzeniami na głowach...

– Pamiętam. – Patrzyła na niego przez chwilę. – Myślisz, że były to właśnie przyrządy służące do wykrywania istot poruszających się przy użyciu skafandrów maskujących?

– Nie mam pojęcia. Ale według mnie, to nawet prawdopodobne.

– To w takim razie już nie chcę takiego skafandra...

To było wczoraj. W dalszym ciągu jednak nie mieli pojęcia, co stało się z Sanchezem, mogli tylko przypuszczać, że poniosła go zbyt-
nia brawura przy likwidowaniu kolejnych najeźdźców. Swoją drogą – oprócz żalu po nim – oboje ciekawiło, ilu też ich w końcu zaliczył...

Z trudem pogodzili się ze stratą przyjaciela. Od tego jednak momentu uważali jeszcze bardziej, zanim podjęli kolejny krok mający na celu zlikwidowanie następnego wroga. Nie mogło być w takich przypadkach mowy o zbyt wielkiej ostrożności, zważywszy na fakt, że pozostało ich tylko dwoje. I mieli zamiar nie dopuścić do tego, aby ten stan rzeczy miał się zmienić. Wyłuką najeźdźców jednego po drugim ilu tylko się da, a potem... Ta cholerna wojna musi się przecież kiedyś skończyć! Co do tego, pozostawali jednak w ciągłej niepewności, nie mając dostępu do żadnych serwisów informacyjnych dotyczących aktualnej sytuacji w Układzie Słonecznym. Nie wiedzieli, jak sobie radzą siły sprzymierzone w pobliżu Ziemi, jak postępuje kampania marsjańska, jak sobie radzą w *Blue One* na Ganimedesie i rozlicznych stacjach kosmicznych. To nie było miłe uczucie.

Gwen zjawiała się niczym duch i usiadła przy nim pod ścianą, odkładając broń tuż obok. Spojrzał na nią bez słowa, chłonąc widok jej zmęczonej twarzy, na której kropelki potu pobłyskiwały w nikłym świetle tych nielicznych, rzadko rozsianych świetlówek. Odwzajemniła mu się uśmiechem i z westchnieniem oparła się na jego ramieniu. Przygarnął ją do siebie, czując pod palcami tylko dość sztywny materiał jej skafandra.

– Gładko poszło – mruknęła cicho.

– Oby tak dalej.

Siedzieli jeszcze przez jakiś czas nieruchomo, ciesząc się chwilowym spokojem i swoją wzajemną bliskością. Nie musieli się odzywać – w tej chwili jak rzadko kiedy niemal czuli wzajemnie swoje myśli.

A jednak Brianowi coś nie dawało spokoju. Rozejrzał się uważnie po perspektywie korytarza, badając uważnie wzrokiem ściany. Zgodnie z oczekiwaniami, nie znalazł żadnej kamery. Nie instalowano ich ani w kanałach wentylacyjnych, ani w tunelach serwisowych. Pomimo tego stale, od pewnego czasu, miał wrażenie, jakby był pod czyjąś obserwacją.

Potrząsnął niecierpliwie głową. To pewnie skutek nieustannego napięcia nerwowego, w jakim się znajdowali od paru ładnych dni. Zatem nie ma chyba się czym martwić.

Ktoś, kto obserwowałby ją przez ostatnie kilka godzin, mógłby przysiąc, iż dziewczyna po prostu spokojnie śpi. A jednak minąłby się z prawdą: Sheena znajdowała się w głębokim transie, w który świadomie wprowadziła się jakiś czas temu. Pomagał on znacznie w koncentracji i okazał się niezbędny dla nawiązania kontaktu na taką odległość, jak miało to miejsce w tej chwili. Kontakt był oczywiście jednostronny, ze względu na jej kategorię jako telepaty. Dostarczył jej jednak takich emocji, jakich dawno nie odczuwała – może tylko kilka razy podczas jej pamiętnej wyprawy po geologa. Tu jednak chodziło o sprawę dużo większej wagi.

Gdy przed kilkoma godzinami zaczynała sondować umysłem pobliską okolicę, nie napotkała niczego szczególnego. Nie zdołała sięgnąć myślami do umysłów Gornieńczyków, których statki krążyły po orbicie, widocznie mieli doskonałe urządzenia ekranujące. Spróbowała więc trudniejszego zadania. Sięgnęła dużo dalej.

Niemal na granicy swoich możliwości natknęła się na takie skupisko ludzkich fal cierpienia, niepewności, strachu i poczucia zagrożenia, że wręcz musiała zainteresować się tym bliżej. Początkowo sądzi-

ła, że natknęła się na kogoś, kto przebywał w *Ceres Candy*, ale przecież w zniszczonych kopalniach powinno już nikogo nie być. Poza tym, ludzi których odnalazła było zdecydowanie zbyt wielu, jak na tak niewielką placówkę jak *CC*. Już niebawem jednak zorientowała się ze zdumieniem, że oto nawiązała kontakt z członkami załogi stacji *Mars 2*. Byli najwyraźniej uwięzieni i odcięci od świata, emanowali takim zniechęceniem i obawą, że niemal zakręciło jej się w głowie. Powoli podjęła wędrówkę po ich najbliższej okolicy, i parę razy natknęła się na coś, od czego ogarnęło ją uczucie klaustrofobicznej paniki i obrzydzenia. Momentalnie pojęła, że te całkowicie obce, nie zawierające żadnych znajomych uczuć umysły muszą należeć do najeźdźców, którymi niewątpliwie byli *Kh-kh-boyn*. A jeszcze później znalazła to, od czego teraz nie mogła się oderwać.

Gdy do nich dotarła, długą chwilę trwała w rozterce. Nie była pewna, czy w tak niezwyklej sytuacji może złamać zasadę nieingerencji bez wyraźnej konieczności. Postanowiła jednak zaryzykować.

To była dwójka komandosów. Ziemskich komandosów, którym w jakiś sposób udało się uniknąć uwięzienia wraz z całą resztą załogi stacji. W tej chwili chłopak i dziewczyna ukrywali się w labiryncie ciasnych kanałów wentylacyjnych. Nie wyczuwała jednak u nich zrezygnowania czy frustracji wynikającej z poczucie niemocy. Nie, oni mieli przed sobą zadanie, i byli zdecydowani wykonać je jak najlepiej.

Znacznie łatwiejszy kontakt miała z chłopakiem, najwyraźniej przejawiał on pewien potencjał ESP, choć jedynie w szczątkowej formie. Nie był nawet empatą, cechowała go jedynie ponadnormalna wrażliwość na ten rodzaj percepcji. Dla niej samej stanowiło to jednak duże ułatwienie.

Trafiła niemal dokładnie na moment, w którym ta dwójka sprawnie zabiła dwóch wrogów. Niemal ogłuszyły ją fale cierpienia bijące od obu umierających *Galaktów*, jednak w żadnym razie nie było jej ich żal. Byli zbyt mało ludzcy, aby mogła odczuwać ich śmierć jako coś, co nie powinno mieć miejsca. Poza tym, przybyli w to miejsce przez nikogo nie zaproszeni, jako najeźdźcy; ludzie więc z pewnością mieli pełne prawo się bronić. Nawet jeśli obrona ta miała polegać na ataku z ukrycia.

Śledziła wytrwale poczynania dwójki młodych żołnierzy przez kilka kolejnych godzin, aż wreszcie poczuła się tak wyczerpana że zasnęła, sama nie wiedząc dobrze kiedy.

Czekali cierpliwie. Brian sam już nie wiedział dokładnie, ile czasu upłynęło, odkąd zajęli swoje pozycje. Skuleni byli przy dwóch kratkach doprowadzających świeże powietrze do tego niezbyt wielkiego pomieszczenia. Wcześniej byli tu już kilkakrotnie w trakcie swych wędrówek po niższych poziomach, jednak nigdy nie natrafili tu na nic specjalnie ciekawego. Teraz jednakże było inaczej.

Był to stosunkowo niewielki magazyn, do tej pory zawierający jedynie kilka skrzyń ze zużytym wyposażeniem, które na pokładzie najbliższego transportowca miało udać się w podróż na Ziemię. Teraz jednak musiało się to odwlec w bliżej nieokreśloną przyszłość. Skrzynie bowiem zostały najwyraźniej przeniesione przez kilku z najeźdźców w jakieś inne miejsce, tutaj zaś – nie bardzo wiadomo skąd – zniesiono wielką ilość najrozmaitszych elementów elektronicznych. Przy nich to krzatali się teraz trzej pająkokształtni Kh-kh-boyn, każdy z groźnie wyglądającą bronią zawieszoną na czymś w rodzaju paska. W dodatku jeden z nich miał na głowie owo urządzenie, które uprzednio już wstępnie zidentyfikowali jako mające ułatwić wykrycie istot korzystających z technologii zapewniających pozorną niewidzialność. Co kilka minut ów nieziemiec podnosił głowę i uważnie omiatał wzrokiem całe pomieszczenia.

Przez cały ten czas Brian dobrze, o wiele lepiej niż dotychczas, przyjrzał się nowym prześladowcom ludzkości. Wcześniej bowiem widział ich niemal zawsze w przelocie. Nic dziwnego: sytuacje takie zdarzały się w zasadzie tylko wtedy, gdy za sobą pozostawiali jednego lub dwa członkonogie trupy.

Najeźdźcy najczęściej poruszali się na sześciu tylnych, cienkich kończynach. Dwie przednie, opatrzone kilkunastoma cienkimi wypustkami, służyły im jako niezwykle chwytne manipulatory. Cylindryczny, wydłużony korpus sprawiał wrażenie pokrytego czymś w

rodzaju chitynowego pancerza. Przy dokładniejszym przyjrzeniu się widać było jednak, iż to, co początkowo brali właśnie za pancerz, w istocie jest najprawdopodobniej czarną, grubą, połyskującą oleiście w świetle lamp skórą. Niemal ze środka tułowia prosto w górę strzelała długa, nieproporcjonalnie cienka szyja, podzielona jakby na segmenty. Szyja owa – sprawiająca dziwnie gadzie wrażenie – dźwigała niewielką głowę, zaopatrzoną w dwoje dużych, fasetowych oczu. Innych narządów zmysłów nie było widać. Oboje wiedzieli jednak, iż Kh-kh-boyn słyszą dźwięki, aczkolwiek w nieco innym zakresie częstotliwości, niż ludzie. Porozumiewali się dość niezwykle brzmiącą mową, składającą się w głównej mierze z trasków, pisków i wysokiego brzęczenia. W chwili obecnej owe dźwięki wypełniały pomieszczenie, w którym trójka nieziemców zajęta była montowaniem jakiegoś wyglądającego na dosyć skomplikowane urządzenia. Jego wygląd co prawda w najmniejszym nawet stopniu nie wskazywał na jego przeznaczenie, niemniej Brian odczuwał niejasne obawy, iż może ono mieć bezpośredni związek z poszukiwaniem ich samych na pokładach stacji.

Czekali zaś na to, aż któryś z trójki nieziemców choć na moment zechce opuścić magazyn. Wciąż bowiem kierowali się żelazną zasadą, że atakować wolno jedynie dwoje wrogów naraz. Żywo mieli jeszcze w pamięci nagle zniknięcie Sancheza, i woleli nie podzielić jego losu, jakkolwiek by on naprawdę nie był. Być może został on jedynie schwytany i uwięziony wraz z pozostałymi, jednak w chwili obecnej nie mieli sposobu, aby to sprawdzić. Nie mieli dostępu do żadnego z punktów, w których zainstalowane były monitory kontrolne. Samo pomieszczenie w którym przetrzymywani byli więźniowie – choć niezbyt oddalone – było nieustannie pilnowane było przez co najmniej czwórkę uzbrojonych po zęby wrogów. O ile oczywiście w ogóle mieli oni zęby...

Brian i Gwen mogli co prawda podjąć próbę skontaktowania się z majorem Coburnem lub kimkolwiek innym, wołając go po prostu do kraty w tamtym pomieszczeniu. Wciąż jednak obawiali się, że wśród więźniów może być ukryty kolaborant. Poza tym, zamknięci tam ludzie najprawdopodobniej stale byli pod obserwacją kamer. Nie

chcieli zatem ryzykować: nie mieli złudzeń co do łagodnego ich potraktowania w wypadku schwytania. Zbyt wiele wrogich istnień mieli już na sumieniu.

Brian przypatrzył się uważniej kracie po drugiej stronie pomieszczenia. Nie widział najmniejszego poruszenie świadczącego o tym, że tam w ogóle ktoś jest. Uśmiechnął się do siebie. Wiedział dobrze, że Gwen była tam cały czas i podobnie jak on cierpliwie czekała na okazję. Od dwóch dni bowiem nie mogli zapisać na swoim koncie ani jednego nieprzyjaciela, tym razem może będą mieli więcej szczęścia...?

Dokładnie cztery godziny i dwadzieścia minut po zajęciu posterunków doczekali się. Jeden z nieprzyjaciół, ten z urządzeniem zainstalowanym na głowie, rzucił w stronę pozostałych serię pisków i trzasków, a następnie skierował się w kierunku wyjścia. Brian sprężył się odruchowo, zwilżając językiem wargi i wygodniej ujmując broń. Jeden z pozostałych wrogów znajdował się w pozycji, z której mógł go trafić bez problemu, drugi zaś stał w tej chwili dokładnie pod ścianą, na której znajdował się wylot tunelu Briana. Tego nie mógł dosięgnąć w żaden sposób. Wiedział jednak, że Gwen z pewnością zdążyła już to zauważyć i zajmie się troskliwie tym sześciorogim paskudztwem.

Gdy tylko za trzecim nieziemcem zamknęły się drzwi, Brian wsunął ostrożnie lufę karabinu pomiędzy oczka kraty. Dokładnie wycelował... W tej samej chwili dostrzegł rozszerzonymi oczami, jak krata, za którą tkwiła Gwen, jakby w zwolnionym tempie odchyła się od ściany i odpada. W jej oczkach tkwiła lufa karabinu, którą Gwen bezskutecznie starała się ją wyciągnąć. Wreszcie dała za wygraną, jednak obaj Kh-kh-boyn zostali już zaalarmowani. Brian nie czekał dłużej. Kątem oka widząc, jak Gwen zaczyna pełznąć w głąb tunelu, wymierzył starannie w dalszego wroga i strzelił. Tamten – nie spodziewający się ataku z tej strony – momentalnie skręcił się w agonicznych drgawkach. Drugi jednakże wciąż pozostawał poza zasięgiem strzału Briana.

Gdzieś pod nim rozległ się dziwny odgłos, przypominający pląśnięcie. Brian ujrzał zniecacka, jak na srebrzystym skafandrze Gwen pojawiają się ciemniejsze, dymiące plamy. Dziewczyna szarpnęła się

konwulsyjnie raz i drugi, nie wydając z siebie jednak żadnego dźwięku, i dopiero teraz zrozumiał, co się dzieje. Jednym kopnięciem wywalił kratę i szczupakiem wpadł do środka pomieszczenia, korzystając z dobrodziejstw zmniejszonej grawitacji. Jeszcze w powietrzu obrócił się i zaczął strzelać w kierunku, gdzie powinien się znajdować drugi Kh-kh-boyn.

Przestał naciskać spust dopiero w momencie, gdy krótkie piśnięcie oznajmiło, że magazynek energetyczny jest już pusty. Dymiący, pokurczony i miejscami zwęglony zewłok nieziemca spoczywał pod białą ścianą. Jej gładką powierzchnię miejscami znaczyły czarne, parujące smugi w miejscach, gdzie plastik stopił się pod wpływem strzałów z broni Briana. Ten nie czekał na nic więcej, tylko runął do tunelu, gdzie była Gwen. Choć gdzieś głęboko, w samej głębi swojej duszy, wiedział ze straszliwą pewnością, co tam zastanie.

Długo później powrócił ze zmartwiałą twarzą do pomieszczenia, gdzie starannie roztrzaskał budowane przez nieziemców urządzenie. Potem umieścił na swoim miejscu kratę na wylocie tunelu Gwen i powrócił do swojego. Postarał się, aby wszelkie ślady mogące naprowadzić obcych na trop, skąd przyszła śmierć, zniknęły bezpowrotnie. Mając w głowie zupełną pustkę, w piersiach zaś czując wręcz fizyczny ból, ruszył powoli kanałami z powrotem w kierunku tunelu, gdzie leżała jego dziewczyna.

Ziemia

Gdy wyszli wreszcie z wielkiego wieżowca Dowództwa, Morris – niemal nie myśląc, co właściwie robi – zaprosił Paulę na kolację. Ochłonął zaraz po wypowiedzeniu tych słów, ona jednak, nie spodziewanie dla niego, zgodziła się natychmiast. Oboje mieli ochotę na pizzę, jednak zrządzeniem losu wybrali sobie jakąś dość podłą i podrzędną pizzerię, nie będąc dostatecznie rozeznani w temacie. Potem zaśmiewali się do rozpuku, co rusz dławiąc się twardym ciastem i zapijając to zimną pepsi.

I w tej jakże romantycznej scenerii – nad niemal niejadalną pizzą i wyśmienitym dla odmiany sokiem z limonów – ucieli sobie małą pogawędkę. Morris bardzo starał się wypaść w rozmowie choć odrobinę błyskotliwie. Przy Pauli jednak zawsze ogarniało go jakieś dziwne uczucie ogłuszenia, najprawdopodobniej objawiające się zewnętrznymi pozorami tępoty. Takie przynajmniej miał wrażenie, jednak jej z kolei to najwyraźniej nie przeszkadzało.

– Prawdę mówiąc, trochę zdziwiło mnie to, że poprosiłaś dowódcę o udział w kolejnej wyprawie *Ramsesa* – powiedział. – Czemu to zrobiłaś?

Sam wcześniej zastanawiał się nad motywami, jakie nią kierowały, i doszedł do wniosku, że była to najzwyklejsza ciekawość. I nie mylił się.

– Wzięłam przecież udział w badaniu najbardziej niewiarygodnego artefaktu, jaki kiedykolwiek został odnaleziony w całym Układzie Słonecznym – wzruszyła ramionami, jakby było to dla niej oczywiste. – A być może i w całej zamieszkałej Galaktyce. Nie dziwisz się chyba, że mam chęć ujrzeć na własne oczy, jak zakończy się cała ta sprawa.

– Nasze dowództwo również jest tego cholernie ciekawe – zauważył. – Z tego co wiem, sprawa stanowi dla nich jeden z priorytetów. Cały zespół specjalistów badających budowlę, został wezwany na dywanik szefostwa...

– Jeśli przeszli taki magiel, jak my dwoje, to szczerze im współczuję – mruknęła Paula. – Mam po tym wszystkim wrażenie, że twoja hipoteza dotycząca tego miejsca w Galaktyce bardzo ich zainteresowała. A może nawet zaniepokoiła?

– Gdyby nie ty, pewnie nie zwróciliby na to najmniejszej uwagi – rzekł dość ponuro Morris. – To ty, jako znany astrofizyk, dostarczyłaś temu wszystkiemu odpowiedniej dozy wiarygodności. Jakim cudem umiałaś tak spokojnie odpowiadać na te wszystkie pytania?

Przy okazji jednak nie mógł wówczas nie dostrzec, że zainteresowanie mężczyzn zasiadających w komisji wzbudziły nie tylko jej odpowiedzi. Szczególnie jeden z nich najwyraźniej nie mógł się powstrzymać i począł rzucać subtelne w jego mniemaniu aluzje. Paula po prostu nie zareagowała, jednak on sam przez moment miał potężną

ochotę wstać i najzwyczajniej w świecie walnąć tego obleśnego starego capa w szczękę. Niezależnie od stanowiska, jakie tamten piastował.

– Żal mi tylko, że zostaliśmy praktycznie odsunięci od tego, co dalej zostanie zrobione w tej sprawie – powiedziała z rozgoryczeniem Paula. – Uważam, że powinni nas przynajmniej informować na bieżąco. A chociażby tylko ciebie, w końcu to ty na to wpadłeś...

– Zawsze znajdą się inni ludzie, nadający się do czegoś lepiej niż my – zauważył gorzko Duvall. – No, ale nie rozżalajmy się nad sobą.

Ktoś inny na jego miejscu najprawdopodobniej by się zdenerwował, Morris jednak przeszedł nad tym do porządku dziennego, uznając to za fakt naturalny. Zawsze znajdą się lepsi...

Spytał ich wtedy jedynie, zresztą bez większych nadziei na konkretną odpowiedź, czy może planowana jest wyprawa w tamte okolice Galaktyki. Reakcją na pytanie było jedynie kilka zakłopotanych spojrzeń. No jasne, sprawa pewnie od tej pory będzie utajniona do granic możliwości. I nie mylił się: ich oboje oraz tych członków załogi *Ramsesa*, którzy byli poinformowani o całej sprawie, zobowiązano do zachowania całkowitej tajemnicy. Pod groźbą przedstawienia zarzutu zdrady w wypadku złamania zakazu.

– Wcale mnie to nie dziwi – skomentowała to Paula. – Najwidoczniej starają się jak najlepiej zadbać o to, aby galaktyczni nieprzyjaciele nie dowiedzieli się o twoim odkryciu. I bardzo słusznie. Bo jeśli gdzieś tam w kosmosie znajdują się jakieś resztki cywilizacji Przedwiecznych, to lepiej już aby w ogóle ich nie odnaleziono, niż gdyby mieli zdobyć je takie galaktyczne indywidua, jak Voorthianie czy Birre.

– Tam równie dobrze może być tylko kupa ruin, a w najlepszym razie kolejne artefakty – mruknął Morris. – Ale masz rację. Nawet jeśli chodzi tylko o ruiny, to nie chcę żeby położyli na nich łapy fanatycy. A może w ogóle niczego tam nie będzie...

Dawno nie czuł się tak rozluźniony. W końcu, po dość długim spacerze nabrzeżami i bulwarami, odprowadził Paulę pod hotel, w którym mieszkała na czas pobytu *Ramsesa* w porcie. Nie wszedł jednak za nią do hotelu, ani też ona mu tego nie zaproponowała. Poże-

gnali się przyjaźnie, wiedząc, że najprawdopodobniej już wkrótce i tak się zobaczą na pokładzie *Ramsesa*.

Potem, po powrocie na okręt, niemal zaraz za lukiem Morris spotkał Svena Kristensena, który dosłownie tuż przed nim powrócił na pokład, również z dowództwa. Wcześniej Szwed targany był wątpliwościami, czy przedstawić komukolwiek z dowództwa swoje uwagi dotyczące zaskakującej zbieżności wymiarów podwodnego monumentu z piramidą Cheopsa w Gizie. Jeszcze więcej wątpliwości miał co do domniemanych ingerencji Rahańczyków w życie Ziemi, przynajmniej w czasach starożytnych. Morris dowiedział się o tym od Toby'ego, i jeszcze przed powrotem do Pancake zebrali się we trójkę ze Svenem, aby przedyskutować ten problem.

Koniec końców doszli do wniosku, że sprawę samych piramid należy przedstawić w stosownym raporcie. Jeśli dowództwo dopatry się w nim znamion prawdopodobieństwa, to poczyni pewnie odpowiednie kroki. Jakże jednak – tego żaden z nich nie umiał sobie wyobrazić. Jeśli zaś uzna to za bzdury to trudno, świat się przecież nie zawali. Całość zresztą miała przecież solidne naukowe podstawy, bowiem obserwacjom i liczbom nikt nie był w stanie zaprzeczyć. Co zaś do drugiej sprawy, to zarówno Morris, jak i sam Toby wykazywali tu daleko posunięty sceptycyzm. Pewne podobieństwo, jakie Rahańczycy wykazywali do staroegipskich rzeźb i malowideł, to było jeszcze za mało. Podobnie nazwa ich macierzystej planety i rasy oraz imię jednego z najważniejszych bóstw egipskich: zbieżność mogła być przypadkowa. Zamieszczenie w raporcie tego rodzaju przypuszczeń i sugestii mogło osłabić jego wiarygodność.

– No i co? – zaciekał się Morris, zatrzymując Svena. Szwed spojrzał na niego zagadkowo.

– Sam nie wiem – odparł dość niepewnie. – Słowem nie powiedzieli, że uważają to za bzdury. Wręcz przeciwnie, przestudiowali dokładnie wszystkie załączniki, plany i przekroje... Wyglądali na dość zainteresowanych.

– Ale co ci powiedzieli?

– Nic. Mam się przestać interesować sprawą, nie rozmawiać z nikim i tak dalej. Pod groźbą zarzutu zdrady. Ty lepiej uważaj, bo ciebie też to dotyczy.

– W takim razie już podwójnie – mruknął Duvall. – W mojej sprawie usłyszałem bowiem to samo. Idź uszczęśliwić tą wieścią Toby'ego, niewątpliwie bardzo się ucieszy. On lubi takie dziwne rzeczy, więc zdrada stanu powinna mu się spodobać...

Gdy się rozstali, drugi sonarzysta patrzył jeszcze długą chwilę za nawigatorem, pełen zdumienia. Na litość boską, przecież to zupełnie inny człowiek niż ten, którego znał do tej pory...! Gdzie się podział jego styl bycia rodem z paryskich slumsów!? No i sposób mówienia, nie do poznania... a do tego wszystkiego, wielkie nieba, on chyba zaczyna zapuszczać włosy...?!

Kosmos

Kilka kolejnych dni Sheena spędziła w czymś w rodzaju transu, nawet w momentach, gdy nie wyruszała za pośrednictwem swego umysłu w dalekie trasy. Sprawnie wypełniała swe obowiązki służbowe przy stanowiskach łączności, posiłki jadła naprędce w stołówce... W zasadzie nie zwracała większej uwagi na to, iż nastroje zdecydowanej większości załogi względem niej zmieniły się jakby na lepsze. Teraz zapraszano ją do stolików, czy też uprzejmie pytano, czy można się przysiąść do niej. Wciągano ją w rozmowy, nawiązując najczęściej do jej wyprawy po geologa Khree'ro, ona jednak z reguły odpowiadała monosylabami. Jeszcze parę dni temu byłaby zachwycona takim obrotem sytuacji, dziś jednak było jej to już jakby obojętne. Kończyła pospiesznie nieśmiertelne zraziki w sosie, chcąc jak najprędzej położyć się w swojej kabinie i ponownie znaleźć się w stacji krążącej w pobliżu Marsa.

Przedwczoraj przeżyła coś, czego nie chciałaby doświadczyć raz jeszcze. Wciąż miała przed oczami, a raczej w myślach, ten straszliwy moment, kiedy tamta dziewczyna popełniła drobny, a tak brzemienny

w skutki błąd. Zatoczyła się niemal pod wpływem fali emocji, które znieenacka podsunęła jej bezlitosna pamięć. Ból, fale cierpienia, i nagle straszliwa pustka, gdy ludzka tym razem istota straciła życie. Ale nie była pewna, czy przypadkiem nie gorsze było to, co potem przeżywał tamten chłopak. Tak głębokiego uczucia rozpacz nie doświadczyła przedtem z niczyjej strony. Kojarzyło jej się to z jakąś fioletową, mglistą otchłanią, w którą można jedynie wpaść i już z niej nie powrócić. Współczuła chłopakowi tak, jak to potrafi jedynie ktoś, który naprawdę zgłębił myśli drugiego człowieka. W pewnym sensie cierpiała wraz z nim, a dodatkowo wzmacniał to fakt, iż przez te kilka dni zdążyła naprawdę polubić tych dwoje młodych żołnierzy. Zwłaszcza zaś jego, bowiem to z nim z reguły o wiele łatwiej nawiązywała kontakt. Wraz z nim wędrowała po mrocznych, ciasnych kanałach, wraz z nim oczekiwała godzinami na upatrzonej pozycji... Wraz z nim cierpiała z powodu niepowodzeń i odczuwała radość z kolejnego sukcesu. W jakiś sposób stał się on jej naprawdę bliski, pomimo iż nawet nie wiedziała, jak właściwie ma on na imię ani jak wygląda. Tego rodzaju informacje były bowiem niedostępne za pośrednictwem tego nietypowego kanału łączności.

Pewna była jednak jednej rzeczy: determinacja młodego żołnierza znacznie wzrosła. W chwili obecnej był on gotów podjąć znacznie większe ryzyko, niż do tej pory. Wiedziała nawet, dlaczego: nie musiał troszczyć się już o bezpieczeństwo swojej dziewczyny. O to zaś przede wszystkim chodziło mu wcześniej, choć nie przyznawał się do tego przed nią, nie chcąc sprawiać jej przykrości. Sheena obawiała się jednak, że taka postawa, jaką prezentował obecnie, może mu tylko zaszkodzić. Wolała więc na bieżąco śledzić jego poczynania, choć miała tę bolesną świadomość, że w razie czego i tak nie może mu udzielić jakiegokolwiek pomocy.

Ziemia

Blade światło gwiazd przesączało się leniwie przez okna, których kładąc się spać rozmyślnie nie przesłoniła storami. Nie wiedzieć czemu, akurat w Pancake lubiła zasypiać właśnie w ten sposób. Czuła się jak ukołysana owym delikatnym, drżącym gwiezdny blaskiem. Niestety, niemal całkowicie niknął on w poświacie bijącej od rozświetlonej niezliczonymi, kolorowymi neonami nocnej panoramy miasta.

Tym razem gwiazdy robiły jednak co tylko mogły, a ona wciąż jakoś nie potrafiła zasnąć. Kręciła się, usiłując przybrać najwygodniejszą pozycję, ale wiedziała, że tu nie chodziło o żaden dyskomfort fizyczny. Myśli, które kłębiły się w jej głowie, były tego najlepszym dowodem.

Czemu poprosiła admirała o zgodę na udział w kolejnym rejsie *Ramsesa* do podwodnej piramidy? Z początku miała wrażenie, że to zadziałała jej nieposkromiona ciekawość, która musiała zostać zaspokojona. Miała wszakże do czynienia z jednym z najbardziej zadziwiających znalezisk w historii ludzkości, a fakt, że była jedną z nielicznych osób bezpośrednio biorących udział tych emocjonujących wydarzeniach, był czymś co mile ją połechtało. Czy jednak chodziło tylko o to...? Przed oczami, nie wiedzieć czemu, pojawił się obraz nawigatora, stojącego przed jej drzwiami i usiłującego bezskutecznie schować za sobą tamten wielki bukiet olśniewających, purpurowych róż.

Czemu w tym momencie pomyślała akurat o nim?

Przecież doszła już do wniosku, że nie chce pozwalać sobie na żadne przelotne romanse. Przynajmniej nie tym razem, i nie gdy chodziło akurat o tego człowieka. Nie chciała wyrządzić mu krzywdy kolejnym, nieuniknionym rozstaniem, za bardzo go lubiła i ceniła. Choćby dzisiejsza wspólna kolacja: dawno nie czuła się tak dobrze w niczym towarzystwie. Dobrze byłoby mieć na stałe przy sobie kogoś takiego, jak Morris.

Na stałe...? Aż wstrzymała oddech, tak uderzyła ją owa myśl. Ale przecież w tym wypadku chodziło jedynie o przyjaźń!

Czy aby na pewno...?

Już niedługo, za kilka dni, ich drogi rozejdą się w różne strony i najprawdopodobniej nigdy się więcej nie spotkają. Wtedy znikną te dziwne, nowe myśli, które w ostatnim czasie zyskały sobie w jakiś sposób dostęp do jej duszy. Ale czy naprawdę chciała, aby skończyło się to właśnie w ten sposób? Spróbowała sobie wyobrazić ich pożegnanie i to, że nie zobaczą się już nigdy więcej. I natychmiast coś głęboko w niej stanowczo zaprotestowało przeciw takiemu zakończeniu.

Ponownie stanęła jej przed oczami twarz nawigatora ponad bukietem przepysznych róż, i obraz ten towarzyszył jej aż do momentu, w którym wreszcie spokojnie zasnęła.

Jeszcze jedna osoba miała tej nocy problemy z zaśnięciem.

Admirał Malcolm Beresford nie przewracał się jednak z boku na bok. Leżał na wznak i rytmicznym oddechem starał się przywołać sen, który błdził gdzieś tuż obok, jakby nie mając odwagi wstąpić w otwarte gościnnie progi jego jaźni. Jednakże zbyt wiele niepokojących myśli buszowało w tej chwili w umyśle dowódcy, aby sen miał do niego spokojne dojście.

Już niebawem znajdą się na miejscu. Przystąpią do jednej z najbardziej niezwykłych operacji, jakie podejmował jakikolwiek okręt podwodny w historii Ziemi. To było co najmniej niepokojące.

Przypomniawszy sobie rozmowę w Dowództwie. Ich wyjście z portu miało opóźnić się o półtora dnia z powodu problemów technicznych, jakie pozostały do rozwiązania. Jak się bowiem okazało, jedynym środkiem bojowym mogącym spowodować zachwianie stabilności pola chroniącego zawartość piramidy, było coś, co Rahańczycy nazywali głowicą kolaptyczną.

– Na ogół broń tę stosuje się jedynie podczas walk w przestrzeni kosmicznej – wyjaśniał zgromadzonym jeden z wojskowych eksper-

tów Marynarki. – Celem są z reguły superciężkie obiekty militarne, na przykład niszczyce gwiazd, potężne nosiciele czy też bojowe stacje orbitalne. Używanie tej broni ma sens jedynie przy atakowaniu obiektów o zerowej lub stosunkowo niewielkiej manewrowości. Niezbędna jest bowiem dość duża precyzja przy uderzeniu głowicy w cel. Ma ona jednak jedną podstawową zaletę: przed skutkami jej działania nie są w stanie uchronić dosłownie żadne osłony i pola ochronne.

– Na czym właściwie polega jej działanie? – Beresford nie mógł powstrzymać ciekawości, połączonej równocześnie z pewnym zaniepokojeniem. Wolał wiedzieć, co też takiego będzie przewoził na pokładzie własnego okrętu.

Ekspert odchrząknął, jakby z nagłym zakłopotaniem.

– No cóż, zasady na jakich opiera się ta broń, w chwili obecnej trudne są do pojęcia nawet dla najlepszych ziemskich fizyków. Po prostu można to wyjaśnić tak, że broń ta zmienia metrykę czasoprzestrzeni. W dodatku w takiej skali, która powoduje miejscową zmianę warunków i praw fizyki. I choć trwa to dosłownie ułamek sekundy, to rezultatem może być jedynie kupa zdruzgotanych i dosłownie wyrwanych na nice szczątków. Zniszczeniu ulega wszystko, co tylko znajdzie się w bezpośredniej bliskości pseudokolapsu. Jest to broń ostateczna.

Jak się okazało, nie tylko admirał miał obiekcje przed przewożeniem tego paskudztwa na pokładzie *Ramsesa*. Perspektywa jej użycia w głębinach jednego z ziemskich oceanów wywołała poważne spory i wątpliwości również w ziemskim rządzie. Rahańscy eksperci zapewnili jednak, że wielkość kolapsu zależy jedynie od tego, jakiej mocy dla głowicy dostarczy w krytycznym momencie ogniwo energetyczne.

– W tym przypadku – rzekł jeden z nich, również obecny w sali posiedzeń – moc ta zostanie zmniejszona do ułamka procenta mocy stosowanej zazwyczaj w warunkach bojowych. Rezultatem będzie naprawdę niewielka zmiana metryki czasoprzestrzeni. Musi być ona jednak na tyle duża, aby lokalne pola grawitacyjne monumentu zostały zwichrowane w takim stopniu, aby umożliwić istocie w niej przebywającej wydostanie się na zewnątrz.

– Głowica została umieszczona w odpowiednio zaadaptowanym korpusie zwykłej torpedy typu Mk-96 – dorzucił ziemski konsultant. – Broń ta stanowi standardowe uzbrojenie okrętów typu ESV. Z tych konkretnych egzemplarzy wymontowano ładunek konwencjonalny i umieszczono w nim głowice kolaptyczne. Na wszelki wypadek *Ram-ses* weźmie na pokład dwie torpedy spreparowane w ten sposób. Właśnie konieczność tych technicznych manipulacji stanowi powód tego opóźnienia. Same głowice zostały już dostarczone do kosmoportu na przylądku Kennedy'ego jednym z ziemskich wahadłowców, wprost z jednego z sojuszniczych niszczycieli. Następnie specjalnym śmigłowcem przetransportowano je do Pancake wraz z kilkoma rahańskimi wojskowymi ekspertami od broni, których mamy przyjemność gościć teraz wśród nas...

W teorii wszystko wygląda na proste, pomyślał w zadumie admirał. Z doświadczenia wiedział jednak, że zagrożenie dla nawet najbardziej starannie i pieczołowicie opracowanych planów objawia się z reguły w najmniej spodziewanych momentach. Poruszył tę i inne sprawy w rozmowie z Kathleen. Jak zwykle, chwile spędzone w jej towarzystwie pomogły mu uporządkować własne myśli.

– W ogóle dziwi mnie trochę, że dowództwo zdecydowało się podjąć tę akcję – powiedział do niej, gdy wieczorem siedzieli w mesie nad kawą. – Nie można do końca być pewnym, co też takiego właściwie wypuści się na wolność. Przynajmniej ja to w ten sposób odbieram... Cóż bowiem wiemy do tej pory na temat tej tajemniczej istoty? No, co?

– Praktycznie mamy jedynie świadectwa telepatów – przyznała ostrożnie lekarka. – Począwszy od Elsy Langerfeld, skończywszy na Rahańczykach.

– No właśnie. Mnie osobiście niezbyt to wystarcza...

– Jak widać, rząd naprawdę musiał być zdesperowany, jeśli zdecydował się podjąć takie ryzyko – zauważyła. – Chociaż, z innego punktu widzenia patrząc, może być i tak, że gdy tylko najeżdźcy zorientują się że przestała istnieć bezpośrednia przyczyna ich inwazji na Układ Słoneczny, zdecydują się na wycofanie swoich sił.

Jak zwykle miała rację. Ta ewentualność była nawet bardzo prawdopodobna. Rachunek możliwych zysków i strat na skutek uwolnienia tajemniczej istoty przedstawiał się zatem dość jednoznacznie.

– Mam nieodparte wrażenie, że największy wpływ na decyzje naszego rządu mieli dyplomaci rahańscy – mruknął w zadumie. – Musieli mieć jeszcze jakieś argumenty na poparcie takiego rozwiązania.

– Jakie?

Uśmiechnął się półgębkiem.

– Tego nie mam zamiaru nawet próbować odgadnąć. No cóż, oni poruszają się w świecie międzygwiazdnej polityki od kilkuset tysięcy lat, i niewątpliwie mają w tej dziedzinie dużo większe doświadczenie. Ja mogę tylko mieć nadzieję, że i tym razem wiedzą z całą pewnością, co robią.

Przyjrzała mu się uważnie.

– Coś jeszcze cię dręczy – powiedziała po prostu. – O co chodzi?

Pokiwał ze zdumieniem głową. Ona jednak знаła go lepiej, niż ktokolwiek inny na pokładzie *Ramsesa*...

– Masz rację. – Bębnił chwilę palcami po oparciu krzesła. – Dręczy mnie świadomość, że nasze siły powoli poczynają przegrywać kampanię w kosmosie. Co będzie, jak naprawdę przegramy? Co stanie się z Ziemią? Z ludźmi...?

– Niektóre placówki zewnętrzne trzymają się jeszcze – rzekła niepewnie Kathleen. – Na przykład Ganimedes, bazy na powierzchni Marsa...

– Jednak wynik zasadniczej bitwy – bitwy o Ziemię i Księżyc – stoi pod znakiem zapytania – powiedział gorzko. – A szale zdają się coraz bardziej przechylać na stronę najeźdźców. To nie jest budujące. Chodzi mi o coś jeszcze... pamiętasz ten wczorajszy wykład w HV? Tego profesorka, specjalisty od nieziemców...

– Pamiętam – teraz ona popadła w chmurne zamyślenie. – Wiem, o co ci chodzi.

W działaniach tych, którzy najechali ludzkość i jej siedziby, dawała się dostrzec jakaś niepojęta zapalczywość. Sam nie potrafił jej wytłumaczyć, ale nie dalej jak wczoraj na jednym z kanałów holowizji

komercyjnej obejrzał przypadkiem wykład jakiegoś profesora, ponoć specjalisty w zakresie społeczności galaktycznych. Według niego, czymś wręcz nie do zniesienia dla fanatyków mógł być fakt, że rasa dopiero co przyjęta w poczet członków Wspólnoty niespodziewanie staje się centrum zainteresowania niemalże całej Galaktyki. W dodatku wiek znalezisk wskazywał na to, iż ich twórcami mogli być tajemniczy Przedwieczni, co było już samo w sobie nie do przełknięcia dla co poniektórych. Na domiar złego, wygląd i budowa jednego z owych tajemnicznych starożytnych gości, odnalezionego pod lodami jednego z księżyców, sugeruje coś nieprawdopodobnego – mianowicie Ziemianie mogą być blisko spokrewnieni z mitycznymi założycielami Wspólnoty.

– Po tym wszystkim zaczynam się poważnie obawiać, czy oni dadzą nam spokój nawet po uwolnieniu tej istoty – rzekł, zaciskając gniewnie szczęki. – Są wściekli do tego stopnia, że chodzić im może o całkowite upokorzenie Ziemi. Ten profesorek mógł mieć rację: jeśli oni ubzdurają sobie, że jesteśmy w stanie ogłosić się spadkobiercami Przedwiecznych... W takim razie ich przedstawiciele w Instytutach Galaktycznych mogą skutecznie odwlekać decyzję przysłania do Układu Słonecznego floty Instytutów. A wiemy dobrze, że bez nich przegramy, i to prędzej niż później. Nawet połączone siły sojusznicze ledwo, ledwo dają sobie radę z zagrożeniem...

Kilka uwag, jakie rzuciła dzisiaj w mesie Elsa Langerfeld, sugerowało, że i ona żywi podobne obawy. Beresford zastanawiał się, czy telepatka nie wie czegoś, o czym on nie ma pojęcia. Utrzymywała bądź co bądź bliskie kontakty z większością Rahańczyków, pewnie dlatego, że wraz z nimi wśród załogi okrętu stanowiła dość elitarną grupę obdarzoną nieprzeciętnymi zdolnościami. Może zatem jednak było w tym wszystkim coś więcej...? W każdym razie z jakiegoś powodu telepatka poprosiła o zgodę na jej udział w tej misji. Nie odmówił jej, bo nie widział ku temu uzasadnienia. Podobnie zresztą jak nie odmówił tego samego owej młodej i pięknej pani astrofizyk. Chociaż wie, co jeszcze się może zdarzyć, i być może z jakichś niemożliwych do przewidzenia powodów obecność astrofizyka na pokładzie stanie się wręcz pożądana...

No cóż, zobaczymy.

Poruszył się nerwowo na łóżku, a po chwili wahania podniósł się z westchnieniem, zapalił światło i począł się ubierać.

Skoro nie da się spać, poszuka Kathleen. Jeśli akurat nie śpi albo nie jest zajęta, miło będzie znowu pogadać przy kawie.

Kosmos

Potał machinalnie brodę, czując zarazem, jak nie golony od wielu dni zarost zachrząścił mu pod palcami. Przynajmniej przestał już tak swędzieć, jak na początku – pomyślał. Pomimo to nadal wiele by oddał za pół godziny spędzone w łazience. Gwen też by pewnie chciała...

Zwiesił bezradnie głowę. Wciąż nie mógł opędzić się od myśli, że gdyby zareagował odpowiednio wcześniej, mogłoby nie dojść do tego, do czego doszło. Gdyby wcześniej odwrócił uwagę drugiego Kh-kh-boyn, Gwen żyłaby nadal. Gdyby, gdyby... wiele było tych "gdyby". Wiedział już – choć świadomość ta docierała doń powoli i z wielkim bólem – że nigdy już nie ujrzy tej dobrze znanej twarzy, tego jedynego w swoim rodzaju uśmiechu. Jej uśmiechu... Nie zobaczy więcej tych oczu wpatrzonych w niego, nie poczuje ciepłego dotyku jej dłoni. Wokół czuł jakąś wielką pustkę, która powstać może jedynie po utracie kogoś tak bliskiego.

Jak niemal każdy człowiek, do tej pory nie dopuszczał do siebie świadomości, że taka strata może przytrafić się właśnie jemu. Nie, tego rodzaju rzeczy spotykały innych ludzi, nawet znajomych, ale jednak zawsze były gdzieś obok. Nie dotyczyły bezpośrednio jego. I oto naocznie przekonał się, że bezlitosny los jest zarazem całkowicie bezstronny przy wyborze swoich ofiar. Potrząsnął bezradnie głową; Boże, jeszcze kilka chwil spędzonych na takich rozmyślaniach, a oszaleję...!

Podniósł się z podłogi kolejnego, ciemnego korytarzyka, i poszedł przed siebie. Oczy piekły go z niewyspania, ale przez ostatnie kilkadziesiąt godzin potrafił zmusić swój organizm jedynie do dwóch

krótkich i płytkich drzemek. Nie dały mu one zbyt wiele, a raczej przypomniały jedynie o tym, czego naprawdę potrzebował. Wiedział, że sen przyniosłby mu przynajmniej krótkotrwałe zapomnienie i ukojenie, ale nie umiał zasnąć. A zatem należało chociaż nie tracić czasu na bezproduktywnych rozmyślaniach.

Zastanawiał się właśnie, czy Kh-kh-boyn uzupełniają zmniejszający się sukcesywnie stan osobowy załogi okupującej stację, gdy nagle w bocznym korytarzyku ujrzał nikłą poświatę. Korytarzyk ów prowadził do kolejnego wylotu zasłoniętego kratą. Za nią znajdował się jeden z warsztatów przy którymś z laboratoriów mieszczących się na tym poziomie. Po chwili wahania skręcił i podążył w tamtym kierunku. Już z odległości kilku metrów od kraty usłyszał charakterystyczne trzaski i klekotanie, będące nieomylną oznaką obecności w pomieszczeniu co najmniej dwóch najeźdźców. Chyba, że jest tam jeden, za to prowadzący monolog – pomyślał z wisielczym humorem. Nagle obejrzał się niespokojnie, spoglądając w niewyraźną, mroczną perspektywę krótkiego korytarzyka o metalowych ścianach. Ponownie miał nieodparte wrażenie, że ktoś go uważnie obserwuje. Nikogo jednak oczywiście nie było, choć zaczynał już czekać z pewną obawą na moment, gdy te przekłete pajęczaki zorientują się, gdzie kryje się ich dręczyciel. Wtedy to wszystko nie potrwa już długo. Nie miał złudzeń co do własnych szans podczas zmasowanej nagonki na niego.

W obszernym, jasno oświetlonym laboratorium kręciło się dwóch szczudłonogich Kh-kh-boyn. Uważnie wpatrzył się w drugą część pomieszczenia, oddzieloną od pierwszej całkowicie przezroczystą ścianą, jednak wśród kilkunastu stołów ze skomplikowanym wyposażeniem nie dostrzegał żadnego ruchu. Widać ci dwaj tutaj byli całkiem sami. Co ciekawe – zauważył – żaden z nich nie ma na głowie swojego magicznego urządzenia do wykrywania istot korzystających ze strojów maskujących. Czyżby te paskudztwa zdążyły już zorientować się w jego metodach działania...? Ale w takim razie powinni zwracać baczniejszą uwagę na wyloty kanałów wentylacyjnych. Chwilę im się przyglądał, wiedząc że dla nich – zza gęstej kraty – pozostaje niewidoczny. Czarne postacie krążyły wśród stanowisk pracy skupionych w centralnej części laboratorium, jakby szukając czegoś konkretnego. Co

chwilę wymieniali jakieś niezrozumiałe uwagi w swoim niesamowitym języku, i Brian już nie po raz pierwszy żałował, że nie ma dostępu do tłumacza. Wtedy miałby chociaż jakąś szansę w zorientowaniu się, co w ogóle zamierzają najeźdźcy. A może nawet dowiedziałby się, jak rozwija się sytuacja w Układzie Słonecznym. Do tej pory nie wiedział, czy jego wysiłki nie są bezcelowe. Co, jeśli sojusznicze floty są już dawno rozbite w puch, a on szarpie się tu jak głupek, nie wiedząc, że nie ma już po co i dla kogo walczyć...?

Świadomie i z roz wagą odsunął od siebie te myśli, po czym wolnym, ale pewnym ruchem uniósł broń do góry. Ulokował lufę w jednym z oczek siatki i wysunął ją nieco na zewnątrz. Wymierzył starannie w bliższego z Kh-kh-boyn i nacisnął spust. Potem płynnym ruchem przesunął lufę nieco w lewo i wystrzelił do drugiej z czarnych postaci, która w tej chwili gwałtownie się obracała, zaalarmowana odgłosem padającego ciała. Skrzywił się, przeszyty wysokim, przecho dzącym wręcz w ultradźwięki piskiem, jaki wydał z siebie umierający Galakt.

Chwilę patrzył jeszcze na krótkie drgawki, wstrząsające drugim ciałem. Już miał odwrócić się i odejść, gdy wtem tuż przy twarzy eksplodowała mu kula gorąca. Oczy ocalił jedynie dzięki temu, że w ostatniej chwili zacisnął mocno powieki, wiedziony jakimś instynktem. Być może zresztą to jego podświadomość zareagowała w taki sposób na jakiś nikły odgłos, który dobiegł z miejsca bezpośrednio pod nim. Szarpnął się w tył, wyrывая lufę z oczek kraty, czując jak skóra twarzy pali go żywym ogniem. Kilka sekund później krata eksplodowała odłamkami metalu, trafiona ładunkiem energii bijącej z dołu.

Biegł skulony przed siebie ciasnym korytarzykiem, zataczając wielkie koło wokół laboratorium. Nie przejmował się w tej chwili hałasem, jaki robił, a w jego głowie brzmiały wciąż te same słowa: tam był jeszcze jeden skurwiel...! Jego umysł zareagował instynktownie, każąc ciału robić właśnie to, co robił w tej chwili. Dysząc ciężko opadł na podłogę przy końcu korytarzyka, którego wylot znajdował się w tym samym laboratorium, ale na innej ścianie. Począł czołgać się w kierunku światła. Cholera, tamten skurwiel znajdował się dokładnie

pod nim i dlatego był dlań niewidoczny! Zaś on sam, niczym skończony dureń, nie odczekał nawet kilku minut, aby upewnić się, że w laboratorium nie ma nikogo więcej! Teraz musiał naprawić swój błąd, i to jak najszybciej, zanim tamten zdąży opuścić pomieszczenie. Było bowiem bardzo możliwe, że ów Galakt w chwili obecnej był jedynym żyjącym nieziemcem świadomym tego, skąd przychodzi śmierć.

Dotarł do kraty. Uniósł ostrożnie głowę, w samą porę aby dostrzec, jak drzwi zasuwają się za znikającą w korytarzu wielonogą, czarną postacią. A więc ten nie był głupi; natychmiast zorientował się w korzyściach płynących z informacji, jakich stał się posiadaczem... Brian zaklął wściekle, a potem jednym kopnięciem wywalił kratę, która z brzękiem poleciała w dół. Zeskoczył z wysokości niemal dwóch metrów, trzymając broń gotową do strzału, i popędził w stronę wyjścia. Nie miał wyboru: musiał dopaść tego żołnierza, zanim ten podzieli się swoją wiedzą z resztą. I tak zresztą nie mógł mieć pewności, czy tamten w tej chwili nie rozmawia ze swoimi przez komunikator. Pacnął w przycisk, drzwi powoli schowały się w ścianie. Szczupakiem rzucił się przed siebie, odwracając się momentalnie. Korytarz w tym miejscu zataczał jednak łagodny łuk, więc widoczność nie była większa niż kilkanaście metrów. Nikogo nie miał w polu widzenia i nie wiedział przy tym, w którą stronę udał się Galakt. Na chybił trafił ruszył w prawo, i w tym momencie z głębi korytarza dał się słyszeć cichy, melodyjny odgłos, który zidentyfikował bez najmniejszych wątpliwości. To hamowała winda, przywołana przez kogoś na tym poziomie.

Popędził przed siebie, i już po chwili dostrzegł skapane w niebieskawym świetle wewnątrz kabiny, w której zniknęła właśnie pająkowata postać z charakterystycznym oprzyrządowaniem na głowie. Z nieartykułowanym krzykiem rzucił się w tamtą stronę, strzelając z biodra, bez celowania. Widział, jak czarna sylwetka odwraca się i mierzy do niego z czegoś, co najprawdopodobniej było bronią. Ognisty podmuch osmałił mu prawe ucho i ramię. W tym samym momencie strumień energii z jego broni wdarł się pomiędzy zamykające się już drzwi windy i rzucił obcym żołnierzem na jej przeciwległą ścianę.

Brian nie zdążył wyhamować i ciężko uderzył w zamknięte już drzwi windy, czując przenikliwy ból w lewym barku. Jego broń głucho załomotała o podłogę, gdy wypuścił ją nagle w przypływie nieoczekiwanej słabości. Opadł na podłogę i ukrył twarz w dłoniach, natychmiast jednak szarpnął głową. Czuł się tak, jakby skóra jego twarzy była przed chwilą smażona w gorącym oleju. Ponownie dotknął czoła, tym razem delikatniej, i poczuł, jak brwi kruszą się i zostają mu na palcach. Tak samo rzęsy; nie ma co mówić, niewiele brakowało, aby stracił wzrok. Zarost na dolnej części twarzy również nie oparł się poźodze. Przynajmniej chwilowo odpadł problem z goleniem – pomyślał smętnie, starając się jak delikatniej zetrzeć z twarzy kruszące się i śmierdzące spalenizną, pokręcone szczątki włosów.

Rozejrzał się dookoła nieco przytomniej. Cóż, nawet jeśli w tej chwili nikogo tu nie było, to z całą pewnością zmieni się to już w ciągu najbliższych kilkunastu minut, gdy tylko najeżdźcy ujrzą w windzie trupa jednego ze swoich ziomków. Podźwignął się ciężko, podniósł broń i przezwyciężając zmęczenie podążył z powrotem w kierunku laboratorium. Czuł, jak adrenalina powoli uchodzi z jego żył, pozostawiając po sobie jedynie uczucie ogromnego wyczerpania. Najchętniej w tej chwili położyłby się gdziekolwiek pod ścianą i zasnął spokojnie. Tu jednak zdaje się niezbyt chętnie witano gości jego pokroju...

Wrzucił broń do kanału wentylacyjnego i ciągnąc za sobą odnalezioną kratę, wdrapał się jakoś do środka. Usiadł wyczerpany pod ścianą i począł zastanawiać się, co robić dalej. Ból twarzy i prawej strony głowy uświadomił mu jednak, że przede wszystkim powinien zatroszczyć się o samego siebie. Nie od rzeczy byłoby znaleźć ambulatorium, a poza tym jego żołądek dość niespodziewanie zaczął przypominać o sobie nagłym, a co gorsza dość donośnym burczeniem. Głupio by było, aby przez coś takiego namierzono jego pozycję.

Kopnięta krata poleciała w dół. Niska grawitacja sprawiła, iż wyglądało to niczym film puszczony w zwolnionym tempie: krata

uderzyła w podłogę wyścieloną jasnozieloną wykładziną, odbiła się kilka razy i wreszcie znieruchomiła pod ścianą. Spuścił nogi przez krawędź kanału wentylacyjnego i zeskoczył w dół. Wcześniej już upewnił się, że tam, dokąd idzie, nie ma zainstalowanych kamer.

Ambulatorium było stosunkowo niewielkim pomieszczeniem, a zastosowane przy pokrywaniu ścian i podłogi kolory sprawiały niezwykle wręcz wrażenie sterylności i aseptyczności. Z jakichś przyczyn Brian pamiętał, że wrażenie to w zasadzie odpowiadało prawdzie: światło lamp zainstalowanych pod sufitem dość skutecznie eliminowało wszelkie bakterie przywleczone do wnętrza. Opierały mu się tylko wyjątkowo zjadłe wirusy i priony.

Teraz jednak należało zająć się sobą. Celowo wybrał właśnie to ambulatorium, położone na poziomie dość dalekim od osi stacji. Tutaj mniejsze było prawdopodobieństwo, że znienacka zostanie zaskoczony przez patrol kilku Kh-kh-boyn. Jak już bowiem zauważyli na samym początku – jeszcze z Gwen i Sanchezem – najeźdźcy woleli trzymać się poziomów niższych, na których panowała zdecydowanie mniejsza grawitacja. Mimochodem zaciekawiło go, czy spowodowane było to podobnymi warunkami na ich macierzystym globie. Chyba jednak nie, bo w takim wypadku planeta ta musiałaby być istną kruszyną, niezdolną do utrzymania atmosfery przez czas potrzebny do rozwinięcia się życia... Wzruszył ramionami. Niewiele powinno go to obchodzić.

Odłożył broń na leżankę stojącą pod ścianą, i zajął się systematycznym przeszukiwaniem szafek z narzędziami i lekami. Szybko zlokalizował bandażę i rozmaite narzędzia, niekiedy wyglądające dość niepokojąco. Wciąż jednak nie mógł trafić na to, o co mu najbardziej chodziło: leki na oparzenia, i inne o lekkim działaniu znieczulającym. Wreszcie jednak szczęście się do niego uśmiechnęło. Kolejna szuflada zawierała bowiem płaski pojemnik, w którym leżały ułożone w miękkich wyściółkach szklane ampułki z dozownikami. Przelewał się w nich bezbarwny płyn. Zaś czerwony napis, który odczytał podnosząc jedną z ampulek do światła, rozwiał jego wątpliwości. To był środek znieczulający miejscowo, stosowany przez rozpylenie bezpośrednio na skórę. Miał poza tym tę zaletę, że nie powodował ośpienia i spowol-

nienia reakcji, co zdarzało się w przypadku kilku innych leków o podobnym działaniu.

Zamknął oczy i rozpylił na twarz i prawą stronę głowy delikatny obłok leku. Niemal natychmiast poczuł jego zbawienne działanie, gdy substancja zaczęła się wchłaniać przez poparzoną skórę. Piekący ból oddalił się gdzieś daleko, niemal poza zakres percepcji. Westchnął z wielką ulgą i zabrał się za dalsze poszukiwania. Nie musiał grzebać w kolejnych szufladach zbyt długo – już chwilę później wpadł mu w ręce jasnoniebieski, znajomy pojemnik. Ten lek znajdował się również w wojskowych zestawach pierwszej pomocy, z którymi był przecież doskonale obeznany. Pojemnik zawierał doskonały środek na oparzenia, który rozpylony na skórę tworzył delikatną, elastyczną błonę, pozwalającą skórze swobodnie oddychać.

Czując się co najmniej dwa razy lepiej niż jeszcze przed kilkoma minutami, pozwolił sobie na niewyobrażalny wręcz luksus – mycie...! Nachylił się nad umywalką i puścił lekki strumień letniej wody. Krzywiąc się, ściągnął górę skafandra i bluzę, po czym wziął do ręki leżące obok mydło. Teraz dopiero, po rozpięciu skafandra, uświadomił sobie, jak bardzo jest brudny. Kolejne dziesięć minut sprawiło, że jego samopoczucie wydatnie się poprawiło. Spojrzał w lustro, przyczesując palcami zmoczone włosy; widział przed sobą niemal obcego faceta. Zamarł na moment, uważnie przyglądając się swemu odbiciu. Rysy twarzy były co prawda znajome, jednak coś w niej sprawiało, że była dziwnie obca. I nie chodziło tu tylko o spalone brwi i rzęsy, choć już to samo w sobie stanowiło dość niesamowity widok. Dopiero po chwili zrozumiał, że chodzi o jego oczy. Było w nich coś nowego, nieznanego dotąd. Jakiś ponury ogień determinacji, zaciętość i coś jeszcze, czego nie potrafił nazwać.

Odwrócił wzrok i zaczął się ubierać.

Z odległości wielu milionów kilometrów obserwowała swojego żołnierza, jak zaczęła go sama przed sobą nazywać. Gdyby tu, w kopułach *Blue One*, miała jakiegokolwiek przyjaciela, pewnie

opowiedziałaby mu o tym wszystkim. A tak mogła się zwierzyć co najwyżej geologowi Khree'ro, którego starała się jak najczęściej odwiedzać. Przemknęło jej przez myśl, że chyba tylko jego może w tej chwili nazwać swoim przyjacielem.

Nie była świadkiem walki, jaką najwyraźniej musiał stoczyć ziemski żołnierz w ciągu ostatnich kilku godzin. Najprawdopodobniej miała akurat wachtę. Dobrze tylko, że skończyło się to dla niego w miarę szczęśliwie... Wielokrotnie zastanawiała się, co by czuła, gdyby pewnego razu nie udało jej się nawiązać z nim kontaktu. Jasne by wtedy było, że chłopak nie żyje. I miała wrażenie, że odebrałaby to jak stratę kogoś bliskiego. Zaś wołała nawet nie myśleć o tym, że coś takiego mogłoby się zdarzyć w czasie trwania kontaktu. Tego rodzaju wrażenia były zapewne czymś najokropniejszym, czego może doświadczyć telepata. Śledzenie czyjejś śmierci, rozpadu osobowości, można było porównać... A zresztą, żadne chyba porównanie nawet w części nie było w stanie oddać towarzyszących czemuś takiemu wrażeń...

W tej chwili od kilkunastu minut chłopak przebywał w czymś w rodzaju pomieszczenia pomocy medycznej, i najwyraźniej radził sobie bardzo dobrze. Wrażenie bólu, jakie odbierała od jego strony, znacznie się zmniejszyło, potem zaś doszło do niej uczucie czystego, fizycznego relaksu. Po raz kolejny sięgnęła umysłem na zewnątrz pomieszczenia w którym przebywał. Robiła to już kilkakrotnie, chcąc upewnić się że nie zagraża mu żadne niebezpieczeństwo. I już miała się wycofać, gdy nagle coś przykuło jej uwagę. Skoncentrowała się, a w miarę upływu sekund jej uwaga zamieniała się w niepokój.

Gdzieś bardzo blisko znajdowało się trzech spośród tych nieziemców o przerażających umysłach. A co gorsza, najwyraźniej zbliżali się coraz bardziej do miejsca, w którym znajdował się żołnierz. Nie mogła się mylić. Albo ich obecność w tym miejscu była przypadkowa, albo też w jakiś sposób udało im się zorientować, gdzie przebywa nękający ich nieprzyjaciel. A on w tym czasie nawet nie miał broni w rękę.

Poczuła taką rozpaczliwą wręcz niemoc, że przez moment dosłownie przestała oddychać. Najgorsze było, że niczego nie mogła zrobić. Jedynie przyglądać się nieuniknionemu.

Leżący na leżance Brian otworzył nagle oczy, czując jakiś dziwny, nieuzasadniony niepokój. Ponownie miał wrażenie, że ktoś uważnie go obserwuje, podobnie jak wielokrotnie w ciągu ostatnich dni. Do tego jednak przywykł, teraz jednak doszło do tego coś nowego, co mógł określić jedynie jako poczucie zagrożenia. To sprawiło, że powoli i ostrożnie wstał i skierował się w stronę stolika, gdzie teraz leżała jego broń. Odbezpieczył ją i stanął naprzeciw drzwi, oddychając głęboko. Co to mogło być, u licha? Czyżby jego wyczulona podświadomość zareagowała na jakiś dźwięk, na który nie zwrócił najmniejszej uwagi...?

Nie zdążył pomyśleć nic więcej, bowiem w tym właśnie momencie drzwi jakby eksplodowały i wleciały gwałtownie do środka, mijając go dosłownie o cale. Poderwał karabin do strzału, widząc, jak w kłębach kurzu i dymu coś się porusza. Zdążył wystrzelić tylko raz, co zaowocowało krótkim, przeraźliwym piskiem i odgłosem padającego ciała. Jednak już w momencie, gdy strzelał, paląca struga energii osmałiła mu dłonie. Broń nagle zrobiła się gorąca, spojrzał na nią ze zdziwieniem i dostrzegł stopioną lufę. Zaklął, ciskając bezużyteczny już karabin w chmurę kurzu przed sobą. Jednocześnie szczupakiem uskoczył w bok, chcąc znaleźć schronienie za stołem zabiegowym znajdującym się pośrodku pomieszczenia.

Trwał nieruchomo, rozglądając się tylko gorączkowo w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby posłużyć mu do obrony. Wystarczyłoby mu choćby jakiekolwiek ostre narzędzie: umiał zupełnie nieźle rzucać nożem. Niestety; wszystkie przedmioty tego rodzaju pozostały w szafkach pod przeciwległą ścianą, gdzie widział je ostatnim razem. Aby do nich dotrzeć, musiałby przejść przez odsłoniętą przestrzeń.

Od drzwi dochodziły jakieś szmery, w zaraniu niweczając jego nadzieję, że patrol liczył tylko jednego Kh-kh-boyn. Chyba że to tylko przedśmiertne konwulsje tego, którego trafił? Bo że trafił, nie miał wątpliwości. Niespodziewanie jednak dał się słyszeć głos mówiący po angielsku, zacinający się i wyraźnie generowany przez maszynę.

– Poddaj się, poddaj... a nie stanie ci się nic złego... Wyjdź z uniesionymi rękami. Poddaj się... wyrzuć broń.

– Prędej trawą porosnę – mruknął do siebie, nie ruszając się z miejsca. Nieziemiec najwyraźniej dysponował tłumaczem, czyli przygotowani byli na znalezienie tutaj ludzi. Ale skąd o tym wiedzieli, na litość boską?! Dlaczego przyszli akurat do tego ambulatorium...? Nie wiedział.

Położył się na ziemi i spojrzał pomiędzy króciutkimi nogami stołu. Dostrzegł dziurę po drzwiach, blokującą ją częściowo czarne cielsko leżące na podłodze... Oraz to, czego się spodziewał: poruszające się nerwowo kończyny drugiego nieziemca, stojącego teraz w drugim kącie pomieszczenia, tuż obok leżanki.

Na razie Brian był co prawda skutecznie osłonięty dużym, masywnym stołem, jednak ta sytuacja nie mogła trwać wiecznie. W tej chwili Galakt zachowuje ostrożność myśląc zapewne, że on ma jeszcze jakąś zapasową broń w rodzaju mniejszego pistoletu. Pistolet zaś spoczywał na leżance. Odpiął go od pasa, ponieważ uwierał go w lewy bok... cholera! Prędej czy później wrogi żołnierz podejdzie bliżej i odkryje jego całkowitą bezbronność.

I nie mylił się.

Szczudłowate kończyny ruszyły w jego stronę. Miał zamiar rzucić się na obcego zaraz, jak tylko tamten okrąży wielki stół. W tym ostatnim, rozpaczliwym starciu chciał spróbować odebrać mu broń, wtedy jednak stało się coś całkowicie niespodziewanego. Kończyny ugięły się nagle, a potem wyprostowały niczym sprężyny. Nim zdążył się zorientować, Galakt stał już na blacie stołu, i mierzył doń z góry z paskudnie wyglądającego karabinu, połyskującego zimnym czarnym blaskiem w świetle lamp. Podobnie błyszczał jego pseudochitynowy pancerz, czy też może raczej gruba, twarda skóra.

Brian miał całkowitą pustkę w głowie. Podniósł się powoli i uniósł ręce do góry, odczuwając coraz intensywniejsze poczucie klęski. Dlaczego te cholerne paskudztwa umieją skakać niczym jakieś pieprzone pasikoniki?! – pomyślał z nagłą pretensją do świata. Nie miał jednak czasu, aby spróbować sobie odpowiedzieć na to pytanie. I być może już nigdy go nie będzie miał.

– Idź w stronę wyjścia... prosto do wyjścia – polecił Galakt. Głos wydobywał się z niewielkiego urządzenia zawieszonego na jego szyi.

W tym momencie do Briana doszedł dość intensywny, jakby lekko kwaśny, a zarazem mdląco słodki zapach. Z pewnym niesmakiem pociągnął nosem; czyżby tak właśnie pachnieli wrogowie ludzkości...? Faktycznie tak było. Niezależnie jednak od tego jak pachnieli nieziemcy, chwilowo nie miał innego wyjścia jak tylko posłusznie wypełniać polecenia tamtego. Ruszył przed siebie, zaciskając odruchowo pięści, i dopiero wtedy nagły ból przypomniał mu, że właśnie przed chwilą strzał z broni Kh-kh-boyn poparzył mu dłonie. Przystanął i powoli się odwrócił.

– Mam poparzone ręce – powiedział, starając się mówić powoli i wyraźnie. – Czy mogę użyć lekarstwa, skoro już tu jesteśmy?

Z urządzenia wydobyła się seria pisków i trasków, najwyraźniej tłumacząca jego wypowiedź na język nieziemca. Ten chwilę milczał, trwając nieruchomo. Czarna głowa na długiej szyi wykonywała drobne kolistе ruchy, a z fasetowych oczu nie można było wyczytać dosłownie niczego. Odniosł wrażenie, że nieziemiec przygląda mu się podejrzliwie. Dopiero teraz Brian pomyślał, że chyba po raz pierwszy widzi żywego Kh-kh-boyn tak blisko siebie. Poczuł kolejną falę dziwnego zapachu.

– Użyj lekarstwa – padła wreszcie odpowiedź. – Postępuj rozważnie... broń jest gotowa do użycia.

Poszukał wzrokiem leków. Były tam, gdzie je pozostawił, na stole, za którym chował się przed chwilą. Szczęściem Galakt nie rozniośł ampulek ze środkiem znieczulającym, których kilka znajdowało się w miękko wyściełanym pudełku. Lek przeciw oparzeniom też tu był. Wziął do ręki pudełko z ampułkami.

– Odwróć się... odwróć się w moją stronę – padło polecenie. – Muszę widzieć to, co robisz.

Posłusznie się odwrócił, wyciągając pudełko w stronę czarnej postaci. Ampułki zaślniły w świetle lamp.

– To lek znieczulający – powiedział spokojnie. – Teraz wezmę jeden z tych przedmiotów i rozpylę jego zawartość na dłoń.

W tym jednak momencie pudełko wyslizgnęło mu się z poparzonych, bolących jak diabli dłoni, i upadło na ziemię. Kilka ampułek wyskoczyło ze swych miejsc i roztrzaskało się w drobny mak. Powietrze wypełnił intensywny aromat szybko parującej substancji, która błyskawicznie ulatniała się z wilgotnych kałuż wśród szklanych skorup. Nowy zapach natychmiast przytłumił woń wydzielaną przez Galakta.

Brian zaklął.

– Przepraszam za moją nieuwagę – powiedział, starając się być uprzejmym. Nie było powodu, aby dać tamtym powody do wzięcia ziemskich żołnierzy za gruboskórnych, prymitywnych osiłków. Schylił się po jedną z dwóch ocalałych ampułek, gdy nagle dostrzegł coś dziwnego. Uniósł wzrok.

Czarna postać dygotała niczym w febrze, a szyja wykonywała jakieś przedziwne, nieskoordynowane ruchy. Błyszcząca oleiście gruba skóra – dotąd jednolicie czarna – niemal nieuchwytnie poczęła miejscami zmieniać barwę na sinopopielatą. Patrzył na to w osłupieniu, widząc jak kończyny nieziemca rozpoczynają jakiś nieludzki, konwulsyjny taniec, aż wreszcie broń ze stukotem upadła na podłogę.

Chwilę później Galakt runął na ziemię. Jeszcze przez kilka sekund jego ciałem targały straszliwe konwulsje, aż wreszcie znieruchomiał.

Równie nieruchomy był Brian, patrzący na to rozszerzonymi ze zdziwienia oczami. Wreszcie przemógł bezruch i nachylił się nad czarnym, a właściwie czarno-szarym w tej chwili cielskiem. Niedługo potem pewien był już zupełnie, że tamten nie żyje. Ale co mu się stało, u licha? Zawał serca...?! Tylko czy oni w ogóle mają coś takiego, jak serce? Poza tym, zawał w takim momencie byłby doprawdy niezwykle sprzyjającym zbiegiem okoliczności. A w takie właśnie zbiegi okoliczności Brian nauczył się nie wierzyć.

Chwilę później jego wzrok padł na stertę szklanych skorup, zatrzymał się na nich, a potem powrócił do martwego nieziemca.

Tak, to by pasowało.

Kh-kh-boyn najwyraźniej oddychali powietrzem o bardzo zbliżonym składzie do potrzebnego ludziom, o czym świadczyło choćby to, że na pokładzie stacji obywali się bez skafandrów. Musiały jednak istnieć zasadnicze różnice w metabolizmie obu gatunków. I oto jedną z nich udało mu się odkryć: substancja, która dla ludzi była łagodnym środkiem znieczulającym, dla tych Galaktów stanowiła śmiertelną truciznę bądź też alergen o dosłownie piorunującym działaniu.

Przykucnięty nad zwłokami trwał w zamyśleniu aż do chwili, gdy nikły odgłos dobiegający od drzwi kazał mu podnieść głowę.

W pierwszym momencie pomyślał, że to zmartwychwstał tamten, którego zabił na samym początku, ale to musiał być trzeci. Z daleka zapewne widział, jaki koniec spotkał jego kolegę. I z tego chyba powodu przyodziął głowę w coś w rodzaju ciemnoszarego, półprzezroczystego kaptura z cieniutkim węzem prowadzącym do niewielkiego pojemnika przymocowanego do szerokiego pasa. A więc to maski przeciwgazowe – zrozumiał Brian. Do tej pory kilkakrotnie zastanawiał się nad przeznaczeniem paru fragmentów wyposażenia Kh-kh-boyn, które miał okazję oglądać. Zerknął w kierunku broni, jaką wypuścił zmarły przed chwilą Galakt, jednak leżała co najmniej półtora metra od niego. Za daleko.

– Nie ruszaj się – zabrzmiał głos. – Nie wykonuj żadnych ruchów.

Usiadł więc po prostu na podłodze i patrzył na stojącego w drzwiach nieziemca, straszliwie dziwiąc się swojemu spokojowi. Tamten najwyraźniej przyglądał mu się uważnie.

– Stało się jasne... jesteś niebezpieczny – kontynuował. – Zbyt niebezpieczny... konieczna jest eliminacja. Muszę cię zabić.

– Nie przeszkadzaj sobie – odparł uprzejmie. Nie czuł w tej chwili niczego: lęku przed śmiercią, złości, żalu... Był niczym wypalona skorupa. – Możesz mi jednak odpowiedzieć na jedno pytanie, zanim mnie zabijesz?

– Pytaj – odpowiedział obcy po chwili wahania.

– Jak mnie tu odnaleźliście? – to było to, co najbardziej dręczyło Briana od jakiegoś czasu. – Skąd wiedzieliście, że będę akurat w tym ambulatorium?

– Nie wiedzieliśmy, że akurat w tym – padła natychmiastowa odpowiedź. – Była pewność, że jesteś ranny... niewielkie ślady ludzkiej tkanki w pobliżu windy... wysłaliśmy więc patrole do wszystkich pomieszczeń medycznych. Dalsze pytania?

– Nie, dziękuję – mruknął Brian, przymykając oczy. No tak, przecież wtedy gdy trafił tamtego w windzie, sam również został trafiony. Na miejscu musiały pozostać po nim jakieś mikroślady. Swoją drogą, nieźle to świadczy o ich technice, skoro potrafili je wykryć, i o umiejętności logicznego myślenia i wnioskowania, skoro potrafili go tu odnaleźć.

Skupił się: nieziemiec ciągle coś mówił.

– Zginęło nas tu zbyt wielu... Muszę cię zabić...

Czemu on tyle gada? – dziwił się w duchu. Postanowił mu pomóc. I tak nie mógł dosłownie niczego zrobić: tamten trzymał go na muszce z bezpiecznego dystansu.

– Zgadzam się z tobą – rzekł po prostu. – Działalem w imieniu Ziemi i jej sojuszników, i uważam, że dobrze wypełniałem swoje obowiązki jako żołnierza. Żałuję tylko, że nie zginę w uczciwej walce.

Powinienem dodać: "kacie, czyn swoją powinność", przemknęło mu jeszcze przez myśl. Ujrzał jeszcze, jak tamten unosi swoją broń i celuje w niego. Nie zamykał oczu. Chciał umrzeć, patrząc śmierci prosto w twarz.

Sheena z rosnącym przerażeniem obserwowała to, co się działo w odległym pomieszczeniu. Jakiś fragment jej świadomości zarejestrował, że dźwięczy sygnał jej komunikatora, że powinna pójść na wachtę, ale w tej chwili musiała to zignorować.

Przez cały czas była świadoma, że trzeci nieziemiec czai się w pewnej odległości na korytarzu, o czym nie mógł wiedzieć tamten żołnierz. Na moment odetchnęła, gdy cudownym zrządem losu nie-

spodziewanie zginął drugi z wrogów. Jednak już zaraz potem dotarło do niej, co zamierza zrobić trzeci. To dosłownie ścięło jej krew w żyłach.

Czując łyzy w oczach, odebrała sens ostatnich słów tamtego dzielnego chłopaka. Rozpacz wzbierała w niej niczym wzburzona rzeka, wręcz wrzała i gotowała się z emocji. Aż wreszcie wszystkie te skomplikowane uczucia, wzmocnione dodatkowo potworną, nieludzką wręcz wściekłością wynikająca z poczucia niemocy, przeobraziły się w jeden potężny spazm nienawiści do tej czarnej, złowrogiej postaci. Do istoty, która dosłownie za sekundę pozbawi życia jedyną osobę, do której w ostatnich dniach tak się przywiązała... mimo że on do końca o tym nie wiedział.

Jej tętno wynosiło w tej chwili sto dziewięćdziesiąt uderzeń na minutę, zaś ciało miała skąpane w pocie. I wtedy właśnie cała nagromadzona w niej wściekłość i ogniem ziejąca nienawiść pomknęła gdzieś daleko w jednym krótkim błysku.

Potem zemdląa.

Brian spokojnie patrzył, jak zakończona kilkoma nitkowatymi wypustkami kończyła Galakta zaciska się na uchwycie broni. Czerwony punkcik na końcu krótkiej, grubej lufy celował dokładnie w jego głowę... Przełknął odruchowo ślinę i ujrzał, jak czarna postać niespodziewanie przechyliła się w bok i bez jednego pisku czy innego dźwięku wali się na ziemię.

Siedział tak w całkowitym osłupieniu dobre pół minuty, starając się zrozumieć, co tu się, do najjaśniejszej kurwy nędzy, wyprawia. Jakoś nie miał wrażenia, że nieziemcowi akurat w tym momencie zebrało się na drzemkę. Trup był niewątpliwie trupem. Tym razem jednak Brian nie zdołał przedstawić sobie żadnego logicznego wytłumaczenia. Już miał machnąć na to ręką, gdy niespodziewanie jednak coś przyszło mu do głowy. Wstał i dokładnie obejrzał ciało Galakta, szukając szarych plam. Przypuszczał, że mogła tu zajść opóźniona reakcja na środek znieczulający, który tamten wchłoniął w pewnej nie-

wielkiej ilości. Niby-chitynowy pancerz był jednak jednolicie czarny i błyszczący, poza tym Kh-kh-boyn nie wykazywał przed śmiercią żadnych objawów poprzedzających zgon jego poprzednika, czyli drgawek lub konwulsji.

Po prostu przewrócił się i umarł.

Ot, tak sobie.

Kręcąc głową wstał, po czym przypomniał sobie o swoich wciąż bolących dłoniach. Spryskał je środkiem znieczulającym, potem sprayem przeciw oparzeniom, co rusz oglądając się z pewnym niepokojem na martwego nieziemca. Następnie odszukał i obejrzał dokładnie swój wysłużony karabin. Stopiona i zdeformowana lufa nie pozostawiała jednak najmniejszych wątpliwości co do jego dalszej użyteczności. Chyba że wykorzysta go w charakterze maczugi... Z westchnieniem odrzucił broń na bok, czując się po trosze tak, jakby porzucał oddanego i wiernego przyjaciela. Potem zaś przypiął sobie do paska swój pistolet, tak niebacznie pozostawiony na leżance, po czym dość niechętnie podniósł z ziemi jeden z karabinów, jakimi posługiwali się Kh-kh-boyn. Nie przyglądał mu się jednak zbyt uważnie. Wrzucił go po prostu do kanału wentylacyjnego, włożył tam za nim i umieścił kratę na swoim miejscu. Jeszcze raz spojrzął za siebie, wzruszył ramionami i poszedł przed siebie.

Czuł się trochę zmęczony.

Sheenę doprowadził do przytomności natarczywy dźwięk komunikatora. Dobrą chwilę trwało, zanim doszła do siebie na tyle, że zdolna była przyjąć rozmowę. Potem zaś musiała zebrać wszystkie siły, aby w miarę przekonująco wypaść w rozmowie z służbistym dowódcą wachty, który koniecznie chciał wiedzieć, dlaczego nie pojawiła się na swoim stanowisku.

– Przepraszam, nie czuję się najlepiej – powiedziała znękanym głosem. Mężczyzna z powątpiewaniem obrzucił ją wzrokiem.

– I nie wygląda pani zbyt dobrze – skomentował bezlitośnie. – W każdym bądź razie należało uprzedzić nas o tym. Nie można po-

stępować w taki sposób. To zakrawa na lekkomyślność i nieodpowiedzialność...

– Naprawdę bardzo przepraszam – z trudem zdobywała się na uprzejmość. Facet w zasadzie miał rację, jednak mógł poprzestać na jednokrotnym wyrażeniu swojej dezaprobaty. – Postaram się, żeby już nigdy do niczego podobnego nie doszło.

Facet jednak gadał, gadał i gadał, aż z wściekłości zrobiło jej się białło przed oczami. *Spieprzaj, palancie!!!* – pomyślała z nagłą furią.

Przełożony urwał nagle.

– Słucham...? – spytał niepewnie.

– Niczego nie mówiłam? – zdziwiła się. Chwilę patrzył na nią z zastanowieniem, po czym szybko zakończył rozmowę. Nareszcie, zgrzytając zębami, wyłączyła komunikator. O co chodziło temu dupkowi? Zachował się tak, jakby co najmniej usłyszał jej myśli... Wzruszyła ramionami.

Czuła potworny głód. Nic dziwnego, biorąc pod uwagę to, co niedawno przeszła. Samo utrzymywanie kontaktu telepatycznego było czymś, co intensywnie wyczerpywało zasoby energetyczne organizmu, zaś ona dodatkowo przeszła potężny stres, który na pewno nie pomógł jej w podniesieniu formy. Nic dziwnego, że organizm odmówił jej posłuszeństwa. I tak już przez to wszystko wychudła ostatnio jak szczapa... W tej chwili wróciły ostatnie wrażenia z minionego seansu. Oczywiście mimo woli zaszyły jej łzami.

Siedziała i szlochała. Biedny chłopak... Tyle przeszedł, najpierw stracił przyjaciela z oddziału, potem był świadkiem śmierci swojej dziewczyny. Walczył dzielnie tak jak potrafił, po to tylko aby skończyć tak niepotrzebnie – i to z rąk jakiegoś potwora przypominającego przerośniętego pajaka. A ona sama nie mogła nic zrobić. Co za pieprzone życie! Kurwa mać...

W końcu jakoś zdołała się opanować. Naprędce otarła i obmyła twarz zimną wodą, po czym powlokła się do mesy, gdzie zamówiła sobie obiad. Dopiero po chwili zorientowała się, że pora odpowiada raczej kolacji. Wzięła podwójną porcję do swojego stolika i pochłonęła wszystko sumiennie, zapijając sokiem pomarańczowym. Gdyby jednak w drodze powrotnej do kabiny ktoś spytał ją, co jadła dosłow-

nie przed chwilą, nie umiałyby odpowiedzieć. Odpowiadała na pozdrowienia, z kimś nawet zamieniała kilka słów, ale jej uwaga była tak rozproszona, że nie bardzo wiedziała z kim rozmawia.

W kabinie położyła się na wznak, czując przejmujący smutek. Zamknęła oczy. Jej umysł jakoś sam z siebie, z przyzwyczajenia, wyruszył w dobrze znaną podróż. Wiedziała, że to będzie bolesne, odwiedzenie tego miejsca, w którym już nie zostanie tego jednego człowieka.

Jak zwykle, od razu wyczuła emanacje ludzi zgromadzonych w jednym z magazynów. Swoją drogą, ciekawe kiedy ich wypuszczą. I w ogóle jakie mają plany w stosunku do nich – pomyślała mgliście. Dalej napotkała kolejne umysły, przerażające swoją obcością. Nie zagłębiłaby się w nich za żadne skarby świata. Kolejni najeźdźcy... i jeszcze jeden człowiek, tym razem jednak sam. To ją zdziwiło. Nie przypominała sobie, aby oprócz młodego żołnierza jeszcze ktoś pozostał na wolności. Skupiła się na tym kimś... i nagle aż wstrzymała oddech.

To było niemożliwe! Przecież doczekała do momentu, gdy najeźdźca dosłownie naciskał spust, gdy nie było dla tego chłopaka dosłownie żadnej nadziei...!

A jednak to bez najmniejszych wątpliwości był on.

Nie spał, zagłębiany głęboko w swoich myślach. Weszła w nie bez trudu, tak dobrze go знаła. Rozpamiętywał jakieś zdarzenie z bardzo niedawnej przeszłości, które nie dawało mu spokoju. Zaraz... najwyraźniej chodziło mu o to, co nastąpiło tuż po tym, jak ona zerwała kontakt. Przed oczami stanął jej nieziemiec mierzący ze swej broni jakby prosto do niej, i nagle padający na ziemię niczym ścięte drzewo...

On zginął?! Dlaczego!? Jakim cudem...?

Usiadła wyprostowana, z szeroko otwartymi oczami i zmarszczonymi brwiami. Nie zerwała jednak kontaktu. Coś nagle zaczęło jej się klarować i poczęła rozumieć coraz więcej. Na swoje miejsce wskoczył kawałek układanki w postaci niedawnego incydentu podczas rozmowy z przełożonym...

A niech to szlag...

Czyżby właśnie tamto zdarzenie – nieuchronna, zdawałoby się, śmierć czekająca młodego żołnierza – stanowiło ów pożądany bodziec psychiczny? Ten, który – według telepatów z Korpusu ESP – miał wyzwolić w niej pełnię potencjału, jakim dysponowała?! Jeśli tak, to musiała przyznać sama przed sobą, że jej pierwsze działanie jako aktywnej telepaty przerosło wszystko, o czym do tej pory słyszała.

Opadła bezwładnie na koję.

Mój Boże, to ja go zabiłam...! – pomyślała w jakimś osłupiałym popłochu.

Brian uniósł nagle czujnie głowę. Ktoś się odezwał, jakby tuż przy nim, choć wiedział przecież, że nikogo tu nie było. Poza tym, wrażenie było niepokojąco znajome. Jakby nie usłyszał tego uszami, ale w jakiś inny sposób... Niespodziewanie przyszedł mu na myśl Va-a'ho i ich wspólny, niezapomniany seans telepatyczny. To było podobne odczucie.

No i po raz kolejny czuł się tak, jakby ktoś go obserwował.

Zamknął oczy i wygodnie oparł się o twardą ścianę. Spróbował się maksymalnie skoncentrować; jeśli bowiem ktoś próbował nawiązać z nim kontakt, to chciał mu to jak najbardziej ułatwić.

– *Kim jesteś?* – rzucił w myślach pytanie.

Nie czekał długo.

– *A niech mnie, naprawdę się udało!* – dobiegła odpowiedź. – *Poczekaj... jestem Sheena. Boże, to takie niezwykle...!*

Niech mnie...! – pomyślał podniecony – naprawdę udało mi się nawiązać kontakt z jakimś telepatą, i to człowiekiem

Postarał wziąć się w garść.

– *Ja jestem Brian. Cemu to dla ciebie takie niezwykle? Musisz być przecież aktywną telepatką?*

– *Owszem, od niecałych dwóch godzin. I to tylko dzięki tobie.*

– *Nie rozumiem.*

– *Potem ci wytłumaczę... To ja zabiłam tego ostatniego koleśia, który chciał cię wykończyć.*

Brian poczuł się tak, jakby dostał czymś ciężkim w głowę. To nie mogło być prawdą! Chociaż, z drugiej strony, skąd niby ona mogła o tym wiedzieć, jeśli sama w tym nie uczestniczyła, choćby tylko jako obserwator...? A właśnie.

– *Jak długo obserwujesz to, co robię?*

– *Parę dni... musiałabym policzyć. Zaraz, to się zaczęło zaraz po tym, jak wróciłam do bazy z geologiem...*

Ponownie coś go zaciękało.

– *Do jakiej bazy? Skąd ty w ogóle jesteś?*

– *Ganimedes, baza Blue One. Niezły kawałek drogi, nie?*

Zamurowało go, chociaż sądził, że nic więcej nie zdoła go zdziwić.

– *I jesteś tam w tej chwili?! Cholera, byłem pewien, że jesteś nie dalej, niż na Marsie!* – urwał na moment, próbując zebrać myśli. W głowie tłoczyły mu się setki pytań, zdecydował się jednak na to, które najbardziej nie dawało mu spokoju. – *Jak zabiłaś tego Kh-kh-boyn?*

– *Sama nie wiem* – chwila milczenia. – *Przedtem nie byłam nawet aktywną telepatką. Widziałam to, co on zamierzał ci zrobić, i chyba się wściekłam, i to tak porządnie. A potem on już nie żył... Specjaliści z Korpusu ESP mówili mi, że potrzebny będzie impuls wyzwalający zdolności aktywnej telepatii, ale nie spodziewałam się czegoś takiego.*

– *Faktycznie, niezły początek. Nie wiem, jak ci dziękować...*

– *Postawisz mi drinka, jak już to wszystko się skończy. Co teraz będziesz robił?*

– *Pewnie to samo, co do tej pory* – westchnął. – *Wykończę tyłu, ilu tylko zdołam. Szczerze mówiąc, chyba mogłabyś mi pomóc.*

– *Czemu nie? Korpus ESP to nominalnie także część UNSF.*

– *Hmm... A ile właściwie masz lat? Przepraszam, że pytam, ale o mnie pewnie wiesz i tak więcej, niż ja sam o sobie, za to ja o tobie prawie nic...*

– *Nie przepraszaj. Ale, tak na marginesie, ja wcale o tobie nie wiem za dużo. To nie jest tak, że dowolnie mogę grzebać we wspomnieniach ludzi. Mogę tylko wiedzieć, co myślą w danej chwili. A wracając do rzeczy, mam dwadzieścia cztery lata. Pasuje?*

– *Czemu nie – uśmiechnął się szeroko. – To co, od tej pory zaczynamy współpracę?*

– *Jasne. Będziesz się tylko musiał dostosować do mnie. Ja mam bowiem niestety, w przeciwieństwie do ciebie, określone godziny pracy. Jestem tu technikiem łączności. Ty zaś możesz pracować na akord...*

Ziemia

Wielki okręt powoli zbliżał się do swojego miejsca przeznaczenia. W pogotowiu była już cała załoga mostka: wszystkie stanowiska miały pełną obsadę, a na niektórych członkowie załogi byli nawet zdublowani przez swoich zmienników. Beresford nie uważał jednak, aby zalecane przezeń środki można było nazwać przesadą. Był po prostu zdania, że w sprawie takiej wagi, jak ta tutaj, nie mogło być zbyt wiele ostrożności. Każdy błąd mógł okazać się zgubny w skutkach.

Dośłownie kilkanaście minut temu jego sonarzyście udało się nawiązać kontakt z dwoma jednostkami pełniącymi od kilkunastu dni straż przy podwodnej konstrukcji. Komandor Miljuszyn z UNS *Lena* przywitał ich ciepło, zaś z kolei pierwszym pytaniem dowódcy *Sea Huntera* było, czy przywieźli im świeżą sałatę.

– To dla mojego pierwszego oficera – poskarżył się dość żałośnie komandor Pearson. – Od paru dni nic innego nie słyszę, tylko sałatę. I obawiam się, że zaraził tym kilku innych, a nie chcę mieć buntu na pokładzie...

– Zobaczę, co się da zrobić – obiecał Beresford, uśmiechając się pod nosem. – A co poza tym?

– Spokój, zresztą czego innego można się spodziewać. Zdaje się tylko, że mamy jakieś uszkodzenie w systemie sonaru pasywnego. Co jakiś czas łapiemy jakieś dziwaczne echa, nie pasujące kompletnie do niczego. Coś jakby kawitacja, ale bez odgłosu pracy śrub ani silników, a poza tym – kawitacja cztery kilometry pod powierzchnią oceanu...?

– Mało prawdopodobne – zgodził się Beresford. – Podesłać ci kogoś z naszych techników?

– Chyba nie trzeba, mam tu paru magików na pokładzie. Już się tym zajęli, ale jeśli nie zdołają zlokalizować uszkodzenia, dam ci znać.

– Sprawdźcie dokładnie software informatyki sonarowej. Może to nie kwestia mechaniki?

– Też na to wpadliśmy, dziękuję. Jakies konkretne polecenia dla nas?

– Rozkazy przejścia na nowe pozycje. Notuj...

Zgodnie z zaleceniami dowództwa, *Lena* miała przejść na pozycję leżącą cztery mile na północny wschód od pilnowanego obiektu. *Sea Hunter* miał znaleźć się w takiej samej od niego odległości, tyle że niemal dokładnie na zachodzie, zaś trójkąt ten miał zamknąć *Ramses* od południa. Dystans czterech mil zalecili rahańscy eksperci, którzy uznali go za zupełnie wystarczający dla zabezpieczenia jednostek przed skutkami detonacji głowicy kolaptycznej. Admirał wiedział, że niemal w ostatniej chwili przed wypłynięciem z Pancake do zespołu planowania akcji dołączono w pośpiechu ziemskich geologów. Ktoś bowiem przypomniał sobie nagle o niewielkiej grubości skorupy ziemskiej pod oceanicznym dnem. Po dokładnych studiach nad mapami geologicznymi tego rejonu okazało się jednak, że nie ma poważniejszych powodów do jakichkolwiek obaw. Oczywiście o ile wszystkie zapewnienia rahańskich ekspertów od broni potwierdzą się.

Beresford przechodził od stanowiska do stanowiska, zamieniając tu i ówdzie z ludźmi po kilka słów. Przyglądał się im uważnie, choć nie natarczywie, i niemal wszędzie odnajdywał to, czego od nich oczekiwał: pewne napięcie, dozę niecierpliwości, i ślad niepokoju. Wszystko to były uczucia zrozumiałe, i cieszył się, że jest tak a nie inaczej. Sam również musiał przyznać, że czuje się nieco niepewnie. Nie był całkiem pewien, czy to dobra cecha dowódcy okrętu podwodnego – usprawiedliwiał się jednak tym, że to właśnie na nim spoczywa pełna odpowiedzialność za wszystko, co miało się wydarzyć w ciągu nadchodzących godzin.

– Szefie, mam na linii komandora Miljuszyna i komandora Pearsona – usłyszał nagle głos Johnsona w małej słuchawce tkwiącej w jego lewym uchu. Odruchowo poprawił pręć mikrofonu tkwiący przy ustach.

– Pearson chce z panem mówić – dorzucił sonarzysta. – Daję go panu na linię.

– Malcolm? – zatrzeszczał niewyraźny głos.

– Jestem. O co chodzi?

– Zajęliśmy wyznaczoną pozycję, ale nie o to mi w tej chwili chodzi. Znowu mamy te dziwne szumy. Tylko że zaraz jak tylko ruszyliśmy z miejsca, ten namiar również zaczął się przemieszczać. Nie jestem już pewien, czy chodzi o uszkodzenie sonaru.

Beresford milczał chwilę, przetrawiając zasłyszane wieści.

– Jak silny jest ten sygnał?

– Teraz dużo słabszy, widać oddaliliśmy się od niego. W zasadzie też powinniście go móc odebrać, tu nie ma termoklin... Mamy go na namiarze około sto siedemdziesiąt. Wcześniej, zanim ruszyliśmy, był na sześćdziesięciu, można więc wziąć namiar krzyżowy i z grubsza określić pozycję tego, co emituje ten szum.

– A Miljuszyn na *Lenie*? Miał coś wcześniej?

– Nie, ale po pierwsze on ma jednak słabsze urządzenia od naszych, a poza tym znajdował się niemal dokładnie po drugiej stronie tej piramidy. Miał prawo niczego nie zarejestrować.

– Zaraz zaprzęgnę do pracy mojego sonarzystę – obiecał Beresford. – Utrzymujcie pozycje. Bez odbioru.

Nachylony nad stanowiskiem Johnsona, z prawej strony miał Sve-na Kristensena, usiłującego z danych dostarczonych przez komandora Pearsona obliczyć pozycję dziwnego namiaru. Johnson tymczasem starannie przeszukiwał obszar w promieniu sześćdziesięciu stopni przed dziobem okrętu, zwróconego na północ.

Szwed podniósł nagle głowę i spojrzał na nich.

– Mam to, w dużym przybliżeniu. Jeśli nic się nie zmieniło, szukaj tego mniej więcej na trzystu dziesięciu stopniach.

Johnson kiwnął głową i zmienił ustawienia swoich instrumentów. Lewą ręką przytrzymał przy uchu jedną z dwóch wielkich słucha-

wek, oczy miał zamknięte, zaś palce jego prawej dłoni błdziły po klawiaturze sterującej. Trwało to kilka minut i Beresford wyprostował się wreszcie, czując jak jego ciało stopniowo drętwieje i sztywnieje w tej niewygodnej pozycji. W tym samym momencie Murzyn otworzył oczy.

– Trzymam kontakt – powiedział po prostu. – Słabe jak pierdnięcie niemowlaka, ale jest tam na pewno. Dać to panu na głośniki, szefie?

Dowódca *Ramsesa* po raz kolejny pomyślał dość melancholijnie, że do zalet jego pierwszego sonarzysty z pewnością nie można zaliczyć kulturalnego i wyszukanego sposobu wystawiania się. Jak zwykle jednak przeszedł nad tym do porządku dziennego. Żadne upomnienia nie skutkowały w przypadku tego wyszczerzanego dwudziestosiedmiolatka.

– Daj – rzekł zamiast tego.

Długo wsłuchiwał się w stłumiony odgłos, przefiltrowany i wzmocniony przez komputer. Faktycznie, gdyby nie głębokość, na jakiej się znajdowali, pomyślałby, że to kawitacja. Szum do złudzenia przypominał ów charakterystyczny odgłos milionów bąbelków gazu odrywających się od piór szybko obracającej się śruby. Ale było tak, jak to zapowiedział Pearson: brakowało odgłosu obrotów samej śruby.

– Co o tym myślicie? – spytał wreszcie obu sonarzystów. Ci spojrzeli po sobie. Kristensen wzruszył ramionami i pokręcił głową. Johnson podrapał się po brodzie.

– Nie słyszałem jeszcze niczego podobnego. Nie na tej głębokości. I wolę się nie zakładać, co tam jest.

Admirał kiwnięciem głowy przyjął do wiadomości ich wyjaśnienia, a raczej ich brak. Nie miał im tego za złe – zawsze istniało ryzyko natknięcia się na rozmaite nieznane dotąd zjawiska, i nikogo nie można było za to winić.

– Pilnujcie tego, na wszelki wypadek – rzucił im na odchodnym.

Teraz była kolej na właściwe zadanie, jakie stało przed okrętem. Zanim jednak przebrojona torpeda opuści jedną z dziobowych wyrzutni wielkiego okrętu, kilka spośród osób będących w tej chwili na pokładzie miało jeszcze coś do zrobienia.

Dwóch Rahańczyków, Elsa Langerfeld i Toby MacBride czekało już na niego przy stanowisku dowodzenia. To oni mieli wypłynąć za chwilę na pokładzie jednej z łodzi desantowych i dotrzeć w bezpośrednią bliskość piramidy. Potem obaj nieziemcy wraz z sędziwą telepatką mieli nawiązać kontakt z istotą przebywającą wewnątrz monumentu i przekazać jej informacje o tym, co miało się zdarzyć niebawem. Cały ciężar tego zadania mieli wziąć na siebie dysponujący o wiele większym potencjałem Rahańczycy, Elsa Langerfeld płynęła najprawdopodobniej z czystej ciekawości. Ryzyko tej akurat misji wydawało się zaś na tyle niewielkie, że dowódca nie widział ku temu żadnych przeszkód. A Toby naturalnie był także pilotem...

Patrzył za nimi, jak kolejno wchodzili do wagonika kolejki magnetycznej, wypełnionego niebieskawą poświatą.

A więc zaczyna się.

Kosmos

Minęło dopiero kilka godzin, odkąd zakończyli swą rozmowę, a jemu już zaczynało czegoś brakować. No cóż – powiedział sobie, ta dziewczyna po pierwsze uratowała mi życie, a po drugie jest w tej chwili jedyną życzliwą istotą, z którą mogę pogadać. To już wiele.

Przez te parę godzin zdążył się zdrzemnąć, co wydatnie podbudowało jego siły. Był bowiem zmęczony do granic ostateczności wszystkimi ostatnimi przejściami. Z tego samego powodu Sheena zerwała kontakt, trwający dobre cztery godziny. Na końcu bowiem napomknęła, że tego rodzaju doświadczenia wyczerpują organizm telepaty skuteczniej niż ciężki wysiłek fizyczny. Poza tym, ona faktycznie była ograniczona swoimi obowiązkami, a nie zamierzał jej w jakikolwiek sposób przeszkadzać w wywiązywaniu się z nich.

Tymczasem zdążył dokładniej obejrzeć zdobyczny karabin. Był on dużo krótszy i zarazem o wiele bardziej masywny od tych, jakich używali żołnierze UNSF. W ogóle był dziwny. Kształt jego kolby z pewnością nie predestynował jej do trzymania przez ludzkie dłonie.

Lufa z kolei nie miała niczego, co można by nazwać wylotem; jedynie na jej końcu świecił się mały, czerwony punkcik. Zasada działania tej broni stanowiła więc dla niego zagadkę, i nie zanosilo się na to, aby miało się to zmienić.

Na spust natknął się całkowitym przypadkiem, nieco mocniej wcisnąwszy jakąś wypukłość na kolbie. Dopiero, gdy fragment podłogi u jego stóp buchnął nagle odłamkami, spowodował, że szarpnął się do tyłu w jakimś przerażeniu i momentalnie puścił feralny przycisk. Niewiele brakowało, a odstrzeliłby sobie stopę. Czy oni nie znają niczego w rodzaju zwykłego bezpiecznika...?!

Pomimo wszystko, mógł od biedy używać tej broni, choć z pewnością nie będzie to zbyt wygodne. Teraz jednak musi poczekać z jej praktycznym wykorzystaniem na ponowne nawiązanie kontaktu z dziewczyną z Ganimesesa. Swoją drogą, twarda była z niej sztuka, chociaż nie była zawodowym żołnierzem. Co prawda nominalnie przynależała do UNSF jako członek elitarnego Korpusu ESP, niemniej taka służba różniła się dość znacznie od tego, co było choćby udziałem jego i Gwen. Gwen...

Odpędził od siebie te myśli. Nie czas na nie.

Przez moment jednak czuł niemal fizyczny ból gdzieś głęboko, w środku. To tkwiło gdzieś w nim, i być może będzie tak już zawsze.

Teraz spróbował przypomnieć sobie to, co Sheena opowiadała mu o swojej niewiarygodnej wyprawie przez lodowe pustkowia Ganimesesa. Wyprawie po ocalenie jednej żywej, myślącej istoty, nie będącej nawet człowiekiem. Pokręcił głową. Jak się w takim razie do tego ma fakt, że on zdążył już uśmiercić tyle inteligentnych istot?

O tym także rozmawiał z Sheeną.

– *To jest ta druga strona medalu* – powiedział jej. – *To są obowiązki wynikające z faktu, że jestem żołnierzem. Co prawda w chwili obecnej walczę bardziej jak partyzant, niż regularny żołnierz. Ale to chyba nie ma większego znaczenia: taka akurat jest sytuacja. Zabijam jednak inteligentne istoty.*

– *Wiesz, że jako żołnierz jesteś w pełni usprawiedliwiony.*

– *A jako człowiek? Jako istota inteligentna...?* – pokręcił głową z powątpiewaniem. – *Wiesz co, od samego początku, już gdy po raz*

pierwszy wszedłem do tunelu wentylacyjnego, zastanawiałem się jak to będzie. Co będę czuł, biorąc na muszkę kogoś, kto żyje, myśli, czuje... To jest okropne: mieć świadomość, że już za chwilę z mojego powodu umysł tej istoty wypełni się bólem. Trudno z tym sobie poradzić.

– To są jednak najeźdźcy. Też mają na sumieniu wiele ludzkich istnień.

– To prawda. Trochę pomaga mi też ich tak niehumaniczny wygląd. Ale dużo bardziej przydaje się odpowiednie nastawienie psychiczne. Nie śmieję się, ale najczęściej po prostu usiłuję sobie wmówić, że strzelam do jeszcze jednego ruchomego celu na strzelnicy czy poligonie. Pomimo to, gdy zabiłem pierwszego Kh-kh-boyn, omal się nie porzygałem.

Nie wspomniał wtedy Sheenie, że Gwen miała podobne problemy. Wiedział o tym dobrze, jednak na mocy jakiejś niepisanej i nie wypowiedzianej umowy, nie zamienili na ten temat ani jednego słowa. Każde z nich radziło sobie z tym problemem, jak tylko umiało, na swój indywidualny sposób. Jedynie Sanchez zdawał się całkowicie wyzuty z tego rodzaju rozterek i wątpliwości. A jeśli nawet dostrzegał coś w nich, to w każdym razie nie powiedział na ten temat ani jednego słowa.

Opowiedział jej też o sobie, sama go o to zresztą poprosiła.

– Prawdę mówiąc to niewiele brakowało, abym skończył jako młody, obiecujący prawnik gdzieś na Wschodnim Wybrzeżu – mówił. – Rodzina zawsze chciała, abym wybrał jedną z tych ekskluzywnych szkół z Ivy League. O to im chodziło. Wtedy jednak postawiłem się im, chyba po raz pierwszy w życiu. Wybrałem wojsko. Zawsze mnie to pociągało...

– Co na to twoja rodzina?

Brian zaśmiał się na samo wspomnienie, szybko jednak spowaźniał.

– Ojciec wściekł się wtedy i zapowiedział mi, że od tej chwili nie dostanę od niego ani centa. Matka... ona w zasadzie stanęła za mną. Pamiętam, jak płakała wtedy. Próbowала odwieść ojca od tak drastycznej jej zdaniem decyzji. Ale to i tak na nic się nie zdało, ojciec umiał być uparty, zresztą do tej pory jest taki. Zaparł się jak stary

koziół i od tamtej pory zachowuje się tak, jakbym dla niego nie istniał. Całkowicie poświęcił się matce, pracy i mojej młodszej siostrze Cynthii. W tej właśnie kolejności.

– Dziwny człowiek...

– Trzeba go znać, żeby go zrozumieć. Wiesz co, tak naprawdę to wcale nie mam mu tego wszystkiego za złe. W pewnym sensie jestem mu za to wszystko wdzięczny, bo dzięki temu nauczyłem się samodzielności.

– Widujesz się z kimś z rodziny?

– Osobiście niezbyt często. Ale dzwonię do matki, gdy tylko mogę, tak samo jak do Cynthii. Zawsze się dobrze rozumieliśmy. Ona chyba najbardziej czeka na wiadomości ode mnie... Może to dlatego, że tak rzadko się widzimy? Boże, ona przecież już jest dorosła...!

– Cały ten czas spędziłeś w wojsku?

– No, nie całkiem. Na jakiś czas zawiesiłem to, wtedy gdy robiłem magisterium na MIT.

– MIT? – zdziwiła się Sheena. – Jaką specjalność wybrałeś?

– Konstrukcja zaawansowanych technologicznie stacji orbitalnych. Potem jednak postanowiłem wrócić do armii, ale w taki sposób, żeby nie stracić związku z kosmosem. Nie miałem wtedy pojęcia, jak to zrobić, i wtedy właśnie zaczęło się zamieszanie związane z Kontaktem. No wiesz, jasne się stało, że Ziemia musi dysponować siłami zbrojnymi zdolnymi do operowania w przestrzeni kosmicznej. Zrobiłem wszystko, żeby się do nich dostać... i udało się! Po drugie zaś, wtedy też zaczął się napływ nowych technologii.

– Pomogło ci twoje wykształcenie? – spytała domyślnie Sheena.

– Właśnie. Zaproponowano mi stanowisko okresowego konsultanta Instytutu Technologii Eksploracji Przestrzeni Kosmicznej. To taka dość niewielka instytucja działająca przy Kalifornijskim Instytucie Technologii. Potem jednak mnie i moją jednostkę odelegowano na nową stację orbitalną Mars 2. Okazało się, że w niczym mi to nie będzie przeszkadzać, bo możliwa stała się natychmiastowa łączność podprzestrzenna. Mogłem zatem normalnie pracować korzystając z połączeń Netu. W dodatku Mars 2 jest obecnie naj-

większym obiektem orbitalnym stworzonym przez człowieka, czyli też pokrywa się z moimi zainteresowaniami...

Ona sama niewiele mówiła o sobie. Wyczuł jednak w jakiś sposób, że nie jest szczęśliwa tam, na Ganimesesie. Bał się jednak spytać wprost, o co chodzi. Być może sama w końcu zechce opowiedzieć mu o swoich problemach?

Obejrzał swoje ręce. Oparzenia zdawały się goić, ból ustąpił zaś na rzecz niewielkiego pieczenia, i to bez użycia środka znieczulającego. Poruszył na próbę policzkami, rozciągnął twarz w uśmiechu, ale tu też było już wyraźnie lepiej. Wyciągając z kieszeni spray ze środkiem przeciw oparzeniom, myślał o gwałtownej śmierci, jaka spotkała drugiego z jego wczorajszych wrogów. Cholera, gdyby tylko można było uraczyć ziemskim lekiem znieczulającym wszystkie te cholerne pająkowane stwory na pokładach stacji...

Zamarł nagle z pojemnikiem uniesionym ku twarzy.

Zaraz, zaraz, to nie jest takie głupie...!

No tak, potrzebna byłaby znacznie większa ilość tego środka. Można by odwiedzić po kolei wszystkie ambulatoria, centralny szpital stacji i zebrać cichaczem wszystkie dostępne ampułki z tym lekiem. To da się zrobić. Ale jak spowodować, aby oni odetchnęli tym, i to skutecznie...? Nie będzie przecież szukał każdego z osobna i wrzucał ampułki do pomieszczeń, równie dobrze może wtedy do nich strzelać...

Nagle palnął się w głowę. Co za tuman ze mnie! Przecież rozwiązanie jest jasne!

Centrala uzdatniania powietrza.

Tak, to się da zrobić. Dostać się tam to nie problem, następnie wystarczy odnaleźć centralne przewody, którymi odświeżone powietrze idzie do systemów wentylacyjnych stacji. I tam właśnie, jeszcze zanim zostanie wpompowane do poszczególnych kanałów i rozgałęzień, trzeba wprowadzić ten środek. Całkiem proste. Czemu dotąd na to nie wpadł? Sami najeźdźcy skorzystali przecież z tego sposobu.

Zaraz jednak opadły go wątpliwości. Nie wziął pod uwagę rozmiarów stacji i kubatury jej wszystkich pomieszczeń. Tej ilości leku, którą zbierze, z pewnością nie wystarczy, aby stężenie lotnej substan-

cji w powietrzu wystarczyło na zabicie Kh-kh-boyn. Nawet tego nie poczuja, tak będzie rozproszone. No bo ile w końcu może zebrać tych ampulek? Stacja ma kilka ambulatoriów, no i szpital... Niech będzie, że w szpitalu mają tego większy zapas, niech to będzie nawet sto ampulek, to w sumie może zgromadzić ich około stu dwudziestu. Zdecydowanie za mało.

A skąd bierze swoje zapasy szpital? Z magazynów. Do magazynów zaś dostarczany jest z ładowni statków...

Hmm. Stacja przecież do niedawna była zarazem punktem przeładunkowym. Stąd następnie większość towarów była dystrybuowana na powierzchnię Marsa, do *Ceres Candy* czy też na Ganimedesa. Oni bez wątplenia także potrzebowali leków, w tym również i tego, który go interesował... Na stacji zatem powinny znajdować się jakieś zapasy, i to pokaźne! Przy odrobinie szczęścia znajdzie wśród nich ów parujący środek znieczulający...

Nie miał w tej chwili niczego lepszego do roboty, może zacząć szukać choćby i w tej chwili. Podniósł się więc i pogwizdując pod nosem poszedł w kierunku najbliższego szybu technicznego, prowadzącego pionowo z góry na dół poprzez wszystkie poziomy stacji. Nie zaszkodzi zajrzeć do magazynów. Co prawda nie miał dostępu do komputerów, w których pamięci zgromadzone były dane o rozmieszczeniu towarów w magazynach. Ale przecież czego jak czego, ale czasu na poszukiwania mu nie brakowało.

Przynajmniej wypełni czymś godziny pozostałe do ponownego nawiązania kontaktu przez Sheenę.

Ziemia

Mocne światło reflektorów *Golfa* rozcinało niby nożem świat ciemności cztery kilometry pod powierzchnią oceanu. Płynęli tuż nad dnem, i przez plamę jasności przewijały się łagodne wzniesienia mulistego szlamu pokrywającego oceaniczne dno. Toby wiedział, że ich droga znaczone jest długim, kłębiastym obłokiem mułu, jaki podniosły

śruby ich silników. Wciąż znajdowali się przed barierą pochłaniającą sygnały sonarowe.

Na fotelu obok siedział jeden z wysokich Rahańczyków. Drugi siedział z tyłu, wraz ze starszą panią. Od momentu wypłynięcia z doku *Ramsesa*, czyli od mniej więcej piętnastu minut, zamienili ze sobą nie więcej jak kilkanaście słów. Wszyscy świadomi byli wagi wydarzeń i może dlatego zachowywali milczenie. Toby jednak, ze swej strony, wolałby rozmowę na jakikolwiek temat od tej dziwnie ponurej ciszy. Westchnął i skupił się na prowadzeniu niewielkiej jednostki.

Drgnął, gdy nagle siedzący dotąd spokojnie Rahańczyk wychylił się zniechęca do przodu i zaczął coś mówić tak szybko, że translator Toby'ego najwyraźniej nie nadążył z tłumaczeniem, bowiem uporczywie milczał. Chwilę później odezwał się drugi nieziemiec.

– Zatrzymaj okręt, proszę – powiedział. Komputerowe tłumaczenie nie oddawało emocji, jednak z dźwięku wypowiedzianych przez nich słów domyślał się, że z jakiegoś powodu są podekscytowani.

Wyłączył silniki, nie pytając na razie o powody. W tym momencie – jako oficerowie armii sił sprzymierzonych – i tak górowali nad nim stopniem. Zobowiązany był zatem do bezwzględnego wypełniania ich rozkazów.

– Cofnij nieco okręt, tym samym kursem.

Po chwili śruba *Golfa* poczęła obracać się w przeciwnym kierunku. Okręt jeszcze przez chwilę płynął do przodu, wyhamowując poprzedni rozpęd, wreszcie jednak się zatrzymał i stopniowo ruszył do tyłu. Niemal natychmiast wpłynęli w kłęby mułu uniesione ich przejściem, a które jeszcze nie zdążyły opaść. Widoczność znacznie się pogorszyła..

– Powoli – polecił ten, który siedział obok niego. – Wybacz, ale musimy coś sprawdzić. Możliwe, że nam się wydawało, ale wolimy być pewni...

Cóż on tam takiego zobaczył, u licha? – zastanawiał się Toby. Obrócił się na moment i napotkał pytające spojrzenie starej telepatki. Wzruszył ramionami i uniósł brwi w górę. Nie wiedział więcej, niż ona.

– To było gdzieś tutaj – usłyszał. – Płyn bardzo wolno. Niewiele widać...

– Trzeba będzie odczekać parę minut, aż to się uspokoi.

Czekali więc, aż muł opadnie, a potem ruszyli ponownie, powolutku i ostrożnie. Drugi Rahańczyk wstał ze swojego miejsca i stanął za oparciem fotela obok, wpatrując się z napięciem w wielki, panoramiczny przedni ekran.

Upłynęła kolejna, dłużąca się w nieskończoność minuta.

– Jest – usłyszał nagle. – Stopuj teraz.

Okręt zatrzymał się jakieś sześć metrów nad dnem. Toby wypatrywał oczy, ale nie widział niczego godnego uwagi. Może po prostu nie wiedział, czego szukać... Nagle jednak coś przyciągnęło jego uwagę. Jakiś zbyt regularny kształt, w tej chwili niemal całkowicie przykryty mułem... Miejscami pobłyskiwał srebrzystym metalem.

– Co to jest? – odważył się wreszcie spytać, bowiem tamci dwaj po prostu patrzyli na to w milczeniu.

– Nie jestem pewien – zaczął z wahaniem ten, który siedział. – Teraz niewiele widać, ale przedtem widziałem to w całości, zanim jeszcze opadł ten osad. Mam jednak wrażenie, że to jest...

– Fragment pułapki grawitacyjnej – dokończył drugi.

Toby jeszcze raz spojrzął na niewyraźnie majaczący kształt. Skąd oni, na Boga, mogli tak od razu rozpoznać coś takiego...? Zaraz jednak przypomniał sobie, że ci dwaj są przecież ekspertami od broni i galaktycznych systemów wojskowych. No dobrze; skoro jednak to jest fragment pułapki grawitacyjnej więżącej tę istotę we wnętrzu piramidy, to skąd mogli znać wytwór techniki wyprzedzającej ich o eony?

Nie omieszkiał o to spytać.

– To nie jest fragment systemów piramidy – wyjaśnił jeden z ekspertów. – To standardowe urządzenie stosowane obecnie w Galaktyce, najwyraźniej nieznacznie tylko zmodyfikowane.

Chwilę trwało, zanim zrozumiał, co to oznacza.

– Ale... w takim razie skąd ono się tu wzięło?

– To właśnie nas niepokoi. Musiało zostać zainstalowane bardzo niedawno. I jeśli mamy rację, to wokół piramidy powinno być jeszcze co najmniej kilka takich urządzeń.

– Pułapka jest jeszcze nieaktywna – powiedział powoli drugi Rahańczyk. – Ktoś tu jednak szykuje się do realizacji jakichś swoich planów, o czym my z kolei nie mamy najmniejszego pojęcia. Wygląda na to, że mamy konkurencję.

Toby zacisnął usta.

– Chyba lepiej będzie, jeśli poinformuję o tym dowódcę.

Beresford wysłuchał w milczeniu tego, co miał mu do przekazania jego drugi pilot. Następnie długą chwilę z jednym z Rahańczyków obecnych na pokładzie łodzi desantowej rozmawiał jeden z ekspertów, którzy pozostali w *Ramsesie*.

– Lepiej będzie, jeśli oni postarają się wykonać swoje zadanie możliwie szybko – powiedział w końcu nieziemiec do admirała, patrząc na niego swoimi wydłużonymi oczami. – Mamy wrażenie, że ktoś zamierza zrobić to samo, co my. Z tą tylko różnicą, że równocześnie z wypuszczeniem tej istoty z wnętrza piramidy chce uwieźć ją w swojej pułapce. Na to przynajmniej wskazuje odnalezione urządzenie. Co za szczęśliwy zbieg okoliczności, że oni w ogóle na nie trafili!

Admirał nagle pomyślał o dziwnym namiarze, jaki nie tak dawno temu wysledził komandor Pearson.

– To oznacza, że w pobliżu mamy jakąś obcą jednostkę? – upewnił się, patrząc na wysokiego Galakta. Ten przymknął twierdząco oczy.

– Na to wygląda. Jeśli jest to niewielki, typowo szpiegowski pojazd, to mógł się jakoś przemknąć przez nasze blokady orbitalne, przez całą sieć sensorów. Na pewno stosuje ekrany ESP, bowiem nie wyczuwamy żadnych emanacji.

– Ale jak pojazd kosmiczny może być zdolny do działania pod wodą?!

– Stosuje pola ochronne. Jest to możliwe, chociaż nader rzadko praktykowane. Używa napędu grawitacyjnego...

– Zaraz – przerwał mu Beresford, gdyż nagle coś przyszło mu do głowy. – Pola ochronne? A w jaki sposób oddziałują one z otaczającą go wodą?

– Co pan ma na myśli?

– Czy możliwe jest, aby tego rodzaju pole wywoływało jakąś reakcję fizyczną, czy chemiczną wody? – powiedział admirał z wahaniem, gdyż nie znał się na takich sprawach zbyt dobrze. Mógł snuć jedynie przypuszczenia, dopasowując je do faktów. – Może zachodzi elektroliza, czy ja wiem...?

Rahańczyk milczał długą chwilę. Wreszcie splótł razem obie dłonie i ponownie spojrzał na dowódcę.

– Elektroliza. Tak, to całkiem prawdopodobne. Energia pola może spowodować podobne zjawisko...

– Czyli efektem będzie wyzwalanie pęcherzyków gazu?! – admirał aż pochylił się do przodu z wrażenia.

– Zgadza się. Czy ma pan coś konkretnego na myśli?

– Owszem – rzucił Beresford przez ramię, kierując się szybkim krokiem w stronę swojego stanowiska. – Chyba zdołaliśmy go zlokalizować, choć wcześniej nie zdawaliśmy sobie z tego sprawy. Proszę za mną, najprawdopodobniej niezbędne będą wasze konsultacje. Trzeba będzie zmienić naszą strategię...

Na niewielkim statku trwała ożywiona krzątanina. Kilku dużych, niebieskich Voorthian stanowiących załogę uwijało się pod czujnym okiem dowódcy. Ten zajmował miejsce w centralnej części niewielkiego pomieszczenia. W tej chwili załoga dokonywała końcowych testów generatorów pola grawitacyjnego, których sieć została zainstalowana w ciągu dwóch ostatnich lokalnych dni. I to tuż pod nosem pojazdów tych Ziemiaków! To tylko tym dobitniej świadczyło, jak prymitywną techniką dysponują.

Dowodzący flotą Ojciec Walki i Honoru, gdy osobiście zlecał im tę misję, oznajmił im że ich przeciwnicy najprawdopodobniej również będą usiłowali uwolnić to, co skrywało się we wnętrzu piramidy. Na-

leżało ich zatem uprzedzić, zanim Ziemianie i ich galaktyczni sprzymierzeńcy dotrą tu ze środkami umożliwiającymi im wykonanie tego zadania. Dla dowódcy stateczku tajemnicą pozostawało, w jaki sposób dowództwu voorthiańskiej floty dane było poznać dokładną lokalizację miejsca, w którym pod powierzchnią wód spoczywała wielka budowla. Zapewne była to kolejna błyskotliwa akcja ich znakomitego wywiadu. Tak, to w istocie było prawdopodobne: wśród tak prymitywnych istot stosunkowo łatwo było znaleźć potencjalnych zdrajców.

Przemknęli się zatem niezauważeni przez sieć orbitalnych patrolerów i stacjonarnych sensorów. Skorzystali z zamieszania w przestrzeni, wywołanego przez wysłaną specjalnie w tym celu grupę statków ich floty. Następnie cichaczem weszli w atmosferę planety i nie wykryci pogrążyli się w odmętach wód, pokrywających tak znaczną część tego globu.

A teraz wszystkie przygotowania dobiegały końca. Gdy tylko będą gotowi, ładunek kolaptyczny pozwoli wydostać się z piramidy tej istocie. Jednak tylko po to, aby zamknęła się wokół niej kolejna pułapka. Wtedy zmniejszą jej promień, połączą główny generator z kadłubem statku, i znikną. Po prostu.

Mieli zalecenie, aby spróbować wyjść ponad atmosferę planety, zanim wejdą w podprzestrzeń. Jeśli jednak jakimś sposobem zostaliby wykryci, mieli dokonać skoku pod powierzchnią oceanu. Było to nader ryzykowne, niemniej wykonalne. Wiedzieli, że muszą dostarczyć swój łup na miejsce przeznaczenia za wszelką cenę.

Inna sprawa, co się w takim wypadku stanie z tym światem.

Beresford dość nerwowo spoglądał na stanowisko sonarzystów. Oczekiwał wiadomości z pokładu *Golfa*, oznajmiającej iż zakończyli swoją misję i są w trakcie powrotu do macierzystej jednostki. W chwili obecnej woleli im jednak nie przeszkadzać, ze względu na pochłaniające ich niewątpliwie bez reszty zajęcie. Poza tym, kontakt z nimi urwał się niespełna osiem minut temu, i nie należało oczekiwać, aby w tak krótkim czasie udało im się dokonać tego, co zamierzali. Z drugiej

zaś strony, ci na *Golfie* zostali przecież poinformowani o nagłej zmianie sytuacji, i bez wątpienia spieszyli się na tyle, na ile tylko się dało.

– Być może będziemy musieli się pośpieszyć z odpaleniem torpedy – stwierdził w ponurej zadumie. Stojący obok Duvall odwrócił głowę i spojrzał na niego bez słowa. – Jeśli tamci, którzy czyhają gdzieś w głębinach, będą gotowi wcześniej od nas...

– To może skończyć się to dużo gorzej dla nas wszystkich – dokończył za niego nawigator. – W żaden sposób nie można dać nieprzyjacielowi do zrozumienia, że jego obecność w tej okolicy nie jest już dla nas tajemnicą. Najprawdopodobniej zaraz po czymś takim zrobiliby swoje, nie troszcząc się o nic więcej.

Należało zatem działać w białych rękawiczkach.

Beresforda bardzo interesowało, jakiego rodzaju urządzeniami detekcyjnymi mógł dysponować obcy pojazd, i czy w ogóle były one zdolne do namierzenia obiektów podwodnych. Tu już opinie zaczynały się rozbiegać. Okazało się bowiem, że – pomimo olbrzymiego zaawansowania techniki w Galaktyce – jednym z niewielu urządzeń przydatnych w tych warunkach był najzwyczajniejszy sonar. Niektórzy mieli jednak wątpliwości, czy tamci dysponowali czymś w tym rodzaju. Inni z kolei nie zgadzali się z nimi.

– Muszą przecież mieć coś, co pozwala im orientować się w okolicy – argumentował Berger. – Jak inaczej bowiem rozmieściliby elementy swojej pułapki grawitacyjnej na właściwych miejscach...? Zatem nie można wykluczyć, że są w stanie również zlokalizować ziemskie okręty podwodne.

Beresford nikomu by się do tego nie przyznał, ale najchętniej po prostu storpedowałby tamten pojazd.

– A może dołożyć mu klasycznymi torpedami? – rzucił z powątpiewaniem Michelson. – To mogłoby choć trochę pomieszać im szyki...

Admirał miał jednak tę bolesną świadomość, że żadna z konwencjonalnych torped, jakimi dysponował – nawet potężny Mark-96 – nie jest w stanie wyrzucić najmniejszej nawet krzywdy pojazdowi Galaktów. Najprawdopodobniej była to jednostka należąca do floty Voor-

thian, okupującej przestrzeń okołoziemską i coraz bardziej spychającej obrońców ku Ziemi i Księżycowi. Chyba że ktoś inny przemknął się tuż pod nosem zarówno samych sojuszników, jak i floty Czterech Słońc Voorth.

Chętnie też pomacałby go sonarem bojowym, aby po prostu przekonać się, czy on tam naprawdę jest. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że jest to pomysł absurdalny. Coś takiego bowiem natychmiast zdradziłoby nieziemcom, że ich obecność w tej okolicy nie jest już dla Ziemian tajemnicą. Z mapy wynikało poza tym, że obcy pojazd dzieli od *Ramsesa* dystans ponad sześciu mil. Znacznie bliżej miał do niego choćby *Sea Hunter* komandora Pearsona...

Nagle zmroziła go straszliwa myśl. Pearson nie ma przecież pojęcia, co takiego właściwie czai się w głębinach...

Błyskawicznie poderwał się na równe nogi.

– Johnson, natychmiast nawiąż łączność z *Sea Hunterem* – polecił, czując jak cały oblewa się zimnym potem. – Linia ekspresowa, zrób, co tylko możesz.

Komandor Mike Pearson z zadumą przyglądał się nakresom naniesionym na holograficzną mapę sytuacyjną tuż obok jego stanowiska. Przed momentem jego technicy definitywnie zakończyli testowanie wszelkich systemów, których uszkodzenie mogło wywołać tego rodzaju sygnał, jaki otrzymywali na sonarze. Jednak już po ostatniej rozmowie z Beresfordem był niemal pewien, że ów nietypowy dźwięk faktycznie emitowany jest przez jakiś pojazd. Pojazd, który pomimo ich ultraczułych urządzeń nasłuchowych zdołał w jakiś sposób podejść niepostrzeżenie w bezpośrednie sąsiedztwo obiektu, którego mieli pilnować...

A to już mu się nie spodobało.

– Cokolwiek by tam nie było, z pewnością nie ma najmniejszego prawa znajdować się w tym miejscu – mruknął z determinacją do swojego oficera ogniowego. – Ja i Miljuszyn z kolei mamy prawo do zaatakowania bez uprzedzenia każdego okrętu podwodnego czy inne-

go pojazdu, jaki tylko znajdzie się w promieniu dziesięciu mil od monumentu.

– Za wyjątkiem tych, o których przybyciu zostaniemy uprzedzeni – wtrącił nerwowo drugi oficer. Zdaniem Pearsona był to wyjątkowy palant. – Dowództwo może nas uprzedzić przez łącze laserowe, za pośrednictwem boi transmisyjnych...

– Otrzymałeś może taką wiadomość z Pancake? – spytał uprzejmie Pearson, choć wszystko się w nim dosłownie gotowało.

– No... nie.

Nawet nie zwrócił na niego uwagi. Pewien był, że postąpi słusznie robiąc to, co właśnie zamierzał zrobić. A miał zamiar najpierw upewnić się o obecności w tamtym miejscu jakiegokolwiek wrogiej jednostki, a następnie wykonać rozkazy dowództwa. Czyli ją zatopić.

– Sonar, gotowość bojowa – rzucił do swojego mikrofonu.

– Tu sonar, zgłaszam gotowość – odparł natychmiast młody głos.

Pearson wziął głęboki oddech.

– Aktywne przeszukanie sonarem, pełna moc, namiar dziesięć stopni w obie strony od sto siedemdziesiąt. Przypuszczalna odległość poszukiwanego obiektu trzy koma pięć mili. Wykonać.

– Tak jest. Zaczynam.

Pięć sekund później potężna wiązka energii akustycznej z dziobowego sonaru amerykańskiego okrętu pomknęła przez spokojną wodę pacyficznych głębin ku swojemu przeznaczeniu.

Dwie sekundy później *Sea Hunter* został wywołany przez sonarzystę z *Ramsesa*.

– Na Boga, a cóż się tam dzieje? – zdumiał się Toby, siedząc za sterami swojego *Golfa*, płynącego już na południe, ku *Ramsesowi*. Obecni na pokładzie wykazali zainteresowanie pomimo swojego wyczerpania dopiero co odbytym seansem.

– Właśnie odebrałem potężny impuls sonarowy – wyjaśnił im. – To bez wątpienia sonar bojowy z okrętu klasy ESV, ale namiar nie

zgadza się z pozycją *Ramsesa*. Czyli musi być to *Sea Hunter*. Co tam się dzieje...?

Wyglądało na to, że jakiś obcy obiekt próbuje dostać się w sąsiedztwo piramidy, a komandor Pearson usiłuje go zlokalizować. Któż to jednak mógł być?

Migająca lampka oznajmiła, że macierzysty okręt usiłuje nawiązać z nimi łączność.

– Tu *Golf Dwa*, odbiór – zgłosił się MacBride. Głos admirała był zmieniony nawet pomimo zakłóceń wywołanych podwodnym przekazem przez "gertrudę".

– Toby, całą naprzód wracaj do nas. Wyciśnij z silników, co tylko się da – polecił bez żadnych wstępów. – Za chwilę może być obok was naprawdę gorąco. Jak wam poszło?

– Pozytywnie – odparł, zerkając na siedzącego obok Rahańczyka, z uwagą przysłuchującego się rozmowie. Jednocześnie przesunął maksymalnie w przód przepustnice, co odczuli w postaci przyspieszenia, które łagodnie, ale mocno wepchnęło ich w fotele. – Możemy zaczynać w każdej chwili po naszym powrocie.

– O ile ktoś nas nie uprzedzi – głos Beresforda był cichy. – Komandor Pearson bez konsultacji ze mną pomacał sonarem namiar, gdzie najprawdopodobniej znajduje się voorthiański pojazd. Działał w dobrej wierze, ale nie należało tego robić. Teraz tamci mogą się pospieszyć z odpaleniem swoich ładunków, skoro wiedzą już, że ich wykryliśmy. Gdzie jesteście? Minęliście już linię ich urządzeń?

Voorthiański pojazd...! Toby milczał chwilę, usiłując zarazem przypomnieć sobie, w jakiej odległości od piramidy napotkali obce instalacje.

– Minęliśmy – potwierdził w końcu stanowczo. – W tej chwili jesteśmy jakieś dwie mile od was.

Dowódca voorthiańskiego statku szpiegowskiego naprężył oba grzbietowe grzebienie w geście wściekłości, gdy przedstawiono mu w

pośpiechu raport z sensorów zewnętrznych pojazdu. Coś takiego! A już wydawało się, że wszystko pójdzie zgodnie z planem...

– Nie odczuliśmy tej wiązki energii bezpośrednio – mówił właśnie jego oficer. – I nie była ona najprawdopodobniej użyta w charakterze broni, a jedynie jako detektor. W jakiś sposób ci Ziemianie musieli wpaść na nasz trop...

– Ważne, że jednak wpadli – przerwał mu bezceremonialnie, kipiąc z gniewu. – W jakiej fazie przygotowań jesteście?

– W zasadzie kończymy sprawdzanie systemów...

– Możemy zaczynać natychmiast?

– Chyba tak – powiedział niepewnie oficer, a widząc wzrok dowódcy i falujące nerwowo skórzaste grzebienie, pospiesznie się poprawił: – Możemy zaczynać w każdej chwili.

– Wobec tego proszę zdetonować ładunek.

Mina zawierająca voorthiańską głowicę kolaptyczną miała nieco inną konstrukcję niż urządzenie, które zastosowali ludzie i rahańscy technicy przy modyfikacji swoich torped. Jednak – jak się wkrótce okazało – równie skutecznie spełniła swoje zadanie.

Energii zasilającej głowicę wystarczyło zaledwie na ułamek sekundy, jednak w tymże ułamku sekundy, krótszym niż mrugnięcie oka, wyzwolona została przepotężna moc. Dość niepozorna mina, umieszczona tuż przy podstawie monumentu, unicestwiła zarazem samą siebie podczas tego, co można porównać jedynie do utworzenia istniejącej nieskończenie mały moment czarnej dziury. Prawa fizyki rządzące w normalnym Wszechświecie załamały się w tej samej chwili, choć tylko w bezpośrednim sąsiedztwie epicentrum. Pociągnęło to jednak za sobą daleko idące skutki.

Pułapka grawitacyjna, działająca bez najmniejszych zakłóceń od niepamiętnych czasów, przez moment straciła swą spistość. Siły nią rządzące zachwiały się na moment, jednak był to moment decydujący. To, co było w środku budowli, było już uprzedzone i oczekiwało na

ten właśnie moment. Pomimo iż to, co się właśnie stało, nie zostało wywołane przez działania tych, którzy go o tym uprzedzali...

Jednak dokładnie w tym samym momencie podjęły pracę voortiańskie generatory pola grawitacyjnego, które zamknęły nową pułapkę, stopniowo ją zaciskając.

Dla obserwatora z zewnątrz widok był zaiste piękny. Efekty kwantowe i cała masa zjawisk nie znanych jeszcze ziemskiej fizyce dały w rezultacie przedstawienie, jakiego nie dało się zapomnieć. Migoczące, delikatne światło mrugało mieniącymi się barwami, przechodząc stopniowo od najjaśniejszych odcieni niebieskiego, poprzez zielenie i żółcie, aż do najgłębszej czerwieni i purpury. Mogło to nasuwać skojarzenia z jedną z najpiękniejszych zór polarnych, jakie kiedykolwiek oglądał człowiek na ziemskim niebie. Tylko że ta zorza rozświecła najgłębsze oceaniczne głębie, wywołując tajemnicze, ulotne refleksy na kamiennej powierzchni wielkiej wieży i pobliskich fragmentach dna.

Jednakże była jeszcze druga, mniej przyjemna strona medalu. W epicentrum detonacji, zaraz po tym jak osobliwość przestała istnieć, wyzwoliła się wielka energia termiczna. Odpowiadało to mocy niewielkiej bomby atomowej odpalanej w tym miejscu. Woda momentalnie zamieniła się w parę, której bąbel gwałtownie począł się rozszerzać, a prawie stumetrowy fragment wielkiej kamiennej konstrukcji częściowo wyparował, częściowo zaś zamienił się w gruz i stertę kamiennych odłamków, opadających powoli na dno i roztrącanych gwałtownymi prądami.

Co najgorsze jednak, potężna, kulista fala uderzeniowa zaczęła rozprzestrzeniać się z olbrzymią początkowo prędkością. Ciśnienie wody panujące na tej głębokości sprawiało jednakże, że prędkość ta malała z każdą chwilą. Niewielki stateczek z czteroosobową załogą na pokładzie uciekał z zagrożonego obszaru co mocy w silnikach; pomimo tego, gdy fala doń dotarła, wciąż była na tyle silna, żeby potrząsnąć nim niczym wiatr niewielkim piórkiem.

Gdyby nie zapięte pasy, Toby wyleciałby z fotela jak z procy i uderzyłby głową o przedni ekran. Stateczek przez moment rzucany był bezładnie na wszystkie strony, raz znalazł się nawet do góry dnem. Gdzieś z tyłu przewalało się coś bezładnie, rozjęczały się alarmowe sygnały sygnalizujące awarie systemów pokładowych. Pilot modlił się jednak w tej chwili tylko o jedno: aby kadłub nie utracił szczelności. Na tej głębokości równałoby się to śmierci w mgnieniu oka. Woda pod potwornym ciśnieniem zmiażdżyłaby statek wraz z nimi w drobnym ułamku sekundy. Zostaliby sprasowani na placek.

Co zadziwiające, nikt z nich nawet nie krzyknął. Toby tylko na króciutki moment zamknął oczy. Zaraz potem je otworzył i do końca wpatrywał się przed siebie, kurczowo ściskając drążek sterowy i usiłując walczyć z targającym niewielką jednostką żywiołem. Po otrzymaniu ostrzeżenia z *Ramsesa* skierował *Golfa* ostro w górę, dzięki czemu w momencie gdy dopadła ich fala uderzeniowa, znajdowali się dobre sto metrów ponad dnem. Gdyby tego nie zrobił, najprawdopodobniej prąd roztrzaskałby stateczek o skały.

Powoli wszystko się uspokajało. Tablica rozdzielcza pełna była czerwonych i żółtych lampek informujących o awarii lub częściowych uszkodzeniach poszczególnych systemów. W tej chwili jednak najważniejsze było to, że kadłub zachował szczelność, a w konsekwencji wciąż żyli. Okręt stopniowo przyjmował normalną pozycję, choć dalej targały nim coraz słabsze fale wtórne. Z tyłu coś się toczyło z metalicznym brzękiem, dał się też czuć lekki swąd, jakby palonej gumy. Czyżby paliła się gdzieś izolacja jakichś przewodów...? Nie dane mu jednak było zastanowić się nad tym, gdyż znienacka na ramieniu poczuł lekkie dotknięcie. Obejrzał się gwałtownie.

Za jego fotelem stał jeden z Rahańczyków.

– Podejdz, jeśli możesz – powiedział poważnie. – Obawiam się, że nasza ludzka towarzysza ucierpiała najbardziej spośród nas wszystkich...

Pospiesznie odpiął pas i wstał. Odwracając się oblizał wargi i poczuł w ustach smak krwi z jakiegoś rozcięcia; widać podczas tej karuzeli przygryzł sobie od wewnątrz policzek. Spojrzał za siebie i to, co

ujrzał sprawiło, że momentalnie zapomniał o wszystkich swoich dolegliwościach.

Elsa Langerfeld leżała nieruchomo, rozciągnięta pod ścianą. Jej granatowa suknia ze staroświeckim żabotem odcinała się wyraźnie na tle bładoniebieskiej wykładziny, podobnie jak jej śmiertelnie blada twarz. Siwe włosy rozsypały się w nieładzie wokół głowy, dookoła której rozlewała się powoli ciemnoczerwona, w tym świetle niemal czarna plama. Telepatka nie dawała oznak życia, jednak gdy pośpiesznie przykucnął obok niej, dostrzegł, jak jej pierś ledwo dostrzegalnie unosi się w nierównym oddechu.

Czuł zupełną pustkę w głowie, gdy starał się dokładniej określić jej obrażenia. Jasne było, że są one poważne: najwyraźniej wypadła z fotela, możliwe, że po prostu niedokładnie wpięła klamrę pasa... Mocno uderzyła o coś tyłem głowy, a jej lewa ręka – wygięta pod nienaturalnym kątem – bez wątpienia była złamana. Obrażeń wewnętrznych mógł się jedynie tylko domyślać. Tętno miała nieregularne, niemal niewyczuwalne i nienaturalnie szybkie. Nie było dobrze. Prawdę mówiąc, pewien był, że starsza pani umiera.

Wciąż jednak czuł swoim nowym zmysłem jej charakterystyczną emanację, właściwą tylko i wyłącznie jej. Wyczuwał jej obecność nieomylnie, ten ciągły i słabiutki, ale stały sygnał, który towarzyszył mu niemal od momentu, w którym ją poznał.

To mu uświadomiło, że chyba wie, co powinien teraz uczynić.

Spojrzał na obu nieziemców, którzy klęczeli na podłodze obok niego i wpatrywali się w niego oczami, w których widniał niemal ludzki smutek.

– Wybaczcie – rzekł cicho – ale opuszczę was na jakiś czas. Muszę jeszcze coś dla niej zrobić.

Jeden z nich wyciągnął do niego rękę powolnym gestem.

– Rozumiemy to – odparł równie cicho. – I spróbujemy ci pomóc. Oby ci się udało...

Patrząc mu w oczy, Toby chwycił dłoń nieziemca, wyczuwając przeciwstawne palce, umieszczone zupełnie inaczej niż u człowieka. Dłoń jednak była ciepła, a jej uścisk wzbudzał zaufanie.

Zamknął oczy i oparł się o ścianę. A potem niespodziewanie runął w przepaść.

Wydarzenia toczyły się w błyskawicznym tempie, i Beresford coraz wyraźniej czuł, że wszystko poczyną wymykać się spod kontroli. I to tyle, jeśli chodzi o wszelkie pieczołowicie opracowane plany – pomyślał nieco zgryźliwie. Prawa Murphy'ego miały jednak w sobie zadziwiająco dużo sensu – istny raj dla pesymistów. A tu mieli kolejny, wręcz doskonały przykład na ich potwierdzenie.

Załoga szybko i sprawnie wypełniała jego kolejne polecenia. Zdążył już przekazać Pearsonowi i Miljuszynowi, aby pod żadnym pozorem nie podejmowali nowych działań. Do stacji przekaznikowej na powierzchni poszła już wiadomość o wykryciu obcego pojazdu. W tej chwili najprawdopodobniej była w drodze do dowództwa w Pancake, przekazywana przez sieć złożoną z ocalałych jeszcze satelitów. Obie torpedy uzbrojone w nowe głowice zostały już postawione w stan gotowości, a wyrzutnie były zalane i gotowe do odpalenia.

– Nowy sygnał – usłyszał Kristensena. – Charakterystyka odpowiada podwodnej eksplozji, i to potężnej, namiar zero zero pięć. Przybliżona odległość cztery mile.

– A więc zaczęli – powiedział cicho stojący przez czas obok niego Rahańczyk. Beresford spojrzął przelotnie na niego: faktycznie, pozycja eksplozji niemal dokładnie odpowiadała miejscu, w którym znajdowała się piramida.

– To znaczy, że mają już go w swojej pułapce grawitacyjnej? – upewnił się. Tamten odpowiedział przymknięciem oczu.

– To implikuje nam parę rzeczy – rzekł spokojnie. – Po pierwsze, będą musieli podejść bliżej i podczepić swoje urządzenia do statku, aby wydostać się wraz z pułapką.

– Potem uciekną...

– Niewątpliwie – zgodził się nieziemiec. – Pytanie tylko, w jaki sposób to zrobią, mając świadomość, że ziemskie siły zbrojne najprawdopodobniej wiedzą już o ich obecności.

– Muszą przecież wyjść w przestrzeń kosmiczną?

– To właśnie jest pytanie, jakie sobie zadaje. Teoretycznie muszą, jednak w praktyce możliwe jest inne rozwiązanie...

Dowódca *Ramsesa* przetrwał to, co właśnie usłyszał, starając się pojąć wszystkie tego konsekwencje. Wtedy właśnie pokład pod ich nogami zakółsał się bardzo wyraźnie. Kilka kubków z napojami, stojących na paru konsolach, spadło na podłogę, posypały się też inne drobne przedmioty.

– Właśnie minęła nas fala uderzeniowa – zakomunikował Johnson, w zasadzie bez potrzeby. – I parę chwil temu straciłem kontakt z naszym *Golfem*.

Beresford poderwał głowę.

– Jak to, straciłeś? Meldowali o czymś niepokojącym?

– Oni wcześniej dostali się w czoło fali – przypomniał sonarzysta. – Może po prostu na skutek wstrząsu wysiadły im niektóre urządzenia, trzeba wziąć to pod uwagę. Cały czas próbuję ich wywołać... ale niech pan pamięta, szefie, że w tamtym miejscu energia fali była jeszcze dużo większa. A ten ich stateczek to skorupka w porównaniu z *Ramsesem*...

Jasne, że to rozumiał. Niech to jasny szlag. Jeszcze tego tylko brakowało, żeby stracił okręt desantowy wraz z najpotężniejszą ziemską telepatką, dwoma pozaziemskimi ekspertami i jednym z najlepszych pilotów we flocie UNE!

– Johnson, trzymaj nasz niezidentyfikowany kontakt i melduj natychmiast, gdy tylko zaczniesz się przemieszczać. I wywołuj *Golfa* – rzucił jeszcze, wracając do rozmowy z rahańskim ekspertem, cierpliwie czekającym obok. Coś nie dawało mu spokoju.

– Jakie są skutki wejścia statku w nadprzestrzeń w miejscu takim, jak to? – spytał bez ogródek.

– Oni najprawdopodobniej to przetrzymają. Zaś dla Ziemi może oznaczać to kataklizm o niewyobrażalnej wręcz skali. Porównany on może być jedynie do uderzenia w ocean asteroidy o średnicy co najmniej kilkudziesięciu kilometrów.

– O mój Boże... – wyszeptał wstrząśnięty admirał, czując nagle, jak po plecach przechodzi mu lodowaty dreszcz.

– Tu chodzi o obecność atmosfery i mas wodnych – wyjaśniał dalej nieziemiec, podchodząc do tego jak do problemu czysto akademickiego. – Gdyby dokonano skoku tuż nad powierzchnią globu pozbawionego atmosfery i oceanów, nic szczególnego by się nie stało. Jeśli jednak wokół wchodzącego w skok statku istnieje jakakolwiek materia, to w promieniu co najmniej kilkuset metrów ulega ona gwałtownej anihilacji. W tym wypadku chodzi co prawda o dość niewielki pojazd, ale wokół mamy wodę, i to pod wielkim ciśnieniem. A w dole na dodatek są skały skorupy ziemskiej. Proszę wyobrazić sobie skutki anihilacji takiej masy.

Próbował, ale to, do czego doszedł, sprawiło, że nagle poczuł się cholernie wyczerpany. To mógł być naprawdę koniec całej ziemskiej cywilizacji. Olbrzymie fale pływów i wstrząsy tektoniczne spowodują takie dzieło zniszczenia, jakiego pewnie nie byłaby w stanie dokonać nawet wojna jądrowa. Istny koszmar.

Pomimo tego postarał się wziąć się w garść.

– Jakie są pańskim zdaniem szanse, że skorzystają z takiego rozwiązania?

– Spore. Nie mają niczego do stracenia, a zyskują kontrolę nad tym, o co im w zasadzie chodziło. O to przecież rozpętała się cała ta wojna, w której wszyscy uczestniczymy, nieprawdaż? Zaś próbując wyjść w przestrzeń, ryzykowaliby jedynie przechwycenie przez któryś ze statków floty sprzymierzonych...

– Jasna cholera – admirał przez chwilę myślał gorączkowo. – Jak możemy ich powstrzymać?

– Tego nie wiem.

Oto odpowiedź godna przedstawiciela ich najbardziej zaawansowanych technicznie i kulturowo sojuszników! Coś jednak, u licha ciężkiego, musieli przecież zrobić! Siły zbrojne Ziemi nie miały w pobliżu nikogo innego, tylko *Ramsesa* i oba pozostałe okręty...

– Kontrola ognia, zalać wszystkie wyrzutnie dziobowe – rzekł nagle zdecydowanym głosem, odwracając się do swojej konsoli. Gwar rozmów nagle ucichł, a kilkanaście par oczu zwróciło się w jego stronę.

– Połowę torped ustawić na naprowadzanie pasywne, połowę na aktywne – mówił dalej. – Namiar celu: trzysta dziesięć stopni, odległość około sześciu mil. Johnson, czy coś się może zmieniło?

– Mam wrażenie, że on powoli rusza, w stronę piramidy – rzucił pośpiesznie sonarzysta. – Właśnie miałem meldować...

– W takim razie namiar ogniowy przekaże wam sonar – przerwał mu dowódca, ponownie zwracając się do stanowiska ogniowego. – Tylko spieszcie się jak tylko możecie, jeśli nie chcemy wszyscy wyparować. Strzelać natychmiast, jak tylko będziecie gotowi. Kristensen, przekaż rozkaz natychmiastowego ataku do *Sea Huntera*.

Usłyszał tylko, jak ktoś wciągnął z sykiem powietrze przez zęby z wrażenia, a potem załoga jeszcze przyspieszyła tempo pracy.

Morris Duvall znał swojego dowódcę na tyle dobrze, że wiedział, kiedy ten jest naprawdę zaniepokojony. Gdyby miał ustalić skalę od jednego do dziesięciu dla stanu jego emocji, do tej pory nigdy nie dałby mu więcej, niż pięć, góra sześć punktów. Teraz i dziesiątka wydawała się zbyt małą liczbą.

Mimo woli jego wzrok podążył do tyłu, pod ścianę, gdzie wraz z kilkoma innymi osobami siedziała Paula. W jakiś sposób wyczuła, że na nią patrzy, bowiem uniosła głowę, napotkała jego wzrok i uśmiechnęła się lekko. Uśmiech wyglądał jednak na nieco wymuszony. Podobnie jak wszyscy, bez wątpienia zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji. Morris patrzył na nią bez słowa, długą chwilę bił się z myślami, wreszcie się jednak zdecydował. Szybkim krokiem podszedł do niej – mógł sobie na to pozwolić, bowiem dowódca w tej chwili nie potrzebował jego umiejętności.

Usiadł na fotelu obok niej, czując, jak bardzo ściśnięte ma gardło. W jego duszy kotłował się mniej więcej milion rozmaitych uczuć, jednak gdy patrzył na nią, jedno z nich zdecydowanie brało górę nad innymi.

Zamknął na moment oczy. Gdy je na powrót otworzył, patrzyła na niego z lekkim zdziwieniem. Zaciśnął dłonie na oparciach, aż zbieleły kostki palców.

– Paula, istnieje realna możliwość, że nie wyjdziemy cało z tej opresji – powiedział tak spokojnie, że aż go to zdziwiło. – Chciałem ci

wobec tego coś powiedzieć, na wypadek, gdybym już nie miał okazji. Nie wiem, jak na to zareagujesz, ale wiem, że bardzo chcę, żebyś o tym wiedziała...

Czekała cierpliwie z nieco rozszerzonymi zdziwieniem oczami, a wyglądała w tym momencie tak pięknie, że słowa przyszły same.

– Paula, wiesz pewnie, że bardzo cię lubię – rzekł po prostu. – Tyle tylko, że czuję do ciebie coś więcej, niż zwykłą sympatię. Cholera... Kocham cię chyba już od momentu, gdy wpadłem wtedy na ciebie na ulicy, w Pancake. Nie wiem jak to wytłumaczyć, ale teraz wierzę, że możliwa jest miłość od pierwszego wejrzenia. I z każdym dniem kocham cię bardziej...

Urwał, czując, że dalsze słowa są niepotrzebne. Potrząsnął głową, nie patrząc jej w oczy. Nie wiedział, co też takiego w nich odnajdzie, a ona przez cały czas milczała. Wstał więc.

– Muszę wracać na stanowisko – wymamrotał, odwracając się i robiąc pierwszy krok.

Wtedy ona chwyciła go za rękę.

– Wiesz, Morris, dlaczego w ogóle chciałam wziąć udział w tym rejsie? – spytała stłumionym głosem. Wtedy dopiero spojrzał na nią, a w jej oczach dostrzegł odpowiedź na jej pytanie. Wyciągnął drugą rękę i powoli zamknął jej drobną dłoń w swoich. Patrzył jej prosto w oczy czując, jak serce w jego piersi wyczynia jakieś przedziwne i nader skomplikowane ewolucje. Dziewczyna odwzajemniła jego spojrzenie.

Wtedy dowódca uznał za stosowne się wtrącić, nie wyczuwając powagi sytuacji.

– Morris, wracaj na stanowisko – nawigator usłyszał głos Beresforda w swojej słuchaweczce. Cofnął się wolno, wypuszczając jej dłoń.

– Idź lepiej, zanim przeze mnie stracisz pracę – powiedziała, wyciągając z kieszeni chusteczkę.

Gdy odchodził, nie był pewien, czy w oczach miała łzy, czy był to tylko refleks od światła którejs z lamp.

Beresford słyszał tylko strzępy komunikatów ze stanowiska kontroli ognia.

- Namiar trzysta trzydzieści, prędkość stała...
- Komputery torped gotowe...
- Wszystkie wyrzutnie sprawne...
- Gotów do odpalenia wyrzutni od trzy do dziesięć.
- Potwierdzam gotowość. Odpalać wyrzutnie od trzy do dziesięć.
- Trzecia poszła... czwarta poszła... piąta poszła...

Najpewniej ten atak nie przyniesie niczego konkretnego, ale czego innego mogli spróbować? Chyba tylko staranowania tamtej jednostki. Jednak coś w kolejnych meldunkach obsady stanowiska ogniowego nie dawało mu spokoju.

– Kontrola ognia, co z wyrzutniami jeden i dwa? Dlaczego ich nie odpalono?

Oficer spojrzał na niego z niejakim zdziwieniem.

– Tam są załadowane obie te specjalne torpedy. Nie było rozkazu ich odpalenia...

– *Sea Hunter* odpalił swoje torpedy! – oznajmił Kristensen podniesionym głosem. – Kierują się dokładnie na namiar. Nasze idą równo, w dalszym ciągu przyspieszają. Nie słyszę niczego, co mogłoby sugerować jakiegokolwiek formy przeciwdziałania ze strony nieprzyjaciela.

To na chwilę oderwało dowódcę od myśli, która nagle przyszła mu do głowy. Teraz jednak wróciła. Gwałtownie odwrócił się do Rańczyka, który przysiadł na krawędzi ekranu z mapą sytuacyjną.

– Jakie byłyby skutki odpalenia w ten pojazd jednej z naszych torped z głowicą kolaptyczną? – spytał gorączkowo. Fiołkowe oczy zniechęciły, wpatrzone w niego z nagłym skupieniem.

– Niewątpliwie fatalne dla niego – odparł w końcu nieziemiec, wreszcie sprawiając wrażenie poruszonego. – Tak, to może być nasza szansa...

Beresford nie czekał na nic więcej.

– Przygotować do odpalenia obie torpedy specjalne – rozkazał podniesionym głosem. – Jedną naprowadzać pasywnie, drugą aktywnie. Jednak obie mają detonować. Powtarzam, obie muszą zdetonować głowice.

Podążał nader nikłym śladem, przez mroczne pokłady nieświadomości, w jakiej pograżona była telepatka. Jednak nawet te niepewne, ledwie dostrzegalne strzępki, które udawało mu się dostrzec, dawały pojęcie o potędze i uporządkowaniu tego niezwykłego umysłu. Jednocześnie czuł, jak w tym, co robi, wspiera go siła potężniejsza od tej jaką sam dysponował. Momentalnie domyślił się, że to swoimi potężnymi zdolnościami wspomagają go sojusznicy z gwiazd. Skoncentrował się jednak na swoim zadaniu. Musiał dotrzeć do tych najgłębszych pokładów, w których obecnie przebywała jej jaźń. A to nie było łatwe zadanie. Oby tylko zdążył, zanim...

Czuł coraz większe wyczerpanie, jednak wciąż wspierała go tamta wielka siła. Zadanie okazało się trudniejszym nawet od tamtego pamiętnego momentu, gdy podczas pierwszego kontaktu z tą istotą z piramidy sam przełamał na moment jej zabezpieczenia. Tutaj wszakże musiał robić coś podobnego niemalże przez cały czas...

Wreszcie, po czasie, którego nie potrafił nawet określić, wokół niego począł formować się jakiś niewyraźny zrazu obraz. Stopniowo wyłaniał się z całkowitych ciemności, jakie dotąd go otaczały. Zdziwił się, że manifestacja przybrała akurat postać wizualną, nie tego się spodziewał. Do tej pory nie miał jednak najmniejszego nawet pojęcia o tych sprawach; być może zatem wszystko wyglądało właśnie tak, jak powinno.

Obraz wyglądał jeszcze jak oglądany przez grube, przybrudzone szkło, ale nagle – w jednym, krótkim błysku – wszystko znienacka pojaśniało i stało się wyraźne niczym w dzień. Nie taki słoneczny dzień, ale taki, kiedy słońce z trudem przedziera się poprzez chmury.

Ze zdumieniem stwierdził, że stoi w ogrodzie. A przynajmniej w miejscu, w którym jak okiem sięgnąć rozciągało się morze kwiatów. Wokół niego widniała szeroka przestrzeń, coś w rodzaju olbrzymiej polany, którą ze wszystkich stron ograniczał wysoki, dębowy las. Spojrzał pod nogi: wszędzie rosły niepozorne, białe kwiaty. Rozpoznał w nich te wczesnowiosenne roślinki, które zazwyczaj jako

pierwsze nieśmiało wystawiają swoje główki spoza ostatnich śniegów... zapomniał ich nazwy. Ich dywan rozciągał się we wszystkie strony aż do ściany lasu.

Gdy na powrót uniósł wzrok, stała już przed nim.

Jak zwykle, ubrana była w swoją znoszoną, granatową suknię z białym żabotem. Włosy miała schludnie upięte, a jej dobre oczy przyjaźnie uśmiechały się do niego. Uśmiech na jej ustach zawierał jednak nutę smutku.

– A więc jesteś – powiedziała z westchnieniem. – To było trudne zadanie, ale jednak udało ci się tego dokonać.

– Chciałem tego – odparł po prostu. – Ale... czy to wszystko dzieje się naprawdę...?

– Jesteśmy w głębi ludzkiego umysłu. Tam, gdzie chyba nie dotarł jeszcze nikt przed nami. Zatem jest to rzeczywiste, a jednak w pewien sposób i nie jest. Bo fizycznie nie ruszasz się z miejsca, a tu jednak możesz nawet biegać, jeśli zechcesz. Zresztą – zaśmiała się cicho – jeśli chcesz dowodu, że naprawdę to przeżyłeś, to po powrocie na okręt zajrzyj do mojej kabiny. Na biurku leży powieść Hemingwaya...

Milczała przez chwilę, a pilot usiłował zrozumieć to wszystko.

– Powiedz, chyba nie jest ze mną najlepiej? – spytała wreszcie cicho. Opuścił oczy, niezdolny do powiedzenia jej okrutnej prawdy.

Pokiwała melancholijnie głową.

– Nie musisz nic mówić – westchnęła. – Na każdego musi przyjść jego pora. Nie ma czego żałować... dokonałam w życiu wielu dobrych rzeczy. Żałuję jedynie, że nie zdążyłam ci przekazać wszystkiego, co zamierałam. Prawdę mówiąc, to było ostatnie zadanie, jakie przed sobą postawiłam. Chciałam, żebyś zastąpił mnie na moim miejscu.

Podniósł wzrok, zaskoczony.

– Przecież ja w porównaniu z panią...

– Masz olbrzymi potencjał – przerwała mu spokojnie. – Tylko to się liczy. Szkoda, że umieram, nie dokończywszy tego, co zamierałam...

– Proszę tak nie mówić – zaprotestował gorąco, czując jak oczy wypełniają mu się łzami. – Wrócimy na okręt, tam jest przecież lekarz...

– Nie mów tak. Wiesz równie dobrze jak ja, że chcesz mnie tylko pocieszyć. Zresztą czuję wyraźnie, że mam coraz mniej czasu. A poza tym... nie boję się śmierci – powiedziała łagodnie. – Czym bowiem jest śmierć? To po prostu przejście na inny poziom egzystencji, głęboko w to wierzę. Ta polana – spojrzała dookoła – to mój ostatni azyl, tak sędzę. Nie wiem, czemu wygląda akurat tak, a nie inaczej... ale tu jest ładnie. To dobrze.

Teraz płakał już jak bóbr, nie mogąc się powstrzymać. I nie wstydził się tych łez.

– Dziękuję pani za wszystko – wyrzucił z głębi serca. – Jest pani jednym z najwspanialszych ludzi, jakich znam. Dała mi pani tak wiele, że nigdy nie byłbym w stanie się za to odwdziaczyć...

Patrzyła na niego ciepło.

– Staraj się dalej być dobrym człowiekiem. Po prostu. – Po chwili milczenia dodała jeszcze: – Wiesz co, zawsze marzyłam o synu takim, jak ty. Nie zmieniał się...

Niebo nagle jakby przygasło. Rozejrzał się z niepokojem.

Istotnie, światło bladło coraz bardziej, dalekie drzewa nikły w głębokim cieniu, jednak miał wrażenie że były teraz jakieś inne, niż jeszcze przed chwilą. Przyjrzał się uważniej i stwierdził, że ma rację. Liście na drzewach brązowiły, odrywały się od gałęzi i spadały na ziemię... Spojrzał w dół i przeraził się: kwiaty, jeszcze przed chwilą białe i świeże, również traciły swoje płatki, które żółkły, kurczyły się i opadały w dół, zamieniając się w popiół.

– To koniec – powiedziała spokojnie. – Żegnaj, Tobie. I pomyśl o mnie choć od czasu do czasu.

Wyciągnął ku niej ręce, jednak w tym momencie świat zapadł się jakby sam w siebie; poczuł, jak opada gdzieś w dół wielkiej, nie kończącej się studni. Wysoko w górze błyszczało jasno miękkie, ciepłe światło, które zdawało się przyciągać go z nieodpartą siłą, on jednak wciąż opadał w dół. Niespodziewanie poczuł, jak jakaś znajoma bliskość śmiga w górę, prosto w ową światłość – i to na długo pozostało ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał...

Piętnaście torped typu Mk-96, najpotężniejszej broni podwodnej jaką dysponowała ziemska flota podwodna, w różnych odstępach czasu zbliżyło się do swojego celu. Ich prędkość przekraczała sto dwadzieścia węzłów. Te, które kierowane były wskazaniem aktywnego sonaru, poczęły dość chaotycznie skręcać i zmieniać głębokość, poszukując jakiegokolwiek celu do zaatakowania. Krążyły tak bezskutecznie i miało tak pozostać aż do momentu, gdy wyczerpie im się paliwo. Ich sonary bowiem nie zarejestrowały żadnego echa, którego śladem mogłyby podążyć.

Te natomiast, które prowadzone były sygnałami rejestrowanymi przez bierne układy hydrolokacyjne, miały więcej szczęścia. Z głównych komputerów macierzystego okrętu otrzymały bowiem nagranie z charakterystycznym dźwiękiem miliardów bąbelków musującego gazu, a odgłos ten w miarę zbliżania się do jego źródła był coraz silniejszy.

Siedem torped z obu okrętów złapało właściwy namiar i ulokowało się w celu. Ich potężne głowice bojowe wybuchły średnio co dziesięć sekund. Wykonały swoje zadanie, odnajdując zadany obiekt i eksplodując. Bez rezultatu: przedmiot ich ataku jedynie zwiększył nieco prędkość.

Niecałe dwie minuty później niewielki pojazd kosmiczny, otoczony aureolą bąbelków wodoru i tlenu, zastopował obok jednego z generatorów grawitacyjnych. Urządzenia pokładowe stwierdziły, że bąbel pułapki zacisnął się zgodnie z planem, do średnicy zaledwie kilkunastu metrów. Przystąpiono do mocowania urządzenia do zaczepów na kadłubie pojazdu.

Detektory pokładowe zarejestrowały zbliżanie się kolejnych dwóch obiektów od strony jednego z ziemskich okrętów podwodnych. Ponieważ jednak poprzedni atak tego rodzaju pocisków nie przyniósł statkowi żadnych szkód – postanowiono go zignorować. Tymczasem kończono umacnianie ostatnich spojeń, równocześnie pospiesznie przygotowując się do dokonania skoku.

Jeśli dowódca stateczku szpiegowskiego czuł żal z powodu, że za kilka chwil miał zapoczątkować prawdopodobną zagładę cywilizacji kwitnącej na tej planecie, nie okazywał tego w najmniejszym nawet stopniu. W gruncie rzeczy chodziło mu jedynie o to, aby jak najskrupulatniej wypełnić polecenia wydane mu przez Ojca Walki i Honoru, dowodzącego dumną flotą Imperium Czterech Słońc Voorth. Z niecierpliwością czekał na meldunki swoich podwładnych, oznajmiające o zakończeniu wszystkich przygotowań. Jego podwójny język wykonywał drobne, nerwowe ruchy, a oba grzebienie na masywnym grzbiecie stały prawie pionowo. W tej chwili przybrały niemal granatową barwę.

Wreszcie jeden z oficerów przytruchtał pospiesznie i zgął nogi przed jego stanowiskiem w geście szacunku. Jego szypułki oczne były wyprostowane na całą długość.

– Jesteśmy gotowi do wykonania skoku, wasza ekscelencjo.

– Wobec tego nie traćmy czasu. Proszę wykonać.

Oficer dał znać swojemu podkomendnemu. Mniejszy niebieski samiec wydał komputerom sterującym serię poleceń. Światło nieco przygasło, gdy ogniwa kończyły ładować systemy napędowe. Żołnierz sięgnął po raz ostatni ku tablicy rozdzielczej...

W tym momencie detonowała głowica pierwszej torpedy, która – wyposażona w pasywny sonar – bezbłędnie ulokowała się w celu. Kolaps nastąpił niespełna pięć metrów od granicy pola, powodującego tak charakterystyczny szum w reakcji z wodą. Osobliwość trwała przez nieskończenie krótki czas, a potężna siła pływów grawitacyjnych dosłownie rozerwała na nitkowate fragmenty cały voorthiański pojazd, jak i drugą torpedę, która nie zdążyła detonować. Ułamek sekundy później wyzwolona została zaś energia termiczna, która podobnie jak po eksplozji voorthiańskiej głowicy przy piramidzie, spowodowała powstanie olbrzymiego bąbla gazów i kulistej fali uderzeniowej.

Był też jeszcze jeden skutek tych wydarzeń, o którym nikt wcześniej nie pomyślał: całkowitemu zniszczeniu uległy również generatory grawitacyjne, utrzymujące na miejscu pułapkę więzącą pra-

starą istotę. Pole prysło niczym bańka mydlana, uwalniając wreszcie definitywnie to, co było dotąd zamknięte.

Carol trwała wprawdzie posłusznie na swoim stanowisku, jednak jakoś nie mogła się skoncentrować na tym, co robiła. Zresztą nie miała zbyt wiele do roboty, bowiem po wysłaniu alarmujących wieści do dowództwa w eterze zapanowała cisza. Pewnie dopiero po wszystkim dowódca przygotowuje raport dla sztabu w Pancake...

Kilka chwil wcześniej wielkim okrętem zakołysały kolejne fale uderzeniowe, sygnalizując, że któraś z torped specjalnego przeznaczenia eksplodowała zgodnie z założeniem. Tyle że nikt nie wiedział, w co ona tak naprawdę trafiła. Z zachowania dowódcy i towarzyszącego mu nieziemca na krótko przed wystrzeleniem pocisków mogła się jednak zorientować, że zagrożenie ze strony obcego pojazdu było znaczne. Posłyszała jedynie strzępki słów, ale obraz, jaki one budowały, był na tyle przerażający, że wołała aby oba ładunki wypełniły swoje zadanie. W tej chwili wiedzieli jedynie tyle, że nastąpiła potężna detonacja mniej więcej w miejscu, gdzie znajdował się obcy pojazd. Następnie echa eksplozji na ładnych parę minut skutecznie uniemożliwiły jakiekolwiek obserwacje sonarowe. Pewna jednak była, że Johnson z Kristensenem robili, co tylko mogli.

Z drugiej strony, gdyby tamten pojazd ocalał, to pewnie doszłoby już do tego, do czego miało dojść. Skoro jednak nic się nie działo po detonacji ich torped, więc może faktycznie tym razem szczęście im sprzyjało? Poza tym ciekawiło ją, co stało się w rezultacie tego wszystkiego z tą tajemniczą istotą więzioną we wnętrzu piramidy. I czy sama piramida jeszcze w ogóle stoi... A przede wszystkim, skąd u licha w tej okolicy w ogóle wziął się jakikolwiek obcy pojazd? *Sea Hunter* i *Lena*, pilnujące tego obszaru przez cały czas, dysponowały przecież znakomitymi urządzeniami nasłuchowymi. Wydawało się wręcz niewiarygodne, aby cokolwiek mogło dokonywać tu swoich manipulacji tuż pod czujnym okiem sonarzystów obu okrętów. Zaraz

jednak przypomniawszy sobie, jaką techniką dysponują ich prześladowcy, i niemal natychmiast przestała się dziwić.

Był poza tym jeszcze jeden powód do niepokoju, i to chyba najważniejszy ze wszystkich, przynajmniej dla niej. Nieznany pozostawał los niewielkiego *Golfa*, na pokładzie którego znajdowały się cztery osoby, a wśród nich Toby. Jeden z najlepszych przyjaciół, jakich kiedykolwiek miała. Z minuty na minutę dręczyła się tym coraz bardziej, a żaden z sonarzystów w dalszym ciągu nie meldował o najślabszym choćby sygnale świadczącym, że tamtym udało się w jakiś sposób wydostać z opresji. Skoro fala uderzeniowa zatrzęsała nawet potężnym *Ramsesem*, to jakie skutki musiała wyrzucić na nieporównanie odeń mniejszym okręcie desantowym...? Wolalała się nad tym nie zastanawiać. Wyobrażnia jednak podsuwała jej wizje zgniecionej implozją kadłuba, czy też wraku roztrzaskanego o oceaniczne dno. Może zaś po prostu stracili całkowicie łączność i sterowność, i teraz nie mogą wrócić na okręt ani poinformować macierzystego okrętu o swoim tragicznym położeniu. Jedyna nadzieja w tym, że Toby był naprawdę cholernie dobrym pilotem. Oraz w tym, że jak tylko na zewnątrz trochę się uspokoi, Johnson może przecież podjąć próbę przeszukania okolicy potężnymi sonarami aktywnymi *Ramsesa*. Wtedy bez wątpienia zlokalizuje mniejszą jednostkę. I tak pewnie zrobi...

W ten sposób upłynęło jeszcze kilkanaście minut, podczas których uwaga niemal całej załogi mostka koncentrowała się na obsadzie stanowiska sonaru. Wreszcie Kristensen podniósł głowę.

– Mam bardzo słabe impulsy z namiaru trzysta pięćdziesiąt – zameldował pospiesznie. – Charakterystyka wskazuje na sonar łodzi desantowej. To pewnie oni. Poza tym cisza, żadnych oznak obecności nikogo poza nimi i naszymi pozostałymi dwoma okrętami.

– Kurczę, oni nadają alfabetem Morse'a! – Johnson w zdumieniu aż na chwilę przestał żuć gumę. – Pukają w nas swoim sonarem. Słabo, ale słyszę. Chyba siadła im łączność... Zaraz podam tłumaczenie.

Kolejna minuta wydawała się wiecznością.

– Mają uszkodzone silniki i urządzenia łącznościowe – rzekł wreszcie Murzyn. – Zaczyna brakować im tlenu, krótko mówiąc proszą o natychmiastową pomoc...

Carol, wstrzymując z wrażenia oddech, odruchowo spojrzała na dowódcę. Ten nie wahał się ani chwili.

– Borys, cała naprzód w ich stronę. Idź najszybciej, jak tylko możesz, tylko ich broń Boże nie staranuj. Wciągniemy *Golfa* do doku awaryjnie. Zespoły ratunkowe, na miejsca. Kathleen, ty też jedź do doków, natychmiast.

Kosmos

Sheena siedziała w mesie nad kolejnym posiłkiem, który – choć nazywał się zupełnie inaczej niż to, co jadła na przykład wczoraj – zastanawiająco jednak to przypominał. I właśnie wtedy, gdy dumiała nad tajnikami ganimedańskiej kuchni, doszły do niej wreszcie hiobowe wieści. Ponoć dotarły do bazy już wczesnym rankiem, ona jednak w jakiś sposób nie zwróciła wtedy na to najmniejszej uwagi. Być może powodem było zaabsorbowanie kolejnym seansem łączności ESP z Brianem, zaś jej zmienniczka, gdy zdawała jej wachtę, ani słowem nie poinformowała jej o niczym ciekawym. Wredna flądra.

Wieści były zaś wręcz wstrząsające. Gornieńska flota, najwidoczniej znecierpliwiona brakiem postępów przy pacyfikacji tak niewielkiej placówki jak *Blue One*, połączyła się bezpośrednio z bazą i zażądała rozmowy z jej dowódcą wojskowym. Był nim zaś oczywiście major Donner. Kilka osób było ponoć obecnych przy rozmowie przełożonego z jakimś gornieńskim dygnitarzem, i mówili oni teraz że majora omal szlag nie trafił na miejscu. Jakoś jednak wytrzymał, choć biorąc pod uwagę to co usłyszał, Sheenę nieco to dziwiło.

Z zaciekawieniem przysłuchiwała się rozmowie prowadzonej przy sąsiednim stoliku.

– Sztab tamtej floty postawił nam ni mniej, ni więcej tylko cholerne ultimatum – mówił, kręcąc głową, znany jej z widzenia jeden z

techników. – Albo poddamy się bez dalszego bezsensownego – tak to skurczybyki określili – oporu, albo statki ich floty zniszczą Ganimedesa. Wyobrażasz sobie?! Zniszczą Ganimedesa...!

– Mało prawdopodobne – wydeła wargi niska, przysadzista dziewczyna siedząca wraz z nim przy stoliku. – No sam powiedz; przecież coś takiego jest chyba niewykonalne?

– Donnerowi, wiesz, temu majorowi, ta groźba też z początku wydawała się absurdalna. Tamci jednak musieli to w jakiś sposób przewidzieć. Zapowiedzieli, że jeśli w ciągu dwunastu ziemskich godzin nie otrzymają zapewnienia o kapitulacji, to na dowód tego że nie żartują, spowodują rozpad Callisto...

– Chciałabym to zobaczyć – dziewczyna nie wydawała się przekonana. – Powiedzieli może, w jaki sposób zamierzają to zrobić? Mam wrażenie, że nie wystarczy im do tego nawet bardzo duża bomba...

– Fakt, Callisto jest niemal tak duży jak Ganimedes – przyznał chłopak, jednak w jego głosie było słychać nutkę wątpliwości. – Wiesz, ja jednak nie byłbym taki pewien, że oni nie trzymają czegoś w rękawie. Czegoś naprawdę potężnego... Chociaż masz rację, że nie powiedzieli, jakimi środkami zamierzają tego dokonać.

Sheena miała niepokojące wrażenie, że Galaktowie dysponują bronią zdolną dokonać takich rzeczy, pomimo iż wiele osób uważało zgodnie, iż Gornieńczycy blefują.

– Zresztą, co będzie, przekonamy się już niedługo – chłopak zerknął na zegarek. – Termin ultimatum minie za niecałe pięć godzin.

Wtedy będę miała akurat dyżur w centrali łączności – pomyślała odruchowo Sheena. Wygląda więc na to, iż nie zdąży wcześniej poinformować o wszystkim Briana...

– A w ogóle nie wierzę, że oni zniszczą Ganimedesa, nawet jeśli uda im się z Callisto – powiedziała nagle dziewczyna z triumfem. – No bo przecież im chodzi głównie o zdobycie wyłącznego dostępu do tych złazisk, nad którymi pracują naukowcy, nie? W takim razie zniszczenie satelity nic by im nie przyniosło...

Chłopak kiwał powoli głową, a jego twarz powoli się rozpogadzała. Uśmiechnął się nawet.

– Ty całkiem nieźle myślisz – rzekł z uznaniem. – I nie tylko, że zniszczenie *Blue One* nic im nie przyniesie. Nawet może im zaszkodzić, nie sądzisz? Instytuty Galaktyczne prędzej czy później musiałyby dowiedzieć się o czymś takim, a to z kolei przyniosłoby całemu klanowi Gornr nieprzyjemne konsekwencje.

W zasadzie chłopak miał rację. Sheena musiała przyznać, że czyn tego rodzaju nie był uzasadniony z militarnego punktu widzenia. Wojskowy dowódca *Blue One* najprawdopodobniej doszedł do takich samych wniosków. Podczas rozmowy z przywódcami floty najeźdźców zapowiedział kategorycznie i z pogardą, że odrzuca wszelkie tego rodzaju propozycje, jako uwłaczające godności ludzi. Na tym owa rozmowa się skończyła, zaś wiadomość o ultimatum major natychmiast przekazał dowództwu na Ziemi. Sztab w Heliopolis wyraził swoje najgłębsze zaniepokojenie rozwojem sytuacji, jednak powściągliwie pochwalił odpowiedź, jaką najeźdźcom udzielił major.

Czas jednak płynął, a nikt nie wiedział, co ze sobą przyniesie.

Pięć godzin później Sheena w dalszym ciągu rozmyślała na rozmaite związane z tym tematy, coraz częściej nerwowo zerkając na zegarek. Ten objaw dał się jednak zauważyć niemal pośród wszystkich ludzi, jakich miała w polu widzenia.

Pozostało niespełna pięć minut. Wszystkie teleskopy bazy wycelowane były w wielkiego satelitę. Obserwacje były możliwe, gdyż Callisto – odleglejszy od Jowisza, a tym samym wolniej go okrążający – akurat szczęśliwym zbiegiem okoliczności znajdował się po tej samej stronie gazowego olbrzyma, co Ganymedes.

Czekali.

Sześć olbrzymich niszczycieli planetarnych, każdy o długości niemal dziesięciu kilometrów, zajęło swoje pozycje w bezpośredniej bliskości czwartego satelity wielkiej planety już kilka godzin temu. W tej chwili krążyły po dość wysokich orbitach, rozmieszczone koncentrycznie wokół skalistego globu.

Ich dowódcy spokojnie czekali na wyznaczony moment. Każdy z nich jednakże przygotowany był na przerwanie akcji w każdej chwili; Ziemianie mogli wszak podjąć decyzję o kapitulacji nawet w ostatnim momencie. Jeśli zaś nie postąpią zgodnie ze wskazaniami zdrowego rozsądku, przekonają się że gornieńska flota jest całkowicie zdecydowana na przeprowadzenie zapowiedzianej akcji.

I stało się. Czas nadszedł, a polecenie odwołujące zaplanowane działania nie nadeszło.

W tym samym momencie dokładnie jeden pocisk opuścił wyrzutnię każdego z sześciu wielkich statków. Zaraz po tym jak smukłe cygara oddaliły się od wielkich jednostek na kilka kilometrów, jedynie krótkie błyski rozświetliły miejsca, w których znajdowały się jeszcze przed chwilą.

Torpedy weszły w podprzestrzeń, po to tylko, aby ułamek sekundy później wyjść z niej z niesamowitą precyzją we wnętrzu skazanego na zagładę globu, każda mniej więcej dwa i pół tysiąca kilometrów pod jego powierzchnią. W momencie wyjścia ze skoku detonowały potężne głowice kolaptyczne, których moc wiele milionów razy przewyższała moc tych, których nie tak dawno temu użyto na Ziemi. Torpedy te zostały zaprojektowane specjalnie do operacji niszczenia planet.

Skutki detonacji były dokładnie takie jak zaplanowano. Gornieńczycy mieli już zresztą doświadczenie w tego rodzaju działaniach; słynęli z niekonwencjonalnych rozwiązań.

We wnętrzu satelity przez moment zaistniało sześć osobliwości. Lokalne kolapsy sprawiły, że pewna część masy globu zapadła się sama w siebie, tworząc na króciutki ułamek sekundy coś bardzo przypominającego to, co ludzka fizyka sprzed Kontaktu nazywała horyzontem zdarzeń, bądź też sferą Schwarzschilda. Jako że jednak obiekty te nie były klasycznymi czarnymi dziurami znanymi przez ludzkość, dalsze ich zachowanie zdziwiłoby zapewne przedkontaktowych fizyków.

Horyzonty zdarzeń zwinęły się do postaci punktów o tak potężnej energii, jaka nie istniała w żadnym znanym miejscu we Wszechświecie, przynajmniej skupiona w tak niewielkiej przestrzeni. Nastę-

nie zaś cała ta energia zamieniła się w promieniowanie cieplne. Miliardy i biliony ton skał i metali zawartych w masie globu wrzały i dosłownie zamieniały się w parę. Energia powodująca rozszerzanie się była tak duża, że proces ten wciąż nie ustawał. Nie minęło dużo czasu, a stosunkowo krucha skorupa satelity nie wytrzymała potwornych ciśnień i naprężeń, jakie panowały w jej wnętrzu.

Poczęła pękać.

Obserwatorzy na Ganimedese obserwowali to wstrząsające widowisko czując, jak krew niemal stygnie im w żyłach. To, co widzieli, budziło tak potworną grozę, jakiej nigdy dotąd nie doświadczyli i jakiej najprawdopodobniej już nigdy mieli nie doświadczyć. W wielu z nich w tym właśnie momencie zaległy się wątpliwości, czy dalsze sprzeciwianie się Gornieńczykom istotnie jest takim dobrym pomysłem, jak zdawało im się do tej pory. Patrzyli jednak dalej.

Całe widowisko trwało wiele godzin. Przez zrazu wąskie, jednak coraz szersze szczeliny w skorupie wielkiego satelity dała się dostrzec niesamowita, wiśniowa poświata; to rozżarzone skały i metaliczne jądro wypromieniowywały swoją nagromadzoną energię. Na nic się to jednak nie zdało, bowiem los globu był już przesądzony. Niespełna siedem godzin później to, co jeszcze niedawno było jednym z największych księżyców w Układzie Słonecznym, stanowiło już jedynie rozszerzającą się stopniowo masę gigantycznych, skalnych odłamków. Jeszcze zachowywała swój dość skupiony kształt, jednak siła odśrodkowa spowodowana trwającym wciąż obrotem masy satelity powodowała stopniowe oddalanie się od siebie poszczególnych jego części. Było tylko kwestią czasu, aż sytuacja pocznie się z wolna stabilizować.

Kamery pracowały jeszcze długo, rejestrując całe wydarzenie dla potrzeb późniejszych ewentualnych analiz. O ile oczywiście pozostanie ktokolwiek, kto mógłby takie analizy przeprowadzić – pomyślała Sheena z pewnym niepokojem. Podobnie jak większością spośród ludzi stanowiących załogę bazy, zaobserwowany kataklizm potężnie ją wstrząsnął i zasiał ziarno wątpliwości. Musiała kilka razy przypominać sobie i powtarzać wcześniejsze argumenty, aby upewnić siebie, że Ganimedesowi i tak nic nie grozi. W końcu jakoś jej się to

udało i uspokoiła się nieco, jednak najwyraźniej nie wszystkim poszło tak łatwo, jak jej.

Ostateczny termin, po którym zaatakowany miał zostać sam Ganimedes, upływał równo w kolejne dwanaście godzin po zniszczeniu Callisto. Jednak już teraz podniosły się głosy nawołujące do poddania się nieprzyjacielowi. Pokaz najwyraźniej wywarł dokładnie takie wrażenie, na jakie liczyli nieziemcy.

– Lepiej żyć w niewoli, niż zginąć, nawet okrytym chwałą! – nawoływali niektórzy, i było ich coraz więcej.

– A wiecie, czym może być niewola u takiego przeciwnika? – pytali ich oponenti.

– Z pewnością u tak cywilizowanego nieprzyjaciela będzie w miarę zdatna do zniesienia – odpierali te ataki zwolennicy kapitulacji. Zdaniem Sheeny, egoistyczne pobudki poczęły wyłazić z ludzi ze względu na ekstremalną sytuację. Major Donner doszedł widać do podobnego wniosku, bowiem niedługo potem pokazał się w publicznych komunikatorach. Co prawda jego wystąpienie trwało dość krótko, jednak jego słowom przysłuchiwali się chyba wszyscy na pokładach bazy.

– O jakichkolwiek negocjacjach z nieprzyjacielem nie może być mowy – oznajmił stanowczo. – Musicie wiedzieć poza tym, iż próbowałem wydobyć od nich zgodę na to, aby cywilny personel bazy mógł bezpiecznie opuścić Ganimedesa. Mamy do dyspozycji dwa transportowce, którymi można by ewakuować cywilów na Ziemię. Odmówiono nam jednak nawet tego. W tej sytuacji nie mamy innego wyjścia – mówił spokojnie, patrząc prosto w kamerę – jak tylko oczekiwać na to, co może, choć przecież nie musi nadejść.

Potem przytoczył niemal te same argumenty, jakich użyła Sheena względem siebie, a w jego ustach brzmiały one nawet jakby jeszcze bardziej przekonująco.

Jego wystąpienie ostudziło zapędy części krzykaczy, jednakże nie wszystkich. Kilkadziesiąt minut później doszło do tego, że grupa kilkunastu najbardziej zajadłych zwolenników kapitulacji rozpoczęła szturm na centralę kontroli pól ochronnych i urządzeń ofensywnych bazy. Do akcji natychmiast wkroczyła specjalna grupa szturmowa,

która w końcu zmuszona była obezwładnić napastników za pomocą gazów bojowych. Następnie umieszczono ich w pomieszczeniach zamkniętych. To nieco uspokoiło pozostałych, którzy do tej pory mieli jeszcze ochotę protestować przeciwko decyzjom dowództwa.

Kończąc swoją wachtę, Sheena zastanawiała się dość sceptycznie, jak długo może jeszcze potrwać oblężenie bazy – nawet wzięwszy pod uwagę możliwość że nie zostanie ona unicestwiona razem z całym satelitą. Koniec końców, mieli ograniczone zapasy żywności, choć tlenu i wody mogli wytworzyć dowolną ilość. Pozostawała jednak kwestia ich odporności psychicznej. Poza tym, co będzie, jeśli w końcu Ziemia upadnie? Jaki wówczas będzie sens dalszej obrony...?

To i mnóstwo jeszcze innych pytań dręczyło ją i wielu innych ludzi na pokładach *Blue One*, gdy pracowali, jedli, rozmawiali bądź odpoczywali.

I podobnie jak Sheena, na żadne z nich nie umieli znaleźć satysfakcjonującej odpowiedzi.

Ziemia

Toby i Carol błakali się bez celu po korytarzach wielkiego okrętu. Nie mieli akurat niczego do roboty, wachtę na mostku pełnili bowiem akurat ich zmiennicy. *Ramses* w chwili obecnej był w powrotnej drodze na Atlantyk, gdzie niecierpliwie oczekiwano go już w Pancake. Admirał Beresford jeszcze wczoraj, natychmiast po dramatycznych wydarzeniach, spłodził obszerny raport dla dowództwa, który najwyraźniej nieźle nimi wstrząsnął.

– Odpowiedzieli dokładnie dwanaście minut po tym, jak przesłałam im nasz raport – wyznała mu Carol, chichocząc pod nosem. Właśnie zatrzymali się przed drzwiami do kabiny pilota. – Wyobrażasz to sobie? Otrzymaliśmy rozkaz natychmiastowego powrotu do bazy. Przekazano nam też najnowsze wieści z pola bitwy, a właściwie bitew... Mam je przy sobie na dyskach. Zaraz ci włączę, to sam zoba-

czysz, co się będę produkować. Nie nastawiaj się jednak na nic specjalnie pocieszającego...

– Nie mam zamiaru – mruknął Toby uprzejmie. – Do złych wieści wszyscy już w zasadzie zdążyli się przyzwyczaić.

Nikt na pokładzie, ba! – chyba nikt na Ziemi nie spodziewał się jednak czegoś takiego, jak zniszczenie Callisto. Z początku sądzono nawet, że nastąpiło jakieś przekłamanie w depeszy otrzymanej z Pancake. Zaraz po tym, jak tylko dowódca zezwolił na uruchomienie normalnej łączności, pierwszy z odebranych serwisów informacyjnych błyskawicznie rozproszył ich wątpliwości. I zasiał nowe ziarno niepokoju.

– Za niespełna dwie godziny upłynąć ma kolejny termin gornieńskiego ultimatum – oznajmił dziennikarz prowadzący to akurat wydanie wiadomości serwisu TTN. – Po tym terminie nieprzyjaciół zapowiedział zaatakowanie samego Ganimedesa. Zdania ekspertów są jednak podzielone. Niektórzy uważają, że zagłada Callisto stanowi swego rodzaju bluff, a wróg nie posunie się do ataku na Ganimedesa. Jeśli zaś chodzi o Callisto, przypominam państwu, że nie mieliśmy tam żadnych placówek naukowych, nie licząc dwóch bezzałogowych stacji badawczych...

– *Blue One* to nie jakaś tam placówka bezzałogowa – mruknęła ponuro Carol. Toby siedział obok niej, a na kolanach mościła się wygodnie jego zwariowana kotka, absolutnie obojętna na możliwą zagładę ziemskiej cywilizacji.

– Po zaciętych walkach, potężnie uzbrojony oddział Kh-kh-boyn zdobył *Mons City* – oznajmił z kolei prezenter. Wydawało się, że szybkuje na niewielkiej wysokości ponad powierzchnią Marsa. – *Mons City* to niewielka, ale strategicznie położona osadę marsjańska u stóp Olympus Mons, największej góry w Układzie Słonecznym. Utrata tego punktu zmieni zapewne układ sił w tamtym regionie, choć jeszcze niedawno wydawało się, że sytuacja na Marsie jest najbardziej stabilna ze wszystkich stref walki.

– Mój kuzyn pracował kiedyś w *Mons City* – powiedział Toby głosem wyzutym z wszelkich emocji. – Byłem nawet kiedyś u niego, z

wycieczką... Ładna osada. Jedna z tych przykrytych wielkimi kopułami.

– On dalej tam jest?

– Nie. Skończył mu się kontrakt, niecałe trzy miesiące temu. Wrócił na Ziemię, do Londynu. Ma przemiłego dzieciaka, Krisa. Jestem jego ojcem chrzestnym...

– Proszę państwa, mam wiadomość z ostatniej chwili – oznajmił nagle dziennikarz, poprawiając dość nerwowo niewielką słuchaweczkę tkwiącą w uchu. – Niespodziewanie uległa zniszczeniu nowa sieć okołoksiężycowych satelitów detekcyjnych. Zdaniem ekspertów obecnych w gmachu naszej stacji... – zamilkł na chwilę, widząc wsłuchując się w informacje podawane mu na bieżąco. – Przepraszam. Zdaniem naszych ekspertów, może to sprawić, że trudne już w tej chwili walki w układzie Ziemia-Księżyc zaczną odtąd stanowić nie lada problem dla ziemskich i rahańskich strategów...

– Cholera – powiedział ponuro Toby, odwracając się w stronę Carol. – Wiesz co...

Zawahał się jednak chwilę, zanim powiedział to, co właśnie z nieoczekiwaną ostrością przyszło mu na myśl.

– Mam wrażenie, że tej wojny najprawdopodobniej nie wygrają sojusznicy... – rzekł wreszcie cicho. Machinalnie głaskał swą czarną kotkę, której głośnie burczenie słychać było w tej chwili w nastającej ciszy.

– Może należałoby powoli zacząć zastanawiać się nad sposobami jej zakończenia innymi niż rozwiązanie militarne? – powiedziała niepewnie Carol.

– Co masz na myśli?

– Moim zdaniem, ostatnią szansą jest to, że wieść o uwolnieniu tej istoty z monumentu dotrze w miarę szybko do Voorthian. Pewnie nasze dowództwo i tak samo się o to zatroszczy... To może spowodować przynajmniej osłabienie motywacji klanów do dalszego prowadzenia tej wojny. Po prostu zabraknie im już celu, o który warto było walczyć.

– To jest typowo ludzki sposób myślenia – ostrzegł markotnie Toby. – Nie mamy niestety żadnej gwarancji, że nieziemcy postąpią tak, jak to nakazuje nasz zdrowy rozsądek.

Milczeli przez chwilę, patrząc dość bezmyślnie na blok reklamowy, który pojawił się akurat na monitorze.

– Toby, zastanawiałeś się może, gdzie w ogóle znajduje się w tej chwili ta istota z piramidy? – spytała nagle Carol.

– Trochę rozmawiałem z tymi rahańskimi ekspertami, gdy oczekiwaliśmy na waszą pomoc w uszkodzonym Golfie – bąknął Toby. – Z tego co zdążyłem od nich usłyszeć, poproszono go, aby do czasu zakończenia działań wojennych pozostał w Układzie Słonecznym.

– To byłoby straszne, gdyby nie udało się nam ponownie nawiązać z nim kontaktu – wyrwało się dziewczynie. – Zbyt wiele jest pytań, na które dotąd na próżno szukaliśmy odpowiedzi, nie sądzisz? Teraz stoi przed nami szansa, aby uzyskać takie informacje, o jakich niedawno jeszcze nie mogliśmy nawet marzyć!

– Nie tylko Ziemianie palą się do rozmowy z nim. Mam wrażenie, że wielu dużo by dało, żeby mieć go dla siebie...

Dużo myślał o tym ostatnimi czasy. Pewne poczucie komfortu dawała mu świadomość, że ich udział w tej wojnie najprawdopodobniej właśnie się zakończył. Udało im się uwolnić tajemniczą istotę liczącą sobie niemal dwa miliony lat, zniszczyli nawet statek najeźdźców... Jednakże, gdzieś głęboko, w najgłębszych pokładach swojego jestestwa, odczuwał dotkliwe wrażenie jakiegoś braku. Oczywiście umiał je zidentyfikować bez chwili wahania. Na głębokim poziomie jego empatycznej wrażliwości brakowało tej znajomej emanacji – tej nikłej, acz wyraźnie dlań wyczuwalnej nutki, która towarzyszyła mu przez wiele ostatnich dni. Ten brak przypominał mu wciąż, że jego nauczycielka odeszła na zawsze. Trudno się było z tym pogodzić.

Kilka godzin po tym, jak załoga *Ramsesa* niemal w ostatniej chwili wyciągnęła ich z opresji w jakiej się znajdowali, Toby rozmawiał przez otwarty kanał łączności z przedstawicielem Korpusu ESP. Facet najwyraźniej był wstrząśnięty wieściami, i zażądał nawet

ich potwierdzenia od dowództwa floty w Pancake. Pilot przekonał się wtedy, iż Elsa Langerfeld była kimś wyjątkowym nie tylko dla niego. Jej ujmujący sposób bycia, skromność i życzliwość umiały jej zjednać przychyłność dosłownie chyba każdego człowieka. I dopiero teraz zaczął zastanawiać się nad tym, jak niewiele w gruncie rzeczy się dowiedział o starej telepatce. Jakie było jej życie, o czym marzyła... Nigdy jakoś nie przyszło mu do głowy, aby ją o to spytać. Teraz ogromnie tego żałował. Ale znali się przecież tak krótko...

Kilka godzin później był akurat w trakcie kolejnego bezcelowego spaceru po pokładach wielkiego okrętu. Zbliżał się akurat do kabin członków ekip naukowych, gdy nagle zatrzymał się jak wryty. Przypomniał sobie bowiem niespodziewanie, co takiego usłyszał od Elsy Langerfeld podczas ich pamiętnej ostatniej rozmowy. Ruszył ponownie, ale dochodząc do drzwi prowadzących do jednej z kabin zwolnił i zawahał się. Do tej pory nie był w sumie pewien, czy to wszystko czego wówczas doświadczył, przydarzyło mu się naprawdę. W zasadzie mogły to być przecież majaczenia jego umysłu, wystawionego na olbrzymie cierpienie konającej telepatki. Było to doświadczenie tak niesamowite, tak nieprawdopodobne, że nie opowiedział tego dosłownie nikomu – nawet Carol. Jedynymi, którzy w ogóle wiedzieli, że podjął próbę dokonania czegoś w tym rodzaju, byli dwaj nieziemcy obecni wraz z nimi na pokładzie *Golfa*. Oni jednak zachowali podziwu godną powściągliwość. Nawet po tym, jak wreszcie udało im się doprowadzić go do przytomności, nie zapytali go jednym słowem o to, co było jego udziałem. I był im za to głęboko wdzięczny.

Przystanął przed drzwiami, i wreszcie przyłożył dłoń do płytki zamka. Zawsze miał przecież swobodny dostęp do tej kabiny, a nie przypuszczał, aby ktoś zadawał sobie trud zmiany zapisów.

Drzwi otworzyły się bezszelestnie. Zrobił jeden długi krok i znalazł się w środku. Światło natychmiast zajaśniało łagodnym, rozproszonym blaskiem, a on rozejrzał się powoli.

Wszystko wyglądało tak zwyczajnie. Zupełnie tak, jakby lokatorka wyszła jedynie na krótką chwilę, i miała wrócić niebawem. Miał wręcz wrażenie, że kabina niecierpliwie wyczekuje swojego gościa.

Starannie zasłana koja, lekko uchylone drzwi do niewielkiej łazienki, kilka obrazków zawieszonych na ścianie. Zdjęcie starszego mężczyzny na biurku. Mężczyzna był szczupły, siwowłosy, ubrany w staroświecki garnitur. Nie wiedział nawet, kim on był... Dalej, zamknięta szafa, szafka nocna ze stojącą na niej na wpół opróżnioną szklanką wody i kilkoma fiolkami z jakimiś lekami... Jego wzrok powrócił do biurka.

Podszedł bliżej i z wahaniem wyciągnął rękę. Wreszcie podniósł książkę leżącą nieco z boku, zamkniętą i zaznaczoną mniej więcej w jednej trzeciej kolorową, plastikową zakładką.

Ernest Hemingway. "Rajski ogród".

Zamknął na moment oczy.

A więc nie wymyślił sobie tego wszystkiego.

Odłożył książkę na miejsce i niemal na palcach opuściłabinę. Nagle poczuł się spokojny i pogodzony z tym, co się stało. Przyszło mu do głowy coś jeszcze. Spojrzał na zegarek: która godzina może być teraz w Kolonii...? Zresztą nieważne, najwyżej obudzi tego kochanego urwisa. W tej chwili nie pragnął niczego tak bardzo jak usłyszeć wreszcie głos Yoshiego.

Kosmos

Na wpół mechanicznie grzebał w kolejnym stosie opakowań najróżniejszego kształtu, plastikowych skrzyń i w stertach paczek. Wszystko to było poowijane w półprzezroczystą folię, tak jak wszystkie ładunki transportowane na statkach kosmicznych. Folia ta dodatkowo działała mu na nerwy, bo niekiedy musiał ją rozrywać aby dostać się do metryczki przesyłki. Stało się to już dla niego swego rodzaju rytuałem: kolejne opakowanie, odszukanie owej nieszczęsnej metryczki lakonicznie oznajmijącej o zawartości, kolejny zawód... i kolejne opakowanie. Znalazł nawet sporo przesyłek z najrozmaitszymi lekami i akcesoriami medycznymi, ale do tej pory nie udało mu się

trafić na to, czego szukał. Zawział się jednak; był to już trzeci magazyn, który sprawdzał, a nie były one małe.

Zastanawiał się nad tym, że dość dawno nie było żadnej wiadomości od Sheeny. Musiał przyznać sam przed sobą, że z dużą niecierpliwością wyczekiwał kolejnych telepatycznych seansów. Czuł się podczas nich niemal tak, jakby siedział sobie tuż obok tej dziewczyny, której przecież nigdy dotąd nawet nie widział na oczy. Jej obecność wydawała się wręcz namacalna i niekiedy łapał się na tym, że zaczyna rozmawiać z nią na głos. Śmiał się wtedy sam z siebie. Ostatnio uczyniła mu osobliwe wyznanie.

– *Wiesz co, od dłuższego czasu dręczy mnie pytanie, czy nie masz mi za złe... No, że przez jakiś czas, zanim jeszcze nawiązaliśmy dwustronny kontakt, śledziłam twoje poczynania bez twojej wiedzy...?*

– *Co ci znowu przyszło do głowy?* – spytał wtedy, rozbawiony. – *Dziewczyno, dzięki temu uratowałaś mi życie!*

Ona nie była jednak tak pewna tego usprawiedliwienia.

– *Mam wrażenie, że złamałam w ten sposób jedną z zasad obowiązujących telepatów. To znaczy, nie dlatego, że uratowałam ci życie, tylko dlatego, że obserwowałam, co robisz...*

Szybko jednak uciszył jej obawy. Nie zrobił tego bynajmniej tylko z tego powodu, aby ją uspokoić. Po prostu naprawdę był jej wdzięczny za to, co dla niego zrobiła. A poza tym, to dzięki niej w jakiejś części odzyskał to, co po śmierci Gwen odeszło daleko od niego: prostą radość życia, śmiechu i cieszenia się obecnością drugiego człowieka. Tego jednak jakoś jej nie powiedział. Sam nie wiedział dlaczego.

Odłożył na bok kolejną paczkę, wziętą z nowego stosu kilkunastu identycznych opakowań, i już miał sięgnąć po następną, gdy nagle jego dłoń zastygła w bezruchu, po czym ponownie sięgnęła po dopiero co odłożony pakunek. Uniósł go do oczu i starannie jeszcze raz odczytał zatopioną w przezroczystym plastyku metryczkę. I aż się zachłysnął.

Odłożył paczkę na podłogę, dużo ostrożniej niż czynił to z innymi do tej pory, i niecierpliwie obejrzał kolejne z owego stosu. Wszystkie

metryczki wyraźnie oznajmiały to samo: paczki zawierały środek przeciwbólowy do stosowania zewnętrznego, w postaci aerozolu.

Miał ochotę podskoczyć i wywinąć kilka hołubców, powstrzymał się jednak. I dopiero w tym momencie zdał sobie sprawę, że od dłuższej chwili najwyraźniej nie jest już sam: poczuł charakterystyczne dotknięcie gdzieś w swoim umyśle.

– *Sheena, mam to!* – jego myślowy przekaz można było porównać tylko do radosnego okrzyku. – *Znalazłem to cholerne lekarstwo, i to w takiej ilości, że powinno spokojnie wystarczyć do kompletnego wytrucia ich wszystkich!*

– *Cieszę się* – Sheena faktycznie sprawiała wrażenie zadowolonej z jego sukcesu, choć natychmiast wyczuł jej nieco dziwny nastrój. Najwyraźniej coś ją głęboko zaniepokoiło. W tej chwili jednak nie przywiązywał do tego większej uwagi, pochłonięty w całości swoim znaleziskiem.

– *Jeszcze dziś przeniosę to w pobliże urzędzeń do uzdatniania powietrza, i może nawet również dziś zrobię to, co zaplanowaliśmy* – kontynuował w podnieceniu. – *Co o tym myślisz?*

– *Pewnie, nie ma z czym czekać... oczywiście jeśli tylko czujesz się na siłach* – odparła rozsądnie. – *Szkoda, że nie ma mnie tam z tobą, pomogłabym ci jak tylko bym umiała.*

– *Nie szkodzi* – przerwał jej impulsywnie. – *I tak zrobiłaś dla mnie już tyle, że... Masz moje słowo, że gdy tylko to wszystko się skończy, zabiorę cię do najlepszej knajpy na całym Zachodnim Wybrzeżu, jaką tylko uda mi się znaleźć!*

– *To miło z twojej strony. Ale jest coś, co muszę ci powiedzieć...* – urwała na chwilę, jednak w dalszym ciągu była z nim. – *Nie wiesz o tym, bo niby skąd miałbyś wiedzieć. Dziewięć godzin temu flota oblegająca Ganimedesa zniszczyła Callisto, czwartego satelitę Jowisza.*

Myślał w pierwszej chwili, że źle ją zrozumiał. Zniszczono księżyc?! Jak to możliwe? Wydawało się to nieprawdopodobne, jednak Sheena widziała wszystko na własne oczy i nie miał powodów, aby jej nie wierzyć.

– *To był jednak tylko wstęp do czegoś, co zamierzają dopiero zrobić* – kontynuowała, jakby z oporami. – *Zniszczenie Callisto miało skłonić nas do poddania bazy. W przeciwnym razie...*

Ponownie urwała, on jednak zaczął przeczuwać, w czym rzecz.

– *Co w przeciwnym razie?*

– *Zniszczą Ganimesesa. Przynajmniej tak twierdzą, choć część ludzi w to nie wierzy. Ale jest to jednak wykonalne, widzieliśmy przecież co potrafią ich statki... Jeśli tak się stanie, to mamy dla siebie jeszcze jedynie trzy godziny. Oni nie zezwolili nawet na to, aby cywilny personel opuścić Blue One. A zresztą ja i tak pozostałabym tutaj, tak czy inaczej jestem przecież żołnierzem UNSF...*

Tym razem on zamilkł, i to na długo. Świat nagle przestał być taki znośny, za jaki uważał go od paru dni. Mroczny koszmar wojny w której uczestniczył, powrócił do niego i uderzył go z nową siłą, przypominając o swoim istnieniu.

I niczego nie mógł w tej sprawie zrobić.

Cholerni nieziemcy. Zabierzcie swoje cholerne łapy, macki i szczudłowate odnóża od naszego Układu Słonecznego! – wrzasnęło coś w nim, i nagle poczuł tak wielką nienawiść do tych, którzy zmusili jego i jego pobratymców do walki, jakiej jeszcze do tej pory nigdy nie odczuwał.

– *Zrobię to jeszcze dziś* – gdyby mógł, wycodziłby to przez zaciśnięte zęby, jednak dziewczyna bezbłędnie wyczuła jego nastrój. – *A zaraz potem odszukam pomieszczenie, w którym przetrzymywana jest cała załoga, i uwolnię wszystkich ludzi. Stacja co prawda nie ma pól ochronnych, ale broni w magazynach jest dość, aby ponowny abordaż kosztował ich bardzo drogo.*

Nie mógł w żaden sposób dosięgnąć tych, którzy zagrażali Ganimesesowi. Mógł jednak choć częściowo przenieść te uczucia na tych, których miał pod ręką.

– *I zrobię to w ciągu tych trzech godzin. Masz moje słowo.*

W olbrzymim gwiazdolicie flagowym kolejna wachta trwała na swoich stanowiskach. Admirał Ytey wszedł na pokład, kiwnięciem szerokiej głowy witając obecnych. Nikt nie wykazywał jednak przesadnej uniżoności względem dowódcy Floty. Żołnierze odpowiedzieli takim samym skinieniem i natychmiast wrócili do swoich obowiązków. Jeszcze jedną cechą różniącą Tanoor od innych potęg, zwłaszcza militarnych, było dość luźne traktowanie tego, co inni nazywali hierarchią służbową. Nawet najniższy teoretycznie stopniem żołnierz mógł – jeśli uznał to za konieczne – zwrócić się z jakąś sprawą do samego najwyższego dowódcy. Nawet do admirała Yteya. I żaden z pominiętych w drodze służbowej pośrednich przełożonych nie czułby się bynajmniej dotknięty czy urażony. Było to nader trudne do zrozumienia dla tych członków innych gatunków, którzy choć pobieżnie poznali obyczaje Starej Rasy, jak niekiedy nazywano w Galaktyce Tanooran. A jednak cała ich społeczna maszynieria – administracyjna i nie tylko – funkcjonowała nadzwyczaj sprawnie.

Ytey podszedł do dowódcy wachty. Zatrzymał się tuż za nim i przez chwilę patrzył na monitory.

– *Jak wygląda sytuacja?* – spytał, chociaż nie za pośrednictwem mowy dźwięków. Taki mniej więcej jednak sens miałyby jego słowa, gdyby je oczywiście wypowiedział.

– *No cóż, wygląda na to, iż Ziemianie i sojusznicy powoli spychają się w kierunku ich ojczystego globu.*

– *Dzieje się tak od ładnych paru tygodni* – zauważył Ytey spokojnie. – *Konkrety, proszę.*

– *Zniszczeniu uległa większość boi detekcyjnych wokół satelity ich ojczystej planety* – zaczął wyliczać dowódca wachty. – *Wygląda na to, że w tym rejonie walki nie potrwają już długo... niestety, skończy się to źle dla Ziemian i ich sprzymierzeńców. Dalej, czwarta planeta: jedna z osad na powierzchni została niespodziewanie zdobyta. Najprawdopodobniej Kh-kh-boyn użyli któregoś ze swoich słynnych podstępów. No i najważniejsza rzecz: po zniszczeniu czwartego satelity największej planety tego systemu, statki floty Gorrn najwyraźniej przygotowują się do zaatakowania kolejnego. Tego, na którym Ziemianie dokonali swoich sensacyjnych znalezisk. Termin ultimatum*

upłynie mniej więcej za trzydzieści parów. I wygląda na to, że oni są na tyle rozwścieczeni swoją dotychczasową bezsilnością, że naprawdę gotowi są do przeprowadzenia tej akcji.

Ytey pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Słynny honor i poczucie dumy Gorrn. Nie mogą znieść myśli, że jak dotąd, w czasie tego konfliktu nie dokonali dosłownie niczego. W przeciwieństwie do obu pozostałych flot: tamci przynajmniej mogą pochwalić się jakimiś sukcesami... No tak, coś jeszcze?

– Voorth najwyraźniej wezwał tę część swoich statków, którą uprzednio oddelegował do obserwowania poczynañ Kh-kh-boyn i Gorrneńczyków. W tej chwili ta grupa uderzeniowa wraca w pobliże Ziemi i jej satelity.

– W jaki sposób zmieni to sytuację w tamtym rejonie?

– Całkowicie – odpowiedź oficera była natychmiastowa. – Voorth zyska taką przewagę, że upadek sił sprzymierzonych będzie kwestią bardzo krótkiego czasu.

Na długą chwilę na mostku zapanowało milczenie. Admirał Ytey kołysał się z wolna na swoich trzech nogach charakterystycznym, okrężnym ruchem, który nieomylnie wskazywał, iż waha się nad podjęciem decyzji niezwyklej wagi. Wreszcie wyprostował się niemal do pozycji pionowej, co spowodowało, że zwrócił na siebie powszechną uwagę.

– Za dwa paary przystępujemy do akcji przeciw siłom zbrojnym Voorth, Kh-kh-boyn oraz Gorrn – oznajmił po prostu. Oficer pełniący obowiązki dowódcy wachty pochylił głowę; spodziewał się właśnie tego.

– Nie dziwcie się. Właśnie w tym celu zostaliśmy przecież wysłani tutaj przez naszych przełożonych – mówił dalej Ytey. – Mieliśmy jednak nakazane czekać aż do momentu, gdy stanie się jasne, że Ziemianie i ich sojusznicy nie poradzą sobie z najazdem bez naszej pomocy. Ten moment mógł jednak nie nadejść w ogóle i z tego bylibyśmy najbardziej zadowoleni, biorąc pod uwagę nastawienie naszej rasy do polityki galaktycznej. Wiemy jednak, jakie zobowiązania – wywodzące się z pradawnych czasów – mamy wobec Ziemian i ich

świata. I właśnie z powodu tychże zobowiązań musimy złamać nasze zasady.

W następnej kolejności począł rozdzielać rozkazy operacyjne dla pozostałych dwóch okrętów jego niewielkiej, a jednak potężnej floty.

Niemal wszyscy naukowcy obecni na *Polaris* skupieni byli wokół jednego z teleskopów dalekiego zasięgu. Specjalnie w celu uzyskania jak najlepszej widoczności stacja ustawiona została w ten sposób, aby umożliwić obserwacje głębokich rejonów Układu Słonecznego bez zakłócającego je blasku bliskiego Słońca. Głównym obiektem zainteresowania uczonych były oczywiście okolice Jowisza. Doskonale urządzenia jakimi dysponowali, umożliwiły im dokładne obejrzenie tego wstrząsającego spektaklu, który wydarzył się niemal dwanaście godzin temu. Do tej chwili niektórzy z nich spoglądali w miejsce, gdzie Callisto – glob tej wielkości, że z powodzeniem mógłby stanowić całą, i to sporą planetę – rozpadł się w ciągu niedługiego czasu. Zupełnie jakby chcieli upewnić się, że to co wtedy widzieli wydarzyło się naprawdę.

Teraz zaś, za niewiele ponad sześćdziesiąt minut, mieli ujrzeć zagładę największego spośród satelitów obiegających gazowego olbrzyma. Biorąc zaś czas potrzebny na dotarcie światła od Jowisza do okolic Słońca, faktyczny moment ataku obcej floty na ludzką bazę miał nastąpić za niespełna siedemnaście minut. Oni jednak będą musieli poczekać, aż promienie świetlne niosące ze sobą widok kolejnych tragicznych wydarzeń, dotrą do nich i zostaną pochwycone przez ich teleskopy. Profesor Heinz wyliczył już nawet, że w tym momencie będą akurat po właściwej stronie Słońca.

Nie pamiętali już niemal o trzech bojowych jednostkach, które od jakiegoś czasu przypuszczały daremne ataki na ich stację. Nie byli pewni nawet, przez którą z flot zostały one przysłane. Sądząc jednak po niesamowitym, rozczłonkowanym kształcie statków, mogli być to Kh-kh-boyn. Ekrany stacji spełniały jednak swoje zadanie doskonale, zasilane energią pobieraną prosto ze strumienia promieniowania sło-

necznego. Pod względem zaspokajania wszelkich potrzeb energetycznych *Polaris* była najprawdopodobniej na wyróżnionym miejscu spośród wszystkich ludzkich instalacji w systemie słonecznym. Energii mieli wręcz po dziurki w nosie.

W pewnym momencie doktor Woróżkin, niski, korpulentny i niemal całkowicie łysy heliofizyk, odwrócił się do swoich towarzyszy. Otworzył usta, jakby zamierzając coś powiedzieć, jednak w ostatniej chwili zawahał się. Jeszcze raz powrócił do obserwacji jednego z monitorów, na których widniała powierzchnia Słońca, obserwowana w wąskim zakresie fal przez jeden z filtrów. Potem ponownie spojrzał na pozostałych.

– Moi drodzy, podejdźcie proszę do mnie – powiedział dziwnie ochrypłym głosem, który po raz pierwszy od ładnych paru minut zakłócił ciszę panującą w pomieszczeniu. – Powiedzcie mi, czy to ja mam halucynacje, czy też moje urządzenia zwariowały, a może zdarzyło się jedno i drugie na raz.

Kilka osób, wyraźnie zaintrygowanych, odwróciło się od ekranów wielkich teleskopów i zbliżyło do Woróżkina, stojącego nieruchomo obok swojego stanowiska. Rosjanin dramatycznym gestem wskazał na holoeckran, jasnoczerwoną barwą oświetlający umieszczoną pod nim tablicę przyrządów.

– No? – spytał z wyczekiwaniem. Trzech uczonych z uwagą przyjrzało się obrazowi. Następnie spojrzeli po sobie z powątpiewaniem.

– To jest, mam wrażenie, fotosfera – powiedział uprzejmie jeden z nich. – Powinieneś już przecież wiedzieć, jak to się nazywa. Tak długo tu pracujesz...

– Barany i żartownisie. Przyjrzyjcie się uważniej. O, dokładnie w tym miejscu.

Przytknął palec do wielkiego ekranu. Ponownie nachylili się w przód, i tym razem coś jednak dostrzegli.

– Granule...? – spytał niepewnie jeden z nich, drapiąc się po głowie, po czym odpowiedział sam sobie. – No nie, granulację mamy tam, widoczną doskonale. To jest więc coś innego. Jaką skalę powięk-

szenia zastosowałeś? A, jest tutaj. No tak, w stosunku do Słońca te obiekty są mikroskopijne. Co to jest?

– Właśnie chciałbym się tego dowiedzieć. Macie może jakieś użyteczne sugestie?

– A spektrogram...?

– Zrobiony. To wygląda jak jakiś stop metaliczny. Jakby tytan, jednak widmo jest nietypowo przesunięte. Czyli w gruncie rzeczy cholera wie, co to jest naprawdę. A dokładna wielkość tych obiektów wynosi po około trzysta kilometrów. Zauważyłem je całkowitym przypadkiem trzy minuty temu, a właściwie to komputer je wykadrował. Żeby zaś było śmieszniej – dodał jadowicie – to z ciekawości odtworzyłem film kręcony przez tę akurat kamerę. Te trzy drobiazgi wyłoniły się prosto z wnętrza fotosfery. I co na to powiecie?

Teraz wszyscy trzej zgodnie wytrzeszczyli nań oczy.

– Jesteś pewien?!

– Nie mylisz się...?

– Z fotosfery?! Przecież nic nie wytrzyma tej temperatury!

Cierpliwie przeczekał niezgrany chór głosów, wreszcie zamachał ręką przed ich oczami.

– Dlatego pytam was, czy wyglądam na chorego, albo czy waszym zdaniem SI oszalała. To są fakty, moi drodzy. Nasze urządzenia śledzą trajektorie tych obiektów od momentu, w którym opuściły wierzchnie warstwy fotosfery. Muszę was poinformować, że jeden z nich zmierza dokładnie w naszym kierunku...

Po kilku dosłownie chwilach cały personel centrali obserwacyjnej był już na swoich stanowiskach, zaalarmowany tym nowym, nieoczekiwanym, niepojętym i zaskakującym zjawiskiem. Kolejne zbliżenia tajemniczych obiektów dały zaskakujący wynik.

– A niech mnie dzika protuberancja pochłonie – powiedział zduszonym głosem profesor Barnett, wpatrując się z osłupieniem na to, co komputer wyświetlił na centralnym holoe ekranie.

Był to widok obiektu zmierzającego w ich stronę. Zgodnie z wynikami skaningu radarowego, miał on kształt spłaszczonego dysku, ściętego z jednej strony. Faktycznie miał rozmiary całkiem sporej planetoidy, bowiem w najszerszym miejscu jego średnica wynosiła nieco

ponad trzysta dwadzieścia kilometrów. I z całą pewnością nie był to obiekt pochodzenia naturalnego.

– To jest pieprzony statek kosmiczny! – głośny komentarz Moore'a, młodego doktoranta z MIT, oznajmił to, co każdy z nich bał się powiedzieć. Jednak najwyraźniej była to prawda, choć trudna dla nich do przyjęcia.

– Nareszcie. Inwazja Słoneczników...! – dał się słyszeć czyjś sceniczny szept.

– O rany boskie... – doszło od sąsiedniego stanowiska. – Jeden z tamtych dwóch przyspiesza! Ale... to chyba niemożliwe... Od trzech tysięcy kilometrów na sekundę, do ponad dwustu tysięcy, w ciągu niecałych trzech sekund! Mmm... tracę odczyty, stają się niewyraźne. Cholera, on z całą pewnością przekroczył prędkość światła...!

– Wszedł w skok?

– Bez wejścia w skok – głos był stłumiony i pełen niedowierzania. – Jakimś cholernym sposobem ci, którzy zbudowali te statki, wiedzą jak wchodzić w nadświatlną w przestrzeni euklidesowej bez wchodzenia w podprzestrzeń. Zgodnie z teorią względności, w tej chwili czas na jego pokładzie powinien zacząć się cofać...

– Możesz ustalić kierunek, w którym poleciał? Choć w przybliżeniu?

Na kilka chwil zapadła cisza.

– W dużym przybliżeniu wziął kurs na Marsa, ale mogę się mylić. Albo też na Jowisza, obie te planety są w tej chwili w koniunkcji...

– A co z pozostałymi dwoma?

– Ten dalszy idzie stałym kursem. Zaraz... też przyspiesza, ale znacznie mniej gwałtownie. Zaś ten bliższy zbliża się stale ku nam, z niezmienną prędkością. Z pewnością wie, że tu jesteśmy.

– Ale kim oni, u licha ciężkiego, są?! – z nagłą pasją wyrzucił z siebie Moore. – Kto, u licha ciężkiego, ma statki zdolne do eksploracji fotosfery gwiazd i posiadające taki napęd?! Przecież z tego, co wiemy, to w całej zamieszkałej Galaktyce nie słyszano o czymś takim!

Zapadło milczenie.

– I dlaczego pojawili się właśnie teraz? – spytał młody Amerykanin znacznie ciszej. – Coś przecież zamierzają...

– Może to statki Instytutów Galaktycznych – bąknął ktoś bez większego przekonania.

– Zaraz. Zastanówmy się na spokojnie. Kto dysponuje najlepiej rozwiniętą technologią w znanym wszechświecie? – pytanie było rzeczowe.

– Jest kilka starych klanów... – zaczął Heinz, ale przerwał mu jeden z techników.

– Dystans: czterdzieści tysięcy kilometrów, zrównuje prędkość orbitalną z naszą, i dalej się zbliża. Trzy wrogie niszczyciele chyba się przegrupowują. Dają widok na ekran główny.

Zrobił to w samą porę, aby zebrani w centrali uczeni i technicy ujrzeli coś niewiarygodnie pięknego.

Nie widać było żadnych przeszywających przestrzeni promieni ani niczego podobnego, zresztą w próżni było to niemożliwe. Nagle po prostu trzy wielkie pojazdy, nękające dotąd ziemską stację, jeden po drugim rozjarzyły się oślepiająco białym światłem, po czym eksplodowały rozżarzonymi chmurami plazmy i szczątków.

– Co to było? – powiedział nieswoim głosem siwowłosa profesor Harrison. – Przecież te niszczyciele posiadały osłony...?

Odpowiedziała mu cisza. Wszyscy patrzyli na kolejne niewiarygodne widowisko, jakie roztaczało się przed ich oczami.

Gigantyczny gwiazdolot zbliżył się w międzyczasie do stacji na odległość nie większą, niż kilkadziesiąt kilometrów. Nadal jednak nie zwiększał prędkości, spokojnie przechodząc przez szybko rozpraszające się obłoki pozostałości po trzech niszczycielach.

– Rany boskie – powiedział ktoś jeszcze martwym głosem.

Potem nastała cisza.

Potężna masa, z jednej strony oświetlona padającym nań blaskiem Słońca, z drugiej strony pogrążona była w całkowicie czarnym cieniu. Powoli, majestatycznie przesuwiała się przed oczami osłupiałych ludzi, którzy chłonęli ten widok, jakiego do tej pory nie było dane oglądać żadnemu człowiekowi. Przed ich oczami w jednostajnym tempie, całkowicie bezszelestnie sunęły widoczne na metalicznie pobłyskującej powierzchni jakieś ażurowe konstrukcje, instalacje niewiadomego przeznaczenia, płaszczyzny pokryte mozaiką zlewających się z

takiej odległości szczegółów. Szczególnie piękna była strona nie oświetlona przez Słońce, jarząca się istnym morzem drobniutkich światełek, świadczących o tym, że na pokładzie tego kosmicznego potwora były jednak żywe istoty. Niektórym uczonym zdawało się nawet, że widzą jeszcze nitki fotosferycznej plazmy, ciągnącej się za niektórymi konstrukcjami. Nie mogło być to jednak prawdą, gdyż z tak bliska instrumenty wykazywały już wyraźnie istnienie wokół monstrualnego gwiazdolotu pola sił o nieznanej naturze.

Czas mijał, a niesamowite widowisko trwało i trwało, dopiero w ten sposób uświadamiając wstrząśniętym ludziom faktyczny ogrom tego, co mieli w zasięgu wzroku. Wszystko w nich buntowało się przeciw przyjęciu do wiadomości tego, co właśnie oglądali, i żadne z nich nie potrafiły precyzyjnie określić, ile minut upłynęło, nim wreszcie ponownie pojawiły się gwiazdy.

– Mamy łączność – głos operatora łączności spowodował efekt nie mniejszy, niż gdyby ktoś wystrzelił z broni palnej. Pobrzmiwały w nim jednak nutki niepewności. – Zaraz... zdaje się, że właśnie wywołuje nas ktoś z pokładu tego, co nas właśnie minęło. To... – przełknął głośno ślinę – ...to jest flagowy okręt wojenny Światów Tanoor.

Leżał na wielkiej rurze o średnicy co najmniej dziesięciu metrów. To tu wpadało powietrze po opuszczeniu całego labiryntu filtrów i uzdatniaczy. Tam powietrze oczyszczane było z dwutlenku węgla i nasycone brakującymi składnikami w odpowiednich proporcjach. Następnie zaś wielka pompa znajdująca się w dalszej części rury przepychała setki metrów sześciennych gazu na sekundę, tłocząc świeże powietrze na powrót do skomplikowanej sieci przewodów i kanałów. Te rozdzielały się na coraz mniejsze, i doprowadzały swoją zawartość do dosłownie każdego pomieszczenia na stacji. Skądś, być może z któregoś z obowiązkowych wykładów na temat żywotnych systemów stacji, Brian pamiętał iż całkowita wymiana powietrza na całym obiekcie nie trwa więcej niż cztery minuty. Tak sprawnie działał ów system, w dodatku w całości zaprojektowany jeszcze przez ludzi.

– Mam nadzieję, że wystarczy tego, co zdołałeś zebrać? – Sheena chyba nie była tego tak pewna, jak by chciała.

– Też mam taką nadzieję... Ale wziąłem naprawdę wszystko, co tylko mogłem znaleźć.

Okazało się, że w magazynie znajdowało się ogółem trzysta czterdzieści fiolek z bezcennym dlań preparatem. Wraz z tymi, które odnalazł w szpitalu stacji i ambulatoriach, było ich razem czterysta trzydzieści. Czyli, biorąc ogółem, miał do dyspozycji ponad dziewięćdziesiąt litrów substancji czynnej. Jeśli tylko wszystko pójdzie zgodnie z planem, możliwe, że wystarczy.

Był zmuszony obrócić trzy razy, zanim dostarczył wszystkie ampulki na miejsce przeznaczenia. Zadanie utrudniał fakt, że w warunkach nikłej grawitacji panującej w pobliżu węzła uzdatniania powietrza, łatwo było wpaść przez nieuwagę na coś i zniszczyć cenny ładunek. Musiał więc uważać tak, jak jeszcze nigdy chyba dotąd: stawka była zbyt duża. Wreszcie jednak cały zapas znalazł się na miejscu, przy wylocie kanału prowadzącego bezpośrednio do wielkiej hali. Brian ostrożnie ściągnął kratę i zajrzał do środka, nie oczekiwał jednak obecności tam któregośkolwiek z nieziemców. Nie mieli żadnych powodów, aby choć przypadkiem znaleźć się w tym miejscu. I faktycznie, nikogo tam nie było. Zajął się więc uważnymi oględzinami zastanych urządzeń.

Niemal od razu zorientował się w ogólnej zasadzie działania całego systemu. I tylko krótką chwilę zajęło mu zadecydowanie, w którym miejscu zabójcza dla Kh-kh-boyn substancja powinna trafić do obiegu. Owa rura, z której powietrze szło już bezpośrednio do systemu kanałów wentylacyjnych, nadawała się do tego wręcz idealnie. Problemem mogło być jedynie to, w jaki sposób wprowadzić zawartość ampulek do owej rury. Włazł więc na nią ostrożnie, skorzystawszy z metalowej drabinki biegnącej w górę, wzdłuż jej boku. I niemal od razu odnalazł na wierzchu coś, co wyglądało na klapę o okrągłym przekroju, zabezpieczoną uszczelką i solidnie dociśniętą szprychowym kołem.

Tylko chwilę zastanawiał się, do czego takiego mogła ona służyć.

– *Znalazłem otwór serwisowy – oznajmił z satysfakcją. – Chyba skorzystam z niego, bo miejsce jest wręcz idealne.*

Mógł w zasadzie przewidzieć, że znajdzie tu coś takiego. Cały system musiał być przecież dostępny dla techników w razie ewentualnej awarii, czy też choćby banalnej konieczności oczyszczenia jakichś przewodów lub elementów maszynierii.

Torby zawierające kruche ampułki znajdowały się już obok klapy, przywiązane mocnym sznurem do szczebli biegnącej obok drabinki. Brian ostrożnie odłożył na bok broń i zabrał się do odkręcania koła dociskającego. Z początku miał wrażenie, że ten, kto je uprzednio zamykał, miał coś wspólnego z mitycznymi herosami. Koło bowiem nie chciało nawet drgnąć. Zaparł się jednak stopami o szczeble drabinki, uważając na torby z ampułkami, i naparł na odporne koło całym ciałem.

– Co za Herkules jakiś to dokręcał...! – sapnął pod nosem, czując zarazem, jak jego poszkodowane po niedawnym oparzeniu dłoń pieką coraz bardziej. Dygotał cały z napięcia, mięśnie naprężyły się jak postronki, a w uszach pulsowała krew. I wtedy, gdy już myślał że za moment oczy wyskoczą mu z orbit, koło wolniutko przekręciło się o pierwszy centymetr. Później nagle poszło coraz łatwiej, jakby konieczne było rozruszanie od dawna nie używanego mechanizmu.

– *Otworzyłem* – zakomunikował, choć niemal pewien był, że Sheena już o tym wie. Czuł, że cały czas jest razem z nim.

W pewnym momencie, w połowie kolejnego obrotu, z cienkiej na razie jak włos szczeliny która pojawiła się pod uszczelką, począł dobywać się ostry świst. Brzmiało to tak, jakby tam w środku szalał iście huraganowy podmuch. I tak było w istocie.

Zwolnił tempo pracy, a po namyśle postanowił nie otwierać klapy do samego końca. Zamierzał otworzyć szczelinę na tyle tylko szeroką, aby bez przeszkód móc wlewać do środka bezbarwny płyn z kolejnych ampułek. Zapowiadała się nie lada praca, wzięwszy pod uwagę ilość szklanych pojemniczków. Z powątpiewaniem spojrzął na wypchane torby i podrapał się po głowie. Wyraźnie czuł silny podmuch spod klapy, która podskakiwała nerwowo, zabezpieczona sworzniami nie pozwalającymi jej odskoczyć na dobre. Powietrze gwizdało i świstało w

otworze na tyle głośno, że począł się obawiać aby nikt nie usłyszał tego przenikliwego dźwięku.

Wtedy ponownie odezwała się Sheena.

– *A nie mógłbyś po prostu wrzucić tam po kolei tych wszystkich ampułek?* – zasugerowała niepewnie. – *Przecież one tam, w środku, i tak się rozbiją i uwolnią zawartość, a wylewanie ich po kolei zajmie ci chyba ponad godzinę...*

Miała rację, oczywiście. A poza tym, nie mieli tej godziny, pamiętał o tym aż za dobrze. Do ostatecznego terminu ultimatum, jaki bázie na Ganimesdesie postawili Gornieńczycy, pozostało zaledwie nieco ponad trzydzieści minut.

Bez jednego słowa i chwili zwłoki począł wydobywać z toreb wiszących pod jego nogami kolejne ampułki. Wcisnął je pod kłapę, przytrzymując ją zarazem lewą dłonią. Po chwili jednak przyszło mu coś do głowy i zaklinował kłapę swoją niepotrzebną w tej chwili bronią, tak że mógł ciskać buteleczki obiema rękami naraz. I tak jednak opróżnienie wszystkich toreb zajęło mu dobre dziesięć minut.

Wrzucając ostatni szklany pojemniczek, miał dziwne wrażenie pustki i samotności, choć Sheena wciąż była przy nim. I wtedy, zupełnie nagle, przyszło po niego zmęczenie.

Położył się więc na wznak na szerokiej rurze, patrząc w metalowy, pomalowany na szaro sufit poznaczony cętkami nitów. Wiedział, że zrobił wszystko co mógł. A jeśli jego pomysł był wart choć funta kłaków, to właśnie w tej chwili czarni, podstępni, szczudłonodzy prześladowcy ludzkości konają w konwulsjach. Nie wzbudzało to jednak w nim oczekiwanych emocji, choć wiedział że powinien być już w drodze do czwartego poziomu, gdzie – jak pamiętał – uwięzieni byli wszyscy ludzie. W tym jednak momencie nie chciał pamiętać o nieubłaganiu płynącym czasie. Chciał poświęcić te kilka minut które być może pozostały Sheenie, na proste odczuwanie jej obecności, którą nauczył się już cenić.

Okazało się jednak, że ona miała coś do powiedzenia.

– *Podobno coś dziwnego dzieje się w najbliższych okolicach Słońca. Przed sekundą nadszedł meldunek ze stacji Polaris, kanałem podprzestrzennym. Nie znam jednak szczegółów... Zaś nasze obserwa-*

torium melduje, że sześć obcych statków zajęło pozycje w koncentrycznym szyku wokół Ganimedesa – przekaz był słaby i cichy. – Wygląda to tak samo jak przed zniszczeniem Callisto...

Nie musiała mówić niczego więcej. On sam zaś po prostu nie wiedział, co mógłby w tej chwili powiedzieć. Zaczął więc opowiadać o wszystkim, o czym w tej chwili myślał. O tym, jak codziennie oczekiwał, aż ona da mu znać, że już jest z nim... O tym, ile zyskał dzięki niej, i jak ponownie nauczyła go cieszyć się tym, co go otacza...

Gdy zamilkł, ona też milczała długą chwilę. Gdy odezwała się ponownie, empatyczny nastrój towarzyszący słowom pobrzmiwał żalem, rezygnacją i odrobiną nadziei.

– Wiesz co, zawsze lubiłam szperać w zasobach Netu, w poszukiwaniu starych nagrań muzycznych. Trafiałam na rozmaite dziwne rzeczy, wczoraj zaś po raz kolejny znalazłam coś, co mnie zainteresowało. Jak dla mnie, dziwnie pasuje to do naszej obecnej sytuacji. Nie wiem, czy ktokolwiek praktykował już przesyłanie muzyki poprzez ESP, ale może uda nam się być pierwszymi. Mamy jeszcze trzy minuty... Chcesz posłuchać?

– Jasne.

Wsluchiwał się w swoją duszę, czując się teraz naprawdę tak, jakby na falach tej niesamowitej linii podążał gdzieś w gwiazdzistych przestrzeniach, zawieszony w połowie drogi pomiędzy Marsem a dalekim Ganimedese. I nagle usłyszał muzykę. Cichą, niewyraźną, a jednak piękną. Od razu wiedział, że stworzona została naprawdę dawno temu, może nawet w ubiegłym stuleciu.

Potem do muzyki dołączył się głos.

*– There's no time for us
There's no place for us
What is this thing that builds our dreams...*

Ze ściśniętym gardłem słuchał kolejnych słów, odczuwając je tak, jakby ich autor napisał je specjalnie dla nich.

– *There's no chance for us*
It's all decided for us
This world has only one sweet moment set aside for us...

Boże, taka po prostu była prawda...!

Who wants to live forever...

Mijała ostatnia minuta, a on wciąż leżał z zamkniętymi oczami, jak zaczarowany.

Nie wiedział, że jeszcze potrafi płakać.

Sheena na wpół leżała w rozłożonym fotelu na pokładzie obserwacyjnym. W uszach tkwiły jej słuchawki, w których wciąż brzmiała stara piosenka. Wiedziała, że Brian słuchał wraz z nią. I czuła też jego wzruszenie, niemal tak dobrze, jakby był tu obok niej. Powstrzymała się jakoś od spojrzenia na zegarek; wiedziała, że zostało im nie więcej, jak kilkadziesiąt sekund. Miała jednak bolesną świadomość tego, co pozostawia, co mogło ją jeszcze w życiu spotkać...

Nikt nie twierdził jednak, że życie jest sprawiedliwe.

Patrzyła więc w gwiazdy.

Wiedziała, że niektóre z tych jasnych punkcików w rzeczywistości są wielkimi, liczącymi sobie ponoć nawet po kilkanaście kilometrów średnicy niszczycielami. Teraz miała świadomość, że wśród tego mnóstwa jasnych gwiazd, które od lat traktowała jak dobrze znanych przyjaciół spoglądających na nią z firmamentu, czaiła się śmierć. Mój Boże, jak takiej potędze mogli opierać się ludzie przez tak długi czas...?

I wtedy, niemal dokładnie na linii jej wzroku, pojawił się jaskrawy rozbłysk. Potem dwa kolejne, jeszcze dwa... a potem nagle niemal całe niebo, klarowne w tej chwili i nie przesłonięte wirującymi zwykle

płatkami śniegu, rozbłysło coraz to nowymi światełkami, które roz-
palały się na krótkie chwile, a potem stopniowo gasły. Nie będąc pew-
na na co patrzy, próbowała je liczyć, jednak gdy liczba przekroczyła
trzydzieści, nie mogła już nadążyć za odnajdowaniem wzrokiem kolej-
nych.

Cóż to jednak było, na wszystkie barwy tęczy...?!

Brian z niedowierzaniem słuchał chaotycznych słów Sheeny. Musiał dzielić swą uwagę pomiędzy jej słowa a uważne pokonywanie kolejnych odcinków korytarza z bronią przygotowaną do strzału. Nie-
dawno opuścił wylot kanału wentylacyjnego, zorientował się gdzie
jest, i natychmiast podążył w kierunku centrali łączności i kontroli
urządzeń obronnych stacji. Jak dotąd jednak, napotkał zaledwie dwa
sztywne i makabrycznie powykręcane trupy pająkoksztalnych
nieprzyjaciół. Najwidoczniej mu się udało...

– *Mój Boże, Brian, widziałam to na własne oczy! Setki statków
Gorrn zostało zniszczonych w jednej chwili! A już wydawało się, że
wszystko jest stracone... Przyszli nam z pomocą dosłownie w ostatniej
chwili! Jak oni to zrobili...?! Nie znam jeszcze dokładnie żadnych
szczegółów, wiadomo jednak, że na orbitę Ganimedesa wszedł zaled-
wie jeden gwiazdolot. Rozumiesz, Brian?! Jeden! Za to podobno ol-
brzymi, ale niewiele wiem na ten temat. Zaraz... chyba akurat zgłasza
się na kanale ogólnym. Na chwilę cię opuszczę...*

Jeśli była to prawda, to do akcji w Układzie Słonecznym
wkroczył ktoś, o kim do tej pory najwyraźniej nie miała pojęcia żadna
z walczących stron, włącznie z ludźmi i ich sojusznikami. Nie miał
jednak najmniejszego pojęcia, kim mogli być owi tajemniczy wybaw-
cy. A wnosząc z tego co mówiła Sheena, UNSF jak na razie wiedziały
niewiele więcej od niego. W eterze panowało ponoć olbrzymie za-
mieszanie, jednak na uzyskanie klarownego obrazu sytuacji należało
jeszcze poczekać. Może za chwilę dowie się, kto tak niespodziewanie
przyszedł sojusznikom z pomocą...

Powoli przysunął się do wielkich drzwi oznaczonych wyraźnym, białym napisem, po czym delikatnie wcisnął otwierający je przycisk. Jednocześnie przykucnął i przytrzymał je delikatnie drugą ręką, aby nie otworzyły się zbyt szybko. Wsunął się błyskawicznie do środka, omiatając bronią całe wnętrze centrali. Jak się okazało, nie było tu jednak nikogo, kto mógłby mu zagrozić. A przynajmniej nikogo żywego. Kilka ciemnych ciał leżało nieruchomo na podłodze.

Podszedł szybko do pulpitów i tablic rozdzielczych, rejestrując zarazem ruch na ekranach nad stanowiskami łączności. Widniało na nich powtórzone kilka razy niehumanoidalne oblicze osadzone na węzowej głowie. Z głośników zaś dobiegała cała seria szybkich, ostrych trzasków i wysokich pisków. Najwyraźniej ktoś tam był zdenerwowany przedłużającym się milczeniem swoich ziomków, okupujących stację.

– Miłego dnia – warknął ponuro pod adresem czarnej postaci, po czym trzaśnięciem dłoni zmienił kanał, nie chcąc spoglądać dalej na znienawidzony widok.

Nie mógł się w żaden sposób rozdzielić, toteż teraz zaczął się spieszyć. Pierwszym, co zrobił, było sprawdzenie stanu gotowości układów generujących pola ochronne wokół stacji – systemu, który uprzednio tak sprytnie ominęli i zniszczyli Kh-kh-boyn. Zrobił to w zasadzie odruchowo, pamiętając o zagładzie tych urządzeń. Teraz jednakże zupełnie niespodziewanie stało się dlań jasne, że jakimś cudem systemy są w pełni sprawne i gotowe do działania. Chwilę trwał w zdumieniu, jednak już w następnej sekundzie przyszło mu do głowy, że najeźdźcy z całą pewnością zatroszczyli się o odbudowę podstawowych zabezpieczeń stacji. Tym lepiej. Począwszy od tej chwili, nikt nie da się już nabrać na trick, jaki zastosowali poprzednim razem. Uśmiechając się szeroko odczekał, aż zakończy się automatyczna procedura kontrolna generatorów pola, po czym uruchomił je wreszcie, czując zarazem jak wielki ciężar spada mu z serca. Wtem coś jeszcze przyszło mu do głowy: niemal pobiegł do stanowiska kontroli przestrzeni zewnętrznej, i przez parę chwil starał się zorientować w zasadach działania zainstalowanych tu urządzeń. Minutę później mógł już odetchnąć pełną piersią. W obrębie strefy chronionej przez pole

nie pozostał szczęśliwym trafem żaden obcy statek, którego załoga mogła podjąć próbę dostania się na pokłady stacji.

Wreszcie zwałił się wręcz na głęboki fotel przed stanowiskiem łączności, odsuwając delikatnie na bok czarne cielsko, które leżało przed fotelem. Uznał ku swemu zdziwieniu, że wrogowi po śmierci należy się choć odrobina szacunku, niezależnie od tego, jaki był on za życia.

Polecił komputerowi przejście na standardowy kanał łączności wykorzystywany przez UNSF, na podkanał zarezerwowany wyłącznie dla tej stacji.

– Tu stacja orbitalna *Mars 2* – powiedział ochrypniętym nieco głosem. – Powtarzam, tu stacja orbitalna *Mars 2*. Mówi porucznik Brian Ives z UNSF, numer identyfikacyjny 59376-KFD-476. Melduję, że stacja została odbita z rąk wroga i w chwili obecnej żaden ze statków wojennych obcej floty nie ma do nas dostępu. Wszyscy żołnierze wroga obecni na pokładzie najprawdopodobniej nie żyją... Proszę o potwierdzenie odbioru.

Urwał, czekając na jakąś odpowiedź. Wiedział bowiem, że jego słowa są słyszane w centralnym sztabie UNSF na Ziemi. Czekał jednak i czekał, a jedyną odpowiedzią było uporczywe milczenie.

– Czy słyszy mnie ktoś, do ciężkiej cholery?! – zniecierpliwił się nieoczekiwanie dla samego siebie, i dokładnie w tym samym momencie w słuchawce usłyszał lekki trzask.

– Żołnierzu, jesteś na kanale zarezerwowanym dla stacji *Mars 2* – oznajmił beznamiętny męski głos. – Zejdź z linii natychmiast, i bez głupich żartów.

Na moment odebrało mu głos.

– Posłuchaj, palancie – wysyczał. – Nie obchodzi mnie kim jesteś i jaki masz stopień, ale jeśli ktoś z nas żartuje, to na pewno nie ja. Przez ostatnie kilkanaście dni czołgałem się po kanałach dostając klaustrofobii i wybijając tyłu Kh-kh-boyn, ilu tylko nawinęło mi się pod lufę. A teraz, gdy udało mi się wykończyć ich wszystkich za jednym razem i na powrót uruchomić instalacje obronne obiektu, ty każesz mi zejść z linii?! Daj mi swojego przełożonego, dupku!

– Momencik – żołnierz po drugiej stronie najwyraźniej nie dał się spieszyć. Jednak głos, jaki odezwał się po chwili, z pewnością należał już do kogoś innego.

– Mówi pułkownik Roberts ze sztabu UNSF – rzucił krótko. – Poruczniku, niech pan będzie uprzejmy przejść na szyfrowany kanał specjalny, a potem powtórzyć to, co pan właśnie powiedział. Jeśli to jest prawda...

– To jest prawda, panie pułkowniku – westchnął Brian, po czym posłusznie przestawił urządzenia i powtórzył swoją relację, nieco ją tylko rozszerzając. Oficer słuchał, nie przerywając mu ani razu. Zażądał tylko ponownego podania numeru identyfikacyjnego Briana, i chwilę trwało sprawdzanie go.

– Dobra, poruczniku, wierzę panu – czyżby w głosie pułkownika zabrzmiała ledwo słyszalna nuta szacunku...? – Cholernie dobra robota, i niech pan się liczy z tym, że niebawem przyjdzie pomoc. W tej chwili w całym Układzie mamy pewne... zamieszanie, i musimy poczekać, aż sytuacja się wyklaruje. Co z załogą stacji?

– Jest zgromadzona w jednym z magazynów. Nie miałem jeszcze czasu by do nich zajrzeć, jednak wiem na pewno, że żyją – nie wspominał tylko że wie to od Sheeny, której w tych sprawach mógł wierzyć na słowo.

– Niech pan zatem uwolni ich jak najprędzej. Potem proszę wrócić do stanowiska łączności wraz z najstarszym rangą oficerem na pokładzie.

Ziemia

Cumowali właśnie przy nabrzeżu w Pancake, gdy serwisy informacyjne podały wstrząsające wieści. Część załogi, powiadomiona przez komunikatory, zawróciła już od luków i spieszenie podążyła na mostek, gdzie wyświetlano program telewizji na wielkich ekranach.

Toby słuchał i patrzył, podobnie jak większość zebranych nie wierząc własnym uszom i oczom.

– Jeśli to wszystko prawda, to po prostu stał się cud – oznajmił z przekonaniem ktoś z obsługi stanowisk ogniowych. – Nie uwierzę, dopóki nie zobaczę na własne oczy.

– To będzie ci trudno – mruknął ktoś inny. – Najbliższy port kosmiczny znajduje się dość daleko...

Faktycznie, to wszystko – jeśli nie miało się z prawdą – zakrawało wręcz na cud. Przez ekran wciąż przewijały się krótkie migawki z wywiadów i transmisji przeprowadzonych zdalnie z załogą ganimedańskiej bazy *Blue One*, mieszkańcami osiedli księżycowych i orbitalnych. O tym, że to rzeczywistość, a nie sen, upewniła ich ostatecznie dopiero skąpa wypowiedź rzecznika sztabu generalnego UNSF, przekazana na żywo z Heliopolis.

Toby, nie wysłuchawszy wiadomości od samego początku, nie mógł jedynie zrozumieć związku tego nagłego zwrotu sytuacji z załogą okołosłonecznej stacji *Polaris*. Relacji stamtąd poświęcono bowiem zaskakująco wiele czasu. Jasne było jednak jedno: wybawcami ludzkości z nie lada opresji okazała się flota Tanoor, co było chyba najmniej prawdopodobną i braną pod uwagę ewentualnością ze wszystkich możliwych. Jeszcze bardziej niewiarygodna wydawała się liczba ich statków, jednak tu już pewnie zawinili dziennikarze, którzy zawsze potrafili coś pokręcić.

– Trzy gwiazdoloty? – nie mógł się powstrzymać, żeby głośno nie wyrazić swojego zdumienia. – W dodatku wielkości planetoid...?

Jednak w tym natłoku optymistycznych wieści poświęconych wybawcom z gwiazd było też miejsce na sukces będący w całości zasługą ludzkich rąk. Oto bowiem największa stacja kosmiczna zbudowana przez ludzi, czyli okołomarsjańska *Mars 2*, została odbita wyłącznie dzięki UNSF. I tu również następowały bzdury: oto czynu owego miał dokonać wyłącznie jeden żołnierz.

Carol aż prychnęła, gdy usłyszała ten komunikat, ogłoszony przez zachłystującego się wręcz entuzjazmem komentatora.

– Takie rzeczy mają prawo zdarzać się w filmach – burknęła gniewnie, wzruszając ramionami. – W tym natłoku wydarzeń chyba nie dość dokładnie sprawdzają nadchodzące informacje, nie sędzicie? To jest życie, a nie wirtualny świat Hollywood...

– Flota Gorrn została rozbita w puch bez najmniejszego ostrzeżenia – trajkotał prezydent TTN. – Według komunikatu z okrętu flagowego Tanoor, stało się tak dlatego, iż stanowiła największe chwilowe zagrożenie dla ludzkiego życia. Przy tym zaś – w jaskrawy sposób łamała prawa Wspólnoty Galaktycznej. Podobny los spotkał godzinę później część jednostek Kh-kh-boyn, zanim po kilku minutach nierównej walki ogłosili zawieszenie broni i gotowość do negocjacji warunków wycofania się z Układu Słonecznego...

– Najciekawiej jednak rozegrały się ostatnie chwile wroga w okolicach samej Ziemi – mówił dalej dziennikarz, bezskutecznie starając się przybrać poważny wyraz twarzy. – Okręt flagowy Tanoor nie zdążył osiągnąć wysokości orbity ziemskiej, gdy jednostki Voorthian rozpoczęły przegrupowanie swych sił. Natychmiast wycofali swoje statki ze wszystkich bardziej oddalonych miejsc, gromadząc praktycznie całą swą flotę w klasyczny koncentryczny szyk obronny mniej więcej pół miliona kilometrów od Ziemi. Z tego co wiemy, nie odpowiedzieli na żadne próby wezwania do zaprzestania ognia, przekazane im przez gwiazdolot Tanoor. Zamiast tego, w jego kierunku wysłali miny podprzestrzenne, które jednak z jakichś niewytłumaczalnych przyczyn nie zdetonowały. Później zaś nastąpiły wydarzenia najbardziej dramatyczne... Może jednak obejrzycie je państwo sami. Przepraszamy za niezbyt dobrą jakość materiału filmowego. Uzyskałszy go z jednego z naziemnych obserwatoriów astronomicznych.

Na mostku *Ramsesa* zapadła cisza.

Kuliste zgrupowanie floty Voorth nawet z odległości budziło respekt. Zwłaszcza w tych momentach, gdy podczas zbliżeń okazywało się nagle że to, co z daleka było zaledwie niewielką gwiazdką lub punkcikiem, z bliska okazywało się potężnym niszczycielem lub pancernikiem. Statki te były przeciwieństwem maszyn budowanych przez Kh-kh-boyn: miały zwartą konstrukcję, najeżoną kratownicami anten i elementami śmiertelnej broni. Wydawało się, że nawet statki Tanoor nie potrafią sobie dać rady z tą nagromadzoną na tak niewielkim obszarze potęgą. A co dopiero jeden statek, przeciwko takiej flocie...

Patrzącym zdało się nagle, że w samym centrum zgrupowania rozbłysło znieścacka małe słońce. Błyskawicznie rozszerzyło się, jarząc się oślepiając białym blaskiem. W mgnieniu oka pochłonięło wszystkie statki, i równie nagle poczerwieniało, przygasło i poczęło się rozpywać w czerni kosmosu. W polu widzenia pozostały jedynie jarzące się, lecz szybko blednące chmurki plazmy. To było wszystko, co pozostało z potężnej voorthiańskiej floty...

Toby posłyszał jednym uchem cichą uwagę rahańskiego eksperta od techniki wojskowej – zdawało mu się, że tego samego, który wraz z nim wybrał się na pokładzie *Golfa* w pobliże piramidy.

– Nawet nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jakiego rodzaju broni użyli oni w tym przypadku – powiedział nieziemiec, kręcąc głowę w nadspodziewanie ludzkim geście.

A potem, zupełnie niespodziewanie, czyjeś mocne ramiona otoczyły Toby’ego od tyłu. Błyskawicznie odwrócił się i spojrzał w czarne, roześmiane oczy, wesoło błyszczące pod czarną, rozwichrzoną nieco czupryną.

– Yosh! – zdołał tylko krzyknąć.

– Witam na pokładzie – powiedział uprzejmie stojący tuż obok Beresford, myśląc zarazem dość melancholijnie, że jako dowódca powinien chyba wiedzieć, kto wpuszczany jest na pokład.

– Musiałem się przebrać, żeby mnie tu wpuścił ten cholerny wojskowy cerber przy luku – wyszeptał konspiracyjnie Yoshi prosto w ucho pilota, pokazując mu zarazem białe zawiniątko trzymane w ręku. – Kiedyś już mi się udało, pamiętasz? Miałem nadzieję że teraz też, no i jestem...!

W zawiniątku Toby ze zdumieniem rozpoznał lekarski kitel i zawinięty węł stetoskop.

Morris i Paula siedzieli przy stylowym, drewnianym stole, z przyjemnością przyglądając się wnętrzu restauracji, urządzonej równie stylowo i z wyjątkowym smakiem. W *Theo* królowało drewno i wyściełane meble, których uroda podkreślana była delikatnym, roz-

proszonym blaskiem bijącym od kandelabrow i świec. Wybrali to miejsce wyjątkowo zgodnie, nawet nie pytając się nawzajem o powody. Morris przy wejściu obrzucił dość nieżyczliwym spojrzeniem człowieka z obsługi, który poprzednim razem, tamtej pamiętnej nocy, odmówił mu prawa wejścia do środka. Teraz jednak nawigator nie miał z tym najmniejszych problemów, gdyż prawdę mówiąc przyćmiewał swoim eleganckim wyglądem wielu spośród gości płci męskiej obecnych tu akurat. Nikt tego jednak zdawał się nie zauważać, gdyż wszystkie spojrzenia, które kierowały się – przypadkowo lub nie – ku ich stolikowi, jako cel obierały wyłącznie Paulę. Ta zaś dzisiaj, w swojej czarnej, prostej, nieskazitelnie skrojonej sukience od Dione, wyglądała po prostu niewiarygodnie.

– Chyba powinniśmy uczcić to wszystko szampanem – zaproponował wreszcie Morris, napatrzywszy się wreszcie na swą piękną towarzyszkę. Ta spojrzała na niego zagadkowym wzrokiem.

– Mówiąc "to wszystko", masz na myśli koniec wojny?

– Nie tylko – odchrząknął. – Raczej chodziło mi... o nas.

Wesołe iskierki zaigrały w jej oczach, gdy wyciągnęła dłoń i położyła ją na jego dłoni, o tyle większej.

– Niech będzie szampan. Jaki proponujesz?

– Może Vailland? – rzucił, unosząc pytająco brwi. – Na twoją cześć. Co ty na taki wybór?

– A może Duvall? – gdy to mówiła, jej wzrok wyrażał całkowitą niewinność. – Na twoją cześć? Przypadkowa zbieżność twojego nazwiska i tego wspaniałego szampana...

Patrzył na nią osłupiałym wzrokiem. Nagle poczuł, że robi mu się gorąco i odruchowo sięgnął do kołnierzyka, by odrobinę go poluzować. Przez jego głowę przebiegło tysiąc myśli naraz. Cholera, czy ona coś wie na jego temat...? Powinien o tym pomyśleć wcześniej. Nawet jeśli nie wie, to powinien jej chyba powiedzieć. Lepiej, gdy dowie się o tym od niego, niż w jakiś inny sposób. Jest jej to winien. Całkowita szczerłość...

– Posłuchaj, Paula – zaczął niepewnie. – Jest chyba coś, co powinienem ci powiedzieć, zanim... zanim... No, w każdym bądź razie

właśnie teraz. – Odetchnął głęboko. – Wiesz co, ta zbieżność nazwisk...

Nie, jakoś nie mógł tego dokończyć.

Ona pochyliła się jednak ku niemu i zrobiła to za niego.

– Ta zbieżność nazwisk nie jest przypadkowa – powiedziała poważnie, choć uśmiech nadal był w jej oczach. – Czy to właśnie chciałeś mi powiedzieć?

Gwałtownie uniósł głowę, a to, co wyczytał z jej twarzy, zdumiało go w najwyższym stopniu.

– Wiedziałaś! – to bardziej przypominało stwierdzenie faktu, a nie pytanie. – Wiedziałaś o tym! Skąd?!

– Od ojca – wyznała, z zakłopotaniem przechylając głowę na bok. – To znaczy, znałam wcześniej twoją twarz, gdyż staruszek z jakichś powodów bardzo dbał, abyśmy znali przedstawicieli wszystkich znacniejszych rodzin Francji. Razem z nami studiował kroniki towarzyskie, tłumaczył nam, kto jest kim... a szczególnie gdy chodziło o rodziny zajmujące się wytwarzaniem markowych szampanów. Wasza była przecież na poczesnym miejscu. Jednak trwało trochę czasu, zanim wszystko sobie skojarzyłam i uświadomiłam sobie wreszcie, kim jesteś naprawdę. To stało się już na okręcie...

– Czemu niczego nie powiedziałaś? – spytał już spokojniej.

Wzruszyła ramionami.

– To nie było dla mnie najważniejsze. A poza tym, chciałam, żebyś sam mi to powiedział.

Zamknął jej dłoń w swoich, patrząc na nią oczami pełnymi uczuć, jakich nie umiał wyrazić słowami.

– Tym bardziej potrzebny jest szampan – zawyrokował wreszcie stanowczo. – Nalegam na Vaillanda.

– Ja na Duvalla...

– Co wobec tego? – spytał bezradnie. Chwilę patrzyli na siebie z wyczekiwaniem, a ich następne słowa zabrzmiały równocześnie.

– Dom Perignon...!

Kosmos

Baza *Blue One* tętniła już swoim naturalnym rytmem od ponad dwóch miesięcy, jakie minęły od zakończenia wojny. Na miejsce powrócili już wszyscy, którzy zdążyli opuścić Ganimedesa przed pamiętnymi wydarzeniami, a doszło także wielu nowych. Wojna ponownie zwróciła uwagę Wspólnoty na Ziemię i spowodowała nową falę zainteresowania społeczności galaktycznych Układem Słonecznym i starożytnymi znaleziskami. Jednak podstawowym tego powodem była obecność w okolicach ziemskiego Słońca tajemniczej istoty liczącej sobie więcej lat, niż jakakolwiek cywilizacja Drogi Mlecznej.

Krażyły również uporczywe pogłoski o wyprawie w głąb Galaktyki, przygotowywanej ponoć przez ludzi i ich galaktycznych sojuszników w porozumieniu z Instytutami Galaktycznymi. Celem miała być podobno jakaś niewielka gwiazda oddalona w kierunku centrum Drogi Mlecznej. Sama zaś wyprawa była rzekomo bezpośrednio powiązana z wydarzeniami, jakie doprowadziły do odnalezienia starożytnego Galakta. Nikt wprawdzie nie wiedział dokładnie, skąd biorą się te wszystkie wieści, jednak pomimo uporczywych zaprzeczeń wszelkich oficjalnych czynników powszechnie wierzone w to, że istotnie szykuje się coś takiego.

Dla Sheeny jednak nie zmieniło się tak wiele. Poza oczywiście nowym stopniem wojskowym, oraz dwiema innymi zmianami na jej mundurze. Do emblematu oznaczającego przynależność do Korpusu ESP doszła jeszcze jedna, trzecia gwiazdka, gdy oficjalnie potwierdzone zostały jej zdolności jako aktywnego telepaty. I druga rzecz, której – paradoksalnie – nieco się wstydziła, choć uczciwie na nią pracowała. Był to zaś niewielki połyskujący znaczek, wpięty nad kieszeń na piersi. Oznaczał on, iż posiadacz tego munduru został odznaczony Brązowym Krzyżem Słonecznym.

W głębi ducha była z siebie dumna, to prawda. Zaś jej rodzina na Ziemi ucieszyła się co najmniej tak samo, jak ona. Tak jak i Brian,

oczywiście; ona z kolei równie szczerze pogratulowała mu jego Złotego Krzyża Słonecznego. Zasłużył sobie na niego chyba jak nikt inny w czasie tej wojny...

Siedziała na swoim stanowisku przed konsolą łączności. Jednak pomimo iż akurat miała wachłę, swoje nowe umiejętności rozwinęła już na tyle, że mogła prowadzić telepatyczny dialog bez utraty koncentracji. Korzystała z tego choćby w tej chwili.

– *I wiesz co?* – mówiła właśnie bezgłośnie do Briana. – *Zdaje mi się nawet, że od jakiegoś czasu znacznie łatwiej jest mi porozumieć się z tobą. Zupełnie jakbyś był bliżej. Widocznie coraz lepiej mi idzie...*

– *Albo lepiej się odżywasz* – zasugerował. – *No wiesz, sama mówiłaś, że przy tym zużywasz cholernie dużo energii.*

Kilka zaledwie osób na pokładach *Blue One* zwróciło uwagę na wysokiego, przystojnego żołnierza w mundurze kapitana UNSF. Dźwigając niewielki, wypchany plecak opuścił służbę przejściową łączącą dok z pokładem wielkiego transportowca, który wylądował kilka minut wcześniej. Rozejrzał się dookoła z zaciekawieniem, i po chwili wahania podszedł do najbliższej osoby w mundurze personelu stacji.

– Przepraszam, jak mogę dotrzeć do sekcji łączności dalekiego zasięgu? – spytał grzecznie. Zapytany, szczupły mężczyzna w średnim wieku, zatrzymał się i przyjrzał się mu z zaciekawieniem i pewnym zdziwieniem.

– Jest pan pewien, że nie chce pan najpierw skorzystać z wolnej kabiny i kantyny? – podsunął życzliwie. – Pan zdaje się dopiero co przyleciał?

– Owszem – zgodził się żołnierz. – Ale bardziej niż kantyny potrzebuję centrali łączności, niech mi pan wierzy.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Tam jest winda – rzekł, wskazując ręką. – Pojedzie pan na trzeci poziom, a dalej powinien pan już trafić bez trudu.

Żołnierz podziękował i ruszył przed siebie.

Sheena zajęta była właśnie przyjmowaniem wyjątkowo długiego radiogramu od rozwścieczonego dowódcy jakiegoś frachtowca. W tej chwili groził właśnie, że doprowadzi do masowych zwolnień dyscyplinarnych wśród personelu *Blue One*. Sheena zrazu usiłowała mu wytłumaczyć, że winę za to, iż niemal cała zawartość ładowni jego statku powinna była trafić do *Ares City*, a nie na Ganimedesa, ponosi jakiś baran z Ziemi lub ze stacji *Mars 2*. Do oficera jednakże nie trafiały żadne argumenty. Zrezygnowała więc z bezowocnych perswazji, wzruszyła do siebie ramionami i poczęła wypełniać jego polecenia, polegające na notowaniu kolejnych gróźb i protestów.

Jednym uchem zarejestrowała jakieś poruszenie przy drzwiach. Ktoś wszedł, kogoś szukał, coś w tym rodzaju. Kolejne niepotrzebne zamieszanie.

– *Co to ma być, biuro osób znalezionych i zgubionych, czy moje miejsce pracy?* – ironicznie spytała Briana, który w międzyczasie podśmiewał się w myślach z dowódcy pechowego statku, choć równocześnie prowadził najwyraźniej jakąś rozmowę.

– *To zależy chyba, kto ma ten problem* – odparł z humorem. – *Bo jeśli na przykład odwróciłabyś się i zobaczyła tego kapitana z frachtowca, to należałoby go wyrzucić. Jeśli zaś byłby to na przykład dwudziestosześcioletni żołnierz, możliwe nawet że z plecakiem na plecach, to powinno się rozważyć, w jakim celu przyszedł...*

Odpowiedź była na tyle dziwna, że coś ją tknęło. Niemal odruchowo odwróciła się i spojrzała na tego kogoś, kto najwyraźniej nadal stał w drzwiach, odpierając perswazje jej dwóch koleżanek z personelu centrali.

Jej wzrok zarejestrował płowe włosy, niesfornie opadające na czoło, męską twarz o mocno zarysowanej szczęce, niebieskie oczy, w których migotały iskiereki poczucia humoru. Te oczy patrzyły wprost na nią...! Dostrzegła mundur UNSF, typowy wojskowy plecak, oraz lekki uśmiech na twarzy żołnierza. I złoty błysk nad kieszenią munduru. Krzyż Słoneczny...?!

Nadal patrzył na nią, jakby na coś czekał.

Powoli wstała, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co robi. W uchu brzęczały jej ciągle słowa natrętnego oficera, wyjęła więc po prostu słuchaweczkę i odłożyła na bok. Wolnym krokiem poszła w kierunku przybysza. Zatrzymała się o metr przed nim.

– Brian...? – powiedziała niepewnie. Obie jej koleżanki spojrzały na nią ze zdziwieniem, potem na tego przystojnego oficera, a potem jeszcze raz na nią. Nie zwracała na nie najmniejszej uwagi.

Żołnierz patrzył jej prosto w oczy.

– Obiecałem ci, że zabiorę cię do najlepszej knajpy na Zachodnim Wybrzeżu, pamiętasz? – rzekł cicho. – Powiedz więc, gdzie macie tu najbliższe miejsce, które można by nazwać Zachodnim Wybrzeżem...

Stała tak, czując jak nogi jej drżą, a oczy niespodziewanie zachodzą łzami, nie mogąc wykrztusić ani słowa. Aż wreszcie on zdecydowanie pokonał te dwa kroki, które ich dzieliły, i zamknął ją w swoich ramionach.

KONIEC

Marcin Pałasz
maarten@eranet.pl
604 100 704